PISMA POŚMIERTNE

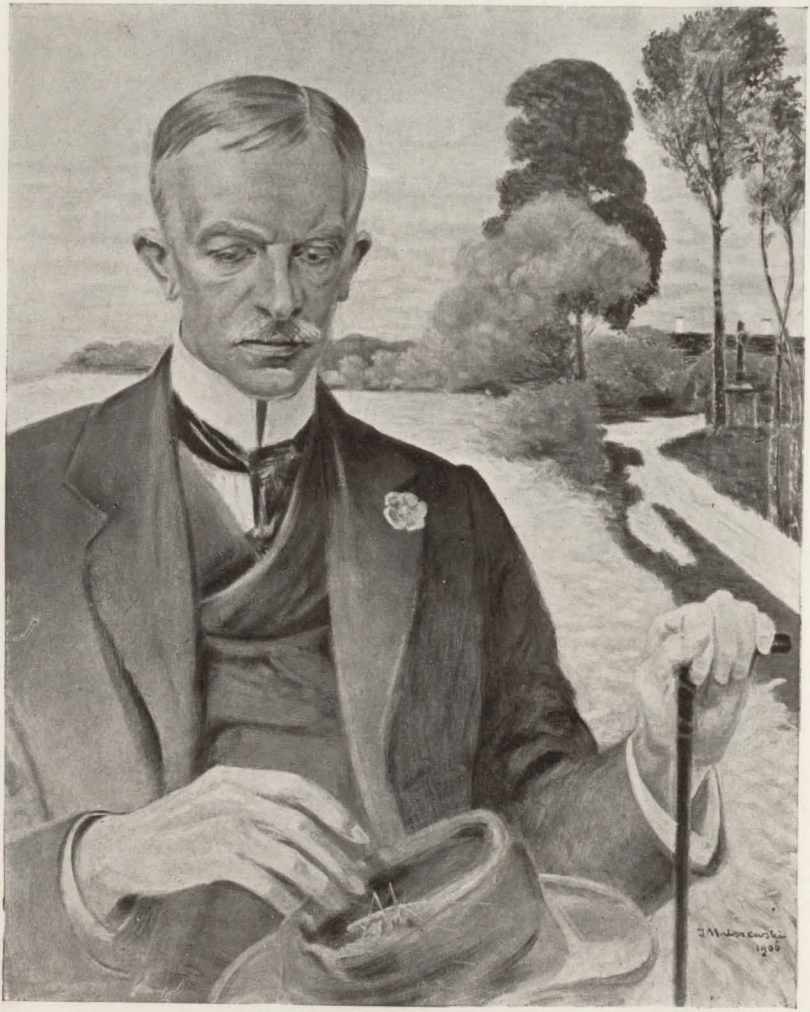
KAROLA POTKAŃSKIEGO

T. I.

Inw. 2485
V 262
UNIW. JAG.

KRAKÓW
NAKŁADEM POLSKIEJ AKADEMJI UMIEJĘTNOŚCI
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNIACH GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKOW — LUBLIN — ŁÓDŹ — POZNAŃ —
WILNO — ZAKOPANE
1922


Staatsbibliothek
Krakau



KAROL POTKAŃSKI

według portretu Jacka Malczewskiego (1906).

PISMA POŚMIERTNE
KAROLA POTKAŃSKIEGO

T. I.

Wydz. Bibl. Prawnicza
1806091901

KRAKÓW
NAKŁADEM POLSKIEJ AKADEMJI UMIEJĘTNOŚCI
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNIACH GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ — POZNAN —
WILNO — ZAKOPANE
1922

Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem J. Filipowskiego

PRZEDMOWA.

Śp. Karol Potkański należy bezwątpienia do najbardziej samodzielnych i oryginalnych postaci wśród historyków polskich, a nawet wogóle wśród uczonych polskich. Odosobniony poniekąd, bo własnemi chodzący drogami, cieszył się jednak wielkiem uznaniem za życia i nie mały także wpływ wywarł na młodszych. Śmierć dosięgła go przedwcześnie, niemal w połowie drogi, w pełni twórczości naukowej. Śp. Potkański zdawał na posiedzeniach Polskiej Akademji Umiejętności sprawę z daleko większej ilości prac, niż zdołał wydrukować za życia. Wszystko, co w Akademji przedstawiał, było nietylko pomyślane i przestudjowane, ale po największej części i napisane, to też pozostała po jego śmierci spuścizna naukowa obfitsza i cenniejsza, niż się można było spodziewać.

Akademja Umiejętności, podejmując obecnie wydanie tej spuścizny, kieruje się nietylko pietyzmem dla znakomitego swego członka, ale przedewszystkiem poczuciem obowiązku udostępnienia społeczeństwu i badaczom przeszłości naszej wyników jego pracy, które dorównywują prawie rozmiarami i doniosłością licznym rozprawom, ogłoszonym przez niego za życia. Mimo kilkunastoletniego opóźnienia wydania, spowodowanego przygotowaniem materjału przez wydawców, a później wojną, nie straciły one na wartości, bo nie zostały przewyższone ani zastąpione przez późniejsze prace innych.

Śp. Karol Potkański nie pozostawił żadnych wskazówek co do wydania rękopisów, które odumierał. O stanie rękopisów i zasadach, których się trzymano w przygotowaniu ich do druku, znajdują się ogólne wyjaśnienia na

końcu życiorysu, a szczegółowe na początku poszczególnych rozpraw. Tutaj niechaj wystarczy zapewnienie, że wydawcy starali się tekst zachować jak najwierniej i korzystać z każdej wskazówki rękopisów co do układu rozpraw, powstrzymując się jak najbardziej od czynności redakcyjnych i od polemiki z poglądami autora w przypiskach w razie odmiennego zdania.

W końcu jeszcze jedna uwaga. Niniejsze pisma pośmiertne sądzić należy nieco inaczej, niż pisma, wydane przez samego autora. Wydawca nigdy nie może zastąpić autora w przygotowaniu jego prac do druku, bo nie zna ostatecznych jego intencyj i sądów o danem zagadnieniu, autor zaś jest poniekąd nieodpowiedzialny, bo los mu nie pozwolił poczynić zamierzonych może i potrzebnych poprawek i zmian w ogłoszonych pracach.

Oryginalne rękopisy śp. Potkańskiego, włączone do zbioru rękopisów Bibljoteki Akademji Umiejętności, będą dostępne dla badaczy, pragnących skontrolować wydawców.

Tom pierwszy w całości przygotował do druku prof. Franciszek Bujak.

Życie i działalność Karola Potkańskiego (1861—1907).

I. **Pochodzenie.** Karol Potkański urodził się 16 kwietnia 1861 r. w Prędocinku pod Radomiem jako syn Edwarda i Anieli z Malczewskich. Na chrzcie otrzymał imię Jana Nepomucena Karola, jak świadczą metryka i późniejsze dokumenty urzędowe.

Potkańscy, herbu Brochwic, byli niegdyś możną rodziną, osiadłą w Radomskiem, dowodnie od drugiej połowy XIV wieku w Gościszewicach (Mikosz z Gościszewic 1373—1378). Z Potkany, parafja Wrzos, pow. radomski, pisze się pierwszy Pełka w r. 1428. Ród Brochwiców jest gałęzią rodu Jeleniów, zwanych także Czarnymi Jeleniami, ponieważ ich znak herbowy przedstawiał jelenia w skoku. Istnienie tego rodu stwierdza jeden z najstarszych i najszacowniejszych dokumentów polskich mianowicie bulla papieża Adrjana IV dla biskupstwa wrocławskiego z r. 1154, w której jest wymieniona między innemi wieś »Nalcho Gelenow« t. j. Niałko Jeleniów, osada położona w bagniskach nad Obrą, na pograniczu Wielkopolski i Śląska. Nazwa ta stanowiła zawołanie czyli proklamę rodu. Z tego najstarszego gniazda rozeszli się Jeleniowie z biegiem czasu po Śląsku, Wielkopolsce i Małopolsce. Na Śląsku należeli do najwybitniejszych rodów w drugiej połowie XIII w., piastowali bowiem godności kasztelanów wrocławskich i wojewodów lignickich. Do Małopolski w Radomskie dostała się gałąź wielkopolska. Mianowicie Kazimierz Wielki przesiedlił około r. 1338 Mikołaja i Jana, synów Bodzanty, właścicieli Babimostu, Zbąszynia i Kębłowa, dając im w zamian Wrzos, Gościszewice (dziś Goszczewice) i Potkanę, ponieważ z początku XIV wieku byli zwolennikami panowania czeskiego, potem stronnikami

ks. Henryka Głogowskiego a w końcu poddali dwa pograniczne grody, będące w ich posiadaniu, Babimost i Zbąszyń, Brandenburczykom, występując stale jako przeciwnicy polityczni Łokietka. Jeszcze w 1405 ich potomkowie robili zabiegi o odzyskanie Kębłowa, który dopiero w r. 1393 przeszedł w prywatne posiadanie[1].

Jakkolwiek Potkańscy już w XV w. należą do możnych rodzin (w r. 1464 posiadają kilkanaście wsi), ograniczają się aż do końca XVII w. do urzędów i godności powiatowych i dopiero około początku XVIII w., może dzięki Aleksandrowi, dziekanowi kijowskiemu, tudzież kanonikowi i administratorowi płockiemu, osiągają starostwo zwinogrodzkie na Ukrainie i wchodzą w koligacje z pierwszemi rodzinami. W połowie XVIII w. dobijają się krzesła senatorskiego (Józef Potkański, ur. 1704 um. 1782, mianowany w r. 1757 kasztelanem radomskim) i fjoletów biskupich (brat poprzedniego Franciszek, biskup patareński, sufragan krakowski, um. 1789). W końcu Rzeczypospolitej tudzież w czasach napoleońskich i Królestwa Kongresowego kilku Potkańskich było oficerami kawalerji, trzech z nich nawet zdobyło stopień pułkowników.

Ojciec Karola, dziedzic położonej tuż pod Radomiem Jeżowej Woli, której przynależnością był Potkanów, syn Szczepana, oficera wojsk polskich za Księstwa Warszawskiego i pułkownika w czasie powstania listopadowego, oraz Teresy z Kownackich, był przeciętnym obywatelem ziemskim, lubiącym wesołą kompanję. Czołowym przedstawicielem rodu był wówczas szeroko ustosunkowany Kalikst Potkański, wyższy urzędnik Banku Polskiego (um. 1881). Matka Karola odumarła go wkrótce po urodzeniu, w chłopięcym jeszcze wieku stracił ojca. Wychowaniem jego zajmowała się głównie babka, Karolina z Bukowieckich Malczewska, właścicielka Prędocinka. Obok babki, osoby uczuciowej, pro-

[1] St. Kozierowski: Studja nad pierwotnem rozsiedleniem rycerstwa wielkopolskiego. VII. Ród Jeleni, Niałków, Brochwiców, w Rocznikach Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu t. 45 (1918) str. 98—99 i 113. Kozierowski błędnie twierdzi, że na ten fakt przesiedlenia karnego zwrócił pierwszy uwagę prof. Wł. Semkowicz, ponieważ zrobił to już w roku 1899 w komunikacie: Konfiskata majątków Jana i Mikołaja z Kębłowa Studja nad XIV wiekiem I.) Karol Potkański.

wadzącej na starość życie poświęcone praktykom pobożnym i wspomnieniom osobistym i rodowym, wywierał wpływ na Karola wuj, Juljan Malczewski, ojciec Jacka, znakomitego artysty malarza, urzędnik Tow. kredytowego ziemskiego w Radomiu (um. 1884). Był to człowiek dużej kultury umysłowej i towarzyskiej, pozostający w stosunkach z bardzo wieloma wybitnemi osobistościami. Znamiennym faktem, charakteryzującym go dodatnio, jest powierzenie wychowania swoich dzieci znanemu literatowi A. Dygasińskiemu. Młodszy od nich Karol, nie mógł już korzystać z tej nauki, natomiast wiele obcował z wujem, który się chętnie nim zajmował. Wielkie podobieństwo typu fizycznego a zwłaszcza psychicznego, jakie zachodziło między nimi, ułatwiało ich stosunki. Potkański przypominał wuja mową, ruchami, wykwintnością i delikatnością obejścia, szerokiemi i poważnemi zainteresowaniami umysłowemi, przedewszystkiem społeczno-politycznemi, co mu w rodzinie zjednało nazwę »filozofa«.

W domu otaczała Karola żywa tradycja czasów Królestwa Kongresowego, wiążąca się ze wspomnieniami wojen napoleońskich i z umiłowaniem języka i kultury francuskiej. Chciwie chłonął te wspomnienia historyczne i rodowe, ale nie obojętny był także na wpływy dalszego otoczenia t. j. wsi. Obcując z rówieśnikami, a później ze starszymi włościanami (o czem chętnie wspominał piszącemu te słowa), zaznajamiał się z życiem wsi, ze zwyczajami i z ustrojem rolnym. Dom budził w nim zmysł historyczny, a wieś skierowywała go do badań historyczno-społecznych.

II. Środowisko krakowsko-zakopiańskie. Delikatna budowa i słabe zdrowie były powodem, że Karol, aż do 15 roku życia, mieszkał u babki w Prędocinku, nie prowadząc, zdaje się, systematycznej nauki w zakresie gimnazjalnym. Później umieszczony w Krakowie (u p. Göttlicha, ul. Smoleńska 17) uczył się prywatnie. Egzamin dojrzałości zdał w czerwcu 1880 jako uczeń prywatny w gimn. św. Jacka w Krakowie. W jesieni tego roku zapisał się na wydział filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Lata studjów Potkańskiego przypadają na okres bardzo ruchliwy i płodny w rozwoju Uniwersytetu Jagiellońskiego i badań historycznych w Polsce. Dosyć przypomnieć,

że wówczas kończył swe dzieło o Sejmie Czteroletnim ojciec W. Kalinka ze Zgromadzenia Zmartwychwstańców, że wrzała w całej pełni polemika o książkę M. Bobrzyńskiego, że wreszcie w r. 1881 St. Smolka ogłosił znakomitą monografję: Mieszko Stary i jego wiek, a Franciszek Piekosiński zadziwił świat polski hipotezą najazdu i teorją o runicznem pochodzeniu herbów szlachty polskiej w rozprawie: O powstaniu społeczeństwa polskiego. Wywiązał się z tego spór o genezę społeczeństwa polskiego między M. Bobrzyńskim, St. Smolką i Fr. Piekosińskim, któremu Akademja Umiejętności poświęciła szereg posiedzeń w r. 1881 i XIV-ty tom Rozpraw Wydz. hist.-filoz. J. Szujski budził swojemi ostatniemi wykładami tak wielkie i powszechne zainteresowanie, że uczęszczało na nie wielu profesorów uniwersytetu. St. Smolka i W. Zakrzewski reorganizowali seminarjum historyczne, tworząc pracownię naukową dla uczniów, wprowadzali do ćwiczeń nową metodę historyczną, przyniesioną z najlepszych szkół niemieckich, pierwszy od G. Waitza z Göttingen, drugi z Lipska. Młodych jeszcze profesorów łączyły z nielicznymi, ale zdolnymi uczniami (było ich zaledwie kilkunastu przy ogólnej ilości studentów filozofji około 100) żywe stosunki nietylko naukowe, ale i towarzyskie. Co dwa tygodnie w soboty po seminarjach Smolki gromadzili się profesorowie i uczniowie, jako członkowie »Cechu historycznego«, zwykle w Hotelu Drezdeńskim, naprzeciw kościoła NPMarji na Rynku, na pogawędki przy kolacji. Obok Smolki, Zakrzewskiego i Marjana Sokołowskiego przychodzili czasami St. Tarnowski i M. Bobrzyński [1]. Co roku urządzano wspólną wycieczkę do miejsc historycznych w pobliżu Krakowa.

Uczęszczali wtedy St. Krzyżanowski, J. Kallenbach, St. Windakiewicz, W. Rubczyński, J. Korzeniowski i Gross, którzy wkrótce potem pod wodzą prof. S. Smolki wzięli udział

[1] Poniekąd dalszym ciągiem »Cechu historycznego« były podobne zebrania organizowane przez prof. germanistyki, W. Creuzenacha, i przez niego też nazwane »Zeitgenossen«. Łączyły one kilkunastu starszych i młodszych uczonych z Uniwersytetu Jagiellońskiego, przeważnie humanistów, a odbywały się najczęściej u Hawełki, aż do wyjazdu Creuzenacha z Krakowa (1914).

w pierwszej Ekspedycji Rzymskiej dla poszukiwania źródeł do historji polskiej w Archiwum watykańskim (1886—1887), dalej Szkaradek-Krotoski, Siekierzyński i przedwcześnie zmarły, bardzo zdolny i ceniony przez profesorów i kolegów, Mikrot. Brał jeszcze czynny udział w seminarjach B. Ulanowski, celujący wiedzą i djalektyką. Studjował równocześnie Konstanty M. Górski, bawili jakiś czas na krakowskim Uniwersytecie O. Balzer i Wł. Abraham. Wydany w r. 1886 przez krakowską młodzież uniwersytecką »Rocznik filarecki« zawierał 8 prac z historji, 3 z historji literatury polskiej i 9 utworów wierszowanych.

Potkański brał w tym ruchu udział, ale trzymał się nieco na uboczu, ze względu na zdrowie, na szersze swe zainteresowania naukowe i na swe rozległe już wówczas stosunki towarzyskie. Koledzy widzieli w nim outsider'a, który nie chce chodzić utartemi jak oni drogami, ale szuka własnych ścieżek, zajmując się tak niezwykłemi studjami, jak socjologja i etnologja.

Istotnie Potkański obcuje już wtedy w obszernem, ale doborowem gronie ludzi. Głęboką potrzebą jego duszy były stosunki towarzyskie, dające sposobność do wymiany sądów, spostrzeżeń, wrażeń artystycznych, politycznych i naukowych. Wrażliwa i uczuciowa jego natura szukała nietylko zabawy i podniety w towarzystwie, ale także wzajemnego zrozumienia i szczerej życzliwości. Najbliższym kolegą i przyjacielem już od lat gimnazjalnych był mu Konstanty M. Górski, znany powszechnie w Krakowie jako Kocio Górski, równy wiekiem i usposobieniem zasadniczem. Wychowanek gimnazjum św. Anny, a potem student Uniwersytetu Jagiellońskiego, pochodził ze znanej zamożnej rodziny ziemiańskiej w Królestwie. Była to bogata z natury dusza, która sumienną pracą zdobyła sobie wszechstronną kulturę umysłową. Niepośledni poeta stał się wytrawnym historykiem i subtelnym znawcą sztuki [1].

Najlepszą jego charakterystykę stanowią piękne słowa

[1] K. M. Górski ur. 1862 r. um. 1909 r. Studja ukończył i doktoryzował się w Berlinie (1888 r.), następnie był bibljotekarzem Bibljoteki Polskiej w Paryżu a po powrocie do Krakowa profesorem historji sztuki w Akademji Sztuk pięknych.

prof. Kazimierza Morawskiego: »Dusza nad wyraz czuła i wrażliwa, szukała piękna we wszystkich życia przejawach... Miał on szczególny dar obcowania z ludźmi i posiadał w pełni wielki skarb przyjaźni... Wpływał więc silnie na ludzi, nie jednemu serce rozszerzył, podniósł i rozgrzał, innemu drogę życia naprostował i rozjaśnił. Nawzajem wdzięcznie odczuwał natchnienia i siły, które płyną z przyjaźni« [1].

Był czcicielem poezji, niemal jej wyznawcą Do ulubionych jego poetów należeli: Goethe, Musset, Asnyk. Dzielił z nim to upodobanie Potkański, który lubił nadto jeszcze nowszą lirykę angielską, np. Rossetiego Na historję literatury miał Górski pogląd prawdziwie naukowy, jego praca doktorska (»Die Fabel von dem Löwenanteil«) była opracowaniem tego tematu w literaturze powszechnej, a rozprawa o Fr. Karpińskim była oparta na bardzo szerokiem tle porównawczem. To widoczne u niego dążenie do pogłębienia metody historji literatury łączy się z podobnem dążeniem Potkańskiego do udoskonalenia metody badań historycznych.

Dopiero w czasie studjów uniwersyteckich nawiązał Potkański bliższe, przyjacielskie stosunki z bratem cioteczn ym, Jackiem Malczewskim (ur. 1854 r.), który zaczynał się wybijać jako samodzielny i nawskróś polski artysta, ujmujący w swych obrazach najgłębsze zagadnienia narodowe i odtwarzający w sposób prawdziwie syntetyczny krajobraz polski.

Wakacje spędzał Potkański najczęściej w Zakopanem, do którego po raz pierwszy wybrał się dla zdrowia w roku 1877. Należał tam do grona osób, grupujących się koło odkrywcy Tatr i Zakopanego, prof. T. Chałubińskiego; przyjaźnił się z jego synem, brał udział w sławnych jego wycieczkach w góry, z muzyką góralską, z Sabałą i mnóstwem ludzi. Tutaj zaznajomił się, a następnie zaprzyjaźnił się z Stanisławem Witkiewiczem, odkrywcą sztuki i architektury góralskiej, Dębowskimi i Henrykiem Sienkiewiczem. Tu po-

[1] K. M. Górski: Pisma literackie, Warszawa 1913, Przedmowa K. Morawskiego str. V—VI. Por. także L. Rydla wspomnienie pośmiertne w Pamiętniku literackim t. VII str. 705—9.

znał także dra Wł. Matlakowskiego, Kazimierza Tetmajera i wielu innych.

Był to najpiękniejszy, rzec można, bohaterski okres w rozwoju Zakopanego, którego pomnikiem literackim jest St. Witkiewicza »Na przełęczy« (1891)[1], a pomnikiem naukowym są dwa dzieła Matlakowskiego o budownictwie (1892) i zdobnictwie podhalańskiem (1901). Kiedy Dębowscy zbierali przedmioty sztuki ludowej i Słownik gwary podhalańskiej (wydany w Akademji Umiejętności w 1894 r.), Potkański zaczął zagłębiać się w przeszłość Podhala i badać jego ustrój agrarny. Uznanie i zamiłowanie do sztuki ludowej wyraził on, sprawiając sobie meble w stylu zakopiańskim według rysunków Andrzejkiewiczówny. Były to pierwsze meble tego rodzaju w kulturalnem mieszkaniu (1886). Tu wspomnieć można, że był jednym z inicjatorów towarzystwa »Polska sztuka stosowana« i jego prezesem w ciągu pierwszych sześciu lat istnienia (1902—1907).

Potkański należał do najdzielniejszych taterników, co budziło podziw z powodu słabego jego zdrowia. On pierwszy wszedł na Czubrynę (1884), pierwszy przedsięwziął wyprawę na Ganek (osiągnął tylko niższy szczyt), drugi po Pawlikowskim wszedł na Mnicha. Przez szereg lat chadzał w towarzystwie Ludwika Chałubińskiego, syna profesora, potem zwykle samowtór z przewodnikiem. W jego taternictwie to było charakterystyczne, że na pierwszym planie były u niego wrażenia estetyczne, ambicje sportowe i odkrywcze schodziły na plan dalszy[2]. Wycieczki tatrzańskie były dla niego rozkoszą w pełni odczuwaną, odbijało się to na jego twarzy, gdy zchorowany patrzał w 1906 r. na Tatry i wspominał swe młodzieńcze wycieczki[3].

---

[1] Potkański przysłużył się Witkiewiczowi przez dopilnowanie druku tego dzieła.

[2] Według informacyj łaskawie mi udzielonych przez prof. Jana Gwalberta Pawlikowskiego.

[3] W niedatowanym liście do Prof. Natansona, napisanym ze Zakopanego w końcu lata 1895 lub 1896, znajduje się taki niezmiernie charakterystyczny ustęp, wymownie malujący stosunek Potkańskiego do Tatr: »Po górach chodziłem a raczej w górach byłem, ale co chcesz? I na to trzeba inspiracji czy usposobienia, czy jak chcesz to nazwać. Czasem cię coś więcej bierze, czasem mniej, zależy to od chwili. Mnie często

Był też Potkański jednym z pierwszych, taterników polskich, którzy pragnęli pogłębić i rozszerzyć swoje wrażenia turystyczne, poznać sławne na cały świat Alpy i porównać je z Tatrami. Pierwsza wyprawa w Alpy przypada prawdopodobnie na rok 1885, kiedy był w Chamonix, a stąd przeszedł doliną rzeki Dora Baltea aż do Turynu. Na szczycie Mont-Blanc nie był, ale był na lodowcach otaczających Mont-Blanc, jak świadczy załączony list jego do Prof. Natansona z 19 września 1893 r., dotyczący stosunku jego do gór i świata[1]. W roku 1891 zrobił wycieczkę z Zürichu przez jeziora 4 Kantonów na przełęcz Gotharda i Furki, 2 sierpnia był na szczycie Faulhorn. Był jeszcze, zdaje się, w roku 1896 w Alpach, skąd, wracając, wstąpił do Wenecji.

Jacek Malczewski zaznajomił Potkańskiego w r. 1886 z Ludwikiem Michałowskim, który po stracie jedynego syna pragnął mieć kogoś obok siebie. Zaofiarował on mu u siebie mieszkanie przy ul. Brackiej 10, gdzie też aż do jego

przeszkadzają przeszłe moje stany, wyższe nuty, które brałem i do których mimowoli chcę zawsze się dostroić. A to nie zawsze się uda i nie zawsze można. Pogoda się tu zrobiła i w tych dniach może się wybiorę na dłużej«.

[1] »Drogi Panie, Zrobił mi Pan wielką przyjemność swym listem Raz, że to był list od Pana, a po drugie, że góry — a właściwie Mont-Blanc zrobił takie wrażenie na Panu. Ja mam kult dla gór i zawsze się o nie spieram z Kociem i z Sienkiewiczem — byłem w mniejszości, a od dziś dnia zyskuję sojusznika — wszak prawda. Oni uznają tylko morze — mnie się zdaje, że i góry i morze mogą obok siebie istnieć. Czemu jedno ma wyłączać drugie, wszak wszystko to istnieje na naszej ziemi. Niestety, morza nie widziałem a już tem mniej cienia księżyca na ziemi, ale tem wrażeniem kosmiczności byłem zupełnie zaskoczony i to wie Pan gdzie? Na wielkim lodniku, na widok Mont-Blanc i Aiguille Verte. Było to o pierwszym brzasku dnia — o pierwszem świtaniu. Stanąłem — trochę nieprzytomny, zmieszany — a może to nie ziemia? Takie wrażenia się pamięta, choć są niby »bezosobiste«, odnoszą się tylko do martwych rzeczy. I Tatry dają — ze swą pustką — podobne wrażenia. Pustka także mówi i także ma swój głos, bo »dzieło zniszczenia — równie jest wielkie, jak dzieło stworzenia«. Zresztą dziś dla nas (dla mnie dzięki Panu) oba te pojęcia zlewają się w jedno: istnienie i nie są z sobą w żadnej antytezie.

Prof. Witkowski już wrócił do Krakowa; nie było tu pogody. Zresztą z dzieckiem, nie prowadząc domu, więcej jest kłopotu, więc wrócili do siebie. Jest tu prof. Rostafiński, alem go nie widział dotąd. Serdeczny uścisk dłoni — Karol«.

śmierci w r. 1899 mieszkał. Michałowski[1], z wykształcenia przyrodnik, potem przedewszystkiem estetą, był człowiekiem kultury ogólnej, lubiał towarzystwo i umiał je skupiać w swoim salonie. Długie czasy gromadził się u niego w niedzielę (zebrania męskie) i we czwartki cały Kraków kulturalny; spotykało się tu ziemiaństwo z inteligencją miejską, politycy stykali się z literatami i artystami, konserwatyści obcowali z demokratami. Rozmawiano najczęściej przyjemnie i wykwintnie o nowościach w zakresie literatury i sztuki, niekiedy zaś rozprawiano o prądach umysłowych i o zagadnieniach naukowych lub też podnoszono sprawy społeczno-polityczne — prawie zawsze na szerszym tle zachodnio-europejskim. Nawet gdyby sam Michałowski, trochę oschły sybaryta, nie wywierał na Potkańskiego dodatniego wpływu, to te zebrania, zwykle pełne smaku i myśli, oddziaływały korzystnie i dopełniały w szczegółach jego fizjonomję duchową i formę zewnętrzną. Tutaj spotykał się Potkański między innymi z Adamem Asnykiem, którego twórczości był wielbicielem, umiał wiele jego wierszy na pamięć i chętnie je powtarzał nawet w późniejszych latach. Asnyk poświęcił mu wiersz: Trimurti, objaśniający trójcę bóstw indyjskich.

W czasach uniwersyteckich i w latach następnych w Krakowie i Zakopanem nawiązał P. stosunki z wielu domami arystokratycznemi, jak: Dzieduszyckimi, Raczyńskimi, M. Czartoryskimi, Mycielskimi, Pusłowskimi, Potockimi, zwłasz-

[1] L. Michałowski (ur. 1829, um. 1899), obywatel ziemski, skazany na utratę praw za udział w ruchu narodowym w r. 1863 (był naczelnikiem powiatu hajsyńskiego na Ukrainie) musiał uchodzić za granicę przez Odessę (ukryty na statku ze zbożem). Po dłuższym pobycie w Paryżu powrócił do kraju i osiadł w Krakowie. Z wykształcenia był on przyrodnikiem, zajmował się głównie mineralogją, był asystentem, czy nawet docentem w Uniwersytecie Kijowskim. W Paryżu przypomniał sobie studja i utrzymywał się nawet z lekcyj specjalnych. Kiedy osiadł w Krakowie, znowu porzucił naukę, ofiarował Akademji Umiejętności swój piękny zbiór mineralogiczny, a zajął się wyłącznie sztuką. Znany był jako gorliwy zbieracz rycin, rysunków, obrazów i rzeźb, które skupował głównie z chęci popierania artystów polskich. Cenne te zbiory uległy po jego śmierci rozproszeniu z powodu braku testamentu. Jedynie rysunki i część rycin oddał on jeszcze za życia Muzeum Narodowemu w Krakowie.

SEMINARYUM PRAWN

cza ze starą Adamową Potocką, której opowiadania o dawnych czasach i ludziach notował, a potem chętnie młodszym powtarzał. Żył nadto w przyjaźni z Kruszyńskimi i prof. Janczewskimi, z którymi go zapoznał ich powinowaty, H. Sienkiewicz.

Takie były warunki, w których się wychował, a następnie takie środowisko, w którem żył i obracał się Potkański, kiedy odbywał studja uniwersyteckie i rozpoczynał samodzielnie pracować na polu naukowem.

III. Studja. Studja uniwersyteckie Potkańskiego odbiegają dosyć znacznie od zwykłego toku studjów ówczesnego studenta historji. W pierwszem półroczu 1880/1 zapisał się na wykłady Łepkowskiego (archeologja), Kopernickiego (antropologja), W. Zakrzewskiego (historja powszechna), nadto St. Tarnowskiego (literatura polska) i Zolla (prawo rzymskie). W półroczu letniem prócz Zakrzewskiego i Tarnowskiego słucha wykładów J. Szujskiego o dziejach oświaty w Polsce w XV i XVI wieku oraz Bratranka o literaturze niemieckiej. Drugi rok poświęca wyłącznie wykładom i seminarjom Zakrzewskiego, Smolki i Szujskiego. W trzecim roku (1882/3) obok Zakrzewskiego i Smolki słucha historji prawa polskiego (Bobrzyńskiego), etnografji (Czernego-Schwarcenberga) i filozofji. Potem po upływie 6 lat wraca jeszcze do uniwersytetu Jagiellońskiego, zapisując się w r. 1888/9 wyłącznie na wykłady Zakrzewskiego i Malinowskiego (językoznawstwo słowiańskie).

Jak widzimy, wykładów wpisuje stosunkowo mało, profesorów słucha tylko przez 1—3 półroczy, wyjątek czyni dla prof. Wincentego Zakrzewskiego, którego słuchaczem był przez 7 półroczy, a uczniem w seminarjum przez 6 półroczy, czerpiąc u niego ogólne wykształcenie historyczne i ucząc się metody historycznej. Widocznie wykłady i ćwiczenia seminaryjne tego profesora wydawały mu się najbardziej pożyteczne, mimo, że tematy wykładów dalekie były od jego zainteresowań bezpośrednich i że nie wykonał żadnej pracy seminaryjnej pod kierunkiem Zakrzewskiego. Istotnie Zakrzewski imponował trzeźwością i ścisłością w traktowaniu każdego tematu, w sumiennem odważaniu wszelkich argumentów za i przeciw, w ocenie ich siły

i stopnia pewności. Umiał on analizować do najdrobniejszych szczegółów, wyciągnąć konsekwencje z każdego słowa, nie tracąc z oczu całokształtu zagadnienia i jego związku z innemi zjawiskami historycznemi, słowem był to umysł niezmiernie krytyczny, w którym drobiazgowa wnikliwość szła w zawody z głębokiem i silnem ujęciem istoty rzeczy. Najlepsza i najbardziej dla W. Zakrzewskiego charakterystyczna praca powstała właśnie w tym okresie, kiedy Potkański był jego uczniem. Prof. W. Zakrzewski założył i redagował Przegląd Krytyczny (1874—77), potem był jednym z najbardziej cenionych recenzentów Kwartalnika historycznego, w pierwszych jego rocznikach.

Wykłady śp. W. Zakrzewskiego odbywały się o godz. 8-ej zrana. Ciężko przychodziło jemu samemu wstawać o tak wczesnej godzinie, ale jeszcze ciężej Potkańskiemu, który się też często spóźniał, co mu w późniejszych latach żartem wypominał.

Od pierwszego półrocza wykazuje Potkański świadomą dążność do stworzenia sobie szerokich i gruntownych podstaw do tego kierunku studjów historycznych, któremu pozostał wierny do końca życia, t. j. do badania przedhistorycznej i wczesno-historycznej epoki historji polskiej. Archeologji, antropologji, etnografji, prawa polskiego, językoznawstwa nie tylko słuchał, ale naprawdę gruntownie studjował te nauki równocześnie, to też w późniejszych swych pracach posługuje się metodami i wynikami tych nauk samodzielnie.

Należy z tego wnosić, że Potkański, wstępując na uniwersytet, miał już wyraźnie zakreślony program nie tylko studjów, ale i pracy naukowej, zdawał sobie jasno sprawę, do czego chce dążyć i jakich środków ma do tego używać.

Do umocnienia go na tej drodze przyczyniło się w wysokim stopniu dwóch uczonych polskich, jeden stary, drugi młody, ale obaj mający stosunki i powagę europejską, t. j. pełen zapału i polotu, młody i zdolny profesor prawa niemieckiego na Uniwersytecie Jagiellońskim, Lotar Dargun, który sobie właśnie zdobywał europejski rozgłos rozprawami z dziedziny socjologji, a mianowicie o początkowych stadjach rozwoju społecznego, oraz senator Romuald Hube, sumienny badacz prawa polskiego XIII i XIV wieku, za-

równo jak południowo słowiańskiego prawodawstwa, prawa frankońskiego (salickiego) i statutów komun włoskich. Choć Potkański nie słuchał wykładów Darguna, to jednak pozostawał z nim w żywych stosunkach osobistych, jemu niewątpliwie zawdzięczał rozszerzanie studjów na etnologję polską i porównawczą, a następnie skierowanie do Lipska w 1885—6 na studja u Augusta Miaskowskiego, zajmującego się historją stosunków agrarnych.

O stosunkach z R. Hubem świadczą 4 jego listy, pozostałe wśród papierów po Potkańskim. W pierwszym, pisanym 12 marca 1885 z Warszawy, dziękuje on Potkańskiemu »za nadesłane wypisy a szczególniej wyciągi z księgi lelowskiej, wielce ciekawe«, wypowiada swój pogląd na znaczenib terminu źreb (sors) i stosunek jego do łacińskich terminów laneus i mansus, a kończy w następujący sposób: »Za parę dni przyślę Panu tytuły kilku nowych prac francuskich o rolnem gospodarstwie w dawnej Francji, obiecano mi takowe zakomunikować. Życzę zdrowia i ochoty do pracy, tak ciekawej i nauczającej«. Należy stąd wnioskować, że Potkański zaznajomił się już dawniej osobiście z senatorem.

Za dawniejsze rady i zachętę do pracy naukowej starał się Potkański ze swej strony odpłacić usługami naukowymi, a zarazem, szukając dalszej pomocy, prosił o literaturę do historji agrarnej we Francji[1].

Wskazuje to, iż już w czasie pierwszych poszukiwań archiwalnych w Radomiu i Krakowie Potkański myślał o historji osadnictwa i wsi polskiej.

---

[1] W r. 1888 12/XI udzielał Potkańskiemu wiadomości o literaturze do historji ustroju prawnego i społecznego południowych Słowian, znajdującej się w Bibljotece Uniwersytetu Warszawskiego, obecny prof. Uniw. Jagiell., Stefan Surzycki.

Wnet potem zwracał się także do prof. Uniwersytetu Warszawskiego Zigela o informacje o literaturze rosyjskiej do historji osadnictwa i stosunków rolnych w państwie bizantyjskiem i u ludów południowo-słowiańskich (List Zigela z 7/19 maja 1889).

Pozostał także w spuściźnie po Potkańskim obszerny list, pisany do niego przez St. Łagunę 13/I 1889 w Warszawie, w sprawie planów Starej Wsi pod Kozienicami, Mąkos, oraz Opatkowic i ich stosunku do kolistego typu wsi słowiańskich, wreszcie niedatowany list St. Witkiewicza o kształcie wsi litewskiej.

W następnym liście z 3 maja 1886 z Rzymu, dziękując za list i »Zapiski herbowe«, pisze Hube: »Winszuję Panu, że czas niejaki bawiłeś w Lipsku, był to sposób bardzo właściwy do obznajomienia się w tamtejszej bibljotece ze wszystkiem, co literatura nowsza posiada ciekawego. Życzę tylko zdrowia, a spodziewać się należy że wkrótce oddarzy nas Pan swemi ciekawemi badaniami«. Następnie objaśnia Potkańskiego w kwestji literatury włoskiej do historji stosunków prawnych i ekonomicznych ludności wiejskiej, a co do zapisek herbowych wyraża potrzebę ich opracowania i nadzieję, że to zrobi, jak zapowiada. B. Ulanowski.

Ostatnie dwa listy pochodzą z 10 i 22 maja 1889 świadczą one o wielkiej życzliwości R. Hubego dla Potkańskiego. W trzecim pisze H.: »Nie potrzebuję Pana zapewniać, jak list Pański pocieszył mnie. Od czasu powrotu mego do domu w roku zeszłym wypytywałem się o Pana, chciałem dowiedzieć się o stanie zdrowia i o miejscu pobytu. Nikt mnie tutaj nie był w stanie udzielić żądanych wiadomości, a zapytania przesłane do Krakowa pozostały bez odpowiedzi. O ile z listu Pańskiego wnosić mogę, zdrowie musi jako tako sprzyjać, bo widzę, że Pan ciągle zajęty jesteś poważnemi studjami«. W końcu zaś skarży się na swoje zdrowie, wspomina o konieczności ponownej kuracji w Ems oraz donosi, że się zajmuje wykończaniem pracy o prawie salickiem. Widocznie Potkański odpowiedział zaraz, iż stan jego zdrowia nie jest pomyślny, skoro w ostatnim liście Hube pisze; »Życzę szczęśliwie odbyć zamierzoną kurację. Pytam tylko, czy Zakopane wystarczy. Mnie się zdaje, że na zimę wypadałoby ulokować się w San Remo. Jeżeli moje cierpienia piersiowe nie miną, zapewne i ja tam obiorę zimowe siedlisko«. W obu listach udziela mu Hube informacyj bibljograficznych do osadnictwa z literatury niemieckiej — zwraca osobliwie uwagę na dzieło Leista »Altarisches ius gentium«. Wszystkie wspomniane w listach Hubego książki znalazły się w bibljotece Potkańskiego, co wskazuje, że się liczył z jego wskazówkami.

Listy te napisane zostały już po ukazaniu się w druku rozprawy Potkańskiego: »Zagrodowa szlachta i włodycze rycerstwo w województwie krakowskiem w XV i XVI wieku«

oraz referatu: »O pierwotnem osadnictwie w Polsce« w Sprawozdaniach. O rozprawie pisze, że ją z wielką przyjemnością przeczytał, o studjach zaś osadniczych: »Nowe badania pańskie obudzają jaknajwiększy interes. Z relacji zamieszczonej w Biuletynie pokazuje się, że to będzie praca kapitalna. Szczęść Boże«.

IV. Pierwsze prace naukowe. Stosunkowo bardzo wcześnie wystąpił P. z samodzielną pracą naukową. Przerwa w studjach uniwersyteckich, spowodowana zdaje się stosunkami osobistemi, nie była bynajmniej przerwą w pracy. Już w r. 1883, mieszkając w Prędocinku, rozpoczyna samodzielne poszukiwania naukowe heraldyczno-genealogiczne w księgach sądowych XV wieku w archiwum w Radomiu.

Wspomniana wyżej teorja Fr. Piekosińskiego o dynastycznem szlachty polskiej pochodzeniu i o związku herbów polskich z runami skandynawskiemi tudzież ruch naukowy, jaki zapanował w oddanem w r. 1879 pod kierownictwo prof. M. Bobrzyńskiego Archiwum aktów grodzkich i ziemskich w Krakowie, zwłaszcza poszukiwania zapisek heraldycznych w księgach sądowych krakowskich przez B. Ulanowskiego, dały mu podnietę do zajęcia się tego rodzaju badaniami w rodzinnym Radomiu. Odegrało przytem nie małą rolę zainteresowanie się przeszłością własnego rodu[1]. Owocem są »Zapiski herbowe z dawnych ksiąg radomskich i piotrkowskich«, ogłoszone w tomie III Archiwum Komisji historycznej w r. 1885. Przeważną ich część przesłał Potkański Piekosińskiemu wraz z uprzejmym listem, datowanym z Prędocinka jeszcze 28 października 1883, zapowiadając wyjazd do Warszawy dla takich samych poszukiwań w Archiwum Głównem. Wspomina w tym liście o wskazówkach dotyczących robienia wypisów archiwalnych, których mu udzielał Piekosiński w Krakowie, a w końcu dodaje: »szczęśliwy też jestem, że tym sposobem... będę mógł się Szanownownemu Panu — za Jego względy i życzliwość dla mnie — przysłużyć nowym materjałem«. Wnet potem, bo już 16 grudnia 1883, zdawał mu sprawę z 3-tygodniowych poszukiwań

[1] Monografja rodu Potkańskich w »Złotej Księdze« Zychlińskiego (Poznań 1902) tom XXIV str. 100—106 opiera się niewątpliwie aż do XVIII w. na materjałach zebranych i dostarczonych przez profesora Potkańskiego.

w Warszawie, gdzie atoli przejrzenie dwóch ksiąg wareckich, 3 grójeckich, 5 radomskich, 2 sieradzkich i 2 płockich, przeważnie z początku XV wieku, przyniosło dosyć skromne owoce; jednak niezrażony tem wyraził ochotę pojechania dla dalszych poszukiwań do Archiwum kaliskiego.

Nieliczne, ale cenne, jak to Balcer w sprawozdaniu w pierwszym roczniku »Kwartalnika historycznego« przyznaje, są te zapiski heraldyczne oddźwiękiem niesłychanie racjonalnem na podniesione przez Piekosińskiego zagadnienia heraldyki polskiej.

Choć się druk »Zapisek herbowych« odwlókł, ponieważ zażądano od niego powtórnego skolacjonowania odpisów, do Kalisza nie pojechał, albowiem B. Ulanowski przygotowywał już »Wybór zapisek sądowych kaliskich (1406—1416)«. Poprawione swoje odpisy przesłał Piekosińskiemu 25 marca 1884 r., zapowiadając przywiezienie mu w maju kilku niewydanych dokumentów z XIII i XIV w. z ksiąg grodzkich radomskich.

Następna praca »Zagrodowa szlachta i włodycze rycerstwo w województwie krakowskiem w XV i XVI wieku« wydana w r. 1888 w 23-cim tomie Rozpraw Wydz. hist.-filozof. Ak. Um. powstała na podstawie mozolnych poszukiwań w krakowskiem Archiwum krajowem. Pierwsza ta praca konstrukcyjna Potkańskiego świadczy, że zajmował on się w dalszym ciągu zagadnieniami heraldycznemi, ale spoglądał już na nie głębiej, jako na doniosłe zagadnienie społeczne a nie starożytnicze, i zastosował do nich najbardziej odpowiednią metodę badania mograficznego umożliwiającą przez szczegółową analizę faktów osiągnięcie trafnych wyników.

Sprawa rycerstwa włodyczego ma zasadnicze znaczenie dla zrozumienia ustroju społeczeństwa polskiego w czasach piastowskich. Odegrała ona też wybitną rolę we wspomnianej wyżej polemice między Piekosińskim, Bobrzyńskim i Smolką, ale dopiero Potkański postarał się rozjaśnić rolę tej warstwy społecznej i przyczyny jej zaniku.

To też Władysław Semkowicz swoją rozprawę »Włodycy polscy na tle porównawczem słowiańskiem« (Kwartalnik hist. 1908 str. 561) rozpoczyna temi słowy: »W bieżą-

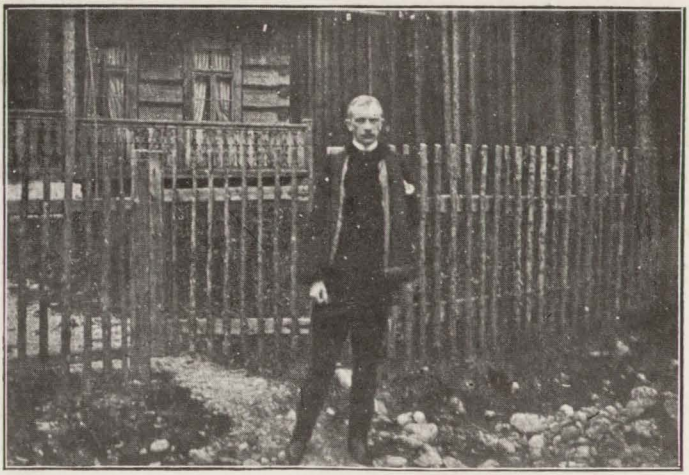
cym roku upływa dwadzieścia lat od pojawienia się pracy ś. p. K. Potkańskiego p. t. »Zagrodowa szlachta i włodycze rycerstwo w woj. krak. w XV i XVI w.« Jedna z najgłębszych i najcenniejszych, jakie poświęcono genezie i rozwojowi średniowiecznego społeczeństwa polskiego, ustaliła ona pogląd na społeczne, gospodarcze i prawne położenie rycerstwa włodyczego i jego stosunek do szlachty zagrodowej w Polsce«. Rozprawa Semkowicza jest lepszem, zwłaszcza pod względem prawniczym daleko ściślejszem opracowaniem źródeł, uwzględnia nieporuszoną przez Potkańskiego sprawę rozsiedlenia włodyków i drobnej szlachty w województwie krakowskiem, obszerniej traktuje sprawę zaniku tej klasy i wykazuje, jak się podszywali jej członkowie pod szlachectwo w XV wieku[1].

Równocześnie myśl Potkańskiego sięga znacznie dalej i głębiej. Studja heraldyczne w księgach sądowych archiwum radomskiego i krakowskiego rozwijają się szybko w badania osadnicze.

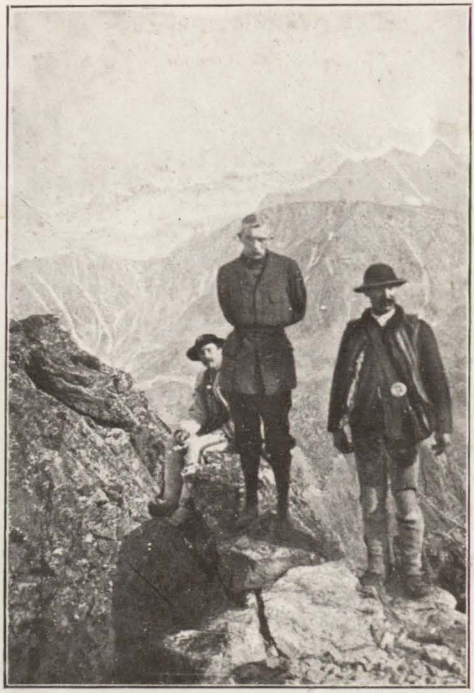
W rok po ogłoszeniu »Włodyczego rycerstwa i szlachty zagrodowej« wystąpił Potkański w Akademji Umiejętności z referatem »O pierwotnem osadnictwie w Polsce« (Sprawozdania Akademji 1889).

Przewodnikiem jest mu August Meitzen, najwybitniejszy z Niemczech badacz osadnictwa, który je najpierw rozpoczął studjować właśnie na ziemi polskiej, wydając w IV tomie Kodeksu dyplomatycznego Śląskiego »Urkunden schlesischer Dörfer zur Geschichte der ländlichen Verhältnisse und der Flureinteilung insbesondere« (1863). Rozpoczyna Potkański swoją pracę od opracowania najstarszych, jakie mu się dało znaleźć w Zarządzie dóbr państwowych w Radomiu, planów 3 wsi dawnej puszczy radomskiej, mianowicie Mąkosów (z r. 1800), Jedlni (z r. 1815) i Starej Wsi czyli

[1] W tym punkcie, w którym Semkowicz polemizuje z Potkańskim, mianowicie co do istnienia włodyków i kmieci z herbami, to dotąd sprawę tę trzeba uważać co najmniej za nierozstrzygniętą, ponieważ cytat z Liber beneficiorum Długosza (tom II str. 253) o kmieciach z rodu Czarny Jeleń i Ogniwo powstał wskutek niedokładnego oddania w tem miejscu rękopisu Długoszowego przez wydawcę. Długosz nie mówi tu o kmieciach czyli włodykach herbowych, jak chce Semkowicz, ale tylko o szlachcie herbowej.



KAROL POTKAŃSKI
w Zakopanem (1904).



KAROL POTKAŃSKI.
w Tatrach (1904).

Kozienic (z r. 1784). Na podstawie analizy tych planów oraz map gruntowych z r. 1846 stwierdza, że Mąkosy i Jedlnia przedstawiają osady skupione na niewielkiej przestrzeni, ale dzielące się na mniejsze i większe grupy domostw, które powstały z pojedynczych osiedli luźnych osadników, czyli że wsi te powstały na gruncie osadnictwa jednodworczego, gdy Stara wieś ma formę kolistą. Układ gruntów w Mąkosach przedstawia się jako szereg polan w lesie, w Jedlni ma każdy osadnik wiele działek nieregularnych, rozrzuconych po całym obszarze wsi, który już nie jest porozrywany lasem, w Starej wsi zaś grunty podzielone są na 9 niw, a w każdej z nich ma każdy osadnik swój udział. Następnie porównuje on układ gruntów w Starej wsi z układem gruntów wsi śląskich, których plany wydał Meitzen, i dochodzi do wniosku, że podział na niwy czyli pola (Gewanneinteilung) był znany Słowianom przed kolonizacją niemiecką.

Jednakże niezadowolony temi źródłami, jakie przedstawiają niedawne stosunkowo mapy, w braku obfitszych wcześniejszych źródeł do historji agrarnej przechodzi Potkański na grunt dotychczasowego sposobu badania osadnictwa polskiego jako historji społecznej za pomocą metody filologicznej. Zbliża się przytem bardziej do poglądu T. Wojciechowskiego, niż do niedawno przedtem wypowiedzianego poglądu Fr. Piekosińskiego. Rozróżnia on mianowicie nazwy: 1) topograficzne i 2) nazwy *a*) utworzone od imion osobowych oraz *b*) nazwy zbiorowe np. Dolany, Brzeżany.

Nazwy topograficzne nie dadzą się zużytkować do badań osadniczych i społecznych. Nazwy z końcówką *-ice* oraz *-any* oznaczają związki rodowe (zadrugi) lub społeczne, niezależnie od związku krwi powstałe. Te związki rodowe polskie porównywa ze znanymi u Słowian południowych, we Francji średniowiecznej i w Indjach; mogły one powstawać jego zdaniem aż do XIV wieku i tworzą z reguły wsi większe.

Nazwy dzierżawcze, utworzone od imion osobowych, należą do typu osadniczego jednodworczego, ale bardzo często mogły się w takich osadach rozwinąć większe związki osadnicze. Choć jest to typ nazw, stosowany często aż do

ostatnich czasów, był już stosowany bardzo wcześnie, skoro nazwy polskich i wogóle słowiańskich grodów mają często formę dzierżawczą. Spostrzeżenie to było nowe i cenne.

Referat kończy się wzmianką, że przedmiotem drugiej części pracy jest zbadanie pierwotnej własności i związanych z nią form społecznych.

Te pierwsze studja osadnicze Potkańskiego stanowią duży niewątpliwie postęp w porównaniu z poprzedniemi, nie ogłosił ich jednak drukiem natychmiast, uznając widocznie potrzebę rozszerzenia ich na inne okolice Polski i dania przez to mocniejszych podstaw swoim uogólnieniom. Los zdarzył, a w części i trudność zdobycia materjałów sprawiła, że choć jeszcze kilka razy referował w Akademji dalsze wyniki swojej pracy, za życia nic z nich nie ogłosił prócz krótkiego poglądu na najwcześniejszy okres osadnictwa Podhala.

Sprawozdanie powyższe jest jakby zamknięciem »lat nauki« i śmiałem wytyczeniem »sfery interesów« naukowych Potkańskiego. Wskazuje ono, jak rozległym był jego horyzont naukowy. Dochodził on wtedy do ostatecznych uogólnień w zakresie historji społecznej polskiej. Cały ten okres dziesięcioletni od wstąpienia na uniwersytet był dla niego czasem intensywnych i rozległych studjów, do których podniety i wskazówek szuka, jak to wskazaliśmy, u pierwszorzędnych uczonych polskich tudzież w jednem z najznaczniejszych ognisk nauki niemieckiej w Lipsku.

Na te czasy, a raczej nieco wcześniej, przypada i pod innym względem przełom w życiu Potkańskiego. W r. 1887 umiera babka Malczewska, która mu pozostawia w spadku Prędocinek. W następnym roku sprzedał ten majątek Gericzowi za 19.000 rubli, oddawszy już przedtem część gruntu pod budowę dworca kolejowego w Radomiu. Być może, że do kroku tego skłoniła Potkańskiego obok trudności pogodzenia zajęć naukowych z rolą właściciela folwarku także jakaś sprawa polityczna, bliżej nam nie znana, zdaje się na tle oświatowym. Ktoś z rodziny pisał mu z Radomia »o wiadomej sprawie« 16 września 1888: »tylko wikarjusz został przeniesiony, a co się tyczy Ciebie, rzecz, o ile się mogłem dowiedzieć, jest pomyślnie zakończona — możesz

więc bez obawy pisać do mnie«. Od tego czasu nie był już więcej w Radomiu, w r. 1892 przyjął poddaństwo austrjackie, uzyskawszy prawo przynależności w gminie Zwierzyniec pod Krakowem. Otrzymany za Prędocinek kapitał, umieszczony na dobry procent na hipotekach ziemskich w okolicy Radomia, mógł być podstawą dla skromnego życia; niestety dzięki niesumienności dłużników i ich wierzycieli został on odrazu znacznie uszczuplony.

V. Pogłębienie przyrodnicze. Z początkiem lat dziewięćdziesiątych zaczyna się nowy okres w życiu Potkańskiego. Jest on następstwem dalszego rozszerzenia sfery jego interesów naukowych, które wypłynęło z wrodzonej mu gruntowności, z konsekwentnego szukania istoty rzeczy. Według wszelkiego prawdopodobieństwa odegrała w tym względzie rolę decydującą, obok wpływu L. Darguna, podróż do Paryża w 1890 r. i poznanie tam najnowszej literatury socjologicznej w języku francuskim i angielskim. W grudniu 1891 r. zdawał w Akademji Umiejętności sprawę z pracy: »Metoda w socjologji«.

Zdaje się, że do tego referatu odnosi się ustęp z niedatowanego listu St. Witkiewicza do Potkańskiego: »Ależ najdroższy Potkalu, nie czekaj, aż Dargun Cię ośmieli. Rznij Pan do ostatniego punkciku to, co wiesz, a prawda będzie tryumfować. Patrz Pan na mnie. Ci z Monachjum piszą już protesty. Ale ja jestem ciągle na wierzchu, bo coś wiem, a to, co wiem, wypowiadam, stawiając wszystkie kropki.« Jak widzimy, nie brakło Potkańskiemu zachęty ze strony przyjaciela-artysty.

W wydrukowanem w Sprawozdaniach Akademji streszczeniu położony jest nacisk na uzasadnienienie metody porównawczej w badaniu zjawisk społecznych. Jeżeli przeciw niej oświadczali się w ostatnich czasach historycy prawa, to mogło im jedynie chodzić o ograniczenie porównania, nie zaś o zupełne jego pominięcie, ponieważ z samej teorji poznania nie można wyłączyć zestawienia i porównywania badanych zjawisk. Stosowanie metody porównawczej nie tylko nie wyłącza uprzedniego zbadania z osobna każdej porównywanej instytucji w jej genetycznym rozwoju metodą historyczną, ale bezwzględnie się tego domaga.

Następnie dowodził Potkański, że za pomocą metody porównawczej można dojść do odszukania stalszych praw, rządzących rozwojem społecznym, bo ona jedynie może wykazać pewną stałość i niezmienność układów przyczyn, które dają początek poszczególnym kategorjom zjawisk społecznych. Do pomocy radził wziąć psychologję i biologję, jako najbliższe naukom społecznym metodą i związkiem wewnętrznym.

Treść dalszych dwóch części rozprawy jest już całkiem krótko zaznaczona; miał się w nich zająć autor charakterem owych stalszych praw społecznych, stosunkiem woli zbiorowej do woli jednostkowej oraz stosunkiem psychologji porównawczej i biologji do socjologji.

Zasadniczy punkt wyjścia Potkańskiego był niewątpliwie słuszny, ale osiągnięcie dodatnich wyników na tej drodze bardzo trudne wobec stanu badań historycznych i społecznych. Właściwie do dziś dnia stan rzeczy nie wiele się zmienił; i dzisiaj metodę, zalecaną przed 30 laty przez Potkańskiego, musimy uznać zu trafną, jak również stwierdzić, że nam jeszcze nie łatwo posługiwać się nią owocnie; przynajmniej tak każą sądzić bardziej znane próby, podejmowane dotąd np. Kurta Breysiga i Brooksa Adamsa i t. d.

Referat Potkańskiego, historyka z zawodu, był reakcją przeciw stanowisku metodologicznemu i filozoficznemu, panującemu wtedy niepodzielnie w naukach historycznych, zagranicą i w Polsce. Spotkał się on też z krytyką w Akademji krakowskiej, gdzie zapewne tylko prof. Dargun stanął po jego stronie. Onieśmieliło go to do dalszych występów, a zarazem zwróciło do umacniania się wewnętrznego i torowania sobie drogi, ile możności najpewniejszej.

Rozmyślania nad metodą w socjologji musiały go naprowadzić na najogólniejsze a zarazem najbardziej zasadnicze zagadnienia nauk społecznych. W ten sposób, poszukując punktu wyjścia dla badań historycznych, cofnął się Potkański aż do człowieka fizycznego, do przyrodniczych podstaw kultury i zjawisk dziejowych. Szukanie odpowiedzi na te potężne pytania zbliżyły go do nauk przyrodniczych i przyrodników. Otworzyło to oczywiście przed nim nowe »lata nauki« i skłoniło do mozolnego zdobywania elemen-

tów matematyki wyższej, tudzież do zajęcia się naukami biologicznemi, przedewszystkiem fizjologją i anatomją oraz psychologją.

Już od czasu zjazdu historycznego w r. 1886 (im. J. Kochanowskiego) pozostawał Potkański w stosunkach z J. Rostafińskim, profesorem botaniki, który zawsze interesował się historją nauk przyrodniczych i historją stosunków gospodarczych, a wtedy właśnie wygłosił referat o wpływie życia ziemiańskiego na literaturę polską XVI w.

W r. 1890, zdaje się po powrocie z Paryża, nawiązał stosunki z N. Cybulskim, profesorem fizjologji człowieka, szukając u niego pomocy w sprawie analogji społeczeństwa i organizmu zwierzęcego, jednej z najgoręcej wówczas dyskutowanych kwestyj socjologicznych, oraz w sprawie fizjologicznych podstaw psychologji ludzkiej,

U prof. Cybulskiego zetknął się Potkański przypadkowo na wiosnę r. 1891 z Władysławem Natansonem, który się świeżo osiedlił w Krakowie jako docent fizyki teoretycznej. Podobne pod wielu względami usposobienia, podobne zamiłowania, słowem pewne pokrewieństwo duchowe sprawiło, że odrazu poczuli obaj przyjazne dla siebie uczucia. Wkrótce stał się Natanson jego nauczycielem matematyki wyższej i podstawowych pojęć fizyki, przyczynił się także do pogłębienia jego wiedzy filozoficznej. Pozostałe liczne podręczniki i zeszyty z notatkami i zadaniami świadczą, że przeszło trzydziestoletni uczeń traktował rzecz serjo[1], złożył tego nawet pewne dowody w jednej z późniejszych prac[2].

Duchowe współżycie z Natansonem wywarło na Potkańskiego wpływ silny i dodatni, rozszerzyło mu umysł i przyniosło wiele nowego i dobrego, chociaż nie ze wszystkiego mógł on wyciągnąć bezpośrednią korzyść dla swoich studjów. Wyraża się to jasno i pięknie w licznych listach pisanych do Natansona, z których dzięki jego uprzejmości

[1] W liście do Wł. Natansona z 2/IX 1883 w Zakopanem pisze: »Ja biorę się »ostatecznie« do przerobienia rachunku różniczkowego. Przestałem sprowadzać podręczniki, a zaczynam się uczyć z tych, które mam«.

[2] Opactwo na Łęczyckim grodzie. Kraków 1901, str. 74.

mogę tu korzystać, czerpiąc wiadomości do życiorysu i charakterystyki.

Cenne również było obcowanie z Potkańskim dla Natansona, zajętego dotąd zbyt jednostronnie wykształceniem fachowem, dając mu podnietę i sposobność do uzupełnienia wykształcenia humanistycznego, zwłaszcza w kierunku estetycznym i społecznym. Kanwą były dla nich jakiś czas dyskusje po wykładach Natansona o »filozofji natury«. W rozprawach tych wyjaśniali sobie wiele najbardziej ogólnych zagadnień. Napotykali przytem na zagadnienia mało lub wcale sobie nie znane (co się częściej Natansonowi zdarzało, ponieważ Potkański miał daleko rozleglejsze wiadomości filozoficzne); skłaniało ich to do szukania wskazówek i pouczenia u innych.

W następnym roku (1892) w jesieni liczbę przyjaciół Potkańskiego powiększył Kazimierz Kostanecki, powołany właśnie wtedy na katedrę anatomji porównawczej w Uniwersytecie Jagiellońskim, od r. 1895 następca prof. Teichmana na katedrze anatomji człowieka, zajmujący się specjalnie embriologją.

Jeszcze przedtem zaznajomił się Potkański za pośrednictwem Wł. Natansona z profesorem fizyki doświadczalnej, Augustem Witkowskim, człowiekiem wysokiej kultury, pełnym uroku w obejściu i niezrównanym prelegentem, który miał dar pojmowania i wykładania najtrudniejszych teoryj fizycznych w sposób jaśniejszy, niż sami ich twórcy. Potkański skorzystał od niego, podobnie jak od Cybulskiego, bardzo wiele, czuł dla nich obu szczerą sympatję i cześć, ale brakło warunków do rozwinięcia między nimi serdecznych stosunków osobistych (z powodu różnicy wieku, usposobienia i licznych zajęć).

Wł. Natanson i K. Kostanecki wraz z Konstantym M. Górskim tworzyli dla Karola Potkańskiego w latach dziewięćdziesiątych to ściślejsze kółko przyjaciół, z którymi żył najbliżej. Gośćmi w tej »klice«, bo tak ich znajomi żartobliwie nazywali, bywali: Jacek Malczewski, N. Cybulski, tudzież ks. prof. Stefan Pawlicki, prawdziwy humanista i nader miły towarzysz biesiadny. Z biegiem czasu, wskutek związków małżeńskich, które kolejno pozawierali przyja-

ciele, gdy on sam pozostał kawalerem, nastąpiło pewne osłabienie tego współżycia, ale w istocie swej przetrwało ono do końca jego życia.

Dziwnie dobrze odpowiadali sobie ci ludzie tem, co ich łączyło, i zarazem uzupełniali się przez to, czem się odróżniali, tworząc razem harmonijny zespół ludzi prawdziwej kultury. Literat Górski i biolog Kostanecki byli przeważnie wychowankami i wyznawcami kultury niemieckiej, fizyko-matematyk Natanson i historyk-socjolog Potkański stali przeważnie na gruncie kultury francuskiej i angielskiej; wszyscy zarówno oddani pracy naukowej, służyli wiedzy czystej, a czcili piękno, dbając o wytworność w całem swem życiu, a więc także w tem, co wykładali i co pisali. Rolę głównego łącznika tego zespołu odgrywał niewątpliwie Potkański, jako indywidualność najbardziej wszechstronna i zewnętrznie doskonała, ale zarazem najbardziej może bierna, ulegająca wpływom i potrzebująca przyjaźni.

Zastanawiając się nad najogólniejszemi zagadnieniami nauk społecznych, nad istotą i przyczyną społeczeństwa i kultury jako jego wytworu, powziął Potkański myśl niezmiernie śmiałą, rzec można, zuchwałą, wyśledzenia fizycznych podstaw socjologji i historji. Dostrzegał on trafnie w psychice ludzkiej właściwe źródło zjawisk społecznych i historycznych. Istotnym wytworem, niejako osadem tych zjawisk jest kultura i wiedza. Główny środek, za pomocą którego spotrzeżenia i doświadczenia zagęszczają się i krystalizują w wiedzę i kulturę, widział on słusznie w pamięci[1]. Otóż pomysł pracy o pamięci wprowadził go w bliższy związek z prof. Cybulskim. Jakiś czas chodził na jego wykłady fizjologji oraz na wszystkie publiczne odczyty, które w owych czasach wygłaszał (np. o hypnotyzmie i spirytyzmie). Korzystał ze specjalnie dla siebie robionych przez tegoż doświadczeń i pracował w jego zakładzie przez parę lat, acz nie dosyć regularnie, nad anatomją mózgu. Poszukiwania prowadzone na tej drodze nad pamięcią, nie cieszyły się

[1] Dopiero E. Majewski w swych pracach poświęconych »Nauce o cywilizacji« tom I i II, Warszawa 1908 i 1911, wskazał dobitnie na znaczenie mowy jako środka udzielania sobie wzajemnie przez ludzi doświadczeń, a więc i niezbędnego warunku tworzenia się kultury.

sympatją fizjologa Cybulskiego jako bezprzedmiotowe, bo pozbawione podkładu materjalnego. Niezrażony trudnościami i niepowodzeniem, Potkański dalej zajmował się zagadnieniem pamięci, jak świadczy ustęp w niedatowanym liście do Wł. Natansona, pisanym z Zakopanego, prawdopodobnie pod koniec lata w r. 1894. »Ja zacząłem już myśleć o »Pamięci«. Przeczytałem wstęp i postanowiłem »serrer de beaucoup plus près« cały przedmiot. Za ogólnie wziąłem, nie powiem, żeby źle — ale zbyt wiele wprowadziłem generalizacji, a to nie potrzebne. Żal mi trochę paru szczęśliwych zwrotów i określeń, ale trudno, trzeba je poświęcić«.

Pochodzący z tych czasów rękopis pracy o pamięci nie uważał Potkański za przygotowany ostatecznie do druku, ale też nie uznał swego pomysłu i jego opracowania za chybiony, skoro w dalszym ciągu śledził literaturę, dotyczącą tego zagadnienia. Najlepszym dowodem, że Potkański nie wpadł tu na mylną drogę, jest to, iż rękopis ów, przejrzany przez prof. Wł. Heinricha i uznany za godny druku, po upływie ćwierci wieku będzie pomieszczony w niniejszej publikacji.

W tym samym przełomowym i przejściowym czasie napisał rozprawę: »Naukowa działalność Lotara Darguna«, która, podobnie jak praca o pamięci, pozornie nie ma związku z kierunkiem całej jego pracy naukowej. Rozprawa ta, drukowana w październikowym zeszycie »Przeglądu Polskiego« z 1893 r., wykończona została w Krakowie w czasie lata. W liście do Wł. Natansona z Zakopanego 2/IX 1893 czytamy: »Otóż to być pilnym. Siedziałem w Krakowie do 18 sierpnia i pisałem artykuł do »Przeglądu« o działalności naukowej Darguna. Spóźniłem się tutaj i zminąłem z Panem, a prócz tego strasznie się »spiłowałem« tem siedzeniem i pisaniem. To są złe skutki pilności«. Niewielka rozmiarami — obejmuje zaledwie 45 stron druku — zawiera ta rozprawa niezwykle treściwy, jasny i przystępny dla szerszej publiczności a naukowo ścisły pogląd na twórczość L. Darguna na polu socjologji etnologicznej na szerokim tle rozwoju literatury tej gałęzi wiedzy [1].

[1] Potkański nie wspomina prac ściśle historycznych, np. do hi-

Jest to skromny owoc długich i poważnych studjów socjologicznych Potkańskiego, świadczący nie tylko o doskonałej znajomości literatury socjologicznej, ale i o wielkiej umiejętności, tudzież oględności i sumienności w zdaniu z niej sprawy. Występują tu już wszystkie rysy, charakteryzujące Potkańskiego jako badacza i pisarza. Jasno zdaje sprawę z dodatnich i ujemnych właściwości każdej teorji i zarówno je podnosi, starając się określić, co nowego i trwałego przynosiła. Kończy piękną charakterystkę metody naukowej Darguna, z której widzimy, jak wielki wpływ wywarł ten znakomity, w kwiecie wieku zmarły, uczony polski na Potkańskiego, a raczej jak podobne to były typy duchowe: »Dargun miał dosyć zmysłu krytycznego, aby ocenić braki i słabe strony swej własnej teorji; znał ją też zanadto dobrze i zanadto liczył się z faktami..« (str. 32) »Widział sam nieścisłość swojej nauki, znał środki, któremi rozporządzał, i tem właśnie był ścisły« (str. 42). »Oto, ta sama ostrożność i ta sama ścisłość, może go zrobiła mniej świetnym i pozbawiła wyraźnych i twardych konturów, które mają teorje przeprowadzone bezwzględnie« (str. 44). »Można być spokojnym, że taki człowiek, gdyby te fakta przeczyły jego własnym teorjom, chętnie od nich odstąpi i dla prawdy zrzeknie się swoich własnych poglądów«. »Takim właśnie ścisłym badaczem, niezależnym od wszelkich z góry powziętych teorji, był Dargun we wszystkiem, co kiedykolwiek napisał« (str. 45). Te słowa charakterystyki Darguna są zarazem charakterystyką Potkańskiego samego[1].

VI. Prace etnologiczno-przedhistoryczne. Studja matematyczne, fizjologiczno-psychologiczne oraz socjologiczne odsunęły Potkańskiego na pewien czas od pracy nad zagadnieniami ściśle historycznemi, ale nie na długo.

W r. 1895 ogłasza rozprawę »Postrzyżyny u Słowian i Germanów«, pozostającą treścią i metodą w bezpośrednim

storji prawa niemieckiego w Polsce się odnoszących, które w porównaniu z tamtemi drobne mają znaczenie.

[1] Wspomnieć należy, że między papierami po Potkańskim pozostał niewielki fragment o pierwotnej rodzinie słowiańskiej, o której zamierzał widocznie napisać, znalazłszy podnietę w pracach Darguna o prawie macierzystem i prawie ojcowskiem u Germanów.

związku z twórczością Darguna. Stanowi ona ogniwo, spajające studja naukowe Potkańskiego w jedną całość.

Potkański nie ogranicza się do skrupulatnego zgromadzenia wiadomości i wytłumaczenia tego obrzędu u Słowian i Germanów w sposób bardzo krytyczny i oględny zarazem, ale sięga do Indyj starożytnych, gdzie znajduje prototypy wszystkich tych słowiańskich i germańskich obrzędów, pozostających jeszcze w żywym związku z wierzeniami religijnemi, a nawet w ostatnim, czwartym rozdziale opracowuje symbolikę włosów i ceremonję postrzyżyn u różnych plemion niearyjskich, stwierdzając jako najogólniejszy ich podkład wyobrażenie, że włosy są jedną z siedzib duszy ludzkiej, jednem ze źródeł siły życiowej. Praca ta, traktująca o owym znanym, ale nie rozumianym dostatecznie prastarym zwyczaju, ciekawa zarówno dla etnologów, jak i historyków, zwłaszcza historyków prawa, zrobiła wielkie wrażenie, zjednała Potkańskiemu odrazu poważne imię naukowe nie tylko u swoich, ale i u obcych [1]. Stwierdziły to liczne recenzje, bez wyjątku przychylne.

Najkompetentniejszy może w Polsce Karłowicz w »Głosie« (1896 str. 177) pisze o ostatniej części »Postrzyżyn«, przedstawiającej ogólny pogląd: »jest bardzo zajmującą i pouczającą, widzimy z niej, że autor zostaje w zgodzie z najnowszym antropologicznym kierunkiem w etnografji i że zna wszystkie najlepsze z tego zakresu prace. To też kończymy przydługi referat o rozprawie jego życzeniem, aby się znalazła w ręku wszystkich, kogo zajmuje badanie źródeł i podstawowych pojęć dziejowych, prawnych i socjologicznych«.

W związku z »Postrzyżynami« powstał komunikat o »Napisie grobowym Bolesława Wielkiego« (Sprawozdania Ak. Um. z 1896 r., str. 30 - 36), chodzi tu bowiem Potkańskiemu o znajdującą się w nim wzmiankę o przesłaniu włosów Bolesława do Rzymu i o znaczenie tego aktu jako oddania pod opiekę papieża. Przeprowadza przytem Potkański szczegółowy rozbiór napisu, którego powstanie oznacza najprawdopodobniej na XII wiek, i omawia stosunek Mieszka do

[1] Przyczyniło się do tego w części stosunkowo obszerne streszczenie pracy w języku niemieckim w Biuletynie Akademji.

kurji papieskiej (kwestja sławnego aktu, zaczynającego się od słów »Dagome iudex«, i granic państwa Mieszkowego).

Zabrał się także na nowo do studjów osadniczych. W 1895 r. 22 kwietnia referował w Akademji: »Studja nad osadnictwem Polski w wiekach średnich. Część II. Bartnictwo i organizacja bartnicza«. Podniósłszy powszechność chowu pszczół w Polsce, stwierdził istnienie stowarzyszeń dla łowów i trzebieży lasów w pierwotnej Polsce i Rusi. Następnie przedstawił, w jaki sposób przyszło do wytworzenia osobnych ośrodków osadniczych ludności bartniczej, jak na Kurpiach i w puszczy radomskiej. Ośrodki te są pierwotne, ale później dostosowały się do nowych warunków w. XII—XVI. Osadnicy puszczy kurpiowskiej pochodzą od Mazurów, którzy już w XII w. jako wolni hospites, mający własną organizację, idą w puszczę książęcą. Obciążenie ich daniną na rzecz księcia jest dowodem ich uzależnienia i upodobnienia ich organizacji do osad służebnych. Skreślił następnie znaną na podstawie źródeł z XVI i XVII wieku organizację bartników i wykazywał, że osady rolne powstały tu z niestałych jednodworczych osad bartniczych.

W następnym roku referował »Granice i osiedlenie Podhala« (16 marca). Jest to praca cenna przedewszystkiem dla tego, że wprowadził w niej nowy, ważny element prądów osadniczych, dotąd nie uwzględniany w badaniach nad osadnictwem u nas, prowadzonych dotąd wyłącznie przez historyków, ograniczających się do metody filologicznej, t. j. do badania nazw miejscowości. Potkański zrozumiał, że przy badaniach osadniczych nie można pominąć strony geograficznej tych zagadnień, t. j. tych wszystkich warunków i względów, które ułatwiają albo utrudniają zajęcie przez człowieka pewnych przestrzeni, określają sposoby i tempo jego rozpowszechnienia się na nich.

Historję osiedlenia Podhala dzieli Potkański na 2 okresy: pierwszy, pierwotny, trwa do XII wieku, drugi zaczyna się od pojawienia się osadników obcoplemiennych, t. j. Niemców w XIII w., a potem Wołochów, i trwa aż do końca XVII wieku, kiedy osadnictwo to należy uważać za skończone. W pierwszym okresie rozróżnia on dwa prądy osadnicze:

pierwszy, słabszy, krakowski, idący doliną Skawy i Raby i docierający poprzez Beskid na Podhale, i drugi, silniejszy, sandomierski, idący doliną Dunajca aż na Spisz i Podhale. Z przeciwnej strony zbliżyli się do Podhala Słowacy od strony zachodniej. Spisz przeważnie później został zasiedlony.

Historję drugiego okresu zaczyna od nadań książęcych w XIII w. na rzecz rodów szlacheckich i klasztorów i działalność kolonizacyjną tych rodów i klasztorów, która jest ruchliwszą w XIV i XVI w. W końcu zajmuje się sporami ludności rolniczej ze starostami nowotarskimi i ruchem, który się skończył buntem Kostki Napierskiego.

Streszczenie pierwszej części tej pracy pod tyt. »Pierwsi mieszkańcy Podhala« drukował Potkański w »Czasie« w sierpniu 1896 r., a następnie w Pamiętniku Towarzystwa Tatrzańskiego (tom XVIII za 1897). Zrobiła ona wrażenie zarówno interesującą treścią, jak i formą prostą, ale pełną wdzięku.

Obu referowanych w 1896 prac nie wykończył, natomiast jął się dwóch innych tematów, z któremi wystąpił w r. 1897, pracując z największym zapałem, ale i wysiłkiem[1].

»Lachowie i Lechici« są pracą przedewszystkiem filologiczną, to też była przedstawiona na posiedzeniu wydz. filologicznego Akademji Umiejętności. Autor wykazuje, że Lachami nazywali Słowian zachodnich w ogólności, a w szczególności Polaków i państwo polskie, Słowianie wschodni, a we wszystkich innych językach, w których podobna nazwa występuje, powstała pod wpływem ruskim. Lechici Mistrza Wincentego oraz Lech i Lechici późniejszych kronikarzy są bądź ich wymysłem, bądź są pojęciami zapożyczonemi z Rusi i odpowiednio przerobionemi. Następnie zajmuje się kwestją powstania nazwy Lach, udowadnia mianowicie, że nie da się to słowo nawiązać ani do Lingonów

[1] W liście do K. Górskiego bez daty, prawdopodobnie z przed końca marca 1897, który na końcu w całości podaję, pisze: »Nie jestem i ja zdrów — daleko do tego, ale mimo to dużo robię. Wiesz, dlaczego? bo się na nic nie oglądam. Męczy mnie to, czy nie — szkodzi lub nie — wszystko to zobojętniało dla mnie. Kręcę też korbą, choć skrzypi — inaczej już zresztą nie będzie«.

Adama Bremeńskiego ani do Lugiów starożytnych i stwierdza, że istniała już w IX wieku, kiedy ze wschodniego Mazowsza i Grodzieńszczyzny przenieśli się na Wschód Wętycze i Radymicze, których Nestor wywodzi od Lachów.

Równocześnie prawie ogłosił drukiem drugą pracę: »Kraków przed Piastami«. Punktem wyjścia był dla Potkańskiego głośny przywilej dla biskupstwa praskiego z r. 1086 (fałszywy), który w granice tej diecezji wciąga Kraków aż po rzekę Bug i Styr, a dalej wytycza granice po rzekę Wag i Tatry. Ze względu, że wtedy, kiedy Kraków miał należeć do państwa czeskiego, Polska posiadała grody Czerwieńskie, t. j. wschodnią połać terytorjum sięgającego po Bug i Styr, uważa za najbardziej prawdopodobne, że ów przywilej ma na myśli nie granice Czech z drugiej połowy X wieku, kiedy Kraków do nich należał, ale granice pierwotnie diecezji morawskiej z czasów Metodjusza.

Rozległa wiedza, nadzwyczajna sumienność, bardzo szczegółowo a pięknie przeprowadzona argumentacja, obudziły powszechne w świecie naukowym uznanie dla Potkańskiego. W porównaniu z poprzedniemi polskiemi badaniami w tym zakresie stanowiły one postęp przedewszystkiem pod względem metody. Pod względem swej budowy były one poniekąd nowością, żaden bowiem nasz historyk nie był tak szczery, nie otwierał tak przed czytelnikiem swej pracowni, nie odsłaniał mu wszystkiego, czem rozporządzał w zakresie źródeł i metody, nie dzielił się z nim swojemi wątpliwościami i trudnościami, nie czynił go swoim uczniem i towarzyszem, a zarazem nie dawał mu takiej możności kontroli nad sobą, jak to właśnie robił Potkański. A czynił to z takim umiarem, bez uszczerbku dla spoistości budowy i potoczystości stylu, że jego rozprawy czytać można, mimo cały ten aparat krytyczny, z prawdziwą przyjemnością. Szczerość i prostota przy zachowaniu dobrych form cechują Potkańskiego zarówno jako człowieka, jak i jako uczonego pisarza.

Potkański stanął w pierwszym szeregu historyków polskich. Dała temu wyraz Akademja Umiejętności, udzielając mu na posiedzeniu 3 czerwca 1898 za obie powyższe prace nagrodę Barczewskiego, najwyższe naówczas odznaczenie naukowe w Polsce.

Opinja komitetu brzmi: »Nie piszemy krytyki ani sprawozdania z prac p. Potkańskiego, dlatego nie wdajemy się w szczegóły, ale jeżeli co było dla komitetu bodźcem do dania p. Potkańskiemu w tym roku pierwszeństwa przed innymi autorami, to to, że ze wszystkich prac za rok ubiegły jego są sposobem opracowania najświeższe i najbardziej nowożytne, że jako historyk owładnął do tego stopnia metodą lingwistyczną i socjologiczną we wszystkich jej odcieniach, iż, idąc za nią w ten ciemny las zagadek z naszej dawnej historji, nie oglądamy się za innym przewodnikiem, ale na autorze z całą ufnością polegamy. Prace p. Potkańskiego uważamy za znaczący i korzystny zwrot w historjografji polskiej, za systematyczne i świadome celu usiłowanie wciągnięcia do poszukiwań nad dziejami jednego narodu doświadczenia zbiorowego, uzyskanego do tej pory przez uczonych rozmaitych narodowości i na rozmaitych pracujących polach«[1].

Warto zaznaczyć, że na tem samem posiedzeniu Akademja przyznała nagrodę za dzieło malarskie Jackowi Malczewskiemu, mianowicie za »Błędne Koło«. Tak więc talent i rzetelna praca zdobyły równocześnie uznanie dla obu braci ciotecznych. Szczerze też cieszyli się ich przyjaciele, co niewątpliwie powiększało ich własne zadowolenie z tego sukcesu.

Jak się patrzył na ten sukces sam Potkański, daje nam poznać jego list, pisany do K. Górskiego z Krakowa 13/VI 1898. »Mój Drogi! Spóźniłem się z odpowiedzią, ale nie spóźniłem się z wdzięcznością na Twój list i Twoje życzenia. Jestem i pozostanę zawsze zdania Seneki: itaque prudentissimus quisque cum primum induci videt munuscula, a theatro fugit et scit magno parva constare: nemo manum conserit cum recedente, nemo exeuntem ferit, circa praemium rixa est. Ale trudno. Czasem tak się okoliczności składają, że i konkursów i »premji« uniknąć nie można. Z trzech recenzentów mojej pracy dwóch powiedziało, że jest »subtelna«, a trzeci że »misterna«. Otóż — Mój Drogi — ludzie tacy, jak Ty i ja, musimy wiedzieć, że »subtelnością« świata

[1] Rocznik Akademji Umiejętności za 1897/8, str. 107—108.

nie zdobędziemy. To przymiot bardzo niebezpieczny, wierzaj mi. Radzili mi też przyjaciele, aby nie być tak subtelnym i tak szczerym, to znaczy, aby się zbyt lojalnie z czytelnikiem nie dzielić swoją niewiadomością i tak jej bardzo nie odsłaniać, bo »uczony« powinien zawsze więcej wiedzieć; od czegóż on jest? Pisałem do Ignacego Rosnera, że od dzisiaj będę na ucho mówił przyjaciołom: że to takie pewne nie jest, czy Mieszko np. zrobił to lub owo (bo przecież komuś, choćby dla ulżenia własnemu sumieniu, powiedzieć to muszę), ale w książce będzie wszystko pewne — ostrzegam.

Mój Drogi, żyjąc na świecie dłużej — a my już dosyć długo żyjemy — do różnych się dochodzi wniosków, ja doszedłem do tego, że ów pogański ideał całkowitego wypowiedzenia siebie — to najwięcej jeszcze warte w życiu. Czasem zdaje mi się, że każdy z nas wypełnia go bez udziału swej woli. Ale wypowiedzieć siebie, to jeszcze nie znaczy pisać rozprawy o Lechitach i Mieszku — jak się jest tak różnorodnym, jak niestety ja nim jestem. Dla takiej istoty, jak ja, myśleć (siebie) samego i czuć — to najlepsze wypowiedzenie się — i jedynie coś warte«.

Ten ton, melancholijny i żartobliwy zarazem, jest bardzo godny uwagi. Powodzenie sprawiło mu niewątpliwie zadowolenie, ale bynajmniej nie zawróciło mu w głowie, wiedział aż nadto dobrze, na jak trudnym i zwodniczym pracował gruncie, jak niepewne były jego wyniki, mimo całej sumienności, ostrożności i przygotowania, tem bardziej, że często stan źródeł pozwala jedynie na stwierdzenie większego lub mniejszego prawdopodobieństwa.

Rezultaty obu nagrodzonych prac, zarówno o »Lachach«, jak zwłaszcza o »Krakowie«, zostały wkrótce zachwiane i zmienione, i to nie tyle przez innych, ile przez niego samego. Jest to dla Potkańskiego niezmiernie charakterystyczne, jest dowodem jego szczerości i uczciwości naukowej, że po ogłoszeniu pracy nie przestawał się zajmować i zastanawiać nad jej przedmiotem, ani nie poczytywał sobie za obowiązek bronić raz wypowiedzianego zdania. Jeżeli obudziło cośkolwiek jego wątpliwość, nie spoczął, aż doszedł do ustalenia ponownego swego zdania w tej kwestji i mógł się z innymi tem podzielić. Dosyć powiedzieć, że te-

mat »Krakowa przed Piastami« obrabiał jeszcze trzy razy: w Roczniku Krakowskim w tomie I (1898), gdzie dodał nowe dowody, i w tomie IV (1900), gdzie wypowiedział hypotezę, że granice tam wymienione są granicami polskiej diecezji krakowskiej, choć mają być zapomnianemi już granicami dawnej morawskiej, wreszcie w Kwartalniku historycznym t. XVII (1903), gdzie znowu powiada, że nie mogło chodzić o granice misyjnej diecezji morawskiej, ale że owe granice po Bug i Styr, dokąd miała sięgać ziemia krakowska według przywileju z r. 1086, są granicami Polski i diecezji krakowskiej z czasów Bolesława Śmiałego, a nie granicami Czech za Bolesława Okrutnego i Pobożnego[1].

Pracę o Lachach i Lechitach zachwiał jeszcze tego samego roku, zaraz po jej ukazaniu się, uczony rosyjski E. Kunik (Kwartalnik hist. t. XII 1898, str. 1—13 i 498—507), który wskazał na istnienie polskiej nazwy »Lęch« niezależnie od języka ruskiego, obronił związek słów Lingones i Lechowie i przejście jej do języka madjarskiego, litewskiego, greckiego (bizantyjskiego), oraz południowo-słowiańskich. To też Potkański przyjął stanowisko Kunika już w kwietniu 1898 (Sprawozdanie z czyn. i pos. Ak. Um.) co do powstania madjarskiej nazwy Lengyel z Lęch, a nie z ruskiego Lach, został tylko przy twierdzeniu, że Lechici Mistrza Wincentego i późniejszych kronikarzy od ruskiej formy Lach pochodzą, umocniony w tem przez równocześnie z jego pracą wydrukowaną pracę A. Małeckiego, jak tego dowodzi sprawozdanie Potkańskiego (Lechica w Kwartalniku hist. t. XII (1898) str. 291—300).

Należy jeszcze wspomnieć, że w tych czasach zajmował się także, z podniety prof. M. Sokołowskiego, poszukiwaniami do historji pierwotnego budownictwa drewnianego

[1] Tak znakomity prof. T. Wojciechowski (Szkice hist. z XI wieku, Kraków 1904, str. 269), jak i bardzo krytyczny czeski historyk J. Pekař (Česk. Čas. hist. t. X, 1904, str. 53) przyjęli wywody Potkańskiego. Tymczasem, jak wiadomo, prof. St. Zakrzewski w rozprawie »Czeski charakter Krakowa za Mieszka I w świetle krytyki źródeł« (Kwart. hist. tom XXX (1916) str. 221—308) zaprzecza stanowczo słuszności wciągania polskiego Krakowa do sprawy granic diecezji praskiej, wykazując istnienie Krakowa i rzeki Ster w dolinie rzeki Wagu koło Piszczan.

i zdawał z nich sprawę na posiedzeniach Komisji dla historji sztuki w Akademji Umiejętności.

VII. Zdobycie katedry uniwersyteckiej. Całkowite poświęcenie się nauce przyniosło Potkańskiemu, obok zadowolenia wewnętrznego, pełne uznanie kół zawodowych i sławę, ale wcale nie wpłynęło dodatnio na jego położenie materjalne, przeciwnie przyczyniło się do pogorszenia tego położenia. Wysokie poczucie godności osobistej nie pozwalało mu się skarżyć, ani lichego stanu swych spraw poruszać w rozmowach z najbliższymi przyjaciółmi. Później dopiero w wyjątkowej chwili otwartości przyznał się, że w roku 1899 położenie stało się tak rozpaczliwe, iż ratunek przed śmiercią z głodu widział tylko w samobójstwie. Typowy los poety i uczonego polskiego w minionym okresie dziejowym! Można sobie wyobrazić, jak cierpiał wtedy ten wytworny esteta, obracający się w kołach arystokratycznych, a jednak pracujący naukowo w dalszym ciągu z największym rozmachem i, rzec można, z zaciętością, bo wszak w ciągu lat czterech (1899 do 1902) wypowiedział w Akademji 12 referatów, rozpraw zaś ogłosił 9 w wydawnictwach Akademji i w czasopismach. Zaiste podziwiać trzeba siłę woli i chęć wytrwania aż do końca. Nic dziwnego, że stan jego zdrowia w tych warunkach usilnej pracy i krańcowej oszczędności, w jedzeniu zwłaszcza, bo to najłatwiej ukryć, był bardzo lichy, że w listach wówczas pisanych skarży się często na wyczerpanie fizyczne, zmęczenie psychiczne, bezsenność i »sztywnienie« organizmu swojego, że pesymistyczne tony silniej się teraz odzywają w jego duszy.

Zaczęto w Akademji i w Uniwersytecie myśleć o ratowaniu go; na razie dano mu płatne zajęcie przy porządkowaniu zbioru rękopisów w bibljotece Akademji. Już na posiedzeniu lipcowym 1899 r. wydz. hist.-filozof. zdawał sprawę z postępu swojej pracy i poczynionych przy tem spostrzeżeń.

Najlepszym jednak sposobem trwałego zapewnienia mu bytu wydawało się oczywiście wystaranie się dla niego o katedrę uniwersytecką. Praktycznie sprawa ta nie przedstawiała się wcale łatwo. Przedewszystkiem zdobycie w Wiedniu nowej katedry dla uniwersytetu polskiego wymagało wówczas nadzwyczajnych zabiegów i dłuższego czasu. Na-

stępnie zaś Potkański miał braki formalne, bo studjów uniwersyteckich nie skończył w normalny sposób i nie miał doktoratu. Namowy profesorów i przyjaciół, aby się starał o ten stopień, były daremne. Być może, że nie uważał już tego za odpowiednie dla siebie, po kilkunastu latach tak owocnej pracy naukowej. Nie ulega wątpliwości, że Uniwersytet Jagielloński postąpiłby daleko właściwiej, gdyby w roku jubileuszowym dał doktorat honorowy jemu, zamiast jednej z wielu osobistości oficjalnych, nie mających istotnego związku z nauką. Trzeba tedy było za niego wziąć absolutorjum ze studjów, potem wnieść podanie o dopuszczenie do egzaminów ścisłych, a w końcu nawet do pierwszego egzaminu ścisłego, trzeba go było pod pozorem spaceru wywabić z mieszkania i egzamin na plantach rozpocząć (22 lutego 1900 roku). Promocję na doktorat otrzymał on dopiero 12 lipca, do czego również trzeba go było zmusić. Sposób, w jaki zakomunikował W. Natansowi o otrzymaniu dyplomu doktorskiego, charakteryzuje dobitnie właściwy mu brak uznania dla wszelkich form uroczystych i ceremonij. Oto w liście z 15 wrześn. 1900 r. pisze Potkański w dopisku: »Dziś jakiś ktoś z uniwersytetu wręczył mi w trąbkę zwinięty gruby papier i powiedział, że to dyplom doktorski. Uwierzyłem mu na słowo i nie zaglądałem do owej papierowej »trąby«. Przyniósł mi to do mieszkania ów ktoś i kazał dopłacić, czy zapłacić 5 koron. That all, co mogę Ci donieść jeszcze o moim doktoracie«.

Sprawa katedry posuwała się powoli, dopiero w kwietniu 1901 r. na podstawie pochlebnego referatu prof. Smolki uchwalił Wydział filozoficzny do Ministerstwa Oświaty wniosek o zamianowanie Potkańskiego nadzwyczajnym profesorem historji powszechnej. W grudniu tego roku nastąpiła nominacja, zobowiązująca go do rozpoczęcia wykładów w półroczu letniem roku szk. 1901—2, gdy pensję miał zacząć pobierać dopiero od października 1902 r., takiej bowiem praktyki chwytał się rząd austrjacki bardzo często w stosunku do uniwersytetów. Śmiało można powiedzieć, że rzadko kto więcej zasługiwał na otrzymanie katedry, niż on, można tylko wyrazić żal, że otrzymał ją tak późno.

Równocześnie z katedrą dostał mu się w udziale zasz-

czyt wyboru na członka-korespondenta Akademji Umiejętności (ogłoszony w maju 1902 r.); współpracownikiem Komisji historycznej Akademji Umiejętności był on już od 1891 r., do Komisji antropologicznej należał od 1897 r., do Komisji językoznawczej od 1898 r.

Kiedy wkrótce potem, w roku 1903, profesor Smolka z powodu zdrowia miał przejść na emeryturę, ogólna opinja historyków i członków fakultetu pragnęła widzieć Potkańskiego jego następcą na katedrze historji polskiej. Potkański jednak ze względu na kandydaturę prof. Czermaka, naówczas prof. historji austrjackiej, cofnął się i zadowolnił mniej eksponowaną katedrą po Czermaku[1]. Kierował się przytem, obok niechęci do współzawodnictwa z kolegą, prawdopodobnie wątpliwością, czy mu starczy sił na reprezentowanie nauki historji na tej czołowej katerze w Polsce, do której opinja ówczesna wielką przykładała wagę. Następnie brał na wzgląd większą łatwość prowadzenia w dalszym ciągu swych tak licznych i rozległych prac, które wszystkie łączyły się z wczesnem średniowieczem, na innej katedrze a nie na katedrze historji polskiej.

Jak już zaznaczyliśmy, rozwija Potkański w tym okresie gorączkową działalność naukową. W roku 1889 otwiera sobie nowe pole pracy historycznej, rozpoczynając ogłaszać: »Studja nad XIV wiekiem«. Referował ich do roku 1906 na posiedzeniach Akademji dziesięć, ogłosił w Rozprawach tylko osiem. Są to przyczynki do dziejów politycznych Łokietka, Kazimierza Wielkiego i Ludwika. Przedmiotem ich są stosunki, w które Potkański mniej był wżyty jako historyk, to też, gdy jedne z tych prac, jak np. »Daty Zjazdów Koszyckich« (Nr. 6 Studjów), których trzy wykazał, mianowicie w 1373, 1374 i 1379, były przyjęte z uznaniem, inne spotkały się z krytyką, po części usprawiedliwioną, wskazującą na pewne strony zagadnień i na źródła przez autora pominięte. Skłania to Potkańskiego nie do polemiki, ale do lojalnej rewizji i do pogłębienia swych poglądów. Tak po-

[1] Historję krajów austrjackich rozpoczął wykładać już w półroczu letniem 1903/4, katedrę otrzymał jednak dopiero na parę miesięcy przed śmiercią w r. 1907, ponieważ sprawa obsadzenia katedry historji polskiej przewlokła się aż do 1906.

stąpił w sprawie zwrotu dóbr po śmierci Kazimierza Wielkiego (Nr. 3 i 7 Studjów) i w sprawie zajęcia Wielkopolski (Nr. 4, 8 i 9 Studjów) wskutek recenzji Władysława i Aleksandra Semkowiczów, dając i tutaj dowody, że w rzetelnej pracy miał na oku wyłącznie postęp nauki, nie miłość własną. Do prac, tyczących się zajęcia Wielkopolski, wprowadza z własnej inicjatywy uzupełnienia i poprawki, do których go doprowadziły poszukiwania, prowadzone w dalszym ciągu.

Jest to uwagi godne, że i te »Studja nad XIV wiekiem«, zjawiające się stosunkowo tak późno i niespodziewanie w twórczości naukowej Potkańskiego i nie mające na pozór żadnego związku z poprzedniemi jego pracami, mają jednak wspólne z nimi źródło. Podnietę do badań nad XIV wiekiem dało mu to samo pierwiastkowe zajęcie się badaniami genealogiczno heraldycznemi nad przeszłością własnego rodu, z któremi się wiązały jego pierwsze prace historyczne (por. str. 14). Pierwszą w tej serji jest nieogłoszona dotąd i nieistniejąca dziś w rękopisie praca p. t.: »Konfiskata majątków Jana i Mikołaja z Kębłowa w r. 1334«. Kębłowscy, przesiedleni przez Kazimierza Wielkiego pod Radom z nad granicy śląsko-brandenburskiej, byli, jak to wskazaliśmy wyżej (str. 1), przodkami rodu Potkańskich. Badania nad tym przypadkiem konfiskaty doprowadziła go do zajęcia się wogóle kwestją konfiskaty dóbr przez Kazimierza Wielkiego i ich zwrotu za Ludwika. Z nią także pozostają w związku i inne rozprawy z XIV wieku, mają one bowiem niewątpliwie na celu oświetlenie tego mało znanego zdarzenia możliwie ze wszystkich stron. Zdradę Niałków-Jeleni z Kębłowa mają objaśnić rozprawy o zdradzie Piotra Wydżgi, starosty sandeckiego, i Piotra Pszonki i Ottona z Szczekarzewicz w r. 1376, oraz rzekoma zdrada Wincentego z Szamotuł w r. 1331. Trzy rozprawy o dziejach politycznych Wielkopolski od r. 1306 do 1316 (»Walka o Poznań«, »Zajęcie Wielkopolski« i »Jeszcze o zajęciu Wielkopolski«) potrzebne mu były do zrozumienia stanowiska Kębłowskich względem Łokietka.

W świetle tych faktów występuje niesłychanie wyraziście jednolitość duszy Potkańskiego i jego rozwoju jako

uczonego od pierwszej młodości. Do studjów nad XIV wiekiem stosuje on tę samą metodę, co i do prac z epoki wcześniejszej. Z powodu szczupłości źródeł niezbędny był także i tutaj dokładny ich rozbiór i szczegółowe subtelne rozważenie wynikających z nich możliwości, aby odtworzyć jeżeli niezupełnie pewny, to przynajmniej najprawdopodobniejszy przebieg zdarzeń.

Osobne stanowisko ze względu na treść zajmuje rozprawa: »O pochodzeniu Słowian«. Kilka uwag z powodu książki prof. L. Niederlego p. t. »O pochodzeniu Słowian« (1896) i pierwszego tomu: »Starożytności słowiańskich« (1902) tegoż autora«, ogłoszona w roku 1902 w Kwartalniku historycznym (str. 232—261). Niederle ujmuje zagadnienie pochodzenia Słowian wszechstronnie, posługując się argumentami archeologicznemi, językoznawczemi i antropologicznemi. Potkański ogranicza się w swej rozprawie do antropologicznej strony zagadnienia, dorzucając do wywodów Niederlego fakty z obszaru etnograficznego polskiego, których on nie uwzględnił, i wskazując na potrzebę rozróżnienia poszczególnych grup plemiennych wśród Słowian, traktowanych przez niego jednolicie. Niederle stwierdził, że Słowianie nie byli pierwotnie wyłącznie krótkogłowcami, bo w cmentarzyskach niewątpliwie słowiańskich z IX—XII w. znajduje się bardzo znaczny procent czaszek długogłowych, choć istotnie z biegiem czasu typ krótkogłowy zyskał stanowczą przewagę wśród Słowian, atoli nie próbował on wytłomaczyć tego zadziwiającego zjawiska. Potkański wykazuje na ziemiach polskich dwa ośrodki krótkogłowości, mianowicie Tatry (niewiadomo, czy to ośrodek pierwotny) i kotlinę Prypeci oraz wielki ośrodek długogłowości na Mazowszu, na północ od Wisły, i w Wielkopolsce, na północ od Warty, w którem jeszcze w okresie wczesno-historycznym panował prawie wyłącznie typ długogłowy. Ten stan rzeczy nasuwa mu na myśl tłumaczenie, dlaczego dzisiaj przeważa typ krótkogłowy, mianowicie przyczynę tego upatruje on w rozszerzaniu się na obszary, zajęte pierwotnie przez typ długogłowy (z niewielką przymieszką), typu krótkogłowego, mianowicie w Polsce z Polesia (krótkogłowcy pochodzenia fińskiego) i z okolic Tatr, a w Czechach z Alp *(homo alpinus)*.

Wydane równocześnie z poprzednią pracą: »Opactwo na łęczyckim grodzie«, jest rozprawą najbardziej może typową dla sposobu pracy i talentu Potkańskiego, a z wyników, pewnych prawie w zupełności, najbardziej owocną i dlatego na osobliwą zasługującą uwagę. Przedmiotem jej jest szczegółowy rozbiór krótkiego ustępu w sławnej bulli papieża Inocentego II dla arcybiskupstwa gnieźnieńskiego z.r. 1136, która była tematem już tylu cennych monografij historycznych. Ustęp ten mówi o uposażeniu opactwa Matki Boskiej na łęczyckim grodzie, które już wtedy należy do arcybiskupstwa, w następujących słowach: »Item abbatia sancte Marie in castello Lancicie cum centum servis et villis eorum, quatuor scilicet lacubus... cum vineis duabus et tutoribus earum cum villis suis..., pistores eciam et coci, agazones et sutores. Z wyjątkiem nazw czterech jezior i wskazówek o położeniu winnic nie ma w tej zapisce ani jednej nazwy osady, Potkański jednak potrafił odnaleść i nazwać po imieniu całe uposażenia opactwa łęczyckiego, składające się z 50 wiosek, połowy jednej i większych lub mniejszych działów w 12 wioskach, i to w sposób nie budzący żadnych zasadniczych wątpliwości.

Rzecz cała rozpada się na trzy rozdziały: w pierwszym zajmuje się Potkański odszukaniem i zliczeniem wszystkich posiadłości opactwa, w następnym przedstawia historję założenia opactwa przez Władysława Hermana i dalsze jego dzieje aż do początku XIII wieku, jego darowanie arcybiskupowi, zamianę na kolegiatę i podział uposażenia między arcybiskupa i kanoników. W ostatnim rozdziale porównuje Potkański uposażenie tej instytucji kościelnej z uposażeniem najstarszych w Polsce klasztorów i kolegjat, osobliwą uwagę poświęcając organizacji setniczej i dziesiętniczej ludności poddanej jako podstawy tych uposażeń.

Cała duża, obejmująca 100 stronic druku, rozprawa postawiona jest na szerokiem porównawczem tle ogólno-polskiem, a poparta argumentami geograficznemi, statystycznemi, ekonomicznemi, prawnemi i politycznemi. Pełno tu uwag, a nawet dłuższych wywodów metodycznych, pełno ogólnych myśli, to też mimo pewnej, pozornej zresztą, rozwlekłości (bo niema tu w istocie ani jednego zdania nie potrzebnego)

może być ta rozprawa uważana za wzór tego rodzaju monografji historycznej.

W związku z nią pozostaje praca o kolegjacie w Opatowie, którą referował w Akademji w lipcu 1900 r., ale drukiem nie ogłosił, a nawet zdaje się nie zredagował, ponieważ brak jej rękopisu w spuściźnie. Krótki komunikat w Sprawozdaniach z posiedzeń mówi, iż Opatów, pierwotnie zwany Żmigrodem, jest starem ogniskiem osadniczem u stóp wschodnich stoków gór Świętokrzyskich. Zarówno jego stosunki osadnicze, jak i kościelne, są bardzo zawiłe, przywiązana jest doń bowiem tradycja benedyktyńska, potem miała tu być kolegjata, zamieniona następnie na klasztor Cystersów, który razem z uposażeniem oddany został w r. 1234 biskupowi lubuskiemu jako podstawa do działalności misyjnej na Rusi Czerwonej. Wydaje się prawdopodobne, że na studja o opactwie łęczyckim i o kolegjacie opatowskiej naprowadziły Potkańskiego spostrzeżenia o stosunkach w Łęczycy, poczynione z racji badań nad sprawą restytucji dóbr[1].

Nadto wydrukował Potkański w tym okresie w Kwartalniku historycznym (1900) rozprawę: »Jeszcze o Piaście« (z powodu rozprawy prof. Brücknera: O Piaście)«. Występuje w niej przeciw nieopatrznemu, radykalnemu sceptycyzmowi Brücknera w obronie imion a raczej przezwisk w naszej legendzie historycznej, albowiem prawdopodobieństwo, iż są to przezwiska, wcale nie daje podstaw do twierdzenia, że i osoby są zmyślone. Znaczenie przezwiska »Łokietek« i »Książę Biały« (Władysław gniewkowski) w źródłach XIV wieku, tworzenie licznych nazw rodowych od przezwisk przodków, np. Ogonowie, Cholewy, Momoty, Trzaski, powstanie nazwy trzeciej dynastji francuskiej z przezwiska (Capet) dowodzi tego najdobitniej. Następnie na przykładzie postrzyżyn wykazuje, że i obrona treści legendy jest możliwa, jakkolwiek uznaje, że jest ona zanieczyszczona licznemi elementami legendowemi.

Następnie ogłosił wspomnianą już wyżej rozprawę: »Granice biskupstwa krakowskiego« w tomie IV Rocznika Krakowskiego. Wreszcie referował w Akademji w listopa-

[1] Jeszcze w sprawie restytucji (Studja nad XIV wiekiem Nr. 7), Kraków 1901, str. 17 do 19.

dzie 1900 o »Badaniach historycznych i etnologicznych nad rozsiedleniem plemion polskich«, przynoszących stwierdzenie, że Kujawy pierwotnie sięgały dalej na południe i zachód, określenie siedzib plemienia Łęczyców, którzy zajmowali także i część średniego biegu Pilicy po obu brzegach, wreszcie próbę rozgraniczenia ziemi krakowskiej, wiślickiej i sandomierskiej i wykazania, że Wiślica jest etnograficznie bliższa Krakowowi, niż Sandomierzowi.

W marcu 1901 r. przedstawił Potkański wyniki swych badań nad »Kasztelaniami wielkopolskiemi w najdawniejszej dobie«, w maju 1902 r. zdawał sprawę z drobnej pracy o »Podziale Państwa Polskiego między Bolesławem Krzywoustym a Zbigniewem« a w październiku tegoż roku podał »Wiadomości Długosza o mitologji polskiej«, których rękopis zachował się w całości niemal ukończony.

VIII. Na katedrze. Na katedrę wnosił Potkański bardzo doniosłe i bardzo potrzebne na Uniwersytecie Jagiellońskim walory jako pierwszorzędny specjalista do historji wczesnego średniowiecza, uzbrojony we wszystkie środki pomocnicze, obejmujący najszersze horyzonty naukowe, pojmujący i umiejący pokazać pełnię życia historycznego. Mimo, że nie miał seminarjum i nie prowadził ćwiczeń, odrazu zaczął wywierać wpływ na studentów przez liczne uczęszczane wykłady i przez osobiste stosunki.

Wykłady jego były zupełną nowością, nietylko z powodu swej treści, ale i z powodu metody opracowania. Nikt przedtem nie wykładał na Uniwersytecie Jagiellońskim o osadnictwie polskiem, o historji Anglji w średnich wiekach, o początkach i rozwoju konstytucji angielskiej, o historji papiestwa w IX wieku, o historji cesarstwa bizantyjskiego i południowej Słowiańszczyzny. Po objęciu katedry historji austrjackiej wykładał nadto historję krajów austrjackich ze szczególnem uwzględnieniem Czech i Węgier.

Mając w rękach jego notaty do wykładów, możemy ocenić, jaką wartość one przedstawiały i jak wiele pracy w nie wkładał. Przygotowywał się do nich nadzwyczaj sumiennie, studjował nietylko nowszą literaturę przedmiotu, ale sprawdzał ją ważniejszemi źródłami. Wypowiadane przez niego poglądy miały dlatego cechy oryginalności, a nie były

tylko poprawną kompilacją najważniejszych opracowań. Mapy i cytaty źródłowe ułatwiały słuchaczom zrozumienie wykładu i pogląd na sam przedmiot.

Tak sumiennie opracowane wykłady były dlań ciężarem, pod którym się uginał jego słaby organizm; nużyły go one i wyczerpywały tak, że, acz z natury do wynurzeń nie skłonny, często na nie wyrzekał. Były zaś ciężarem dlatego, że nie pochłaniały go w całości, nie były dla niego głównym celem, ale raczej środkiem do ugruntowania i przygotowania prac konstrukcyjnych, np. o Konstantym Metodjuszu, o genezie organizacji grodowej, o drużynie Mieszka i Wikingach w Jomsborgu i t. d. Bez przerwy też niemal zdaje sprawę z postępu swych badań w Akademji i ogłasza prace.

Nawet powierzenie mu razem z Sewerynem Udzielą przez Towarzystwo Ludoznawcze we Lwowie redaktorstwa kwartalnika »Lud«, którym opiekował się sumiennie przez dwa lata (1904 i 1905), nie wpłynęło na zmniejszenie wydajności jego pracy, ani na jej kierunek, ponieważ umieścił wtedy w »Ludzie« tylko szereg drobnych przyczynków i dwie recenzje.

Z tego okresu pochodzi rozprawa »O pochodzeniu wsi polskiej«. Jest ona rozszerzonym odczytem, który Potkański wygłosił 15 kwietnia 1903 r. w Towarzystwie dla pielęgnowania nauk społecznych w Krakowie. Przedmiotem jego jest proces przekształcenia się wsi polskiej pod względem społecznym i techniczno-gospodarczym, które dokonało się w XIII i XIV wieku w formie osadzania wsi na prawie niemieckiem i wzorowanego na nim osadnictwa na prawie polskiem. W porównaniu z dawniejszym ujęciem tego zagadnienia przez prof. Piekosińskiego Potkański traktuje rzecz nietylko obszerniej, ale ściślej i głębiej, a przytem w sposób barwny i dostępny dla ludzi ogólnie wykształconych. Piękny ten szkic z naszej historji wewnętrznej będzie się niewątpliwie długo cieszyć poczytnością.

W następnym roku (1904) ogłosił szkic p. t. »Święty Wojciech«, który prawdopodobnie powstał przygodnie przy sposobności pracy o apostołach słowiańskich: Konstantym i Metodjuszu. Jest to bardzo pięknie i głęboko ujęty życiorys św. Wojciecha, biskupa czeskiego i zakonnika rzymskiego,

który przez swoją śmierć męczeńską w Prusach oddał największą usługę Polsce, stał się bowiem przyczyną utworzenia przez Ottona III jej samodzielnej organizacji kościelnej, i słusznie jest czczony jako apostoł polski. Czerpiąc wprost z żywociarzy św. Wojciecha, nie krytykuje ich opowieści, ale tłumaczy wiarygodne ich części właściwościami epoki i światopoglądu średniowiecznego. Obok »Pierwszych mieszkańców Podhala« i odczytu »O pochodzeniu wsi polskiej« »Żywot św. Wojciecha« jest trzecią popularną pracą Potkańskiego; stawiają one go w rzędzie najwybitniejszych pisarzy polskich w tym rodzaju.

Z prac referowanych wtedy w Akademji wybijają się na czoło: »Geneza organizacji grodowej w Polsce« (kwiecień 1905) i »Studja nad średniowiecznem osadnictwem w Polsce. Rozmieszczenie osad na obszarze Małopolski« (kwiecień 1906). W pierwszej pracy zaczyna od geograficznego rozmieszczenia grodzisk przedhistorycznych w poszczególnych dzielnicach, zwłaszcza dokładniej w Wielkopolsce i Małopolsce. Następnie stwierdza, że ogromna większość piastowskich grodów kasztelańskich jest dalszym ciągiem grodów przedhistorycznych. Przyczyną tego była nietylko obronność i dogodne położenie geograficzne dawnych grodów, ale i skupienie się w nich życia religijnego i politycznego (wiece). Atoli książę wznosił także nowe grody dla obrony granic, a opuszczał wiele mniej znacznych. Reorganizację grodów rozpoczął prawdopodobnie Bolesław Chrobry a dokończył dopiero Bolesław Krzywousty. Głównemi momentami są tu: 1) organizacja parafjalna, oparta początkowo na organizacji grodowej, 2) organizacja wojskowa, a w niej rozmieszczona po znaczniejszych grodach drużyna książęca, 3) organizacja skarbowa, 4) nieznana bliżej organizacja sądowa i administracyjna. Potkański wyraża przypuszczenie, że Bolesław Krzywousty głównie, jeżeli nie jedynie, organizował osady służebne przy grodach. Brak »milites« grodowych w polskiej organizacji grodowej wskazuje, iż wpływ niemieckiej organizacji grodowej na ziemiach słowiańskich w Łużycach i Marchiach (t. zw. Burgwarde) nie musiał być znaczny. Początek rękopisu tej pracy pozostał w tekach pozgonnych i będzie wydrukowany.

Natomiast niema śladu rękopisu pracy o rozmieszczeniu osad na obszarze Małopolski. Jest tylko dosyć dokładne jej streszczenie w Sprawozdaniach z posiedzeń Ak. Um. Stwierdza tu Potkański, iż osady o nazwach patronymicznych trzymają się biegu wód i występują gniazdami: *a*) nad górnemi biegami lub u źródlisk dopływów Wisły np. nad górną Pilicą, albo *b*) nad dolnymi ich biegami np. Nidy, Nidzicy, Śreniawy. Terytorja te należą do najżyźniejszych i do gęsto zaludnionych już w czasach przedhistorycznych. Osady o nazwach dzierżawczych rozsiane są po całym obszarze Małopolski, liczniej i gniazdowo występują na południe od Skrzynna i na pasie dzielącym powiat radomski i opoczyński, gdzie są pomięszane z osadami o nazwach fizjograficznych bardzo starego typu. Osady o nazwach fizjograficznych występują na całym obszarze Małopolski, w większej zaś liczbie na obszarze puszczy Radomskiej i Świętokrzyskiej. Co do chronologji, to przyjmuje Potkański, iż wszystkie kategorje osad powstawały równocześnie, z tem, że osady patrynomiczne jako zbiorowe tworzyły się tam, gdzie były warunki łatwiejsze, a osady dzierżawcze jako indywidualne tworzyły się tam, gdzie warunki były trudniejsze.

W dwa miesiące po poprzedniej pracy złożył Potkański dokładne sprawozdanie o rozprawie »Drużyna Mieszka, a Wikingi w Jomsborgu« (czerwiec 1906). Przyjmuje tu Potkański za pewne, iż Mieszko I pod koniec życia posiadał Pomorze aż po ujście Odry. Przed 963 i w 977 walczy on z Wolinianami pomorskimi, którym przewodził znany awanturnik niemiecki Wichman. W walkach tych mogli odegrać rolę Wikingowie z Jomsborga, obozu warownego, założonego tuż obok Wolina przez Duńczyków za króla Haralda Blaatanda, jak opowiada Saxo Grammaticus. Późniejsza legenda Jomswikingasagi powiada, że Palnatokiego do Jomsborga sprowadził Burislaw. Potkański konstruuje tak, że Palnatoki po śmierci Haralda zawładnął Jomsborgiem i ogłosił się niezależnym, a następca Haralda, Swein, nie zdołał go pokonać w dwuch wyprawach, natomiast sam został pokonany przez króla szwedzkiego, Eryka, którego sprzymierzeńcem był Mieszko. Mieszko mógł się więc posługiwać pomocą Palnatokiego do pokonania Wolina. Wiadomości

o organizacji drużyny normańskiej w Jomsborgu (zdobycz wspólnie dzielona, brak kobiet) są sprzeczne z wiadomościami Ibrahima ibn Jakóba o drużynie Mieszka, nie mogła to być więc jedna i ta sama grupa społeczna.

Ostatnią większą pracą Potkańskiego, którą ogłosił, była »Konstantyn i Metodyusz«. Wydrukował ją w krakowskim miesięczniku »Przeglądzie powszechnym« w r. 1904. Napisana ona została w obronie źródeł i dotychczasowego poglądu na początki obrządku słowiańskiego przeciw namiętnemu a nieuzasadnionemu atakowi na działalność braci solúńskich ze strony prof. Aleksandra Brücknera, który dojrzał w nich jedynie chytrych Greków, chcących przez alfabet głagolicki i liturgję słowiańską oddzielić wszystkich Słowian od Rzymu i kultury zachodniej a przykuć ich do cerkwi bizantyjskiej. Przygotowawszy przez szereg lat całe przedsięwzięcie, ruszyli do państwa wielkomorawskiego z własnej inicjatywy i starali się narzucić jego ludności, wyznającej chrześcijaństwo rzymskie, przyniesione im przez Niemców, słowiański obrządek. Napotkawszy tu nieufność a raczej niechęć, musieli się zwrócić po zatwierdzenie obrządku do Rzymu, które udało się dopiero Metodemu uzyskać pod koniec życia, ale tylko połowicznie, to też zaraz potem zdradził on Rzym i zwrócił się do Carogrodu.

Potkański, unikając polemiki bezpośredniej, odpiera w swej pracy po kolei wszystkie argumenty Brücknera, albo sprowadza je do właściwych granic w gruntownym i spokojnym wykładzie historji tych apostołów słowiańskich na tle powszechnodziejowym. Rozwinął przytem Potkański swą nadzwyczajną erudycję w zakresie dziejów politycznych i kulturalnych wczesnego średniowiecza, którą zawdzięczał w części dawniejszym studjom swoim, w części zaś swoim świeżym wykładom uniwersyteckim, posługiwał się zaś głęboką na prawdę a nie zdawkową, pospolitą interpretacją psychologiczną działających osób oraz właściwą sobie metodą, roztrząsającą sumiennie wszystkie »za« i »przeciw«.

Zakończył Potkański swoją pracę cennemi uwagami o walkach wewnętrznych w łonie Słowiańszczyzny (str. 120—124) oraz ciekawemi spostrzeżeniami o rozwoju bizan-

tyjskiej i słowiańskiej kultury (str. 130—137), które należą do najgłębszych ogólno-historycznych, historjozoficznych myśli, jakie u nas wypowiedziano.

Po Potkańskim zabierali głos o tym doniosłym zagadnieniu liczni badacze: czescy, ruscy i rosyjscy, pisał też jeszcze parokrotnie prof. Brückner po polsku i po niemiecku, ale żaden z nich nie dorównał Potkańskiemu pod względem szerokości tła, ścisłego odważenia argumentów, tudzież umiaru i wytworności w ujęciu przedmiotu, bo u każdego duch polemiczny i żądza odkrycia nowych szczegółów przygłuszały właściwy cel t. j. zrozumienie i wyjaśnienie rzeczy.

Prof. Brückner, choć o pracy Potkańskiego mówi, że jest »gruntowna, bezstronna... napisana z widocznym talentem, żywo i barwnie«[1] nie dał się przekonać, a złagodził ton dopiero w ostatniem ogólnem opracowaniu niemieckiem: »Die Wahrheit über die Slavenapostel, Tübingen 1913«. W rozprawach drukowanych w »Przeglądzie historycznym« (tom III, str. 1—21 i 147—261, tom VI, str. 207—305 i tom VII, str. 159—168) przeważnej części argumentów Potkańskiego nie omawia i nie odpiera wcale, natomiast w potoku syllogizmów na obronę swojego poglądu wikła się w sprzecznościach. Twierdzi np., że Konstanty-Cyryl przygotowywał przekład pisma świętego i liturgji przez 5 albo i 10 lat przed mniemanem poselstwem Rościsława a nie dopiero po poselstwie (1906, III, s. 154), a wnet poniżej (str. 158) twierdzi, że »w terminologji kościelnej morawskiej są jawne germanizmy, nie starte całkiem nawet w języku Cyryla«. Wynika stąd dowód pośredni, że prawdę mówi legenda, iż Konstanty przyniósł na Morawy tylko tłumaczenie ewangielji, a pismo święte i liturgję tłumaczył dopiero na miejscu, bo przecież w Soluniu nie mógł popełniać germanizmów, ale dopiero na Morawach, zaznajomiwszy się z mową ludności miejscowej. Twierdzi dalej Brückner, że Metodjusz został w r. 880 w Rzymie pokonany i dlatego w r. 881 pojechał do Carogrodu i stanął otwarcie po stronie kościoła greckiego, porzucając obłudną uległość dla papieża rzymskiego, ale z drugiej strony powiada, że wtedy dopiero t. j. podczas ostatniego

[1] »Przegląd hist.« 1906, t. III, str. 6.

swego pobytu w Rzymie (880) uzyskał od papieża po raz pierwszy przyzwolenie obrządku słowiańskiego, co prawda połowiczne. Przecież uzyskanie, choćby połowicznego, uznania po długich latach zabiegów i oczekiwania powinno według wszelkiego prawdopodobieństwa zachęcić Metodjusza do wytrwania w uległości do Rzymu a nie popychać do zrywania. Nie może zaprzeczyć Brückner, że Konstantyn wstąpił do klasztoru w Rzymie i po śmierci (869) zaraz uznany został za świętego, że go pochowano w bazylice św. Klemensa i obraz jego namalowano, który to obraz szczęśliwie dotrwał do naszych czasów, ale nie zastanawia się zgoła nad tem, jakby się to mogło stać, gdyby on i jego brat nie znaleźli pełnego uznania u papieża Hadrjana II już w r. 869, dalej nie wyjaśnia, dlaczego cześć dla św. Cyryla nie została w Rzymie stłumiona po kilkunastu latach, jeżeli wykonawca i kontynuator jego dzieła Metodjusz okazał się odstępcą i oszustem bizantyjskim. Natomiast nie troszcząc się o zasady metody historycznej, pomawia Brückner Potkańskiego o niekonsekwencję, że nie odrzucał legend słowiańskich i legendy rzymskiej w całości, ale przyjmował z nich to, co uznał za prawdziwe lub prawdopodobne, acz nie dające się sprawdzić innemi źródłami, a odrzucił to, co uznał za nieprawdopodobne, jakby ludzkie czyny i dzieła można dzielić tylko na bezwzględnie dobre i doskonałe i na złe i fałszywe w całości i bez reszty.

* * *

Było naprawdę coś nadzwyczajnego i niemal nieprawdopodobnego w gorączkowej twórczości, którą okazywał ten ostatni przedstawiciel starego rodu szlacheckiego a zarazem początkujący profesor uniwersytetu. Niestety — był to ostatni rozbłysk światła, które wkrótce miało zgasnąć. Równowaga sił, która się utrzymywała w jego delikatnym organiźmie dzięki hygienicznemu trybowi życia i częstemu pobytowi w Zakopanem, zwichnęła się po niespełna pięciu latach pracy uniwersyteckiej. Wśród wytężonych studjów zapominał Potkański o szanowaniu zdrowia, przesiadywał długo w nocy, nie odżywiał się należycie, często nawet obchodził się bez obiadu. Coraz większe osłabienie sił przypisywał złemu sta-

nowi nerwów, na nie skarżył się i na nie z polecenia lekarzy używał środków zaradczych. Wakacje 1906 r., spędzone w Bystrej na Śląsku cieszyńskiem, w Zarzeczu nad Sanem u hr. T. Dzieduszyckich i w Czarkowach nad Nidą u hr. Pusłowskich, nie pokrzepiły go, w jesieni już był tak bardzo podkopany, że nie mógł podjąć wykładów. Wtedy dopiero badanie lekarskie stwierdziło u niego anemję złośliwą, wobec której sztuka lekarska jest bezsilna. Troskliwa opieka przyjaciół pomagała mu jakiś czas zwalczać chorobę. Na wiosnę stan poprawił się nawet o tyle, że możnaby było myśleć o wyjeździe na południe, gdyby nie szczupłość funduszów profesora nadzwyczajnego.

Próbował wtedy wrócić do zajęć naukowych. 18 marca 1907 r. wypowiedział w Akademji ostatni swój referat o pracy p. t. »Ród Nagodziców«, którą nawet wykończył, ale już nie zdążył ogłosić drukiem. Przedmiotem tej pracy jest nadanie przez Bolesława Krzywoustego grodu Rozprza Dźwigorowi, przodkowi rodu Nagodziców, podobne do nadania Skrzynna i Piotrkowa Piotrowi Własowi, przodkowi rodu Łabędziów-Duninów, prawdopodobnie dla zrównoważenia wpływów tego ostatniego rodu na pograniczu Małopolski, Wielkopolski i Mazowsza. Należy zaznaczyć, że wypiski z ksiąg sieradzkich, które mu posłużyły do napisania tej ostatniej pracy, zrobił już w roku 1885.

Doczekał się nareszcie Potkański mianowania profesorem zwyczajnym historji powszechnej i austrjackiej. W maju, gdy się zrobiło cieplej, mógł wyjechać do Zakopanego. Niestety — wysokie położenie Zakopanego, oddziaływujące tak pomyślnie na skład krwi, nie mogło już odwrócić jego losu. Po kilku tygodniach powrócił do Krakowa z pogorszonym stanem zdrowia. Nieunikniony koniec zbliżał się szybko.

Otoczony opieką wiernych przyjaciół umarł 16 sierpnia 1907 r. w 47-ym roku życia. Na pogrzebie, który się odbył 18 sierpnia przy licznym mimo wakacji udziale znajomych, kolegów i uczniów z uniwersytetu przemawiali: imieniem Akademji Umiejętności prof. Fryderyk Zoll starszy, wiceprezes Ak. Um., imieniem Uniwersytetu prof. W. Czermak, imieniem Tow. Miłośników historji i zabytków Krakowa dr.

Klemens Bąkowski, imieniem uczniów Wł. Baran (por. »Czas« z 19 sierpnia 1907 r.).

Spoczywa Potkański na cmentarzu krakowskim pod skromnym granitowym sarkofagiem w pobliżu swych nauczycieli, J. Szujskiego i W. Zakrzewskiego, oraz Oskara Kolberga, ojca ludoznawstwa polskiego.

IX. Człowiek i uczony. Śmierć Potkańskiego odbiła się żałobnym echem w całej Polsce. Wszystkie niemal czasopisma polskie doniosły czytelnikom o jego śmierci, wiele poświęciło mu obszerniejsze wspomnienia. Większość tych wspomnień, daleka od wszelkiej zdawkowości, tchnie głębokiem uczuciem i prawdziwą czcią dla zmarłego jako dla człowieka wyjątkowej wartości. Świadczy to najwymowniej o uroku, jaki Potkański wywierał na wszystkich, którzy z nim zetknąć się mieli sposobność.

Trudno mi się powstrzymać od przytoczenia choć kilku z tych pięknych zdań, przedewszystkiem dla ilustracji tego osobliwego stosunku, jaki wiązał Potkańskiego z innymi ludźmi.

Prof. B. Ulanowski, sekretarz generalny Akademji Umiejętności, na dorocznem posiedzeniu Akademji 16 maja 1908 poświęcił mu następujące wspomnienie pośmiertne:

»Prawdziwym ciosem dla Akademji i rozmaitych jej przedsięwzięć była śmierć Karola Potkańskiego... Oceniając jego działalność naukową z tego, co za życia drukiem ogłosił, wypada Zmarłemu przyznać stanowisko pierwszorzędnego i na wskróś oryginalnego badacza. Lecz to, co ogłosił, to tylko drobna cząstka tego, co przemyślał, naukowo zbadał i do wydania przygotował. Natura niezmiernie wykwintna, traktująca naukę niezwykle szeroko, a przytem na podkładzie artystycznym, ś. p. Karol Potkański łączył w sobie ścisłość i dokładność badacza ze smakiem i miarą wybitnego pisarza. Są historycy o wielkiej płodności literackiej, którzy dzieło za dziełem produkują, ale których twórczość blisko graniczy z rzemiosłem. Prace ich są pożyteczne, ale nie wywołują wrażenia silnie zarysowanego indywidualizmu i troski o szukanie nowych dróg dla rozszerzania widnokręgów przedsięwziętych badań. Karol Potkański z tym typem uczonych nie miał nic wspólnego. Dla niego praca nau-

kowa to nie było zastosowanie utartych metod, ale borykanie się z tem wszystkiem, co do swojej pracy chciał włożyć, za czem mozolnie szukał i co było odbiciem wielkiej jego intelektualnej wrażliwości. Jako profesor odznaczał się sumiennością nie tylko pedagogiczną, ale w najwyższym stopniu naukową. Miernikiem dla niego nie były tylko potrzeby uczniów, ale przedewszystkiem własne poczucie, czy to, co im daje, jest najlepszą cząstką jego naukowej możności.

»Przyjaciele jego i uczniowie tracą w nim szlachetnego towarzysza i przewodnika, ale nauka polska, najbardziej przez jego śmierć pokrzywdzona, traci jednego z tych uczonych, którzy nie zjawiają się często i których naszemu społeczeństwu najbardziej jest potrzeba«[1].

St. Eljasz-Radzikowski, lekarz interesujący się zawsze etnografją i historją, pisze w lwowskiem »Słowie Polskim«:

»Miał w sobie coś z typu szlachetnego Anglika, oddającego się nauce dla nauki, miłującego wiedzę ponad wszystko, dążącego ciągle naprzód ku prawdzie, z zaparciem się innych myśli czy względów.

»Nauka była życiem jego. Można powiedzieć, że się jej tak poświęcił jak zakonnik, że jej ślubował siły swe wszystkie, zamiary wszystkie... Metodą pracy nie tylko zajmuje, ale zachwyca.

»Witkiewicz w »Na przełęczy« opisał go i odrysował, jak stoi pod ścianami Mnicha i waży nań wyjście. Ten szczupły i cienki człowiek, patrzący na strome skaliska z pożądaniem zdobycia wieżycy, jakby z jednej olbrzymiej bryły — to ten sam nasz uczony, który w badaniach nie lęka się największych trudności i najcięższe właśnie podejmuje prace«.

Z. D. w »Bibljotece Warszawskiej« pisze znowu:

»Było w nim coś z Petronjusza i coś z Płoszowskiego. Przewyższał jednak obu zdolnością do wytężonej pracy... Pozostaje po nim w nauce imię duże, w sercach ludzkich wspomnienie jasne i dobra pamięć niepowszedniego człowieka«.

W »Tygodniku Illustrowanym« czytamy:

»Umarł Karol Potkański, jedno z największych świateł

[1] Rocznik Ak. Um. 1907—8, str. 65—66.

nauki polskiej, człowiek o mrówczej pracy, nieubłaganej logice, niesłychanie bogatej intuicji twórczej i przesubtelnem rozumowaniu. Potkański był obok Wojciechowskiego największym historykiem polskim w ostatnich czasach... Jego wrażliwość w rzeczach sztuki czyniła zeń poprostu żywy probierz wartości dzieł artystycznych które odczuwał całą duszą i sercem«.

W końcu dodam, że pierwszy tom »Galicji«, wydany w 1908, poświęciłem: »Pamięci Karola Potkańskiego, męża wielkiego rozumu i wzniosłego serca, który z zapałem badał przeszłość, odczuwał subtelnie teraźniejszość, a tęsknie marzył o lepszej przyszłości narodu«.

Na tem możnaby zakończyć charakterystykę Potkańskiego, odsyłając zresztą czytelnika do wydrukowanej na końcu wiązanki jego listów, pisanych do Wł. Natansona i K. Górskiego, jako do bezpośredniego źródła. Jeżeli mimo to poniżej staram się jeszcze dać szereg przyczynków do jego charakterystyki, czynię to jedynie z obowiązku doprowadzenia do końca rozpoczętej pracy.

Wysokiego wzrostu, szczupły, o twarzy suchej, niebieskich oczu, o wejrzeniu jasnem i przyjemnej intonacji głosu, zwykle pogodnie usposobiony, zawsze bardzo starannie ubrany, zewnętrzną swą postacią robił Karol Potkański miłe i pociągające wrażenie. Osobiste zetknięcie, dające poznać olbrzymie bogactwo jego ducha, przemieniało to wrażenie niemal u wszystkich w sympatję, u bardzo wielu rodziło wprost uwielbienie dla tego wytwornego arystokraty z ducha i pochodzenia, człowieka naprawdę najwyższej kultury, którą nietylko w pełni żył, ale i w swoim zakresie pomnażał.

Stosunki towarzyskie i przyjacielskie, wymiana poglądów naukowych i wrażeń artystycznych, objawy wzajemnej życzliwości i zrozumienia były głęboką potrzebą Potkańskiego. Ludzi pojmował i odczuwał nadzwyczajnie i umiał zawsze znaleźć wobec nich właściwą dla siebie, subtelną linję stosunku. Nawzajem w umysłach wrażliwszych, zwłaszcza młodzieży i kobiet, ten estet i praktyczny filozof [1], a przytem uczony, budził wprost, można powiedzieć, wrażenie cze-

[1] Por. listy pisane do Wł. Natansona 1891—1892, str. 71—75.

goś doskonałego, co nietylko interesuje, ale podnosi i uszlachetnia. Trzeba przyznać, że oddziaływały tu może także pewne rysy schyłkowości i przerafinowania, płynące z delikatności czyli raczej braku zdrowia. Na tym tle opinja, że Potkański był pierwowzorem Płoszowskiego, bohatera znanej powieści H. Sienkiewicza »Bez dogmatu«, wydaje się prawdopodobna, choć muszę stwierdzić, że zapytywany w tej mierze Sienkiewicz dał mi, po pewnym namyśle, odpowiedź przeczącą. W jednym z listów do Wł. Natansona, pochodzącym z r. 1897 lub 1898, pisał: »Umysł ludzki chodzi nieraz takiemi krętemi drogami, tak »mylnemi«, że trudno dziś orzec, co później z kogoś będzie. A zresztą — życie wogóle wymaga takiego ciągłego wysiłku, że nie każdy potrafi go podnieść a raczeć unieść i wynieść, gdzie należy, choćby na jakiś szczyt tatrzański — nie wyżej«. Słowa te charakteryzują pod pewnym względem jego pogląd na życie, nasunęło mu je zaś obcowanie z kilkunastoletnim synem Henryka Sienkiewicza, którym się opiekował w czasie nauki gimnazjalnej z przyjaźni dla ojca. W podobnym, acz nieco może dalszym, stosunku pozostawał do Ludwika Puszeta, który później rzeźbie się poświęcił (por. niżej list nr. 12 i 12 str. 80).

W stosunkach towarzyskich był Potkański daleki od jednostronności; nietylko w świecie uczonych i artystów tudzież w kołach arystokracji, ale i w kołach radykalno-narodowych, a nawet socjalistycznych »ludzi podziemnych«, miał dobrych znajomych, ceniąc przedewszystkiem szlachetność duszy i kulturę umysłu.

W towarzystwie umiał być nietylko przyjemnym gawędziarzem, ale i uważnym słuchaczem; choć miał własne zdanie niemal o wszystkiem, nie narzucał się z nim nigdy, dowcipny, a nawet cięty, nie popadał nigdy w ton zgryźliwy lub szorstki. Wyjątkowo, gdy było koniecznie potrzeba, zdobywał się na wyrażenia twarde, ale z widocznym wysiłkiem.

Jego nadzwyczajna wytworność form obejścia łączyła się z wielką prostotą i naturalnością. Osobiście skromny i do głębi rzetelny, zarówno w wielkich jak i drobnych sprawach, nienawidził pozy i blagi, nie miał nawet, jak to już podkreśliliśmy wyżej, uznania dla ceremonij i występów uroczystych, nie lubiał także wielkich zbiorowisk ludzkich, nie

brał np. czynnego udziału w żadnym z naszych zjazdów historycznych.

Poglądy Potkańskiego na zagadnienia społeczne i narodowe, oparte na gorącem uczuciu narodowem, głębokim rozumie i wielkiej nauce, wydawały się jakieś organicznie polskie i zdrowe. Uznawał on konieczność szybkiej ewolucji społecznej i emancypacji politycznej warstw ludowych, cieszył się z tych ich objawów, które nie groziły obniżeniem naszej kultury, widząc w nich zadatki i zabezpieczenie lepszej przyszłości narodu. Wszelką politykę ugodową wobec zaborców potępiał zawsze stanowczo, ale, zasadniczo ostrożny i wstrzemięźliwy, nie zapalał się do polityki bezwzględnej opozycji, uważał bowiem, że narodowi trzeba przedewszystkiem przyrostu kultury i materjalnych zasobów i siły odpornej wobec nacisku narodów i państw najezdniczych.

Piękno było zasadniczym składnikiem życia Potkańskiego, stałą potrzebą jego duszy. Jego zmysł estetyczny, nadzwyczajny czujny i trafny, szukał piękna wszędzie, w naturze, w sztuce i w życiu swojem i bliźnich, i to zarówno wewnętrznem, jak i zewnętrznem, należał bowiem do tych ludzi, co nie odłączają dobra od piękna, nie znoszą koło siebie brudu, ani moralnego, ani fizycznego, ani też nie są w stanie popełnić nic brzydkiego.

Jak dbał o ubranie, tak samo zwracał uwagę na urządzenie mieszkania, co się uwidoczniało w meblach, w wielkim wyborze dobrych reprodukcyj wybitnych dzieł sztuki, w gustownych oprawach książek jego troskliwie i z wielkim nakładem zbieranej bibljoteki podręcznej [1].

Wspominaliśmy już wyżej o jego serdecznym stosunku do Tatr (str. 7—8), o jego wielkiem zamiłowaniu do sztuki ludowej (str. 7), o jego czci dla poezji (str. 6), tutaj dodać można, że próbował nawet tłumaczenia utworów angielskiego poety Rossetti'ego. Doskonałem świadectwem wytrawności jego sądu o sztuce plastycznej jest pomieszczony niżej list z wystawy sztuki w Berlinie w 1891 r. Z innego listu mogłoby się zdawać, że muzyka była mu obojętną,

[1] Bibljoteka Potkańskiego przeszła w części do Bibljoteki Jagiellońskiej, a w części została rozsprzedana między historyków krakowskich, pieniądze zaś stąd uzyskane przeznaczono na nagrobek dla Zmarłego.

w rzeczywistości jednak odczuwał ją i lubił słuchać muzyki, podobnie jak śpiewu; zachwycał się Wagnerem, Chopinem i Bethovenem, nie miał tylko ucha muzykalnego.

Potkański był całkowicie oddany nauce. Wiedzy nie tylko służył, ale życie złożył w ofierze. Siłą rozpędową jego życia było poszukiwanie prawdy, a sięgał tak daleko, jak wogóle wiedza ludzka sięga. Najlepszą miarą jego umysłu są studja filozoficzne i przyrodnicze, a zwłaszcza fizjologiczno-psychologiczne, których się jął, będąc już samodzielnym pracownikiem w swojej specjalności historycznej. Mozoląc się nad zdobywaniem szczegółowych prawd historycznych, nie tracił perspektywy, ale zdawał sobie jasno sprawę z właściwego ich znaczenia, i na odwrót, dążąc do zrozumienia najogólniejszych zagadnień bytu ludzkiego, nie lekceważył indywidualnych zjawisk historycznych. Był Potkański umysłem prawdziwie syntetycznym, choć na pozór, na podstawie prac drukowanych, mogłoby się zdawać, że analiza była jego główną cechą; zdążał tylko do syntezy nie wprost, ale metodą indukcyjną, powoli i systematycznie.

Zaczął od badań historycznych, po pewnej przerwie powrócił do nich i pozostał im wierny do końca życia, ale oparł je na najszerszej podstawie całej wiedzy o człowieku, posługując się wynikami i metodami antropologji, etnologji, socjologji, antropogeografji, językoznawstwa, historji prawa i kościoła. Pomocną mu przytem była rozległa znajomość języków europejskich, w ostatnich latach nawet uczył się języków: duńskiego i szwedzkiego dla korzystania ze źródeł i z literatury historycznej skandynawskiej.

Metoda pracy Potkańskiego była doskonale dostosowana do epoki, którą się zajmował, gdzie źródła płyną cieniuchnemi nićmi, często się urywają lub zostawiają ledwie dostrzegalne ślady. Polegała ona na właściwem matematyce, szczegółowem rozważaniu wszystkich czynników i względów oraz możliwych rozwiązań, z których w końcu jedno najbardziej uprawdopodobnione wybierał. Wprowadzał niejako czytelnika do swej pracowni i czynił go z całą szczerością i otwartością świadkiem swoich zmagań się i wysiłków celem zdobycia prawdy, dając możność fachowemu czytelnikowi całkowitej nad sobą, od początku do końca, kontroli, przez

co wyniki jego badań, choć nie zawsze pewne, zawsze pobudzają myśl i zachęcają do dalszej pracy. Rozprawy jego mają też dlatego odrębną budowę i właściwy sobie styl.

Kto znał Potkańskiego, kto widział, jak wiecznie wątpił, zaczepiał i sprawdzał poprzednie swoje i cudze prace i sądy, a nawet spostrzeżenia i uczucia, a nie znał jego prac, nie wierzyłby, że może on się zajmować tak trudnemi i ciemnemi zagadnieniami historycznemi, jakim się poświęcał. Sceptycyzm jego nie szedł jednak za daleko, nie był chorobliwy i nie zmuszał go do zaniechania wszelkiej walki o prawdę, zaostrzał tylko żądzę jej zdobycia i potęgował zabiegi.

W pracy był nietylko gruntowny i sumienny, ale trzeźwy, ostrożny i powściągliwy, niekiedy może aż do przesady. Nie popuszcza wodzy fantazji, ale posuwa się krok za krokiem, ważąc każde słowo. Praca szła mu dlatego powoli, tekst rozpraw często poprawia i przerabia, czasem nawet parokrotnie, jak świadczą pozostałe rękopisy. Ponieważ dba przytem bardzo o formę zewnętrzną, o poprawność języka i jasność wykładu, łoży w swoje rozprawy ogromną ilość trudu.

Jeżeli obejmiemy całość życia i działalności naukowej Potkańskiego, to musimy stwierdzić, że jako człowiek był jednym z szlachetniejszych przedstawicieli swego pokolenia a jako uczony zajął stanowisko pierwszorzędne, biorąc olbrzymi, powiedzmy nadludzki niemal rozmach. Od początku interesowały go w historji nie jednostki i zdarzenia, ale społeczeństwo i jego grupy, ich stany i dążenia rozwojowe. Próbował stworzyć ścisłą, przyrodniczą metodę do badań społeczno-historycznych. Był to program, który sobie stawiało niewielu z pośród znakomitszych historyków, stawiało, ale nie urzeczywistniało. I Potkański go nie wykonał. Śmiała jego myśl doznała załamania. Niepoślednią rolę odegrał przy tem brak sił fizycznych i środków materjalnych. Zmuszony do zawieszenia swego »wielkiego planu«, nie wyrzekł się go bynajmniej, ani nie zwątpił w jego wartość. Jest prawdopodobne, że, po ugruntowaniu swego bytu materjalnego, przy sprzyjających warunkach byłby do niego powrócił, w każdym razie byłby niewątpliwie starał się wykończyć pracę o pamięci.

W zmniejszonym programie naukowym Potkańskiego przewodnią ideą naukową jest niewątpliwie rozwój osadnictwa polskiego. Opracowanie tego wielkiego zagadnienia byłoby niejako wykonaniem pewnego szczegółowego punktu tamtego najogólniejszego programu. Pracował nad niem ciągle, ale z ogłoszeniem się nie spieszył, pragnąc dać dzieło jak najbardziej przemyślane i wykończone, słowem, ile możności, doskonałe. Wszystkie rozprawy, ogłoszone przez Potkańskiego, można uważać albo za przygotowawcze do tej pracy, albo za przygodnie napisane. Po pierwszym referacie w Akademji w 1889 pracował nad zagadnieniami osadniczemi w 1895 i 1896, a wreszcie w 1904 i 1906, a więc pod sam koniec życia, ale nie było mu sądzonem wykonać i tego zmniejszonego programu.

Stanowisko Karola Potkańskiego w historjografji polskiej pozostanie na zawsze wybitne, nie tyle przez to, co zrobił, ile przez to, co chciał osiągnąć. Nie był to tylko pracowity rzemieślnik historyczny, zasłużony producent rozpraw i komunikatów. W rozwoju swoim jako historyk zachowuje nadzwyczajną jednolitość i odrębną własną indywidualność. Wyniki jego pracy są niewątpliwie bardzo liczne i cenne: rozjaśnił i udowodnił bardzo wiele zagadnień z pierwotnych dziejów Polski, poruszył wiele innych i wskazał nowe sposoby ich badania, słowem stanowił w naszej historjografji czynnik nowy, doniosły i pożądany. Rozstrzygający wpływ na jego stanowisko w nauce ma ów daleki cel, który mu przytem przyświecał, który sobie świadomie stawiał, cel stworzenia dla historji podstaw naprawdę naukowych i wypełnienia tej przepaści, która dzieli dotąd nauki ścisłe i przyrodnicze od nauk humanistycznych i historycznych. Dążenie to kazało mu zdobywać to wszechstronne wykształcenie, którem górował nad towarzyszami zawodowymi, które mu pozwalało spoglądać na historję z wyższego, ogólno-naukowego punktu widzenia. Wycisnęło to wyraźne piętno na jego pracach i wyraziło się w metodzie, którą się posługiwał. Szkoły nie wytworzył, albowiem, choć miał po temu warunki osobiste, za krótko działał na uniwersytecie. Ale wpływ jego był znaczny na wielu młodszych historyków i będzie jeszcze długo oddziaływać na późniejszych, chociaż iść w jego ślady nie jest łatwo.

X. Pisma pozostałe. Spuścizna rękopiśmienna Potkańskiego nie da się ułożyć chronologicznie. Prawie żadna z pozostałych prac po napisaniu nie była odłożona na bok jako zakończona i zamknięta ostatecznie, ale nadal była niejako ciągle w robocie. Potkański nie spieszył się z ogłaszaniem swoich rozpraw, lecz, śledząc dalej za zagadnieniami, którem były poświęcone, poprawiał je, uzupełniał i znacznie przerabiał dzięki rozszerzeniu badań albo pogłębieniu sądu. Są ślady np. w studjach, poświęconych osadnictwu, że je przerabiał cztero- a nawet częściowo pięciokrotnie. Należy więc przyjąć układ ich rzeczowy.

1. Najważniejszą pracą, śmiało rzec można, dziełem życia Potkańskiego miała być rzecz o osadnictwie polskiem. Pracował nad nią od lat uniwersyteckich do końca życia z niezwykłem zamiłowaniem i znawstwem. Składa się ona z 3 części, prócz rozdziału wstępnego:

1) Osadnictwo na Podhalu,
2) Osadnictwo w puszczy radomskiej i
3) Osadnictwo kurpiowskie.

W tych trzech monografjach chciał Potkański zawrzeć przekrój pierwotnego osadnictwa polskiego od granic południowych do północnych. Nie są one jednak równomiernie obrobione ani wykończone, najmniej posunięta jest monografja puszczy kurpiowskiej, przykry jest także brak obrazu fizjografji Radomskiego. Na szczególną uwagę zasługują końcowe wywody o pierwotnem rolnictwie, należące do wcześniejszej redakcji. Jest to najobszerniejsza z pozostałych rozpraw a zarazem najwięcej wymagająca pracy redakcyjnej; już na samo uporządkowanie rękopisu sporo trzeba było czasu poświęcić. Wobec niewykończenia najodpowiedniejszy jest dla niej tytuł: »Studja osadnicze«.

2. Najbliższą poprzedniej pracy co do treści i metody jest praca złożona już przez Potkańskiego z dwóch pierwotnie odrębnych rozpraw: *a)* Plemiona polskie, *b)* Organizacja grodowa. Interesująca ta praca, która miała prawdopodobnie nosić tytuł: Początki państwa polskiego, jest niestety tylko fragmentem, ale mimo to bezwarunkowo godnym druku pod tytułem: Studja nad ustrojem grodowo-plemiennym na obszarze Wielkopolski.

3. Całość najbardziej do druku przygotowaną stanowią trzy studja o mitologji polskiej: I. Stado, II. Topienie Marzanny, III. Wiadomości Długosza o mitologji, wszystkie trzy oparte na Długoszu i będące obroną jego wiadomości przeciw hyperkrytycyzmowi prof. A. Brücknera.

4. Rozprawa: O Popielu i Piaście, opatrzona przypiskami, choć jest nieskończona, zasługuje na ogłoszenie.

5. W związku z rozprawą o »Postrzyżynach Słowian i Germanów« pozostaje praca: Napis na nagrobku Bolesława Chrobrego i zwyczaj posyłania włosów do Rzymu. Drugą część zamierzał, zdaje się, osobno wydać, znajduje się też w trzech redakcjach, sądzę jednak, że należy wydać i część pierwszą, ponieważ różni się znacznie od wcale obszernego komunikatu w Sprawozdaniach z posiedzeń Ak. Um. z r. 1896 a jest niewątpliwie późniejsza.

6. Praca: O uposażeniu klasztoru w Mogilnie, wykazująca związek pierwotnego uposażenia tego klasztoru z biskupstwem w Płocku, napisana pierwotnie przed »Opactwem na łęczyckim grodzie«, była potem przerobiona, i to dwukrotnie, choć jej nigdy w Akademji nie referował.

7. Ród Nagodzców, ostatnia praca, którą przedstawiał w Akademji w r. 1907, jest zredagowana zadawalniająco, ale nie zaopatrzona w przypiski.

Pozostają jeszcze dwa rękopisy, nie należące ściśle do historji, ale bardzo ważną rolę odgrywające w rozwoju Potkańskiego jako uczonego. Jeden z nich traktuje o socjologji a drugi o pamięci, wspominaliśmy o obu w życiorysie.

8. Jeszcze w r. 1891 czytał Potkański w Akademji referat: Metoda w socjologji. Odpowiadający mu rękopis, zatytułowany »Socjologja«, zawiera trzy początkowe rozdziały zamierzonej większej pracy; charakteryzują one związek i granice życia społecznego ze zjawiskami biologicznemi i psychologicznemi. Początek przeredagował później i zmienił znacznie, tak że nie harmonizuje on z resztą rękopisu. Na tekście całym znajdują się poprawki i dopiski robione prawdopodobnie po r. 1898. Nie rozstrzygając pytania, czy podobne poglądy nie zostały wypowiedziane później przez obcych uczonych, już ze względu na znaczenie tych studjów dla rozwoju myśli Potkańskiego powinien być

ten fragment wydrukowany, tem bardziej, że polska literatura jest dosyć uboga pod tym względem.

9 Rękopis rozprawy: O pamięci znajduje się w dosyć lichym stanie, pełnym przekreśleń i poprawek, przedstawia jednak ona tak dużą wartość, że prof. Heinrich, który zachęcał Potkańskiego jeszcze za życia do jej ogłoszenia, podjął się ją obecnie wydać.

Obowiązkiem wydawców jest oddać wiernie myśl autora jego własnemi słowami, nie mogą jednak wobec stanu większości rękopisów uniknąć pewnych czynności redakcyjnych: 1) gdy chodzi o wybór pomiędzy dwoma lub więcej redakcjami autora, 2) gdy chodzi o przejście od ustępu w jednej redakcji do następującego ustępu w drugiej redakcji, 3) gdy w tekście jest luka, którą trzeba wypełnić choć kilku słowami, 4) gdy tekst jest rozwlekły a nic nowego nie przynosi np. w niektórych opisach geograficznych.

Co do przypisków, któremi miał zamiar autor zaopatrzyć rozprawy, to niepodobna niekiedy odszukać i domyślić się, co autor miał zamiar w każdym poszczególnym wypadku powołać i podnieść w przypisku, choć pozostał po nim znaczny zbiór notat czyli wypisów. Brak tych przypisków nie może budzić żadnych wątpliwości i obaw o wartość naukową prac pośmiertnych Potkańskiego, gdy wiemy, jak sumiennym i rzetelnym był on w pracy. Potkański mógł się mylić i w tych rozprawach, jak mylił się w ogłoszonych za życia, ale mimo to zdanie jego, formułowane zawsze z rozwagą i po głębokim namyśle, powinno być wysłuchane i poważnie potraktowane.

Od uzupełnień, sprostowań i dopisków od siebie wstrzymują się wydawcy, choć niejednokrotnie mogliby się czuć do tego spowodowani odmiennym poglądem własnym na dane zagadnienie, ponieważ uważają to za niezgodne z pietyzmem dla zmarłego, a sposobności do wyrażenia odmiennego zdania nie braknie im z pewnością.

Bibljografja K. Potkańskiego

Zapiski herbowe z dawnych ksiąg ziemskich, przechowanych w archiwach radomskiem i warszawskiem. Archiwum Komisji historycznej tom III (Scriptores rerum pol. t. IX) str. 119—151, Kraków 1886. To samo w odbitce: Kraków 1885, str. 35.

Rec. O. Balzer, Kwartalnik hist. rocz. I (1887) str. 294.

Zagrodowa szlachta i włodycze rycerstwo w województwie krakowskiem w XV i XVI wieku. Rozprawy wydz. hist.-filoz. Akad. Um. tom 23, str. 173—267, To samo w odbitce: Kraków 1888, str. 95.

Rec. A. Rembowski, Tygodnik ilustr. 1889, nr. 336—337.

O pierwotnem osadnictwie w Polsce. Sprawozdania z czynności i posiedzeń Ak. Umiej. z 15 kwietnia 1889.

Über die Uransiedlungen in Polen. Bulletin international de l'Academie des sciences de Cracovie 1889, str. XXV—XXXI.

Metoda w socjologji. Sprawozdania z czyn. i posiedz. Ak. Umiej. z 14 grudnia 1891.

Naukowa działalność Lotara Darguna. Przegląd Polski, Kraków 1893, tom IV, zeszyt październikowy, str. 122—164. To samo w odbitce: Kraków 1893, str. 45.

Rec. A. Rembowski, Bibljoteka Warszawska, 1894, t. II, str. 177.

Postrzyżyny u Słowian i Germanów. Rozprawy wydz. hist.-fil. Ak. Umiej. t. 32, Kraków 1895, str. 330—406. To samo w odbitce: Kraków 1895, str. 87.

Rec. A. Rembowski. »Słowo« (dziennik), Warszawa 1896, nr. 217.

Dr. J. Franko. »Lud« (miesięcznik), Lwów, roczn. 2 (1896), str. 81—83.

F. Krček. Przegląd literacki, 1896, I.

J. Vondrak. Archiv. f. slav. Philologie 1896, str. 308.

Jan Karłowicz, Głos (tygodnik), Warszawa 1896, str. 176—177.

Die Ceremonie der Haarschur bei den Slaven und Germanen. Bulletin internat. Ac. des scienc. 1896, str. 232—251.

Studja nad osadnictwem Polski w wiekach średnich. Część II. Bartnictwo i organizacja bartnicza (Kurpiowie). Sprawozdania z czyn. i posiedz. Ak. Um. z 22 kwiet. 1895.

Granice i osiedlenie Podhala. Sprawozdania z czyn. i posiedz. Ak. Um. z 16 marca 1896.

Pierwsi mieszkańcy Podhala. »Czas« (dziennik), Kraków 1896, nr. 185 i 186 z 13 i 14 sierpnia. To samo: Pamiętnik Tow. Tatrzańskiego. Rok 1897, tom XVIII, Kraków 1897, str. 82—93.

Grenzen und Ansiedlungen des Tatralandes (Podhale). Bulletin internat. Ac. des sciences 1896, str. 97—100.

Napis grobowy Bolesława Wielkiego. Sprawozdania z czyn. i posiedz. Ak. Um. z 15 marca 1896.

Kraków przed Piastami. Sprawozdania z czyn. i pos. Ak. Um. z 15 lutego 1897.

Kraków przed Piastami. Rozprawy wydz. hist.-fil. Ak. Um., t. 35, Kraków 1898, str. 101—255. To samo w odbitce: Kraków 1897, str. 155.

Rec. Fr. Piekosiński. Kwartalnik hist., rocz. 12 (1898), str. 393—402

K. Gorzycki. Bibljoteka Warszawska 1898, zesz. lipcowy, i »Lud« (Lwów) rocz. 4 (1889), str. 336—338.

A. Lewicki. Przegląd Polski (Kraków) 1898, zesz. lutowy.

A. Rembowski. Gazeta Warszawska 1898, Nr. 155

M. Gozdawa. Gazeta Warszawska 1898, Nr. 69.

J. F. Gajsler. Prawda (Warszawa) 1899, Nr. 20.

M. Hruszewski. Zapyski Tow. Naukoweho im. Szewczenki, tom 26.

J. F. Gajsler. Vestnik slov. starožitnosti (Praga) rocz. 2 (1889).

J. Pekař. Česky časopis. hist. (Praga) rocz. IV (1898) zesz. 3.

Česky lid (Praga) 1897, zesz. listopadowy.

Krakau in der Zeit vor den Piasten. Bulletin internat. Ac. des sciences, Kraków 1897, str. 97—100.

Lachowie i Lechici. Sprawozdania z czyn. i posiedz. Ak. Um. z 8 marca 1897.

Lachowie i Lechici. Rozprawy wydz. filolog. Ak. Um. tom 27, Kraków 1898, str. 173—256. To samo w odbitce: Kraków 1897, str. 74.

Lachen und Lechiten. Bulletin internat. Ac. des scien. 1897, str. 95—97.

Przegląd spornych kwestyj najdawniejszej polskiej historji. I. Lechici. II. Piast. Sprawozdania z czyn. i posiedz. Ak. Um. z kwietnia 1898.

Lechica. (Antoni Małecki, Lechici w świetle historycznej krytyki, Lwów 1897). Kwartalnik hist., roczn. XII (1898) str. 291—300.

Wizyta archidjakonatu sądeckiego z r. 1608. O budownictwie drewnianem. Sprawozdania Komisji dla badania historji sztuki w Polsce, tom VI, Kraków 1900, str. XCVIII (sprawozdanie z posiedzenia Komisji 24 lutego 1898).

Modrzewiowy pałac Kazanowskich w Ciepielowie w Radomskiem. Tamże, str. CXXIII.

Kraków przed Piastami. Rocznik Krakowski, tom I (1898) str. 287—325. (Częściowo streszczenie, a częściowo nowe opracowanie pracy drukowanej w 35. tomie Rozpr. Ak. Um.).

Studja nad XIV wiekiem. I. Konfiskata majątków Jana i Mikołaja z Kębłowa w r. 1334. II. Piotr Wydżga, starosta sądecki, i naprowadzenie Litwinów w r. 1376. III. Skargi szlachty małopolskiej na Kazimierza Wielkiego o nieprawny zabór majątków. Sprawozdania z czyn. i posiedz. Ak. Um. z 20 marca 1899.

Studja nad XIV wiekiem. I. Walka o Poznań. II. Domniemana zdrada Wincentego z Szamotuł. Sprawozdania z czyn. i posiedz. Ak. Um. z 19 czerwca 1899.

Studja nad XIV wiekiem Nr. IV. Polityka wewnętrzna Ludwika Węgierskiego w początkach panowania. Sprawozdania z czyn. i pos. Ak. Um. z 20 listopada 1899 (wzmianka).

Studja nad XIV wiekiem Nr. IV. Walka o Poznań (1306—1312). Rozprawy wydz. hist.-fil. Ak. Um. t. 38, 1899, str. 275—294. To samo w odbitce: Kraków 1899, str. 20.

Rec. Al. Semkowicz, Kwart. hist. rocz. XIV (1900) str. 702—704.

Zdrada Wincentego z Szamotuł. Rozprawy wydz. hist.-fil. Ak. Um. t. 38, Kraków 1899, str. 374—395. To samo w odbitce: Kraków 1899, str. 22.

Rec. Al. Semkowicz. Kwartalnik hist. rocz. XV (1901) str. 261—267.

Wzmianka o wizytacji dekanatu bobowskiego w r. 1607. Sprawozdania Komisji do badania historji sztuki w Polsce t. VII (1901), str. LXVI.

Najświętsza Panna t. zw. Łokietkowa w Wiślicy. Tamże, str. LXXXIX.

O inwentarzach XVI i XVIII wieku (wzmianka). Tamże, str. CXL.

Nieznani malarze, zajęci w kolegjacie Łęczyckiej w latach 1414—1445. Tamże, str. CXC—CXCI.

Jeszcze o Piaście (Z powodu rozprawy prof. Brücknera »O Piaście« Kraków 1897). Kwartnik hist. rocz. 14 (1900), str. 1—16.

Studja nad XIV wiekiem. Nr. VI. Daty zjazdów koszyckich. Sprawozdania z czyn. i posiedz. Ak. Um. z 15 stycznia 1900 r.

Studja nad XIV wiekiem. Nr. VI. Daty zjazdów koszyckich. (1373, 1374, 1379). Rozprawy hist.-fil. Ak. Um. t. 39 (1900), str. 252—282. To samo w odbitce: Kraków 1900, str. 31.

Rec. Al. Semkowicz. Kwart. hist. rocz. XVI (1902), str. 113—116.

Studja nad XIV wiekiem. Nr. III. Sprawa restytucji (r. 1374—1381). Rozprawy wydz. hist.-fil. Ak. Um. t. 39 (1900), str. 151—170. To samo w odbitce: Kraków 1900, str. 20.

Rec. W. Semkowicz. Kwart. hist. rocz. XV (1901), str. 101—109.

Granice djecezji Krakowskiej. Sprawozdania z czyn. i posiedz. Ak. Um. z 19 kwietnia 1900.

Granice biskupstwa krakowskiego. Rocznik Krakowski t. IV (1900), str. 201—231. To samo w odbitce: Kraków 1900, str. 33.

Rec. Wł. Abrahama. Kwart. hist. rocz. XIV (1900), str. 500—502.

Kolegjata w Opatowie. Sprawozdania z czyn. i pos. Ak. Um. z 14 lipca 1900.

Badania historyczne i etnologiczne nad rozsiedleniem plemion polskich. Sprawozdania z czyn. i pos. Ak. Um. z 27 listopada 1900.

Kasztelanie wielkopolskie w najdawniejszej dobie swego istnienia. Sprawozdania z czyn i posiedz. Ak. Um. z 18 marca 1901 (wzmianka).

Jeszcze o restytucji. Sprawozdania z czyn. i posiedz. Ak. Um. z 20 maja 1601 (wzmianka).

Studja nad XIV wiekiem. Nr. VII. Jeszcze sprawa restytucji. Rozprawy wydz. hist.-fil. Ak. Um. t. 41 (1902), str. 42—74. To samo w odbitce: Kraków 1901, str. 35.

Rec. Wł. Semkowicz. Kwart. hist rocz. XVI (1902), str. 100—113.

Opactwo na łęczyckim grodzie. Rozprawy wydz. hist.-filoz. Ak. Um. t. 43 (1903), str. 81 - 180.

Rec. St. Zakrzewski. Kwart. hist. rocz. XVI (1902), str. 295—299.

O pochodzeniu Słowian. Kilka uwag z powodu książki prof. Niederlego p. t. »O pochodzeniu Słowian« i pierwszego tomu »Starożytności słowiańskich« tegoż autora. Kwartalnik historyczny rocz. XVI (1902), str. 233—261.

Rec. Česky časopis hist. 1902, str. 506.

Recenzja z pracy St. Krzyżanowskiego, Poselstwo Kazimierza Wielkiego do Awinionu i pierwsze uniwersyteckie przywileje, Kraków 1900. Przegląd Polski, Kraków 1902, t. I, str. 106—111.

Wiadomości Długosza o mitologji polskiej. Sprawozdania z czyn. i posiedz. Ak. Um. z 20 październ. 1902.

Podział państwa polskiego między Bolesławem Krzywoustym a Zbigniewem. Sprawozdania z czyn. i posiedz. Ak. Um. z 18 maja 1903.

Przywilej z r. 1086. Kwart. hist. rocz. XVII (1903), str. 1—28.

R. Česky časop. hist. 1903, str. 352; tamże 1904, str. 53 (J. Pekař).

O pochodzeniu wsi polskiej. Ognisko, Warszawa 1903, zesz. 10. To samo: Przegląd prawa i administracji. Lwów, rocz. 30, (1905), str. 609—654. To samo w odbitce: Lwów 1905, 8°, str. 48. To samo w zbiorowem wydawnictwie: Wieś polska, Lwów 1906, 8°, str. V—LII. (Wydawnictwo Tow. dla popierania nauk społecznych w Krakowie).

Obszerne streszczenie w »Czasie« z 16 kwietnia 1903, numer poranny (Kraków).

Studja nad osadnictwem Polski w wiekach średnich. Sprawozdania z czyn. i posiedz. Ak. Um. z 22 lutego 1904 (wzmianka).

Święty Wojciech. »Czas« (dziennik), Kraków 1904, z 1, 3, 4 i 6 maja. To samo: »Ognisko« (miesięcznik), Warszawa 1904, zesz. październikowy, str. 21—38.

Studja nad XIV wiekiem Nr. VIII. Zajęcie Wielkopolski. Sprawozdania. z czyn. i posiedz. Ak. Um. z 12 lipca 1904.

Konstantyn i Metodjusz. Sprawozd. z czyn. i pos. Ak. Um. z 24 paźdz. 1904.

Lud. Organ Towarzystwa ludoznawczego we Lwowie. pod redakcją K. Potkańskiego i S. Udzieli. rocz. X. Kraków 1904, 8°, str. 472. Od redakcji. Tamże, str. 1—3 (podpisali K. Potkański i S. Udziela).

Materjały historyczne (Dawne nazwy świąt. Pisanki wielkanocne). Tamże, str. 217—218.

Materjały historyczne (Znaki graniczne). Tamże, str. 446—447.

Recenzja z A. P. Stoiłowa, Legengrad v jugosławianskata narodna poezija. Sofja 1912. Tamże, str. 467.

Rec. z A. P. Stoiłowa, Brada na niwata. Żetwarski obred. Sofja 1903. Tamże, str. 468.

Lud, pod tąż samą redakcją, rocz. XI, Kraków 1905, 8°, str. 440

Z wierzeń i przesądów ludu na Podhalu. Tamże, str. 51.
Wiatr. Tamże, str. 195.
Sprowadzanie deszczu. Tamże, str. 316.
Pierwszy grzmot (odpowiedź na poszukiwania). Tamże. str. 317.
Od redakcji. (Podpisali K. Potkański i S. Udziela). Tamże, str. 440.

Konstantyn i Metodyusz. Przegląd powszechny (miesięcznik) Kraków, 1905, tom 85, str. 177—208, 371—403, tom 86, str. 183 i 310.
To samo w odbitce, Kraków, 1905, str. 145.

Studja nad XIV wiekiem, Nr. VIII. Zajęcie Wielkopolski (Rok 1313 i 1314). Rozprawy wydz. hist.-fil. Akad. Um. t. 47,(1905), str. 158—171. To samo w odbitce, Kraków, 1905, str. 16.

Geneza organizacji grodowej w Polsce. Sprawozdania z czyn. i pos. Akad. Um. z 11 kwietnia 1905.

Studja nad XIV w. Zajęcie Wielkopolski przez Łokietka. Sprawozdania z czyn. i pos. Akad. Um. z 22 stycznia 1906. Streszczenie podane w Sprawozdaniach za październik 1906, pod tyt.: Studja nad XIV w. Jeszcze o zajęciu Wielkopolski.

Studja nad średniowiecznem osadnictwem Polski. Rozmieszczenie osad na obszarze Małopolski. Sprawozdania z czyn. i pos. Akad. Um. z 23 kwietnia 1906.

Drużyna Mieszka a wikingi w Jomsborgu. Sprawozdania z czyn. i pos. Akad. Um. z 18 czerwca 1906.

Ród Nagodziców. Sprawozdania z czyn. i pos. Akad. Um. z 18 marca 1907.

Wspomnienia pośmiertne o Karolu Potkańskim.

»Czas« (Kraków) 1907, nr. 187.
»Nowa Reforma« (Kraków) 1907, nr. 375.
»Głos Narodu« (Kraków) 1907, nr. 368.

»Słowo Polskie« (Lwów) 1907, nr. 380 i 384 (St. Zakrzewski) i nr. 386 (St. Eljasz Radzikowski — nekrolog bardzo piękny, obszerny i pełen cennych wiadomości biograficznych).

»Kurjer Lwowski« 1907, nr. 382.

»Kurjer Warszawski« 1907, nr. 228.

»Tygodnik Illustrowany« 1907, nr. 34, podpis K.

»Świat« (tygodnik) 1907 nr. 34.

J. Czecha Kalendarz Krakowski 1908, str. 74—75.

Rocznik Akademji Umiejętności (Kraków) 1908, str. 65.

Kronika Uniwersytetu Jagiellońskiego za r. szk. 1907/8. (Kraków) 1908, str. 5.

Kwartalnik Etnograficzny »Lud« (Lwów), roczn. XIII, (1907), str. 348—349.

Česky časopis historicky 1907, str. 465.

Bibljoteka Warszawska 1907, tom III, str. 406—8, podpis Z. D.

Wykłady uniwersyteckie Prof. K. Potkańskiego.

1901/2 półrocze letnie:

Historja wschodniej Europy od IX do XI wieku.

1902/3 półrocze zimowe:

Historja wschodniej Europy w X—XII w. (ciąg dalszy).

Osadnictwo i formy osadnicze średniowieczne (ze szczególnem uwzględnieniem krajów słowiańskich).

1902/3 półrocze letnie:

Historja Anglji w średnich wiekach

1903/4 półrocze zimowe:

Historja Francji i Anglji od XII do XV w.

Początki państwa polskiego.

1903/4 półrocze letnie:

Historja krajów austr. w ciągu średnich wieków.

Historja Normanów.

1904/5 półrocze zimowe:

Historja krajów austr. w wiekach średnich (ciąg dalszy).

Początki i rozwój konstytucji angielskiej w ciągu wieków średnich.

Dzieje państwa polskiego od śmierci Bolesława Wielkiego.

1904/5 półrocze letnie:

Historja krajów austr. w wiekach średnich.

Historja papiestwa w IX wieku (Mikołaj I, Hadryan II, Jan VIII).

1905/6 półrocze zimowe:

Historja średnich wieków od V do IX w.

Polska i Ruś od IX do XI wieku.

1905/6 półrocze letnie:

Historja wieków średnich (ciąg dalszy).

Polska i Ruś w X i XI wieku.

Listy Karola Potkańskiego [1].

1. *Do Konstantego Górskiego z Berlina 30. IV. 1891.*

(Sprawozdanie z wystawy sztuki w Berlinie).

Mój Drogi!

Jak wygląda polska sztuka na wystawie? Trudno odpowiedzieć na to pytanie. W każdym razie nie jest ona gorszą od innych — choć bardzo fragmentaryczna. My uzupełnić ją możemy, umiemy, ale jak patrzy cudzoziemiec? Czem się my wyrażamy, wypowiadamy? Co nowego wnosimy? Bo przecież wnosić musimy — już przez to samo, że istniejemy, że patrzymy na nasz kraj naszemi oczami, że mamy nasze aspiracje i pragnienia. Ale jak to wyrażamy? Środki są dla wszystkich jednakie — i to samo słońce dla wszystkich przyświeca i tak samo wszystkich obowiązuje. Jesteśmy młodzi — a świat już jest stary — od wieków malował — przechodził różne szkoły, style i maniery, musieliśmy być przez niego zaskoczeni. Co myśmy dali a cośmy wzięli? — Co wziąć było trzeba? jakeśmy się zaczepili o tę europejską sztukę? — Dziś każdy talent wyziera na szeroki świat, może brać co chce i jak chce. Aleksander Gierymski byłby wszędzie wielkim kolorystą, Czachurski — talent mniejszy — malowałby swoje atłasy i bez nas. Wiesz, że w sztuce nie jestem szowinistą, więc i ci panowie zupełnie mnie zadowalają. — Ale inne od całej reszty pejzaży są pejzaże Chełmońskiego — innem »Ka-

[1] Wyżej w Życiorysie są przytoczone w przypiskach listy Potkańskiego na str. 7 (urywek), na str. 8 (cały), na str. 21 (urywek), na str. 24 (2 urywki w tekście), na str. 28 (urywek), na str. 30—31 (w tekście), na str. 34 (urywek w tekście).

zanie Skargi« Matejki (strasznie zniszczone) — na tej wystawie może cała sztuka polska w tem się mieści.

Opowiadał p. Wrotnowski, że »Introdukcja« Malczewskiego[1] bardzo jest oglądana i wielkie wzbudza zainteresowanie — wśród malarzy, zresztą publiczności jeszcze dotąd niema na wystawie. Dziś obserwowałem, jak się temu obrazowi malarczyki przyglądali — i było mi to bardzo miłem, sam nie wiem czemu. Obraz Włodzia[2] dobrze wisi, podobał się Witkiewiczowi. Jaka szkoda, że niema choć paru supraport Jacka. Wiesz, że nie ze względów familijnych to mówię, ale Jacek — to zawsze ktoś, którego się nie spotyka tak wszędzie.

Jeden obraz Gierymskiego jest zupełnie zniszczony — drugi lepiej dochowany, Chełmońskiego jest cztery pejzaże — z tych najlepsze może Stado kuropatw w śnieżną zadymkę. Jesień jego jest w Ehrensalon. Co za Ehrensalon? Wiszą tam różne... portrety cesarza i cesarzowej Angelego i Brożik.

Nie ma tam rzeźby, gdzie nie ma Francuzów — to wielcy w sztuce panowie! Strasznie wielcy! Anglików mało — jeden Alma-Tadema, kilka dobrych portretów. Z oddziału hiszpańskiego zostały mi w głowie części kolorowe różnych obrazów jako wrażenia; kilka jest bardzo ciekawych, ale nie ma Pradilli ani Benlliure'a. Wszędzie widać znowu nową wielką manierę, która obchodzi cały świat — wszystko jakieś białawe, rozpylone i fioletowawe z zatraceniem stosunków (rapport des valeurs), figury wychodzą zawsze dosyć słabo — a w naturze tak nie jest! Obserwowaliśmy to wczoraj koło Altes Museum i każdy wszędzie obserwować może. — Wrażenie robią Norwegowie — kilka pejzaży wspaniałych. Wogóle pejzaż — to zdaje się bardzo nowoczesna część sztuki i bardzo dziś ciekawa, zupełnie nowa zdobycz. Jutro jesteśmy na otwarciu wystawy, zobaczę więc den Reisekaiser.

Twój

Karol.

[1] »Introdukcja« powstała w r. 1890, była także na zbiorowej wystawie dzieł Jacka Malczewskiego w Warszawie w r. 1903 jako własność Marji hr. Grabowskiej.

[2] Włodzimierz Tetmajer.

2. *Do Konstantego Górskiego z Zakopanego w lecie 1891 (?)*

Witkiewicz — Tarnowski — Górski jako krytyk teatralny. — Wspomnienia artystyczne z Berlina).

Mój Drogi!

Z dnia na dzień schodziło mi jakoś — i dotąd nie napisałem listu do Ciebie. A przychodziłeś mi w tych czasach coraz częściej na pamięć — miałem stały zamiar napisania, aby się coś o Tobie dowiedzieć. — Ale u mnie myśleć o czemś a zrobić coś — to zupełnie dwie różne rzeczy. Panu Henrykowi[1] w Krakowie gorąco! — Jest to uczucie, którego tutaj ani razu nie doznałem — i zwątpiłem, czy jeszcze tego lata doznam. Zresztą nie tęsknię za nim tak dalece. — Witkiewicz był tu chory — odnowiły się dawne rzeczy w płucach — teraz już lepiej, bo gorączka ustąpiła. Był u niego prof. Tarnowski (przyprowadzony przez panią Raczyńską) z oznajmieniem, że sam chce pisać w »Przeglądzie« o jego książce[2]. Bardzo to było miłe z jego strony. A propos Witkiewicza — tak mu się podobały Twoje recenzje o grze pani Heleny[3], że miał i ma do Ciebie pisać; mówił mi, że mógłbyś obserwować i życie, jeśli umiesz tak »fajnie« obserwować sztukę, to jest pisać nie krytyki, ale nowelle lub powieści. Zrób to Mój Drogi — a dobrze! Profesora mi żal, wprawdzie mogę się z nim o »N. Reformę« spierać, ale do jego nerwów mam zawsze sympatję. Pani Ostrowska tu chorowała — i na kiszki czy żołądek — i na imaginację również. Wszystko to jednak na szczęście skończone. — Jak będziesz w Berlinie, pokłoń się odemnie »przemiłemu« Antoniemu Kostaneckiemu, jeśli on tam jeszcze jest, i wszystkim wspólnym znajomym. Mam tam jeszcze znajomych i to dobrych znajomych na wystawie. W czerwcu jeszcze były w pogodne dni takie same Tatry, jak Alpy na obrazach Segantiniego, ale identycznie takie same — jako ton.

---

[1] Mowa o Henryku Sienkiewiczu.

[2] Mowa o świeżo wydanej książce: Sztuka i krytyka u nas. Warszawa 1891, str. XVI i 530. Recezję tę napisał Tarnowski w »Przegladzie Polskim« 1891, zeszyt październikowy, str. 163—183.

[3] Mowa o Helenie Modrzejewskiej, która w 1891 występowała w teatrze krakowskim. K. Górski pisał swoje recenzje w »Czasie«?

O mało, że się nie — jak to powiedzieć — nie zająłem osobą z portretu Herkomera — chodziłem tam do niej co dzień umyślnie. Wprawdzie nic nie mówiła, ale co to szkodzi! Może to było jeszcze subtelniejsze wrażenie — niż od żywej osoby. Znam morze tylko z obrazów. Piękne jest tam jedno Düchera i dwa norwegskie fiordy — ale Ty, Mój Drogi, zobaczysz prawdziwe morze — czego Ci szczerze zazdroszczę.

Twój

Karol.

P. s. Pieczętuję list port-bonheur'em — prawdziwym skarabeuszem egipskim — na szczęśliwą drogę. Takie dodawanie i ja znałem — ale idiotów, nie teozofów, a może teozof = idiocie?

3. *Do Wł. Natansona nie datowany, prawdopodobnie z 1891.*

(Charakterystyka stosunku między Potkańskim a Natansonem).

Drogi Panie!

Pisze Pan w swoim ostatnim liście: — »jeśli naprawdę myśli Pan z przyjemnością o naszych przeszłych i przyszłych rozmowach«. — Otóż, istotnie myślę z przyjemnością — i to wielką — o przyszłych a wspominam zawsze przeszłe z niemniejszą. Ale jakże ja Panu tego dowiodę? Czy jesteśmy zupełnie sami? I tak, i nie. Matematyka przedstawia stosunki między wielkościami czy przedmiotami — i to pojęcie stosunku stwarza pojęcie wielkości — bez niego ono nie istnieje. Czy tak? Coś podobnego — ale tylko coś podobnego — dzieje się i z nami. Próżnoby się ktoś silił wypełniać — nie wiem jak małemi liczbami — wszystkie przejścia od jednej wielkości do drugiej. Praca to daremna, bo nicby nie zapełnił — a zatracił pojęcie stosunku, pojęcie ciągłości. Miałby w swym ręku garść niczem nie spojonych ziarnek piasku.

Czy i my tylko taką garścią piasku jesteśmy? Czy obojętni i zupełnie obcy wzajemnie? To niemożliwe i sprzeczne z całym światem zjawisk, którego część stanowimy! Nieskończenie drobne, zawiłe i poplątane elementa wiążą i nas wzajemnie. I stosunek ten każdego z nas do innych

nie jest tylko czysto formalnym, »logicznym« — jest on i psychicznym, bo zresztą jednego elementu od drugiego rozdzielić nie podobna, np. ja. — Czy Pan pamięta wrażenie, jakie na mnie zrobiła entropia? Kto mi o niej powiedział? Wszak Pan [1]. Dziś jest to już moją własnością. I tak bez końca przykładów takich możnaby dawać. Tylko — tylko, że zawsze coś zupełnie niedzielnego i bezwzględnego na samym dnie w każdym z nas musi pozostać. Coś, co i dla nas nie jest i nigdy nie będzie świadomem, choć się nazywa »świadomością«. — »Spinning tops« — już sobie zapisałem. Heaviside'a — obejrzałem »zdaleka« u prof. Witkowskiego — i to mi wystarcza najzupełniej. Drogi Panie — jaka jest dobra geometrja (Euklides) — taka, do której mógłbym zajrzeć, jak kto gdzieś powoła się na nią? Innej nie pragnę. Wszyscy tu zdrowi.

Szczerze życzliwy

Karol.

4. *Do Wł. Natansona z datą 24. VII. 1892. Bracka 10 (Kraków).*

(Obserwacje naukowo-psychologiczne — stosunek do Witkowskiego).

Many and many thanks for Your kindly remembrance. Wie Pan, że jestem gorliwym czytelnikiem wszystkiego, co Pan napisze — i co jeszcze nie jest — beyond my reach.

Czytałem »Solitude« Maupassant'a — Tak jest, Drogi Panie, nie ulega żadnej wątpliwości, że tak jest i tak być musi. Znalazłem w tej nowelce niejeden z moich własnych stanów psychicznych. — A więc i drudzy tak czują? I drugim się zdaje, że coś nagle przecina wątek ich myśli w chwili, kiedy mówią, co się w nich dzieje? Naturalnie. — ale ja zawsze i to nawet sam czuję. Daleko zajść można, myśląc o tem. Można zupełnie wziąć na serjo to znane twierdzenie, że każdy z nas jest tylko fenomenem dla drugiego, że hipotezą właściwie jest każde psychiczne życie, które nie jest mojem własnem.

[1] Por. Wł. Natansona świetną popularną rzecz »Pogląd na rodzaje zjawisk materjalnych w wszechświecie«, drukowaną w »Przeglądzie Polskim« 1900, t. IV, str. 405—418.

Nerwowo znieść nie mogę automatów — nawet woskowych figur takich np. jakie się widzi w Musèe Grevin. Otóż kiedyś siedziałem sam późnym wieczorem, czytając jakąś psychologję. Nagle z wrażeniem fizycznego przestrachu pomyślałem: a któż wie? Ci wszyscy, których widzę, to może właściwie automaty? Przecież tylko ruchem porozumiewamy się z sobą? Wtedy zbierała mnie ochota dotknąć się kogoś, wziąć za rękę i spytać, czy to możliwe, czy to prawda? Było to w Zakopanem, rzeczywiście nikogo nie było — wyszedłem z pokoju i naturalnie ochłonąłem. Widzi Pan, że to myśl może prowadzić nawet do takich przewidzeń. — Ale z drugiej strony może i lepiej, że tak jest? Niech Pan tylko przez chwilkę pomyśli, że jest inaczej, że wszyscy o wszystkiem wiedzą, za wszystkich czują, myślą i wchodzą w ich świadomość — że Pan w swoim mózgu może mieć naraz takiego gościa! Nie, to przecież niemożliwe! Wtedy nic już do Pana nie należy — poprostu niema już nas zupełnie. Więc to rozbicie zjawisk psychicznych — na jakieś atomy czy »mikrokosmy« jest może dobrem. Po co ten pan z nowelki Maupassant'a tak koniecznie chciał wyjść z siebie? Trzeba się z tem pogodzić — oto wszystko. Montaigne ma rację: La plus grande chose au monde c'est de sçavoir estre à soy — tylko że to bardzo trudno.

Parę dni temu wracałem sam jeden ze spaceru koło dziewiątej wieczór, zobaczyłem prof. Witkowskiego na balkonie, czekał na jakiś telegram od żony. Namówił mnie, żeby wejść na górę. Chciałem już powiedzieć: »nie uwierzy Pan«, ale przypomniałem sobie, że Pan uwierzy, jaki miły wieczór przepędziłem! Wyszedłem zupełnie pod jego urokiem[1]. Pierwszy raz mówiliśmy ze sobą więcej i dłużej. Odważyłem się mówić o kwestjach, o których z Panem czę-

[1] W niedatowanym liście do Wł. Natansona (prawdopodobnie koło Bożego Narodzenia 1892) wypowiada Potkański o prof. Auguście Witkowskim i jego żonie następujący sąd:

Byłem u PP. Witkowskich w przeszłym tygodniu — przed świętami... Czy wie Pan? Czasem mi się zdaje, że to najszczęśliwsi ludzie ze wszystkich moich znajomych — takie wrażenie robią. To stanowi niemały ich urok. Może i oni nie mają ziszczonych wszystkich swoich pragnień, w to przecież nie wchodzę. Widzę tylko, że są spokojni, dobrzy, zadowoleni z siebie i z drugich, słowem pogodni.

sto rozmawiam, zresztą więcej słuchałem i byłem bardzo rad z tego. Mówił dużo o samej »materji«, o różnych hypotezach, które o nich tworzą — słowem o tych najogólniejszych już kwestjach

Radbym teraz być gdzieś z Panem — miałbym się o niejedno zapytać i o niejednem pomówić. ale to gdzieś w październiku nastąpi.

Moi znajomi żalą się, że w moich listach nigdy nic nie ma, co się ze mną dzieje i co się wogóle dzieje ze wspólnymi znajomymi. Otóż staram się z tego poprawić — i po różnych wrażeniach i stanach psychicznych, o których piszę, podaję na końcu i małą gazetkę. Prof. Witkowski wyjechał już do Krynicy, prof. Cybulski przedwczoraj do Suchej, Kocio i ja siedzimy tu jeszcze. Ja w pierwszych dniach sierpnia wyjadę do Zakopanego i będę się tam od Pana kłaniał panu Gosiewskiemu.

Yours sincerly

Karol

5. *Do Wł. Natansona z Krakowa 3. VIII 1892.*

(Wolna wola i przypadek — »simulacra« myśli i wrażeń).

Drogi Panie!

Różne myśli przychodziły mi do głowy po przeczytaniu listu Pana. Czy Pan pamięta w etyce Spinozy ustęp o wolnej woli? — Przypuśćmy kamień wyrzucony z pewną prędkością w pewnym kierunku, który »uświadamia« każdy punkt przebieżonej drogi. To go łudzi, zdaje mu się, że od niego zależy prędkość i kierunek drogi. Otóż taki kamień — to człowiek. Ale można pójść dalej, można powiedzieć, że tak jak w pewnym układzie wolne drogi cząsteczek i ich spotkania są ściśle określone przez samą naturę układu — tak samo i w świecie zjawisk psychicznych — i wolne drogi i spotkania, wzajemna wymiana, wzajemne oddziaływanie są już z góry dane i określone. Przez nie muszą się spełniać jakieś ogólniejsze psychiczne zjawiska i one również w ten sposób muszą dążyć do »jakiegoś« wiecznie nieznanego stanu równowagi, w którym nicby się już nie działo, w którymby zjawisk nie było i nie byłoby połączonego z niemi rozbicia. Ale tymczasem nic o nim nie wiem i ni-

gdy, nic, nigdzie (?) wiedzieć nie będę. Tak jak tu jestem, złudzenie, że mogę wybierać, że w świecie psychicznym moje ja coś znaczy — przecież dużo warte.

Zresztą i »złudzenie« — to takie dobre zjawisko, jak i inne. Co więcej, stanowi ono i moje własne dobro w życiu; więc niech będzie jak chce — nic mnie tu nie krępuje niezrozumiała konieczność i cieszę się zawsze, że mnie »przypadek« zbliża i łączy z ludźmi — z tymi, z którymi pragnę być bliżej. I to już dosyć.

Chodząc po plantach — szczególniej wieczorami — spoglądam w stronę kościoła Kapucynów i Studenckiej ulicy. Zdaje mi się czasem, że gdzieś zawieszone w powietrzu istnieć muszą Lucretiuszowskie »simulacra« naszych wspólnie przegadanych wrażeń i myśli. Ale nie długo już tych moich spacerów po plantach w Krakowie. W sobotę lub niedzielę wyjeżdżam do Zakopanego. Kto wie, może razem z PP. Witkowskimi, którzy wrócili z Krynicy i także w tych dniach jadą do Zakopanego. Wczoraj był tutaj prof. Cybulski; — zamordował parę żab przy jakimś doświadczeniu i wrócił napowrót do Suchej.

Szczerze życzliwy

Karol.

6. *Do Wł. Natansona prawdopodobnie z 1892 (niedatowany) około Bożego Narodzenia.*

(Pesymizm i zły stan zdrowia Potkańskiego).

Drogi Panie!

Pyta się Pan, czemu i ja pisuję niewesołe listy? Otóż muszę się przyznać — zresztą i Pan, znając mnie, wie o tem — że mam stałą dążność do popadania w różnego rodzaju życiowe i myślowe pesymizmy. Bardzo łatwo i świat i ludzie zachodzą u mnie szarą mgłą, szarym oparem, który przysłania i zaciemnia wszystko. A Pan wie — drogi Panie — każda mgła dręczy i niepokoi — jeśli się w niej dłużej przebywa, bo jest mgła nie tylko mroczną, ale i duszną. Gdyby jeszcze była błękitną — to co innego, ale o taką zawsze trudniej. Dla czego tak jest? Sądzę, że to trochę wrodzona tendencja umysłu, wszak i moja »metafizyczność« może w części stąd pochodzić. Wpływa jednak na to i zdro-

wie w pewnej mierze. Źle sypiam, mam dosyć częste bóle głowy i nie bardzo szczególny żołądek. A to — bądź co bądź — jest ważną podstawą w tem, co się nazywa spokój i równowaga psychiczna. Pogląd to może trochę starokawalerski — ale cóż robić, kiedy słuszny...

7. *Z listu niedatowanego do Wład. Natansona — prawdopodobnie z początku lipca 1893.*

(Stosunek do muzyki).

Zaraz tego samego dnia po naszem pożegnaniu poszedłem do prof. Witkowskiego do Zakładu. Mówił mi, że pójdzie jeszcze do Gluzińskiego w sprawie pańskiego zdrowia. Wie Pan, jak mnie podszedł? Zapytał: Czy muzyka nie jest Panu zupełnie niemiłą? Odpowiedziałem bez zająknienia, że jestem tak niemuzykalny i tak dalece nie mam ucha, że — zdaje mi się — mógłbym słuchać i kociej muzyki. »A to w takim razie może Pan do nas przyjdzie w sobotę. Będziemy urządzać kwartet (czy coś podobnego) z prof. Cybulskim, on na wiolonczeli, a ja na fortepianie. Wahałem się, czy Pana prosić, bo to — wie Pan — nasza muzyka amatorska, nie każdy ją może znieść«. Naturalnie — może Pan sobie wystawić — jakem się wycofywał: »Owszem — zrobi mi wielką przyjemność kwartet Państwa — tak znowu niemuzykalnym nie jestem. Wprawdzie pięć lat się uczyłem, gamy zagrać nie umiem, ale cóż z tego etc. etc.«[1]. Tylko teraz nie wiem, jak ich obydwóch jutro będę chwalił!

Yours

Karol Potkański.

8. *Do Wł. Natansona z Zakopanego bez daty (wtorek), prawdopodobnie z lata 1893.*

(Zły stan zdrowia).

Drogi Panie!

Otóż jestem tu od wczoraj! Przyjechałem z prof. Smolką i Rostafińskim. Że drogę miałem przyjemną — o tem nie

[1] W rzeczywistości Potkański nie był muzykalny, ale muzykę lubiał i chętnie chodził na koncerty.

potrzebuję mówić. Jaki będzie pobyt? Dziś ładnie, pogoda, ciepło, więc jestem dobrej myśli. Dr. Jaworski raz jeszcze mi powtórzył, że Karlsbadu nie potrzebuję — tylko hydropatji, której tu zresztą ani myślę robić. Nie wiem, czasem sądząc po objawach, które mi się nieraz dały mocno we znaki — myślę, że on lekceważy moją chorobę, czy jak tam nazwać moje żołądkowe cierpienia. Mais, je me ratrappe i mówię sobie: Nie, to brzydko być hipochondrykiem! Chcę, żeby on miał rację.

9. *Do Wł. Natansona niedatowany (niedziela) z Zakopanego, prawdopodobnie z lata 1893.*

(Zdrowie — D'Alembert).

Drogi Panie!

Nie mogę powiedzieć: piszę do Pana, aby Pana pożegnać, ale mam to wrażenie. — Przecież Pan wyjeżdża z Karlsbadu na daleki Zachód! Niech Pan odemnie jak najserdeczniej pozdrowi Kostaneckiego. Niech go Pan za mnie przywita. Kissingen musiało mu dobrze zrobić. Ja czasem rozmyślam nad tem, że jednak zrobiłem głupstwo, nie jadąc do Karlsbadu. Gdyby tak rzeczywiście było, to w każdym razie wina także i — Jaworskiego. Czemu mi tego nie zalecił! Czytam tutaj — niech Pan zgadnie! — Discours préliminaire de l'Encyclopedie d'Alembert'a. Wygasły dawno wulkan, który wstrząsnął myślą ludzką w swojem czasie. Dziś wszystko to już wiemy — »wypromieniował« — co miał psychicznej energji, która przeszła już przez tysiączne przemiany od tego czasu. Cytaty możnaby z Discours brać ładne, jedną nawet założyłem dla Pana — o elektryczności.

10. *Do Konstantego Górskiego z Zakopanego 38. VIII. 1896.*

(Z powodu ślubu K. Górskiego — Stan zdrowia — Brak zmysłu do uroczystych formalności).

Kochany Kociu!

Pisałem już do pana Zygmunta Chłapowskiego, przepraszając go, że przyjechać nie mogę. Teraz piszę do Ciebie, Mój Drogi. Wiesz, że myślę często o Tobie i o Was

Obojgu — o Waszem wspólnem szczęściu — robię nawet różne plany za Ciebie, jak zwykle każdy je robi dla ludzi sobie bliskich, którzy go obchodzą. Istotnie nie mogę jakoś przyjść do zdrowia w Zakopanem. Na domiar złego popsułem sobie od kilku dni żołądek i ciągle na niego choruję, pojmujesz więc, że w tych warunkach podróż jest trudną. A zresztą muszę Ci się przyznać, że wszelkie uroczystości, albo raczej »uroczyste formalności« nic do mnie nie mówią. Na odczucie tego brak mi jakoś zmysłu — wiem zresztą po części, dlaczego tak jest i z czego to pochodzi. Jest to brak — ze wstydem się do niego przyznaję — ale cóż robić! I takie wesołe — i smutne uroczyste chwile pozostawiają mnie obojętnym — nie wiem co zrobić z moją figurą, jak raz biorę w nich udział. A wierzaj mi — nie pochodzi to z obojętności. Bynajmniej! Dużo o Was myślałem — i myśleć nie przestanę, i cieszyć się tem. co Was cieszyć będzie, i pragnąć dla Was wszystkiego najlepszego. Znając mnie — jak znasz — sądzę, że w to wierzysz — nie weźmiesz za złe i zechcesz wytłumaczyć przed Twoją Panią, której najlepsze pozdrowienia i życzenia zasyłam.

Twój

Karol Potkański.

11. *Do Konstantego Górskiego, przebywającego w Paryżu, bez daty, prawdopodobnie z przed końca marca 1897.*

(Stan zdrowia — Wiadomości o przyjaciołach — Pogląd na kulturę niemiecką).

Mój Drogi!

Wybacz — ale i ja czasem mam takie chwile (które trwają długo, dłużej, niż powinny), że ciężko mi się zebrać na pisanie listu — nawet do Ciebie! Widuję ludzi z przyzwyczajenia — prócz tych paru bliższych — po za tem zdobyć się na jakąś »uporządkowaną« rozmowę, jaką jest każdy list, bardzo mi trudno. Ale nie sądź, żebym o Tobie nie myślał! Bynajmniej, ale to wszystko jest »incoherent«, bezładne, jak myśli ludzi zdetrakowanych.

Co do obrazu Jacka — to mówił mi wczoraj: poślij go gdzie chcesz, na wszystko się zgadza i jest Ci bardzo

wdzięczny, że myślisz o nim. Kazio jedzie za tydzień do Neapolu — do stacji zoologicznej. Natanson wyjeżdża z Krakowa — on znowu »na tydzień« do Warszawy[1] — z gardłem nie jest jeszcze zupełnie dobrze. Wczoraj byliśmy u niego; »my«, to znaczy Kazio, Jacek i ja.

Źle, że chorujesz, — wiem z doświadczenia, że Paryż męczy, choć Ty masz przecież czas na wszystko, nie potrzebujesz się spieszyć — jak pierwszy lepszy turysta Nie jestem i ja zdrów — daleko do tego, ale mimo to dużo robię. Wiesz dla czego? Bo się na nic nie oglądam. Męczy mnie to, czy nie — szkodzi lub nie — wszystko zobojętniało dla mnie Kręcę też korbą, choć zgrzypi — inaczej już zresztą nie będzie. Pani Marja jest w Nizzy. Pani Szembekowa zawsze Cię bardzo serdecznie wspomina (wspomina też, żeś jej zabrał książkę z Twemi wierszami), zdrową nie jest. Pani Puszetowa miała lumbago.

Kociu — czemu Ty pisujesz o »metodzie« jako o das Ding an sich? Gdybym nie był tak zmęczony, jak jestem — napisałbym o tem do Ciebie. Widzisz, zostawmy innym wyrazy! »Dekadentyzm« — to także stadjum o ewolucji ludzkiej myśli — zgoda — to koniec czegoś, ale nie wszystkim dano kończyć i cywilizację. Co dziś mają Niemcy? Francję kiedyś — nie tak zresztą dawno — przed rokiem 1870 trzeba było zwodzić — ideałem. Niemcy go mają: H. K. T. — Polenhetze Bismarka! Dla nich to może podniosłe. a w każdym razie ważne, ale dla reszty ludzi — dla ludzkości co to ma za wartość? Oni nie potrzebują złudzeń, nawet blagi. Wierzaj mi, znam ich z ich własnych kronik średniowiecznych — zostali tacy sami. Flaubert dobrze ich określił — to barbarzyńcy studjujący gramatykę porównawczą i sanskryt. W głębi duszy każdy z nich jest w części przynajmniej barbarzyńcą. Dla nich w tem leży siła, ale dla innych — nie wiem co, co z tego? W każdym razie nie idea moralna. Zresztą w naukach ścisłych — do dziś dnia Paryż wyżej stoi — spytaj Władzia[2]. Wszystko Ci to

[1] Jest tu mowa o wyjeździe po skończeniu zimowego półrocza w Uniwersytecie krakowskim.

[2] Wł. Natansona.

piszę z powodu listu Twojego do Lula Puszeta. Bywaj zdrów, Mój Drogi.

Twój

Karol.

P. s. Papiery posyłam — poślę w tych dniach. Książkę odebrałem[1] i bardzo Ci za nią dziękuję. Pani serdeczne pozdrowienia załączam.

12. *W liście do K. Górskiego z 3. VI 1897*

znajduje się ustęp charakteryzujący stosunek Potkańskiego do sztuki w sposób bardzo dobitny.

Był tu Godebski; tak mu się podobały rzeźby Lula Puszeta, że go koniecznie namawiał, aby talentu tak wybitnego nie marnował i poświęcił się sztuce. Swoją drogą opowiedział mi kiedyś treść swojej pracy o ołtarzu u św. Florjana[2]. Jest to zupełnie porządna naukowa robota, ale niech naukę rzuci — sztuka więcej warta. — Każdy z nas zresztą jest stronny w tym względzie, może więc źle mu radziłem? Nie wiem, nie piszę więcej, bo się boję, że wpadnę w ton zwykłych pesymizmów.

Twój

Karol.

13. *Do K. Górskiego z Zakopanego 24. X. 1897.*

(Refleksje społeczne i polityczne — z powodu urodzenia się Górskiemu syna).

Mój Drogi!

Nie myśl przypadkiem (a może i myślisz), że ja zapomniałem odpowiedzieć na list, w którym donosisz mi o przyjściu na świat syna. Miałem poczucie czegoś bardzo bliskiego i bardzo osobistego, jakem Twój list przeczytał, a przytem — czy uwierzysz? — jakiegoś niespokoju o to młode, nowe życie, ale niespokoju czysto moralnego, duchowego, nie żadnego innego, Mój Drogi!

[1] Był to prawdopodobnie drugi tom Année psychologique, o który prosił w liście z 21. I. 1897.

[2] Jest to: Ołtarz św. Jana Chrzciciela w kościele św. Florjana, druk. w Sprawozdaniach Komisji do badania historji sztuki w Polsce, tom VI, str. 139–152.

Jakim on sam będzie i czego dożyje? Chciałem mu posłać życzenia, ale, widzisz, są one takie, że przez granicę posyłać ich nie chciałem. Niech mu będzie lepiej niż nam, niech będzie z samym sobą w lepszej zgodzie, niż my, ale boję się powiedzieć: niechaj będzie w zgodzie ze światem, w którym żyć będzie. Tego życzenia boję się wypowiedzieć i tego życzyć Twemu i Waszemu synowi — choć to takie potrzebne i takie cenne! A wiesz dla czego? Boję się o jedno: czy on tak samo będzie czuł, jak my, i czy on przypadkiem nie będzie widział innej Polski, niż my? Nie mieć pragnień, których się ziścić nie może i w których ziszczenie się wątpi — to wielkie dobro w życiu. A jednak nie życzę tego Waszemu synowi i życzyć w żaden sposób nie mogę. Jest to może egoizm nas starszych, słowem pokolenia, które w cień zachodzi, nie zrobiwszy może wiele, ale przecierpiawszy wiele, i które trawi niepokój: co się stanie z tem, co ono chciało jeszcze ratować? Ten cały niepokój — to może formą wątpienia, ale nie mówmy o tem! Są myśli, za któremi nie można się oglądać, jak za palącą się Sodomą. Dosyć, że ja posyłam dzisiaj Waszemu synowi życzenia, aby miał mimo wszystkich i wszystkiego te same, co my, ideały i pragnienia. Nie wątpię, że te moje życzenia są i Waszemi w tym razie. Wszak prawda? My już polityki ugodowej nie będziemy prowadzić!

Ściskam Cię serdecznie, Twój

Karol Potkański.

P. s. Pani ręce całuję.

14. *Do Wł. Natansona z Krakowa 7. VIII. 1899.*

(Stan zdrowia Potkańskiego i znajomych).

Mój Drogi!

Wróciłem przed paru dniami z Zakopanego i tylko na dni kilka. Tak się bowiem złożyło, że muszę przed 15 b. m. oddać manuskrypt do drukarni. Niewielki on jest, ale — duży czy mały — zawsze go oddać i ukończyć trzeba. P. Michałowski pojechał dzisiaj do Zakopanego. Ma się za zdrowego, je dosyć i nie ma żadnych bolów. Ale to jest rak. Ubywa go stale i wygląda źle. Czasem mi się zdaje, że on

trochę udaje i siłą się trzyma. Pani Puszetowa pojechała do Reichenhall; ostatnią o niej wiadomość miałem z Wiednia. Czy szczęśliwie dojechała, nie wiem, bo adresu wiedeńskiego mi nie podała i nie wiem, gdzie telegrafować. Tyle, Mój Drogi, o znajomych. Ja nie jestem ani zdrów, ani chory. Zakopane robi mi dobrze, ale tylko »dobrze« — nic więcej. Z latami dynamika organizmu (jeśli ją tak można nazwać) zmienia się, wahania są mniejsze na dobre i na złe. Trochę to wygląda na »rigidity« — niezupełnie, ale przecież trochę. Tak się musi dziać i ze mną. Wczoraj z okna wagonu zapytał mi się Henio, który z ojcem i z siostrą wyjeżdżał do Wenecji, czy p. Natanson jest w Krakowie. Przypomniało mi to Twoje ukłony.

Yours very truly

Karol Potkański.

P. s. Pisz, Mój Drogi: Zakopane, spragniony jestem zawsze wiadomości o Tobie.

15. *Do K. Górskiego z Wiśniowej w pow. Strzyżowskim 30. XII. 1899.*

(Z powodu śmierci bar. Puszetowej).

Kochany Kociu!

Miałem tu zabawić do Trzech Króli, ale wrócę wcześniej. Na pogrzeb pani Puszetowej nie zdążę, bo musiałbym nocą jechać, a tego muszę unikać ze względu na moje zdrowie, które szczególniej w ostatnich czasach świetne wcale nie jest. Pociągu rannego nie ma, więc wyjadę dopiero we wtorek po południu i będę w Krakowie wieczór, to znaczy: będę na nabożeństwie. Zresztą, prawdę powiedziawszy, pogrzeb jest dla mnie już niczem; jak wiesz, nie mam w duszy nic, coby mi kazało samemu oddawać tę ostatnią przysługę, jak to ludzie nazywają. Tak samo, jak mogłyby dla mnie niestnieć nagrobki i cmentarze. To może źle, ale tak jest i tak zostanie. Dla mnie dopiero wtedy ginie człowiek mi bliski, jak ginie w mojej pamięci — a pod tym względem mam dobrą pamięć. Jednym z najważniejszych powodów, dlaczego wracam wcześniej, jest ten, że chcę widzieć Lula, skoro już raz wiem, że jest

w Krakowie. Bądź tak dobry i powiedz mu to, albo pokaż list.

Yours
Karol Potkański.

16. *Do Wł. Natansona z Wiśniowej nad Wisłoką 30. XII. 1899.*

(Pesymizm i zły stan nerwów).

Mój Drogi!

Posyłam Ci serdeczne życzenia Nowego Roku. Wyznaję, życzenia te są więcej negatywne, np. życzę Ci, abyś nie był chory, abyś nie był zbytnio pracą umysłową zmęczony etc. Ale i to są dobre życzenia! Ja wyjeżdżam stąd 2 stycznia. Pobyt na wsi bardzo mi posłużył. Lepiej śpię i lepiej t. j. więcej jem, niż w Krakowie, to jest powodem, że mam nerwy spokojniejsze. Wogóle uważałem, że dla nas obu stanem wyjątkowym a przynajmiej nieledwie wyjątkowym jest stan uciszenia się nerwów (pod jakąkolwiek zresztą postacią), a przecież powinien to być właściwie stan normalny i dla większości ludzi jest nim!

Yours truly
Karol Potkański.

17. *Do Wł. Natansona z Zakopanego 30. VIII. 1900.*

(Pesymizm — Wrażenia prof. Witkowskiego ze zjazdu naukowego w Paryżu).

Mój Drogi!

Adresu Kazia nie mam. Wiem, że mieli pojechać do Bretanji — ale gdzie, nie wiem. Jak możesz pisać to, co napisałeś o zarażaniu swojem pesymizmem czy nieusposobieniem a raczej przygnębieniem? Kogo, mnie? Ależ, Mój Drogi, tego pesymizmu (czy jak to nazwać) mam więcej od Ciebie! Możemy sobie powiedzieć: Solamen miseris etc. — Możemy bez wzajemnej szkody udzielać sobie wzajemnie wszystkich wiadomości w tym kierunku. Pod tym względem możesz być zupełnie spokojnym — niestety.

Widziałem tu prof. Witkowskiego. Przymizerniał po Paryżu. Pytałem go o wrażenia. Odpowiedział, że był jak

»mucha w zegarze« t. j. mucha, która się dostała przypadkiem między koła i kółka n. p. ściennego zegaru. Położenie takiej muchy (takiej »idealnej« muchy) istotnie bardzo wesołem nie jest. Dobrze też ono maluje wrażenia pp. Witkowskich. Pytałem się o zjazd. Mówił, że był dosyć bezładny, a do tego Francuzi bardzo uprzejmi nie są. Zwyczajnie, jak ludzie, którzy się już mogą bez uprzejmości obejść. Poznał jednak prof. Witkowski kilku swoich »fachowców« i odnowił dawną znajomość z lordem Kelwinem, który był bardzo serdeczny. Zabawi tu (prof. W., nie lord Kelwin) zdaje mi się przez wrzesień. Jeszcze u niego nie byłem i nie wiem, czy będę. Siódmego września wybieram się z powrotem do Krakowa. Z początku było mi tutaj bardzo dobrze — teraz nie bardzo. Za wiele, Mój Drogi, z sobą samym przestajemy Ty i ja — ale jak się od siebie samych uwolnić? Może zupełna zmiana wrażeń i otoczenia byłaby pomocną? Musisz to kiedyś wziąć dla siebie pod uwagę. I podróże mają swoje dobre strony.

Twój

Karol.

P. s. Ale — dla czego piszesz na adresie Dr.? Czyżbyś to brał na serjo?

18. *Do Wł. Natansona z Krakowa 15 września, prawdopodobnie 1900.*

(Stosunek do Henryka Sienkiewicza syna — zmęczenie fizyczne i duchowe stanem chronicznym Potkańskiego).

Mój Drogi!

Wróciłem z Zakopanego we środę (11. IX.), ale dopiero dzisiaj uporządkowałem stół ostatecznie i zabrałem się do pisania listów a przedewszystkiem do napisania listu do Ciebie. Wróciłem z Zakopanego, bo to już ostatni rok gimnazjum Heniowego, więc chciałem być jak najdłużej z nim razem i przedłużać złudzenie, że on jeszcze student z niższych klas i że ja go wychowuję. Rzeczywistość prawie już temu przeczyć zaczyna, ale może właśnie dla tego, że to już tylko »resztki« rzeczywistości, więc je trzeba cenić i ochraniać.

Póki byłem w Zakopanem, byłem — mogę powiedzieć — wcale nieźle, lecz nic więcej ponadto. Teraz zaczynam odczuwać zmęczenie i jakiś jestem fizycznie »nietęgi«. Zmęczenie, ale tym razem mówię o psychicznem zmęczeniu, zaczyna stanowić właściwą istotę mojej fizycznie zmęczonej osoby. Może się to razem trzyma? Być może, ale nie tak »zupełnie« jednak, jak się ludziom zdaje. Zmęczenie psychiczne to wynik myślenia, uświadamiania, a wiem już z doświadczenia, że jedno za sobą pociąga drugie. Nie uświadamiać znaczy nie żyć — a uświadamiać? Boję się łatwego parodoksu i dla tego nie mówię: cierpieć — w każdym zaś razie: być nieuleczalnie zmęczonym. Boję się, że się wzajemnie zarażamy pesymizmem.

Very truly yours

K. P.

P. s. Bardzo mi tutaj Ciebie brak. Dziwne, że np. nie poszedłem na Wolską dotąd. Kazio jest w Paryżu, Hotel Westminster.

19. *List Wł. Natansona do Fr. Bujaka z 3 stycznia 1920 r.,*

(zawierający charakterystykę Potkańskiego i wspomnienia o nim).

Szanowny i drogi Panie i Kolego!

Nigdy nie zapomnę, com winien Karolowi Potkańskiemu. Jak Pan (niezmiernie dla mnie życzliwy) powiedział, być może, że pomagałem mu trochę wędrować po krainach myślenia, w których On był po raz pierwszy, ja zaś już bywałem poprzednio. Ale On oddawał mi stokroć ważniejsze usługi. Uczył mnie prawd, które są zdolne podnieść człowieka i uczynić go lepszym. Uczył, że trzeba gardzić lichotą i głupstwem i nie zniżać się do nich; że fanatyzm i zaciekłość jakiegokolwiek rodzaju winna być w obrzydzeniu duszy szerokiej i uśmiechniętej życzliwie. Od niego, a raczej przez Niego, zrozumiałem, że inteligencja pojmuje i obejmuje wszystko, nawet własną twórczą niemoc, z rozumną dobrocią, z wykwintnym uśmiechem; że umie smakować owoce myśli i podziwiać kwiaty, a dla chwastów i kąkolu ma litość lub odrazę. Karol uczył zawsze prostoty, jako subtelności najwyższej; uczył życiem, uczył sobą, a nie sło-

wami. Był żyjącym dowodem, że najlepszą zręcznością jest: nie szukać jej wcale. Była w nim taka szlachetność, taka moralna wytworność, taki poziom wyrobienia i udoskonalenia przebijał w każdym Jego ruchu i powszednim postępku, że niepodobna było z Nim żyć i przestawać i nie dostroić się do Jego harmonijnego dźwięku, nie kształtować się potrosze na wzór Jego wycyzelowania. A niepodobna było także Go nie pokochać, albowiem był zarazem nerwowym, zdenerwowanym, kapryśnym, nieszczęśliwym człowiekiem, często chorym, prawie zawsze niezdrowym, niejednokrotnie przygnębionym i smutnym, przez całe życie samotnym, ambitnym i dumnym. Nienawidził skarg, żalów i próżnych narzekań. Miał wstręt do plotek i próżnej gadaniny. Powszedniością się brzydził, a od tego, co chociażby zdaleka było banalne, uciekał ze strachem. Prozy życia nie znosił, niechętnie zajmował się wszystkiem, w czem umysł szlachetny nie znajdował dla siebie pokarmu. »On se lasse de tout, excepté de comprendre« te słowa powtarzał mi często i one Go rzeczywiście w pewnej mierze malują, jeżeli jakiebądź słowa mogą odrysować tkaninę tak bardzo subtelną, tak bardzo splątaną, jaką była Jego dusza niezwykła.

Żyliśmy ze sobą w porozumieniu, w sympatji, zawsze pewni życzliwości i wyrozumiałości wzajemnej; nie obawiałem się ani przez chwilę od Niego czegokolwiekbądź, co mogłoby w najdrobniejszej mierze mnie dotknąć, zaboleć, urazić; gdyby się to było nawet zdarzyło, byłbym tylko sobie samemu winę przypisał. W onych latach myśli moje własne toczyły się torami górnej abstrakcji. Były to lata rozkwitu Termodynamiki i prób Energetyki ogólnej, prąd europejskiego myślenia obejmował nas w sobie, Witkowskiego i mnie, a przez nas i Potkańskiego. Dzisiaj przyszły inne przedmioty zajęcia, a wraz z niemi inne narzędzia badania. Dzisiaj są w modzie obrazy konkretne, modele, hypotetyczne kontrakcje. Ale za dziesięć lub za dwadzieścia pięć lat myśl ludzka zmęczy się znowu sztucznością i dowolnością koncepcji, o których wiadomo, że muszą stać poniżej rzeczywistości; i Nauka powróci znowu do uogólnień szerokich, do prawd wielkich, do rozumowań oderwanych i czystych, chociaż przez to suchych i oschłych.

W takich uogólnieniach żyliśmy wówczas, nurzaliśmy się w nich z młodzieńczym zapałem, z podziwem. Pamiętam, z jaką oniemal radością Karol wchłaniał abstrakcje takie, jak nieodwracalność zjawisk; jak, entuzjazmując się wspólnie i rozmyślając łącznie, czuliśmy, albo roiliśmy, że prawo powszechnej nieodwracalności musi sięgać daleko po za zakres Martwej Natury. I o tem jeszcze i dzisiaj pozostałem przekonany głęboko. W zjawiskach biologicznych, w zjawiskach psychicznych i w zjawiskach społecznych umysł, przywykły do uogólniającego myślenia, wyczuwa niejasno sploty zawiłości znane mu ze świata faktów w przyrodzie najprostszych. I jakże mogłoby być inaczej, skoro owe fakty najprostsze, owe prawdy geometryczne, fizyczne — są tylko przecież wynikiem pewnego pojmowania przez nas naszych własnych wrażeń zmysłowych, są ostatecznie odrobiną psychiki ludzkiej.

Wiedzieliśmy i wówczas dobrze i rozumieliśmy jasno, że co dostrzegamy w nieożywionej Naturze, jest zaledwie mdłem spojrzeniem po za zasłonę istnienia; że w t. zw. ścisłych naukach możemy tylko dzięki temu być ściśli, iż zadawalniamy się uproszczonym schematem, tak niepodobnym do Rzeczywistości, jak mapa niepodobna do kraju, jak architektoniczny plan do budynku. Ale wyrobienie i jasność, głębokość i potęga ilościowej analizy zjawisk oczarowywały nas, i wychowywały nas również. Karol był zawsze spragniony dokładności, określoności, precyzji; im bardziej walczył sam we własnem myśleniu z pewną mglistością i konfuzją (a walczył z nią niejednokrotnie i ciężko), tem bardziej czuł, że jest zgubna. Mieliśmy zwyczaj wzajemnego zapoznawania się ze zdaniami, pełnemi mądrości. Zacytowałem mu raz zdanie Fouriera wyjęte z »Théorie Analytique de la Chaleur«: »l'attribut principal de l'Analyse est la clarté; elle n'a point de signes pour les notions confuses«. Dobrze pamiętam, jak mocno poruszyły Go te słowa. Albowiem to wyrażały, co sam mocno i długo odczuwał. Mówiliśmy też nieraz o metodach Rachunku Prawdopodobieństwa, których byłem zawsze wielbicielem i wyznawcą i które później Smoluchowskiego doprowadzały do tak pięknych odkryć. Mówiliśmy o tem niejednokrotnie, jak wielkie

mogą być zastosowania tych metod w socjologicznych naukach, w których one zresztą po części już dawno używane bywały. Inne zajęcia odciągały i Karola i moją uwagę od tych widoków, które dzisiaj są już niejednokrotnie dokonanym w nauce krokiem, dokonanym postępem.

Żyliśmy także życiem własnego kraju i niedolą narodu; czuliśmy wspólnie ból i krzywdę i upokorzenie uciemiężenia. Ale w polityce stronnictw i gazet, w swarach i sporach frakcyjnych nie braliśmy, nawet rozmową, udziału. Powierzaliśmy to rozmowom naszym w cztery oczy, lub z przyjaciółmi, ażeby odetchnąć innem powietrzem.

Wybiegaliśmy nieraz po za widnokrąg nauki; skakaliśmy po wszystkich przestworzach. Pamiętam, jak zapamiętale dzieliliśmy się rozmiłowaniem w Szekspirze. Mam nawet po tem zamiłowaniu od Karola pamiątkę. Karol ofiarował mi egzemplarz »Hamleta«, oprawiony w kartę jakiegoś średniowiecznego manuskryptu. Piszę Panu o tym drobnym szczególe, bo on Go maluje. Karol udał w tym drobiazgu barbarzyńcę, który uważa tekst stary za szpargał, dobry za stragan, udał (bo naturalnie na serjo jej nie żywił), udał pogardę dla ślęczenia nad zakurzonym i pożółkłym rękopisem; zironizował własne swoje zajęcie i własną swoją naukę. I ta autoironja, to udawanie, ten lekki żart, tak subtelny (wiedział, że mi go nie będzie musiał tłomaczyć) — to wszystko oddaje usposobienie Karola lepiej, niż długie opisy. A obok tytułu napisał cytatę z Chamforta: »la pensée console de tout et remédie à tout. Si quelquois elle vous fait du mal, demandez lui le remède du mal, qu'elle vous a fait, elle vous le donnera«.

Zachwycająco dobry dla dzieci i przez dzieci instynktownie kochany, grzeczny dla rzemieślnika lub stróża, hardy i niemal opryskliwy wobec wielkiego pana (piszę Panu rzeczy, których bywałem świadkiem), Karol był zawsze sobą. Był paniczem z naszego patryarchalnego dworu polskiego, małopolskiego; troszeczkę grymaśnym i swojej wielkiej wartości całkowicie świadomym, ale sto razy za mądrym, żeby być zarozumiałym, sto razy za kulturalnym, żeby być pyszałkiem. Był ucywilizowany w każdym ruchu, w każdem spojrzeniu i niemal przecywilizowanym i dokoła siebie nie

znosił gminności. Czcił talent i zdolność, głęboko ważył i szanował wiedzę lub cnotę; ale próżność, blichtr i nadętą pustkę umiał odepchnąć od siebie bezwzględnie i oschle. Wzrok wobec ludzi miał dziwnie przenikliwy i potrafił pod maską ludzką lisa albo sępa, orła lub osła natychmiast odgadnąć.

Ile wieczorów przeżyliśmy z sobą na 32 Wolskiej! Gdy wyszedł, lub gdy wyszli Kocio, Kazio, nieraz także pan Napoleon (Cybulski), pan August (Witkowski), lub Ojciec (Pawlicki); (nazywam ich tutaj, jak nazywaliśmy ich między sobą poufnie) — gdy sam zostawałem, nieraz doprawdy miewałem wrażenie odegranego koncertu. Pamiętam taką rozmowę z p. Augustem i z Karolem o istocie i zadaniach historji. Pamiętam inną z prof. Rudzkim i Karolem o nieskończoności wszechświata. Z Ojcem niekiedy, choć rzadko, mówiliśmy o wielkich zagadnieniach sumienia; i nigdy, nigdy, nic brzydkiego nie zakłóciło tych biesiad. Z Karolem poufnie mówiliśmy o wszystkiem, ale nie wolno mi i dziś o tem pisać.

Jacek Malczewski lubił drażnić Karola, a Kocio na żart próbować Go gorszyć (swą »lekkomyślnością« i t. d.). Sienkiewicz, który był do Niego (jak my wszyscy) przywiązany głęboko, odrysował Go potrosze w Płoszowskim (co wówczas ogólnie mówiono). Ale Karol był głębszy, ciekawszy i zawilszy od Płoszowskiego, który urodził się na redakcyjnym papierze i w tym elemencie żywota dokonał.

Niema dziś ani Karola, ani niemal wszystkich tych, o których tu myślę i piszę. Odeszli, a z nimi i krasa i zdolność mego życia odeszła. Z nimi minęła mi młodość, przepadła wesołość, beztroska, zamilkł hymn życia i polot i szum skrzydeł ustał. Oni umarli. ależ i każdego z nas życie jest łańcuchem znikania i obumierania.

Odeszli, ale zostawili za sobą tylko święte i drogie uczucia i przekonania, że byłem szczęśliwy, ponieważ było mi dane mieć przyjaciół, ponieważ usiłowałem ich przyjaźni być godnym. Żal mi takich, którzy przeszli przez życie bez czystej i jasnej, młodzieńczej przyjaźni.

A teraz chcę Panu jeszcze raz podziękować za dobrą chwilę, którą Panu dzisiaj zawdzięczam. Radowałem się, czując, jaki mi Karol jeszcze dzisiaj jest bliski, jaki mi

bliski pozostał. Uczucie, Drogi Panie, jest mocniejsze nad śmierć. Zresztą, czy jest śmierć, w zwykłem znaczeniu wyrazu, skoro życie jest tylko (mylnym oczywiście) pozorem? Trzeba cierpliwie znosić, co nam się życiem wydaje, dopóki Niepojęte z za świata nie uwolni nas od świata, od życia.

Najlepsze wyrazy... przesyłam

(—) *Wład. Natanson.*

I. STUDJA OSADNICZE.

Objaśnienie o stanie rękopisu.

Jak już zaznaczono wyżej, stan rękopisów »Studjów osadniczych« jest bardzo dla wydawcy kłopotliwy, ponieważ Potkański pracował nad niemi od 1887 do ostatniego roku życia. Wyróżnić można dwa teksty, liczące pierwotnie po około 70 stron pisma a odpowiadające poglądowi, wyrażonemu w sprawozdaniu: O pierwotnem osadnictwie w Polsce z r. 1889; jeden z tych tekstów jest bardziej pełny, drugi, zdaje się wcześniejszy, jest bardzo ułamkowy. Nie ma w nich jeszcze mowy o Podhalu i Kurpiach, ale jedynie o puszczy radomskiej. Potkański, opierając się na pracach badaczy niemieckich G. Hannsena i A. Meitzena i uwzględniając liczne wiadomości ze źródeł średniowiecznych, modyfikuje teorję osadnictwa polskiego, stworzoną przez T. Wojciechowskiego a zmienioną niedawno przedtem przez F. Piekosińskiego, i stara się ją rozrzycsze na inne ludy słowiańskie. Następnie opracował Potkański tekst obszerny, liczący przeszło 520 stron (pierwszych kilkunastu stronnic brakuje), w którym obok puszczy radomskiej występuje już Podhale i puszcza kurpiowska, pierwsze ze swem pasterstwem, a druga z bartnictwem jako współczynnikami rozwoju rolnictwa i osadnictwa. Rozwija on tu szeroko stronę geograficzną zagadnienia osadniczego, wprowadzając teorję prądów osadniczych, stara się dalej pogłębić badania swoje przez uwzględnienie w bardzo szerokiej mierze porównawczych wiadomości o stosunkach u innych plemion słowiańskich (wieś Olmiany na Polesiu) i innych ludów niżej rozwiniętych. Najpierw omawia osadnictwo puszczy radomskiej, następnie osadnictwo puszczy kurpiowskiej, a potem osadnictwo Podhala, aby w końcu przejść do materjałów porównawczych oraz do skreślenia ogólnego zarysu rozwoju osadnictwa polskiego, poprzedzającego kolonizację na prawie niemieckiem.

Tego samego porządku trzymał się Potkański jeszcze w wykładach o osadnictwie w półroczu zimowem 1902/3, które niewątpliwie nastąpiły po napisaniu owego drugiego tekstu, przypadającego zapewne na lata 1896—8 (wskazówek wyraźnych niestety nie ma). Ale istnieje i trzeci tekst, nie numerowany jednolicie, nie dokończony, a obejmujący właściwie niektóre tylko rozdziały, tyczące się puszczy radomskiej i Podhala. Jest to niewątpliwie ostatni tekst, pochodzący z ostatnich lat życia (przeważnie z r. 1904 i 1905), na co nie tylko papier i pismo wska-

zuje, ale i sposób opracowania, uwzględniający literaturę do owych lat ogłoszoną. Charakterystyczną cechą tej redakcji jest postanowione w rozdziale wstępnym odwrócenie tego tryptyku osadniczego, jaki stanowi w tej pracy puszcza radomska, p. kurpiowska i Podhale i danie pierwszeństwa Podhalu.

Obowiązkiem wydawcy byłoby oprzeć się na ostatnim tekscie autora, jak daleko on sięga. Powstaje jednak tu ta trudność, że resztę trzebaby oddać na podstawie owego drugiego najobszerniejszego tekstu, którego układ bardzo znacznie się różni od ostatniego. Ponieważ opracowanie tego ostatniego tekstu nie zostało posunięte tak daleko, aby można sobie można zdać sprawę, gdzie P. zamierzał pomieścić pewne ogólne ustępy części poświęconej puszczy radomskiej i Podhalu, wobec tego, aby uniknąć wysoce odpowiedzialnej czynności redaktorskiej, należało zatrzymać dawniejszy porządek, mianowicie pozostawić Podhale na końcu, ponieważ do niego dodane są najdalej sięgające uogólnienia. Zaznaczę jeszcze, że mając do rozporządzenia notaty Potkańskiego do wykładów o osadnictwie, starałem się z nich także w odpowiednich miejscach skorzystać.

WSTĘP.

Historja osadnictwa jest historją zajmowania, podziału i zużytkowania obszaru, na którym się pewien naród osiedla, żyje i rozwija.

Określenie to można rozłożyć na dwie części: najpierw mamy jakiś kawałek ziemi, jakiś obszar, który przedstawia pewną sumę warunków fizjograficznych — a następnie naród, powiedzmy organizm społeczny, który ze swej strony przedstawia znowu określoną, a w każdej epoce odmienną sumę stosunków socjologicznych.

Ze wzajemnego i ciągłego oddziaływania, ze wzajemnej wymiany wpływów dwóch tych czynników powstaje to, co nazywamy ogólnem mianem osadnictwa.

Oddziaływanie między nimi jest ciągłe — to znaczy nie objawia się jednorazowo, lecz daje początek stałym, wzajemnym wpływom przez cały długi szereg wieków i ustaje, jeśli naród opuszcza zajmowane terytorjum lub jeśli na niem wymiera.

Niema społeczeństwa, któreby przynajmniej kiedyś w przeszłości nie zajmowało odgraniczonego od innych obszaru, któreby nie miało jakiegoś kąta ziemi, jakiegoś kraju,

który za swój uważa. Gdziekolwiek się też rozwijało lub rozwija, zawsze ten jego rozwój i życie odbywać się musi pod wpływem fizjograficznych warunków; to obowiązuje każdy ustrój żyjący, a więc i człowieka, taksamo pojedynczego, jak i zbiorowe ludzkie społeczeństwo.

Warunki fizjograficzne istnieć wprawdzie mogą bez ludzkich społeczeństw, ale w takim razie stanowią część innych nauk: geografji fizycznej, geologji, botaniki lub zoologji — tylko nie osadnictwa — i mowy bowiem o niem być nie może tam, gdzie brak człowieka, któryby się osiedlał i pewien obszar zajmował.

Dotychczas mówiłem o ciągłości i wzajemności wpływów otoczenia i organizacji społecznej na osadnictwo. Z kolei należy się zapytać, jakie jest to »wzajemne i ciągłe« oddziaływanie obu tych czynników: czy da się ująć w stosunek prostej wymiany, czy jest więcej zawiłe i czy wymiana owa jest wiadomą w całej rozciągłości zjawiska, we wszystkich jego szczegółach? Jest to pytanie ważne metodycznie, od niego bowiem zależy, co trzeba zbadać wprost, a co zupełnie pośrednio. Nie zapominajmy, że mamy tutaj zawsze do czynienia z dwoma elementami: otoczeniem i ustrojem społecznym; są one przyczynami względem trzeciego elementu, tj. osadnictwa, które jest ich skutkiem.

Jeżeli, dajmy na to, dwie części jakiegoś objawu występują zawsze razem, jeżeli się z sobą ściśle łączą i współdziałają przy powstaniu jakiegoś skutku, to, jeśli jedna z tych części jest znana, drugą zawsze można z pierwszej wyprowadzić i przewidzieć skutek. Tak jest istotnie, ale nie w naszym wypadku. Samo powstanie takiego np. zagadnienia: są dane tylko warunki fizjograficzne, odtworzyć na ich zasadzie ustrój społeczny i formy osadnicze, albo odwrotnie — pokazuje dostatecznie, jak mało wiemy. Nic nie ułatwi zadania, gdybyśmy, znając osadnictwo, chcieli z niego jedynie odtworzyć i ustrój społeczny i warunki fizjograficzne zarazem. Łatwo powiedzieć, dlaczego tak jest: bo oddziaływanie dwóch tych czynników, ustroju społecznego i otoczenia, nie da się sprowadzić do stosunku prostego — jest ono bardzo złożonem i zawiłem i nie w całej rozciągłości znanem. Oto odpowiedź na nasze ostatnie pytanie. Niemniej

jednak oddziaływanie istnieje. To, co powiedziałem, w niczem nie narusza samego faktu.

Każdemu wiadomo, że osadnictwo inaczej się rozwinie np. w górach niż na równinach, a na równinach o średnio urodzajnej glebie znowu inaczej, niż na bogatem czarnoziemiu. Inne także ono będzie w krajach podzwrotnikowych, a inne w umiarkowanych. Inaczej będą się osiedlać ludzie zajęci myśliwstwem, pasterstwem lub rolnictwem. Otoczenie wpłynie na rozwój zajęć, na stan skupienia, ustrój społeczny i stan ekonomiczny pewnego szczepu, słowem na rozwój jego cywilizacji. Rolnictwo nie rozwinie się na stepowej równinie w pewnym okresie rozwoju, lecz pasterstwo, atoli później może się zamienić step na wybitnie rolniczy teren. Piaszczysta gleba może być w pewnych epokach uprawianą przed innemi glebami, a w innych znowu porzucaną.

Słowem nie należy brać oderwanie każdego z tych czynników osadnictwa i z niego wyprowadzać całokształtu zjawiska; ale badać każdą jego część — powiedziałbym stosować metodę doświadczalną do każdej części i każdą z osobna szczegółowo obrobić. Tak się zawsze postępuje przy zjawisku złożonem, a nie dobrze jeszcze wyjaśnionem; to jest najpewniejsza jeszcze metoda.

Nim przystąpię do badań szczegółowych, muszę choć pobieżnie omówić kwestję oddziaływania organizacji ekonomicznej i ustroju społecznego, wytworzonych już pod wpływem pewnych warunków fizjograficznych na otoczenie, tj. na formy osadnicze, o które mi przedewszystkiem chodzi.

Przypuśćmy, że jakiś szczep łowiecki zajmuje pewien obszar o warunkach fizjograficznych, powiedzmy, przeciętnych, to znaczy: kraj ów nie jest bardzo górzysty, jest równy, ale nie stepowy, nie jest też jednak dziewiczym lasem. — Słowem warunki są takie, że człowiek łatwo się może w takim kraju osiedlać i łatwo przechodzić wszystkie przemiany społeczne i ekonomiczne. — Szczep nasz jest najszerszą pierwszą jednostką osadniczą. W jego obrębie może przyjść do podziału na mniejsze drugorzędne. Pojedyncze rody, lub wogóle związki społeczne, oparte na zasadzie organizacji totemicznej, klasowej lub jakiejkolwiek innej, mogą podzielić między siebie cały ów obszar na po-

mniejsze terytorja łowieckie. Innych śladów działalności ludzkiej na zajmowanej ziemi próżnobyśmy szukali. Gdybyśmy teraz oznaczyli konturem granice całego szczepu a potem granice takich pojedynczych łowieckich obszarów, mielibyśmy już wszystko. Wśród nich tu i ówdzie rozsiane będą mieszkania ludzkie, ale nie dowolnie. Przeciwnie grupować się one będą według pewnych stałych zasad socjologicznych, będą wyrażać stan skupienia — jeśli wolno tak powiedzieć — pojedynczych związków społecznych. Jasnem jest, że członkowie jednej takiej grupy postawią przy sobie szałasy, namioty, czy chaty — mogą nawet mieszkać w jednym wspólnym domu, który będzie rodzajem ludzkiego ula. Stanie się to przy silnem spojeniu i skupieniu; przy słabszem komórki tego ula — jeśli wolno dalej prowadzić porównanie — wyosobnią się, odłączą się trochę dalej i rozlezą. Będzie to przedewszystkiem zależne od wyrobienia w obrębie tego związku rodowego — stadła ludzkiego, rodziny. Wszystko to uwidoczni się — odciśnie niejako na zajmowanym obszarze. Podobne stosunki będą istnieć, jeśli szczep jest pasterski.

Łatwo spostrzec, że i w pierwszym i w drugim razie nie będzie wiadome z samego obszaru, do kogo należy upolowana zwierzyna, lub czy członkowie rodu polują wspólnie; taksamo nie będzie wiadome, do kogo należy pasąca się trzoda na pastwiskach, albo kto ją pasie. Co najwyżej można będzie zrobić przypuszczenie, że tam, gdzie jest jeden dom wspólny, lub mieszkania ludzkie blisko siebie — a więc związek rodowy jest silny, tam prawdopodobnie i ubita zwierzyna, czy stada bydła są wspólne. Ale to już wniosek dalszy, pośredni.

Zróbmy krok jeden dalej i przypuśćmy, że szczep ów z łowieckiego lub pasterskiego staje się rolniczym. Naturalnie dodawać tu nie potrzebuję, że to nie znaczy bynajmniej, aby zaprzestał i zapomniał pasterstwa lub łowiectwa tak, jak się to często — powiedziałbym »niechcący« — rozumie. Podział zwykle praktykowany na ludy myśliwskie, pasterskie i rolnicze jest zbyt schematycznym; w rzeczywistości trzy te wielkie działy ludzkiej kultury zachodzą na siebie wzajemnie, wrzynają się głębokiemi zatokami. Rolnictwo jest np. znane bardzo często już u ludów my-

śliwskich i z niem je trzeba zwykle łączyć. Pasterstwo jest wprawdzie więcej samoistnem, więcej pochłaniającem całą działalność człowieka, ale mimo tego nie brak przykładów ludów pasterskich, znających rolnictwo. Szczep nasz jest więc rolniczym — z tem zastrzeżeniem, które dopiero co zrobiłem. Dajmy na to, że siedzib nie zmienił i zajmuje ten sam obszar łowiecki. Cóż się wówczas okaże? Znaczna przestrzeń zostanie tak, jak dawniej, lasem lub pastwiskiem. Będzie ona we władaniu całego rodu tak, jak kiedyś, gdy chodziło o myśliwstwo lub pasterstwo. Wolno będzie po niej polować lub paść każdemu członkowi rodu; obszar ten nie przestał być jeszcze dobrem wolnem, zamienia się dopiero bardzo powoli na dobro ekonomiczne.

Do dawnych sposobów zużytkowywania zajętego obszaru przybył teraz nowy: rolnictwo. Gdzieś nieopodal mieszkań pojedynczej grupy, na którą się dzieli szczep cały, a więc rodu lub rodziny, ukażą się pojedyncze płatki uprawnej ziemi. Zwykle będą one tak drobne, uprawa ich tak doraźna i dorywcza (często zostawiona kobiętom), że plon zebrany z nich będzie uważany za własność tego, który ten kawałek ziemi uprawił. O własności samej ziemi nie może tu być mowy, jest jej bowiem wszędzie podostatkiem, każdy ją może zajmować. Zwykle też taki uprawny kawałek jest porzucany następnie, nikt się o niego nie troszczy. Przy tym stanie rolnictwa kontur ów nie wiele się wypełni, co najwyżej obok siedzib ludzkich ukażą się tu i ówdzie bezładnie porozrzucane drobne skrawki roli, ginące wobec całego niezajętego obszaru.

Idźmy jednak dalej. Plemię z biegiem czasu staje się przeważnie rolniczem, płody rolnictwa zaczynają stanowić ważną część utrzymania. Cóż się wtedy stanie? Pierwszą rzeczą będzie powiększenie liczby owych kawałków uprawianej ziemi. Kontur obszaru rodowego coraz bardziej zacznie się wypełniać, ale czy tak, jak początkowo, to znaczy, czy niwki uprawnej roli będą, jak przedtem, zupełnie bezładnie rozrzucone? Otóż może wystąpić tutaj nowy czynnik, który zmieni same formy osadnicze.

Jeżeli ziemia będzie miała coraz więcej dążność do przejścia w stan dobra ekonomicznego, wtedy jakaś grupa

społeczna może wziąć na siebie rozdział jej między swych członków, czyli że ona sama wystąpi jako właściciel całej ziemi. Będzie to wspólna własność rodowa tam, gdzie ród jest dosyć silny, jeżeli zaś wystąpi na jaw związek terytorjalny, co się przy rolnictwie zwykle dzieje, wtedy on obejmie własność uprawnego obszaru, wreszcie może to zrobić i rodzina. Wszystko to zależy naturalnie od ustroju społecznego danego szczepu.

W pierwszym wypadku ród dzieli płody między pojedyncze rodziny lub jednostki, a ponieważ dzieli równo według jakiejś zasady, więc każdy musi równo nad uprawą roli pracować. Wówczas pola owe będą się przedstawiać jako jedna całość, będą leżeć w jednym kawale, podzielonym na równe działki, odpowiadające pewnej jednostce pracy. Tak się więc ostatecznie przedstawia obszar zajęty przez taki szczep: ile związków rodowych, tyle skupionych siedzib lub wspólnych domów, koło nich obszar zajęty pod uprawę wspólnie i podzielony na równe części. Za niemi obszar swobodny, nieuprawny, słowem las lub pastwisko.

Taksamo zupełnie będzie wyglądać kraj jakiś, jeżeli zamiast rodowego wystąpi związek terytorjalny i on zacznie dzielić używalność ziemi między swych członków. Taksamo będą wyglądać i ludzkie siedziby i orne pola, co najwyżej nie będzie już domów wspólnych, jak przy organizacji ściśle rodowej.

Inaczej się natomiast cały obszar przedstawi, jeżeli jakakolwiek r o d z i n a — ojcowska lub macierzysta — mono- lub poligamiczna — ale w każdym razie typu większego, tj. nie nowoczesna, złożona tylko z samych rodziców i nieletnich dzieci, zajmie na własność uprawną ziemię. Stać się to może albo wskutek początkowej luźnej organizacji rodowej, przy dążności do odrywania się od wspólnego pnia pojedynczych rodzin, wtedy ród nie narośnie dostatecznie i nie przyjdzie do spojenia silniejszego między jego częściami, albo jeśli się rodzina wydzieli wprost z organizacji totemicznej, klasowej, albo wreszcie, jeśli przyjdzie odrazu do tworzenia się niezależnych rodzin bez ich wydzielania z jakichkolwiek szerszych socjologicznych grup i związków. Skoro to nastąpi z którejkolwiek z wyżej wymienionych

przyczyn, wówczas rodzina wysiedli się oddzielnie, albo się oddzielnie osiedli. Terytorjum zaś podzieli się na drobniejsze ośrodki. Nie będzie skupionych mieszkań. Każda taka rodzina (typu większego, ojcowska lub macierzysta) zbuduje domostwa przy sobie, ale zarazem oddzielnie od innych rodzin. Każda też będzie uprawiać rolę na swoją rękę. Działki niekoniecznie będą leżeć w takim razie obok siebie i niekoniecznie będą równe. Mniej bowiem wtedy obchodzi, czy udziały są równe, lecz jaką jest ogólna suma pracy, którą rozporządza taka rodzina — nie zapominajmy — złożona i z dorosłych dzieci. Rozdział pracy między jej członków niekoniecznie musi być równym, nie wiążą się też oni względem na to, ile mają roli i ile pracują inne rodziny lub wogóle członkowie rodu. Przy tej organizacji kraj będzie tak wyglądał: siedziby rozrzucone w małych gromadkach, jeden wspólny dom, ale w każdym razie mniejszy, albo kilka domków oddzielnych, za nimi uprawne pole w jednym kawałku lub kilku, ale bez udziałów, dalej obszar niezajęty we władanie rodziny lub rodu.

Tak się mniejwięcej odbiją formy osadnicze na obszarze zajętym przez pewien szczep. — Pierwszy typ osadnictwa nazwiemy wioskowym, drugi jednodworczym. — Z pierwszym łączyć się będzie własność rodowa lub gminna, z drugim własność pojedynczych rodzin. Łatwo spostrzec, że ustrój społeczny nie odbija się dokładnie na ziemi, formy osadnicze są luźniejsze, a zarazem ogólniejsze, nie zawsze odpowiadają jednemu tylko otoczeniu: jednej organizacji socjalnej. Tak samo będzie wyglądać zajęty obszar, jeżeli związek jest rodowy lub terytorjalny; o ile zaś przeważa w nim jeden z tych czynników lub o ile całkowicie usunął drugi, tego próżno i szukać w samych typach osadniczych. Również nie będzie wiadomem, na jaką używalność pojedyncze rodziny lub członkowie takiego związku będą mieli swe działki. Wreszcie nic się nie dowiemy z samego osadnictwa, jaką jest rodzina: ojcowska czy macierzysta, poligamiczna czy poliandryczna, osadnictwo bowiem uwidoczni tylko, czy jest typu większego — czy nie; oto wszystko.

W tem, co dotąd mówiłem, przypuszczałem, że niema jeszcze państwa na takim obszarze, że nie przyszło do

jego wytworzenia. Teraz należy się zapytać, jak organizacja państwowa może zmienić owe pierwotne — przed-państwowe formy osadnicze? — Otóż bezpośrednio ich nie zmieni i nie naruszy. Uczyni to jednak pośrednio, a mianowicie w dwojaki sposób: 1) zmusi do intenzywniejszej produkcji, samo bowiem obraca na swoją korzyść większą ilość sił ekonomicznych jednostek, a przez to samo podniesie ogólny stan ekonomiczny kraju; 2) zmieni uwarstwowienie społeczeństwa, wpłynie na wytworzenie się klas społecznych. Obydwa te względy są dla mnie nader ważne. Nie potrzebuję dodawać, że przypuszczam wytworzenie się państwa nie drogą podboju, lecz naturalnej — swoją drogą bardzo rzadkiej — ewolucji form socjologicznych. W tym ostatnim razie powstające państwo zwykle podstawia się pod jakieś inne, dawniej istniejące związki socjalne — zwykle rodowe i to tak dobrze rodowe o silnej bardzo organizacji, jak i o luźniejszej — tylko w takim razie geneza jego jest inną. W pierwszym wypadku naczelnik jednego jakiegoś rodu zagarnia wszystko i niszczy inne rody — w drugim przychodzi do starcia się i zlania rodów w organizm państwowy. Inną jest również, jeżeli powstaje z innych ugrupowań np. z organizacji totemiczno-klasowej. Zresztą muszę tutaj zwrócić uwagę, że nie ze wszystkich form przezemnie wymienionych może powstać i rozwinąć się państwo; prawie że jedynie — z wyjątkiem może organizacyj starożytnych państw Ameryki — powstaje ono ze związków rodowych, ale też i ich kosztem.

Każdy ustrój społeczny, każde ugrupowanie się jednostek w jakiś związek socjologiczny wpływa na rozkład sił ekonomicznych. Im ten ustrój luźniejszy, prostszy, tem mniej ma energji społecznej i tem rozkład jej więcej równomierny. Wyższe formy społeczne wytwarzają jej więcej, ale zarazem mniej równo ją rozdzielają. Przynajmniej tak było dotąd. Państwo jest, ogólnie biorąc, wysoką formą socjologiczną, stąd wniosek łatwy, że jej wytwarza więcej i wywołuje znaczniejsze różnice w jej rozdziale. Jedno zresztą zawsze zaczepia o drugie i zawsze się z sobą łączy. Skupiając ludzi na jakimś obszarze, może państwo przyspieszyć przemianę gospodarczą, może ją skrócić do pewnego stopnia

i to na korzyść form wyższych, może więc pośrednio — nie drogą, wówczas oczywiście nieznaną, jakichś rozporządzeń — rozszerzyć rolnictwo, bo potrzebuje dla nich więcej środków żywności. Pomaga też do szybszej przemiany gospodarstwa bezobrotowego na obrotowe, bo samo zmusza ludzi do odłożenia właśnie dla państwa pewnego zasobu ekonomicznych wytworów, i nierówno dzieli pracę ekonomiczną. To wszystko musi wpłynąć na osadnictwo.

Nierówny podział bogactw sprowadza zawsze nierówność społeczną, dawniej i prawną. Ci, w których ręku znajdują się większe zasoby ekonomiczne, wywierają wpływ ujemny na stanowisko warstw niższych. W pierwszym rzędzie robi to — samo państwo, zajmujące ziemię drogą wojny lub powolnej federacji. Zamiast — jak dawniej — rodu, który rozdziela ziemię, państwo staje się właścicielem ziemi. Przykłady tego mamy schwycone »sur le vif« na niektórych afrykańskich plemionach, gdzie naczelnik zagarnia cały obszar, niegdyś wspólną własność rodów. Początkowo nie robi to wielkiej różnicy, nie odmienia w szczegółach form osadniczych, ale powoli skutki tej zmiany występują na jaw, i ludzie zajmujący po dawnemu grunt, należący do panującego jako przedstawiciela państwa, wchodzą wobec niego w nieco inny, niż do rodu, stosunek, przestają być zupełnie wolnymi. Niewolnicy, którzy początkowo byli sługami osobistymi, stają się osadnikami, t. zw. kolonami, państwo osiedla ich na ziemi. To samo i ludzie niegdyś zupełnie swobodni mogą przejść w rodzaj pół-niewoli. Z nich wytwarza się poza dawnym związkiem rodowym, który nawet rozsadza, jedna klasa ludzi poddanych. Płacą oni daniny — a ponieważ płacą je równo, według jakiejś zasady, więc też mają wydzieloną według tejsamej zasady i używalność ziemi; jedno pociąga zawsze za sobą drugie. Ta równość danin sprawia, że ich osadza państwo zazwyczaj razem i wydziela jednakie działki.

W dalszym ciągu swego rozwoju państwo niszczy zupełnie owe pośrednie rodowe grupy i staje bezpośrednio wobec jednostek, ale nie niszczy przez to różnic stanowych między jednostkami, przeciwnie wytwarza je. Rozdaje ziemię albo potwierdza jej dawniejsze posiadanie i tym sposobem wyrabia często stan ludzi, posiadających większe

obszary ziemi, którzy podobnie jak państwo mogą działać. Ci ludzie mają swoich niewolników lub później ludzi niewolnych, bo to należy odróżniać, których osadzają koło swoich siedzib, i znowu, ponieważ daniny i powinności takich poddanych są równe, rozdział w ziemi staje się równym. Łatwo tu spostrzec, że w tych wypadkach może się to nowe osadnictwo podstawić niejako pod dawniejsze. Tworzą się związki poddanych tak, jak niegdyś związki rodowe, które, odbite na zajmowanej ziemi, będą zupełnie tak samo wyglądać, jak dawniejsze wolnych członków rodu. Skupione siedziby, wioska, pola uprawne, równo podzielone, za niemi wspólne pastwiska i lasy. Państwo lub wielcy właściciele mogą zresztą przystosować dawniejszą ich organizację do swojej nowszej. Będzie to osadnictwo wioskowe drugorzędnej formacji, jeśli wolno tak powiedzieć. W tym razie przyszło do zmiany, nie do usunięcia.

Podobnie może się przedstawić osadnictwo jednodworcze; i tu może przyjść do takiego samego podstawienia i zmiany. Typ osadniczy trwa, choć się zmienia jego zawartość, jeśli tak powiedzieć wolno. Te same czynniki mogą pozostawić pojedyncze rodziny rozrzucone, jak dawniej, a tylko działki ich będą zrównane, bo nie będą to już ludzie wolni, jak przedtem, czy wobec państwa, czy wobec właścicieli większych. Mogą też one nie być bezwzględnie równe, tylko je ktoś oszacuje i zostawi każdego w posiadaniu tej ilości ziemi, jaką posiadał dawniej, każe mu tylko w stosunku do jej obszaru składać daniny i odrabiać powinności. I w tym wypadku będzie osadnictwo wyglądać jak dawniejsze — pierwotne, tylko, że tutaj rzadziej przyjdzie do takiego podstawienia, zwykle bowiem zostaną zarzucone formy jednodworcze, a przyjdzie do wytworzenia wiosek.

Nie potrzebuję prawie dodawać, że tutaj same odbite formy osadnicze nietylko mogą nie dać dokładnego obrazu stosunków społecznych, ale nawet mogą dać fałszywe. Należy też zawsze uwzględnić ustrój całego organizmu społecznego, stopień jego ewolucji. To oderwane branie form osadniczych dało takie książki, jak np. Laveleya, a nawet po części i Meitzena, którzy, mimo wielkich zalet i zasług położonych na tem polu, przecież nie potrafili uchronić się

od błędu łączenia jednych i tychsamych form osadniczych z kilkoma społecznemi. Tak np. brano związki poddanych o wspólnej własności i typie wioskowym, oraz pierwotne związki wolnych ludzi za jedno i tosamo. Wiemy już, dlaczego? Bo i jedne i drugie odbiją się tak samo na zajmowanej ziemi. Nie dosyć jest brać je razem z ustrojem społecznym tej samej epoki, trzeba wykazać jeszcze, czy nie mogą być starsze, czy są przejęte od pierwotnych, czy są i o ile przerobione, słowem wziąć je genetycznie — w ciągu rozwoju, stosunek bowiem wzajemny form osadniczych i społecznych nie jest tak prosty, żeby każdej formie społecznej odpowiadała zaraz odmienna osadnicza. Osadnictwo jako związane silniej z warunkami fizycznymi jest więcej zachowawcze, ustrój społeczny zmienia się szybciej, niż warunki fizjograficzne danego kraju pod wpływem nawet tego ustroju.

Jako przykład przytoczę osadnictwo polskie, to, które jest dzisiaj jeszcze odbite na ziemi. Pochodzi ono z XIV, XV i XVI wieku, powstało zaś pod wpływem kolonizacji niemieckiej i powszechnego osiedlania się szlachty na ziemi. Przetrwało jednak i czynszowego kmiecia i poddanego chłopa, a obecnie istnieje przy wolnym poddanym różnych organizacyj państwowych. Zmienić się zaś może tylko wskutek socjalistycznego rozdziału ziemi, albo wskutek skupów przez większych właścicieli, lub odwrotnie przez włościan. I w pierwszym i w trzecim wypadku, aby zmiana nastąpiła, musi przyjść do zniszczenia jednej z warstw społecznych, mianowicie większych właścicieli, w drugim do zniszczenia chłopów.

W tym przykładzie mieści się i to, że trzeba zbadać dla każdej grupy osadniczej oddzielnie i ustrój społeczny i formy osadnicze i dopiero je razem ze sobą zestawić, oraz, że osadnictwo przechowuje dawniejsze formy, które z temi zastrzeżeniami, jakie podałem, odtworzyć można wbrew zmienionym stosunkom społecznym. Obydwa te punkty są dla mnie bardzo ważne, wpływają bowiem na kierunek moich poszukiwań.

Stosunki społeczne można ująć tylko w jeden sposób, a mianowicie: badając je wprost i wprost nawiązując je

z odpowiedniemi formami osadnictwa. Nie dochowały się dzisiaj ślady pierwotnych form społecznych. Nicbyśmy też nie wskórali, cofając się wstecz od czasów nowszych do wcześniejszych, bo z dzisiejszego ustroju społecznego trudno odtworzyć wszystkie stany dawniejsze. Nieco odmiennie można sobie postąpić, jeżeli się rozpoczyna badanie od stosunków osadniczych.

Wiadomo już z tego, co powiedziałem poprzednio, że formy osadnicze mogą dłużej pozostać niezmienione, choć się odmieni ustrój społeczny, a to głównie dzięki niezmienionym warunkom ekonomicznym. Dlatego też można rozpocząć od badania form osadniczych późniejszych, odnaleźć ich pierwotne cechy, a następnie zestawić z tem, co się wie bezpośrednio ze źródeł i o formach osadniczych i o ustroju społecznym. Tak trzeba postąpić, bo ze źródeł samych wie się bardzo niewiele i w sposób tak ułamkowy, że złożyć z tych wiadomości jedną jakąś całość bardzo trudno. Nikomu to nie jest obcem, kto badał najstarszą polską historję. Cały kraj prawie jest pogrążony w cieniu. Gdzieniegdzie tylko przy starych kościelnych fundacjach rozświeca się nieco. Widać jakiś kawałek kraju — tu i ówdzie odnajduje się jakiś punkt jaśniejszy. Przywileje wymieniają różne wioski, ich kupno, zamiany lub skupy. Wogóle jednak tych jaśniejszych punktów jest mało. Klasztory nasze najstarsze, np. opactwa benedyktyńskie z XI—XII wieku, potraciły swoje najdawniejsze dokumenty. W kraju nieledwie pół-dzikim nie mogły snać rozwinąć silniejszej działalności gospodarczej, nie pomnażają też swego majątku, ani go urządzają. Z tego powodu żaden z nich nie sporządził spisów gospodarczych swych włości, t. z. polyptychów, które na Zachodzie są tak ważnem źródłem dla badań stosunków osadniczych i społecznych. I późniejsze, gospodarcze opactwa cysterskie, głównie z XIII wieku, aczkolwiek bardzo czynne, nie dostarczają tego rodzaju źródeł i, mimo bogatego i obfitego w szczegóły »Liber fundationis« opactwa Henrykowskiego, nie zapełniają też wszystkich luk i braków.

Mógłby ktoś zapytać: jeżeli się nie dochowały pergaminy — to jakże się mogły zachować aż do dni naszych tak odległe stosunki osadnicze i gospodarcze? Kraj prze-

cież tyle zmian przeszedł pod względem ekonomicznych i społecznych stosunków, które mogły naruszyć i owe formy? Temu nie myślę przeczyć. Tylko, że zachodzi tutaj jedna okoliczność, na którą — jak sądzę — niedostatecznie zwracano uwagę.

Polska, nawet w swoich plemiennych, piastowskich granicach, przedstawia nader różnorodne warunki fizjograficzne. Nie wszystkie okolice ulegały zmianom razem, równomiernie z resztą kraju. Otóż jeśli się znajdą takie zacofane — stojące w miejscu strony, to jest wszelkie prawdopodobieństwo, że się w nich znajdą bardzo stare formy osadnicze, choć się już nie znajdą równie stare stosunki społeczne. Niezmienione warunki fizjograficzne mogły przynajmniej przed jednem uchronić formy osadnicze: a mianowicie przed zwiększonym naciskiem i ruchem osadniczo-ekonomicznym, który wywołuje państwo lub inni właściciele, ponieważ zaś ruch ten wpływa głównie na zmiany w formach osadnictwa, więc też i okolice, stojące na uboczu, mogły przynajmniej uniknąć tych niszczących wpływów.

Istotnie strony takie istnieją w kraju naszym, są zaś niemi: Podhale, bartne Mazowsze i puszcza radomska — a więc stare, odwieczne lasy, bagniska i płone, ubogie wyżyny. Tak od podnóża Tatr, przechodzą przez wschodnie odnogi Małopolskiej wyżyny do pojezierza bałtyckiego, spróbuję odnaleźć między niemi wspólne znamiona. Będę badał oddzielnie i niezależnie warunki fizjograficzne każdej z tych okolic — a następnie historję osadnictwa i same jego formy związane jeszcze z prastarą przedrolniczą produkcją, a mianowicie: pasterstwem, pszczelarstwem i łowiectwem, produkcją, nie potrzebuję tu dodawać, złączoną z pierwotnemi formami rolnictwa.

Badania te dostarczą mi tyle materjału, że z nim w ręku przejdę do źródeł średniowiecznych i będę próbował, czy te wiadomości, które mam, nie zgodzą się z ułamkowemi wiadomościami, które ze źródeł mieć można. Jeżeli się zgodzą, jeżeli się odnajdą dla nich równie dawne formy społeczne, znak to, że wejdą w ramy średniowiecznego ustroju Polski. Będzie to robota dopasowywania, albo lepiej dostrajania niedawno jeszcze istniejących stosunków osad-

niczych i ekonomicznych tych stron Polski, o których mówiłem, ze stosunkami chronologicznie staremi. Jeżeli mi się to powiedzie, wtedy się pokaże, iż te stosunki, dziś wyjątkowe, były dawniej powszechnemi, czyli, że te formy, które tam odnalazłem, godzą się z organizacją rodu i rodziny pierwotnej oraz z uwarstwowaniem społecznem [1].

PUSZCZA RADOMSKA.

1. Warunki fizjograficzne [2].

W badaniach nad osadnictwem nie można się ograniczać do szczupłych przestrzeni poszczególnych wiosek albo ich grup, ale należy je traktować na szerszem tle warunków fizjograficznych, ogólnego rozwoju gospodarczego oraz rozwoju zaludnienia całego obszaru, z którym się łączą organicznie w jednostkę geograficzną.

Puszczę radomską należy połączyć z historją zaludnienia wschodnich krańców Małopolski, bo dopiero wówczas przekonamy się, czy i o ile ona została w tyle pod względem rozwoju gospodarczego i dlaczego się tak stało.

Z tego sposobu ujęcia zagadnienia płynie ta korzyść, że poszukiwania historyczno-topograficzne zyskują podstawy naukowe przez związanie życia ludzi z jego podłożem przyrodniczem t. j. z warunkami fizjograficznemi, wśród których się rozwija, oraz przez rozmieszczenie terytorjalne zjawisk społecznych razem z ludźmi.

Radomskie należy na przejściu z pasa nizin do strefy środkowo-europejskich górotworów, t. j. między wielką pradoliną warszawsko-berlińską a wyżyną małopolską. Góry świętokrzyskie, stanowiące najwyższą i najbardziej charakterystyczną część wyżyny małopolskiej, łagodnie opadają ku północy i zachodowi. Gdy ziemia opoczyńska jest

[1] Ostatnie zdanie tego rozdziału brzmiało: Zaczynam od Podhala, tj. od pastersko-rolniczych stosunków.

[2] Drobny ten rozdział został naszkicowany przez wydawcę według notat wykładowych autora.

jeszcze falista i wyższa, co się uwidacznia w kierunku wód między Pilicą i Wisłą, to położona dalej na północ ziemia radomska jest niższa, bardziej równa i opada nieznacznie ku północy i wschodowi.

Piaszczystość a niegdyś także bagnistość — to najwybitniejsze cechy Radomskiego. Gleby jego glinkowato-piaszczyste, spoczywające na płytkiem piaszczystem podłożu, są do uprawy łatwe, ale ubogie. Nad Wisłą i Pilicą, a szczególnie, nad Wisłą, gleba jest żyźniejsza, gliniasta na podłożu marglowem (bogate Powiśle).

Jest rzeczą oczywistą, że osadnictwo nie rozwijało się równomiernie na tym obszarze, jak np. na wszędzie równo urodzajnej równinie. Dwa czynniki odgrywają decydującą rolę w rozmieszczeniu ludności w kraju t. j. rzeki i góry. Góry tamują ruchy i rozdzielają ludzi przez mniejszą urodzajność i utrudnienie komunikacji. Rzeki przeciwnie łączą ludzi, stanowiąc same przez się drogi albo wskazując kierunek pochodu i otwierając linje łatwiejszego rozprzestrzenienia się.

Pasmo świętokrzyskie, ciągnące się od Wisły ku Pilicy, oddziela obszar, leżący od niego na północ między temi rzekami, od reszty Małopolski, leżącej na południe, ale zastawka ta nie jest zupełna, nie zamyka szczelnie; zarówno od strony północno-zachodniej jak i południowo-wschodniej stoją otworem szerokie przejścia obok gór świętokrzyskich, pozwalające na swobodny ruch fal osadniczych i ożywioną wymianę gospodarczą i kulturalną.

Wisła była zawsze bardzo ważną arterją migracyjną. Mogło się wzdłuż niej posuwać osadnictwo od południa ku północy, albo w kierunku wprost odwrotnym ku południowi Trudno osądzić, który kierunek przeważał w odległych okresach przedhistorycznych. W czasach historycznych mógł istnieć ruch w obu kierunkach, bo te dwa prądy się nie wyłączają.

Dopływy Wisły: Radomierza, Chotcza i Kamienna odgrywały rolę dróg bocznych, które mogły odprowadzać osadników od Wisły ku zachodowi, kiedy oni się posuwali wzdłuż Wisły, a później mogły sprowadzać ku Wiśle ludzi i skierowywać ich poprzez rzekę na wschód.

Rola przewodnika osadnictwa nie dosyć wyraźnie się uwidacznia u Pilicy. Górny jej bieg mógł ciągnąć za sobą osadników z pasa loesów krakowskich, stanowiących od czasów paleolitycznych znaczne ognisko osadnicze, w dolnym zaś biegu od zagięcia ku wschodowi nabiera ona podobnego poniekąd znaczenia antropogeograficznego, jak wymienione wyżej mniejsze dopływy.

Na południowych stokach gór świętokrzyskich mnoży się wcześnie i zagęszcza ludność, zwłaszcza na południowowschodnim ich krańcu, bo tu przeciwstawienie cech fizjograficznych jest silniejsze, gdy u północno-zachodniego końca mniej się zaznacza to zagęszczenie, bo tu góry świętokrzyskie gubią się powoli.

Z tego wynika, że do puszczy radomskiej osadnicy dostać się mogli łatwiej z zachodu, północnego zachodu i północy przez Pilicę, niż z południa. Przypływ od wschodu z za Wisły jest wyłączony, bo to strony mimo żyzności gleby mniej ludne, a przelewa się tylko z pełnego.

2. Antropologiczno-etnograficzna i polityczna strona osadnictwa w Radomskiem.

Radomskie jest krajem przejściowym, to jest jego najbardziej charakterystyczne i zasadnicze znamię. To samo będzie i pod względem historycznym, bo historja pozostaje zawsze w ścisłej i bezpośredniej zależności od geografji. Geografja zrobiła tu swoje, ukształtowała niemal wyłącznie stosunki etnograficzne, historyczne, a także i najważniejsze dla nas stosunki osadnicze.

Gdyby wyżyna środkowo-europejska nie ginęła jako starte i porozrywane pasmo wzgórz lesistych, lecz ciągnęła się dalej na wschód jako wyniosły i zwarty łańcuch górski, stanowiący naprawdę trudną do przebycia zaporę, historja polska poszłaby innemi tory. Nie mielibyśmy Małopolski, która byłaby wtedy politycznie i etnograficznie bliższą narodów i państw, wytworzonych po stronie południowej tej wyżyny. Dzięki zaś temu, że owa zapora nigdy silną nie była, Małopolska pozostała zawsze w ścisłym związku z Mazowszem i Wielkopolską, a jedynie uwidoczniły się i zaznaczyły wyraźniej pewne różnice między temi dziel-

nicami. Wpływ gór świętokrzyskich znać też na naszej etnografji, a nawet historji, oczywiście im dalej wstecz, tem jest on silniejszym; silniejszym w dobie plemiennej, niż w historycznej, a we wczesnej historycznej silniejszym niż w późniejszej, słabnie zaś i ginie w epoce nowoczesnej.

Kto zamieszkiwał północne stoki gór świętokrzyskich, t. j. właśnie dawną ziemię radomską, i jak się na tym całym obszarze urabiały i ukształtowały stosunki własności, tak ważne ze względu na osadnictwo samej puszczy, będzie przedmiotem poszukiwań w niniejszym rozdziale.

Znanem jest spostrzeżenie antropologiczne o wzrastaniu długogłowości w miarę, jak się poruszamy z południa na północ, t. j. od górzystego pasa Europy środkowej ku Bałtykowi i Morzu Północnemu. Jeśli zaś tak jest, to z góry już, uprzedzając niejako badania, winniśmy powiedzieć, że ludność ziemi radomskiej, która stanowi przejście od owego pasa wzniesień środkowo-europejskiego do niziny bałtyckiej, musi posiadać cechy antropologiczne przejściowe. Na mapach wskaźnika głównego niektórych antropologów, np. znanego antropologa amerykańskiego Ripley'a, pas »średniogłowy«, rozciągnięty przez nasze okolice między ludnością bardziej krótkogłową południowej Polski a bardziej długogłową północnej, nie jest w rzeczywistości tak wyraźny. Owa średniogłowość zaznacza się mniej wyraźnie i mniej silnie. Przedewszystkiem należy podnieść fakt, że wogóle na obszarze Polski różnice wskaźnika są bardzo nieznaczne. Jeżeli np. przeciętny wskaźnik dla ludności powiatu opatowskiego jest 83, to dla okolic Warszawy wynosi 81 (80·9), dla łęczyckiego zaś i kutnowskiego 80·6. Z samego radomskiego niestety pomiarów nie posiadamy, ale przyjąć można, iż ludność tych stron jest bardziej długogłową, niż opatowskiego[1].

[1] Na mapie wskaźnika głównego na ziemiach polskich, opracowanej przez prof. J. Czekanowskiego, występuje wyraźnie przejściowość Radomskiego pod względem antropologicznym. Ostatni dokładny zarys antropologji ludności na ziemiach polskich daje L. Krzywicki w Encyklopedji polskiej t. I. str. 465–654 oraz J. Talko-Hryncewicz w pracy: Człowiek na ziemiach naszych, Warszawa 1913. (Przypisek wydawcy).

Niemniej zaznaczyć wypada i drugie zjawisko: oto mianowicie dążność do większej długogłowości, t. j. do obniżenia wskaźnika, ujawnia się nietylko postępując z południa ku północy, ale może nawet wyraźniej ze wschodu na zachód. Pomiary, dokonane w Lubelskiem, i to w północnej jego części, po prawej stronie Wisły, okazały, że ludność tamtejsza jest bardziej krótkogłową, wskaźnik bowiem wynosi 83·6, i w tym wypadku na Radomskie w porównaniu z Lubelskiem przypada obniżenie może nawet silniejsze.

Tak tedy z tego, cośmy dotąd powiedzieli, wynika, że Radomskie znajduje się niejako na węźle i że je można uznać za obszar przejściowy, o przejściu zresztą dziś bardzo łagodnem, jeśli idzie o antropologiczne znamiona. Być może, że niegdyś te różnice zaznaczały się wyraźniej między północą a południem, mianowicie w takim wypadku i różnica między południową stroną pasma świętokrzyskiego a północną byłaby znaczniejszą, choć oczywiście jest to domysł tylko, poza który wobec braku wszelkich pomiarów wyjść nie będziemy już w stanie.

Góry zazwyczaj stanowią etnograficzną granicę — to jest przecież zwykłe zjawisko — i w naszym więc wypadku należałoby się spodziewać, że góry świętokrzyskie stanowiły przynajmniej granicę plemienną. W znacznej mierze tak się i stało, na tyle były one zaporą, ale, podobnie jak przy antropologji, zjawisko nie przedstawia się prosto. Rzeczywistość jest zawsze, kto jej nie chce dowolnie upraszczać, bardziej skomplikowaną. I w naszym też wypadku, jeśli idzie o góry świętokrzyskie i ich znaczenie dla etnologji polskiej, powiedzieć trzeba: niezawodnie miały one dla niej znaczenie bardzo ważne. Po ich stronie południowej zamieszkują Sandomierzanie, jeden z dwóch małopolskich szczepów, a po drugiej, północnej, Mazury lub inny jakiś szczep nie-małopolski.

Materjał etnograficzny, którym rozporządzamy, obfity nie jest, badania nad ludowemi gwarami są prowadzone niesystematycznie, dorywczo, również i inne etnograficzne cechy, wyróżniające jedną grupę ludności od drugiej, nie są nam dokładnie znane ze wszystkich okolic kraju,

tak że zostaje właściwie ubiór i garść luźnych spostrzeżeń o odrębności tej lub owej okolicy [1].

Część północno wschodnią Radomskiego i środkową zamieszkują Mazury. Cały dolny bieg Pilicy, bezmała cała Radomierza, aż gdzieś po średnią i dolną Chotczę od południa, należy do nich; dalej na południe wszakże nie sięgają. Mniej więcej jakie trzy, cztery mile za Radomiem, między Skarzyszewem a Iłżą, pojawiają się już ciemne charakterystyczne sandomierskie sukmany. Sandomierzanie okalają też od południa radomskich Mazurów, a raczej Mazowszan, bo to starsza nazwa. Posuwając się ku zachodowi, pas ten osadnictwa Sandomierzan podnosi się nieco w kierunku północno-zachodnim, przypominam zaś, że w tym właśnie kierunku biegnie i ów pas wyżyn, który skośnie przecina dawną ziemię radomską. Okolice Szydłowca, Chlewisk, po Skrzynno i Skrzyńsko, oni zajmują. Jak daleko sięgają ku północy, nie mogłem sprawdzić, to tylko pewne, że do samej rzeki Drzewicy już nie dochodzą. Dosyć trudno oznaczyć, kto zaludnia owe północno wschodnie odnogi małopolskiej wyżyny, oraz cały obszar zachodni między Pilicą a średnim i dolnym brzegiem Drzewicy po obu jej brzegach. Sądzę, że dla osadnictwa mazurskiego granicą jest ujście Drzewicy. Tu ono gdzieś w okolicach Nowego Miasta, jeśli nie ginie zupełnie, to przynajmniej słabnie. Dalej na zachód, mniej więcej tak, jak szła granica województwa Łęczyckiego, które dotykało Pilicy, spotykamy Łęczycan, którzy Pilicę przechodzili, a dalej jeszcze posuwając się ku niej, t. j. ku Pilicy, spotykamy Sieradzan, tych sąsiadów z za rzeki, którzy od zachodu przekroczyli Pilicę, zaludnili jej prawe porzecze wraz z dopływami, podchodząc dość daleko na południe. Tu spotkali się oni z naszymi znajomymi z południowej części powiatu radomskiego — Sandomierzanami, którzy znowu pojawiają

[1] Prof. Nitsch wydał dopiero w 1910 swoją »Próbę ugrupowania gwar polskich« (Odb. z 46 tomu Rozpr. wyd. filol. Ak. Um.), w której uwzględnił także Radomskie, nadal razem z Opatowskiem bardzo mało zbadane. Ten sam autor po krótkim rozdziale w książce: Mowa ludu polskiego, Kraków 1911, poświęconym słownikowi gwarowemu, rozpoczął dopiero w Roczniku Slawistycznym t. VIII (1918) bardzo doniosłe dla etnografji badania nad geografją wyrazów, uwzględniające i Radomskie (Przyp. wyd.).

się na zachodnich skłonach pasma świętokrzyskiego, tylko nie dochodzą już tak daleko na północ. Od Skrzynna i Przysuchy, tj. od owych najbardziej wysuniętych placówek ich osadnictwa, przechodząc na zachodnią stronę małopolskiego wzniesienia, sądzę, że należy gdzieś przez Końskie pociągnąć z północy ku południowi ich granicę, ale znowu nie wiadomo jak daleko? To pewne, że w okolicach Łopuszna na północ od Chęcin spotykamy jeszcze Sandomierzan, tu więc gdzieś w owej siatce wodnej, którą tworzy dopływ Nidy, Łososina, oraz dopływ Pilicy, Czarna, przychodzi widocznie do mięszania się tych elementów etnicznych.

Tak jest dzisiaj i tak musiało być dawniej, z pewnością nawet różnice etnograficzne zaznaczały się wyraźniej, obecnie bowiem dość wyraźnie odróżniają się jeszcze tylko naprawdę Sandomierzanie od nie-Sandomierzan. Mazury zaś, Sieradzanie i Łęczycanie już mniej silnie się rozróżniają między sobą, choć bez stopniowania i tu się nie obchodzi. Białe sukmany z naszyciem niebieskiem lub czerwonem i wysokie kapelusze mieszkańców Opoczyńskiego wyróżniają ich jeszcze dość silnie od Mazurów radomskich, ale już Łęczycan z pod Inowłodza i Nowego-Miasta od Sieradzan-Opoczniaków z nad średniej Pilicy rozróżnić bardzo trudno, tak, że wogóle możnaby zakwestjonować nawet udział tych ostatnich w osadnictwie tych stron, różnice bowiem opierają się na pewnych małoznacznych właściwościach stroju. W każdym razie zaznaczyć należy, że udział ów Łęczycan, który przyjmuję, schodzi do bardzo nieznacznych rozmiarów. — Natomiast Sieradzanie sami, blisko bardzo ze Śląskiem spokrewnieni, zaludnili część zachodnią dawnej ziemi radomskiej, późniejszy powiat opoczyński, prawie że wyłącznie, przypierali bowiem od zachodu wzdłuż Pilicy na dość długiej linji.

Streszczając więc ostatecznie wszystko, co można było zebrać o etnografji tych stron, należy powiedzieć, że całą wschodnią część dawnej ziemi radomskiej zajmują Mazury, zachodnią, znacznie mniejszą, Sieradzanie, Sandomierzanie zaś na całej linii przypierają do nich od południa, podnosząc się tylko raz bardziej ku północy, — przeszli więc oni na północną stronę Gór Świętokrzyskich, ale dalej ku pół-

nocy nie doszli i o Pilicę się nie oparli. — Ustąpili silniejszym Mazurom, którzy od północy zastąpili im drogę. Przyznać jednak trzeba, że Sandomierzanie zdziałali dużo. Oni to przedarli się z południa przez leśne ostępy Gór Świętokrzyskich — co łatwem wcale nie było.

Geografja, antropologja i etnografja w większej lub mniejszej mierze wskazywały zawsze jedno przy badaniach nad ziemią radomską, a mianowicie, że to kraj pograniczny, kresowy. To samo wskaże i historja, tylko i w tym wypadku nie oczekujmy jakich silnych i gwałtownych przeciwstawień i antagonizmów.

Przedewszystkiem musi uderzyć fakt, że dawne granice polityczne nie zgadzają się z podziałami plemiennemi. Województwo sandomierskie, które odziedziczyło w spadku swe granice po dawnej sandomierskiej dzielnicy, sięga po Pilicę, kiedy tymczasem, jak wiemy, część jego północna etnograficznie raczej do Mazowsza i do Sieradzkiego powinna należeć.

Bliższe podziałów plemiennych są już dawne granice diecezjalne. Archidiecezja gnieźnieńska wrzyna się dosyć daleko w małopolskie kraje — i to nawet zastanawiało już niejednokrotnie naszych uczonych. Sięga ona mianowicie od południa aż po Chęciny, Małogoszcz i Kurzelów, obejmuje też całe Opoczyńskie z Żarnowem i Skrzynnem po górną Radomierzę, podsuwa się nawet dalej ku północnemu wschodowi, zajmuje międzyrzecze dolnej Pilicy i Radomierzy aż prawie po Wartę i Głowaczów. Biskupstwo krakowskie obejmuje znowu sam Radom i posuwa się dalej ku północy. Sieciechów i Kozienice do niego należą.

Po tem, cośmy powiedzieli o etnografji ziemi radomskiej, zaraz na pierwszy rzut oka każdy powiedzieć musi, że bliższe są owe odwieczne kościelne granice etnograficznym albo—lepiej—prastarym plemiennym podziałom. Tylko i tym razem nie można powiedzieć, że pokrywają się one wzajemnie! Tak nie jest i być nawet nie może, bo przecież granice kościelne są bardziej nieruchome — etnograficzne zaś, choć na ogół stałe, są bardziej mimo wszystkiego ruchome. W naszym wypadku np. archidiecezja przekroczyła od południa ziemię łęczycką i sieradzką, które w skład jej

weszły, ale dodać zaraz należy: przekroczenie to, zresztą nieznaczne, tak się przedstawia wobec dzisiejszych naszych stosunków, mogło zaś nie istnieć wówczas, kiedy granice owe ustanowiono ostatecznie. Nie należy też tracić z uwagi, że mogły tu działać i inne względy czysto lokalnej natury, których dzisiaj odnaleźć i oznaczyć nie podobna. Warunki fizjograficzne, stare jakieś tradycje z doby może jeszcze przedpaństwowej, wzgląd na wcielenie znaczniejszych grodów — Małogoszcza w naszym wypadku — z których nowo powstały kościół czerpał swe dochody — wszystko to należy brać w rachubę i uwzględnić, choćby tylko jako możliwości teoretyczne i ogólne.

Przekroczenie granic plemiennych jest większe, jeśli chodzi o diecezję krakowską. Radom przecież i dolna Radomierza — to etnograficznie nie Małopolska, ani dziś nią nie jest, ani dawniej nie była. Jak się bowiem przekonamy, Sandomierzan i wogóle wszelkich osadników było mniej początkowo na północnej stronie gór świętokrzyskich, w tych kniejach i ostępach leśnych. Ale może właśnie dlatego, że chodziło o puste w znacznej mierze obszary, łatwiej było niemi rozporządzać. Jeśli zaś je nadano, wcielono snać także i gród Radom, może niegdyś nadgraniczny, do krakowskiego biskupstwa, nie zapominajmy bowiem, że te same względy oddziaływały przy oznaczaniu granic obu diecezyj.

Wobec faktu, że podziały kościelne są zgodne z pierwotnemi stosunkami, zapytać się należy, czy przypadkiem i dawniejsze granice polityczne, np. działy między różnymi Piastowiczami, nie trzymały się i nie zbliżały bardziej do granic kościelnych i czy owo posunięcie się Małopolski do Pilicy to nie pierwsza jej zdobycz, zdobycz wewnętrzna na sąsiednich dzielnicach. Otóż istotnie to pytanie wcale nie jest nieuzasadnionem. Znajdzie się też na nie odpowiedź stwierdzająca, że z wielkiem prawdopodobieństwem tak istotnie być mogło.

Pierwszym znanym nam podziałem, a może raczej wyznaczeniem dzielnicy, jest podział między Zbigniewem a Bolesławem Krzywoustym. Starszy Zbigniew dostał Wielkopolskę, czyli Polskę, i Mazowsze, a młodszy Bolesław Kraków i Sandomierz, tj. późniejszą Małopolskę, oraz Śląsk.

Do jego więc dzielnicy mogło należeć Radomskie — ale czy należało w istocie? Otóż zdaje się, że nie należało, a przynajmniej nie całe, nie po Pilicę. Udowodniłem na innem miejscu [1], że ów zagadkowy gród pograniczny, ów »castrum Galli«, o którym wspomina nasza najdawniejsza kronika Gallusa, to Kurzelów nad górną Pilicą, później jedna z ostatnich, najbardziej na południe wysuniętych, parafij archidiecezji gnieźnieńskiej. O jego to zburzenie chodziło tak bardzo Bolesławowi, Zbigniew zaś pod wszelkiemi pozorami zwlekał i opierał się i to miał być jeden z powodów domowej wojny. Jeśli tak jest w istocie, zyskujemy w tem zarazem dowód, że ów najstarszy znany nam podział trzymał się istotnie granic kościelnych. I Sieciechów, zdaje się, leżał podówczas na Mazowszu. Przynajmniej takby się zdawało z ustępu kroniki Gallusa, gdzie mowa, jak to po nieudanym rokoszu Zbigniewa Władysław Herman z sobą go na Mazowsze uprowadził i w grodzie Sieciecha (tj. Sieciechowie) czas jakiś więzić kazał [2].

Takim był ów najdawniejszy podział państwa polskiego późniejsze już się trzymają innej zasady. Synowie Krzywoustego, Kazimierz Sprawiedliwy, a przed nim Henryk Sandomierski, którzy te kraje dzierżyli, postarali się o inny, korzystniejszy dla siebie podział. Dzielnica Kazimierza Sprawiedliwego sięgała po Pilicę. Dowiadujemy się o tem ze sprawy jakiegoś biednego poddanego opactwa sulejowskiego, który, chcąc polepszyć swą ciężką dolę, zbiegł do Siekluk, pod księcia Kazimierza. Otóż te Siekluki leżą nieopodal Pilicy w Radomskiem. Trudno powiedzieć, dlaczego owe późniejsze podziały posunęły tak na północ granice Małopolski. Sądzę, że najprościej będzie przyjąć wzgląd następujący: widocznie już wówczas góry świętokrzyskie zaczęły tracić znaczenie strefy granicznej, linia wodna Pilicy okazała się wyraźniejszą i lepszą granicą, ją też wybrano i uznano. Sądzę, że się to już stało za księcia Henryka, posiadłości jego

[1] Podział państwa polskiego między Bolesławem Krzywoustym a Zbigniewem. Referat w Sprawozd. z czyn. i posiedz. Ak. Um. z 18 maja 1903.

[2] Galli Chronicon lib. II cap. 5, w wyd. L. Finkla i St. Kętrzyńskiego str. 48.

w Lubelskiem naprowadzają pośrednio na ten domysł. Ten podział mógł się ustalić, ponieważ po śmierci Leszka Mazowieckiego, syna Bolesława Kędzierzawego, Kazimierz Sprawiedliwy posiadł i Mazowsze, jednocząc je z Małopolską[1]. Następnie mógł więc w ten sposób między dwóch synów, Leszka Białego i Konrada, rozdzielić zgodnie swoje posiadłości i ten podział został przyjętym. Niebawem jednak musiał przyjść czas reakcji.

Za przedsiębiorczego i nieprzebierającego w środkach Konrada, wprawdzie na krótko, Mazowsze owładnęło Małopolską. Odbiło się to w pierwszym rzędzie na północnych kresach sandomierskiej dzielnicy, tj. na naszem Radomskiem. Konrad skorzystał z małoletności swego synowca, Bolesława Leszkowica, i umyślił pozbawić go ojcowizny. Na czas właśnie 1228 i 1229 r. przypadają liczne zjazdy wdowy po Leszku, księżnej Grzymisławy, z Konradem w Radomskiem, w Skaryszewie i nad Radomierzą; nie doprowadziły one jednak do niczego. Roku 1229 Konrad zagarnął księstwo sandomierskie i oddał je swemu synowi Bolesławowi. Wszakże niedługo sprawował on w niem rządy, najwyżej do 1231 roku[2]. W tym samym roku widzimy zresztą samego Konrada tytułującego się księciem sandomierskim, lecz także na krótko. Bolesław Leszkowic — późniejszy Wstydliwy — odzyskał był ostatecznie dzielnicę, choć prawdopodobnie nie całą. Odpadły od niej mianowicie owe północne kresy — nasze Radomskie. Czy w tych granicach, które znamy, aż po góry Świętokrzyskie? To zupełnie pewnem nie jest, choć jest możliwem. — W 1235 roku wprawdzie Bolesław Leszkowic robi nadanie w Radomskiem w okolicach Skary-

[1] Mistrz Wincenty, ed. Przezdziecki, str. 152 i 188.

[2] Piekosiński. Kod. Małop. II str. 49 i ekskurs str. 76. Przyjmuję rok 1231 nie 1232. W dokumencie. o którym będzie mowa poniżej, wystawionym w 1231 r., świadczy i zezwala syn Konrada, Bolesław, ale bez tytułu księcia sandomierskiego, nosi go natomiast sam Konrad. Por. Kodeks Mazowiecki N. 7 i 8. — M. Łodyński. Stosunki w Sandomierskiem w latach 1234—1239 (Kwartalnik hist. t. 25 1911 str. 1) na zasadzie dok. w Kod. Mpol. t. II nr. 399, 403 i 404 przyjmuje, że najwcześniej z końcem 1229 objął rządy w Sandomierzu Bolesław Kondradowicz a dzierżył je jeszcze w r. 1232. Na lata 1230—1232 kładzie rządy tego Bolesława St. Zachorowski w Hist. polit. Polski część I str. 176. (Przyp. wyd.).

szewa, ale wystawia dokument w Sandomierskiem; w każdym razie dowodzi to, że rości sobie do tych stron pretensje — a być bardzo może, sprawuje i rządy. Ale nadspodziewanie w 1237 roku spotykamy w Radomskiem znowu Bolesława Konradowicza. Potwierdza on, jako książę mazowiecki tylko, sprzedaż wioski pod Skaryszewem[1]. W jego orszaku jest i kasztelan radomski, co dowodzi, że go uznawał, obecność zaś zwykłego rycerstwa jako świadków, oraz magistra Alberta ze Skaryszewa, przemawia, że dokument musiał być wystawiony w samym Skaryszewie[2] i że to są okoliczni ziemianie. Nietylko Bolesław Konradowicz rządził w Radomskiem w tych latach, spotykamy tam bowiem i samego Konrada. Wystawia on dwa dokumenty, z których się dowiadujemy, że Skrzynno do niego należy. Pierwszy pochodzi z 1231 roku, drugi zaś z 1234 roku i jest wystawiony przez Konrada jako księcia łęczyckiego i przez Bolesława mazowieckiego. Ten stan rzeczy wszelako musiał się skończyć po niepomyślnej dla Konrada bitwie pod Sudołem 1243 roku i Radomskie musiało wrócić do sandomierskiej dzielnicy.

Po tej krótkotrwałej próbie przyłączenia Radomskiego do Mazowsza nie zmieniło ono już swych panów. Wprawdzie razjeszcze za Leszka Czarnego w 1282 r. możnowładztwo sandomierskie oddało Sandomierz i Radom w ręce księcia mazowieckiego, były to już przelotne tylko zdobycze, w których nie zdołał się utrzymać. Kto wie tylko, czy wskutek tych wszystkich zatargów, tego chwiania się i tej zmiany panów w pierwszej połowie XIII wieku, przez które przechodziła ziemia radomska, nie jest to, że mały skrawek ziemi radomskiej, t. zw. Zapilcze, zostało przy Mazowszu. Był to niewielki obszar, objęty Pilicą i Radomierzą, ale przy samych

[1] Kod. Mpol. II n. 412.

[2] Tamże n. 414. Domysł profesora Piekosińskiego sprawdza się. Koło Skaryszewa istnieje przysiółek Świerczek. Bogusław z Błotnicy (miles de Błotnica), który go Bożogrobcom miechowskim sprzedaje, jest, zdaje się, tymsamym, co i Bogusław z Dzierzkowa, który w 1235 roku sprzedawał z potwierdzeniem Bolesława Wstydliwego swoje działy w Dzierzkowku tymże Bożogrobcom. Oba dokumenty są niepodejrzane.

ujściach obu tych rzek. Książęta mazowieccy robią tam nadania w ciągu XIV wieku, np. w 1343 r., a nawet jest ślad, że wówczas Zapilcze sięgało nieco dalej, niż później[1]. Kazimierz Wielki zaś uregulował ostatecznie i tę kwestję. Roku 1359 odstąpił on Zapilcze na wieczne czasy Ziemowitowi mazowieckiemu[2], ale zdaje się okrojone, zgodne z granicami archidiakonatu czerskiego, który należał, jak wiadomo, do poznańskiego biskupstwa, coby znowu mogło wskazywać, że tu chodzi o jakieś dawniejsze stosunki. Możemy jednak śmiało ten mały skrawek pominąć i ostatecznie powiedzieć, że granica wodna Pilicy stała się granicą dzielnicy mazowieckiej i sandomierskiej, a później Mazowsza i Małopolski, i odgrywała podobną rolę, jak Noteć i Warta przy podziałach Wielkopolski z XIII wieku. Tak tu, jak tam, względy polityczne, praktyczne, jeśli tak powiedzieć wolno, okazały się od wszystkich innych silniejsze.

3. Wiek i rozmieszczenie osad.

Warunki fizjograficzne, o których już mówiłem, stanowiły w Radomskiem, jak zresztą stanowią wszędzie, punkt wyjścia dla osadnictwa. Nie pomógł ciągły ludzki wysiłek i ciągła dążność, aby je zrównać i ujednostajnić. Mimo tylowiekowej ciężkiej i mozolnej pracy znać jeszcze dość wyraźnie pierwotne różnice, nie starła ich historja, nie zaorał doszczętnie pług i nie zniszczyła siekiera. To też nie trudno i dziś jeszcze doszukać się w Radomskiem najstarszych warstw osadniczych i nie trudno odnaleźć pierwotne centra osadnicze, słowem wiek i rozmieszczenie ludzkich osad w tych stronach.

Jeżeli weźmiemy np. mapę Chrzanowskiego z połowy XIX wieku, musi nas na samym wstępie uderzyć bardzo silne przeciwstawienie między południowemi stokami gór świętokrzyskich a północnemi. Okolice Bodzentyna, Słupi, Waśniowa, Opatowa a wreszcie Ćmielowa aż po Sandomierz przedstawiają się na mapie jak drobnym maczkiem usiane

[1] Kodeks dypl. polski I n. 112. Chodziło o wieś Siekluki, tę samą, do której schronił się ów Miłoszka za Kazimierza Sprawiedliwego.

[2] Kodeks Mazowiecki n. 81.

nazwiskami osad. Pas ten gęstego osadnictwa idzie w kierunku skośnym, jak sam łańcuch wzniesień, t. j. z północo-zachodu na południo-wschód, i dociera do Wisły, której zresztą nie przekracza. Inaczej na północnej stronie, mniej więcej od zagięcia rzeki Kamiennej, która nagle zwraca się ku północy; robi się pusto. Na mapie Chrzanowskiego szeroki ten pas jest prawie zupełnie biały, z rzadka tylko czernieją na nim nazwy osad. Podnosi się on ku północy i tworzy szeroki szlak między Wisłą a dolną częścią średniego biegu jej lewych dopływów: Kamiennej, Chotczy czyli Iłżanki, Radomierzy i wreszcie samej Pilicy. Nie przypiera on wszakże do samej Wisły, lecz do Powiśla. Wzdłuż Wisły ciągnie się znowu pas nadbrzeżny gęsto zaludniony, chciałoby się powiedzieć: gęsto zapisany nazwami osad. Podobnie więcej osad widać nad owemi dopływami, szczególnie nad najznaczniejszym z nich, Pilicą. Okolice Solca, Iłży, Zwolenia, Kozienic, także się mniej lub więcej pusto przedstawiają. Od tego szlaku pustego na zachód odcina się silnie ośrodek większego skupienia. Przypomina on kształtem nieco gruszkę, cieńszą częścią zaczepioną o Pilicę, grubszą zaś zniżającą się ku południowi. Obejmuje ów ośrodek, poczynając od Pilicy około Białobrzegów, górną i część średniej Radomierzy, którą przecina koło Jedlińska, nie przechodzi zaś z tej strony, t. j. od wschodu, dopływu Radomierzy, Mlecznej. Można dalej ku południowi śledzić jego kontur w okolicach Skaryszewa i Wierzbicy, około górnej Chotczy, poza którą już nie przechodzi. Południową jego podstawę stanowi dosyć także wyraźna linja, pociągnięta przez Jastrząb, Szydłowiec i źródła Ciepłej, dopływu Radomierzy, oraz wszystkich tych strug i rzeczułek, które do niej wpadają. Od zachodu natomiast mniej już wyraźnie odcina się ów ośrodek gęstego zaludnienia, choć i tu można obwieść go dosyć wyraźną jeszcze obwódką przez Przysuchę, Goworczew ku północy, aż po źródła lewych dopływów rzeki Drzewicy. Opiera się wreszcie o samą Drzewicę koło miasteczka tej nazwy, skąd się zwęża, postępując ku Pilicy przez Klwów na północ. Tak opisany płat kraju obejmuje źródła samej Radomierzy, oraz wszystkie górne jej dopływy, przedewszystkiem rzekę Ciepłą wraz z temi licznemi strugami i rze-

czułkami, które ona zewsząd zbiera. Ten ośrodek, najważniejszy na całej przestrzeni między Pilicą a górami świętokrzyskiemi, okala od południa pas lasów, owych ciemnych górskich gozdów; Końskie, nieopodal źródeł rzeki Drzewicy, Chlewiska, leżą na ich kraju. Podnosi się owa smuga lasów ku północy i wbija klinem między ów środek silniejszego zaludnienia a rzekę Drzewicę. Przysucha np. leży jeszcze wśród lasów, ale im dalej, tem się ona więcej rozrywa, choć zawsze nieco bielszy płat na mapie Chrzanowskiego znowu oznacza, że w tem miejscu lasy nie ustąpiły do późniejszych czasów.

Dzieli ten klin, do dziś dnia bardziej leśny, właściwe Opoczyńskie od Radomskiego, ale mniej wyraźnie, gdyż wogóle rozmieszczenie ludności w powiecie opoczyńskim nie okazuje tak silnych przeciwstawień, jak w radomskim. W przejściu np. między zachodniemi odnogami pasma świętokrzyskiego a Pilicą próżnobyśmy szukali owego przeciwstawienia, jak między Wisłą a wschodniemi jego krańcami. Osadnictwo wcale nie rzednie ani na południowo-zachodnich ani na północno-zachodnich krańcach gór świętokrzyskich, co prawda mniej wyraźnie się tutaj kończących. We wnętrzu samego opoczyńskiego powiatu skupia się też ono raz tylko silniej koło Opoczna, nad średnią Drzewicą, słabnie natomiast wyraźniej po prawym brzegu Pilicy, od jej zagięcia ku wschodowi aż do samej dolnej Drzewicy. Biały ten płat, który widnieje, może nas dziwić, gdyż właśnie, jak wiemy, nad rzekami gęstość osadnictwa nie słabnie, lecz przeciwnie się wzmaga. Tym razem nie o lasy wszakże już chodzi, lecz o bagna, jak to zaraz zobaczymy.

Zależność rozmieszczenia ludności w dawnej ziemi radomskiej od warunków fizjograficznych, które już znamy, jest widoczną. Nie potrzebujemy tutaj drugi raz wszystkiego powtarzać. Dość zestawić i porównać np. mapy geologiczne i rolnicze z tą samą mapą Chrzanowskiego, którą musimy mieć ciągle przed oczyma. I tak np. cała wschodnia część powiatu radomskiego między Powiślem a Iłżą i Radomiem odpowiada glebie mniej urodzajnej, piaszczystej, na której zawsze będzie las porastać, ów zaś płat gęsto zaludniony koło Radomia i Skrzynna, choć i tu występują piaski, po-

siada przecież na ogół lepszą glebę i — co dawniej było ważne — jest wynioślejszy, a więc mniej zabagniony, i bardziej jednostajny. I owe puste płaty nad Pilicą odpowiadają nie lasom wprawdzie, lecz najbardziej mokrym i niegdyś bagnistym okolicom nadrzecznym. A znowu powiat opoczyński jest nieco żyźniejszy w owem przejściu między Pilicą a pasmem gór świętokrzyskich, koło Opoczna wreszcie nad średnią Drzewicą; choć gleba nie jest może o wiele urodzajniejsza, to jednak występuje tu ważny wzgląd, mianowicie większa jednolitość warunków fizjograficznych. Zgodność więc istnieje i da się wykazać mimo, że ów znany nam już brak więcej zasadniczych różnic w urodzajności gleby czyni obraz mniej jasnym i przejrzystym.

Zbadanie genezy historycznej osadnictwa w ziemi radomskiej i opoczyńskiej, któreśmy niejako z zewnątrz opisali, musi nas obecnie zająć, wiemy bowiem, że osadnictwo nie jest jedynie wytworem czynników fizjograficznych. Osadnictwo jest starsze, niż historja. To ogólna teoretyczna prawda, której przeczyć trudno. Ale praktyczną prawdą jest i to również, że bardzo mało wiemy o tem najstarszem osadnictwie przedhistorycznem, krótko się też z niem trzeba załatwić.

To jedno wszakże pozostaje pewnem, że ziemia radomska i opoczyńska, której etnografję i historję poznaliśmy, podobnie, jak inne strony polskie, nie była wcale taką bezludną puszczą w czasach przedhistorycznych, jak to sobie lubimy wyobrażać; i tu czeka nas pod tym względem niespodzianka. Podobnie jak poszukiwania archeologiczne ostatnich latach stwierdziły naprzykład silne zaludnienie w dobie przedhistorycznej w Krakowskiem i Sandomierskiem nad Wisłą i dolną Śreniawą, Nidą i Czarną, tak samo i w Radomskiem można stwierdzić fakt analogiczny. Co ciekawsze, tu i tam te same obszary, które w czasach historycznych zastajemy najgęściej zaludnione, były już takiemi np. w pierwszych wiekach po Chrystusie. Można to przynajmniej stwierdzić co do owego silnie zaludnionego ośrodka koło Radomia. Na wyprowadzenie dalszych wniosków z tego faktu musimy wszakże poczekać jeszcze, co nam powiedzą dalsze archeologiczne poszukiwania. Dotychczas bowiem brak nam

ciągłości, tak, że nie możemy śledzić przedhistorycznego osadnictwa od epok najdawniejszych do późniejszych. Niestety nawet owa najpóźniejsza epoka archeologiczna, a właściwie już najwcześniejsza historyczna, t. zw. grodziskowa, jak ją także nazywają, najmniej jest zbadaną, a ona najbardziej nas obchodzi (wiemy już bowiem zupełnie napewno, że to są polskie plemiona) i z nią trzeba nawiązywać stosunki późniejsze, zupełnie już historyczne, dla których podkład stanowi.

W tych warunkach robota nasza musi być składaną. Złożą się na nią bezpośrednie archeologiczne dane z epoki grodziskowej, najstarsze historyczne wzmianki o grodach, wreszcie same nazwy, a przedewszystkiem ich rozmieszczenie. Wszystko to razem da nam dopiero jakąś bardziej jednolitą i pełniejszą całość i pełniejszy obraz tej najstarszej, podstawowej warstwy osadnictwa polskiego.

Przedewszystkiem należy zwrócić uwagę, że późniejsze grody kasztelańskie musiały odgrywać znaczną rolę w najstarszem historycznem osadnictwie. Jak gdzieindziej, tak i tutaj stanowiły one już w dobie plemiennej znaczniejsze osadnicze centra. Sądzę, że były one już zużytkowane jako grody przed podziałem państwa między Bolesława Krzywoustego a Zbigniewa i mogły służyć za punkty obronne nawet już za czasów Mieszka I. Mamy na to nawet bezpośrednie dowody co do dwóch grodów, że istniały w dobie przedpaństwowej. Posuwając się od zachodu na wschód, od Pilicy ku Wiśle, pierwszym grodem jest Żarnow. Wiemy o nim tylko tyle, że wśród okopu, zdaje się starszego, wznosi się romański kościółek i że gród książęcy istniał tam już w r. 1136. W lepszem jesteśmy położeniu co do Skrzynna i Skrzyńska; obydwa te grody są wielce typowe. Skrzynno, zwane także Nowem Skrzynnem, gród książęcy w r. 1136, leżący nieopodal bagnistej wśród łąki i torfowisk płynącej Radomierzy na piaszczystem wzgórzu, było zamieszkałe w czasach przedhistorycznych. A podobnie o cztery kilometry dalej położone Skrzyńsko, czyli Stare Skrzynno, które posiada nawet i starożytny nasyp, grodzisko[1]. Sam Radom

[1] Wawrzeniecki i Jastrzębowski, Poszukiwania archeologiczne. Materjały antr.-archeol. i etnog. t. VII. Kraków 1904 s. 150.

ma metrykę historyczną mniej dawną, jak Żarnow i Skrzynno. Pierwszy raz dopiero w r. 1241 spotykamy się z kasztelanem radomskim, a więc i z kasztelanją, jednak w bulli dla Wrocławia z r. 1155 jest wzmianka o jakiejś wiosce, że leży koło Radomia, a tak się zwykle mawiało o grodach kasztelańskich, które były przedewszystkiem znaczniejszemi osadami i stanowiły ogniska administracji państwowej; był tedy Radom, podobnie jak dwa grody poprzednie, już w XII wieku grodem książęcym. Mamy jednak bezpośrednie dowody na to, iż Radom był osadą zamieszkałą w czasach przedhistorycznych. Istnieje do dziś dnia Stary Radom obok Nowego, właściwego miasta, leży on w dole nad szeroką smugą bagnistych, torfiastych łąk, które tworzy Mleczna, dopływ Radomierzy, między wydmą piaszczystą, gdzie dziś cmentarz, a drugą piaszczystą wyniosłością, którą przecina szosa warszawska. Na obu tych wzgórzach znajdywano ślady pobytu człowieka przedhistorycznego — urny z popiołami. Wśród samych łąk, do niedawna trudnych do przebycia, wznosi się rozległy, trzech-morgowy okop, dawne grodzisko. I w niem podobnie jak w Żarnowie i Skrzynnie stanął później kościołek, samo jednak pochodzi z czasów dawniejszych. Późna, grodziskowa ceramika, znaleziona w jego obrębie, a również i owe znalezione przedmioty na obu wzgórzach, a także i na samych łąkach, wymownie za tem przemawiają[1]. Ale Radom nietylko był osadą zamieszkałą w czasach przedhistorycznych, musiał on być już wówczas znaczniejszą osadą. Zestawienie nazw Radom z rzeką Radomierzą, nad którą zresztą Radom nie leży, może dać do myślenia. Być może, że Radomir (a w skróceniu Radom) to wódz jakiegoś drobnego plemionka, które w te strony kiedyś przywędrowało. Co więcej, taka nazwa, jak w Sieradzkiem Radomsko t. j. Stary Radom, oznaczałaby etap na jego drodze z zachodu t. j. ze Śląska na wschód ku Wiśle. Jest to hipoteza w każdym razie możebna; związek nazw Radomia i Radomierzy jest pewny, a i związek

[1] Wawrzyniecki i Jastrzębowski, Poszukiwania archeologiczne. Materjały etc., t. VIII s. 100. Ks. Gacki, Stary Radom, Pamiętnik Religijno-Moralny, tom 29 (1855) s. 245 oraz serja II tom 5-ty (1860) s. 133.

nazw Radomska z Radomiem jest prawdopodobny. Ostatni, najbardziej wschodni gród kasztelański, Sieciechów, który leży już nad Wisłą, zawdzięcza swój początek słynnemu Sieciechowi, wojewodzie Władysława Hermana z końca XI wieku. Czy nie przemienił tylko Sieciech jakiegoś dawniejszego grodziska na swój gród obronny, nie wiemy, ale tak być mogło. Bardzo prędko utracił go wszakże Sieciech, a książę i tutaj osadził swego urzędnika — kasztelana. Czy Iłża była dawniej grodem i jaki jej początek, nic nie wiemy.

Pozostają w każdym razie te trzy grody, które, jak to z wielkiem prawdopodobieństwem twierdzić możemy, były już grodami w epoce przedpaństwowej; pewnem jest to przedewszystkiem co do Radomia. Każdy z tych grodów stanowił ośrodek życia społecznego dla najbliższej ludności t. j. dla jakichś drobniejszych plemionek, z których składało się każde większe plemię. Chcieć oznaczyć bliżej ich siedziby, byłoby to wszakże iść za daleko, granice bowiem późniejsze kasztelanij, które w wielu razach można odnaleść, nie dadzą się wprost odnieść do tak odległych czasów. W każdym razie choć w kilku słowach będziemy musieli zaznaczyć, jakie one były, gdyż bądź co bądź są to najdawniejsze terytorjalne podziały, w których mimo wszystko coś z najdawniejszych mogło się odbić i przechować, a może tylko powtórzyć.

Kasztelanja żarnowska jako najdalsza najmniej nas obchodzi, choć jest ona tak ciekawa, że należałoby jej poświęcić oddzielną monografję. Tu wystarczy powiedzieć, że jej granice zgadzają się z granicami archidiecezji gnieźnieńskiej.

Radom od Skrzynna dzieli Radomierza w swym średnim biegu oraz jej dopływ Ciepła z całą siecią drobnych rzeczułek. Tu się schodzą granice diecezji krakowskiej z archidiecezją i, co za tem idzie, granice pierwotnych parafij grodowych: Radomia i Skrzynna. Granica ta, sądząc z przywilejów Konrada Mazowieckiego, o którym będzie mowa poniżej, musiała iść z biegiem Radomierzy, tak jak granice kościelne. Szkoda tylko, że nie są już tak pewne granice od zachodu, z Żarnowem; nie wiemy mianowicie, czy dawna kasztelanja skrzyńska przechodziła rzekę Drze-

wicę, czy tylko doń dochodziła; sądzę, że to ostatnie przypuszczenie jest trafniejsze. Niejasnemi są też granice kasztelanji radomskiej od wschodu ku Wiśle, a te najwięcej nas obchodzą, po tej stronie bowiem znajduje się i puszcza radomska. Tutaj Sieciechów, dosyć długo gród książęcy, także stanowił kasztelanję i do niego wioski z puszczy mogły pełnić różne powinności i składać daniny. Należały one jednak do Radomia, przynajmniej powiedzieć to można o wioskach, które leżą nad Radomierzą i nad jej prawemi dopływami, są bowiem między niemi i narokowe grodu radomskiego. Podobnie spotykamy narok radomski i pod Zwoleniem. Ostatecznie więc powiedzieć można, że podchodziła kasztelanja radomska aż pod same Powiśle, gród zaś sieciechowski miał Powiśle, a nawet, jak świadczy narok i późniejsze granice ziemi sieciechowskiej (potem stężyckiej), posiadał swoich ludzi i swoje osady i z prawej strony Wisły. Bliższych szczegółów mieć już nie możemy, zresztą dodać winniśmy, że im dalej cofamy się wstecz, tem mniej kasztelanje przedstawiały się jako zwarte kompleksy, co oczywiście utrudnia wszelkie tego rodzaju badania [1].

Grody stanowiły silniejsze centra osadnicze. Widać to zresztą na Radomiu i Skrzynnie, koło których gęściej się skupiają osady. Dalecy jesteśmy wszelako od tego, aby ich działaniu przypisywać wszystko. Najdawniejsze osadnictwo trzymało się biegu rzek przedewszystkiem, a także i warunki fizjograficzne wpływ swój wywierały. Niema tu zresztą zasadniczej sprzeczności pod tym względem, bo i same grody powstawały wśród ludniejszych okolic albo nad biegiem wód.

Dawność owych osadniczych centrów oraz dawność osadnictwa wogóle możemy także mierzyć i nazwami osad.

[1] Już w XIII w. znachodziły w dokumentach określenia, że ta a ta wieś leży in castelatura, przypuśćmy: Legnicensi, Wisliciensi, Cracoviensi i t. d., podobnie jak później w XIV w., że leży w takiej to a takiej ziemi lub powiecie. Świadczy to, że już wówczas kasztelanja stała się pojęciem terytorjalnem, co jest zresztą zupełnie naturalne. Narok grodowy mógł się znajdować nietylko w pobliżu grodu — na to zgoda; sądzę wszelako, że zwykle znajdował się on w ich pobliżu, jak to same nazwy osad narokowych wskazują. Z wyjątków nie należy tworzyć reguły.

Nie mam tu oczywiście na myśli teorji, która wprawdzie krótko, ale dosyć wszechwładnie panowała w polskiej nauce. Była to teorja, polegająca na prostej i łatwej klasyfikacji nazw osad, według której odrazu można było zaliczyć różne ich kategorje do starszych lub młodszych. Szkoda tylko, że fałszywie! Dziś owa teorja została uprzątniętą z nauki, jak na to zasługiwała. Nie znaczy to wszelako, aby nie było nazw starszych i młodszych i abyśmy nie mogli ich rozpoznać. Przedewszystkiem sam język stanowi tutaj najlepszą metrykę: niektóre nazwy topograficzne a podobnie i nazwy patronymiczne i dzierżawcze należą do starszej warstwy i mogą być do naszych celów pomocne. Nie bez znaczenia jest więc samo rozmieszczenie tych nazw, choć z góry powiedzieć należy, że nie zawsze to rozmieszczenie można objaśnić.

Około grodów i na owych ludniejszych obszarach spotykają się oczywiście osady o starszych nazwach. Około Żarnowa, nieopodal rzeki Czarnej np. gromadzą się w większej liczbie osady patronimiczne obok siebie; ciekawy jest tu prawie zupełny brak osad służebnych. Posuwając się bardziej ku Opocznu, t. j. ku zachodowi po prawej stronie rzeki Drzewicy, przeważają stanowczo osady dzierżawcze, które także występują w większych lub mniejszych gromadkach. Widocznem to jest szczególniej koło Skrzynna, gdzie występują one obok siebie w liczbie kilkunastu. Prócz bardzo ubogiego także naroku spotykamy z wyjątkiem paru osad patronimicznych same dzierżawcze, jedna obok drugiej. Dopiero powyżej nad Radomierzą, przy jej zagięciu ku północo-wschodowi, spotykamy większą gromadkę, bo aż siedm obok siebie, wsi patronimicznych. Na owym ludnym płacie, którego Radom jest ośrodkiem, znajdujemy osady dosyć pomieszane, to narokowe w większej nieco liczbie, niż przy Skrzynnie, to patronimiczne, to wreszcie dzierżawcze. Posuwając się jeszcze dalej ku Wiśle, nad Radomierzą prawie jedynie zachowują się starsze nazwy: jest to narok grodu radomskiego, taki jak: Komorniki, Bobrowniki, Bartodzieje, prócz tego spotykamy osady dzierżawcze, rzadziej patronimiczne, które się pojawiają znowu bliżej ujścia Radomierzy do Wisły. Międzyrzecza dolnej Pilicy, Radomierzy,

Chotczy i Kamiennej, słowem cały ów obszar wschodni, słabo zaludniony, posiada bardzo mało nazw starszych, natomiast pełno tam nazw takich, jak Helenów, Anusin, Amelków, Marjanów, Henryków i t. d. Dopiero nad Chodczą pojawiają się osady starszej formacji. Koło samej Iłży, nieopodal jej źródeł, występuje obok siebie kilka wiosek patronimicznych i w dalszym jej biegu spotykają się one sporadycznie, po prawej stronie szereg osad o starszych nazwach dzierżawczych, po lewej zaś parę patronimicznych także obok siebie. Nad Dolną Kamienną wreszcie odnajdujemy parę osad patronimicznych i starszych dzierżawczych. Na tem wszakże nie koniec.

Istnieje cała kategorja nazw topograficznych, wziętych najczęściej od rodzaju gospodarstwa, które prowadzono. Młodsza warstwa — to różne Huty, Huciska, Budy; starsze: — to Kuźnice, Rudy, a jak w puszczy: Koszary, Majdany, Maziarze, Węglarze i starsze: Bartniki, Łazy, Łaziska, Żary, Zdziary, Popławy, Gozdy i t. d. i t. d. Oczywiście nazwy tych kategorji najczęściej, a raczej prawie że wyłącznie, występują na obszarach najdłużej przez lasy zajętych, a więc w naszym wypadku na obszarze dawnej puszczy i w lasach na północnych stokach gór świętokrzyskich, gdzie gospodarstwo leśne przetrwało niemal do ostatnich czasów. Ciekawsze są wszakże dla nas ślady podobnych gospodarczych stosunków na obszarach dawniej już zaludnionych, nazwy już mogą tutaj niejedno odkryć i potwierdzić. I tak n. p. w pasie między Skrzynnem a Opocznem i rzeką Drzewicą mamy same nazwy późniejsze wogóle, świadczące, że powstały z puszczy lub nieużytków i pustek. Na południe też od Skrzynna ku Szydłowcowi spotykamy znowu takie nazwy, jak: Koryciska, Chlewiska, Łaziska, Gozd, Skłoby. Wszystko to prastare ślady wraz z samemi Końskiemi dawnego gospodarstwa leśnego i pasterskiego, bo to się podówczas razem trzymało, a zarazem ślady, o ile dalej podchodziła puszcza — te osady bowiem, to pierwsze na niej zdobycze. Podobnie i na wschodniej granicy tylokrotnie już wspomnianego ludnego ośrodka koło Radomia okazują się również takie charakterystyczne nazwy, jak np. na północy nad Radomierzą, po prawej stronie szosy warszawskiej: Zdziary,

Gozd, Jedlińsko, Jedlanka, Mokrosęki, a dalej ku południowschodowi Kuczki, Korytka i całe mnóstwo nazw świeżej formacji, o których zresztą jako na terytorjum puszczy powstałych przyjdzie nam jeszcze mówić. Wszędzie prawie możemy jej dawne granice temi nazwami wyznaczyć i potwierdzić, cośmy o osadnictwie ziemi radomskiej wyżej powiedzieli.

Dotychczasowe poszukiwania pozwoliły nam cofnąć wstecz osadnictwo ziemi radomskiej aż do epoki przedpaństwowej, najdawniejszej epoki historycznej polskiej. Okazało się, że ów obraz, jaki można było nakreślić na zasadzie poszukiwań archeologicznych, badania map i nazw, w głównych zarysach przetrwał do niedawna. Wieki nie mogły zatrzeć zupełnie owych pierwotnych znamion, choć cała ich robota właśnie na zacieraniu polegała. Nie wszystkie różnice w warunkach przyrodzonych mógł człowiek znieść i usunąć. to też mimo wszystko dawne tło jeszcze prześwieca i nie tak trudno je rozeznać. Okolice z dawna silniej zaludnione zachowały pierwszeństwo i nie dały się wyprzedzić zajętym później pod uprawę.

4. Rozwój własności ziemskiej w ziemi radomskiej w XI—XIII wieku.

Najstarsze osadnictwo ziemi radomskiej było dziełem jeszcze przedpaństwowych stosunków; przyszły wszelako zmiany bardzo ważne: powstało państwo polskie i objęło w spadku te najdawniejsze formy bytu. Państwo, to przedewszystkiem panujący, wszystko jedno: książę czy król. On występuje teraz na pierwszy plan, w jego ręku wszystko się skupia i przez jego ręce prawie wszystko przechodzi. On też powołuje do życia dwa tak ważne czynniki, jak kościół i możnowładztwo, które odegrają w osadnictwie znaczną rolę. Kościół stanie się dzięki nadaniom panującego wielkim właścicielem ziemskim, podobnie możnowładztwo. Z dawnych dynastów-patrjarchów rodowych, mających głównie zwierzchnie prawa, które przechodzą teraz na panującego, powstaną z czasem wielcy terytorjalni właściciele.

Wszystkie te czynniki zaznaczyły się bardzo silnie i wycisnęły swe piętno na osadnictwie ziemi radomskiej —

i panujący i kościół i wielcy terytorjalni panowie — każdy według sił i możności.

I. Bezwątpienia najwięcej możności miał panujący, król czy książę, od niego się też wszystko rozpoczyna. Zmiany jednak, wywołane przez niego i jego wpływ, nie są zbyt bezpośrednie, powiedziałbym, konkretne. I nic dziwnego. Są one przecież wynikiem ogólno - państwowych stosunków i urządzeń, działających na całym obszarze ówczesnego państwa polskiego.

Przedewszystkiem panujący stał się właścicielem niezajętych obszarów, a i nad zajętemi nabył różne daleko nieraz idące prawa zwierzchnicze. Ludność rolnicza, a w każdym razie jej większość, stała się od niego zawisłą, mógł on ją przerzucać według swych potrzeb i wiemy, że przerzucał istotnie. Tylko nie możemy znowu przeceniać wpływu tego faktu na osadnictwo. Na to trzeba było masowych przenoszeń, a tych nie było ani w Radomskiem, ani gdzieindziej. Wyjątkowo tylko, i to później, panujący, czyniąc nadania kościołom, przenosił większą liczbę rolniczej ludności w zwykłych warunkach, tj. jeśli o jego własne gospodarstwo chodziło, przenosił po kilkunastu z jednego grodu do drugiego — a to znowu znaczniejszego wpływu wywrzeć nie mogło. Organizacja grodowa, którą wprowadził bardzo wcześnie panujący, wpływała pośrednio na osadnictwo; trudno było wyjść poza związek grodowy, ale w obrębie tego związku poddany księcia mógł się swobodnie poruszać i nikt mu nie przeszkadzał trzebić puszczę i zakładać nową siedzibę po dawnemu. Stosunki ekonomiczne okazały się tu od wszystkich innych silniejsze.

W Radomskiem były trzy grody, pochodzące jeszcze z doby plemiennej: Żarnów, Skrzynno i Radom. Panujący zamienił je teraz na książęce. O ile przytem utrzymały się dawne rodowe albo plemienne podziały, odpowiedzieć trudno, w każdym razie nie sądzę, aby należało przesądzać rzecz całą i odpowiadać z góry na to pytanie twierdząco lub przecząco. Badania na szerszą skalę podjęte mogą dać jakieś co do tego wskazówki, obecnie tylko tyle można powiedzieć, że niemożebne to nie jest. Oczywiście nie należy sobie wystawiać okręgów grodowych, kasztelanij, jako terytorjal-

nie rozgraniczonych i zamkniętych, bo tego z początku z pewnością nie było. W każdym razie dopiero później w XIII w. przyszło z konieczności do większego terytorjalnego ustalenia granic kasztelanij. Przyjąć można, że z tego już czasu pochodzą i terytorja grodowe ziemi radomskiej. Bagniste rzeki i rzeczki, nieprzetrzebione puszcze, o ile się dochowały (a dochowały zazwyczaj), mogły i teraz służyć za granice. Niestety nie są nam one dobrze znane. Wiemy tylko tyle, że zachodnie granice kasztelanji radomskiej zgadzały się z granicami archidiecezji, nie wiemy tylko, jakie były jej granice północno-wschodnie ze Skrzynnem. Prawdopodobnie Skrzynno z tej strony, tj. od zachodu, zajmowało ów pas leśny, ową odnogę puszczy świętokrzyskiej, która sięgała ku północy i kończyła się pod Gielniowem. W takim razie granice kasztelanji skrzyńskiej podchodziły pod samą rzekę Drzewicę, która ją od Żarnowa dzieliła. Od północy zaś musiały się owe granice przerzucać na jej leśne pobrzeża i dochodzić aż do Pilicy, i to dość szerokim pasem, kasztelanja skrzyńska bowiem, jak to zobaczymy, łączyła się z Mazowszem, kasztelanja radomska przypierała znowu od zachodu do owej smugi wodnej i leśnej, którą tworzyła Radomierza i Ciepła. Tu się gdzieś musiały schodzić obie kasztelanje skrzyńska i radomska. Odtąd wszystko na wschód ku Wiśle podlegało radomskiemu grodowi. Do niego należał cały ów płat ludny koło Radomia, napewno, Skaryszew, zapewne i Wierzbica; do niego należał dalej cały dolny bieg Radomierzy, aż po ujście, gdzie się później jeszcze znajdowały majątki radomskiego starostwa, i cały dolny bieg Chotczy, a być bardzo może dochodziła kasztelanja radomska i do samej Kamiennej, podlegała jej więc cała puszcza. W puszczy nad Radomierzą i nieopodal Chotczy znajdowały się przedewszystkiem osady służebne tego grodu, co według mnie w większości wypadków dowodzi, że i sama kasztelanja tak daleko sięgała terytorjalnie, przynajmniej już w XIII wieku. Wobec tych dalekich granic gród książęcy w Sieciechowie miał już tylko samo Powiśle, musiał też sięgać za Wisłę, tak jak późniejsza ziemia sieciechowska, a jeszcze późniejsza stężycka. Taki podział był anomalją

poniekąd, ludność bowiem musiała tak daleko pełnić wszystkie powinności i znosić daniny.

Grody były podówczas ogniskami książęcej administracji i książęcego gospodarstwa, o tym podwójnym ich charakterze zapominać nie można. Działalność administracyjna była wszędzie jednaką, co do owej gospodarki książęcej zachodziły tylko znaczniejsze różnice. Bywały grody, jak i folwarki, zamożniejsze, lepiej zagospodarowane, bywały i uboższe; do tych ostatnich należały i owe trzy grody radomskie. Świadczą o tem nazwy osad służebnych i ich liczba. Żarnów prawie nie ma tak zw. naroku grodowego, bo nawet jedna z takich osad, Strzelce, prawdopodobnie nie należała do niego. Pozostają więc tylko Skotniki. To samo trzeba powiedzieć i o Skrzynnie; tam znowu spotykamy tylko Konary i Sokolniki. Radom ma tych osad więcej, można powiedzieć nawet: znacznie więcej. W jego pobliżu znachodzimy: Woźniki, podwójne Kobylniki, Kowale, Trawniki, a zaś nad Radomierzą i w owych stronach mniej ludnych: Komorniki, Bobrowniki i podwójne Bartodzieje. I późniejszy Sieciechów ma narok dość ubogi: Psary, Bobrowniki i, zdaje się, Kowale i Kobylniki są jego osadami służebnemi. Jeśli się te osady porówna z takim np. narokiem grodu wiślickiego lub sandomierskiego, wówczas dopiero okaże się cała różnica, nietylko co do ilości osad, lecz i co do jakości. Osady służebne np. grodu radomskiego wskazują na gospodarstwo łowiecko-bartnicze i takie tutaj ono wyłącznie być musiało. Może tylko dziwić, iż książę nie wydobywał na swój rachunek rudy żelaznej, obfitej w tych stronach, brak bowiem książęcych osad służebnych takich, jak Rudniki; zadawalniał się on widocznie tylko daniną żelaza, którą mu ludność składała. Do tego ograniczałoby się gospodarstwo księcia, związane z organizacją grodową. Poza tem takie osady, jak Mazowszany, Pomorzany, świadczą, że książę osadzał i tutaj jeńców. Mazowszany, to niewątpliwie Mazury, wzięci do niewoli podczas którejś z dosyć licznych wojen domowych, może z wojny z Masławem za Kazimierza Odnowiciela, Pomorzany zaś, to pamiątka licznych wojen Bolesława Krzywoustego. Są nawet dwie wioski tej nazwy w naszych stronach, świadczą one, że panujący jeńców i tu osadzał, ale

nie świadczą koniecznie, aby te bardziej puste kraje chciał zaludniać.

II. Kto tylko, choćby powierzchownie, obeznany jest z historją stosunków agrarnych, wie, jakie ma doniosłe znaczenie dla osadnictwa powstanie wielkiej własności. Najpierw występuje na tem polu kościół. Nie poruszam tu kwestji, czy przy swem powstaniu dostał on wyłącznie uposażenie w gotowych dochodach, czy również i w ziemi. W każdym razie to jest zupełnie pewnem, że w kraju tak mało zagospodarowanym, jak była Polska np. w X i XI wieku, biskupstwa, bo tu przedewszystkiem o nie chodzi, musiały być uposażone przedewszystkiem gotowemi dochodami. Do tego były dwie drogi: albo książę dawał wprost ze swego skarbca, co i ile było potrzeba, albo przekazywał dochody ze swych grodów. Tak było z pewnością w XI już wieku, a wiemy dowodnie, że było w pierwszej połowie XII wieku. Z owych czterech grodów książęcych w Radomskiem dochody z trzech całkowicie lub częściowo przeszły na rzecz biskupstw — jeden zaś dostał się zakonnikom Benedyktynom, jak to już wiemy. Lecz nietylko dochody; co do jednego z tych grodów przynajmniej będziemy mogli powiedzieć, że i on sam częściowo przeszedł w posiadanie kościoła.

Wspominałem już, że Żarnów i Skrzynno są wymienione w bulli Innocentego II z r. 1136 dla arcybiskupstwa gnieźnieńskiego między grodami, z których arcybiskup pobiera dochody. Były to dziesięciny z ziarna, miodu, łupieży kunich i lisich, ze świń, tak podówczas powszechnie hodowanych, oraz żelaza, prócz tego zaś dziesięciny z dochodów, tj. np. dziesiąty tydzień dochodów książęcych z karczem, z targów, z kar sądowych, oraz z myta, tak w samych grodach, jakoteż w miejscach im pobliskich, mówi przywilej. Nie na tem się jednak ogranicza rozdawnictwo dochodów książęcych na rzecz kościoła.

Dowiadujemy się niebawem, że opactwo mogilneńskie ma otrzymywać dwie grzywny rocznie, trzemeszeńskie zaś dziesiątą donicę, zdaje się miodu, z książęcej śpiżarni w Żarnowie, a pod sam koniec XII wieku kollegiata sandomierska, świeżo wówczas założona, dostaje także z Żarnowa dziewiątą i dziesiątą część dochodów z karczem

i targów oraz dań w zbożu z całej kasztelanji, którą ludzie książęcy składali. Niewiele się księciu musiało już zostać wobec tak hojnego szafunku [1].

Wiemy już, że te same dochody, co i z Żarnowa, pobierał arcybiskup ze Skrzynna. Ale zaraz na wstępie rodzi się pytanie: z którego? Wiemy, że już w średnich wiekach istnieje Skrzynno, czasem i Nowem Skrzynnem nazywane, oraz Skrzyńsko, inaczej nazwane Wielkiem czyli Starem Skrzynnem. Oba te grody istniały już w czasie spisania bulli z 1136 roku, a, jak wiemy, mogły istnieć wcześniej. Otóż arcybiskup pobierał dochody ze Skrzynna, Skrzyńsko bowiem już wówczas było w innych rękach, jak to zobaczymy niebawem, ich część stanowiły bezwątpienia jakieś bliżej nieokreślone dochody z sześciu wiosek w sąsiedztwie Skrzynna położonych. W roku 1234 odstąpił je za zgodą kapituły opactwu sulejowskiemu [2]. W samem Skrzynnie został mu więc tylko dochód z myta, który w XIV wieku jeszcze pobierał [3].

Nie bez pewnego zdziwienia wszelako dowiadujemy się, że nie książę, lecz biskup poznański miał samo Skrzynno i włości w jego okolicy. tak, że przynajmniej w XIII wieku arcybiskup gnieźnieński pobierał niektóre dochody w Skrzynnie, np. targowe, nie od panującego, lecz od poznańskiego biskupa [4]. O jego majątkach w kasztelanji skrzyńskiej dowiadujemy się z dwóch przywilejów: Konrada mazowiec-

[1] Za czasów Długosza wszystkie karczmy w Żarnowie dawały na rzecz kasztelanji dwie grzywny rocznie, o innych dochodach kasztelanji nic nie wiemy. Lib. benef. t. I, str. 322. Uposażenie kollegiaty sandomierskiej koliduje w znacznej mierze z wyposażeniem dawniejszem katedry gnieźnieńskiej. Sądzę, że arcybiskup Piotr, przy poświęceniu kollegjaty, której sam dokonał, musiał się zrzec swojej części w Żarnowie; jest to możliwe, bo później niema nigdzie wzmianki o dochodach arcybiskupa z tego grodu.

[2] Kod. MP. II. n. 411. Wioski te są: Zagórze, Komarów, Kamień, Sokolniki, Gródek, Smogorzów. Prócz nich przywilej wymienia Przedwojowice (być może była to osada także w pobliżu Skrzynna) i Gródek (właściwie Grodiste tj. Grodziszcze, to Gródek Leśny koło Przysuchy).

[3] Kod. Wielkopol. II. n. 1116, r. 1331, oraz III. n. 1354, r. 1357.

[4] Przemawia za tem pośrednio to, że biskup poznański zamienia w 1288 villam forensem Skrzynno z ks. Przemysłem II (Kod. Wpl. II. nr. 619).

kiego i jego syna, Bolesława mazowieckiego. W pierwszym z nich z 1231 r. książę Konrad uwalnia wioski biskupa Pawła, leżące koło Czerska, Sochaczewa i Skrzynna, od różnych opłat i powinności. W drugim zaś z 1234 r. tenże sam Konrad wraz z synem Bolesławem już tylko uwalniają od wszelkich opłat i posług wioski biskupa Pawła, oraz ludzi ich, zamieszkujących okolice Skrzynna[1]. Wioski w kasztelanji skrzyńskiej, o których nic zresztą bliższego nie wiemy — to jeszcze nie samo Skrzynno. Że i ono należało do biskupów poznańskich, dowiadujemy się z powodu dosyć dziwnej zamiany. Oto w 1284 roku książę wielkopolski Przemysł II, późniejszy król, mienia się z biskupem poznańskim Janem, daje mu w Wielkopolsce trzy wioski i dział w czwartej za Skrzynno w ziemi sandomierskiej[2]. Książę nie zrobił tej zamiany dla siebie: oddał zaraz wieś targową Skrzynno wraz z przyległemi wioskami swemu wujowi, Mszczugowi pomorskiemu, za gród Wyszogród, późniejszy Fordoń, który od niego otrzymał wraz z wszystkiemi jego przynależnościami. Nie wiem, czy zamiana z biskupem Janem była dla niego korzystną, możnaby nawet o tem wątpić, gdyż biskup zbyt był do zamian, niezawsze szczęśliwych, pochopny, ale to pewna, że zamiana na Wyszogród była wielce korzystną — dla Przemysława. Niedługo jednak Mszczug miał Skrzynno dzierżyć. Umarł on niebawem i Skrzynno wróciło do Przemysła, a następnie do Władysława Łokietka. I ten go wszakże nie zatrzymał dłużej. W 1308 roku dał go temu samemu opactwu sulejowskiemu, które, jak wiemy, miało już dochody z kilku wiosek koło Skrzynna. Dał zaś tylko razem z dwiema wioskami[3]. Czy to były wszystkie, które tam niegdyś biskup poznański posiadał? Wątpić należy; zdaje się, było ich więcej, ale co się z niemi stało, nie wiemy.

---

[1] Kod. WP. I. n. 132 i n. 172.

[2] Kod. Wpl. II. n. 619.

[3] Kod. Dypl. MP. II. n. 546. Wioski te są: Zagórze, z której arcybiskup pobierał dochody, oraz Ruszkowice. Być może, iż Kamień biskupi w sąsiedztwie Skrzynna, który należał do biskupa krakowskiego, należał przedtem do dóbr skrzyńskich biskupa poznańskiego.

Spotkanie się z dobrami biskupstwa poznańskiego w Radomskiem jest wielce ciekawe z ogólnych już względów. Musimy sobie bowiem przypomnieć, że diecezja poznańska jest bliską przez należący do niej archidiakonat czerski. Czersk i Sochaczew do niej należą. Byłbyż to ślad, że i Skrzynno do niej należało? Nie jest to niemożliwem, choć mnie osobiście przypuszczenie to wydaje się być dalekiem; nie tu miejsce zresztą się tą kwestją zajmować, nie dotyczy już ona bowiem właściwego naszego przedmiotu, osadnictwa ziemi radomskiej, poza ramy którego wychodzi.

Daleko ważniejszemi pod względem osadniczym i gospodarczym są nadania dla drugiej prowincji kościelnej, która ma większą część ziemi radomskiej. Jest nią, jak wiemy, biskupstwo krakowskie.

Nieoceniona bulla z r. 1136 wylicza bardzo szczegółowo cały majątek arcybiskupstwa, niestety nie mamy nic podobnego dla biskupstwa krakowskiego. Nie dochował się żaden taki przywilej, a te, które posiadamy, są albo zupełnie ogólne albo późniejsze. — A szkoda! Uposażenie to jest dla naszych stron bardzo ważne i ciekawe.

Być może, że przy najstarszem uposażeniu część dochodów z grodu radomskiego przekazał panujący biskupstwu krakowskiemu. Dowiadujemy się bowiem, że jeszcze w 1564 roku należał do biskupa krakowskiego dochód z myta co dziesiąta niedziela [1]. Nosi to znamiona tak dawne i jest identyczne z podobnemi najstarszemi nadaniami, przedewszystkiem dla Gniezna, że nie waham się odnieść tego myta radomskiego do bardzo odległych czasów. Przekazanie dochodów wszelako nie wywierało znaczniejszego wpływu na osadnictwo; inaczej nadania samej ziemi. Otóż co do tego, to spotykamy się tutaj z faktem dla nas pierwszorzędnego znaczenia. Mam tu na myśli uposażenie biskupstwa krakowskiego bardzo znacznemi posiadłościami na południowych stokach gór świętokrzyskich, a nawet już w południowej części samej ziemi radomskiej. W XIII w. spotykamy w ręku biskupów krakowskich trzy jakoby kasztelanje,

[1] Baliński i Lipiński. Starożytna Polska III, str. 421. Podobnie w Sandomierzu.

a później klucze, z trzema zbornemi punktami: Kielce, Tarczek i Iłża. Posiadłości biskupa krakowskiego okalają niejako ziemię radomską od południa, tworząc najdalszy zewnętrzny pierścień, częścią już poza jéj granicami, jeśli chodzi o dobra, skupiające się koło Kielc i Tarczka. Dobra iłżeckie natomiast zachodzą od wschodu dalej i sięgają w głąb samej ziemi radomskiej.

Kiedy zostały one nadane i czy były to istotnie grody książęce — kasztelanje? Oto dwa pytania choćby ze względu na Iłżę dla nas najważniejsze.

Najdawniejsza wzmianka o Kielcach, i to pośrednia, pochodzi z 1213 roku, o Tarczku zaś z 1224, a o Iłży wreszcie dowiadujemy się znacznie później, bo dopiero pod sam koniec XIII wieku w 1294 r.[1]; mimo tego sądzę, że zostały one wszystkie trzy nadane równocześnie — ale kiedy? Możemy cofnąć wstecz te daty niestety tylko co do dwóch pierwszych miejscowości. Biskup krakowski Gedko, (1166—1185), według bardzo wiarogodnej tradycji Długosza, jest fundatorem kieleckiej kollegiaty. Jeśli więc będziemy mogli dowiedzieć się, że Tarczek lub Kielce stanowią jej uposażenie, zyskamy pośrednio wszelkie prawdopodobieństwo, że już wówczas należały one do biskupów krakowskich. Otóż należały istotnie. Z dokumentów biskupa Bodzanty z 1364 r. okazuje się, że scholastyk kielecki pobierał dochody z karczem targowych w Tarczku, oraz pobierał dziesięcinę z biskupiego śpichrza w Kielcach[2]. To uposażenie nosi charakter tak archaiczny, że nie waham się go odnieść do czasów założenia samej kollegiaty kieleckiej, a więc do drugiej połowy XII wieku. Czy można cofnąć te nadania pod górami świętokrzyskiemi jeszcze wstecz i powiedzieć, że należą one do pierwotnego uposażenia? O tem powątpiewam. W owem wyposażeniu bowiem zanadto widoczny jest zamiar przerzucenia działalności gospodarczej kościoła na lasem porosłe, puste krainy i bezludne górskie ostępy. Takie włości musiały pierwotnie np. za Bolesława Chrobrego lub nawet Śmiałego nic, lub prawie nic nie przynosić. Można zrobić

[1] Kodeks dypl. katedry krakowskiej I. n. 9, n. 14, n. 15, n. 98.
[2] Kodeks dypl. katedry krakowskiej I. n. 234, str. 300.

inne przypuszczenie, historyk łatwo się domyśli, jakie: królowa Judyta, żona Władysława Hermana, darowała biskupstwu włocławskiemu w tych stronach bardziej tylko na południe leżący gród Łagów[1], darowała i Chropy kapitule krakowskiej, mogła więc darować jeszcze i owe trzy kasztelanje krakowskim biskupom. Wolę wszelako postawić inną hipotezę. Gdyby tak było, bezwątpienia byłby coś Długosz o tem powiedział, on, który miał przecież jakieś autentyczne zapiski o tych nadaniach Judyty[2]. ponieważ zaś tego nie zrobił, wolę przypuścić, że to trzeci Bolesław — Krzywousty — to nadanie najprędzej uczynił dodatkowo niejako, chcąc hojniej uposażyć krakowskie biskupstwo. a kraj gospodarczo podnieść i zaludnić.

Czy to były istotnie dawne grody książęce — kasztelanje? Na to pytanie trudno dać zupełnie pewną odpowiedź. Nie kładłbym bowiem zbytniego nacisku. że np. Kielce i Tarczek już w pierwszej połowie XIII w. są nazwane kasztelanjami, a Iłża w XIV[3], mogły one wówczas być niemi

[1] Łagów był grodem. W 1146 r. jest on nazwany castrum i wyliczony między kasztelanjami, które biskup kujawski posiada. Są i osady służebne w jego pobliżu: Żerniki, Rudniki i Skotniki. Być może, że po nadaniu Żmigrodu, tj. Opatowa, Benedyktynom, do pobliskiego Łagowa przeniósł panujący swój gród. Podnosiłem już dawniej możliwość, iż Łagów pierwotnie należał do uposażenia kollegjaty świętego Michała na zamku krakowskim i dopiero wraz z patronatem nad nią dostał się w ręce biskupów kujawskich.

[2] Historja I. str. 392. Tensam zresztą Długosz wspomina, że Władysław Herman założył w Tarczku kościół parafjalny pod wezwaniem św. Idziego. Widocznie więc jeszcze wówczas Tarczek należał do księcia. Nie odnoszę również zapisku kalendarza krakowskiego o śmierci biskupa Gedki, w którym jest mowa, że biskup: multas hereditates et alia bona ecclesiae suae procuravit, do nadania Kielc, Tarczka i Iłży.

[3] Kodeks dypl. katedry krakowskiej I n. 17. r. 1227, n. 59. r. 1258 i n. 60. r. 1259, a także n. 124. r. 1306 i Kod. Małopol I. n. 98. r. 1274. W tym dokumencie Wacław Czeski pozwala biskupowi obwieść murami i ufortyfikować »loca forensia« Kielce, Tarczek i Iłżę; widocznie nie były one dotychczas obronnemi grodami i jako nie należące do księcia być niemi nie mogły. Warto zanotować, że w dokumencie z 1259 r. jest wzmianka o opłacie 20 grzywien kunami z kasztelanji tarczeckiej kasztelanowi czchowskiemu. Sądzę, że tu chodzi o jakąś opłatę na rzecz brony sandomierskiej, inaczej trudnoby było ją wyjaśnić, zważywszy odległość Czchowa od Tarczka.

istotnie, ale biskupiemi, i przez analogię niejako mogły się tak nazywać. Przemawia za takiem przypuszczeniem zupełny brak tak zw. naroku koło Kielc i Iłży, a prawie zupełny brak koło Tarczka, w pobliżu którego jest tylko jedna służebna osada. Prócz tego sama bliskość Małogoszcza, jeśli chodzi o Kielce, na taki domysł nie pozwala[1]. Były to najprawdopodobniej stare osady targowe, na co i sama nazwa Tarczka tj. Starego Targu, Tarżyska lub Małego Targu, (Tarżek, analogicznie do ruskiego Torżka) zdaje się naprowadzać, i jako takie zostały nadane.

Granice i obszar posiadłości biskupów krakowskich na południowych stokach świętokrzyskiej puszczy tylko pośrednio nas obchodzi, natomiast obchodzą bliżej posiadłości na stokach północnych już w ziemi radomskiej — a przedewszystkiem obchodzi Iłża. Cóż, kiedy niewiele możemy o nich powiedzieć. Majątki iłżeckie łączyły się z posiadłościami biskupa koło Tarczka z za prawego brzegu Kamiennej, która, być może, stanowiła już dawniej między niemi granicę. Później z XVI wieku należało do klucza iłżeckiego 25 wiosek, wiemy jednak, że znaczna ich część powstała też później. Do starszych należała sama Iłża, od chwili nadania już targowa osada, a dalej trzy osady z nazwami patronimicznemi (Wszeradzice, Chwałowice i Małomierzyce) z owych pięciu, które do biskupów należą, wreszcie, zdaje się, Mirów, sam Wąchock, Skarżysko. I może jeszcze dałoby się wybrać kilka osad, ale nie więcej; co wszystko razem wskazuje, że ich było bardzo mało, że panujący pierwotnie knieję leśną nadawał.

Uposażenie biskupstw, aczkolwiek najstarsze i najhojniejsze, nie jest przecież jedynem. Każdy przywodzi sobie na pamięć owe bogate opactwa Benedyktynów lub Cystersów, rządne i opływające w dostatki. Rzecz naturalna, że i one miały w Radomskiem swe włości, tylko nie może się

[1] Wioski służebne koło Chęcin i Małogoszcza: Szewce, Złotniki, Skotniki, Żerniki i Cieśle należały do grodu małogojskiego (por. Kod. Małop. I. n. 88 r. 1275 i Kod. katedry krak. I. n. 114. r. 1306) — później przeszły one do Chęcin. Koło Kielc nie mamy nawet osad o starszych nazwach dzierżawczych lub patronimicznych, natomiast, jak wspominałem, znajdują się one koło Iłży.

równać ich uposażenie z uposażeniem np. takiego biskupstwa krakowskiego, które znamy.

Łatwo odnaleźć przyczynę tego faktu. Przedewszystkiem samo Radomskie nie posiadało właściwie żadnej większej fundacji klasztornej, było tylko, rzec można, obstawione wszędzie na krańcach znacznemi opactwami Benedyktynów i Cystersów. Najpierwsze z nich i najbliższe, bo jeszcze na samem pograniczu ziemi radomskiej położone [1], było opactwo Benedyktynów w Sieciechowie. Tradycja klasztorna głosiła w XIII wieku, że jego założycielem był »Comes Magnus Setheus«, tj. Stary Sieciech, ale nie był to słynny palatyn Władysława Hermana, lecz może jego syn, cześnik Bolesława Krzywoustego [2], niefortunny zbieg z pola bitwy. W znacznej zresztą mierze przyczynili się później różni panowie małopolscy do jego uposażenia, które pochodziło w części z pierwszej połowy XII wieku, a w części, i to większej, z drugiej jego połowy.

Prócz 2 wiosek w sąsiedztwie Radomia, które razem z kościółkiem grodowym radomskim, w owym starym Radomiu, przeszły na własność Benedyktynów [3], wszystkie prawie inne jego włości skupiały się na samem Powiślu, którego nie przekroczyły. Puszcza np. radomska została poza ich obrębem. Opactwo sieciechowskie, które się wzno-

[1] Wprawdzie ziemia sieciechowska wymieniona jest dosyć wcześnie, można ją wszakże do Radomskiego zaliczyć.

[2] Posiadamy tylko przywilej Bolesława Wstydliwego z 1253, mowa w nim o wsiach, danych a Comite Magno Setheo, ipsius claustri fundatore. Wszyscy inni wymienieni benefaktorowie klasztoru należą do znanych panów, żyjących w drugiej połowie XII wieku, jak Wszebor, Krzywosąd, Jaksa etc., należy też do nich i książę Henryk sandomierski. Mimo to, sądzę, należy wybrać niejako datę pośrednią i powiedzieć, że nie Sieciech, palatyn Władysława Hermana, fundował Sieciechow, lecz jego syn, cześnik Bolesława, owi możnowładcy zaś i ks. Henryk czynili nadania już na rzecz istniejącego klasztoru. — Por. ks. Gacki: Benedyktyński klasztor w Sieciechowie, 1872, str. 16. Kodeks dypl. katedry krakowskiej I. n. 34 oraz Protocollon Inscriptionum Castri Radomiensis t. IV, str. 532. Oblata przywileju Bolesława w r. 1557.

[3] Por. Liber Beneficiorum III, str. 261, i przywilej Bolesława Wstydliwego; Sadlow ad sanctum Petrum odnosi się do tej właśnie kaplicy, najstarszej parafji.

siło na wyspie wiślanej[1], liczyło różnych osad trzydzieści dwie[2], z których na Powiślu radomskiem, po lewym brzegu Wisły, było szesnaście, w Lubelskiem i Podlaskiem dziesięć, reszta zaś, która wynosi tylko sześć osad, w równych częściach na Mazowszu, w Radomskiem i Krakowskiem. — Wobec tego można powiedzieć, że za Wisłą, w Lubelskiem, musiał się znaleźć punkt ciężkości pracy gospodarczej sieciechowskich Benedyktynów.

Drugie benedyktyńskie opactwo leżało nie na nizinach Powiśla, lecz przeciwnie wśród samych gór świętokrzyskich, już zupełnie poza ziemią radomską. Było to opactwo Benedyktynów na górze Łysicy, założone przez Bolesława Krzywoustego. Nie oddziaływało ono prawie zupełnie na stosunki ziemi radomskiej, na dwadzieścia sześć wiosek, położonych pod samym Łysym Krzyżem lub w Sandomierskiem, tylko jedną wioskę miało w naszych stronach[3].

Po Benedyktynach przychodzą gospodarni Cystersi.

Prawie naprzeciw Sieciechowa, ale na przeciwległym, zachodnim krańcu ziemi radomskiej a właściwie późniejszej opoczyńskiej, powstało opactwo w Sulejowie, które założył w drugiej połowie XII wieku, jak się zdaje, Kazimierz Sprawiedliwy[4]. Posiadało ono część swego uposażenia w Opoczyńskiem, ale dosyć nieznaczną, na trzynaście bowiem wiosek dwie tylko leżą w Opoczyńskiem według przywileju z 1186 roku, a jeśli nawet dodamy do nich jeszcze trzy inne, jako w samym końcu XII wieku lub w początkach XIII nabyte, to i tak otrzymamy razem pięć po prawej stronie Pilicy, którą tu za granicę przyjmuję[5].

Drugiem takiem bogatem opactwem Cystersów, podobnie jak sulejowscy z Francji sprowadzonych, był Wąchock

---

[1] Widać to jeszcze zupełnie wyraźnie na mapie n. 14 w Atlasie Zanoniego. Por. też ks. Gacki, op. cit. str. 4–5.

[2] Nie wliczam jeziora Nadryb i łąk Chechłów.

[3] Kodeks dypl. Małopolski IV. n. 684 r. 1443.

[4] Kodeks dypl. Polski. I. n. 4. Najdawniejsze dyplomaty klasztoru sulejowskiego wymagają krytycznego opracowania.

[5] Kodeks d. Małop. II. n. 398. r. 1229. Wprawdzie liczono Sulejów później do ziemi sandomierskiej, uważam to wszakże za późniejszą zmianę. Por. tamże n. 546. r. 1308.

nad Kamienną, na prawym jej sandomierskim brzegu, ale tuż nad dawną granicą ziemi radomskiej. Długosz twierdzi[1], że jego założycielem był znany nam już Gedko, biskup krakowski, 1179 roku. Istotnie tak być mogło, Długosz bowiem mówi dalej, że nie ze swego majątku wyposażył Gedko opactwo wąchockie, lecz za zgodą kapituły z dóbr krakowskiego biskupstwa. Otóż rzeczywiście uposażenie to ściśle się łączy z posiadłościami biskupstwa i z nich mogło być wykrojone. W 1260, bo wcześniejszego przywileju nie mamy, liczyło opactwo wąchockie dwadzieścia jeden wiosek całych lub ich części, z tych wszakże nie więcej, jak sześć, mogło być nadanych równocześnie z fundacją albo wkrótce po niej, lecz w każdym razie jeszcze w ostatnich latach XII wieku[2]. Otóż leżą one prawie wszystkie między iłżeckiemi posiadłościami katedry krakowskiej, na południowych krańcach powiatu radomskiego. Wierzbica nawet podsuwa się dosyć daleko ku północy.

Z dalszych jeszcze fundacyj zakonnych, już zupełnie poza obrębem ziemi radomskiej leżących, pierwsze miejsce należy się Bożogrobcom miechowskim, którzy w Radomskiem już w 1198 roku posiadali Skaryszów i Dzierzkówek pod Radomiem. Natomiast już bez znaczenia są jeszcze takie nadania, sporadyczne niejako, jak np. Kozienic Norbertankom płockim, które ze względu na puszczę mogło się stać ważnem, ale się nie stało. Jest to zresztą jedyny ślad wpływów Mazowsza, bardzo, jak widzimy, nieznacznych, bo ziemia radomska swemi kościelnemi stosunkami należy wyłącznie do Małopolski i jej wpływom podlega.

[1] Liber Beneficiorum t. III. str. 400.

[2] Kodeks dypl. katedry krakowskiej I. n. 61. Zaliczam do owych starszych wiosek: sam Wąchock, Skarżysko, Bzin, Mniszek (część), a także Wierzbicę. Książę Leszek niekoniecznie równocześnie z nadaniem udzielił jej swobód, w każdym zaś razie nadanie to należy odnieść do pierwszych lat XIII wieku, jeśli nie do ostatnich XII. Wreszcie liczę tu Jabłonicę. Możnaby jeszcze dodać z Liber Beneficiorum Długosza Mirzec i Wielką Wieś, ale już dla zasady niejako tego nie robię i ograniczam się do samego przywileju z 1260 roku. Zresztą Mirzec, jako przysiołek Mirowa, mógł powstać później.

III. Możnowładztwo, ten drugi czynnik obok kościoła, nie dało mu się ubiec. Wystąpiło ono w drugiej połowie XI i w XII wieku, a więc z kościołem prawie równocześnie, i zaczęło się ubiegać o swój udział, o swoją część przy nadaniach książęcych, i jeśli nie więcej, to w każdym razie, przynajmniej w Radomskiem, niemniej od niego otrzymało.

Musieliśmy już wspomnieć o nadaniu dla Sieciecha, który na Powiślu swój gród obronny wystawił, bo że to było nadanie książęce, dla mnie przynajmniej wątpliwości nie ulega. Przedtem już wyraziłem domysł, że owo nadanie na okrainach dwóch dzielnic, Mazowsza i Sandomierskiego, w okolicy podówczas bardziej jeszcze odludnej niż inne, możnaby objaśnić w ten sposób, że to odszkodowanie za Tyniec odjęty Starżom, niegdyś udzielnym na nim władcom. Tak czy inaczej, w każdym razie założony przez wojewodę Sieciecha gród — to nie najstarsze rodowe gniazdo Starżów i za takie uważać je niepodobna, choć sięga ono końca XI wieku.

Niegdyś leżał on na wyspie utworzonej przez odnogę Wisły, która w tem miejscu odcinała jej główne koryto. Wiemy, jakie są późniejsze losy tego arcy-wichrzyciela z końca XI wieku, wszelako, zdaje się, nie on stracił Sieciechów, lecz dopiero jego syn i następca, Sieciech, cześnik Bolesława Krzywoustego. Z jego to majątku w tych stronach Sieciechowa założone zostało późniejsze opactwo Benedyktynów w Sieciechowie. Czy z całego majątku? Nie wiemy, wszelako powątpiewać o tem można. Przywilej późniejszy z r. 1252, dany przez Bolesława Wstydliwego Benedyktynom sieciechowskim, wspomina o 11 wioskach, które stary Sieciech, fundator opactwa, miał mu nadać. Są to: Sieciechów, Podolszany, Mozolice, Brzesce, Psary, Siedlce, Ostrów mały, Ostrów wielki, Rambiertów, Kobylany i wieś, za którą później nabyto Janików. Leżą one wszystkie na Powiślu, na samym kraju puszczy, ale w nią nie wchodzą i prawie nic z niej nie zajmują. Natomiast później, bo dopiero w XIV wieku, spotykamy, iż nieopodal ujścia Kamiennej w rękach Starżów znajdowały się Szczekarzewice, siedziba znanej rodziny Tarłów, i już wówczas w ręku Starżów-

Toporczyków. Czy to sporadyczna jakaś wieś w ich rękach, czy później nabyta, niewiadomo. Od Sieciechowa leży ona dość daleko. W każdym razie ciekawa jest obecność tego samego rodu tutaj, na ostatnim wschodnio-południowym kraju puszczy. Być może, było tu niegdyś jakieś starsze i obszerniejsze ich gniazdo, rozbite po owej konfiskacie z czasów Bolesława Krzywoustego[1].

Opodal niego spotykamy i drugie gniazdo rodowe, między Chotczą a Kamienną, także na południowych krańcach wschodniej puszczy radomskiej. Koło Sienna, mianowicie na wschód od posiadłości biskupiej Iłży, znajdujemy kilka osad, między niemi i samo Sienno, w ręku drugiego możnowładczego rodu Skarbków-Habdanków. Jedna ich gałąź nawet z Syrokomli nad Wisłą wzięła swą proklamę herbową. Mieli też oni prawo polowania w puszczy między Chotczą a Kamienną, snać z jakiegoś dawniejszego nadania książęcego. To wszystko naprowadzać się zdaje na domysł, że to może są również jakieś »resztki« po większem rozbitem nadaniu, które być może zostało cofnięte, np. po buncie i oślepieniu ich przodka Skarbimira, palatyna Bolesława Krzywoustego. Jest to wszelako tylko domysł. Prędzej też nadanie owo nie powiodło się i nie rozwinęło, bo ani samo zbyt wielkiem nie było, ani puszcza nie dozwalała na jego większy rozrost i rozwój. Tak więc widzimy, jeśli tu nawet książę robił większe nadania, to w każdym razie nie miały one tych skutków, co w puszczy Świętokrzyskiej, tj. nie doprowadziły do wyzbycia się puszczy wschodniej, radomskiej, która i nadal w jego rękach pozostała.

Inaczej inny ród możnowładczy, Odrowąże, którzy się w Radomskiem licznie rozrodzili, tak licznie, że śmiało powiedzieć można, iż większa część rodzin, tego herbowego znaku używających, z radomskiego gniazda pochodzi. Ale to też nielada kawał ziemi puszczą porosły do nich należał; mieli

[1] Że Toporczyki z krakowskiego gniazda z Tęczyna poczuwali się do związku z sieciechowską fundacją, dowodzi fakt, że prawo patronatu ich rodowej fundacji, kollegjaty św. Andrzeja w Krakowie, należało do klasztoru sieciechowskiego. Por. Kodeks dypl. Małopolski I. n. 165, r. 1320.

gdzie się rozpościerać i osiedlać! Nie jest to jednakże ich gniazdo najstarsze. Podobnie jak o nadaniu Sieciechowa dla Starżów, tak i teraz powiedzieć trzeba, że na tych pustych okrainach nikt się pierwotnie nie osiedlał. Widoczna jest tu ręka księcia, który hojnie szafuje niezajętą i niezaludnioną puszczą leśną. Nadanie dla wojewody Sieciecha i dla Odrowążów mogło nastąpić w jednym czasie, tj. w końcu XI wieku za Władysława Hermana, być jednak bardzo może, że to ostatnie nastąpiło nieco później, w początkach XII wieku za znanego z hojności Bolesława Krzywoustego. Obdarowanym musiał być Prandota, jeden z znacznych panów w otoczeniu księcia. Wywodzili się od niego wszyscy żyjący Odrowążowie w jakieś sto lat później, w 1223 roku nazywali go Starym Prandotą i uważali za protoplastę rodu.

Nadanie dla Prandoty, jeśli go Bolesław Krzywousty dokonał, zostaje w związku z nadaniami dla biskupstwa krakowskiego, o których już poprzednio była mowa. Nadania owe stanowiły zewnętrzny półpierścień niejako, który od południa i zachodu okalał ziemię radomską, a od wschodu bardziej się zaginał i wchodził w jej wnętrze. Otóż posiadłości Starego Prandoty przypierały do owego pierścienia od południa i stanowiły jakby drugą wewnętrzną, spojoną z nim obrączkę. Z pewnością nie było łatwe już wówczas oznaczyć dokładnie granice puszczy, która prawie wyłącznie owo nadanie stanowiła, tem mniej jest to dzisiaj, mimo to będziemy próbowali to uczynić. Wiemy, że syn Starego Prandoty, komes Szaweł, posiadał Końskie. Po nim dostały się one jego synowi, którym był znany z bogobojności biskup krakowski, Iwo. Odstąpił on je 1222 r. swemu bratu, Wisławowi, i jego dzieciom wraz z sześciu innemi wioskami, które wylicza. Są niemi Stary Odrowąż, Gosań, Nieświn, Modliszewice, Kazanów, Popowo i Dzibałtowice czyli Dzibałtów[1]. Jest to najstarsze fundum Końskich, na które składa się cała parafja. Obejmuje ono znaczny obszar — lecz puszczy. — Końskie leży na jej zachodnim kraju, od

[1] Kodeks dypl. mogilski. n. 2, n. 3 r. 1222 oraz n. 12 r. 1231.

zachodniej też ściany graniczyły włości Odrowążów z posiadłościami księcia: najpierw Żarnów, który pozostał grodem książęcym, z lekka kierując linję od niego ku południowschodowi, spotykamy znowu drugą »królewszczyznę«, Radoszyce. Od tego punktu należy skręcić wprost na wschód, kto wie, czy od tej strony rzeczka Miedziesza, dopływ Czarnej, nie stanowiła granicy? W każdym razie szła ona teraz zawsze ku wschodowi południową krawędzią na źródliska rzeczki Krasnej, także dopływu Czarnej, na lasy gosańskie, na Odrowąż Stary, wschodnią zaś i północną na Niekłań i Bębnów wciąż puszczą.

Pytanie tylko, czy Końskie — to już wszystkie posiadłości Odrowążów? Czy nie sięgały te leśne obszary jeszcze dalej na północ i na wschód? Otóż do tego najstarszego jądra ich posiadłości należy jeszcze przydać od ściany zachodniej Białaczów, w ręku Odrowążów już w XIII w., tak że w ten sposób posiadłości tego rodu podchodziły prawie pod samo Opoczno. Od północnego wschodu wreszcie należałoby także przyczynić puszczy. Na jej kraju północnym leżą Chlewiska, w XIV wieku również Odrowążów, a wreszcie dalej jeszcze ku wschodowi Szydłowiec, zdaje się również w tym czasie w ich dzierżeniu. Zajęły oba te majątki z puszczy dosyć dużo, jej kosztem tylko się rozprzestrzeniając. Dochodziły one mianowicie do źródeł Kamiennej i dopiero koło Skarżyska i Jastrzębia spotykały się znowu ich granice od wschodniej ściany z posiadłościami biskupa krakowskiego, z któremi od południa ciągle prawie bezpośrednio sąsiadowały, a które teraz z tej strony im drogę zaszły.

Hojność Bolesława Krzywoustego nie wyczerpała się na nadaniach dla Odrowążów. Obdarzył on jeszcze innego dostojnika swego dworu nie już lasem prawie bezludnym, lecz — grodem książęcym! Tym razem jest to już fakt pewny, na który mamy w źródłach dowody. Słynny Piotr Włost, wobec którego bledną postacie innych wielmożów z dworu Bolesławowskiego, dostał tę część Skrzynna, którą książę jeszcze posiadał. Kronika Wielkopolska przechowała opartą na starej tradycji wiadomość, że »szczodrość księcia Bolesława sprawiła, że Piotr Włost został komesem na

Skrzynnie«, znaczy to oczywiście, że mu je darował, dając tem jeszcze jeden dowód więcej swej hojności. Jest to wiadomość bez kwestji prawdziwa. Jakże jej nie wierzyć, kiedy w XIV i XV wieku i samo Skrzynno i kilkanaście majątków w jego pobliżu znajduje się w ręku potomków Piotra Włosta. Do tego stopnia oni sami uważali Stare Skrzynno za swoje gniazdo i tak licznie się w jego okolicach rozrodzili, że w początkach XV wieku spotykamy tu przeszło dwadzieścia rodzin tego herbu, a nawet biorą od niego zawołanie »Skrzynno« przy herbie Łabędź. Jeszcze w połowie XV w. jako jeden ród występują i wiodą spór z miastem Radomiem. Fakt jest więc pewny, inna rzecz tylko bliżej go ująć i zbadać. Bolesław Krzywousty prawdopodobnie dawny gród darował Piotrowi, przynajmniej nazywa się on stale już w XIV i XV wieku Starem Skrzynnem, a dziś Skrzyńskiem, co oznacza tosamo, — w przeciwstawieniu do niego Skrzynno dzisiejsze zwało się także Nowem. Widocznie do tego Nowego Skrzynna książę się przeniósł i może znów usypał trzeci gród w pobliżu: Grodzisko, dziś Gródek Leśny, osobliwie jeśli już wkrótce Nowe Skrzynno przeszło do poznańskiego biskupstwa. Niestety brak nam bliższych szczegółów co do tej darowizny, a takby nam było ich potrzeba, stosunki bowiem są wielce ciekawe. W każdym razie to pewna, że Piotr Włost nie dostał ze wszystkiem całej kasztelanji. Kasztelanja bowiem, to prawa nad wszelką ludnością rolniczą, prawa do świadczenia różnych usług na rzecz państwa i składania różnych danin, z których np. dziesięcinę pobierał arcybiskup gnieźnieński. Nie o to wcale chodziło w tem nadaniu. Był to bowiem majątek ziemski, który Piotr Włost otrzymał od księcia — lecz jaki? Trudno znowu pomyśleć, aby to były wszystkie wioski zamieszkałe przez ludzi książęcych, »homines ducales«, tj. poddanych księcia, bo wioski owe były rozrzucone po całym obszarze i było ich za dużo. Cóż więc ostatecznie Piotr Włost dostał? Kilkanaście osad w najbliższem sąsiedztwie Starego Skrzynna, być może z grodem związanych w jakiś bardziej ścisły, bezpośredni sposób, lub dlatego jedynie, że były najbliższe Skrzynna. Szkoda tylko, że brak wcześniejszych źródeł niezmiernie utrudnia ich obliczenie. Dziwnym trafem najdaw-

niejsza doszła nas wiadomość z końca XII wieku o posiadłościach Łabędziów w Radomskiem nie dotyczy Skrzynna, lecz — Wierzbicy, którą posiadają 1198 r. Otto i Krystyn, synowie Piotrka[1]. Nie należy ona do Skrzynna i stanowiła odrębny majątek, może zresztą drogą jakiejś zamiany między Piotrem Włostem a biskupem krakowskim przeszła w jego posiadanie? W każdym razie ze Skrzynnem nie ma ona nic wspólnego.

Pierwszy ślad, że Łabędzie siedzą w Skrzynnie i w okolicznych majątkach, jest stosunkowo późny, pochodzi bowiem z 1354 roku. W tym roku Mszczug i Krzczon, tj. Krystyn, synowie Oty, zwanego »Rzeczony«, ze Skrzynna oraz Mieczysław i Włodzimierz ze Smogorzewa, a wreszcie Piotr, syn Krystyna, z Damujewic, wszyscy krewni dzielą się majątkiem, który stanowią: koło Skrzynna Smogorzów i Ruszkowice, a dalej ku Opocznu same Damujewice, do których prócz dwóch sąsiednich wiosek: Trzebina i Krzczonów należą i Ruszkowice w pobliżu Skrzynna[2]; mamy więc wszystkiego prócz samego Skrzynna sześć wiosek, z których dwie pod Skrzynnem. Do nich dodać należy na podstawie tego dokumentu i różnych innych danych: Sokolniki, Rusinów, Zawadę i Krzesławice, prope Skrzin, jak mówi przywilej[3]. Prócz tego zaliczyć tu należy Zborzanę, należącą do parafji skrzyńskiej i siedzibę jednej gałęzi rodu Łabędziów, nadto Borkowice, wieś parafjalną, Krajów i Goździków[4], Radostów, Politów, Brzysków, dalej Pawłów, Wolę Pawłowską, Wolę Załawską[5]. Będziemy mieli w przybliżeniu wsi 40 w XV wieku. Jest to liczba raczej za mała niż za duża, ale nie wciągam więcej różnych wiosek w Opoczyńskiem, w których Łabędzie-Duninowie siedzą. Kupna, sprzedaże, zamiany ówczesnej ruchliwej szlachty nie pozwalają na dochodzenia. Tak, jak się nam zarysowuje owo pierwotne nadanie, stanowiło ono dosyć długi a wąski pas idący, od

[1] Kod. dypl. Małop. t. II nr. 376 r. 1198, por. kod. kat. krak. t. I nr. 61 r. 1260.

[2] Kod. MP. III nr. 704 r. 1354.

[3] Op. cit. nr. 868 r. 1374.

[4] Długosz. Lib. benefic. t. II str. 372.

[5] Cp. cit. str. 517, 441.

wschodu, od granicy kasztelanji radomskiej, a od zachodu, bardziej poszarpany, podchodzący pod drugą znowu granicę grodu Skrzynna od strony Żarnowa. Na całym tym obszarze siedzą Łabędzie bardzo gęsto, ale i wśród nich trafiają się obcy przybysze.

Trzeci ród wszedł między Łabędzi a Odrowążów; tym rodem są Rawicze. Źródła milczą, kto i kiedy nadał Rawiczom część jakąś puszczy z owej północnej odnogi na północ od Końskich, na wschód od Skrzynna, dosyć, że tam klinem weszli i to nawet głęboko. Jako świadectwo została jedynie nazwa miejscowości. Podobnie, jak i inne rody możnowładcze, tak i Wrszowce-Rawicze używali stale pewnych imion, Rawicze nawet wyraźniej i częściej, niż inne. Otóż takiem imieniem bardzo częstem i typowem wśród nich było imię Goworek, od niego pochodzi Goworczew, przez jakiegoś Goworka założony, a w XV wieku jeszcze w ich ręku zostający. Który to Goworek i kiedy go zakładał, nie wiemy, ale najprędzej jeszcze przypuścić można, że to był Goworek, znany palatyn i ulubieniec Leszka Białego, i że to ten książę obdarował go częścią lasów i może paru osadami nad rzeką Drzewicą, tuż za majątkami Odrowążów.

Rozmiary owego nadania, jego obszar i granice oznaczyć bardzo trudno, to tylko pewna, że w porównaniu do nadań dla Odrowążów i Łabędziów przedstawia się ono daleko skromniej. Znać inne, zmienione czasy i stosunki: żaden dzielnicowy książę takich nadań, jak Bolesław Krzywousty, nie był w stanie robić. Sięgało ono i zajmowało znaczną część owego leśnego pasa, tak, że powiedzieć można, jego kosztem się dokonało. Jakby już nadomiar, aby rozdać wszystko, także w XIII wieku komes Gosław, należący do mazowieckiego rodu Ciołków, dostał, może jeszcze od księcia Konrada, same skrajne, północne kończyny owego leśnego szlaku, a mianowicie dostał on znaczniejszą jakąś osadę Drzewicę, nad rzeką tego nazwiska. Ta darowizna zakończyła, zamknęła niejako nadania panujących w tych stronach. Cała południowa część puszczy, od Iłży aż gdzieś pod Żarnów i Radoszyce od zachodu, a prócz tego i owa północna jej odnoga, dostała się bądź w ręce kościoła: najpierw biskupa krakowskiego, który z niej część

znowu wykroił dla opactwa Cystersów w Wąchocku, bądź w ręce Odrowążów przedewszystkiem, którym lwia część przypadła. Prócz nich zaś Rawicze i Ciołki otrzymali mniejsze udziały. Na miejscu jednolitej własności księcia, która tak, jak sama puszcza, okalała zewsząd ziemię radomską, powstała obecnie wielka własność i wielkie dobra kościelne i świeckie w tych stronach.

Ponieważ majątki Odrowążów od południa i zachodu okrążały Goworczów, przeto Rawicze mogli łatwiej posuwać się ku wschodowi, tj. ku Skrzynnu. Na tej drodze właśnie leżała Przysucha, na skraju owego leśnego pasa, nieopodal Skrzynna i, zdaje się, należała do niego[1]. Musiała ona przejść od Łabędzi lub od księcia do Rawiczów, są tam oni w XV wieku, a co ciekawsze, dostają się do samego Skrzyńska. Już w 1374 spotykamy w nim Warsza, w kilkanaście lat później Męcinę, a te imiona są właśnie wielce charakterystyczne dla całego roku[2]. Zastać ich tam można jeszcze i w XV w., zyskują nawet w części prawo patronatu do kościoła[3], czego dawniej z pewnością nie mieli. Sądziłbym, że owi Rawicze ze Skrzynna, którzy zresztą mają i w jego okolicy wśród Łabędzi majątki, należą do gałęzi Rawiczów z Goworczowa i że stamtąd przyszli. Czy można to samo powiedzieć o innych, np. z Radomskiego, gdzie także dość licznie występują? Nie zawsze i nie wszędzie, mogli oni bowiem napływać także różnemi czasy z za Pilicy, z Rawskiego, i z tej strony się osiedlać, ryzykownie więc byłoby wszystkich wywodzić z jednego gniazda, podobnie jak

[1] Wskazuje to okoliczność, że wchodziła ona w skład parafji skrzyńskiej.

[2] Kod. Małopol. III nr. 865, oraz Kod. kat. krak. II nr. 356 r. 1389. Uważam mimo wszystkiego często spotykanego w księgach radomskich Mikołaja, z przydomkiem Błąd ze Skrzynna, za Rawicza. Dziedziczą oni także i na Bukownie, a Bukowno jest dowodnie w rękach Rawiczów w XV wieku. Zdaje się, że ten sam Warsz pisał się również i z Kościelnik i Przecławic w Krakowskiem, a i w tych majątkach zastajemy Rawiczów. Trudno też bardzo przypuścić, aby jedna gałęź Łabędziów uległa wpływowi Rawiczów i tak stale używała ich rodowych imion. Wprawdzie sąsiedztwo sprzyja takim zapożyczeniom, temu przeczyć trudno, w tym wszakże wypadku byłyby to wpływy zbyt trwałe.

[3] Księga ziemska radomska t. IV, r. 1421.

Odrowążów i Łabędziów, którzy mieli gdzie się rozsiedlać i długo na miejscu czem się dzielić.

Odrowąże i Łabędzie — to dwa wielkie rody szlacheckie radomskie.

Rawicze stanowią poniekąd przejście od owych wielkich gniazdowych rodów, które się kupią w zachodniej i południowej części ziemi radomskiej, do szlachty z owych ludnych okolic, których Radom jest środkiem, oraz z północnej części powiatu opoczyńskiego.

W przeciwstawieniu do owych wielkich rodów szlachta zamieszkująca te okolice, jest rodowo bardzo niejednolitą: to jakby rozbite i rozrzucone okruchy różnych rodów, które się tu spotykają. Skąd i kiedy ona tu przybywa — wcale nie łatwo powiedzieć.

Szlachta polska od wczesnych średnich wieków ma tak po całej Polsce wszędzie rozrzucone majątki, że nieraz trudno orzec, gdzie jest rodowe gniazdo tej lub owej możnowładczej rodziny. Ledwie powiedzieć można, że Odrowąże przyszli w Radomskie z Małopolski, a Łabędzie ze Śląska, widzieliśmy, że co do Rawiczów zachodzą już pewne wątpliwości. Zdaje się oba gniazda, liczne i bogate, małopolskie oraz dawniejsze mazowieckie, brały udział w kolonizacji ziemi radomskiej. Prócz tych znaczniejszych rodów, które występują gniazdowo, różne inne z różnych stron Polski różnemi czasy przychodziły tutaj i zamieszkiwały północną część powiatu opoczyńskiego, przedewszystkiem zaś ów płat ludny koło Radomia, między puszczą wschodnią a Skrzynnem. Powtarza się w tej części ziemi radomskiej na małem to, co się spotyka gdzieindziej: bardzo wczesne rozbicie terytorjalne majątków szlacheckich. W Radomskiem zaś jeszcze bardziej występuje ten rys ciekawy: i pod tym względem bowiem widać, że to okraina, pogranicze między kilku dzielnicami polskiemi. Uwidoczniają się tutaj wpływy różnych dzielnic, to też różnorodność pochodzenia wśród radomskiej szlachty, gdzie tylko średnia własność przeważa, występuje bardzo wyraźnie i silnie w XIV już wieku i musi być wynikiem o wiele dawniejszych stosunków. Które z rodzin tutejszych są starsze, które młodsze, które skąd i kiedy mogły przybyć — to wszystko oczywiście

wychodzi poza zakres niniejszej pracy. Powiem więc tylko ogólnie, że są tu z Sandomierskiego, więc z Małopolski, Janiny, było ich nawet zdaje się więcej koło Radomia, są jeszcze w Stężyckiem i na Powiślu, skąd dalej przeszli w Lubelskie. Do starszych muszą należeć Habdanki, także ród sandomierski. W południowo-wschodniej części Radomskiego, koło Iłży, i dalej, nad Chotczą i Kamienną, spotykamy się z nimi dość często, tak że kto wie, czy to nie ślady po jakiemś znaczniejszem nadaniu? W każdym razie musieli oni już być w tych stronach od bardzo dawna, nazwa wsi Syrokomli nad Wisłą naprzeciw Kazimierza dolnego, od której pochodzi i proklama Syrokomla jednej z gałęzi tego rodu, za tem przemawia[1].

Z innych rodów, już nie małopolskich, należy jeszcze wymienić liczniejszych Doliwów, ród wielkopolski, którzy zresztą może przez Sieradzkie tu przywędrowali i osiedlili się głównie w okolicach Radomia. Niewątpliwie z Sieradzkiego, z sąsiedniej Rozprzy, ich pierwotnego gniazda, osiedliło się bardzo wcześnie w Opoczyńskiem parę domów Jelitczyków, liczni oni wszelako nigdy nie byli. Obydwa te rody, sądzę, należą do starszych, natomiast nie śmiałbym za takie uznać nielicznych także Tarnawitów, pod samym Radomiem, w przechodzie ze Śląska w Lubelskie snać tu osiadłych.

Możnaby się domyślać, że już wcześnie północne Radomskie ulegało wpływom Mazowsza, zawsze ludnego, i że część radomskiej szlachty stamtąd pochodzi. Tymczasem tak nie jest. Jastrzębcy np. są nader nieliczni, a jest to przecież najmożniejszy ród mazowiecki. Z innych spotykamy tu jeszcze Bończyców, gałęź mazowieckich Nałęczów i Powałów, ale to osadnictwo szlacheckie jest stanowczo późniejsze i pochodzi z XIV wieku dopiero.

* * *

[1] Wł. Semkowicz w pracy: Ród Awdańców w wiekach średnich. Poznań 1920, str. 191—201, wykazuje 30 wsi należących do Awdańców czyli Habdanków w ziemi radomskiej, i to w znacznej części z XIII w. Wsi te leżą głównie tuż na zachód od Radomia, kilka leży między Iłżą a Skaryszowem oraz na przeciwko ujścia Wieprza. (Przyp. wyd.).

Te stosunki, a mówiąc ściślej, ten rozdział własności, który spotykamy w Radomskiem, tak pełny przeciwstawień, musiał się stać punktem wyjścia do dalszego rozwoju gospodarczych stosunków. Każdy z tych czynników, czy zdawał sobie sprawę, czy nie, stanął do pracy do zużytkowania i wyzyskania tego, co posiadł. Oczywiście środki nie mogły być równe i wyniki też jednakowemi nie były.

Najwięcej musimy się spodziewać po kościele, był to bowiem czynnik najbardziej postępowy gospodarczo w średnich wiekach i najbardziej świadomy swych celów. Ale mimo tego przecież nie szło mu wcale łatwo w Radomskiem w XII, a nawet i XIII wieku dzieło zagospodarowania tego, co posiadał. Jedno wszakże uskutecznił. Oto zamienił owe targowe osady na zborne folwarki, tak bardzo podobne, jeśli o stronę gospodarską idzie, do grodów książęcych. W Tarczku występuje już w 1227 r. Dos, villicus, tj. włodarz biskupi. W Kielcach było owo »granarium«, śpichrz i śpiżarnia, a również bardziej oddalona Iłża musiała służyć równocześnie za taki punkt zborny.

Ta organizacja na modłę grodów była ważnym krokiem naprzód, nie była jednak wszystkiem. Należało się postarać o zaludnienie pustych obszarów, a to poszło już trudniej.

W kraju słabo zaludnionym, mało ruchliwym, zaludniać i zagospodarowywać leśne obszary jest rzeczą przechodzącą nieraz siły i możność jednostek, a nawet całych instytucyj. Kościół pobierał dochody z grodów, dziesięciny, któremi hojnie szafowano w Radomskiem, ale owe leśne dobra biskupstwa krakowskiego długo jeszcze musiały lasem, ciemnym »gozdem«, pozostać i nic albo mało co przynosić. Tych jąć się było trudniej, biskupi krakowscy jednak jąć się próbowali, choć bez większych rezultatów. Już za Leszka Białego widzimy w tym kierunku starania. W roku 1227 nadaje on przywilej, zatwierdzony przez papieża Grzegorza IX[1], mocą którego wolno będzie biskupowi sprowadzać Niemców i osadzać ich w tarczeckiej i kieleckiej kasztelaniach. Ale wątpliwem jest bardzo, czy się udało? Za Hen-

[1] Kod. kat. krak. t. I nr. 17.

ryka Brodatego wprawdzie łatwiej było można owych »Niemców« sprowadzić, ale nie mamy śladów, aby tu istotnie byli. Zdaje się, że te pierwsze przedsięwzięcia w Małopolsce a raczej na jej kresach, np. w puszczy świętokrzyskiej, oraz na Podhalu, nie udają się. W każdym razie w dwadzieścia kilka lat później, 1253 r., słyszymy znowu o lokacji Tarczka, faktem jest jednak, że dopiero w XIV wieku powstaje tu znaczniejsza miejska osada, Bodzentyn. Musiał więc być Tarczek bardzo ubogiem miastem i mimo lokacji wcale nie prosperował. Trudniej jeszcze było z Iłżą, która głębiej w puszczy leżała, po jej drugiej, północnej stronie. Tam nic się nie zmienia w XIII wieku. Wprawdzie w przywileju Bolesława Wstydliwego dla Cystersów wąchockich w 1275 r. jest mowa o prawie niemieckiem, lecz wzmianka to wątpliwa, a gdyby nawet była autentyczną, to w każdym razie wiemy, że dopiero w XIV wieku Iłża jako miasto powstaje i nabiera większego znaczenia. Wogóle dopiero z nadań i lokacyj czternastowiecznych jasno się okazuje, jaka tu jeszcze wszędzie pustka i bezludzie

Biskupstwo krakowskie rozporządzało największemi środkami, miało względy księcia, który z kim jak z kim, ale z biskupem krakowskim liczyć się zawsze musiał, i było dość zasobne, a przecież wiek XIII (o XII nawet nie wspominam) nie był epoką gospodarczego przełomu, był wiekiem jedynie pewnych usiłowań w tym kierunku. Nie o wiele lepiej działo się w różnych klasztorach. Przedewszystkiem zawodzą Benedyktyni. Widzieliśmy powstające na Powiślu opactwo Benedyktynów w Sieciechowie. Jest ono wszakże długo bez znaczenia dla tych okolic, przedewszystkiem nie stara się wedrzeć w puszczę radomską. Wprawdzie, jak wiemy, książę nie robił z niej nadań, ale przecież sama jej bliskość mogła sprzyjać oddziaływaniu, tembardziej, że niektóre z majątków opactwa leżały na samym jej kraju. Ale opactwo sieciechowskie nietylko nie próbuje rozszerzyć swych posiadłości, a nawet z trudem utrzymuje te, które ma, żadnych zmian, skupów nie przedsiębierze. A nie można powiedzieć, aby nie przyświecała myśl zużytkowania pracy zakonników tym, którzy nadania robili, przedewszystkiem zaś księciu. Benedyktyni sieciechowscy dostają np. posiadłości

na najdalszych może kresach w Lubelskiem, kolonizują je oni wszakże zaledwie w XV wieku, pod tym względem szczęśliwsi w każdym razie od Benedyktynów tynieckich, którzy zupełnie tracą podobne kresowe nadania koło Biecza na Podgórzu, które król Kazimierz dopiero zaludnia i kolonizuje.

Żywszą w każdym razie gospodarczą działalność w Radomskiem okazują Cystersi i Bożogrobcy miechowscy. O Cystersach sulejowskich, podobnie jak o Benedyktynach łysogórskich, niewiele jest do powiedzenia; nie posiadali oni jeszcze wówczas nawet Skrzynna, natomiast mamy dosyć dowodów usiłowań gospodarczych Cystersów wąchockich, lecz i to nie bardzo w samej puszczy. Przypominam, że mieli oni Wierzbicę; otóż, zdaje się, zaokrąglają tę posiadłość i wyjednują dla niej w r. 1284 przywilej książęcy na prawo miejskie [1]. Przedtem była ona już kościelną i targową osadą. Posiadał też Wąchock jeszcze kilka wiosek nad Ciepłą i Radomierzą, między Skrzynnem a Radomiem, w okolicy dosyć lesistej; otóż i tutaj próbuje on zaokrąglać swoje posiadłości.

Ale daleko ciekawsze są skupy, które przeprowadzają Bożogrobcy miechowscy. Tutaj punktem wyjścia jest znowu Skaryszew, który dał komes Radosław, sąsiedni zaś Dzierzków, dzisiejszy Dzierzkówek, dał Otton z Wierzbicy [2]. Skaryszew był podobnie jak Wierzbica kościelną i targową osadą, w 1230 nawet roku są już wzmiankowani włodarz (villicus) i mieszczanie (burgenses) skaryszewscy [3]. Po niszczącym napadzie Tatarów Bolesław Wstydliwy odnowił przywilej i nadał różne swobody Skaryszewowi, który już w XIII wieku musiał stanowić dość ożywione centrum handlowe [4]. Pod Skaryszewem leżała wieś Dzierzków, dziś Dzierzkówek, niewielka, ale w dość urodzajnych gruntach. Jak wiemy, nadał go Bożogrobcom Otton z Wierzbicy; zdawałoby się, że na tem już koniec i klasztor jest w posiadaniu całej wioski. Otóż gdzietam! Zaczynają się dopiero skupy

[1] Kod. Mpl. t. II nr. 498.
[2] Kod. Małopolski, t. II nr. 375 r. 1198.
[3] Kod. Małopolski, t. II nr. 401.
[4] Kod. Małopolski, t. II nr. 473 r. 1264.

wielce charakterystyczne, a tak mocno przypominające podobne skupy w Okalinie i Gojcowie, Potoku i różnych majątkach staniąteckich i henrykowskich. Wszędzie dopiero z dokumentów dowiadujemy się, że w takiej wiosce siedzi wielu właścicieli i z każdym klasztor oddzielnie traktuje, targuje, dopłaca. Można też powiedzieć, że w pocie czoła skupiają zakonnicy lub kapituła czy biskup wieś taką. Podobnie się dzieje i z Dzierzkówkiem.

[W r. 1228 sprzedaje połowę swej posiadłości w Dzierzkówku wdowa Sulisława Jakóbowi, Henrykowi i Piotrowi, synom Teodoryka, wnet potem podobnie połowę swej posiadłości sprzedaje Krystyn, syn Racława, tymsamym nabywcom, Jakóbowi i Piotrowi[1]. Już w r. 1230 nadaje klasztorowi miechowskiemu Jakób villam dictam Dirskovich[2]. W trzy lata później kupuje klasztor od kanonika sandomierskiego Sulisława jego część dziedziczną w Dzierzkówku za zgodą jego synów[3], tudzież w r. 1235 od trzech braci Bogusława, Wojciecha i Jana, całą ich część dziedziczną[4]][5].

Patrząc na te skupy, gotowiśmy powiedzieć, że w Polsce mało się wogóle zmienia. Ubogi rycerz, później jednowioskowy szlachcic, a obok bogaty pan lub bogaty biskup czy opat, to już w XIII w. dosyć częsty wypadek. Nad nimi tylko jeszcze wówczas książę góruje.

Tak się przedstawia gospodarcza działalność kościoła.

Ważnym obok niego czynnikiem jest działalność rycerstwa, a przedewszystkiem możnowładztwa. O działalności rycerstwa, owej drobnej, jednowioskowej lub udziałowej szlachty, która już wówczas zamieszkuje owe ludne okolice Radomia, niewiele możemy powiedzieć. Prawdopodobnie wszelako jego rola nie jest zbyt wielką w osadnictwie tych stron. Książę musiał nadawać w większości wypadków istniejące już osady, a nie puste obszary, na którychby dopiero obdarowani musieli zakładać nowe osady. Stosunki takie, jak później na Mazowszu, w Radomskiem na większą skalę

[1] Kod. Małopolski, t. II nr. 395 r. 1228.
[2] Tamże nr. 401 r. 1230.
[3] Tamże nr. 407 r. 1233.
[4] Tamże nr. 412 r. 1235.
[5] Ustęp zredagowany przez wydawcę.

się nie wytworzyły, choć oczywiście i tak bywało, że z książęcego nadania dostał się w ręce jakiegoś rycerza kawałek lasu lub nieużytku i że na nim powstała świeża osada, ale w większości wypadków tak nie było. Jedynie możnaby przypuścić, że wskutek rozdrobnienia przysiółki lub źrebia zamieniały się na osady samoistne, ale i to działo się wyjątkowo prawie. Już wówczas bowiem, jeśli wioskę zamieszkiwało paru lub kilku właścicieli, zwykle braci, wszyscy obok siebie mieli siedziby.

Wobec tego powiedzieć trzeba, że rola możnowładztwa w osadnictwie ziemi radomskiej była większą. Jest to zresztą zwykły objaw. Każda wielka własność jest bardziej przedsiębiorczą i ruchliwą, bo ma więcej w ręku środków. Tej wielkiej własności świeckiej groziło wszelako jedno niebezpieczeństwo — a mianowicie: rozrodzenie, przez które mogła stać się średnią własnością. Pod tym względem o ileż w lepszych warunkach znajdował się kościół. Kościół mianowicie jest instytucją, a instytucje się nie rozradzają, jak rody i rodziny. To stanowi jego nielada przewagę pod względem ekonomicznym. Inaczej możnowładcze nawet domy: dwa, trzy pokolenia nieraz wystarczają, aby się majątek rozdrobnił. Otóż zachodzi pytanie, o ile np. w XIII wieku możemy jeszcze mówić o wielkich kompleksach dóbr, przedewszystkiem Odrowążów i Łabędzi. Co do Łabędzi, to brak genealogji utrudnia odpowiedź. Właściwie nie wiemy, kto miał Skrzynno, kto je po Piotrze Włoście odziedziczył i kto w niem siedział? Zdaje się, że już wówczas było w dawnej kasztelanji skrzyńskiej conajmniej paru właścicieli. Dosyć też wcześnie musiał się dawny kompleks rozrywać jeszcze nie na jednowioskowe udziały, ale na mniejsze majątki. Bardziej typowe były bezwątpienia stosunki w Końskich i wogóle w majątkach Odrowążów. Zostały one daleko dłużej tem, czem były na początku: wielkim kompleksem dóbr ziemskich, a nawet dzięki przyrodzonym warunkom i znacznie później ten charakter dochowały. Komes Saul, syn starego Prandoty, dzierżył Końskie w drugiej połowie XII wieku, później w XIII spotykamy tu, jak wiemy, biskupa Iwona, jego wnuka. Od niego przechodzą Końskie do Dobiesława, syna komesa Sąda. Prawdopodobnie też już w XIII

wieku Chlewiska i Szydłowiec stają się samoistnemi majątkami, które przy działach dostają się któremuś z Odrowążów. Położenie ich na krańcach dóbr koneckich mogło nawet sprzyjać takiemu wczesnemu oderwaniu. Z bardziej oddalonych części przecież zawsze tworzą się z biegiem czasu odrębne majątki. Czy i Białaczów oderwał się także od Końskich? Sądzę, że tak [1] i że się to stało w ciągu XIII wieku. W 1233 spotykamy już komesa Krzesława z Białaczewa, musiał więc być już wówczas siedzibą jednego z członków tego rodu [2]. W każdym razie powiedzieć więc ostatecznie trzeba, że w ciągu XIII wieku nadanie dla Prandoty nie dochowało się nienaruszone, ale dodać zaraz należy, że działy nie zaszły jeszcze daleko i że mamy tutaj do czynienia naprawdę z wielkiemi obszarami i wielką własnością, podobnie jak przy majątkach kościelnych i książęcych. Początkowo, kiedy wszystko jeden jeszcze w swych rękach dzierżył, stary Prandota, a potem syn jego komes Saul, czy Szaweł, prowadzili w Końskich zupełnie podobne gospodarstwo, jak, przypuśćmy, kasztelan książęcy w Radomiu lub włodarz biskupi w Tarczku lub Kielcach. Pod tym względem Końskie były podobne do każdego innego grodu, który znowu, przypominam, był i folwarkiem zarazem. Siedział komes Szaweł zresztą nieopodal dzisiejszych Końskich wśród puszczy na takim gródku zewsząd oblanym wodą, jakby jaki kasztelan. I on, podobnie jak każdy ówczesny możny pan, brał udział przy różnych pobożnych fundacjach. Darował np. dziesięcinę swej śpiżarni (cellarium) z Końskich opactwu trzemeszeńskiemu [3]. Później jego wnuk, biskup Iwo, dał założonemu przez siebie opactwu Cystersów w Mogile z tej samej dzierżawy dziesięcinę miodu, a oprócz tego dziesięcinę ze stada w Końskich z tym dodatkiem, że zakonnicy mogą sami źrebce wybierać. Miód, wosk, łupieże zwierząt, bobrów, o ile książę udzielił prawa ich łowienia, kun oraz popielic, oto, co składano przewszyst-

[1] Nazwy osad między ostatnią wsią, należącą do Końskich, Modliszewicami a Białaczewem, są późniejsze, mogły więc te osady graniczyć nawet mimo odległości bezpośrednio ze sobą.

[2] Kod. Mpolski II nr. 407.

[3] Kod. Wpolski t. I nr. 11 r. 1145.

kiem do owej pańskiej »śpiżarni« w Końskich. Stada zaś swierzop tj. koni, stada świń i rogatego bydła, które w lasach miało postoje, tz. »jaty«, stanowiły główne dochody tego bardzo jeszcze ekstenzywnego gospodarstwa, w którem uprawa roli bardzo jeszcze mało znaczyła.

O przywilejach książęcych w XIII wieku na lokacje nowych osad i sprowadzanie obcych ludzi jakoś nie słychać. Biskup wyprzedził snać tych kresowych panów pod tym względem. Nikt z nich wszelako o zakładaniu nowych osad na szersze rozmiary myśleć nie mógł, czy miał przywilej, czy go nie miał. Pomorzany nieopodal Końskich jedynie świadczą, że to jeszcze albo Bolesław Krzywousty, nim darował Końskie, osadził tutaj jeńców pomorskich, albo, co prawdopodobniejsze, sam Prandota przywiódł ich tutaj z wojen pomorskich i osadził. Prócz tej osady nazwa osady, pod Białaczewem właśnie, Sędów, świadczy, że ją może ten sam Sąd Dobiesławowicz zakładał, a prawdopodobnie i Odrowąż został założony już przez Odrowążów. W każdym razie Odrowążek czyli Odrowąż Nowy powstaje później, tj. już po nadaniu. Istnieją natomiast osady poza obrębem dóbr Odrowążów, zdaje się przez nich zakładane. Przypominam, że owo Sławno pod Radomiem także jakiś nieznany komes Sławo zakłada. Pod Iłżą znowu istnieje Prandocin i tuż pod samym Radomiem także Prandocin, oba tak od jakiegoś Prandoty nazwane. Wprawdzie i kmieć mógł się tak nazywać, prawdopodobniej wszakże jakiś członek rodu Odrowążów je zakładał, podobnie jak Sądów, wątpię bowiem, czy jedynie zmienił nazwę, choć i z tem można się było spotkać podówczas. Być może w podobny sposób po komesie Radoście został Radostów na granicy posiadłości Odrowążów i Łabędzi, Krzczonów, zaś od Krzczona z tego ostatniego rodu a Pakosław pod Iłżą od jakiegoś Pakosława Habdanka pochodzą. To byłyby ślady gospodarczej i osadniczej działalności możnowładztwa radomskiego.

* * *

Patrzyliśmy, jak powstała wielka własność kościoła i możnych panów i jakie miała gospodarcze znaczenie. Zapytać się z kolei trzeba, co robił książę w swoich posiadło-

ściach, które mu zostały. Otóż z góry zaznaczyć wypada, że robił niewiele. Panujący nie był wówczas czynnikiem bardzo przedsiębiorczym i ruchliwym, mniej w każdym razie, niźli Kościół i możnowładztwo. I jakże mogło być inaczej? Przecież to on rozdawał innym ziemię, dzięki niemu powstawały wielkie gospodarstwa świeckie i duchowne — i to było, rzec można, jego główne zadanie, które spełniał. Działo się to oczywiście kosztem jego olbrzymich posiadłości. Niegdyś obejmowały one bezmała wszystko, teraz wskutek tych nadań, w przeciwstawieniu do nich, zaczyna się zarysowywać odrębna własność księcia; góruje ona jeszcze nad obu innemi, ale nie jest już jedyną, jest ją z czem porównać i zestawić.

W tym czasie, wskutek tych nadań, o których była mowa, wydziela się też wschodnia pozostała część puszczy jako własność książęca. Wprawdzie i gdzieindziej ma panujący swe znaczne majątki, nie brak ich nawet w owej ludnej okolicy koło Radomia i w Opoczyńskiem. Pozostają mu jeszcze włości pod samym grodem radomskim, bo jeszcze istnieje organizacja grodowa, ale już zwarty, ogromny kompleks książęcych posiadłości od Pilicy po Kamienną stanowi jedynie owa puszcza. Co się w niej dzieje? Otóż niewiele; największą zmianą było zaprowadzenie organizacji grodowej. Pod jej wpływem powstają owe służebne osady, o których już wspominałem. Zresztą ludzie, którzy w tej puszczy żyją, prowadzą takiesame gospodarstwo, jak np. ci, którzy mieszkają w puszczy Świętokrzyskiej. Taksamo hodują stada bydła, o koniach tylko nic nie słyszymy, taksamo »bartnicy dzieją barcie«, bobrownicy łowią bobry, sokolnicy pilnują sokołów, a wszyscy oni polują. Więcej nie da się nic powiedzieć, bo żadna zmiana nie zaszła. Książę nie sprowadza jeszcze do swoich włości bardziej odległych i do zagospodarowania trudnych nikogo. Woli je rozdać lub pustemi zostawić. Czekają też one, co się z niemi stanie, czy zawsze puszczą zostaną?

Wiek XII i XIII spowodował więc ostatecznie doniosłe zmiany w radomskiem, ale tylko w rozdziale własności ziemskiej, większe niż gdzieindziej z powodu samej przyrody tych stron: wielkiej ich lesistości, a także wskutek ty-

lokrotnie zaznaczonego faktu, że Radomskie to była wówczas »wewnętrzna okraina«, strony kresowe między dwiema wielkiemi dzielnicami. Zmiany te w rozdziale własności nie miały następstw, których możnaby się było spodziewać. Wiek XIII nie sprawdził wszystkich oczekiwań, nie rozwinął większej działalności gospodarczej, żywszem tętnem życie nie zabiło, słowem nie stać go było jeszcze na ostateczny przełom, choć stać już było na przygotowania i kroki przedwstępne. Zostawił on też jeszcze wielkie przestrzenie, mało wyzyskane, których zresztą sama przyroda broniła na zagospodarowanym zaś już dawniej obszarze dawne gospodarcze formy.

Z dawnych, przedhistorycznych dróg handlowych szła jedna przez puszczę wschodnią, książęcą. O niej nam przyjdzie pomówić obszerniej w następnym zaraz rozdziale. Ta jednak w czasach, o których mowa, zdaje się, nie istniała, a w każdym razie utraciła dawne znaczenie. Czy powstała druga, która szła już w XIV wieku z zachodu na wschód, ze Śląska na Ruś i przecinała wpoprzek Radomskie, nie umiem powiedzieć[1]. Wobec tego bardziej ożywionego handlu być tu nie mogło; jedyne miejsca zbytu, owe »loca forensia«, osady targowe, skromne miały zadanie: ludność miejscowa przynosiła tam na sprzedaż zwierzęce łupieże a także wosk. Gospodarstwo więc z trudem wychodziło ze stadjów niższych, zamiennego i bezobrotowego, i stawało się pieniężnem. Zupełnego przeobrażenia wszakże dokonał wiek następny, XIV dopiero, wiek XIII ledwie że drogi do tego przeobrażenia otwierał i gotował.

5. Zmiany w XIV i XV wieku.

Przyszedł wiek XIV, zmieniały się podówczas stosunki społeczne w całym kraju. Kolonizacja na prawie niemie-

[1] Na owej drodze między Goworczowem a Skrzynnem istnieje osada Ruski Bród między górną Radomierzą a źródliskami Drzewiczki. Ciekawą tę nazwę zawdzięcza bezwątpienia drodze handlowej na Ruś, która szła tędy. Szkoda tylko, że nie wiemy, czy osada owa istniała już w XII i XIII wieku.

ckiem, jak każdy wielki przewrót, zaczepiała o wszystko w swym pochodzie, mogła też zmienić i samą puszczę. Tymczasem stało się inaczej. Ów wielki ruch rozwinął się naokoło gór świętokrzyskich, na północnych a zwłaszcza na południowych ich stokach. Kolonizację prowadzi w XIV w. gorliwie duchowieństwo i król, szczególnie jednak jest czynne biskupstwo krakowskie. W puszczy odbił się ten ruch słabem echem. Król Kazimierz Wielki nie zapomniał wprawdzie i o niej. Wieś Brzóza, podówczas królewszczyzna, posiada jego przywilej lokacyjny, lokacja jednak na nowem prawie drugiej wsi Kozłowa w r. 1362 nie udaje się. Nowi osadnicy omijają jakoś puszczę, a była to pierwsza sposobność, kiedy można było porozrywać i poszarpać puszczę i zostawić z tej zbitej masy mniejsze lub większe kawałki lasu między nowemi osadami. Ruch ten jednak pod innym względem zrobił swoje. Oto uprzątnął lasy po jej brzegach, które postrzępił, gdzie się dało. Od tego też czasu można dopiero mówić o puszczy w przeciwstawieniu do reszty kraju. Nie mogło to naturalnie pozostać bez wpływu na wyodrębnienie się jej mieszkańców tak pod względem ekonomicznym jak i społecznym.

Proces ten zabierał z puszczy, co mógł; nie można zupełnie oznaczyć, które z nowych osad po większej części z charakterystyczną nazwą »Woli« pochodzą z XIV wieku, a które z XV i XVI. Zwoleń na południowej stronie puszczy pojawia się już w XV wieku. Wtedy także powstaje Gotardowa Wola, Paciorkowa Wola, Świetlikowa Wola, Suska Wola. Lokacji Kozłowa dokończył król Kazimierz Jagiellończyk w 1473 r. Strona zachodnia jako ludniejsza nie zmienia się w tym stopniu. Zresztą nie o wszystkich wioskach wiemy, kiedy powstają. Powiśle zaś już przedtem nie było puszczą. Teraz powstaje także tutaj kilka nowych wiosek i dawne łąki przemieniają się na role. Podobna robota mogła przedstawiać dla puszczy niebezpieczeństwa. Wprawdzie pierwsza najsilniejsza fala nie potrafiła jej powalić, ale byłoby to z pewnością nastąpiło wobec coraz bardziej wzrastającego zaludnienia kraju, gdyby nie okoliczność, że zaczęto ją szanować jako puszczę, jako miejsce polowań

królewskich[1] już w XV wieku. Właściwie to ją ocaliło, co początkowo było tak groźnem, to jest uprzątnięcie okolicznych lasów. Umniejszona więc i nadszarpana potrafiła ona przetrwać jako znaczny kompleks lasów. Łączyła się wprawdzie jeszcze w XV i XVI wieku z lasami koło Solca i Ryk i szła za Pilicę, wokoło niej jednak wycięto znaczną część lasu. Starsi łowcy jedleńscy tak zdawali o niej sprawę lustratorom starostwa radomskiego w r. 1564: »jest puszcza w starostwie radomskiem, której od Ryczywoła począwszy aż do rzeki, którą zowią Iłżecką, za Tczowem, mil dziesięć dobrych, a wszerz począwszy od Jastrzębiej aż do młynarza Śmiotanki ks. Opata sieciechowskiego mil sześć dobrych. Ta puszcza od zachodu ma granice naprzód z Lisowem, potem z Owadowem, z Goryniem, z Bobrownikiem i z Głowaczowem; od północy z Lężenicami naprzód, z tej strony do Wisły przypada do Ryczywoła, potem z Swierczami aż do Kozienic; od wschodu z Janikowem, ze Psary, z Brzeźnicą, z Rudą, z Młynem Śmietanką ks. Opata sieciechowskiego, potem z Policzną panów Podlodowskich, ze Strykowicami, aż do Zwolenia; od południa naprzód z Miechowem panów Kazanowskich i z Brzezinkami, z Tynicą, z Zakrzówkiem, z Mysliszowicami i z Rajcem Opata sieciechowskiego, aż do Pacyny, młyna Króla Jegomości«. Dziś naturalnie z trudnościąby ją poznali owi łowcy z XVI wieku. Tak się mocno skurczyła pod razami siekiery i pod działaniem pługa.

Jest to punkt zwrotny w jej historji. Odtego czasu stosunkowo mniejszym ulegała zmianom. W tej drugiej epoce mogło już chodzić tylko o utrzymanie i ochronę lasu, któremu coraz większe groziły niebezpieczeństwa. Wszystkie jego granice były już odsłonięte. Przez cały wiek XVI słyszymy ciągle w ówczesnych lustracjach nakazy, aby »puszczy nie psować i kopanin żadnych tutecznym poddanym i nikomu nie dozwalać«. Widocznie więc coraz liczniejsza ludność podstępowała pod samą puszczę i brzegi jej szarpała; wnętrze jednak pozostało nadal nietkniętem. Wzrasta-

[1] Wiemy, że Władysław Jagiełło 23 razy przebywał w Jedlni, Kazimierz Jagiellończyk 8 razy.

jąca fala ludności zdołała rozkopać znaczny obszar leśny koło Ryk na prawym brzegu Wisły, tej puszczy jednak tknąć się nie mogła i obeszła ją, najwyżej odepchnęła ją więcej od Wisły. W r. 1541 powstaje miasteczko Kozienice, a lustracja z 1564 mówi, że puszczę z tej strony rozkopują. Na tem się jednak skończyło. Wiek XVII minął spokojnie. Żalą się czasem strzelcy królewscy, że im »sąsiednia szlachta poniektóre knieje zajeżdża«, ale były to tylko graniczne spory. Straszne spustoszenie i wyludnienie tych stron, które z ówczesnych lustracyj można śledzić, mogło ją nawet powiększyć. Ludzi nieraz brakło w starych wioskach, nie było więc mowy o nowych karczunkach. Na niejednych zagonach rzeczywiście las wtedy porastał, choć nie wszystkie ich ślady po lasach z tych właśnie czasów pochodzą. Długo czekać musiały te strony wraz z całym krajem, aby znowu wszystko do dawniejszego stanu wróciło. Prawie cały wiek XVIII mija też, nie naruszywszy puszczy, dopiero pod sam koniec jego budzi się i tutaj większy ruch osadniczy mimo ówczesnej politycznej zawieruchy. Powstaje też kilka osad we wnętrzu puszczy: Augustów, Stanisławice, o spóźnionej patronomicznej nazwie, Kociołki, Kościuszków. Wszystko to nowe kolonje z tych czasów, założone na świeżych porębach. Stanisławice bodaj nawet czy nie są ostatnią osadą w Polsce założoną jeszcze na prawie niemieckiem. I sama puszcza wtedy nieco ucierpiała. Ożywia się coraz bardziej handel drzewny. Wywożą też z niej i spławiają Wisłą różnorodny materjał budowlany.

Gospodarka rządu austrjackiego w tych stronach zmierzała także do ochrony lasów: Pomierzono pierwszy raz tę puszczę i podzielono na nowe okręgi. Gdzie się dało, zaczęto ją trzebić. Na tych trzebieżach powstała nawet w r. 1802 wieś Słupica, założyli ją umyślnie sprowadzeni w te strony z widel samej Wisły t. zw. posaniacy. Były to wogóle czasy, w których coraz gorzej działo się takim zacofanym okolicom w całym kraju. Rząd pruski np. znosił wtedy swobody Kurpi. Takie samo niebezpieczeństwo groziło też puszczy mazowieckiej, jak i radomskiej, którą łatwiej było nawet wyniszczyć. Wszelkie zmiany, jakie później zaszły, nie mogły ani jednej ani drugiej uratować, każda z nich stawała

się coraz więcej anachronizmem gospodarczym, który trzeba było usunąć.

Pierwsza połowa tego wieku położyła kres istnieniu puszczy radomskiej w dawnych granicach XVI wieku. Z mapy sztabu generalnego przypominamy sobie te liczne powycinane wśród niej białe regularne kwadraciki, wśród których widać w dwa rzędy znaczone domostwa. Są to wszystko nowsze osady t. zw. kolonje. W r. 1843 na samych gruntach jedleńskiego folwarku powstało 5 takich nowych wiosek. Wyrastają też one we wszystkich jej stronach jak grzyby po deszczu. Cała puszcza się niemi zasiewa. Niszczą również podówczas niektóre cenniejsze gatunki drzew. Lipina padła ofiarą w roku 1840, poczęto z jej kory wyrabiać pudełka (Ks. Gacki s. 46). Inne rzadkie drzewa poszły także na wyroby stolarskie do Warszawy i Radomia. Nietylko ustępowała puszcza, robiąc miejsce nowym osadom, lecz poraz pierwszy wzięto się do osad starszych. Komisja Skarbu w r. 1846 przebudowała i na nowo na sposób kolonji urządziła Mąkosy, Jedlnię, Jastrzębię i kilka jeszcze wiosek, t. zn. upodobniła je do nowopowstających kolonij i one więc dzisiaj mają domy w ulice i pola pomierzone i rozdzielone. Słowem dokonał się tu wtedy taki przewrót, jaki tylko w XIV i XV wieku był możliwym, i wtedy bowiem zakładano nowe osady i brano się do przekształcania starych. Nie na tem zresztą ruch ten się skończył, trzy nowe wioski powstały jeszcze na odpadkach leśnych w r. 1868 i 1869, a więc prawie za naszych czasów (Ks. Gacki s. 139). Nietylko tak się działo w puszczy radomskiej, ale i w dobrach prywatnych, wśród niej położonych. Koło każdego folwarku o starszej nazwie można spostrzedz na mapie takie białe prostokąty, bardzo szerokie i rozrywające zupełnie dawny obszar leśny. Pełno tu takich folwarków, jak Adamów, Helenów, Ursynów, Sewerynów, co świadczy, że wszystkie one bardzo niedawno powstały. Z przyrostem wiosek naturalnie w tym samym stosunku przyrosła i ludność, która się teraz poczęła do puszczy ściągać. Doganiała więc puszcza i pod tym względem pospiesznie resztę kraju.

Wszystkie te zmiany nie zdołały naturalnie zniszczyć do szczętu całego lasu. I dziś jeszcze przedstawia dawna

radomska puszcza znaczny kompleks rządowych lasów i stanowi mniej zaludnioną część powiatu kozienickiego. Jedzie się jeszcze lasem od Jedlni, przed którą on się zaczyna, aż po Kozienice, opiera się zaś po dawnemu o Radomierzę. Za nią ku Pilicy, jak również od południa ku Iłży, jest już zupełnie potargany na strzępy. Został więc jedyny spory szmat z dawnej puszczy głównie dzięki temu, że nie należy do osób prywatnych.

6. Stosunki prawne ludności w puszczy[1].

Po zbadaniu przyrody okolicy i historji jej zaludnienia kolej teraz na historję ludzkich stosunków, które w niej powstały. Prócz pytania, gdzie i kiedy się osiedlano, istnieje i drugie pytanie, kto i jak się osiedlał, to znaczy, jakie było prawne stanowisko ludzi, którzy tam zamieszkiwali, i jakie były związki społeczne, które oni tworzyli. Nie dość wiedzieć, na jakiej roli powstała wioska i kiedy ją założono, nie dosyć nawet stwierdzić, choć to ważniejsze, że np. nie była ona lokowana na prawie niemieckim. Ewolucja została wstrzymana w puszczy radomskiej zarówno na polu stosunków osadniczych, jak społecznych i gospodarczych, ale w inny nieco sposób dla każdego z tych czynników. Każdy z nich, choć z innemi się łączy, przechodzi własny cykl przemian.

W chwili przełomu nie weszli mieszkańcy dwóch wiosek radomskiej puszczy, Jedlni i Mąkos, do nowo powstającej klasy kmieci, złożonej z kilku mieszających się warstw społecznych. Rodzi się więc pytanie, czem byli w czasie owego przełomu i czem mogli być dawniej. Odpowiedź na to zdaje się być łatwa. W XIV i XV w. i zresztą aż do końca Rzeczpospolitej byli poddanymi króla. Nie trudno też w nich odnaleźć dawnych chłopów książęcych z XII i XIII w., owych rustici ducis, tylokrotnie przez źródła wzmiankowanych. Okoliczność, że puszcza radomska pozostała tak

[1] Rozdział niniejszy napisany był wcześniej niż poprzednie, które zostały zredagowane po wykładach o osadnictwie w 1903, ale później niż dalsze rozdziały, poświęcone puszczy radomskiej, które pochodzą z r. 1889, dlatego brak między niemi zupełnej jednolitości.

długo puszczą, sprawiła, że do końca jej ludność nie zmieniła pana. Obok niej już dosyć wcześnie, bo w XII i XIII w., stosunki zaczęły się zmieniać. Na obszarach, które przeszły w ręce możnowładców, ożywiał się ruch osadniczy, znajdujący się na nich chłopi książęcy albo mogli wyjść i gdzieindziej szukać siedzib albo pozostać. W pierwszym razie na ich miejsce przychodziła czeladź pańska, albo szukający ziemi wolni »goście«, w drugim zaś oni sami mogli się stać takimi »gośćmi«. Tak czy inaczej — zmieniali zawsze swe prawne stanowisko. Nie darował ich też również książe kościołowi, a więc nie weszli w skład nowo wydzielającej się warstwy poddanych kościelnych; pozostali tem, czem byli, to jest poddanymi księcia. Nie znaczy to jednak bynajmniej, aby nie podlegali żadnej zmianie.

Zmienił się w w. XIV wszędzie stosunek ludności rolniczej do warstw wyższych, zmienił się powoli także i na ziemiach książęcych. Poddany królewski w XIV w. nie jest już tem, czem był w XIII. Między nowemi stosunkami a dawniejszemi musiało tutaj dojść do pewnego kompromisu. Wyrazem tego jest przywilej króla Władysława Jagiełły z 1387 r. Uwolnił on mieszkańców Jedlni, jak również, jak się zdaje, i Mąkos, choć ci ostatni nie są w nim imiennie nazwani, od wszelkich powinności i danin. Mieli oni jedynie podczas łowów królewskich ciągnąć sieci myśliwskie, dostarczać drew do dworu, prócz tego zaś według dawnego zwyczaju obrabiać pola i łąki dworskie i dawać dań miodową. Przywilej ten uwolnił ich od wielu ciężarów średniowiecznych i w tem przypomina każdą lokację na prawie niemieckiem, był to bowiem czas, w którym ostatecznie rwała się wszędzie i targała cała dosyć złożona sieć średniowiecznych urządzeń. Część ich mogła się zachować w puszczy, która właśnie podówczas stała się ulubionem miejscem polowań królewskich; ludność jej po dawnemu mogła jeszcze pełnić powinności z myśliwstwem związane. W tem »ciągnieniu sieci« poznajemy stary obowiązek wzmiankowany w dyplomatach (rete trahere). Dań miodowa jest również bardzo starą daniną i dowodzi, jak się tu długo mogły dochować dawne gospodarcze warunki, które gdzieindziej bliżej poznamy. Obowiązek znowu obrabiania pól folwarcznych jest


Plan wsi Makosy
z planu Weissenbacha 1800 roku.
w stosunku jak 1:43200.
Bobrownika.
Goryń
Wólka Goryńska
Wieś
Owadów.
Wieś Jastrzębia.
Lasy Rządowe
Lesiów
Brzóza.
Grunta orne
Łąki
Place i zabudowania
Drogi
Strumienie.
N
S

Fig. 1.

starym obowiązkiem grodzenia dworu i trzydniowej roboty przy żniwie i zasiewach, wzmiankowanym również często w źródłach średniowiecznych.

Od czasu otrzymania tego przywileju stają się mieszkańcy Jedlni i Mąkos łowcami królewskimi. Pierwej zapewne nimi nie byli, nie należeli bowiem do osad służebnych; przywilej wyraźnie wspomina, że pełnili oni zawsze wszelkie powinności tak dobrze, jak ludność innych wiosek, a ludność właśnie takich osad zdawna do pewnych posług lub danin była przeznaczona.

Wiek XVI nie naruszył w niczem Mąkos. W Jedlni natomiast spotykamy kmieci. Nie są to jednak kmiecie XIV w., jest to już nazwa zupełnie ogólna na cały stan włościański. Nie dostali oni sołtysa, na nowo osadzeni oni nie zostali, nie pełnili kmiecych powinności i nie płacili danin. Dawne stosunki trwały nadal, łowców królewskich do strzeżenia puszczy wydzielono w XVI w., ale nie odebrano swobód reszcie ludności, pozostawiono wszystkich przy dawnym sposobie życia, myśliwskie posługi pełniła podczas łowów po dawnemu wieś cała.

Trzeba także przypuścić, że organizacja opolna, która niegdyś pokrywała całą Polskę piastowską, musiała ustąpić z tych stron najpóźniej w XV w. Zniósł ją i zabrał prąd ogólny, albowiem samo opole utrzymać się nie mogło, choć tutaj w głębi puszczy wyjątkowo brakowało może wpływów bezpośrednio je niszczących. Czołem opola mogła być Jedlnia, a może Świercze, najstarsza parafia (Swyrsze u Długosza, Zwirsow w r. 1191) w tych stronach; są to jednak bardzo dalekie przypuszczenia. Zwoływanie się gromady przez tak zwaną posłaną kulę t. j. kij sękaty można uważać za jedyny ślad po tej całej organizacji. Jest to naturalnie stara laska opolna. W r. 1780 komisarz królewski zwoływał ludzi w ten sposób na wiec t. j. na sądy, które się odprawiały u wielkiego kamienia o parę mil od Jedlni, już zupełnie w puszczy. Kamień to był rzeczywiście niezwykle duży, na wierzchu miał wyżłobiony, jak się zdaje, ręką ludzką dołek na dwa łokcie obwodu. Czy dawniej taksamo się sądy odbywały, nie wiadomo; jeden z najstarszych jedlneńskich gospodarzy nie umiał już objaśnić ks. Gackiego

w tym względzie[1]. Niewątpliwie jednak była to bardzo stara odwieczna tradycja, można nawet wyrazić przypuszczenie, że ów kamień służył za czasów pogańskich do jakichś obrzędów rytualnych i że z tej jeszcze epoki pochodzi jego wziętość. Nie jest to zresztą fakt zupełnie odosobniony. W samej Jedlni przy jakimś wielkim kamieniu, leżącym dawniej w środku wsi, miano karać przestępców, wygląda to więc na jakiś ogólniejszy zwyczaj, który się w puszczy przechował. Pozatem nic się z organizacji opolnej nie pozostało i mowy niema o istnieniu jakiegoś starego opolnego urzędu — sołtys tu nie przyszedł, aby go zastąpić — mimo to jednak zaginął a przynajmniej jego pierwotne znamiona prawne. Włodarz, który jest starym wiejskim urzędnikiem, związanym z organizacją opolną, jest wzmiankowany w Jedlni już w XV w. Nic jednak nie wiadomo o zakresie jego dawniejszej władzy, szybko bowiem zeszedł na dworskiego sługę, doglądającego robót folwarcznych.

Przechowała się natomiast do późna odrębna organizacja bartnicza. Jest ona bardzo starą i wcale nie wyjątkową. Cały kraj trudnił się bartnictwem i poza puszczą, więc można się było z nią spotkać. Początkiem swoim sięga ona jeszcze czasów pełnego życia związków opolnych. Urządzenia bartnicze powstały zdaje się niezależnie od opola, zawsze jednak albo się na nim musiały wzorować albo się z nim liczyć. Być może, że przeszły na nią pewne atrybuty organizacji opolnej, że je po niej niejako odziedziczyła.

Z aktów obelnego prawa, które sięgają do połowy XVI w., tak się przedstawia organizacja bartnicza[2]: Wszyscy obelnicy — tem mianem bowiem nazywano tutaj bartników jeszcze w XV w. — stanowią razem bractwo czyli stowarzyszenie. Każdy przez sam fakt, że posiadał w puszczy swoje pszczoły, stawał się jego członkiem. Na czele związku stał starosta bartniczy. Początkowo musiało tych starostów być więcej, przynajmniej w XVI jeszcze wieku bywało ich po dwuch i po trzech, albo też może istniało więcej związków bartniczych. Może każda wioska w puszczy miała swego

[1] Ks. J. Gacki, Jedlnia, w niej kościół i akta prawa obelnego, Radom 1874, str. 87—89.

[2] Tamże str. 140—278.

odrębnego starostę, choć ci, których wymieniają zapisy z końca XVI i początku XVII w., są już starostami jedlneńskimi. Później w ciągu XVII i XVIII w. jest już stale tylko jeden, co możnaby przypisywać pewnej centralizacji pszczelarstwa w Jedlni, do której się wszyscy nawet z dosyć daleka na sądy bartne musieli schodzić. Prócz starosty, czy starostów, występują jeszcze w kilku najdawniejszych zapisach *starsi prawa obelnego*. Później znowu w ciągu XVII w. tylko ławnicy i to, jak się zdaje, w ograniczonej liczbie. Starostę i ławników wybierało całe bractwo. W tym celu schodzili się bartnicy z Mąkos, Jastrzębi, Kozłowa i Kozienic do Jedlni i tam dokonywali wyborów. Tak było w końcu XVIII w. Wcześniej może nietylko w samej Jedlni następywał wybór, ale w każdej wiosce osobno. Prawo bartne, »*świętem* prawem nazywane«, w XVIII w. miało dosyć szeroki zakres. Więc naprzód w sprawach wyłącznie bartniczych odbywały się przed nim wszelkie działy, sprzedaże, kupna i zamiany pszczół a także łąk i niwek leśnych. Sąd obelny rozstrzygał również spory, kary jednak np. za podebranie cudzych barci nie były wielkie, zwykle pieniężne, czasem tylko przeprosiny, a raz jeden występuje chłosta. Wogóle nie ma tu przy wymiarze sprawiedliwości jakiejś stalszej zasady, dowolność panuje znaczna. Jest to zresztą dosyć charakterystyczna cecha wszelkiego prawa zwyczajowego, jak się zdaje. Każdy spór załatwiany jest oddzielnie. Wcześnie jednak, bo już w XVI w., rozszerzyło prawo obelne swoją działalność, chłopi jedlneńscy robili przed nim wszystkie zapisy sprzedaży i działy dobytku, budynków i roli. Stało się to z braku innego sądownictwa, sołtysa nie było, a do folwarku niechętnie chodzono ze sprawami po wyroki, zostawała więc ta jedynie autonomiczna władza w Jedlni. Zapisy prawa obelnego musiały zastępować księgi sądowe wiejskie, które zazwyczaj prowadzone były w wioskach.

Tradycja o tem obelnem prawie dziś zaginęła; nikt już nie umiał objaśnić ks. Gackiego, skąd się ono wzięło i co zawierało. To tylko twierdzili włościanie jedlneńscy i dotąd jeszcze starsi twierdzą, że dopóki ono zostawało w ich ręku, dopóty barci znajdujących się w lesie nikt tknąć nie śmiał, nikt też mieszkańcom tutejszym nie wzbraniał po boru pa-

stwisk, koszenia siana, uprawy niw wyczynianych i brania drzewa na swoją potrzebę. Wygląda to tak, jak gdyby z bartnictwem związana była wogóle używalność całej puszczy, jak gdyby po części prawo obelne było prawem leśnem. Łatwo to zresztą pojąć, gdyż dzianie barci jest tylko jednym z użytków puszczy, podobnie jak zbieranie siana po łęgach leśnych, robienie wypalenisk, zakładanie jazów na rzekach i strumykach i zastawianie paści na mniejszą zwierzynę; wszystko to podchodzi pod tę samą sferę gospodarczą, znalazło też swój wyraz w prawie bartnem może nie od samego początku, gdyż sądzę, że pierwotnie miało ono ściśle bartniczy charakter. Dopiero później, kiedy się rozprzęgł w XV w. związek opolny, odziedziczyło po nim część jego kompetencji prawo obelne.

Przyznać trzeba, że tak dobrze chłopi jedlneńscy jak i okolicznych wiosek poczynali sobie z puszczą samowolnie aż do ostatnich czasów. W świadomości prawnej ludu okolicznego. tych »kurpiarzy« jedlneńskich, jak ich nazywali »łyki« z Kozienic, las był ich, poczytywali go za swoją własność. »Nasz las, a co komu do naszego lasu«: tak zwykle mawiano. Wszelkie zaś ograniczenia samowolnego postępowania w boru uważali oni za nadużycia urzędu leśnego, za chęć wyzucia ich z odwiecznego posiadania. Potrafili też bronić włościanie Jedlni. Mąkos, Jastrzębi i Kozłowa puszczy przed każdym, nawet przed komisjami rządowemi. Jedną z nich w r. 1829 odstawili do sądu radomskiego, utrzymując, że nikt nie ma prawa zmawiać się na szkodę gromad, — ba, i z siekierami występowali przeciwko pomiarom i przecinaniu linji w »swym lesie«. Z jakim skutkiem, domyśleć się łatwo.

Mąkoszanie mieli nawet legendę, która służyła za tytuł prawny ich użytkowania. Oto dawno już temu król jakiś polował w puszczy. Odłączył się od swej myśliwskiej drużyny i zabłąkał. Późną nocą zaszedł do chaty strzelca Mąkosy, który go rad przyjął, ugościł i przenocował. O świtaniu dopiero znaleźli króla towarzysze i razem z nim pojechali. Za gościnę jednak i nocleg król wynagrodził swego strzelca. Powiedział mu: wyjdź przed chatę i słuchaj, pokąd będziesz słyszeć granie na moim myśliwskim rogu, potąd

twoją będzie puszcza, masz w niej »wolę« barci dziać i drzewo ścinać i robić, co ci się żywnie podoba, a za to będziesz mi składał korzec orzechów i miarę miodu w dani. Tak mi to podanie opowiedział jeden ze starych mieszkańców tej wioski. Jest ono dowodem, jak dalece zakorzenionem było to poczucie, że każdemu wolno z boru użytkować.

Właśnie tę stronę prawną i gospodarczą objęło obelne prawo i utrzymało do końca swego istnienia. I po jego rozerwaniu w 1811 r. taka gospodarka trwała dalej — tylko już nie w związku z obelneni sądami i z obelnem prawem.

Te oto szczątki z dawnych urządzeń przychowały się w puszczy, przystosowane do zmienionych potrzeb. Ale ze starych form rodziny nic się już nie przechowało. Próżnoby ktoś szukał w puszczy rodziny szerszego typu, którą składa nietylko ojciec z dziećmi, lecz i dorośli żonaci synowie, a czasem stryj i synowcy. Znikła ona z puszczy dosyć wcześnie, zdaje się już w XVI w. A kiedyś musiała tu być znaną, była bowiem w reszcie kraju bardzo rozpowszechnioną. W XVI w. conajwyżej z niektórych zapisów obelnego prawa możnaby wnosić, że czasem rodzeństwo przez dłuższy czas nie dzieliło się rolą, ale i w takich razach trudno oznaczyć przyczynę tego zjawiska. Mogło np. chodzić o robociznę do folwarku lub inne tego rodzaju względy. Tak więc ta serja zjawisk mimo puszczy, bagien i małego zaludnienia, nie powiem, ulegała obcym wpływom, ale sama przez się zamierała.

Stare formy organizacji społecznej jedynie siłą rzeczy i czasu rozkładały się z wolna nawet w głębi w puszczy. Przechodząc z pokolenia na pokolenie, ścierały się one i gubiły coraz bardziej. Tyle tylko, że z zewnątrz obcych form nikt nie narzucał i że nie było aż do XIX wieku nagłego przewrotu. Wśród tego wszystkiego osadnictwo jedynie dochowało się prawie niezmienione. Te same warunki, które nie starczyły dla utrzymania form społecznych, były dla niego wystarczające. Widocznie formy osadnicze były najstarszą ostatnią warstwą. Silna fala życia zabierała, zmieniała się i mąciła ruchliwsze i mniej stałe warstwy wierzchnie, to jednak, co opierało się o ziemię samą i na niej swe piętno wybiło, pozostało nienaruszone w swych zasadniczych znamionach.

7. Mąkosy, Jedlnia i Kozienice.

Mąkoszyn czyli dzisiejsze Mąkosy istniał już w końcu XII w. Spotykamy się z nim poraz pierwszy w r. 1191, w którym nadano z niego dziesięcinę nowozałożonej kolegjacie sandomierskiej. (Kod. Mpol. I n. 2.). Od tego czasu aż po chwilę spisania Liber beneficiorum Długosza nie mamy o nim żadnej wiadomości. To jednak, co nam Długosz mówi o tej wiosce, jest bardzo ciekawe i charakterystyczne dla jej stosunków. Nie było tam podówczas ani folwarku królewskiego, ani lokacji na prawie niemieckiem, najlepiej o tem świadczy ta okoliczność, iż według słów Długosza: non sunt dimensurati lanei kmethonales, sed agri passim per venatores regios coluntur. (Liber benef. II. s. 531). A więc nie istniały łany w Mąkoszynie podówczas, a mieszkańcy tutejsi uprawiali bezładnie tu i ówdzie swe pola. Nie była to wieś ludna, jak się przekonujemy z dziesięciny snopowej (manipularis) dawanej scholasterji sandomierskiej przez mieszkańców, którzy zresztą więcej byli strzelcami, niż rolnikami. W XV wieku wynosiła ona dwie kopy groszy, a jak świadczy Liber retaxationum, nie podniosła się i w r. 1529, ludność więc nie musiała się powiększyć. Po tej wzmiance następuje długa cisza. Zapominają o Mąkoszynie wszystkie lustracje oraz spisy poborowe XVI-towieczne, jak również i późniejsze, choć może nie zapominają starostowie lub ich urzędnicy. Jedynie lustracja z r. 1615 mówi o Mąkosach, którzy się powołują na przywilej Zygmunta Augusta z r. 1551. Dopiero na samym końcu XVIII wieku wspominał o nich znowu ks. Siarczyński w swoim opisie powiatu radomskiego. Wzmianka jego zresztą nic ciekawego nie zawiera, podaje tylko liczbę domów, których było podówczas piętnaście. Widzimy więc, iż zaludnienie tej osady pozostało zawsze nieznaczne.

Uzyskawszy z powyższych danych tę pewność, iż stosunki Mąkosów nie uległy żadnej zmianie i przeobrażeniu, któreby niechybnie przyniosło prawo niemieckie lub założenie folwarku, z kolei rozpatrzyć się należy w układzie pól tej wioski. Plan austrjacki (ob. Fig. 1, str. 168—169) bez daty, który jednak najpóźniej mógł powstać w początkach XIX wieku, objaśni nas w tej mierze i da potrzebne wska-

zówki. Sama wieś Mąkosy leży nad jednem ramieniem Radomierzy, w tem miejscu bagnistej i płynącej kilkoma korytami. Ciągnie się ona wąskim pasem, chaty jednak są zupełnie bezładnie zbudowane. Skupiają się w parę gromadek. Nad rzeką rozciągają się łąki i pastwiska. Nieopodal zaś, mniejwięcej równolegle ze wsią, ale już w puszczy, spostrzegamy kilka większych polan uprawnych. Tworzą one najdziwaczniejsze figury geometryczne; znać, jak bez planu były karczowane. Na planie niema zupełnie oznaczonych pojedynczych działków, jest to zresztą stały brak wszystkich dawniejszych planów, któreśmy dotąd przeglądali. Aby ten brak choć w części wynagrodzić, trzeba się było uciec do zebrania na miejscu wiadomości od jednego z tamtejszych starszych gospodarzy, Antoniego Kamińskiego, mającego około 80-ciu lat (w roku 1831 służył on już w wojsku)[1].

Z tych poszukiwań okazuje się, iż do r. 1851, w którym została przeprowadzona komasacja Mąkos, włościanie tej wioski mieli pola w sześciu miejscach, a mianowicie: 1) za ogrodami, 2) na niwach, 3) na kopaninach, 4) na sosnowym gruncie, 5) za laskiem, 6) na wysokim grądziku[2]. Pola te leżały wśród wody i lasu, »jak kępy« wedle słów tego gospodarza. Nie wszyscy mieli swe działki we wszystkich owych kępach, nie były to więc niwy w zwykłem znaczeniu i nie mogły być niemi nigdy, to są poprostu nazwy topograficzne. Las i bagniste rzeczne pobrzeża pozostały tutaj dłużej, niż gdzieindziej, główną zaporą wszelkiej pracy ludzkiej. Przeciw nim też skierowane zostały wszystkie usiłowania osadników. Widocznie część łąk błotnych została zamieniona na grunt orny. Nie była to jednak praca wspólna; jak kępa była duża, to ją wyczyniali do spółki i do spółki mieli t. j. dzielili się nią według ilości karczujących; jak była mniejsza, to tylko jeden miał na niej grunt, »lasy zaś wyczyniał każdy na swoją rękę«. Oto wszystko, co się można było dowiedzieć od mieszkańców tej wioski. Z takich zaś nazw, jak Kopaniny, Sosnowy grunt, łatwo się przekonać możemy, w jaki sposób te pola powstawały. Zdobyte

[1] Wiadomości te zebrał autor w maju 1887.

[2] Nazwy te wymienia już dokument z r. 1766

są one na lesie, jednak wskutek takiego rozproszenia pracy i bezplanowości trzebienia jedne z pól owych pozostały otoczone zewsząd lasem, stanowiąc w nim tylko wykarczowane polany, drugie zaś były okolone wodą i bagniskiem. Ciągłe zalewy i łąk i pól oraz samej wioski spowodowały głównie przebudowanie jej na prośby mieszkańców, przyczem przeprowadzono nowy, porządny podział gruntów, ujętych już dzisiaj w pewne stałe granice i stanowiących jeden obszar.

Spotykamy się tu z taką pierwotną formą osadniczą, iż śmiało twierdzić możemy, że nie inaczej poczynali sobie i pierwsi mieszkańcy Mąkosów. Nie będzie to więc naciąganiem źródeł z naszej strony, jeżeli uznamy w owych »rolach miejscami przez łowców uprawianych« z Liber benef. Długosza takie właśnie rozrzucone polany wśród bagna lub lasów, jakie tam jeszcze w blisko czterysta lat później znajdujemy. Osadnictwo to nosi na sobie wybitne cechy jednodworczości, z tą tylką różnicą, iż chaty nie są porozrzucane, cała jednak wieś powstała dopiero ze stopniowego i powolnego wybudowania się mnożących się w liczbę osadników.

Do dziś dnia jeszcze dochowała się tradycja, że wszyscy mieszkańcy Mąkosów pochodzili niegdyś od jednego, który się zwał Mąkosa, na co zresztą wskazuje i najdawniejsza dzierżawcza nazwa Mąkoszyno, wszyscy też zwali się Mąkosami. Tradycję tę potwierdza fakt, iż między r. 1769, a 1798 spotykamy w jedlneńskich aktach prawa obelnego aż 14 Mąkosów ze wsi Mąkosy. Oprócz nich byli tylko wstępniowie, którzy przychodzili na »wstęp« t. j. osiadali we wsi, żeniąc się z dziedziczkami gospodarstw. Najbliższe rodziny mieszkały zazwyczaj razem w gromadkach chat, z których, jak już wiemy, cała wieś się składała. Tak więc z jednej chałupy pierwotnego osadnika powstała stopniowo wieś, mieszkańcy jej zaś czy to ze względów na obronę, czy, co prawdopodobniejsze, ze względów na warunki topograficzne, nie rozpraszali się po bagnie lub puszczy. W miarę przyrostu każda nowopowstająca rodzina wyrabiała sobie potrzebne kawałki roli, zresztą nie potrzebowano roli tak wiele, cała wieś bowiem trudniła się do

niedawna jeszcze przeważnie bartnictwem a dawniej i łowiectwem.

Nie w takiej może już czystości, jak w leżących na uboczu Mąkosach, dochowały się dawne stosunki w pamiętnej przywilejem Władysława Jagiełły z r. 1430 Jedlni. Ulubione miejsce łowów królewskich a za pierwszego Jagiełły i częstych zjazdów możnowładztwa nie mogła Jedlnia nie ulec pewnym przeobrażeniom. Stosunki tamtejsze, aczkolwiek przedstawiają się może więcej ułamkowo, są jednak z wielu względów ciekawe. O śladach osady pogańskiej na jej gruntach była już mowa przedtem, pewniejsze wiadomości podaje nam dopiero XV w. Za czasów spisania Liber beneficiorum nie miała Jedlnia pomierzonych łanów. Długosz pisze: in qua sunt multi campi et multi cmethones et coloni, quorum agri in laneos — plus enim venatoriae arti quam agrariae culturae extant dediti — non sunt distincti (t. I s. 343, t. II s. 329). Jedlnia nie miała prawa niemieckiego, mieszkańcy jej bowiem pozostali zawsze więcej strzelcami i bartnikami i mniej się rolą zajmowali. Częste łowy królewskie stosunki te podtrzymywały, strzelców bowiem było potrzeba do obław na dzikiego zwierza i do strzeżenia puszczy.

Jeżeli jednak częsty pobyt królewski przyczynił się do utrzymania łowiectwa, a tem samem nie dopuścił do lokacji na prawie niemieckiem, to z drugiej strony wywołał on potrzebę założenia w Jedlni królewskiego folwarku. Istniał on tam już przed r. 1387, robocizny bowiem na jego rzecz pełnione przez chłopów jedlneńskich nazywa Władysław Jagiełło w swym przywileju »dawniejszym już zwyczajem« (ks. lustracji t. 30 s. 334). O ile folwark ten mógł naruszyć dawniejszy stan rzeczy, trudno dokładnie dziś oznaczyć, to pewna, że jeszcze w drugiej połowie XV wieku nie uległy tamtejsze stosunki żadnej zasadniczej zmianie. I później nie musiał on wpłynąć na konfigurację pól tej wioski. Wprawdzie spotykamy się potem w Jedlni bardzo często z łanami, np. w roku 1532 miało ich być $34^1/_2$, w 1550 — 25, w 1564 — 28 (Gacki, Jedlnia s. 39; ks. lustracji t. 28 i 30), regestr wreszcie poborowy z 1569 r. wymienia w Jedlni 36 łanów. Sama niezgodność tych cyfr, zebranych z tak krótkiego przeciągu

czasu, wskazywać się zdaje, iż nie doszło w Jedlni do takiego pomiaru całego obszaru, któryby mógł zmienić przez wykrojenie folwarku konfigurację ról kmiecych. Zdaje się bowiem, iż folwark powstał niezależnie z puszczy, z początku musiał być niewielki i dopiero później powiększał się stopniowo przez wcielanie opustoszałych ról kmiecych. Najprawdopodobniej też dla oznaczenia robocizn i czynszów musiano obliczyć, ile każdy z kmieci jedlneńskich ma roli, biorąc do tego za jednostkę miary łan, i tak doszło do oznaczenia ich liczby. Nie była zresztą ta liczba stałą, w XVII wieku maleje tak dalece, iż w r. 1660 spada do liczby jedenastu łanów.

Jak wyglądały uprawne pola jedlneńskie, możemy już wnioskować ze słów Długosza. Za jego czasów istniały tam »liczne pola«; otóż są to bezprzecznie oddzielne polany wśród lasów, podobne do tych, które niedawno można jeszcze było znaleźć w sąsiednich Mąkosach. Obok licznych pól są również i »liczni kmiecie i osadnicy«, ludna była to bowiem wieś zawsze. W r. 1532 spotykamy tam 63 kmieci, w 1550 — 50 na półłankach[1] a w 1564 — 61, z których czterdziestu sześciu bartników. Dowodzi tego i wysokość dziesięciny, która za czasów Długosza wynosiła znaczną sumę 24 grzywien, w r. 1529 podług Liber retaxationum urosła do 34 grzywien (dziesięcina folwarczna wynosiła tylko jedną grzywnę). Silne zaludnienie musiało wpłynąć na spieszniejsze trzebienie puszczy, to też prędko niwki poszczególnych osadników łączyły się z sobą i zlewały, coraz mniej bowiem lasu lub zarośli pozostawało między niemi. Zastajemy pola jedlneńskie na owym austrjackim planie bez daty, na którym i Mąkosy leżą, prawie że już jedną całość stanowiące. Na południe od wsi leży bardzo rozległe pole poprzerzynane w różnych kierunkach drogami, na północ zaś od niego znajdujemy dwa jeszcze inne, z których pierwsze dosyć jest obszerne, drugie zaś bardzo niewielkie. Istnieje jeszcze i czwarte pole wśród lasu, jest ono jednak raczej przydatkiem, niż samoistnem polem. Poprzedzielane są one wszystkie puszczą.

[1] Prócz tego jest 8 zagrodników i 7 łowców, siedzących na pełnych łanach. Z ogółu ludności 49 zajmowało się bartnictwem.

Grunta folwarczne nie stanowiły jeszcze podówczas jednego obszaru, część ich znajdowała się w pierwszem największem polu, dwa zaś pozostałe leżą między trzema pozostałemi polami kmiecemi. Już w r. 1564 miał folwark jedlneński trzy pola nierówne, w których niejednako wysiewano zboże według słów lustracji. Podział ten utrzymał się aż do czasów austrjackich, można go bowiem wyśledzić na owym planie.

Akta prawa obelnego, sięgające XVI wieku a przez księdza Gackiego ogłoszone drukiem, niewiele nas pouczają o konfiguracji pól jedlneńskich. Spotykamy tam w roku 1623 kmiecia, mającego rolę w trzech polach po trzy zagony. Inni zdaje się mają swe działki tylko w jednem miejscu, drudzy w paru lub kilku. Wielu też z jedlneńskich kmieci posiadało w XVI, XVII wieku luźne polany wśród lasu.

Brak dawniejszych wiadomości można zastąpić wcale dobrze szczegółami, zaciągniętemi od tamtejszych włościan. Rozdział gruntów folwarcznych na trzy pola dokonał się z chwilą wprowadzenia trójpolówki w XVI w., a może jeszcze w XV wieku. Rozdział ten musiał objąć także grunty chłopskie, ponieważ, jak wiemy, grunty folwarczne były między niemi porozrzucane; tworząc pola folwarczne, musiano też uporządkować i chłopskie. Czysto gospodarczy ten podział dotrwał do roku 1845, wtedy bowiem w trzech miejscach znajdowały się pola jedlneńskie. Każde z nich rozpadało się na pomniejsze niwy o odrębnych nazwach, i tak: pierwsze pole mieściło w sobie następujące działy: Pod jaźwcem, Pod sokoły, Na kołkowy, Niwki, Za cmentarzem; drugie dzieliło się na następujące działy: Pod trzecirem, Podezdziary, W popławach, Podosiny, Czyrski, Pasek, a na koniec trzecie: Pod łaziskiem, Pod długie miedze, Pod nowiny, Pod roskową. Same ich nazwy wypożyczone z nazw puszczy wskazują na ich pierwotne położenie w jej granicach lub pod nią samą. Są one topograficznego pochodzenia, że zaś nie mamy do czynienia z niwami systemu wioskowego, dowodzi najwięcej ten szczegół, iż nie we wszystkich tych niwkach z odrębnemi nazwami każdy z gospodarzy jedlneńskich miał swój udział. Było to dosyć bezładne rozrzucenie pojedynczych działków po wszystkich polach, nie zaś roz-

dział pól według jakiegoś z góry obmyślonego planu. Najlepiej to zresztą wskazuje sposób trzebienia puszczy, który się do niedawna dochował, oraz powstanie samej wioski. Na planie geometry Zeitheima z r. 1815 przedstawia się nam Jedlnia jako rozrzucona nad bagnistą rzeczułką osada, co potwierdza i ks. Gacki, mówiąc, iż domy stały gromadkami w największym nieładzie na podnioślejszych miejscach przy rzeczce Roscień, tworzącej niełatwe do przebycia oparzeliska (loc. cit. s. 52). Tak samo, jak w Mąkosach, mieszkały dawniej w Jedlni rodziny obok siebie w odrębnych grupach chałup. Nosiły one osobne nazwy np. Szeligi, Rojki, Siczki, Sulimy, stosownie do tego, jak się nazywała rodzina, która je zamieszkiwała. I tu więc osadnictwo pierwotnie jednodworcze dozwalało na osiedlenie się samoistne każdej rodziny, która też trzebiła las na swoją rękę. Ślady tego dochowały się jeszcze dość wyraźne w puszczy poza właściwemi polami jedlneńskiemi.

Na znanym nam już planie austrjackim bez daty na zachód od wsi w drobnych i nieregularnych skrawkach ciągną się t. zw. pola czynszowe. Są to polany karczowane przez gospodarzy jedlneńskich wśród lasu pod warunkiem opłaty czynszu, bardzo zresztą nieznacznego, oraz składania dziesięciny snopowej. Każdy karczował je sam i gdziekolwiek mu się tylko żywnie podobało, »ścinał chojce i dęby« według słów jednego ze starych gospodarzy jedlneńskich, palił to drzewo i obsiewał. Gospodarstwo, które na takich polanach prowadzono, było zupełnie pierwotne. Na spalenisku siano, dopóki się tylko rola nie wypleniła, przez cztery do pięciu lat naprzemian żyto i tatarkę, a potem zostawiano ziemię odłogiem przez lat kilka. Gdzie gleba była mniej urodzajna, siano żyto i owies przez dwa lata, a przez następne dwa ugorowano. Nawozu też nigdy tam nie wywożono. Częstokroć zdarzało się, że po kilku latach taką polanę porzucano tak, iż las nowu odzyskiwał swe prawa i porastał na nowo. Ks. Gacki mówi, iż nieraz wśród najgłębszego boru, o milę lub więcej odległego od Jedlni, można było oglądać, przed przejęciem dóbr na donację, świeże lub dawniejsze ślady zagonów (tamże s. 50). Po roku 1870 za wszystkie te polany wśród lasu dano włościanom jedlneńskim odpadki

leśne przy wsi leżące; każde gospodarstwo otrzymało po 28 morgów (tamże s. 53).

Kiedy w r. 1802 Lasowiaki z nad Sanu zakładali w pobliżu Jedlni wieś Słupicę, tak nazwaną od części puszczy, którą im rząd austrjacki wyznaczył, najpierw wycięli las na całej przestrzeni, który następnie zostawili przez cały rok, aż drzewo zaczęło butwieć, potem je spalili i na popielisku zasiali ber. Pierwotniej nie można było zapewne gospodarować za pierwszych Piastów. Z tą formą gospodarki dochował się i dawny sposób osadnictwa puszczy. Rozkopywał ją, kto chciał i jak chciał, po łęgach leśnych kosił trawę, pasał trzody, dział barci w starych sosnach; słowem każdy miał całkowitą swobodę używania, stąd też włościanie z Jedlni i wsi okolicznych nie mogli później zrozumieć, jakiem prawem może ktoś ścieśniać ich i ograniczać Sądzili, że las do nich należy i nie mówili inaczej, jak »nasz las«, »do naszego lasu«.

W całej tej pracy gospodarczej każdy był zostawiony swoim własnym siłom, każdy myślał tylko o sobie. Nie mamy żadnego powodu przypuszczać, że kiedyś było inaczej, nie przechowały się ślady jakiejś silniejszej organizacji gminnej. Czy pierwotnie zakładał Jedlnię jeden tylko osadnik, czy równocześnie kilka rodzin, tego nie możemy przesądzać; zdaje się, że kilku osadników jednocześnie. W XV wieku wszystkie pola jedlneńskie musiały być, jak do niedawna jeszcze w Mąkosach, jedynie polami porozrzucanemi wśród lasu. Z czasem zaczęto się dzielić z każdą z tych polan. Jeżeli zaś karczowało las dwuch osadników, wtedy dzielili się polaną odrazu. Ostatecznie połączenie owych polan w większe jednolite pola musiało się dokonać, kiedy każda z nich miała większą ilość działków. Stąd też powstało to rozrzucenie pojedynczych działków, charakteryzujące system jednodworczy tam, gdzie ludność przy ciągłym wzroście nie buduje się zupełnie oddzielnie. Jestto bowiem zwykły skutek ciągłych podziałów rodzinnych.

Mówiliśmy już poprzednio, iż po obu brzegach Wisły ciągnie się bogaty pas czarnoziemu, na którym oddawna rozsiadły się liczne wioski. Na wschodnim kraju puszczy,

ale jeszcze wśród lekkich, piaszczystych gruntów, spotykamy miasteczko Kozienice, a tuż obok Starą wieś. Nazwa Starej wsi nie jest wcześniejsza, jak się zdaje, nad wiek XVII, w każdym razie powstała dopiero po nadaniu Kozienicom prawa miejskiego przez króla Zygmunta Starego w r. 1540. Świadczy o tem Liber beneficiorum, wspominając, iż wielki Janików graniczy z Kozienicami, a dziś między jedną a drugą miejscowością znajduje się Stara Wieś, tak nazwana w przeciwstawieniu do Kozienic-miasta. Jeszcze w XVII w. nazywano ją wprost Wsią-Kozienicami dla odróżnienia od miasta o wiorstę tylko odległego.

Późne stosunkowo mamy wiadomości o osadzie Kozienicach. Wiemy tylko, że należały one wraz dwoma jeszcze innemi wioskami, leżącemi w pobliżu, do uposażenia klasztoru Norbertanek w Płocku, założonego, jak wiadomo, przez Dobiechnę, córkę Kiljana a małżonkę Wojsława, w r. 1206 (Kod. Maz. nr. 2). Czy należały one do pierwotnego uposażenia klasztoru, nie wiadomo, choć nie jest wyłączona możliwość, że tak było, sąsiedni bowiem Nasiłów i Opatkowice dał Jaksa, protoplasta rodu Gryfów-Swiebodziców, opactwu Benedyktynów w Sieciechowie (Kod. Kat. I. N. 234), a Wojsław też do rodu Gryfitów miał należeć[1]. W wyliczaniu wszelako posiadłości kościoła N. M. P. w Płocku z 1185 r. nie znajdujemy zupełnie Kozienic. (Ulanowski. Dokumenty, s. 287). Pierwsza o nich wzmianka pochodzi dopiero z 1429, a mianowicie w tym czasie odstępują Norbertanki płockie Kozienice, Wargocin i Golańsk królowi Władysławowi Jagielle wzamian za wieś Bronisław na Kujawach, gdyż, jak mówi przywilej, nie mają z tych włości żadnego pożytku[2].

Tak więc wróciły Kozienice napowrót do rąk królewskich, gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa z nadania książęcego otrzymał je Jaksa albo klasztor. Wróciły one jednak niezmienione, bo jeżeli w 1429 żali się klasztor,

[1] Według prof. Wł. Semkowicza Wojsław należał razem z wojewodą Żyrą i biskupem Gedką do rodu Powałów. Patrz: Ród Awdańców w wiekach średnich, str. 331. (Przyp. wyd.).

[2] Kod. pol. II b, str. 846. Baliński, Starož. Polska II s. 436, podaje rok 1390 jako datę tej zamiany, nie mówi jednak, skąd wiadomość tę zaczerpnął.

że z Kozienic dochodu nie miał, to widocznie ani nie osadzał ich na prawie niemieckiem, ani nie zaprowadził lepszego gospodarstwa. Gdyby nawet miał je posiadać Jaksa przed nadaniem Norbertankom płockim, to prawdopodobnie także podział pól i sposób gospodarstwa nie uległ zmianie. Nadanie pewnej wsi komukolwiek z możnowładztwa albo kościołowi było punktem wyjścia do zmian i przeobrażeń stosunków prawno-politycznych ludności wsie te zamieszkującej, nie dawało jednak dosyć powodów do wkraczania. W dziedzinę regulowanego przez zwyczaje użytkowania i rozdziału ziemi oraz osadnictwa ustawodawstwo średniowieczne zwykle nie wkraczało. Folwarków jeszcze nie zakładano. Duchowieństwo, prócz Cystersów, mało także brało się do roli. Dbano przedewszystkiem, aby włodarz jaknajwięcej dochodów ściągnął od osadników i na tem się wszystko kończyło, a jeżeli nawet przychodziło kiedy, osobliwie przy zakładaniu nowej wioski, do rozdawnictwa roli lub jakiegoś pomiaru, to czynności te uskuteczniały się wedle starych, powszechnie przyjętych, zwyczajów i form, nie wymyślano n. p. nowej jakiejś miary, skoro odwieczną jedynie znaną był pług albo radło.

Tak więc do XV wieku włącznie żadna ważniejsza zmiana nie zaszła w Kozienicach; inaczej jednak rzeczy miały się w XVI wieku. Zygmunt August, zakładając w r. 1549 miasto Kozienice, musiał oddać część gruntów, należących dawniej do wsi, dla nowo powstającego miasteczka, nie naruszył jednak samej wioski. Kozienice, również jak Jedlnia, a może nawet i więcej, stały się już w końcu XV wieku i przez cały wiek XVI ulubionem miejscem polowań królewskich i tu więc musiał powstać folwark. Nie wiemy, czy już istniał w XV wieku, prawdopodobnie jednak musiał być założony przed jego końcem. Mamy dowody, że również, jak w Jedlni, nie przekształcił on dawnego układu pól. Znajdują się one w lustracji z roku 1564 i 1567, które mówią o kozienickim folwarku co następuje: »ten folwark niema ról pewnych, jeno sztukami tu i owdzie, dlaczego wysiewek niejednostajny bywa« (ks. lustr. t. 28 s. 273 i t. 30 s. 97), grunty jego były więc pomieszane z rolami kmiecemi. Widocznie zajmowano nań kolejno opustoszałe łany i uszczuplano

działki chłopskie, nie zmieniając w niczem dawnego ukształtowania pól. Sama wieś bardzo obszerną nie musiała być nigdy, a po odpadnięciu części jej gruntu na miasto obszar jej wraz folwarkiem wynosił w r. 1569 »łanów 4 i wójtowski jeden«. Z lustracji z r. 1567 dowiadujemy się, że były w Kozienicach osiadłe trzy łany, na których siedziało aż 18-tu kmieci, a prócz nich spotykamy tam jeszcze 17-tu zagrodników i 5-ciu łowców na dwuch łanach. Ludność więc była dość znaczna przy wielkiej szczupłości pól ornych. Kmiecie w r. 1567 czynszu żadnego nie płacili »dlatego, iż im odjęto ról po części na dwór i na miasto« według słów lustracji, która tak określa ich powinności: »Winni dzień w tydzień robić bydłem, przewod ad septem miliaria i stroża. Winni robić dwie niedziele przed przyjazdem Króla Jegomości do starostwa na stację, zaco im wytrącają zasię dwie niedziele. Winni też jeździć po kamienie młyńskie do młynów kozienickich«. Zagrodnicy mieli obowiązek odbywania drogi do Radomia pieszo i jeden dzień w tygodniu robili. Prócz nich wspomniani są jeszcze bartnicy, których już natenczas nie było w Kozienicach, »bo barci zepsowane wykopaniem lasów«. »Było ich wedle inwentarza po Swarożyńskim 12, którzy płacili miodu kwart dwanaście«, mówi lustracja. Już więc podówczas rola stanowiła główne zajęcie tamecznej ludności. Zdaje się też, że tutaj zawsze zajmowano się nią więcej, jak w Jedlni, a szczególniej w Mąkosach. Dalej z lustracji, odbytej między 1652 a 1660, dowiadujemy się, że kmiecie kozieniccy, których liczby lustratorowie nie podają, dawali z półłanka po pół korca owsa miary radomskiej i po jednej kurze. Ks. Siarczyński nakoniec wspomina, że Stara wieś, która jest naszemi Kozienicami, ma dymów 36 i leży w piaszczystej glebie. (Opis pow. Radom. s. 125).

Na podstawie tych wszystkich wiadomości łatwo wysnuć wniosek, że ani założenie miasta ani powstanie folwarku nie zmieniło w niczem więcej istotnem dawnych urządzeń: założenie miasteczka bowiem uszczupliło tylko ogólną przestrzeń gruntów wioski, nowopowstały zaś folwark wcisnął się tylko między grunty chłopskie, a prawa niemieckiego Kozienice nigdy nie miały.

To, że w Starej wsi dochowały się pierwotne urządze-

nia, stwierdza zresztą najlepiej jej plan z 1786 r., w którym można odszukać wiele śladów dawnych stosunków. Obszar

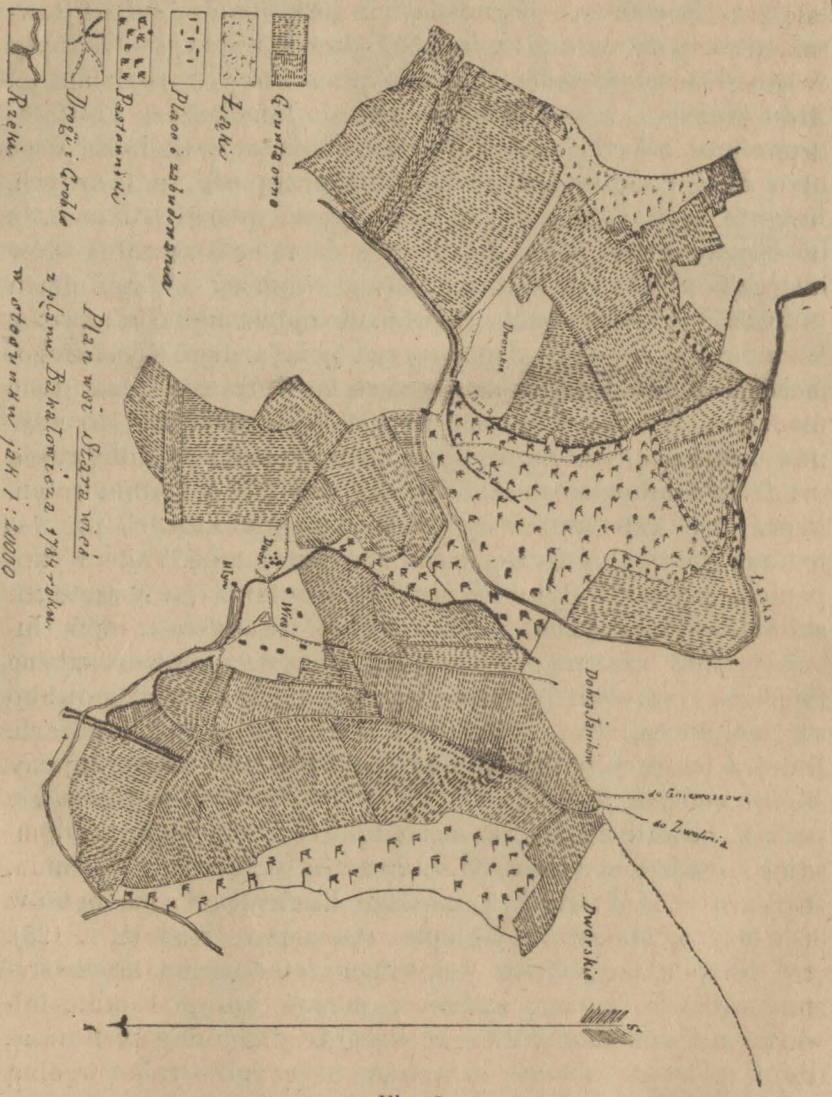


Fig. 2

całej wsi składają cztery większe pola, są one poprzedzielane innemi użytkami i przecięte drogami w różnych kierunkach; jak zwykle, pojedynczych działków niema na pla-

nie oznaczonych. Nie jest to podział gospodarczy, bo zamiast trzech pól mamy ich cztery. Sam plan zresztą jest zbyt pobieżny, aby mu ufać, iż grunta orne tylko z czterech niw się składały. I drogi bowiem mogły stanowić granice pomiędzy pojedynczemi niwami, których mogło być znacznie więcej; najlepszą wskazówką, że role kmiece już w roku 1564 były rozrzucone, są słowa lustracji o gruntach folwarcznych, które leżały sztukami tu i owdzie, a więc w większej ilości działek niż cztery. Do roku 1848, w którym Starą wieś urządzono, dzieliły się grunty włościan na dziewięć niw, które nosiły następujące nazwy: 1) Gródka, 2) Dębiny, 3) Prośniska, 4) Półłanek, 5) Dąbrowskie, 6) Cyrula, 7) Młyniska, 8) Dąbek, 9) Kozíara. Każdy gospodarz miał w każdej z nich bez wyjątku swój działek. Grunty były »wedle dobroci« t. zn. iż każdy gospodarz miał swój udział we wszystkich rodzajach gruntu, i w lepszym i gorszym, a więc niwy owe nie były czem innem, jak tylko podziałem na części całego obszaru wioski z uwzględnieniem urodzajnej gleby, słowem niwami w znaczeniu, które im dzisiaj nadajemy.

Nic tak jednak tego nie stwierdza, jak to, że na planie w roku 1786 widzimy w samym sposobie budowania wioski pewien z góry obmyślany plan (patrz fig. 2 na str. 186). Chaty nie stanowią bynajmniej porozrzucanych bezładnie większych lub mniejszych gromad, w których mieszkają zazwyczaj rodziny z sobą spokrewnione, jak to w Mąkosach i Jedlni widzieliśmy, lecz przeciwnie tworzą one figurę symetryczną, zabudowania bowiem są rozłożone w półkole, stanowiąc zupełną podkowę. Po środku znajduje się t. zw. nawsie czyli plac, z którego rozchodzą się trzy drogi polne, główne wejście do wsi pozostaje zawsze tylko jedno, jak to jest zresztą przy tej geometrycznej figurze możliwe. Związek, który zachodzi między podziałem pól Starej wsi na niwy a jej zabudowaniem według jakiegoś stałego typu jest dla nas wyraźnym dowodem, iż mamy tu do czynienia z innym rodzajem osadnictwa, a mianowicie z systemem wsiowym. Nie wchodząc teraz w to, który z nich jest pierwotniejszy, stwierdzamy jedynie fakt, że istnieją one obok siebie i to współcześnie, gdyż tak dobrze Stara wieś, na gruntach której znajdowano popiel-

nice, jak Mąkosy oraz Jedlnia, do jednej, bardzo wczesnej epoki należą.

Owa półokrągła figura, najwięcej do podkowy zbliżona, jest dobrze znana skądinąd. Nietrudno w niej rozpoznać jednę z okrągłych, podkowiastych wiosek, t. zw. wendyjskich, »rundlingów«, mniej lub więcej gęsto rozsianych po ziemiach niegdyś zamieszkałych przez Słowian połabskich.

8. Poglądy uczonych niemieckich na osadnictwo słowiańskie.

Od dość dawna już uczeni niemieccy zwrócili na okrągłe wioski uwagę. W pierwszej połowie XIX stulecia Wiktor Jacobi zaczął bliżej badać wioski tego kształtu w księstwie altenburskiem i uznał je za słowiańskie, opierając swój dowód po części na nazwach oraz na podobieństwie, jakie zachodzi między niemi a dawnymi wendyjskiemi okopami. Przyznać trzeba, iż rzeczywiście kształt tych wiosek zgadza się z tem, co Al-Bekri mówi o grodach słowiańskich, zazwyczaj w okrąg budowanych. Po nim zajmowali się tą kwestją Landau, Fabricius, Brückner i wielu innych, a zwłaszcza profesor A. Meitzen, który oparł swe badania na nowym i cennym materjale, wydanym przez siebie w czwartym tomie Kodeksu dypl. śląskiego. Wszyscy ci uczeni zgadzają się, iż owe podkowiaste wioski są słowiańskiego pochodzenia i na tem jednomyślnem ich wyłączeniu z gruntownie badanych form osadnictwa germańskiego polega głównie dowód ich słowiańskości, który potwierdza najbardziej ta okoliczność, że w istocie spotykamy je wyłącznie na ziemiach niegdyś przez ten szczep zajmowanych.

Występują one mianowicie w znacznej liczbie między Sołą a Łabą w dzisiejszej Saksonji, następnie na wschód aż po Odrę na Łużycach i w średniej Marchji, więcej zaś ku północy w Prygnickiem i w Meklemburgu, dawnych siedzibach Obotrytów i Połabian. Dalej zajmują podkowiaste wioski cały pas kraju po obu brzegach dolnego biegu Odry, ciągnąc się przez całe Pomorze do rzeczki Łeby. Znajdujemy je też na ostatnich kresach zachodniej Słowiańszczyzny po lewym brzegu Soły i Łaby, aczkolwiek tylko sporadycznie koło Halli i Querfurtu, trochę liczniej znowu w po-

bliżu Magdeburga i Starej Marchji, a nawet sięgają one nieco dalej na zachód, aż po puszczę luneburską i okolice Hannoweru. Mają się one nadto znajdować w Czechach koło Pardubic i Nachodu nad górnym biegiem Łaby, rzadziej zaś na północy. Natomiast utrzymuje Meitzen, że niema ich wcale na polskiem Pomorzu, nad Wartą i Notecią, na Górnym Śląsku i na Morawie jakby nie było. Mylny stąd wyciąga wniosek, iż nie istniały one u plemion lechickich, gdyż Słowianie, mieszkający nad Łabą, podobnie jak nad Wartą i Notecią, należeli do jednej i tejsamej grupy językowej i etnograficznej. Zresztą sam Meitzen spotkał wioski w ten sposób zbudowane na Śląsku w pobliżu Głogowa, koło Trzebnicy i Rybnika, i to nawet w znaczniejszej liczbie, więcej zaś sporadycznie znajdują się one również w powiatach Głupczyce, Ziembice i Nyssa. (Cod. dipl. Siles. IV. s. 104). W Wielkopolsce natomiast tylko jedną wieś podkowiastą odszukano, i to jedynie ze starego planu (Schlitte). W Radomskiem, leżącem, jak wiadomo, na północnych kresach Małopolski, udało się nam wyśledzić dwie: Starą wieś i Makowiec, dziś już przebudowany, podobnie jak i pierwsza.

Jest to zapewne bardzo mało, wystarcza jednak, aby podać w niejaką wątpliwość twierdzenie, że wioski podkowiaste nie znajdują się zupełnie na przestrzeni dawnej Polski. Jedynie zupełny brak wszelkich poszukiwań w tym kierunku nie pozwala dotąd orzec stanowczo, jak dalece były one rozpowszechnione ku wschodowi. Potrzeba do tego dokładnego przejrzenia starych planów, co nie zawsze jest możliwe. Przyznajemy też, że kwestja wiosek podkowiastych nie jest jeszcze zupełnie wyjaśnioną. Według Haxthausena znajdują się one podobno w Rosji koło Niżniego Nowogrodu i Kazania. Takie sporadyczne ukazanie się ich na wschodnich kresach osadnictwa słowiańskiego byłoby tem trudniejsze do wyjaśnienia, gdybyśmy przypuścili zupełny brak jakichś pośrednich ogniw między krańcami wschodniemi i zachodniemi rozprzestrzenienia się słowiańskiego szczepu.

Tem mniej również możemy oznaczyć stosunek wiosek tego kształtu do innych, a mianowicie do budowanych w prostą ulicę, które są powszechne w Polsce, na Rusi i Wielkorosji. Spotykamy je również w Marchji, na górnych Łuży-

cach, na Pomorzu, na Górnym i Średnim Śląsku, gdzie występują nawet w przeważającej liczbie, oraz w północnych Czechach i na Morawie (Jacobi s. 13). W Wielkopolsce i Małopolsce, nie będąc może jedynym, są jednak, dzisiaj przynajmniej, prawie powszechnym typem. Kromer (Polonia, wyd. W. Czermak, Kraków 1901 str. 46) wspomina, że już za jego czasów wsi polskie po największej części były stawiane w dwa rzędy, t. j. w prostą ulicę. Powszechne są one na Ukrainie, Podolu i Wołyniu, a rosyjska kolonizacja zaniosła je aż na Syberję. Nie ulega wątpliwości, że i ta forma jest właściwością plemion słowiańskich, choć może nie tak wyłącznie, jak pierwsza. Wioski tego kształtu powszechne są bowiem na Żmujdzi, w dzisiejszych powiatach: szawelskim, święciańskim, oraz na Litwie, mają się też znajdować w Inflantach i Estonji. Na zachodzie przekraczają one granicę dawnych siedzib słowiańskich, znajdują się dosyć licznie między Łabą i Wezerą, a nawet sięgają, jak się zdaje, w okolice Monasteru (Meitzen, Der Boden, t. II s. 125), znane są też i w Danji, gdzie wspominają o nich dawne prawodawcze zabytki.

Dotąd jednak uczeni niemieccy nie rozstrzygnęli, czy owe wioski, budowane w ulicę, są pochodzenia niemieckiego, czy nie. Meitzen w cztero-tomowem swojem dziele o ziemi i stosunkach rolniczych w Prusach, wydanym w roku 1868, mówi, że do nich właśnie odnoszą się liczne dawne przepisy prawne, które, stosowane do wsi innego kształtu, albo nie miałyby zupełnie żadnego znaczenia albo jedynie bardzo naciągane (tamże II s. 125). Wcześniej też jeszcze W. Jacobi odnosił słowa Tacyta do wiosek tej formy, uznając je za pierwotne i typowo niemieckie (s. 14). W rozprawie wydanej w 11 lat później o kolonizacji niemieckiej na ziemiach słowiańskich zmienił Meitzen zdanie, bowiem osady w prostą ulicę budowane znajdują się tylko na ziemiach niegdyś przez Słowian zamieszkałych, nadto większość ich nosi nazwy słowiańskie, a wreszcie są one najpowszechniejsze w Polsce — i w Rosji, gdzie wpływ osadnictwa niemieckiego nie sięgał, a więc dawne stosunki mogły się lepiej i dłużej dochować; z tych to względów są one właściwością Słowian, obcą Niemcom. Wieś pierwotna niemiecka ma natomiast inaczej wyglą-

dać. Już Landau utrzymywał, opierając się również na tacytowskiej Germanji, iż nie tworzy ona ulicy, lecz zazwyczaj ma domy porozrzucane bezładnie na pewnej przestrzeni. Wioski tak budowane znajdują się właśnie w okolicach nadreńskich, zajmowanych przez jeden z odłamów szczepu frankońskiego. Dochowały one wiele z dawnych gminnych urządzeń, do niedawna panowała tam jeszcze własność wspólna (Hanssen, Agrar. Abhand. t. I. s. 99, t. II. s. 1), tam też miał się zachować według niektórych badaczy (Laveleye, Buecher, Lamprecht) najstarszy typ wsi niemieckiej. W istocie domy w tych wioskach są bezładnie rozrzucone, jak się o tem przekonać najlepiej można z licznych planów wsi niemieckich opublikowanych przez Meitzena[1]. Na tej więc zasadzie uczeni, którzy przyjmują, iż Frankowie i wogóle Germanowie pierwotnie osiedlali się po wsiach, jak Brunner. Meitzen, a szczególniej Schroeder, po części zaś Lamprecht, upatrują w tej właśnie formie osad niemieckich typ pierwotny. Zdanie to zdaje się obecnie przeważać wbrew innemu, którego przedstawicielami są Inama-Sternegg, Fustel de Coulanges, Ross, utrzymujący, że osadnictwo jednodworcze jest szczepową własnością Franków i wogóle starożytnych Germanów, nie zaś przejętym od Keltów zwyczajem.

Nie wchodząc w ocenę, które z tych zapatrywań jest słuszniejsze, nie możemy przemilczeć, że właśnie owe wsi o prostej ulicy przyszły do nas niezaprzeczenie w XIII i w XIV wieku wraz z kolonizacją niemiecką, w XVI w. zaś polski osadnik zaniósł tę formę dalej na wschód, na ziemie ruskie. Inna rzecz naturalnie, czy niezależnie od osad na prawie niemieckiem, budowanych w prostą ulicę, nie było już wówczas podobnych i w Polsce. Jest to bardzo prawdopodobne, szczególniej wobec istnienia wsi tego kształtu w Wielkorosji, choć dowodów bezpośrednich brak.

Teraz chodzi nam tylko o fakt, iż ta forma, skoro również mogła przyjść z Niemiec, musiała się tam gdzieś samoistnie wyrobić. Ostateczne podbicie Słowian połabskich przez Henryka Lwa i Albrechta Niedźwiedzia w XII wieku

[1] Wielki zbiór planów wsi ogłosił A. Meitzen w Atlasie do III-go tomu swego pomnikowego dzieła: Siedelung und Agrarwesen der West. u. Ostgermanen... Berlin 1895.

zrodziło potrzebę ponownego zaludnienia i zagospodarowania wyludnionych i zniszczonych przez tyloletnie wojny ziem. Ówcześni biskupi i książęta niemieccy znaleźli właśnie takich kolonistów w Holendrach i Flamandach, którzy stanowili podówczas żywioł o wiele wyższy cywilizacyjnie, a chociaż nie zupełnie niemiecki, to przecież dosyć bliski, a tem samem i łatwiejszy do zasymilowania. Oni to, zaludniając kraj między Łabą a Odrą, aż po Śląsk, przenieśli i ze sobą tę formę wioski wraz z właściwym jej podziałem pól.

Nie wszystko naturalnie jest jedynie prostem powtórzeniem lub dalszym ciągiem starego zwyczaju, tak też i tutaj; w wielu wypadkach mogło przyjść do różnych zmian i uproszczeń pod wpływem nowych stosunków, pozostaje jednak zawsze do zbadania, co mianowicie zatrzymali owi flamandcy i holendersey osadnicy ze swych starych urządzeń. W dzisiejszej Belgji przynajmniej na północy, oraz na południu Holandji, w dawnej Toxandrji, miało panować od najdawniejszych czasów osadnictwo wioskowe, jednodworcze zaś istniało jedynie na obszarach, zamieszkałych przez Wallonów. Szczególniej w środkowej i północnej Holandji, w dawnej Fryzji, sięgającej, jak wiadomo, aż po ujście Wezery, sama natura kraju nie pozwalała na inne osadnictwo, jak tylko wioskowe. Tam się też mogła łatwo wyrobić i wieś budowana w prostą ulicę, albowiem już od czasów Pliniusa zakładano tam osady tylko na sypanych groblach (Hanssen I. s. 241. II). Kwestji tej nie jesteśmy w stanie rozstrzygnąć, w każdym razie należy tutaj wziąć pod uwagę, że się ten typ wioski samoistnie wytworzył w Niemczech bądź dopiero w XII wieku pod wpływem gospodarczych reform Cystersów, bądź o wiele dawniej, w każdym jednak razie bez udziału Słowian, i że, przyszedłszy dopiero do Polski w średnich wiekach, wpłynął o tyle na zmianę miejscowych stosunków, że zapewnił stanowczą przewagę wioskom budowanym w prostą ulicę kosztem prawdopodobnie wsi kolistej.

Trudno dzisiaj z tego powodu twierdzić stanowczo, który z tych typów był u nas pierwotnie powszechniejszy. Wprawdzie możnaby tutaj powiedzieć na korzyść wiosek o prostej ulicy, że przecież i w północnych Niemczech, gdzie

zupełnie Słowianie zostali wyparci, pozostały po nich t. zw. »Rundlingi« w większej liczbie; zjawisko to jednak tem należy tłumaczyć, że nowo przybywający koloniści musieli nieraz zajmować opuszczone siedziby Połabian. W Polsce zaś i na Śląsku, gdzie osadnictwo niemieckie odbywało się wyłącznie w sposób pokojowy, zakładano niezależnie od form tubylczych nowe wioski, które służyły później za wzór dla Polaków, zakładających wsi na prawie niemieckiem w XV i XVI wieku, wskutek czego prędzej więc wsi podkowiaste zniknąć mogły. Obydwie te formy zdają się zresztą wzajemnie wyłączać; tam, gdzie jedna z nich występuje częściej, druga zanika. Przyczyny tego nie bylibyśmy skłonni upatrywać jedynie w warunkach topograficznych zajmowanego kraju, gdyż w tym razie nie mogą one zbyt wielkiego wywierać wpływu, lecz raczej w szczepowych odrębnościach różnych plemion. Kiedy i wśród jakich warunków powstały wioski podkowiaste i budowane w prostą ulicę, czy są one równoczesne, czy też jedna forma jest starszą od drugiej, trudno orzec. Okrągła forma, przypominająca dawne grody słowiańskie, jak to już zresztą zauważyliśmy, z jednem tylko wyjściem oraz z placem pośrodku, który mógł służyć pierwotnie jako obora dla bydła, gdzie też z pewnością przebywało ono nawet w zimie [1]), zdaje się przemawiać za starszeństwem formy podkowiastej.

Natomiast wypadnie nam się bliżej nieco zastanowić nad podziałem pól owych podkowiastych wiosek, do których i Stara Wieś należy. Jak wiadomo, grunty jej orne do niedawna jeszcze były podzielone na dziewięć niw, w których każdy z uczestników musiał mieć pierwotnie równy udział. Jest to bezsprzecznie podział pól wioski o gminnym ustroju (tj. o wspólnej własności ziemi) i na tej też zasadzie wybraliśmy Starą Wieś jako przykład tego osadnictwa. Należałoby z tego wnosić, że wszystkie wioski tej formy należą również do systemu wsiowego. Wyprowadzać jednak wogóle wnioski z jednego tylko przykładu byłoby może za ryzykowne, tembardziej, że badania nad podziałem pól podkowiastych

[1] Do dziś dnia lud na Podhalu używa wyrazu: obora w znaczeniu dziedzińca przed chatą.

do innych zupełnie wyników doprowadziły niemieckich uczonych. Przedewszystkiem wypadnie się tu zwrócić do prac Meitzena, który najobszerniej i najgruntowniej zajmował się tą kwestją. Stosunki wsi Domnowitz na Śląsku, niegdyś polskich Domanowic (Cod. Sil. IV. s. 247), posłużyły mu za punkt wyjścia w badaniach nad urządzeniem wiosek podkowiastych wogóle. Książę Henryk sprzedał Domanowice w roku 1251 klasztorowi w Trzebnicy, w którego posiadaniu pozostawały odtąd bez przerwy. Nie miały one nigdy prawa niemieckiego i dlatego stosunki ich dochowały się w zupełnej czystości. Według planu i rejestru pomiarowego (katastru) w roku 1821 wyglądały grunty orne tej wsi jak następuje: niektóre części pola — mówi Meitzen — zdają się być podzielonemi na niwy, przy bliższem jednak zbadaniu okazuje się, że nie wszyscy uczestnicy mają w nich udziały, ani też nie zachodzi żaden ściślejszy związek między temi pojedynczemi częściami. Do jakiego zaś stopnia doszedł w Domanowicach zamęt z powodu wielkiego rozdrobnienia i rozrzucenia gruntów, najlepiej wskazuje to, iż według świadectwa tamecznych włościan, złożonego w roku 1806, większa część z 1200 parcel nie miała więcej jak pół morga, najmniejsze zaś częstokroć tylko 20—30 prętów. Zagony szły we wszystkich możliwych kierunkach, a nikt nie mógł w należytym czasie swych cząstek uprawić, były one bowiem nieraz zbyt małe i zdarzało się częstokroć, że właściciel nie był pewny, która parcela do niego należy (tamże s. 63). Następnie stara się Meitzen na zasadzie urbarjusza z 1410 r. (tamże s. 255) rozłożyć orne grunty Domanowic na 8 nierównych co do obszaru samoistnych gospodarstw t. zw. dziedzin, z których miała powstać wieś dzisiejsza. Przyjmuje jednak dalej, że początkowo każdy z owych ośmiu właścicieli miał swój udział tak w lepszem jak i gorszem, co nawet mogło być daleko lepiej przeprowadzone przy takim właśnie bezpośrednim podziale całego obszaru, niż przy jego rozdziale na niwy (Gewanne), w którym dopiero każdy swoją część otrzymywał.

Pomijając dosyć wątpliwą restytucję tych pierwotnych gospodarstw, jak się to już zresztą widzi z samego planu, należy na to zwrócić uwagę, że początkowo owe dziedziny

stanowiły zwarty terytorjalny obszar. Przypuszczenie to popiera ta okoliczność, że dziedziny we wsi Łazach, należących również do klasztoru trzebnickiego (tamże s. 249 i 258), noszą nazwy jako to: Polkówka, Chwalkówka, Wolnikówka, Dobieszówka i t. d., nie mogłaby się bowiem wytworzyć nazwa topograficzna, gdyby pierwotne grunta orne takiej dziedziny były porozrzucane po całym obszarze wioski. Potwierdza to zresztą również jeden z dokumentów śląskich z roku 1368, gdzie trzy wielkie łany powstałe z jednego tak zwanego »przymiarka« tworzą dziedzinę, która, jak się zdaje, w XV wieku na Śląsku oznaczała wogóle jednostkę gospodarczą (każde dziedzictwo polskiego kmiecia w przeciwstawieniu do wsi niemieckich), nie była zaś nigdy, jak to wykazał Piekosiński, jakąś stałą miarą powierzchni. Możnaby więc przyjąć za przyczynę rozrzucenia pól w Domanowicach nie jakiś początkowy rozdział owych ośmiu dziedzin, który podaje Meitzen, lecz wyjść z zasady, że tak dobrze tam, jak i gdzieindziej, należy je odnieść do systemu jednodworczego i że dopiero później wskutek działów i sprzedaży doszło do tego terytorjalnego rozbicia, które dotrwało do pierwszej połowy XIX wieku. Zupełnie jednak inaczej wygląda rozrzucenie pól pierwotnie jednodworczej osady, jak to wiemy z analogicznych, choć późniejszych, niemniej jednak pierwotnych stosunków Podhala. Tak zwane Polany, które nawet porównać pod pewnemi względami można z owemi dziedzinami śląskiemi, noszą takie nazwy jak np. Krzeptówka, Skubiszówka, Czajkówka, Bundówka, Ślimakówka, Sperkówka i t. d., posiadają jednak zupełnie inny podział pól, jakeśmy to mieli niejednokrotnie sposobność zauważyć na szczegółowych planach. Pierwotny obszar roli stanowi początkowo zamkniętą całość, wskutek działów dopiero, które uwzględniają jakość gruntów, jest on dzisiaj »potargany«, według miejscowego wyrażenia, na mnóstwo drobnych działków. To też badając właśnie stosunki owych polan najsnadniej można unaocznić różnicę, jaka zachodzi między taką pierwotnie jednodworczą siedzibą, a później rozdrobnionemi i choćby najwięcej rozrzuconemi polami wioski podzielonej niegdyś na niwy. Nazw topograficznych pojedynczych pól ani śladu, parcele zaś leżą zupełnie bez-

ładnie, znać że pierwotnie należały do jednej jakiejś gospodarczej całości, a ciągną się też zwykle długiemi a wązkiemi pasami, dzisiaj poprzerywanemi w poprzek. Liczba takich działków bywa zwykle bardzo różną w różnych stronach takiej polany lub całej wioski, zależnie od większego lub mniejszego rozrodzenia się każdej pojedynczej rodziny. Tymczasem jakże się nam przedstawiają Domanowice? Otóż przedewszystkiem prócz podziału czysto gospodarczego na trzy pola znajdujemy tam jeszcze inny, a mianowicie: pierwsze pole zawiera jedenaście niw, drugie piętnaście, trzecie zaś dwanaście a więc prawie jednakowej ilości. Nazwy owych niwek są dotąd po większej części polskie, jak np.: Auf den Babiniec, Kapuntke, Bei der Orschitze, Porembe, auf der Kopanine, Orczowe, Kozeline, Damassine, auf den Oguli, auf den Kunten i t. d. Widzimy więc, że grunty orne całej wioski były niegdyś podzielone na znaczną ilość pojedynczych niw z powodu niejednostajnej urodzajności gleby. Każdy też z uczestników musiał mieć pierwotnie w każdej z nich swój udział. Później jednak wskutek działów i sprzedaży podział ten nie mógł się utrzymać; nie ma w tem nic dziwnego, zjawisko to bowiem wszędzie jest rzeczą bardzo zwykłą, a w Niemczech występowało ono już w średnich wiekach. Widzimy je również tamże i w wioskach o niewątpliwym podziale na niwy.

Dawniej jeszcze Hansen zwrócił na to uwagę, iż zachodzi sprzeczność między faktami podanemi przez Meitzena, a wnioskami, które wyprowadza, to bowiem, co mówi o wielkiem rozdrobnieniu i rozrzuceniu gruntów w Domanowicach, brzmi bardzo podobnie do tego, co słyszymy o bardzo wielu wioskach niemieckich. Zresztą zamęt, jaki tam na pierwszy rzut oka zdaje się panować, nie jest znowu tak zupełny. Zbyt zatem uogólnia Meitzen swoje wnioski, odsądza bowiem całą dawną słowiańską, a więc polską ludność Śląska, wogóle od znajomości podziału na niwy, który to podział według niego wskazywałby na głębiej sięgający ustrój gminny oraz rodowy (tamże str. 111). Nie jest to sprawa dla Słowian tak drażliwa, aby ich duma szczepowa była obrażona, atoli trudno się pogodzić z Meitzenem na ten jego wniosek. Dlatego, że nam również jak Meitzenowi leży na

sercu wyjaśnienie choć w części pierwotnej organizacji rolnej słowiańskiej.

Podobny podział pól, jak w Domanowicach, spotkał Meitzen w bardzo wielu wioskach śląskich kolisto zabudowanych, co więcej sam przyznał na innem miejscu, że spotyka się w wioskach tego kształtu zupełnie regularne niwy (Der Boden I. s. 351). Ta okoliczność świadczy, że kiedyś podział na niwy musiał istnieć także we wsiach podkowiastych. Nie wiedzieć zresztą, dlaczego mielibyśmy im odmówić tej cechy. Już Jacobi utrzymywał na zasadzie przeszło 100 planów takich wiosek kolistych lub wiadomości na miejscu zasięgniętych, że ich orne grunty bez wyjątku dzielą się na znaczną liczbę niw, leżących w szachownicy, na tej zasadzie wnioskował też, że musiała tam niegdyś istnieć wspólna własność. Gdzieniegdzie nawet pozostały dotąd widoczne ślady tego dawniejszego stanu, parcele bowiem w wielu niwach leżą obok siebie według pewnego porządku i odpowiadają liczbie gospodarstw, w jednem nawet miejscu liczba parcel i ich następstwo odpowiada jeszcze numeracji domów, występujących tutaj jako uprawnione jednostki (Jacobi, Agrarwesen, s. 8—10). Są to zbyt poważne dane, aby je móc zupełnie pominąć, tembardziej, że ten sam podział pól na niwy można było do niedawna jeszcze wyśledzić w podkowiastych wioskach Saksonji.[1] Z planu wsi Makowca, który, jak to już wspominaliśmy, ma okrągłą formę, okazuje się, iż grunty orne tej wioski dzieliły się również na kilkanaście niw, w których tamtejsi gospodarze mieli swe udziały (plan z roku 1835). Wieś Makowiec, w powiecie radomskim, gmina Skaryszów, była królewszczyzną i liczyła 10 łanów za czasów spisania Liber beneficiorum. Wszystko to zgodnie wskazuje, że owe wioski nie stanowiły wyjątku, o ile naturalnie podchodziły pod system wsiowy, a sądzimy, że tak było, gdyż sama ich symetryczna figura zdradza pewien z góry obmyślany plan, a więc tem samem i jakąś ściślejszą organizację.

Zresztą dowodnie stwierdzić możemy, że owa druga forma wiosek słowiańskich, powszechna w Polsce i na ziemiach ruskich, miała — i to bardzo wybitny — podział na niwy; choć,

[1] Schlitte, Die Zusammenlegung der Grundstuecke itd. Lipsk 1886, s. 400 i 520.

chcąc być konsekwentnym, przeczy temu Meitzen, popada jednak w sprzeczność, z której mu wyjść trudno. W trzech wioskach śląskich o charakterystycznej prostej ulicy, a mianowicie w Krępowicach, Domasławicach i Siechnicach (Siechowicach), znalazł Meitzen w pełni zachowany podział na niwy; w pierwszej wsi jest ich 13, w drugiej 9, a w trzeciej 10. Ulicówki proste należą do bardzo powszechnych na Śląsku, a do powszechniejszych jeszcze w Polsce. Uznane są też obok wiosek kolistych za drugą typową formę słowiańskiego osadnictwa wogóle, ale właśnie też na nich ma być udowodnione, iż podział na niwy nie był pierwotnie słowiański, lecz został wprowadzony później dopiero przez kolonistów niemieckich. W istocie przyznać należy, iż stosunki śląskie, więcej niż stosunki którejkolwiek innej dzielnicy polskiej, uległy zmianom, i że tem samem w układzie gruntów pierwotny stan rzeczy mógł być naruszony. Conajwyżej więc wypadałoby nie uznawać ich za typowe słowiańskie a nie wypowiadać na tej zasadzie wniosków ogólnych odnośnie do całej Słowiańszczyzny.

Podział na niwy Domasławic, Krępowic i Siecienic uważa Meitzen za późniejszy, mianowicie wprowadzony równocześnie z prawem niemieckiem za Karola IV. Na jego bowiem czasy przypada powszechny ruch na Śląsku, dążący do przeobrażenia dawniejszych stosunków rolnych i do ich uporządkowania; wtedy to do wielu wiosek, niegdyś polskich, wprowadzony zostaje podział na niwy w miejsce dawnej bezładnej szachownicy (tamże s. 111). Atoli pozwolenie cesarza Karola IV. z 1350 r. na lokację $10^1/_2$ łanów folwarku domasławskiego, który nawet nosił odrębną nazwę Łukaszowic, nie dowodzi koniecznie nowego podziału i komasacji gruntów całej wioski, tembardziej, że i sam Meitzen nie przypuszcza, aby przyszło podówczas do skupienia reszty łanów i do wyrugowania z nich dawnych posiadaczy. Okoliczność, że w niektórych niwach brak udziału paru gospodarstw, da się objaśnić sprzedażą lub zamianą, zresztą w przywileju z 1306 r. wyraźnie jest zaznaczone, że ów dziesięciołanowy folwark w Domasławicach leży in una pecia in omnibus circumferenciis et limitibus, sicut distincti sunt antiquitus contigui et coniuncti. W przeciwstawieniu folwarku

do reszty gruntów chłopskich można upatrywać wskazówkę, że właśnie były one podzielone na niwy. We wsi Siecienice znowu istniał oddawna znaczny folwark i cała wieś została osadzona na prawie niemieckiem w 1354 roku, co mogło spowodować zmianę w pierwotnym podziale pól. Krępowice natomiast dopiero w roku 1615 dostały sołtysa, nie miały więc przedtem prawa niemieckiego. Jest to tylko przypuszczenie, że i one w XIV wieku uległy przeobrażeniu co do układu pól, sam bowiem Meitzen przyznaje, że na to bezpośrednich dowodów niema.

Chociażbyśmy przyjęli ową komasację na szerszą skalę za panowania Karola IV., to i tak jeszcze nie byłoby to dowodem, iż przedtem podziału na niwy we wsiach polskich nie było, przeciwnie, jeżeli przyjmiemy, że już wówczas dawała się odczuć potrzeba usunięcia zbytniego rozrzucenia parcel, to najłatwiej przyjąć, że było ono skutkiem pierwotnego rozdziału pól na większą liczbę niw, i że on właśnie ową nieznośną szachownicę spowodował. Prócz Domasławic posłużą nam za dowód i Krępowice. Przyjąwszy bowiem za Meitzenem, że pierwotnie wieś ta liczyła 36 polskich radeł, które w XIV w. zamieniono na 24 łany niemieckie (Hufe)[1], to ślady właśnie owych dawniejszych stosunków, dochowane w 36 parcelach, na które się rozpadają łąki, oraz w niwie nr. 9. o dość regularnej formie, w której wszyscy gospodarze mają swoje parcele, najlepiej świadczą, iż i przed kommasacją za Karola IV znano tam podział na niwy, inaczej bowiem niesposób sobie wytłumaczyć, dlaczego się łąki dzielą na 36 części, oraz czego pozostałością jest niwa nr. 9.

Na poparcie naszego dowodu, że wsi w prostą ulicę zbudowane mają podział na niwy, możemy przytoczyć jeszcze inne dane, dosyć bowiem choćby bardzo powierzchownego obznajomienia się ze stosunkami rolnemi w jakiejkolwiek z dzielnic dawnej Polski, oraz przejrzenia większej liczby planów, aby przyjść do przekonania, iż podział na niwy jest w nich zupełnie powszechny i że niepodobieństwem jest objaśniać go wpływami kolonizacji niemieckiej, której

[1] Cod. dipl. Sil. IV s. 56.

ślady zresztą dochowały się w podziale pól ornych na długie wąskie pasy, stanowiących całkowity udział każdego gospodarza. Przemawia zatem także ta okoliczność, iż podział na niwy znają wielkorosyjskie miry. Znany jest ich układ gruntów i zbadany dokładnie; przedstawia on wiele podobieństwa z podziałem pól w wioskach nadreńskich (Gehöferschaft), z czego jednak nie wynika, aby miał być z Niemiec przyniesiony. Dopóki się tego nie udowodni, trudno odmówić rasie słowiańskiej znajomości tego systemu dzielenia pól (Meitzen, tamże IV s. 111), w którym zresztą trudno się dopatrzeć jakiejś wyższości cywilizacyjnej jednej rasy nad drugą. Chętnie też powtarzamy za Hanssenem, że system ten nie jest właściwością jednego tylko szczepu, lecz że wypływa z samej natury osadnictwa wioskowego (Agrar. Abhandl. II. s. 203). Wyższość osadników niemieckich na Śląsku nad tubylczą ludnością tkwiła nie w podziale na niwy, ale w zdobyciu większej swobody prawnej i ekonomicznej, oraz w lepszych narzędziach i w lepszem podziale pól, który Niemcy od Holendrów przejęli, jakeśmy to wyżej zaznaczyli.

Tak więc jako ostateczny wynik naszych badań nad owemi wioskami w puszczy radomskiej: Mąkosami, Jedlnią i Starą Wsią przyjąć należy, iż obok systemu jednodworczego, którego pierwotna zasada widnieje w stosunkach dwóch pierwszych wiosek, istnieje niezależnie i system wsiowy z podziałem na niwy, za którego przedstawicielkę może być uważana Stara Wieś. Pozostaje teraz zwrócić się do źródeł historycznych, czy one potwierdzą te nasze wnioski, oraz zbadać wzajemny stosunek obydwóch tych rodzajów osadnictwa.

9. Osadnictwo jednodworcze i wielodworcze czyli wsiowe.

Luźne wzmianki, które znajdujemy w naszych źródłach historycznych o podziale pól i rodzaju osadnictwa, są zazwyczaj tak ułamkowe i niedostateczne, iż prawie byłoby niepodobieństwem zbudować jakąś całość jedynie na jej podstawie; zmieni się jednak zupełnie postać rzeczy, skoro tylko przystąpimy do niej z jakiemkolwiek światełkiem, uzyskanem

gdzieindziej. Powinny nam go użyczyć szczegółowe badania nad owemi trzema wioskami radomskiemi. Z drugiej strony nasze dotychczasowe wyniki wymagają również sprawdzenia inną metodą i na innym gruncie, w przeciwnym bowiem razie nie uzyskamy nigdy pewności, czy można je odnosić tylko do miejscowych jakichś, czy też do ogólnych stosunków, będących wynikiem powszechnie działających przyczyn. Jeśli rzeczywiście wyniki nasze dotychczasowe stosują się do całości objawów społecznych, wtedy odnajdziemy z łatwością w źródłach na to dowody, które będą probierzem ich prawdziwości i rękojmią dobrej interpretacji owych luźnych wzmianek, rozrzuconych po naszych kodeksach dyplomatycznych, zapiskach sądowych i księgach uposażeń.

W dwojaki sposób dochowały się ślady dawnych rolnych urządzeń i dawnego osadnictwa, mianowicie jako bezpośrednie wzmianki o rozdziale pól, na zasadzie których z wszelkiem prawdopodobieństwem można wnosić, czy pewna osada była jednodworczą, czy też wielodworczą, albo jako świadectwa pośrednie, które na zasadzie pewnych wspólnych znamion mogą nam dać tyle potrzebnych szczegółów, aby pewien typ osad wyodrębnić z pośród innych, a tem samem możliwie dokładnie określić ich właściwy charakter. Do oznaczenia takiego posłużą nam nazwy, aczkolwiek nie jedynie, prócz nich zaś stosunek osad owych do innych, dla których źródła mają odmienną nazwę, wreszcie stosunek, jaki zachodzi między liczbą posiadaczy lub założycieli a samą osadą.

W nadaniach z dwunastego i trzynastego wieku obok wyrazu »villa« spotykamy często drugi wyraz, mianowicie »sors«, używany na określenie pewnej gospodarczej jednostki — osady. Zbyt ścisłej różnicy nie należy przeprowadzać między obydwoma terminami, szczególniej co do ostatniego trzeba być ostrożnym, nie odnosił się on bowiem koniecznie do takich osad, które dzisiaj wioskami zowiemy. Przeciwnie mógł często oznaczać i siedzibę jednego tylko osadnika. Możemy jednak przeprowadzić pewne rozgraniczenie między obydwoma tymi wyrazami.

Trzymając się ściśle terminologji naszych dyplomatów, spotykamy się po raz pierwszy z wyrazem »sors«

w przywileju dla Mogilna: sortem Curani cum eodem Curano et filiis suis addidi (Kod. Wpl. IV. n. 3). Ze wzmianki tej dowiadujemy się tylko, że poddany książęcy Kuran posiadał wraz z rodziną jeden źreb. Więcej można się dowiedzieć z interpolowanego przywileju dla Trzemeszna: Velatow, lacus cum villa, et tribus sortibus videlicet: Sedlicovo et Robacovo, et Milacovo, oraz Quecisov... et duas sortes ei adiacentes, scilicet Oseykowo et Pustvino (Kod. Wpl. I. nr. 11). Mamy tutaj pięć źrebiów z nazwami dzierżawczemi, wymienionych jako przynależności dwóch wiosek. Dalej w przywileju dla klasztoru w Lądzie z r. 1213 czytamy: assignavimus decimam... si sors sorti coniuncta unam hereditatem fecerit in vocabulo absque omnium exceptione sorcium quocunque nomine censeantur, a nieco poniżej Radolina et sortes adiacentes, qualiter etiam nuncupentur (Kod. Wpl. I. nr. 80). Władysław Odonicz nadaje w r. 1235 villam Gorcam, que habet in se tres sortes, una earum vocatur Spandowo, altera Bartoviche, tercia Wroblowo (Kod. Wpl. I. nr. 177), a potem villam, que Nincovo dicitur cum certis sortibus sibi contiguis, quarum hec sunt nomina: Sulino, Swirchevo, sortem decimi Virbentiz, Golancino, Goscinovo (Kod. Wpl. I. nr. 184); istnieją one wszystkie po dziś dzień jako odrębne wioski. W przywileju z r. 1243 (tamże nr. 241) spotykamy nadanie dziesięcin sorcium, quarum hec sunt nomina: circa Malpin, Grodovo et Medzigorze, circa Dalewo, Rogozowo et Smolicze; istnieją one również wszystkie. W r. 1246 ks. Przemysław stwierdza nadanie prawa rybołostwa in lacu illius ville, que dicitur Mostezsici, insuper ... volumus, ne sors illa, que appelatur Motholevici penitus in supradicto lacu ullo iure vel utilitate gaudeat (tamże nr. 256); odróżniona jest tutaj wyraźnie wieś (villa) od źrebia (sors), który nosi wyjątkowo patronymiczną nazwę. Dalej w r. 1252 tenże sam książę zatwierdza klasztorowi Henrykowskiemu quatuor sortes sibi in vicem infra unum ambitum coniacentes, quarum una vocatur Syracovo, altera Svetnize, tercia Prevodovo, quarta Conarske, quas idem pater noster in unam hereditatem collegit (tamże nr. 307); a więc Odonicz przeprowadził pewnego rodzaju kommasację w tym wypadku. W jednym

z dyplomatów następnego roku czytamy znowu: Calissani et sortes scilicet Cypriani et Zarose, que Dovesino nuncupantur, a nieco dalej: pro Loscunia dimidium Senno cum sorte adiacente Cuchino vulgariter nominata et dimidium cum sorte Scodrowo cum omnibus suis utilitatibus (tamże nr. 315), a więc wieś Sienno miała obok siebie dwa źrebia, jak i wieś Kaliszany, jako jej przynależności (attinentiae).

Poszukując w dalszym ciągu za wzmiankami o źrebiach, natrafiamy w Kodeksie dypl. Polski na Kujawach Wirchocino (villa) cum sortibus suis sive bonis videlicet: Rybino et Popelewo eidem Wirchocino attinentibus..., (villa) Gorsevo cum Janyszevo sorte sibi adiacente (I. nr. 42); Koszuty cum omnibus sortibus attinentibns (I. nr. 41). Przywilej z r. 1258 dla klasztoru Lubińskiego kilkakrotnie wymienia źrebia: Lubin cum omnibus sortibus circumquaque adiacentibus; Varla cum omnibus sortibus..., Vescovo cum omnibus sortibus... centurio cum hominibus et sortibus eorum circumquaque adiacentibus; Starigrod cum... sortibus circum adiacentibus; Vanech cum hominibus et omnibus sortibus (Kod. Wpl. I. nr. 368). Ks. Bolesław Pobożny zatwierdza w r. 1259 umowę między klasztorem w Łeknie a trzema Pałukami, synami Sławnika, o jezioro Bielsko i Stekelin i przyległe źrebia (sortium adiacencium videlicet Slosin, Dworowe, Crovekir, Cavciles, Sviniblota et Cycino (K. Wpl. I. nr. 373). Występują tu źrebia nie jako przynależności wsi jak zwykle, lecz wprost jako samoistne osady, które zresztą prócz jednej wszystkie znikły, nie są to jednak wsi prawdziwe, bo ten sam dokument na oznaczenie większej osady w przeciwstawieniu do sors użył zgodnie z praktyką ówczesną i późniejszą wyrazu: hereditas. Z końca XIII wieku mamy jeszcze następujące wzmianki: super hereditate Kelcin et sortibus eidem hereditati adiacentibus, scilicet Chromacino et Chrode (Kod. Wpl. I. nr. 582 r. 1287); super sortibus Smogorewo et Strzezewo ville dicte Godessewo adiacentibus (Kod. Wpl. II. nr. 735, r. 1295); sors, que vulgariter Gelytowo nuncupatur (Kod. Pol. IIa, nr. 165, r. 1299); hereditatem Koszuty cum omnibus sortibus attinentibus (tamże I nr. 41, r. 1253).

Małopolska i Mazowsze mniej nam dostarczą przykła-

dów, a w każdym razie nie tak charakterystycznych, jak poprzednie, zebrane ze źródeł wielkopolskich. W Małopolsce po raz pierwszy z wyrazem sors spotykamy się w nadaniach dla klasztoru sulejowskiego z r. 1178 (sortem eciam Utrossonis et sortem Damiani contuli) (Kod. Mpł. I. nr. 1) i z r. 1221 (contuli sortem quandam in Svecechov sicut prius tenuerat Sulislaus... a filiis Radvani, sortem aliam ex integro... in eodem loco... patres de Suleov emerunt (Kod. Pol. I. nr. 12). Wnet potem w r. 1238 klasztor mogilski dostaje pod Krakowem sors, que Truskilevic dicitur, que in Cirin iacet (Kod. Mogil. nr. 15). Również w pobliżu Krakowa leżą tres sortes, que srebe vulgaliter dicuntur, scilicet Bolechouski, Crisanouski et Wojnouski, o których mówi przywilej Bolesława Wstydliwego z r. 1270 (Kod. Mpl. I. nr. 79), a których posiadaczami byli zdaje się ludzie, należący do ludności poddańczej. Przywilej dla klasztoru w Wąchocku z r. 1260 wspomina sortem Kobulcze ad quercum oraz sortem Dulonis et aliam Sdychonis, które złączono później ze wsią Łukowa i nadano klasztorowi (Kod. kat. krak. I. nr. 61), w r. 1261 robi ks. Bolesław Wstydliwy katedrze krakowskiej darowiznę ze źrebia Sdlimiri, hominis nostri, sitam in Brzeszyc prope fluvium Rudawa (tamże nr. 62).

Na Mazowszu wreszcie znajdujemy w przywileju czerwińskim następującą wzmiankę: Sdiui cum sorte sua et aliis sortibus duabus cum appendiciis; tak jak w nadaniu dla Sulejowa, owe źrebia nie zdają się być przynależnościami wiosek, lecz stanowią niezależne gospodarcze jednostki, mające nawet swoje przyległości (appendencia). W uposażeniu biskupstwa płockiego z pierwszej połowy XIII w. jest Cerepovo, sors Conarji, in Scepanovo sors lagenariorum oraz apud Cucharios iuxta Budzislaw quatuor sortes... (Kod. Maz. dod. nr. 1) W dokumencie z 1254 villa Proskowo cum quadam sorte sibi contigua, que fuit cuiusdam decimi de Zrenicsk, nomine Sulej (Kod. Maz. nr. 23). Przykładów takich moglibyśmy więcej jeszcze wyszukać w naszych dyplomatach i te jednak, któreśmy zebrać zdołali, dają dostateczny obraz, czem były źrebia pierwotnie; tworzą one mianowicie albo przynależności większych wiosek albo samoistne drobniejsze osady, tak w pierwszym jak i w dru-

gim wypadku stanowią pewną odrębną jednostkę terytorjalną. Dowodem tego, obok danych bezpośrednich o ich położeniu, jest przedewszystkiem to, że mają one prawie zawsze oddzielne nazwy, bo nazwa obejmuje zawsze pewien obszar dostatecznie od innych odgraniczony.

Jako takie niezależne jednostki łączono je nader często, jakeśmy to już z dokumentów zauważyć mogli, w większe osady, wtedy traciły swoje odrębne nazwy i zlewały się w jedną całość. Czasem zaś zachowały je dłużej, w takim razie leżą one poza granicami wsi, do których przynależą, a dyplomaty wyraźnie mówią, iż są »adiacentia« lub »circumadiacentia«, a więc zachowują przynajmniej odrębność topograficzną, jeżeli już nie gospodarczą. Wreszcie same nadania czasem wzmiankują o ich położeniu, jak np. »źreb we wsi Brzezie w pobliżu Rudawy«, to znów »źreb przy dębie«. Otóż ściślejsze takie oznaczenie położenia nie pozwala wątpić, że stanowiły one jednolity kawał ziemi.

Stosunek tych źrebów do ich posiadaczy jest nader ciekawy, są one wymienione najczęściej z imieniem jednego osadnika jako samoistnego, co zdaje się stanowić główną ich cechę w przeciwstawieniu do wsi obszerniejszych i ludniejszych. Jeżeli np. osadnik ma jeszcze inne źrebia, to przywilej o tem także wspomina, zwyczajnie bowiem każdy z nich posiadał tylko jeden.

Od osadników brały one zazwyczaj swoje nazwy: sors Kobulcze czyli źreb Kobyłki stał się później Kobylczynem, nie inaczej też powstały nązwy Wróblewa, Robakowa, Popielewa i innych wsi: pierwszy osadnik Wróbel, Robak, Popiel itd. dawał im swe miano. Godnem uwagi jest, że na 36 nazw pojedynczych źrebiów naliczyliśmy 30 dzierżawczych, trzy zaś tylko patronymiczne, a cztery przymiotnikowe, jak Kawczy Las, Krowi Kierz itd. Na tej zasadzie możnaby nawet uznać pierwsze za typowe dla całej tej grupy osad. Jest to zresztą zupełnie naturalne; drobne takie osady, porozrzucane między większemi wsiami, stojące z niemi w gospodarczym związku, lub od owych niezależne, a w każdym razie sobie wystarczające, były przedewszystkiem zakładane przez pojedynczych osadników, a więc musiały być tem samem pierwotnie osadami jednodworczemi.

Im też znaczna część nazw dzierżawczych zawdzięcza swój początek, druga bowiem część mogła powstać wprost jako znaczniejsze wsi. Tam, gdzie osadnik zostawiony jest swoim własnym siłom, zawsze decydować będzie o wielkości zawłaszczonego obszaru jego ekonomiczna siła, która znowu jest tylko wynikiem stanowiska społecznego.

Dzisiaj jest wątpliwem, czy wogóle ten typ osadniczy mógł się gdziekolwiek w swej czystości dochować. W Mąkosach jednak, które pierwotnie nosiły nazwę dzierżawczą: Mąkoszyn, skłonni bylibyśmy widzieć właśnie taki pierwotny źreb. Powoli zamienił on się w znaczniejszą nieco, aczkolwiek nigdy nie bardzo ludną i obszerną wioskę. Zakłada je jeden osadnik Mąkosa wśród bagien i lasów. Widzieliśmy, jak długo przetrwały tam stosunki pierwotne. Powstanie Jedlni przypisujemy również paru takim samoistnym źrebiom, które później zlały się z sobą.

Musimy tutaj wyjaśnić pewną pozorną sprzeczność w naszych wywodach. Jak wiemy, uprawne pola wsi Mąkos leżały porozrzucane po lesie, nie stanowiły więc jednolitego kompleksu. Otóż pierwotnie tak być nie mogło; pierwszy osadnik trzebił odrazu pola w puszczy koło swej siedziby z pewnością w jednym kawale, później zaś, gdy jego potomkowie jęli trzebić puszczę bezładnie, jak to na planie widzieliśmy, pola te wszystkie razem wzięte zostały odróżnione jako należące do Mąkosów. Nie chodzi nam bowiem nigdy o to, aby pola stykały się z sobą bezpośrednio; jakkolwiek porozrzucane, przecież na zewnątrz stanowią one jedną tylko całość.

Takie jest znaczenie wyrazu »źreb-sors«, użyte na określenie jednodworczej osady. Posiada on jednak i drugie znaczenie, trzeba przyznać — może nawet pierwotniejsze mianowicie oznacza udział pojedynczego osadnika w jakiejś wiosce[1], źreb bowiem jest to przedewszystkiem część

[1] Wyrazy: źreb, sors, poczęły być używanemi już w XIV wieku u nas równoznacznie z łać. mansus, pol. łan; mansus vulgariter srzeb (Kod. Mpl. I nr. 334 r. 1376); tres cum medio laneos dictos polonicales srzeb in villa G. (Kod. kat. II nr. 110); tercia pars lanei — tercia pars zrzebye (Ulan. II 6958, 6958a r. 1398); excepto uno manso vulgariter Czechow zrzeb (r. 1412), 4 cmethones locatos in sortibus eorum r. 1415 (Ks. Radom. II s. 40, 41).

ziemi, dziedziny, która się komuś losem w udziale dostaje. Pierwotnie oznaczał on też sam los, potem dopiero przeszedł na to, co się z losu dostawało, a więc na pewien obszar ziemi[1]. W ten sposób mógł ten wyraz oznaczać dział odosobniony, równie dobrze jak i leżący we wsi o gminnym ustroju. W pierwszym razie nosił swą odrębną nazwę, stanowił jeden obszar, wśród którego wznosił swą siedzibę pojedynczy osadnik, którym mógł być nawet szlachcic lub włodyka, z biegiem czasu bowiem zaczęły się majątki rycerstwa wskutek rozrodzenia rozdrabniać i w jednej pierwotnej wiosce tworzyły się liczne źrebia, należące do późniejszej formacji.

Inaczej we wsiach o gminnym ustroju, tam bowiem źreb pojedynczego osadnika mógł być tylko idealnym udziałem, kwotą, dającą mu prawo do jakiejś cząstki roli we wszystkich niwach, na podobieństwo urządzeń w wioskach niemieckich, a szczególniej w wielko-rosyjskich mirach. W tym wypadku nawet nie wahałbym się zestawić źreb z powszechną natenczas miarą powierzchni, z wielkim lub małym pługiem czyli radłem. Bardzo prawdopodobne mi się wydaje, iż właśnie nazwy: pług, radło, przeniesione na ziemię i oznaczające pewną przestrzeń, była ową zasadniczą jednostką miary, według której przydzielano pojedynczym osadnikom ziemię. Nie przesądza to jednak bynajmniej, czy udziały owe stanowiły jedno zwarte terytorjum, czy też leżały w szachownicy. Trudno rozwiązać tę wątpliwość jedynie z samych tylko wzmianek dyplomatycznych, jak również trudno odpowiedzieć na pytanie, czy też stały w jakimś ściślejszym związku z organizacją gminną. Ze wzmianek takich, jak np.: sanctuarii et villae eorum, homines cum villis in Knegnich, możnaby przypuszczać pierwszą możliwość, widocznie bowiem wyraz villa użyty tu został w znaczeniu samoistnego gospodarstwa, odpowiadają zaś

[1] Miklosich, Lexicon paleoslovenicum: жерѣбъ sors; по жрѣбоу, sorte; ze starosłow. жерѣбъ, pullus, źrebię, we wszystkich językach słowiańskich. Tegoż Ethymol. Wörterbuch žerbu, žrebr, žrebij, ždrebij, loos; kr. ždribnica, sortitrix, klr. žereb, loos; r. dial. žerebočekъ, kleiner Teil; p. żrzeb, Hufe, r. žerebic, Art Grundstück. Man vergleicbt preuss. girbin, sing. acc. Zahl.

temu takie wyrażenia naszych dyplomatów, jak: Milodat cum villa, Parva Lubenica, ubi Lubenic sedet, wskazując na niewątpliwe jednodworcze osady. Jednodworczemi dalej już choćby ze względu na liczbę mieszkańców były osady przywileju tynieckiego, w których tylko pojedynczy osadnicy wraz z rodziną siedzą, jak Kargow i inne, jeśli tylko była to cała ich ludność, mógł bowiem książę darować tylko pojedynczych poddanych, a zachować sobie resztę.

Zdarzają się także wzmianki źródłowe, z których nic nie możemy się dowiedzieć o układzie gruntów. W takich wzmiankach kładziono nacisk na darowiznę ludzi przedewszystkiem, ziemia, na której siedzą, mogła stanowić oddzielne źrebia lub leżeć w szachownicy z innemi np.: in Umenowicz quatuor sortes, in quibus locati sunt ministeriales famuli w liczbie 9 rodzin (Kod. Pol. I. nr. 44); we wsi Piekarach nadaje Wład. Łokietek kustoszowi sandomirskiemu sortes et possessiones dziesięciu poddanych (Kod. Mpl. I. nr. 120 r. 1292). Niekiedy spotykamy źrebia w większej liczbie np. we wsi Łukowie, gdzie dziesiętnicy posiadali ich dwanaście (Kod. kat. I. nr. 61).

Wogóle zachodzi pewna łączność między organizacją dziesiętniczą a takiemi źrebiami, na nich to bowiem najczęściej widujemy tę kategorję niewolnej ludności. Bardzo być może, iż w wielu razach stanowiły one rzeczywiście tylko mechanicznie połączone jednodworcze osady, wskazuje na to znany nam już przywilej lubiński z r. 1258, w którym wymieniony jest setnik cum hominibus et sortibus eorum circumquaque adjacentibus tj. naokoło leżących. Gdyby to były tylko idealne udziały we wspólnej przestrzeni, nie mógłby się przywilej w ten sposób wyrazić, należałoby zatem przypuszczać, że książe osadzał równocześnie znaczniejszą liczbę poddanych na osobnych działach gruntu. Trudno jednak przeprowadzić granicę między osadami, o których możnaby to z pewnem prawdopodobieństwem przypuścić, a takiemi, które powstały na podstawie gminnej organizacji.

W poszukiwaniach nad urządzeniami rolnemi wiosek o gminnej organizacji nazwy topograficzne nie oddadzą nam tej przysługi, jaką oddały przy badaniach osad jednodworczych.

Wprawdzie cała jedna kategorja nazw, mianowicie patronimicznych, zdaje się wskazywać na osadnictwo gminne, w przeciwstawieniu do jednodworczego, jednak w tej części naszych studjów, ograniczonych wyłącznie do materjalnych śladów, które organizacja gminna w podziale pól zostawiła, nie możemy z nich zrobić szerszego użytku, raz dlatego, iż i w wioskach o innych nazwach organizacja ta wytworzyć się mogła, jak np. we wsiach o nazwach dzierżawczych, a po drugie, iż kwestja to więcej złożona, niż kwestja jednodworczości.

Wprawdzie materjał, na którym przyjdzie nam się oprzeć, jest dość ułamkowy i w wielu razach nie jest w stanie usunąć wszystkich wątpliwości, trzeba go jednak tak, jak jest, zużytkować najostrożniej. Nazwy topograficzne pojedynczych części pól oraz wzmianki o istnieniu kilku lub więcej takich odrębnych części ornych gruntów w pojedynczych wioskach mogą posłużyć za wskazówkę, iż w pewnej wiosce rzeczywiście podział pól na niwy istniał, tam bowiem, gdzie on miał miejsce, nazwy poszczególnych niw z konieczności musiały się tworzyć. Co prawda, tworzyły się one wszędzie i we wszystkich osadach bez względu na ich powstanie, jak tego mieliśmy przykład na Jedlni i Mąkosach z jednej strony, a na Starej Wsi z drugiej strony; różne właściwości gruntu, jego urodzajność, położenie itd. dostarczały zawsze obfitego materjału do tworzenia różnych nazw. Sama konieczność odróżnienia w jakikolwiek sposób części pól, łąk i lasów, należących do jakiejś wioski, musiała być źródłem ciągłego powstania takich nazw. Trudno więc zaprzeczyć, iż nie wszystkie nazwy pól ornych lub wzmianki o ich istnieniu w dyplomatach i księgach sądowych są dowodem, iż podział na niwy istniał w danych miejscowościach, przynajmniej w naszem znaczeniu. Aczkolwiek podział taki nieprawidłowy mógł istnieć w osadach, nie mających rzeczywistego podziału na niwy, to jednak musiał on przedewszystkiem istnieć tam, gdzie istniał podział na niwy, o jakim myślimy. Sądzimy, że można cały szereg owych zmianek o istnieniu różnych części pól z odrębnemi nazwami wciągnąć do niniejszej pracy, jeśli bowiem nie większe, to przynajmniej takie samo prawdopodobieństwo będzie, iż odnoszą się one do wiosek z rzeczywistym po-

działem na niwy, co i do wiosek z pozornym podziałem na niwy. Najstarsza wzmianka tego rodzaju pochodzi z roku 1366 (Kod. Małop. III. nr. 796); Mikołaj z Korzuchowa, proboszcz gnieźnieński, ustępuje jedenaście niw (campos seu agros), położonych między Korzuchowem, Wolą Markuszowską, a Dobrzechowem, do którego należały one wszystkie, na rzecz klasztoru Koprzywnickiego, od którego je dzierżawi. Dziewięć z tych niw ma topograficzne nazwy, jako to: U starego brodu, U dąbka, Otoka, Gołkowa, Chocienowa łąka, Za starą niewodną, Uszcz, Wisnowe, Na głogowej, Na pstrągowie i Siedlec, dwie pozostałe wymienione są bez nazw. Nie były to pola dworskie, gdyż jeszcze w roku 1536 tamtejsi poddani odrabiali pańszczyznę do Wysokiej, należącej również do opactwa Koprzywnickiego[1].

Najliczniej jednak dochowały się ślady istnienia takich niw w księgach sądowych. Nie będziemy ich wszystkich tutaj przytaczać, byłoby to bowiem zbyteczne przeciążenie pracy jednostronnym materjałem, ograniczymy się więc do kilku bardziej charakterystycznych przykładów. We wsi królewskiej Parcze spotykamy w roku 1398 ośmnaście niw, a później dwadzieścia (Ulanowski nr. 7743), jedna z nich nawet ma swoje pertinentia (tamże nr. 7445), musiały też być nierównej wielkości. Dosyć często są wspominane w innych miejscowościach trzy lub cztery niwy. We wsi Zbilutowicach leżały w roku 1308 dwie niwy: in campis dicti Chechel, (tamże nr. 7064); w Modlnicy znowu spotykamy w r. 1490 quatuor campos agrorum Zagumnie, nazywające się: Na wielkiem polu, Za nagorniki, Na rudce i czwarte bez nazwy (tamże nr. 10867); w Bentkowicach, gdzie jeszcze za czasów Długosza było 30 łanów kmiecych, spotykamy 9 niw, leżących w siedmiu miejscach, mających nazwy osobne n. p. Pod łysą górą, Na krzemieniu, Na wielkiem polu (ks. krak. V. s. 209 r. 1409). Wszędzie tutaj pola zdają się stanowić większe jakieś obszary, najprawdopodobniej nazwane od

[1] Pawiński, Polska XVI w. t. IV. s. 520. Było tam wtedy 21 kmieci i dwie role puste, płacące dość znaczny czynsz, bo przeszło po dwanaście grzywien. W r. 1586 liczył Dobrzechow 4 łany, na których siedziało 20 kmieci. Długosz (Liber Benef. III. s. 381) mówi o łanach kmiecych, ale nie wymienia ich liczby.

pewnych właściwości topograficznych bez względu na podział gospodarczy, a dzielące się na większą lub mniejszą liczbę niw. Zazwyczaj jednak wyraz łaciński campus jest równoznaczny z arvum lub ager, a odpowiada najczęściej polskiemu wyrazowi niwa.

Należy jednak przyznać, że pod względem terminologji panuje wielka dowolność. Czasem wyraz ager oznacza nie niwę jako całość, lecz dział pojedynczy, który jej część dopiero stanowi, np. w zapisce sądowej z r. 1400 czytamy: binum ager alias niva (Ul. nr. 10066), oraz w drugiej wcześniejszej, gdzie dwie role (agri) stanowią tylko jedną niwę; w obudwu razach rola jako część niwy jest pokrewna z innym wyrazem, niegdyś bardzo rozpowszechnionym, który również, jak źreb, oznaczał udział należny każdemu osadnikowi w poszczególnych niwach, mianowicie z wyrazem płosa. Dziś spotykać się z nim można jeszcze często na starych planach jako z nazwą pojedynczych niw; zachował się też dotąd jako nazwa wsi: Płusy, Płuski. Znajdujemy go w zapiskach sądowych XV i XVI wieku. W Krakowskiem w zapisce z roku 1418 odróżnianą jest płosa od niwy (Ks krak. III. s. 414), kiedyindziej znowu płosa jest użyta w znaczeniu całej niwy. Podobnie występują płosy na Kujawach, spotkamy się z niemi w Sieradzkiem i Łęczyckiem bez bliższego określenia, są one tutaj wszędzie równoznaczne z niwą, gdyż wyraz: płosy jako nazwa ogólniejsza był nawet odpowiedniejszym, oznaczał bowiem sumę działków, jaka się w pewnej niwie znajdowała. Nic więc dziwnego, że najczęściej różne niwy takie miano właśnie nosiły. W wielkorosyjskich mirach udziały poszczególnych członków w niwach jako w większych całościach nazywają się połosami albo żerebiami. Wprawdzie jednakowa nazwa w dwóch pokrewnych językach niekoniecznie zaraz ma oznaczać te same rzeczy względnie instytucje dwóch narodów cywilizacyjnie odległych, jednak analogja ta zasługuje bądź co bądź na zaznaczenie.

Mniej ułamkowemi, niż dotychczas przytoczone, są wzmianki o podziale pól, które się w obydwóch Księgach uposażeń Długosza i Łaskiego dochowały, dają nam one bowiem ogólniejszy obraz podziału pól w niektórych wio-

skach. Pierwsze wśród nich miejsce należy się bezwątpienia wiosce królewskiej: Mierniów w pobliżu Starego Korczyna, o której Długosz mówi: trudno jest opisać pola tej wsi, quoniam incerti sunt et in modum scaccorum siti et locati. A więc jest to szachownica; aby grunta orne jakiejś wsi mogły być podobne do szachownicy, działki właścicieli muszą być porozrzucane po całym jej obszarze w poszczególnych niwach. Gdyby bowiem parcele zazwyczaj parozagonowe były porozrzucane zupełnie bezładnie, a nieujęte w więcej symetryczne niwy, nie dawałyby nigdy tej figury. We wsi Świątnikach pod Krakowem, w której, jak zresztą w wielu innych przeznaczonych do kościelnej obsługi, mogły się dłużej przechować dawne jej stosunki dzięki niezmienionym warunkom społecznym i ekonomicznym, również nie było podziału na łany, lecz role były in pecies distincti et possessiones in 14 habitacula alias siedliska divisae (Lib. ben. I. s. 89).

Wspomina też Długosz, że wskutek ciągłych działów liczba owych siedlisk prawie co rok się zmienia i że płacą czynsz nierówny iuxta quantitatem et qualificationem agrorum, a więc stosownie do ilości i jakości uprawnej roli. Podobne stosunki miały miejsce w Szczytnikach, graniczących ze Świątnikami, oraz Trąbkach i Górce. Wszędzie nie było łanów, lecz niwy, w których jedne były większe, drugie mniejsze secundum proportionas et divisiones. Z tego widzimy, że w XV już wieku stosunki tych wiosek o tyle uległy zmianie, iż spotykamy w nich nierówność pojedynczych udziałów. Podział pól nie na łany, lecz na niwy, o którym zresztą kilkakrotnie jeszcze wspomina Długosz przy innych wioskach (np. Płaszów pod Krakowem), dochował się najczęściej tam, gdzie nie było kmieci, lecz dawna zagrodnicza ludność polska. Stosunki, jakie Długosz zastał w owych trzech wioskach przez świątników zamieszkałych, pochodziły, jak na to mamy dowody, z wcześniejszej epoki. W r. 1261 skarżyli się kanonicy krakowscy przed Bolesławem Wstydliwym, iż w Szczytnikach role poddanych książęcych, cieśli, pomieszane są z rolami świątników tamże zamieszkałych, co jest dla tych ostatnich wielce uciążliwe. Książę, przychylając się do prośby kapituły, usunął swych podda-

nych z ich źrebów. Bylibyśmy skłonni w tym razie przypuszczać, iż z wyjątkiem źrebia Zdzimira, położonego nad Rudawą, a w przywileju wymienionego oddzielnie, wszystkie inne były udziałami rozrzuconemi po różnych niwach, gdyż inaczej nie mogłoby się to dać odczuć przykro. (Kod. kat. I. nr. 62). Zdaje się też, iż w wioskach owych pola owe były podzielone na pługi, przywilej bowiem wspomina o nadaniu kanonikom de terra vacante ad unum plugonem, gdziekolwiek sobie wybiorą, ale zawsze w granicach owych wiosek.

Znacznie późniejszych, ale nie mniej ciekawych szczegółów o podziale pól dostarcza nam Księga uposażeń Łaskiego, mianowicie przy opisach gruntów, stanowiących majątek parafji, wymienia ona często ich położenie. We wsi Witkowie nieopodal Gniezna miejscowy proboszcz posiadał dwa łany, nie mógł ich jednak uprawiać, gdyż leżały one na początku ról kmiecych i były tak, jak one, na sześć cząstek czyli płosów podzielone[1]. W Grzymiszewie na Kujawach posiadał pleban w trzech miejscach trzy płosy roli, z których dwie liczyły po siedmnaście zagonów, w Opoczyńskiem zaś we wsi Kunice należało do proboszcza sześć niw nierównej wielkości w różnych miejscach, w Nagorzycach wreszcie miał pleban w każdym z trzech pól po dwa łany na dziesięć działów podzielonych, a między rolami kmiecemi porozrzucanych. Często też możemy się spotkać z takiem rozrzuceniem pól parafjalnych wśród kmiecych (Łaski, II. s. 182, s. 213, s. 336 itd.). Bezwątpienia są to wszystko ślady dawniejszych urządzeń rolnych poprzedzających kolonizację na prawie niemieckiem, a nie na jej wzór wytworzonych. Samo rozrzucenie działków wskazuje na to dostatecznie, nie mogłoby bowiem nigdy przyjść do niego, przynajmniej w tym stopniu, gdyby rzeczywiście podział pól, wiosek, o których mówiliśmy, pochodził z XV wieku, kiedy, jak już wiemy, najczęściej komasacje takie przeprowadzono, gdyż tam, gdzie do komasacji przychodziło, zawsze

[1] Lib. ben. Łaskiego t. I. s. 23. Według objaśnienia wydawcy tej Księgi uposażenie tamecznego kościoła pochodzi prawdopodobnie z końca XIII wieku, zatem podział pól kmiecych był starszy, skoro uposażenie plebana do niego się musiało stosować.

chodziło o wydobycie się z niekorzystnych warunków, pochodzących z rozrzucenia pól.

Ze wszystkiego, co dotąd przywołane do pomocy źródła powiedziały, okazuje się, iż istotnie tak system jednodworczy, jak i wioskowy, nie były ani wyjątkowem jakiemś zjawiskiem, ani wytworem późniejszych dopiero stosunków. Pozostaje teraz przejść do zbadania, w jakim stosunku pozostają do siebie oba te systemy, oraz w jakich kategorjach nazw topograficznych należy obydwóch tych systemów szukać. Co do następstwa w czasie — to jednodworczość jest bezwątpienia formą starszą, nie dla tego, że człowiek odosobniony może być starszym od człowieka uspołecznionego, nie sięgałem bowiem tak daleko i nie mówimy o przedhistorycznej epoce, kiedy zresztą nie istniały wcale tego rodzaju ludzkie siedziby — ale dlatego, iż związki społeczne, rodowe lub jakiekolwiek inne dozwalały w czasach, któremi się zajmujemy, na oddzielne osiedlanie się pojedynczych rodzin, podczas gdy organizacja wiosek z podziałem na niwy musi być zawsze późniejszym objawem, ukazuje się ona bowiem wtedy, gdy wspólna własność produktów przejdzie w drugą fazę wspólnej własności ziemi, co znowu pociąga za sobą zmiany w samym ustroju społecznym. Jak już wiemy, wioski takie w dwojaki sposób powstać mogą, albo z rozrodzenia się stopniowego jednej rodziny, albo jednorazowego osiedlenia się szerszej jakiejś grupy społecznej. Otóż w pierwszym wypadku podział taki może nastąpić dopiero później. Z tego wnosić można, że wioski pochodzenia jednodworczego będą zawsze o wiele liczniejsze, niż osady, o których powyżej mówiliśmy; raz, iż mniej będzie osad, którym początek dają liczniejsze jakieś grupy ludzi, takich grup bowiem z natury rzeczy mniej być musi, szczególnie w czasach, kiedy ludność jest jeszcze rzadka, a po drugie, iż nie wszystkie takie osady przeszły przez wszystkie stopnie rozwoju, osobliwie zaś te, które z rozrodzenia jednej rodziny powstały. Wspominaliśmy nawet, że istnieje bardzo wiele osad, o których trudno orzec, do jakiej kategorji należą; przejście bowiem od jednej formy do drugiej wypełnione jest szeregiem form pośrednich.

Zobaczymy teraz, czy nazwy, które stanowią ważny

materjał do historji osadnictwa, potwierdzą to wszystko cośmy tutaj powiedzieli.

Nazwy topograficzne powstają wszędzie w dwojaki sposób: albo jakaś właściwość wyróżniająca daną miejscowość od reszty otoczenia daje początek nazwie np. położenie bagniste lub górzyste, rodzaj lasu lub gleby, rodzaj zwierząt, zamieszkujących okolicę itd., albo też stosunek ludzi do ziemi, którą zajmują, służy za punkt wyjścia w wyborze nazwy; osadnicy albo sami się mogą nazwać od zajmowanej ziemi albo też nadać tej ostatniej swoje własne, a skądinąd zaczerpnięte miano. W pierwszym wypadku nazwy odnosić się mogą zarówno do wielkich jak i do bardzo nieznacznych przestrzeni, bądź jako nazwy terytorjów, zajmowanych przez całe plemiona, bądź jako nazwy pojedynczych pól i części lasu. Okres ich tworzenia się trwa bardzo długo, powstają one nawet przed właściwem stałem osiedleniem się jakiegoś szczepu, a więc mogą pochodzić i z epoki kiedy związek człowieka z ziemią był dosyć nietrwały.

Trudno oznaczyć wiek nazw powstałych w ten sposób z imion pospolitych, tworzą się one bowiem bezustannie od najdawniejszych czasów aż do najnowszych. Jak oko tem więcej rozeznaje szczegółów w krajobrazie, im dłużej się nań patrzy, tak samo na pewnej przestrzeni tem więcej nazw powstanie, im więcej ludzie zamieszkujący ją poczną na coraz drobniejsze szczegóły zwracać uwagę i coraz drobniejsze cząstki tej przestrzeni odróżniać. Można przyjąć, że im do większych obszarów odnoszą się takie nazwy, tem są starsze. I tak jest w istocie: nazwy łańcuchów górskich i znaczniejszych terytorjów należą do najstarszych w tej grupie, często też bardzo nazwy plemiennych obszarów, jak Kujawy, Pałuki, Łużyce, Kraina, pochodzą od właściwości topograficznych stron przez owe plemiona zamieszkałych. Najstarsze takie nazwy, obejmujące znaczne obszary, łatwo odróżnić od innych, wszystkie pozostałe natomiast rozdzielić według wieku na grupy chronologiczne jest już prawie niepodobieństwem. Z samych nazw takich jak Dąbrowa, Łęgi, Zakrzewie, Dębiny, Jedlnia, Ostrów, Góra, Górki itd. nic nie można wywnioskować o czasie ich powstania, bo nie dadzą się związać z żadną formą społecznych stosun-

ków. Możnaby jeszcze coś o ich wieku powiedzieć na podstawie znamion językowych i dlatego pożądana byłaby też bardzo specjalna w tym kierunku praca. Tak jak nie możemy wnioskować o czasie powstania tej kategorji nazw, prócz najstarszej warstwy, tak nie możemy zaliczyć ich wszystkich do jednej formy osadniczej, mogły one bowiem służyć tak dobrze na oznaczenie przysiołka, jak i większej wioski. Wiele z nich jest też starszych od samych osad, pierwej np. można było nazwać las dębowy Dębinami, a później dopiero mogła powstać tam wieś, która zatrzymała nazwę wytrzebionego lasu. Widzielimy przykład taki na wsi Słupicy, która przyjęła nazwę tej części puszczy radomskiej, na której została założona. Wypadki takie zdarzały się dawniej bezwątpienia często.

Starą nazwę leśną zatrzymywano dla późniejszej osady ludzkiej, albo też nazywano ją według rzeczki lub właściwości fizjograficznej, maskując w ten sposób niejako jej początek i pochodzenie. Bezwątpienia część ich nosi nazwy dawnych niw i powstała dopiero później jako przysiołki, wybudowane na obszarach większych wiosek. Część jednak, i to, jak sądzimy, starsza, powstała wprost jako pierwsze samoistne osady, dla których stara nazwa topograficzna pozostawała i nadal w użyciu, tkwiąc tak silnie, że ludzie nie mogli odwyknąć od dalszego ich używania. Las bowiem dla oczu ludzi wśród niego żyjących i z nim obcujących przedstawia mnóstwo odcieni i odmian, których my już dzisiaj nie jesteśmy nawet w stanie dobrze zrozumieć, a które rodzą potrzebę oznaczenia różnych części i rodzajów lasu odrębnemi nazwami.

Nic dziwnego, że w tych warunkach las i wogóle przyroda cała wywiera przeważający wpływ przy nadawaniu nazw miejscowościom i że okazują się silniejsze, niż stosunki społeczne, które im dają początek. W bulli Innocentego II dla arcybiskupstwa gnieźnieńskiego mamy nazwy wsi takie: Grochowiska, Zagorzyn, Wrzosy albo Urzuty, Lestnica, Daubnica wieś nad rzeką Una, pole Dambsko, Klonowa, gród Solec, Dolsko, Chełm, Poddambia, Podgorzyno, Pniewo. W przywileju mogilneńskim są znowu nazwy: Mogilno, Kamień, Osielsk, Przypust, Czerwieńsk, Bielsko, Żabno,

Czarnotyl, Olsze, Bystrzyca, Chelsko, Leszno, Rybnik, Kryte. Podobnie sporo nazw topograficznych jest w przywileju tynieckim i trzemeszneńskim. Przecież nawet wiele z naszych już najstarszych grodów nosi nazwy z imion pospolitych powstałe, jak: Łęczyca, Kruszwica, Wiślica, Solec, Płock, Międzyrzec i inne. Tak samo i czoła opoli mają często nazwy topograficzne. Należałoby więc może poszukać wyjaśnienia znacznej części nazw miejscowych, powstałych z imion pospolitych, zaginionych, niezrozumiałych już dzisiaj, zwłaszcza miejscowości o dawnych nazwach leśnych, lub mających przynajmniej z lasem bliską styczność, nazwy takie bowiem odgrywają w historji osadnictwa niemieckiego wybitną rolę. Na tej też drodze możnaby oznaczyć czas powstania wielu osad, o których wieku dzisiaj nic nie wiemy.

Nazwy utworzone z imion własnych pochodzą wszystkie z czasów, kiedy stosunek człowieka do zajmowanej ziemi utrwalił się, a więc z chwilą zajęcia zupełnie stałych siedzib. Wtedy dopiero bowiem osiedlenie się połączone z wzięciem pod dłuższą uprawę jakiegoś obszaru mogło sprawić, iż nadano mu imię tego osadnika, który na ziemi pozostawił trwalsze ślady swojej pracy, podporządkowując niejako pod swoją działalność jej fizjograficzne właściwości. W tej kategorji nazw najsnadniej odźwierciadlają się stosunki społeczne, tylko nie należy pragnąć dowiedzieć się więcej, niż dowiedzieć się można. I tak trudno wnioskować z samych nazw tylko o czasie powstania wszystkich tych osad, oraz o klasie społecznej, która je zakładała. Osadnictwo bowiem nie jest dziełem jednorazowego jakiegoś aktu społecznego, lecz wynikiem usiłowań zbiorowych wielu a wielu pokoleń. Podczas jego powstawania muszą zatem zajść doniosłe zmiany w ustroju społecznym i państwowym pewnego kraju, jak niemniej w jego ekonomicznych stosunkach, język zaś, który się bardzo powoli rozwija, nie jest w stanie uwzględnić wszystkich tych zmian, stara też nazwa lub stary sposób tworzenia nazw musi wystarczyć na bardzo długo.

Tak się np. rzeczy mają z grupą nazw patronymicznych z końcówką — ice. Powstawały one w dobie przedhistorycznej, powstawały i później, już po utworzeniu pań-

stwa polskiego, mniej więcej aż do XIV wieku, w którym to czasie, aczkolwiek rzadko, nadawano je niektórym wioskom. Otóż z nazw samych bardzo tylko ogólnie i niedokładnie można oznaczyć epokę, w której osady powstały, większość np. nosi nazwy utworzone ze starych imion słowiańskich, część zaś pochodzi od imion chrześcijańskich. Otóż pierwsze tworzyć się mogły aż do chwili ostatecznego wyparcia owych prastarych imion, tj. mniejwięcej do XVI w., o drugich zaś możemy tylko tyle powiedzieć, że powstały one później, liczba ich zaś zwiększała się w miarę, jak stare imiona słowiańskie wychodziły z użycia. Ponieważ liczba ich jest stosunkowo mała, powiedzieć więc można, iż epoka tworzenia się osad patronymicznych trwała tak długo, jak długo trwały owe stare słowiańskie imiona. Jest to jednak tak długi przeciąg czasu, iż prawie nic nie zyskujemy w poszczególnych wypadkach.

W ciągu tego długiego okresu, w którym mogły powstawać osady o nazwach patronymicznych, nie jedna zmiana zaszła w ustroju społecznym. Zmiany te odbiły się na nich w ten sposób, iż pod wpływem jednakich ekonomicznych warunków nietylko klasa rolnicza zakłada patronymiczne osady, ale i rozradzający się potomkowie rycerstwa. I tu jednak, przy odróżnianiu tych licznych osad patronymicznych od innych, nazwy nie zawsze dostarczą nam zupełnie pewnych wskazówek. Wprawdzie imiona rycerstwa są w wielu wypadkach różne od imion używanych przez ludność wieśniaczą, nie da się jednak na tej różnicy oprzeć dowód dla wszystkich osad patronymicznych, był bowiem czas, kiedy imiona owe nie stały się jeszcze wyłączną własnością tej jednej klasy społecznej.

Tak samo tylko pośrednio można oznaczyć wielkość związków społecznych, które osadom patronimicznym dawały początek. Z historji np. dowiadujemy się, iż, aczkolwiek rzadko, niektóre plemiona słowiańskie nosiły nazwy patronymiczne, np. Radymicze na wschodzie, w Czechach zaś spotykamy następujące plemiona, oraz od nich nazwane znaczniejsze terytorja: Lutomierzyce, Gołaszowice, Nietolice i inne, w obrębie których znajdowały się znowu osady patronimiczne. Ta sama końcówka służyła do utworzenia

nazw, które się odnosiły zarówno do bardzo obszernych, jak i do mniejszych związków społecznych, pokrywała ona sobą wszystkie te różnice. Wprawdzie w wielu razach nazwy plemion nie są pierwotne, ponieważ dopiero później wskutek przewagi jednego związku społecznego nad innemi nazwa jednej zwykłej osady mogła się stać z czasem nazwą znaczniejszego terytorjum, oraz ludzi na niej zamieszkałych, przyznać jednak należy, iż od chwili swego powstania osada patronimiczna, która stała się głównym grodem większego terytorjalnego związku, oraz narzuciła mu swą nazwę, musiała być założona nie przez jedną tylko rodzinę, lecz może przez cały ród, inaczej nie zdołałaby nigdy uzyskać przewagi nad innymi.

Różnice wśród tej kategorji osad mogły być bardzo znaczne, od bardzo niewielkich, które zawdzięczały swój początek jednej rodzinie, do znaczniejszych, zakładanych przez szersze związki społeczne. Dalecy jesteśmy od twierdzenia, iż w nich wszystkich przejawia się organizacja gminna; przeciwnie, gdzie są takie różnice w czasie, sposobie powstania itd., tam prawdopodobnie część tylko tych osad mogła przejść przez tę fazę rozwoju, która zresztą konieczną nie była.

Naturalnie ślady tego podziału pól dzisiaj tak się już wogóle zatarły, iż i osady patronymiczne bardzo tylko rzadko i sporadycznie go dochowały, nie ulega jednak wątpliwości, że jeżeli która grupa osad, to właśnie ta musiała mieć w większości wypadków gminną organizację z podziałem pól na niwy. Miały ją zaś przedewszystkiem przeważnie osady, zakładane przez niezbyt obszerne związki społeczne, powstałe jednorazowo, pochodzące zaś z powolnego rozrodzenia się dopiero z czasem przechodziły przez tę formę rozwoju.

Osady o gminnej organizacji, aczkolwiek same niekoniecznie względem siebie tworzą jednolitą grupę, w przeciwstawieniu do osad jednodworczych różnią się tem przedewszystkiem, iż są zamieszkałe przez znaczniejszą ilość osadników, powstają zaś albo z rozrodzenia się, albo przez jednorazowe osiedlenie się kilku lub kilkunastu osadników. Nie jednokrotnie osiedlał się np. Bolech, a jego synowie lub

wnuki dawali później nazwę Bolechowic osadzie, którą zamieszkiwali, a która przez jakiś czas po założeniu była osadą jednodworczą. Bardzo często jednak działo się inaczej: Bolechowice — ludzie wszyscy razem jako pewna grupa społeczna osiedlali się równocześnie, sami bowiem stali w stosunku do siebie w pewnym już związku. Dochowały się na to dowody. Często spotykamy w naszych najstarszych nadaniach wzmianki o darowiźnie poddanych, wśród których wyliczani są bracia lub synowie jednego osadnika jakoby głowy tego związku społecznego i to nieraz w większej nawet liczbie. W przywileju mogileńskim Wygnan cum tota consanguineitate sua, trzech zaś innych cum cognatione sua, a czwarty cum fratribus suis (Kod. Wpl. IV. nr. 3), w bulli Inocentego II: Golec cum sociis suis, Russota cum filiis et fratribus (Kod. Wpl. I. nr. 7), dalej w przywileju tynieckim Zira cum fratribus, Coyanow cum servo Zuluy et fratribus eius, nakoniec we fragmencie z XII w. wyliczającym posiadłości Kanoników regularnych we Wrocławiu: Zulistirus cum fratribus suis, quorum filii sunt isti M. cum fratre Stanenta, Milozlaw cum fratre Bogumino; Hokepta (zapewne Chwalęta) cum fratribus, quorum filii sunt: następuje 5 imion; Raduy cum fratre, quorum filii sunt Semar et Sdan (Kod. Wpl. III. nr. 2021).

Są to wszystkie szersze jakieś aglomeraty, związane ze sobą organizacją społeczną i gospodarczą, a które przyjdzie nam obszerniej zbadać w drugiej części naszej pracy, gdzie zestawimy je z całym szeregiem podobnych objawów społecznych u innych ludów. Tutaj tylko podnieść należy, iż związki owe musiały oddziałać w pewnym kierunku i na osadnictwo pierwotne. Nie uważamy ich bowiem za sztuczne lub później powstałe, lecz za pierwotne. Dla objaśnienia podamy następujący przykład: przypuśćmy, że grupa złożona z Chwalenty, jego braci, synów i synowców powstała w jakiejś miejscowości. Otóż w epoce, którą nazwalibyśmy chętnie epoką nomadyzmu rolnego, bardzo łatwo przyjść może do zmiany siedzib. Czy przesiedlą się oni w takim razie wszyscy razem? W większości wypadków sądzimy, iż ów kit społeczny, który ich razem skleił, nie pozwolił rozejść się im wszystkim w różne strony równocześnie. Co najwię-

ej, po zmianie siedzib i po pewnym wstrząśnieniu, które tej zmianie towarzyszyć będzie, może się taka grupa społeczna rozłożyć na parę pomniejszych, których wielkość zawsze zależną będzie od warunków gospodarczych, jeżeli zaś czasem opuści taki związek pojedynczy osadnik z własną rodziną, to związek nie przestał przez to wcale istnieć. Odrywały się od niego czasem pojedyncze cząstki, na to jednak, aby je wszystkie jednocześnie rozprószyć, trzeba było jakiejś burzy dopiero, ale ta w rachubę wchodzić tutaj nie może.

W życiu społecznym, jak w naturze, nic nie trwa w spoczynku, na miejscu oderwanych cząstek przybywały ciągle nowe; oddzielanie się takie, narastanie i łączenie trwało ciągle, dlatego trudno postawić stałą granicę, jaką osadę uznać za jednodworczą, a jaką za wioskową; siedziba np. osadnika z jego najbliższą rodziną zawsze się liczyć będzie do osad jednodworczych. Z chwilą jednak, kiedy dorośli synowie zostaną wraz z ojcem, co się zawsze prawie stanie, mogą już zajść pewne przeobrażenia, wobec których trudno się zdecydować, do jakiej kategorji zaliczyć tę osadę. Później naturalnie, skoro organizacja państwowa coraz więcej pocznie oddziaływać i wciągać w zakres swego działania siły społeczne, mogą zajść pewne zmiany w tych stosunkach, którym nie przeczymy wcale, ale które zawsze będą należeć do późniejszych objawów. Książę np., przenosząc swych poddanych, mógł niejednokrotnie przyczyniać się do rozpadu tych związków, choć nie działo się to zapewne często, względy bowiem ekonomiczne stały temu długo na przeszkodzie.

PUSZCZA KURPIOWSKA.

1. Warunki fizjograficzne.

W ostatnim rozdziale chodziło mi przedewszystkiem o jaknajsilniejsze zaznaczenie charakterystycznych a pierwotnych znamion zjawiska osadniczego, które miałem przed sobą. Na ich zasadzie uznałem Jedlnię i Mąkosy za siedziby jednodworcze z własnością indywidualną, zgodne z rodziną typu większego. Puszcza radomska z materjału, który miałem pod ręką, sama jedna pozwoliła mi sięgnąć tak daleko, ona jedna bowiem posiadała źródłowe dowody na wiek tych paru osad, które obrałem sobie za wzór. Gospodarstwo ich sięga również dowodnie wieku XV i wykazuje wyjątkową nieruchomość, nie jest to więc objaw wsteczny, wprost można dowieść, że te formy osadnicze i gospodarcze przetrwały tylko niezmienione, że je XV w. już zastaje.

Z kolei będę miał teraz do czynienia z zakątami kraju, w których osadnictwo dopóźna nie zostało zamknięte, w których się wszystko spóźniło i w których pierwotne zjawiska wytwarzały się na nowo. Starych form rodzinnych i starych form społecznych także tu nie odnaleziemy, nie formują się one bowiem tak łatwo na nowo, jak stosunki gospodarskie; raz zniknąwszy i ustąpiwszy, nie odrastają. Znajdziemy z pewnością rodzinę mniejszą, taką, jak dziś wszędzie, która się na nowo w puszczy osiedla, dowiemy się też, jak wyglądają pola takiej nowej siedziby. Jeżeli będą podobne do pól w Jedlni lub Mąkosach na początku XIX w., będziemy wiedzieli, że są tylko drugiem stadjum rozwoju z wyłączeniem pierwszego, który zresztą uzupełnić łatwo. Zyskamy zaś zawsze jedno: będziemy świadkami tworzenia się na

nowo tej samej kategorji, z którą mieliśmy do czynienia poprzednio, przez co będziemy mogli stwierdzić jeszcze raz poprzednie wywody.

Warunki, wśród których znajdują się nowi osadnicy są tutaj pierwszorzędnego znaczenia, one to bowiem głównie, jeżeli nie jedynie, dają rękojmię, że i formy osadnicze są pierwotne. One to, podobnie jak w puszczy radomskiej, nie dopuszczą tu późniejszych form, pod wpływem których mogli już stać nowi osadnicy, a może i nawet wytworzą odrębny a pierwotniejszy ośrodek społeczny, żyjący swojem odrębnem życiem. Puszcza i bagno, lesistość i wodnistość kraju, a prócz tego uboga ziemia — oto warunki fizjograficzne, których trzeba, aby powiedzieć, że są zgodne z warunkami puszczy radomskiej. Północno-wschodnia część Mazowsza dostarczy ich właśnie, powtarzają się tam bowiem wszystkie warunki puszczy radomskiej, tylko na daleko szersze rozmiary.

Wracamy znowu do mapy sztabowej. Na północny wschód od Płocka powyżej Ciechanowa i Prasnysza, mniej więcej od granicy pruskiej, bieli się duży bezleśny płat, gęsto usiany wioskami. Za nim dalej na wschód ku rzece Orzyc zaczyna się czernić siatka leśna; poprzerywana tylko bagnami. Wśród niej widać tu i owdzie wycięte białe płatki, tak, jak w puszczy Radomskiej. Są to wioski, które tylko z rzadka tutaj się znachodzą. Prowadzimy linję brzegiem tej sieci na południowy wschód ku Narwi. Po lewej stronie widzimy ciągle kraj widny i ludny; po prawej prawie ciągle puszczę, rzednącą nieco ku południu. Za Narwią, którą powyższa linja przecina powyżej Pułtuska, kraj znowu dosyć lesisty. Są to właśnie widły między nią a Bugiem. Puszcza wchodzi w te rozwarte ramiona obu rzek, nie wypełnia ich jednakże zupełnie; szczególniej lewe pobrzeże Narwi przed jej połączeniem się z Bugiem jest dosyć wolne, biała, szeroka smuga okala je zewsząd. Sam klin między niemi jest również mniej lesisty i ciemny. O Bug opiera się teraz owa linja, którą prowadziliśmy od granic Królestwa na dół. Jego kręte brzegi od Wyszkowa aż do Broku na wschód ograniczają nasz teren. Im bliżej ku niemu, tem się więcej lasy skupiają i gęstnieją. Na całej tej przestrzeni

puszcza występuje znowu wielkim jednostajnym płatem i przypiera do samego koryta.

Podnosi się ona ku północy ku Narwi i dochodzi do Ostrowia, który leży na jej wschodnich krańcach. Opuszczamy teraz Bug i idziemy skrajem tej nadbużańskiej puszczy, prowadząc linję na północny-wschód ku Narwi w górę. Za Ostrowiem kraj widniejszy, większe lub mniejsze szmaty lasów nie trzymają się już siebie, widać między niemi ciągle białe tło z wioskami. Posuwając się ciągle w górę, spotykamy na tej linji drugi obszar leśny, mniejszy i bardzo poszarpany. Zalega on kraj między Śniadowem a Łomżą. Za Łomżą koło Pniewa spotyka się nasza linja poraz drugi z Narwią, którą w tym miejscu przecina. Prowadzimy ją dalej w tym samym kierunku północno-wschodnim ku pruskiej granicy, mniej więcej na Stawiski na wschód od Kolna. Kraj tu znowu dosyć leśny, ale nie wiele więcej, jak inne okolice kraju. Szczególniej na lewej ręce mamy znowu gęstą siatkę leśną, po prawej zaś lasów znacznie mniej. Gdybyśmy teraz od granicy pruskiej, gdzie się kończy nasza linja, przeszli wzdłuż na zachód, albo przecięli ją linją poziomą w tym samym kierunku, znaleźlibyśmy się gdzieś dopiero powyżej Prasnysza i nie wyszlibyśmy z puszczy. Dwa końce tylko, zachodni i wschodni, owej linji poziomej pozostają wolne i niezanurzone w lesie. Widać, że owa leśna sieć koło Prasnysza była tylko jedną granicą puszczy, zachodnią, drugą zaś granicę, wschodnią, spotkaliśmy koło Kolna. Wewnątrz nich wszędzie las; zalega on cały obszar tak ujęty i zstępuje razem z dopływami ku Narwi i opiera się o jej prawe brzegi, nie łączy się tylko z puszczą, która idzie wzdłuż Bugu, i z owym szczątkowym leśnym obszarem bliżej lewych brzegów Narwi koło Śniadowa i Łomży. W ten sposób wykreśliliśmy figurę podobną mniej więcej do nieregularnego czworoboku. Wierzchołkiem jest ona na południe, podstawą ku Prusom, wschodnie jej ramię mniej rozwarte, zachodnie dłuższe i więcej ukośne. Sama podstawa jest także nieco skośna, obniża się od wschodu ku zachodowi. Wogóle bok zachodni jest wyraźniejszy, ma brzegi lepiej poznaczone, podczas kiedy wschodni nie posiada tak

wyraźnej granicy. Kraj tu przechodzi stopniowo z mało zaludnionej puszczy w ludniejsze pola uprawne.

Zamknięty w tych granicach obszar jest dosyć jednolitym politycznie. Należał on dawniej do Mazowsza i stanowił część wschodnią i północną województwa płockiego. Etnograficznie jest również jednolitym: zamieszkują go Mazurzy, i to nawet tacy, którzy zdołali się wyodrębnić od reszty swych współplemieńników, a mianowicie Kurpiowie. Nie wypełniają oni całego tak opisanego czworoboku, mieszczą się w nim tylko. Cały ten obszar nie jest przez nas wyodrębniony dla szczególnych etnograficznych lub politycznych względów, ale przedstawia pewną sumę fizjograficznych warunków. Warunki te są naturalnie ułomkiem tylko tych, które spotykamy naokoło na daleko większych przestrzeniach. Aby je poznać, trzeba nieco szerzej sięgnąć. Daleko leży pas wyżyn południowych. Wyżyna Małopolska, która do tego układu należy, ginie już na północnych granicach ziemi Radomskiej. Za nią na północ zaczyna się kraj płaski. Jest to pas wielkich dolin, do których należy: idąc od wschodu Polesie, dalej Podlasie, południowe Mazowsze, Kujawy i wreszcie najdalej od zachodu Poznańskie. W dolinach tych płynie Prypeć z Jasiołdą, następnie Bug wchodzi w ten pas, zmieniając swój bieg z północnego na zachodni. Wisła najwięcej się tutaj wygina ku zachodowi i płynie w tym samym, co Bug, kierunku, za nią idzie Noteć, a w końcu Warta. Możnaby więc ten pas znaczyć samemi wodami, które się tu wszystkie załamują lub płyną w jednym kierunku. Są to jedynie szczątki dawnych wielkich wód całej tej krainy w epoce lodowej, jakiejś olbrzymiej Prawisły, która uchodziła do morza Północnego w tem miejscu, gdzie dziś uchodzi Łaba. Sam bieg ich teraźniejszy wskazuje, że od morza coś je oddziela i drogę im zapiera. Jest to pas wyżyn bałtyckich, który oddziela strefę wielkich dolin od Bałtyku. Wszystkie rzeki nie płyną samym środkiem owego pasa wielkich dolin, ale bliżej Wyżyny Bałtyckiej. Wyżyna ta tworzy dosyć niskie pagórki o kształcie kopcowatym lub wałowym. Powstały one w ten sposób, że na wynioślejszej z jednego materjału podstawie złożyły tu wielkie lodowce swe końcowe moreny w ostatnim okresie

swego zasięgu poza morze Bałtyckie. Zwisały one tu kiedyś i z krawędzi ich ściekały wody do tej szerokiej bróżdy wielkich dolin. Wzgórza wyżyny bałtyckiej są usypane z różnych pokruszonych i startych skał skandynawskich. Ciągną się one od wschodu na zachód, tu i owdzie zostawiając między sobą gromady jezior, które nie spłynęły ani do pobliskiego morza, ani do wielkiej doliny środkowej a które się na tej płaskiej wyniosłości z biedą bez rozlania utrzymują. Całe to wzniesienie bowiem opada na obie strony bardzo powoli i nie tworzy głębszych i lepiej wyżłobionych dolin. Cały ów pas szeroki od granicy pruskiej do Narwi da się podzielić na szereg płytkich dolin, które sobie wytworzyły rzeki.

Nie z całą środkową niziną mamy tutaj do czynienia, lecz z jedną jej częścią mianowicie z kotliną Narwi i dolnego Bugu i z częścią kotliny środkowej Wisły. Tak wzięty obszar odpowiada w części północnemu Mazowszu, a w części Podlasiu. Pokrywa zaś opisany wyżej czworobok, na którym się utrzymały znaczniejsze puszcze i błota. Całe międzyrzecze Bugu i Narwi należy fizjograficznie do Podlasia. We właściwych widłach tych rzek jest płasko i więcej równo. Dopiero dalej na północ i wschód w rozwartych już zupełnie ramionach obu rzek kraj się nieznacznie podnosi i marszczy w piaszczyste pagórki. Najwyższym punktem jest płaskowzgórze Czerwonego Boru, leżące bliżej Narwi między Łomżą a Śniadowem; zupełnie bezwodne, stanowi naturalny dział wód między Bugiem a Narwią, trzy tylko drobne ich dopływy spływają z niego, za nim znowu równiej.

Przeszedłszy Narew, ma się do czynienia z odmienną nieco krainą. Należy ona zawsze do tego samego pasa wielkich dolin, ale jednak tworzy więcej może, niż inne okolice, wyodrębnioną jednostkę fizjograficzną. Zajmuje ona południowe stoki wyżyny pojezierza bałtyckiego, które przechodzi w dwóch miejscach granicę Królestwa. Na zachód koło Orzyca i na wschód koło Kolna, a więc mniej więcej na obydwu końcach podstawy owego czworoboku, w którym zamykamy badany obszar. Dwa te południowe krańce wyżyny bałtyckiej wcinają się jakby przylądki w kraj płaski i łączą się nieznacznemi i często przerywanemi pasmami

wzgórz, które występują nieco wyraźniej koło Mąkowa, Rożana i Ostrołęki. W ten sposób jest pojezierze od polskiej strony lekko i niejednostajnie podcieniowane. Są to niby zmarszczki, występujące tu i ówdzie na gładkiej zresztą powierzchni. Nachylenie całego skłonu ku południowi i wschodowi jest bardzo nieznaczne; wpływa to wyraźnie na bieg wszystkich tutejszych wód. Sama Narew w swym średnim i dolnym biegu nachyla się silniej ku Wiśle z północy na południo-zachód. Pierwszym jej dopływem z prawej strony od wschodu jest Biebrza; płynie ona dosyć jeszcze prostopadle szczególnie w swym dolnym biegu z północy na południo-zachód. Następnym dopływem jest Pisia, dalej Skwa następnie Rożoga, potem Omulew, a w końcu Orzyc; idą one dosyć blisko siebie i dosyć równolegle. Potem dopiero płynie Wkra, która się nieco oddala i wpada do Narwi już po jej połączeniu z Bugiem. Wszystkie te rzeki maczają swą rozczepioną jak miotła górną sieć w pasie jezior mazurskich i z niego spływają. Pięć środkowych dopływów między Biebrzą a Wkrą sięgają najdalej. A ponieważ jeziora ciągną się z całym pasem wyżyn z północno-wschodu na południowy zachód a Narew wygina się także szerokim i płaskim kabłąkiem w tym samym kierunku, więc i one przybierają skośny kierunek i tworzą dość regularną sieć wodną, przypominającą na mapie drabinę, której szczeble łączą pod kątem prostym obydwie linje jezior i Narwi. Ponieważ pochylenie całego obszaru ku południo-wschodowi jest bardzo niewyraźne, więc wody rozlewają sią po nim szeroko i temu przypisać należy głównie odrębne cechy całej okolicy. Nasze rzeki, jeżeli nie wszystkie, to w większości, pozostają w związku z jeziorami mazurskiemi Prus Wschodnich, są ich odpływami. Na owej znaczniejszej wyniosłości zachodniej między Chorzelami a Jednorożcem istniało niegdyś rozległe jezioro, które spłynęło jako rzeka Orzyc. Dawniej jezior po-lodnikowych było daleko więcej, musiały też ich wody często przelewać się z niskich brzegów i pokrywać szeroką a płytką wodną osłoną całą tę okolicę; wyjaśnia to pewne jej właściwości. Proces zamulania i nanoszenia, zwłaszcza piasków, musiał się tu odbywać na daleko większe rozmiary, niż gdzieindziej, dlatego też na całym

tym obszarze, podobnie jak na Polesiu, namuły piaszczyste i torf, np. wielkie torfowisko Karaska między Rozogą a Omulewem na południe od Myszyńca, odgrywają wielką rolę.

Wszystkie międzyrzecza dopływów Narwi, od jezior aż po same jej brzegi, wypełnione są piaszczystemi napływami rzecznemi; wypełniają one całą prawie podstawę naszego czworoboku i dochodzą od niego po same brzegi Narwi. Białe owe napływy idą zresztą dalej w górę Narwi, trzymając się jej brzegów, występują koło samej Łomży, przerzucają się na lewy jej brzeg aż do Zambrowa i podnoszą się w górę razem z błotnistą Biebrzą, którą okalają szeroką smugą. Są one otoczone zewsząd gliną lub piaskami. Gliny lodowcowe zwierzchnie występują na owym jaśniejszym bezleśnym płacie koło Prasnysza i zajmują dolny bieg Orzyca. Nieopodal Makowa i Różan dają się znowu widzieć spodnie gliny lodowcowe, pomieszane z piaskami. Widły Narwi i Bugu nie mają owych rzecznych napływów; Pułtusk i Wyszków leżą na piaskach, które się ciągną dalej na wschód po Ostrów i Brog. Od nich ku Ostrołęce występuje płat glin spodnich, przedzielonych od napływów zambrowskich smugą piasków, które odpowiadają wyniosłości Czerwonego Boru. Jeszcze dalej ku Bugowi na wschód wszędzie już piaski. Widły owe zajmują wierzchołek czworoboku, który kręta linja Bugu ścina. To jest właśnie cały badany przez nas obszar.

Wszystkie wyżej wymienione fizjograficzne warunki, większa lub mniejsza obfitość wód, rodzaj gleby, na którym las porósł, lub ludzie zamieszkali, wycisnęły wybitne piętno na życiu okolicy. Najwięcej tych cech zebrały strony północne międzyrzecza owych pięciu dopływów Narwi. Gdzie tylko wyżej — tam piasek, i to bardzo często lotny, gdzie niżej — torfiaste i błotniste kotliny, podobnie jak na Polesiu. Słowem biało lub czarno, a przynajmniej ciemno; dwie te barwy przeważają tu najbardziej. Wody wloką się leniwo płytkiemi łożyskami, jak gdyby zastanawiały się, jaką drogę wybrać, często odnoga rzeki tamuje sobie odpływ i osiada jako bagno. Szczególniej wiosenne wody zwykle już nie wracają do dawnego łożyska, zostają wszystkie jako stojące, pokryte łozą rozlewiska. Słowem takie rzeki

to raczej przesuwające się ruchome bagna, niż płynąca woda. Każda z nich wlecze za sobą smugę błot, które gubi po drodze. Pełno też tutaj większych lub mniejszych bagien, bieli i grądów, jak je nazywają. Niegdyś były jeziora, jedno z nich jeszcze zostało, Krusko koło Kolna, dziś zwane Serafin, ale i ono coraz więcej zarasta i powoli zamienia się w bagno. Drugie istniało kiedyś przy ujściu Biebrzy do Narwi, dziś jest już tylko błotem, jeziorzyskiem, zamieszkałem nawet w części (bagno Wizną z jeziorem Maliszewskiem). Gdzie tylko woda dochodzi, tam zostają błotne lub piaszczyste namuły, zmieszane z brunatną rudą błotną, na których warstwa roślinna tworzy pokłady torfiaste. Wzgórza prawie wszystkie są piaszczyste, a jedno ich pasmo koło Ostrołęki składa się z piasków zupełnie lotnych, których nie brak także między Pisą i Omulwią. Dziś wiatr je przenosi i układa dowolnie, zmieniając ich kształt, a nawet położenie.

Wśród takich warunków fizjograficznych trudno, aby się kiedykolwiek rolnictwo mogło rozwinąć, to też całe to »Ponarwie« było kiedyś jedną puszczą i dziś jeszcze znaczne lasy po niej zostały, porozrywane tylko płatami piaszczystej, płonej roli. Jest to dawna Puszcza Zielona, zwana także Zagajnicą Nowogrodzką. Przedewszystkiem miała ona charakter podmokły, był to »las wodny«, jakby powiedział Świętosław z Wojcieszyna, tłumacz statutów z XV w.; jeździł po nim Kurp czółnem, gdy wody rozlały na wiosnę, opatrywać swe bartne drzewa. Bez czółna było mu w puszczy źle, jak gospodarzowi na roli bez konia. Kosił po niej nadbrzeżne łąki przy rzekach i strugach leśnych lub po niedoschłych zupełnie błotach. Po piaszczystych wyższych miejscach rośnie sośnina i brzoza, a na niższych wilgotniejszych występują drzewa liściaste i bogate podszycie. To właśnie nadało puszczy miano zielonej i to robiło, że była »gajem«. Żyły też w niej różne zwierzęta, potrzebujące wody i bagna, przedewszystkiem łosie, po których zostały nazwy błot, jak Łosica, Łosia Woda i t. d. Rzeka Biebrza zamieszkana była przez bobry, dlatego nazywała się rzeką Bobrową. Wszystkie wody w puszczy były niezmiernie rybne. Znaczny handel rybami prowadził się tu w XVI wieku. Kiedy bobry

i łosie wyginęły, niewiadomo; sądzę, że pierwsze w XVI wieku, a drugie dotrwały do XVIII.

Kraj między Narwią a Bugiem niema już tak wybitnych znamion. Piaski są wszędzie twardsze, dosyć też sucho, prócz nad samemi rzekami, zwłaszcza nad Bugiem, który płynie niską i szeroką doliną. Las jest i tutaj i nazywa się Puszczą Białą, bo dla braku wilgoci brak i podszycia. Gonne drzewa, zazwyczaj sośnina, porastają cały obszar. Dopiero bliżej Narwi przy napływach Zambrowskich występują lotne piaski, które zasypują łąki i pola. Kiedyś rosły tu lasy, dziś już wycięte. »Czerwony bór«, bo jemu właśnie odpowiada ta płaszczysta wyniosłość, zwany tak już w początkach XVI wieku, zawdzięcza swe miano czerwonej korze młodych modrzewiów, które go wtedy pokrywały, a po których dzisiaj i śladu niema. Za temi staremi karczowiskami po modrzewiowych lasach na północ leży Biała Puszcza i prawy brzeg Narwi, o których już była mowa.

Ani widły Bugu, ani to bezwodne piaszczyste płaskowzgórze nie są urodzajne, podobnie jak i stoki pojeziorza. Ziemia sucha, ale jałowa i piaszczysta, przeplatana zimnym sapem, nic więc dziwnego, że rolnictwo nie mogło się rozwijać ani kwitnąć na całym tym obszarze od granic pruskich do Bugu[1].

2. Warunki bytu gospodarczego w średnich wiekach.

Przedewszystkiem był tu las z tem wszystkiem, co tylko mógł dostarczyć. Las nadawał pewien ogólny charakter życiu ekonomicznemu całej ludności, która umiała go bardzo szeroko i wszechstronnie wyzyskiwać. Warunki ekonomiczne, choć bardzo proste, nie mogły być jednak zupełnie jednostajne. Wśród różnych grup etnograficznych musiały się już wtedy zarysować pewne odrębności. Są one jednak same przez się za niewyraźne, a my za daleko od tych czasów, aby módz ocenić, o ile już w XII w. różnili się Kurpiowie od reszty ludności Mazowsza. Tyle tylko przypuścić można, że podówczas mniej zajmowano się tutaj rolą i chowem

[1] W rękopisie brak stron 32—35, dlatego niema zaznaczonego przejścia między niniejszym rozdziałem a następnym.

bydła, niż gdzieindziej. Ludność, chociaż pozostawiona własnym ekonomicznym usiłowaniom, wchodziła zawsze w skład szerszej organizacji państwowej, to jednak organizacja ta bardzo mało ciążyła na jej życiu ekonomicznem. Kurpiowie mogli karczować las i przemieniać się na rolników, jak reszta ludności, ale mogli też dalej pędzić życie bartniczo-łowieckie.

Ustrój państwowy średniowieczny obejmował bardzo obszerny system danin i powinności, mieli więc mieszkańcy tej okolicy wyznaczone w nim swe miejsce. Byli Kurpiowie, jak prawie cała ówczesna ludność rolnicza, poddanymi księcia. Jest to poddaństwo pojęciem prawnem na tyle obszernem, iż może mieścić w sobie wiele samoistnych społecznych objawów. Różne stopnie rozwoju rodziny, różne typy organizacji rodowej, plemiennej i gminnej, dadzą się z niem pogodzić. Zachodzi więc pytanie, czy mieścili się Kurpiowie w powszechnej organizacji ludności poddańczej, czy też zdołali wytworzyć sobie pewną odrębną organizację. Jest to zależne od dwóch czynników, a mianowicie od różnicy, która się powoli, lecz stale pogłębiała, między warunkami bytu puszczaków, a otaczającą ich resztą kraju, a po drugie od samoistnego procesu organizacyjnego, który się w puszczy jako w pewnym ośrodku wytwarzał.

Aczkolwiek oba te elementy nie dają się w zupełności od siebie odłączyć, rozpoczniemy badanie od wykazania, o ile ten samoistny proces organizacyjny mógł się tam objawić i skąd czerpał materjały i podstawy do swego rozwoju.

Niewątpliwie większe odosobnienie puszczy przypada dopiero na wiek XIV. Jest to chwila większego wyodrębnienia ekonomicznego i społecznego jej ludności, przeważnie już bartniczej i łowieckiej w przeciwstawieniu do rolników. W reszcie kraju zaczynają podówczas coraz bardziej wychodzić z użycia daniny w miodzie i łupieżach, gospodarstwo zaś przybiera charakter więcej zbożowy i pieniężny, tu natomiast pozostaje ono prawie niezmienione. Fakt, że stosunek między puszczą a polem uległ zmianie, musiał się odbić i na jej mieszkańcach.

Kurpiowie nie stali w bezpośrednim związku z urządze-

niem grodów; nie można powiedzieć, aby należeli do którego-kolwiek z nich, choć pod pewnym względem organizacja grodowa była im najbliższa. Wśród osad służebnych, które obejmowała, znajdowały się także liczne wioski zamieszkałe przez bartników i łowców (strzelców); nie można ich jednak z nimi utożsamić, raz dlatego, że byli oni liczniejsi, a po drugie, że nie stanowili osad w ścisłem znaczeniu tego słowa, jak się to później okaże. Tacy np. sokolnicy, bobrownicy lub komornicy byli zawsze ściśle z grodem związani; samo ich zajęcie i posługi, które pełnili, czyniło konieczną taką zależność, wyspecjalizowali się oni w tych kierunkach. Bartnikiem i strzelcem był podówczas po trosze każdy, był nim nawet dawniej, niż rolnikiem; nie było więc potrzeby stwarzać tego zajęcia ani go dostosowywać do zmienionych stosunków. Zresztą sama organizacja grodowa nie była ani być nie mogła stałą i raz na zawsze sformułowaną.

Odrębności Kurpiów musimy szukać przedewszystkiem w przechowaniu łowiecko-bartniczego trybu życia. Wszelka organizacja jest zawsze zależną od liczebnego skupienia pewnej grupy ludności. Liczba zostaje zawsze w pewnym stosunku do siły węzła organizacyjnego: grupy liczniejsze są zarazem silniejsze i ulegają parciu w kierunku różnicowania i organizacji, małe zaś znajdują się zawsze w stanie więcej rozproszonym. Skupienie bartników i łowców w Puszczy kurpiowskiej w większej gromadzie mogło być przyczyną wytworzenia się wśród nich jakiejś organizacji. W przeciwstawieniu do rolników z pól okolicznych zwrócili się oni więcej do bartnictwa. Cały szmat kraju przez nich zamieszkały, owa »Puszcza Zielona« czyli »las wodny«, nie uległ kolonizacji rolniczej w XIV wieku i roił się nadal od pszczół leśnych (Helcel I. s. 142), a w rozrzuconych wśród niego zagrodach siedzieli bartnicy. Od zaguby i zrównania z resztą ludności mazurskiej uratowały ich pszczoły. Jako myśliwi i rybacy nie mogliby się zapewne utrzymać, ostać, ale miód nie wychodził z użycia, pozostawał zawsze ulubionym napojem, a zapotrzebowanie wosku do coraz liczniejszych kościołów i do celów przemysłowych musiało się zwiększać. Ta okoliczność zapewniła im na długie czasy samoistne miejsce w organizacji gospodarczej kraju.

Z późniejszych urządzeń bartniczych, tak jak je zastajemy w XVI wieku, można wydobyć jeszcze nie jeden szczegół do ich dawniejszych stosunków, oraz w przybliżeniu oznaczyć, co z nich da się nawiązać do pierwotniejszych urządzeń, a co jest późniejszą naleciałością.

3. Organizacja bartnicza i prawo bartne.

Teraz należy się zwrócić do zbadania samej podstawy, którą Kurpiowie uzyskali w bartnictwie, bez tego bowiem niepodobna zrozumieć, dlaczego Kurpiowie tak późno, bo dopiero w XIX wieku, stali się rolnikami i dlaczego ich późniejsze nawet urządzenia mogły w niejednem przechować ślady stosunków, które niegdyś były ogólnemi i nietylko w Puszczy Zielonej obowiązywały. W gospodarstwie wszystkich pierwotnych ludów odgrywało bartnictwo bardzo ważną rolę. Wśród Słowian było bardzo dawno znane i rozpowszechnione, w Polsce średniowiecznej wybitne też zajmowało miejsce.[1]

Stosunki tak powszechne i odgrywające tak ważną rolę musiały się stać przedmiotem przepisów prawnych Dowodem tego np. jest Prawo zwyczajowe polskie z XIII wieku, które się bardzo szczegółowo pszczołami zajmuje, tak jak żadne po niem; prawo polskie z XIV w. jest już o wiele skąpsze pod tym względem. Wśród Kurpi przechowały się jednak razem z bartnictwem i pierwotne urządzenia bartne. Są one zaś tem ważniejsze, że wraz z niemi mógł się także zachować niejeden fragment starszych form gminy lub grodu. Takby się zdawać mogło i tak nawet jest w paru wypadkach, atoli nie trzeba zapominać, że zbiory prawa bartnego, spisane w XVI i XVII w., są już wytworem zmienionych stosunków.

Prawa zwyczajowe bartne XVI w., jak się dochowały w dwóch zbiorach starosty prasnyskiego, Niszczyckiego z r. 1559 i Skrodzkiego z r. 1617 (dla Modliszowskiego, starosty łomżyńskiego), z natury rzeczy muszą stanowić punkt

[1] Tutaj w rękopisie Potkańskiego jest luka; str. 51 nie jest dokończona; następuje str. 57, która była później napisana, bo numeracja wypisana jest ołówkiem niebieskim, którym są robione poprawki.

wyjścia naszych badań, a obok nich przywilej Zygmunta III z r. 1620. Dają one faktyczny materjał do ocenienia stosunków Kurpi mazowieckich. Na nim się oparłszy, możemy pójść wstecz i rozpatrywać, o ile stosunki XVI w. dadzą się wywieść od form pierwotniejszych. Nie można[1] przyjąć w całości tego, co Skrodzki mówił w r. 1617 o genezie bartniczych ustaw. Początkowo z pewnością nie były one w żadnym razie prawem szlacheckiem, spisanem i ułożonem za jednym zamachem, zawsze jednak pozostanie fakt, że je wtedy za takie chciano uznać....[2]

Trudniej jeszcze, niż starosty, określić stanowisko prawne gminu bartnego. Kwestja to zresztą nader ważna ze względu na formy własności i osadnictwo. Wiemy, jakim był wpływ gminy na stosunki własności Puszczy Radomskiej. Jej przedstawicielami byli tam obelnicy, tu zaś pospólstwo bartne. Stosunki Kurpiowskie dostarczają w tym względzie nowego materjału. Między księciem jako zwierzchnim właścicielem puszczy, a jednostką, która z niej ciągnęła użytki, mogła stanąć gromada, gmin bartny, jako pośrednik. W XVI w. traci on już wiele ze swych dawnych przywilejów, można przypuszczać jednak, że dawniej o wiele większy wpływ wywierał, można złożyć na jego karb bardzo wiele objawów. Nie sądzimy atoli, aby istotnie wpływ jego sięgał bardzo daleko, bo nie widzimy własności wspólnej, którąby musiała wystąpić, gdyby w istocie gmin miał szerokie prawa.

Związki bartnicze wyszły najprawdopodobniej z organizacji rodowej, która z czasem przybierała coraz bardziej cechy związku terytorjalno-ekonomicznego. Obydwa te czynniki nie wnosiły komunistycznych urządzeń do życia bartniczego. Podstawy organizacji rodowej są nam wogóle bardzo mało znane. Wprawdzie często, nawet zazwyczaj, towarzystwa łowieckie lub inne podobne były oparte na równym podziale pracy i plonów z podjętej wyprawy. Polowanie, rybołostwo, trzebież lasu, a później uprawa roli

[1] Tu po stronie 58 idzie 60, stronę 59 usunął autor sam.

[2] Następuje str. 67, która miała przedtem być dołączona do str. 63 czy 64. Jak z pierwszych słów następnego ustępu wynika, było tu omówione stanowisko prawne starosty bartnego.

więcej się nadają do takiej organizacji, niż bartnictwo, które może pozostać zajęciem więcej przygodnem i indywidualnem, t. zn. jednorazowego skupienia sił, jak łowiectwo, lub też stałego ich skupienia, jak rolnictwo. Z biegiem czasu przestaje ona być celem jednorazowych wypraw, jak rybactwo i myśliwstwo, a zamienia się na zajęcie dorywcze, pozostawione stale usiłowaniom jednostki. Wobec tego trudno przypuścić, aby pierwotnie barci były wspólne, lub aby szersze grupy ludzi dzieliły się miodem.

Nie można wprawdzie przyjąć, aby podstawy organizacji bartniczej były natury komunistycznej, nie wyłącza to jednak bynajmniej, że jakaś organizacja istniała i nie pozostawiała wszystkiego na pastwę samowoli jednostek; niema tego zresztą u ludów pierwotnych. Gmin bartny, jak w puszczy jedlneńskiej, stanowił u Kurpiów zamkniętą całość wobec osób trzecich, nie należących do bractwa. Wobec swych własnych członków miało pewne prawa określone, nawet ściślej, niż w puszczy jedleńskiej. Opustoszałe bory rozdzielał on może w sposób bliżej nam zresztą nieznany, przechodziły one zawsze w indywidualne i stałe posiadanie nowych posiadaczy. Później prawo to należało, jak wiemy, do starosty, szlachcica, co mogło być tylko rozszerzeniem jego władzy. Jedynym pozytywnym śladem mieszania się gminu w stosunki własności jest następująca zasada, która obowiązuje jeszcze w XVI w.: Jeżeli bartnik bartnikowi sprzedaje bór, ma dać staroście bartnemu od każdej kopy groszy po groszu, a oprócz tego ten, co bór kupuje, ma dać »rozdawne« staroście i »braterskie« bartnikom.[1] Był to więc rodzaj wkupywania się do bractwa, które mogło mieć nawet prawo nieprzyjmowania nowego członka do swego grona. Godzi się to wszystko z indywidualnem posiadaniem barci i użytków leśnych, nie godzi się zaś ze wspólną ich własnością przez cały gmin lub związek rodowy. W zwykłych warunkach każdy robił koło swoich pszczół i przekazywał je potomkom. Perjodycznych podziałów nie było, ani wspólnej, przymusowej roboty koło barci. Forma losowania przy rozdziale boru między bracią nie-

[1] Skrodzki § 39.

zgodną jest stanowczo późniejsza, tak, że nawet może służyć za dowód, że żadnych miejscowych tradycyj pod tym względem nie było.

Wszystkie te ograniczenia tłumaczą się tem, że już dosyć wcześnie, bo w 1401 r., zaczęła się objawiać wśród szlachty na całem Mazowszu chęć ukrócenia samowoli bartników i ich starostów. Zawsze było trudniej upilnować bartnika w puszczy, który też po wszystkie czasy musiał się czuć więcej niezależnym, niż rolnik we wsi. Pamiętać także należy, że zajmowanie się pszczołami uważano zawsze za coś więcej niż uprawa roli, był to bowiem rodzaj sekretu. Bartnik musiał zdać w sądzie panu lub staroście miodowemu wobec innych bartników pszczoły i bartny powróz, gdyby nie chciał albo nie mógł sam składać powinnej daniny, nie powinien też odgrażać się następcy, którego pan wyznaczy.[1] Uciekali widocznie bartnicy, nie wypełniwszy tych wszystkich powinności, skoro potrzebne były dalsze uchwały, aby się nie ważył ani pan wsi, ani jego kmiecie bronić lub u siebie chować takiego zbiega. Występuje tutaj po raz pierwszy starosta bartny czyli miodowy. Jeżeli go ma poszkodowany, z nim razem ściga przestępcę, jeżeli zaś starosty niema, wtedy zastępuje go woźny książęcy. Pokazuje się z tego, że i prywatni panowie miewali swych starostów bartnych. O ich przywilejach nic prawo nie wspomina. Ustawy te odnoszą się widocznie do barci, które należą do szlachty, zapewne jednak i w lasach książęcych zaczęto podówczas wglądać więcej w samorząd bartniczy. Kiedyś były i na Rusi podobne stowarzyszenia bobrowników i sokolników, tylko znacznie szersze, tak samo u Indjan Północnej Ameryki i u wielu innych ludów. Zresztą zapominać nie należy, że jeden czynnik drugiego nie wyłącza, że związki rodowe stalsze i stowarzyszenia np. bartniczo-łowieckie pokrywały się w wielu razach i mogły współdziałać przy wytworzeniu się ściślejszej organizacji bartniczej. Poza to przypuszczenie jednak dalej iść nie można.

Trudniej jeszcze określić rozdział władzy starosty i gminu bartnego. Starosta może wykonywał pewien ro-

[1] Bandtke, Jus Pol. s. 425. Lelewel, Polska t. III. s. 140.

dzaj nadzoru nad robotami. Później jeszcze wyznaczał on jazy na rzekach (przywilej Zygmunta III), doglądał robót bartnych, musiał też przewodniczyć sądom. Władza jego mogła jeszcze pochodzić z czasów, kiedy był rodowym naczelnikiem gminy lub jej przewodnikiem wybranym. Pobierał on też bezwątpienia jakąś daninę w miodzie, ową »przygaśnię« od każdej miary, o czem już była mowa poprzednio. Prócz tego bardzo być może, że miał zawsze narzędzia bartnicze i ów »sekret« wyprowadzania rojów i podbierania miodu, a w takim razie brał większy udział w dorobku całego bractwa bartnego. Są to znowu tylko przypuszczenia. Cała sprawa tem się jeszcze zaciemnia, że nie wiadomo, o ile władza książęca później zużytkowała takich starostów, jeżeli wogóle chcemy odsunąć ich początek w tak odległe czasy; i to jest bowiem możliwe, że powstali oni pod jej wpływem i przez nią wytworzeni zostali. W każdym razie jednym z najgłówniejszych obowiązków, które na nich ciążyły przez całe średnie wieki, było zbieranie dani miodowej, po odbiór której przychodzili inni jacyś urzędnicy księcia!..

Pozostają do omówienia dwa bardzo ważne urządzenia, które zastajemy u Kurpiów w XVI w., a mianowicie nie wolno było podówczas dziać barci po całym lesie, z tym zaś wiąże się drugi objaw, że puszcza była podzieloną na części, zdaje się, równe, t. zw. bory. Każdy z bartników ma w borze swe pszczoły, łąki leśne i gdzieniegdzie skrawki obsianej roli, oraz swój stan, to jest zagrodę, w której z rodziną zamieszkuje. Są to charakterystyczne znamiona ówczesnej organizacji bartniczej. Bardzo ważnym jest oznaczenie udziału obcych czynników w tych urządzeniach, oraz wykazanie, o ile są one wytworem miejscowych stosunków. Odpowiedzi na to pytanie mogą nam udzielić jedynie zbiory praw zwyczajowych z XVI wieku.

Co do zakazu swobodnego dziania barci, to niewątpliwie dawniej było inaczej. Każdy mógł dziać barci w całej puszczy. Widać to zresztą bardzo wyraźnie z samych praw bartnych. Niszczycki naprzykład mówi: jest starodawna ustawa w aktach bartnych, aby bartnicy nie zadziewali sośniny lub dębiny, po puszczy chodząc (wyd. z r. 1730 s. 16).

Skrodzki powtarza: zabroniono u starożytnych bartników zbierać roje po puszczy, ani też nikt nie ma prawa do pszczół, świepotami zwanych, które same siadają w drzewa stare, niedziane w lasach i borach.[1] Widocznie więc dawniej miano do nich prawo i wolno było mieć pszczoły nietylko na swojej cząstce, ale i po całym okolicznym lesie, tak jak można było zbierać siano, polować na drobniejszą zwierzynę i zastawiać więcierze na ryby. Tak jeszcze robili luźni bartnicy, przedtem zaś wszyscy bez wyjątku. Było to zresztą zupełnie powszechne w reszcie kraju. Początkowo naturalnie podbierano tylko miód, nie troszcząc się zupełnie o pracowity owad, który go dostarczał, z czasem jednak chciano posiąść same pszczoły i trwale zapewnić sobie ich pracę. Leśne pszczoły latały swobodnie i osadzały się, gdzie same chciały. Powstała więc dosyć wcześnie kwestja, czy należą one do tego, czyje drzewo lub grunt, czy do tego, czyje były poprzednio. Prawo polskie zwyczajowe z XIII w., które nawet gdzieś w pobliżu Kurpi może powstało, rozstrzyga ją na korzyść poprzedniego właściciela. Miał on prawo gonić rój przy świetle słońca i łapać go przed zachodem, mógł jednak dokończyć zaczętego zbierania i w nocy. Zwyczaj ten jest pozostałością tych czasów, kiedy granic w puszczy nie było i kiedy okrąg, który można było obejść przed zachodem słońca, dawał do pszczół prawo, jeżeli zaś szły one dalej, stawały się własnością innego. ale w każdym razie własnością indywidualną Prawo to dawało możność posiadania barci i po cudzych lasach, dzikich pszczół bowiem nie przenoszono, zostawały one na miejscu, choć już w XIII w. rozróżniano pszczoły w ulach i dzieniach, swojskie i dzikie. W ten sposób powstała bardzo uciążliwa służebność bartna. Przetrwała ona do połowy XVI w., w którym to czasie zabroniono ostatecznie poddanym królewskim miewać swoje pszczoły po szlacheckich lasach[2]. Służebność ta, bardzo daleko idąca i twarda, dawała początek różnym prawnym sporom. Statut warcki w r. 1423 musiał w nie

[1] Arch. kom. hist. t. III art. 57, 59, 67.

[2] Vol. leg. II, 8, 1550 (art. 44). Na Litwie przetrwały dłużej te stosunki. Por. Lelewel, Polska, dzieje i rzeczy jej t. IV. Pszczelnictwo w Polsce 8, 521.

wglądać i zapewnić składanie dani miodowej właścicielom lasów[1]. Nie wyznaczano też miejsca na takie pasieki, cały las stał zawsze otworem, a barci można było zakładać, gdzie tylko znalazły się sposobne do tego stare i gonne drzewa. W Małopolsce np., która zawsze była bardzo lesistą, nawet zakładanie nowych osad na prawie niemieckiem nie przyniosło uszczerbku temu zwyczajowi. Przywileje lokacyjne z XIV w. wspominają często, że kmiecie mogą dziać swobodnie barci po lesie, naturalnie za opłatą dani miodowej[2].

Najdłużej jednak dochowały się te stosunki w radomskiej puszczy. Aż do ostatnich czasów po całym jej obszarze, z jakich kto chciał sosen, robił barcie.[3] Zakładali je bartnicy częstokroć razem po t. zw. kątach leśnych. W jakiej stronie puszczy, sposobnej do tego a odgraniczonej strumieniem lub drożyną, mogło być zawsze więcej barci. Było to jednakowoż zależnem od przypadku i umowy obelników, którzy się musieli schodzić w jedno upatrzone miejsce po kilkunastu, później zwykle po dwunastu, aby dziać swe barci razem[4]. Nie przeszkadzało im to bynajmniej posiadać również bartne drzewa rozproszone po całym lesie. Ograniczeń pod tym względem nie było żadnych, świadczą o tem zresztą same zapisy obelnego prawa. U Kurpiów zaś stosunki uległy dalszej zmianie o tyle, że bór stał się własnością jednego bartnika, reszta zaś puszczy nie była już dla pszczół zupełnie otwarta. Zebrane przez nas dowody wystarczają, aby uznać, że kiedyś wolno było w puszczy Kurpiowskiej dziać barci po całym lesie, barci te jednak były zawsze w indywidualnem posiadaniu. Sama zasada indywidualnego posiadania nie jest tutaj nową ani świeżo wprowadzoną. Jedyną natomiast zmianą jest terytorjalny rozdział puszczy, który wyłączał jej eksploatowanie bez ograniczenia miejsca.

Równocześnie z dążnością do podziału puszczy na bory wystąpiło ograniczenie swobodnego dziania barci. Trudno oznaczyć, kiedy jedno i drugie nastąpiło. Prawo zwyczajowe mówi o przepisach, tyczących się pszczół leśnych,

[1] Helcel I. s. 324, art. 26.
[2] Kod. kat. Krak. t. II, 8, 1332; 12, 1337; 18, 1351; 57, 1375; 75, 1389 itd.
[3] Ks. Gacki, Jedlnia, s. 69.
[4] Ks. Gacki, tamże s. 213, nr. 40.

jako o starodawnych ustawach. Na to jednak, aby jaką ustawę uznać za starą, wystarczało i sto lat. Nie pomylimy się więc, jeżeli odniesiemy je do początku XV wieku. Prawo zwyczajowe z XVI wieku wspomina o borze jako o własności indywidualnej. Nie ulega też kwestji, że był on takim od samego początku. Inna rzecz tylko, że wszystkie ograniczenia, jakim ta zasada później podległa, z niej wypływają. Niszczycki mówi: bywał zwyczaj starodawny, że bartnik bartnika zapozywał o własność, albo też o jaką bliższość boru (§ 43); w każdym więc razie musiał być bór w indywidualnem posiadaniu. Bartnik był właścicielem boru, mógł nim na rzecz synów rozporządzać (§ 43), mógł go też sprzedać (§ 43). Nie była to jednak własność zupełna, ale raczej bardzo daleko idące posiadanie. Pierwszem bardzo zasadniczem ograniczeniem, wypływającem z zasady, że praca daje własność, jest artykuł u Skrodzkiego tej treści: gdzieby bartnik na boru bartnym trzy lata nie robił, tedyby bor w niwecz się obrócił, więc powinien mu być odjętym. Mógł go bartnik drugiemu sprzedać, ale nie mógł go zostawić nieużytkowanym. Dalszem zastosowaniem i rozszerzeniem tej zasady są przepisy, odsuwające kobiety od dziedziczenia. Żadna dziewka wedle starodawnej ustawy na boru dziedziczyć niema, mówi Niszczycki, a to dla spustoszenia boru, bo na bór potrzeba gospodarza, a nie gospodyni, względem roboty (Nisz. §. 18, Skr. art. 38). Dziedziczą więc bracia, którzy spłacają siostry (S. art. 38), jeżeli zaś synów niema, wtedy dziedziczy najstarsza córka, naturalnie zamężna, której mąż koło boru robi i spłaca młodsze siostry (S. art. 39). Zasada ta idzie dalej i daje wśród samych agnatów pierwszeństwo bratu, który koło pszczół chodzić umie (S. art. 92). Toż samo, jeśli bartnik umrze bezpotomnie, bór spada na krewnych męża, żonie spłaca się wiano, gdyż niewiasta robocie borowej dosyć uczynić nie może (S. § 41).

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że przepisy te sformowano później pod wpływem zmienionych już warunków. Panujący pozostał zawsze panującym puszczy, czy to był książę mazowiecki, czy później król polski. Zwykle nikomu nie ciążył ten stosunek. Przychodziły jednak wyjątkowe chwile, w których mógł on silniej zaważyć ku zdziwieniu i niezado-

woleniu miejscowej ludności. Wszędzie w kraju kmieć nie był właścicielem gruntu, który uprawiał, był tylko jego posiadaczem; kiedyś było to nawet jego przywilejem, że mógł rolę opuścić. W XVI w. stósunki zmieniły się i objawiła się dążność do przytwierdzenia do gleby rolniczej ludności, której związek z ziemią stał się trwalszym, ale pod bardzo niekorzystnemi warunkami. Kurpiowie rolnikami nie byli zmiany te nie mogły tutaj pójść tak daleko. Wiemy, że dzięki wyjątkowym stosunkom dłużej dochowali swą wolność. Do zmian jednak przyjść musiało, aczkolwiek nie do tak zasadniczych. Kurp-bartnik w obrębie swej puszczy mógł się swobodnie poruszać, nie mógł się tylko bardzo poza nią wychylać pod grozą utraty bezwzględnej swobody. Nadto gospodarstwo leśne wraz z bartnictwem musiało zawsze wytwarzać inny stosunek do posiadanego przedmiotu, niż rolnictwo. Łatwiej było zawsze barć porzucić, nie mówiąc już o skrawku łąki leśnej lub nowizny obsianej, niż łan uprawnej roli. Sam fakt dorywczego posiadania zachował znaczenie dłużej, a z nim i zasada, że dopóki dawał pracę, dopóty był też posiadaczem i samego przedmiotu swojej pracy. Pierwotnie cały stosunek prawny musiał się do tego ograniczać i miał daleko szersze zastosowanie. Zawsze dawał każdy bartnik daninę.

Przyszła jednak chwila, że chciano te stosunki uporządkować; nastąpiło to właśnie w XVI w. Na tę epokę przypada też bliższe określenie i unormowanie wszystkich używalności leśnych. Wynikiem tego było bez wątpienia sformułowanie tych wszystkich ograniczeń, które spotykamy odnośnie do boru w XVI w. Kto koło boru nie robił, przepadała dań miodowa, więc inny ją obejmował. Kobiety nie mogły dziedziczyć, bo nie mogły podołać robocie borowej, a więc znowu o dań królewską chodziło. Było to tylko sformułowanie, a nie narzucenie z góry przepisów obcych prawnej świadomości bartników. Sama zasada prawna była pierwotna, bo znamy ją z puszczy radomskiej. Zostawiona sama sobie mogła się dalej rozwijać, zaskoczyły ją jednak wszystkie te zmiany, które ją ustaliły i nadały pewien kierunek jej dalszemu rozwojowi. To pewna, że objawiała się już zdawna dążność zamienienia barci na własność pełną,

inne leśne użytki mniej silnie ulegały temu prądowi. Być może, iż większe uwzględnienie zasady, że puszcza jest jednakże własnością króla, oraz wzgląd na całość danin, w niejednem utrwaliły, ą nawet mogły cofnąć nieco te pojęcia, które siłą rzeczy poczęły się w inne przeradzać. Musiano ponownie odsunąć kobiety od dziedziczenia i przypomnieć, że kto koło pszczół nie robi, tem samem je traci. Puszcza była każdemu dostępna, nie potrzebowano wglądać w zapewnienie danych środków produkcji. Wartość mogły mieć same pszczoły i barci jako wypracowane już osobiście. Pozostałością może szerszego stosowania tej zasady jest przepis, że ktoby zaczął dziać drzewo w puszczy, co zresztą było wzbronionem, a nie dokończył roboty, wtedy nie jego jest drzewo, lecz tego, kto je dodział. Wystarczał miesiąc, aby utracić prawo do swej pracy. Nie można przypuszczać, aby pierwotnie z góry już kobiety od dziedziczenia odsunięto, pamiętać tylko należy, iż wogóle samo dziedziczenie wobec tego, iż środki produkcji stały każdemu otworem, nie było prawdopodobnie zbyt ściśle ujęte. Sądzę, że pierwotne dziedziczenie samych sprzętów bartniczych było ważniejszem, niż dziedziczenie drzew bartnych, a te brali w spadku ci, którzy się z nimi umieli obchodzić, a więc synowie, nie córki.

Ostatnim krokiem w kierunku uporządkowania stosunków w puszczy był podział jej na równe bartne bory. Nic nie wiemy, jak rozległym był z początku taki bór i ile się w nim mieściło barci. W początkach wieku XIX było w każdym z nich 60 drzew pszczelnych. Czy liczba ta pochodzi z odleglejszych czasów, źródła nie wspominają. Prawo zwyczajowe z XVI w. mówi zawsze o borze jako stałej jednostce, przypuszczać więc należy, że podówczas bory były równe. Każdy zresztą podział — z początku równy — zatraca z czasem ową równość, rozdrobnienie wskutek sprzedaży i dziedziczenia jest główną tego przyczyną. Skoro więc u Kurpiów spotykamy jeszcze ostatki takiego podziału, opartego na zasadzie, że bór jako jednostka ma 60 barci i dzieli się go na połowy i ćwierci, należy przypuszczać, że tak było od samego początku, ale nie dawniej, niż początek XVI w. Gminy bartne nie uskutecznią go już samoistnie

i z własnej inicjatywy. Władza książęca znalazła puszczę podzieloną pomiędzy rodziny bartnicze; to musiało służyć za podstawę do jakiegoś nowego rozdziału, tym razem równego. Każdemu wydzielono 60 barci na jednem miejscu. Użyto do tego miejscowych czynników, a więc starosta albo starostowie i cały gmin bartny brali w tem udział, ale tylko jako wykonawcy. Na drodze ewolucji nie mogłoby dojść do podziału puszczy na równe bory. Wzgląd na równe rozłożenie danin i łatwiejsze ich pobieranie zaważył tutaj głównie i wpłynął przedewszystkiem na równy podział. Sama przez się organizacja bartnicza nie dawała tak szerokiej władzy gminowi, a tem mniej staroście.

Źródła XVI w. pozwalają nam na takie mniej więcej odtworzenie dawniejszych stosunków, oraz oznaczenie, co jest zmianą późniejszą. Jednym z główniejszych wyników, któreśmy z nich wyciągnęli, jest, że nie możemy stosunków XVI w. uważać za pozostałość komunistycznych urządzeń. Naturalnie o względności tych wyników zbytecznem byłoby mówić; nauki społeczne są zazwyczaj narażone na to, że w bardzo wielu razach kilka różnych hipotez równie dobrze wyjaśnia jedno i to samo zjawisko; wzgląd na materjał, którym się rozporządza, musi zawsze ograniczać pewność i możność stawiania takich hipotez. W naszym wypadku, jak sądzimy z tych niewielu wskazówek, łatwiej jest dojść do tych właśnie wniosków. Formy związków rodowych lub stowarzyszeń, o których mówiliśmy, są rozliczne i mogą się łączyć niekoniecznie z jedną tylko formą własności, ale z drugiej strony tak niewiele wiemy o tej organizacji rodowej, że na niewiadomych trudno jest wszystko budować. To zaś, co później wiemy o bartniczej organizacji, nie popiera twierdzenia o komunistycznych urządzeniach bartniczych, a tylko w takim razie równy podział puszczy na bory byłby możliwym. Tam zaś, gdzie wogóle bardzo mało się można dowiedzieć o jakiejś instytucji zawsze jest ostrożniej nie rozszerzać jej znaczenia, a tem samem nie starać się wywieść z niej zbyt wielu objawów.

Bartnicza organizacja Kurpiów ulega zmianom i przeobrażeniom, przychodzą nowe czynniki, które się do niej mięszają i które ją modyfikują, sami zresztą bartnicy coraz

więcej stali się zamkniętem stowarzyszeniem. Wzięto się do zaprowadzenia stałych sądów bartnych, do spisania zwyczajów prawnych i do ich obostrzenia. Puszcza miała już swą podwójną ludność: właścicieli borów i włóczęgów. Pierwsi krzywo się na drugich patrzyli, byli osiadli, zasobniejsi i porządni, tamci podejrzani o różne złe rzeczy, może zresztą i niebezpieczni, ale pod względem ściśle ekonomicznym jedni nie różnili się niczem prawie od drugich. Gospodarstwo osiadłych bartników było uporządkowane, strona jednak techniczna i cały sposób wyzyskania przyrody pozostał bardzo pierwotny. Czy starosta bartny był szlachcicem czy nie, czy gmin stracił więcej lub mniej ze swej dawniejszej władzy, bartnik bez zmiany mógł obłazić sosny na bartnym powrozie, zastawiać sidła na zwierza i kosić resztę łąki. Daniny, które Kurpie opłacali jeszcze w początkach XIX wieku. najlepiej tego dowodzą, jak również i cała techniczna strona gospodarstwa, które do niedawna jeszcze pędzili.

4 Daniny bartnicze.

Zbiory praw bartnych z XVI wieku, oraz przywilej Zygmunta III z r. 1620 tak określają daniny i powinności Kurpiów: od znamienia boru każdy składa przedewszystkiem dań ze swych barci, a więc tak zwaną rączkę miodu, prócz tego zaś za skórkę kuny płaci groszy 15 i dla strzelców królewskich winien każdy siana stożek postawić albo znowu za nie dać 15 groszy staroście łomżyńskiemu. Tak Zygmunt III oznacza ich daniny, dodając: onych przy tymczasowym prawie i zwyczaju zachowujemy i mieć chcemy. Skrodzki wspomina, iż starosta bartny ma wybierać od bartników pieniądze kunne, siana obroczne albo pieniądze za nie, miody nastawne; podobnież mówi Niszczycki.

Wszystkie te daniny dziwnie jakoś wyglądają w XVI w. Kraj jest już zupełnie rolniczym, kmiecie płacą czynsze, a jeśli składają dań, to przedewszystkiem w ziarnie, dają też częstokroć len, kapłony i jaja. Sięgają więc te kurpiowskie daniny o wiele odleglejszych czasów. Wprawdzie spłacają już oni w pieniądzach niektóre powinności, ale to naturalnie jest niedawno wprowadzone, może dopiero w XV w. Kilka miasteczek istniało już wtedy na skrajach puszczy

co umożliwiło taką zmianę; sprzedawali u nich Kurpiowie miód, ryby i łupieże zwierzęce i to im pozwoliło na taką zmianę, niemożliwą dawniej. Owe daniny są już anachronizmem w epoce ich spisania i ustalenia; należy je cofnąć, aby odnaleźć czas, w którym są powszechne i zgodne z gospodarstwem całego kraju. I rzeczywiście im więcej oddalamy się od XVI w. i jego ekonomicznych warunków, widzimy, jak coraz bardziej zatracają swój wyjątkowy charakter, a wreszcie zlewają się zupełnie z tłem.

Na pierwszy rzut oka nie trudno poznać w tej dani miodowej, w skórkach zwierzęcych i sianie dla strzelców dawnych średniowiecznych danin i powinności. Kiedyś były one zupełnie powszechnemi. Powinności, które były związane z polowaniem i łowieniem wszelkiego rodzaju zwierzyny, należały do twardszych i uciążliwszych dla ludności rolniczej w XII i XIII w.; znamy je zresztą znów w części ze stosunków puszczy radomskiej, gdzie tak długo utrzymywali się strzelcy królewscy. I tutaj był dwór myśliwski w Krusku, bywały też i polowania, aczkolwiek nie tak częste; jak w Jedlni i Kozienicach. Kurpiowie byli zawsze osocznikami podczas takich łowów i mieli obowiązek postawienia przy swej zagrodzie, t. zn. stanowisku bartniczem, stoga siana dla przejeżdżających strzelców królewskich.

Bez wątpienia dawniej powinności względem różnego rodzaju łowców książęcych były o wiele cięższe i bardziej różnorodne. Cała ta zgraja sworowników, iskaczy, bobrowników, sokolników i t. d. potrzebowała i sama jeść i paszy dla psów i koni. Może najdłużej w reszcie kraju pozostał obowiązek dawania siana, nareszcie i on zaginął, pozostając jedynie w puszczy kurpiowskiej. Siana potrzebowali wszyscy, niezbędnem było dla bardzo licznych podwód i posłańców wszelkiego rodzaju, dla koni książęcych, a może i dla załóg, stojących po grodach kasztelańskich. Dyplomaty z XIII wieku, szczególniej wielkopolskie, wymieniają często między innemi powinnościami wóz siana i wogóle paszy, należał on do t. zw. stanu[1]. Potrzebowali go nie-

[1] Kod. Wielkopol. t. I nr. 432 r. 1268, nr. 443 r. 1261, nr. 447 r. 1272, nr. 624 r. 1288, tom II nr. 639 r. 1289, nr. 711 r. 1293, nr. 795 r. 1298.

mniej liczni łowcy i podłowcowie książęcy. Wyraźnie mówi o tem przywilej dla biskupstwa kujawskiego z r. 1255; zastrzega on, iż, gdyby w nocy przyszli łowcy książęcy tak zw. iskacze, mają się tylko sianem zadawalniać[1]. Była to danina już złagodzana i w tej formie przetrwała u Kurpi, którzy zresztą mogli ją spłacać. Dań w sianie, tak zw. sienne przechowała się we wsiach, lokowanych na prawie polskiem w kasztelanji pabjanickiej, jeszcze w XV wieku, gdzieindziej nie spotykamy się z nią w tym czasie.

Danią czysto ekonomicznej natury, związaną z życiem gospodarczem Kurpi, była kuna i miód. Łupieże zwierząt miały wielkie znaczenie w pierwotnem gospodarstwie polskiem, od bardzo dawna stanowiły one nietylko rzecz osobistej potrzeby, ale i przedmiot handlu wywozowego. Praga np. już w X wieku była targiem na różne futra, między innemi bobrowe (Al-Bekri). Zatem poszło, iż bardzo wcześnie musiały one służyć na różnorodne potrzeby państwowe i ekonomiczne. W XII wieku i później pobiera w nich kościół dziesięciny, ludność wiejska opłaca różne inne ciężary i składa panującemu ogólną daninę.

Arcybiskup gnieźnieński pobierał w XII w. między innemi pełną dziesięcinę w skórkach kunich i lisich. Na Mazowszu taka dziesięcina kościelna była zupełnie powszechna jeszcze na początku XIII w. Dało to nawet powód do zatargów biskupa płockiego z księciem Konradem[2]. Spór powstał o to, że w okolicach mniej ludnych z Mazowsza nad Bugiem płacono od pługa 5 skórek wiewiórczych, gdy kościół dopominał się o dziesięcinę snopową. Za pośrednictwem arcybiskupa gnieźnieńskiego oraz biskupów poznańskiego i kujawskiego zawarły strony układ, który potwierdził Grzegorz IX w r. 1232. Mocą tej umowy tak w okolicach nadbużańskich, jak i na całem Mazowszu, poddani zostali zobowiązani składać dziesięcinę snopową zamiast dotychczasowej w łupieżach kun lub wiewiórek. Podobny spór o dziesięcinę wiódł w r. 1226 Wawrzyniec, biskup wrocławski,

[1] Ulanowski Dokum. nr. 14, r. 1255.
[2] Kod. Maz. nr. 3, r. 1220–33.

z Henrykiem Brodatym. Zgodzono się w tym wypadku, aby osadnicy niemieccy opłacali ją w zbożu w kasztelanji krośnieńskiej, a w pieniądzach do granic Otmuchowskiej, w bytomskiej zaś, żegańskiej, wleńskiej i bolesławskiej musiał się nadal kościół zadawalniać miodem i łupieżami popielic od ludności polskiej. Zamiana więc gospodarstwa leśnego na więcej zbożowe i pieniężne uskuteczniała się wtedy na Śląsku kosztem miejscowej ludności.[1]

Oddawano też często w łupieżach zwierzęcych różne daniny stałe lub niestałe. W XII w. opłacano ua Mazowszu myta kunami; świadczy o tem wspomniany poprzednio przywilej katedry płockiej. W dwóch grodach nad Bugiem, w Brańsku i w Broku, pobierał biskup od każdego, który się w tamte strony wraz ze swą chudobą przenosił, po 6 kun.[1]

Podatkiem stałym i powszechnym było podworowe, zdaje się równoznaczne z podymnem. Opłacano je niekiedy w miodzie i zbożu, ale zwyczajnie dawano krowę, na Mazowszu jednak, może częściowo i w Małopolsce, zastępowała ją kuna[2]. Inną daniną w ten sposób opłacaną było dziewicze; pobierał je książę od dziewczyn, wychodzących za mąż. Darmo występowało duchowieństwo przeciwko niej, grożąc klątwą temu, ktoby się ją ważył wybierać. Zniósł ją wreszcie Henryk Brodaty jako zły i gorszący obyczaj w Małopolsce. Na Mazowszu utrzymała się dłużej mimo klątw i zakazów synodalnych.[3]

Prócz tego na całej ludności cywilnej ciążył obowiązek składania podobnej dani w łupieżach wiewiórek, lisów i kun, na te zwierzęta bowiem wolno było polować. Spotykamy się z nią przy różnych nadaniach i to nader wczesnych, w których książę ustępował ją na rzecz kościoła. Królowa Judyta darowała kasztelanję chropską krakowskiej kapitule wraz z dochodami w zbożu, miodzie i w skórkach

---

[1] Stenzel Urk. des Bisth. Breslau nr. 1, Tschoppe u. Stenzel, Urkundensam. s. 34.

[2] Mon. Pol. t. IV s. 429.

[3] Kod. Maz. nr. 7 r. 1231, nr. 28 r. 1257.

[4] Kod. Wielkop. I nr. 302 r. 1262.

wiewiórczych i kunich. Klasztor tyniecki wybierał od każdej zagrody po 4 popielice, kasztelan wojnicki zaś 2, co razem stanowiło 6. Zdaje się zresztą, że w Małopolsce danina ta należała pierwotnie do uposażenia kasztelanów. Pobierał ją, a przynajmniej rościł do niej prawa kasztelan wojnicki oraz kasztelan czchowski. Prędko jednak, bo już w połowie XIII w., książę znosił tę powinność, snać uciążliwą, i odsądził od niej obydwóch tych dostojników, jednego na korzyść klasztoru tynieckiego, a drugiego na rzecz kapituły krakowskiej.[1]

Był to zresztą czas, w którym książę rozdarowywał różnego rodzaju daniny, należące niegdyś do jego urzędników. Grudki soli, które pobierał z Wieliczki koniuszy książęcy, dostał klasztor staniątecki. W ten sposób kasztelan krakowski utracił sól, pobieraną przez niego z Bochni. Część uposażenia wojskiego i koniuszego krakowskich przeszła w ręce tegoż samego klasztoru.[2] Ostatnia wzmianka o skórkach wiewiórczych jako o daninie, którą ludność wiejska składała bezpośrednio księciu, pochodzi z Mazowsza z roku 1293.[3]

To szerokie zastosowanie, które łupieże znalazły w organizacji państwowej i kościelnej, spowodowały, że zaczęto je uważać za środek obiegowy, za pieniądze, ponieważ posiadały same przez się dużą wartość, były lekkie, a zatem łatwo przenośne, nie ulegały zepsuciu, mogły więc stanowić dogodną i stałą jednostkę więcej jednostajnej miary. W państwie Mieszka, według opowiadań Al-Bekrego, poddani opłacali podatki w bizantyńskich mitkalach, które szły na utrzymanie jego zbrojnej drużyny. Otóż jest bardzo wątpliwe, czy istotnie tak być mogło; nie zgadza się to z wykopaliskami archeologicznemi, a co więcej przeczy temu późniejszy stan ekonomiczny Polski. Tenże sam Al-Bekri podaje, że w Czechach dziesięć kawałków płótna miało zawsze wartość jakiejś bliżej nam nieznanej monety (knyszar). Podobną jednostkę monetarną musiała w Polsce bardzo wcześnie

[1] Kod. Tyn. nr. 20 r. 1258; Kod. Kat. Krak. nr. 60, r. 1259.
[2] Kod. Pol. III nr. 25, r. 1354.
[3] Ulanowski Dokum. 2, 255.

stanowić łupież z kuny lub pewna ich liczba, dochowała się zaś dłużej, niżby można przypuścić. Pod koniec XIII wieku używano jeszcze w dzielnicy małopolskiej łebków wiewiórczych jako środka zamiennego. Nie dziw więc, że w ten sposób można było opłacać różne daniny i prawie wszystkie kary sądowe. Był to bowiem pewien stały równoważnik ówczesnej grzywny. Więcej go było w obiegu, niż srebra, które zawsze trudniej ludziom przychodziło, niż błam cennego futra. I tak np. kasztelan czchowski z tytułu swego urzędu pobierał 20 grzywien w kunach od ludzi jego kasztelanji; naturalnie wolno je było uiścić nietylko w skórkach tych zwierząt, ale i w srebrze według pewnego stałego stosunku, a mianowicie 1:3 [1]. Stosunek ten dochował się długo w karach sądowych i był powodem różnicy między wartością grzywny obiegowej i grzywną, którą się w sądach płaciło. Zwyczaj płacenia kar w rzeczywistych łupieżach musiał być jeszcze dość powszechnym w XIII w., prędko jednak wychodzi z użycia i niknie. Przypuścić trzeba, że owe łebki wiewiórcze były tylko rodzajem najniższej zdawkowej monety, nie zaś właściwym pieniądzem. Kary sądowe, związane z organizacją państwową, zachowały stary stosunek między pieniądzem w kruszczu i łupieżach, którego to stosunku nie umiano sobie wyjaśnić już w XV wieku. Prawo polskie z XIV wieku wspomina ten zwyczaj raz jeden tylko, mianowicie za naganę wyroku dawał naganiający kasztelanowi krakowskiemu łupieże gronostajowe, sandomierskiemu zaś, lubelskiemu i wszystkim wojewodom łasicze, innym urzędnikom kunie i lisie; dawano je podówczas nie jako równoważnik pieniężny czem bezwątpienia były niegdyś, lecz jako przedmiot sam przez się cenny i rzadki.[2] Można więc powiedzieć, że w XIV wieku już tylko wyjątkowo łupieże zwierzęce pojawiały się jako kara sądowa, zachowując wartość przedmiotu cennego i poszukiwanego. Na Mazowszu mogły się dłużej utrzymać, zniknęły jednak i tam jako dań powszechna również w XIV wieku, przynajmniej w drugiej jego połowie. Z czasem po-

[1] Piekosiński, Kod. Kat. I s. 77. Ekskurs.
[2] Helcel St. Pr. Pol. Pom. 1, 117 i 128.

została po nich tylko stara nazwa. Jeszcze w początkach XVI wieku nazywano wiardunkiem kunnem opłatę, którą poddany wnosił swemu panu, jeśli wydawał córkę poza granicę jego posiadłości[1], naturalnie opłacał ją w srebrze. Zupełnie wyjątkowo i sporadycznie występuje w Małopolsce danina skórek i to w majątkach duchownych. Wieś Pychowice, własność kapituły krakowskiej, z każdego łanu dawała dwie skórki wiewiórcze, zdaje się na kołnierze dla kanoników. Prócz tego zaś kmiecie dwóch wiosek klasztornych dawali dwie skórki wiewiórcze[2].

Warunki fizjograficzne i gospodarcze przechowały u Kurpi starą tę daninę zupełnie niezmienioną. Każdy Kurp albo dawał kunę, albo płacił za nią 15 groszy. Kiedy ta reluicja nastąpiła, osądzić trudno, zdaje się, że gdzieś w XV wieku, a nie później. Za czasów spisania praw zwyczajowych większość Kurpi wolała niewątpliwie płacić 15 groszy, niż dawać kunę; że jednak mogło być inaczej, wiemy ze stosunków późniejszych. Starosta łomżyński posyłał zapewne owe skórki do Gdańska na sprzedaż, zresztą i w kraju łatwo było znaleźć na ten towar kupca.

W najstarszych nadaniach miód występuje prawie zawsze razem z łupieżami. Obie te daniny są ściśle ze sobą związane jako wyraz pewnego trybu gospodarstwa; występują one współcześnie, ale przedstawiają pewne różnice. Za czasów Mieszka I Polska była bogata w miód, z którego umiano przyrządzać napój[3]. Daniny w miodzie były tak samo rozpowszechnione, jak w łupieżach. Udzielni książęta Polan już ją pobierali, znana była i u Słowian Połabskich; jako od uciążliwej uwalniano od niej niemieckich przybyszów. Łupieże i pszczoły łączyły się w gospodarstwie, łączono je później w dyplomatach. Kasztelanja chropska dawała kapitule krakowskiej miód prócz wiewiórczych łupieży. Kapitule włocławskiej dawał książę Leszek wprost ze swej

[1] Dunin. Prawo mazow. str. 59.

[2] Długosz, Lib. ben. I s. 163, III s. 238 i 283.

[3] Al-Bekri, w tłum. F. Westberga, Memoires de l' Acad. imp. St. Petrb. VIII ser. t. III str. 55. I. Gal wspomina o miodopłynnych lasach (silva melliflua).

spiżarni 10 donic miodu[1]. Toż samo arcybiskup gnieźnieński pobierał w roku 1136 dziesięciną w miodzie z 6 ciu grodów. benedyktynom w Tyńcu składali poddani od każdej zagrody po jednej donicy. Są to wszystko darowizny książąt na rzecz nowo organizowanego kościoła. Miód, aczkolwiek bardzo powszechny, mniej się nadaje do obiegu i obrotu, nie przybiera też funkcji pieniądza. Jest trudniejszy do przenoszenia, nie stanowi sam przez się takiej jednostki wartości, jak skórka, i służy do zaspokojenia miejscowej konsumcji, do wywozu w dalsze kraje wcalę się nie nadaje. Są jeszcze i inne różnice: na kuny się poluje, pszczoły się chowa, pewnie też na nie liczyć można i danina może być stalsza i utrzymać się dłużej, czego przykładem są sami Kurpiowie.

Była dań miodowa bardzo powszechną, z samego początku może powszechniejszą od łupieży. Pszczoły zawsze większą odgrywały rolę w zwyczajach prawnych dawnych czasów. Prawa celtyckie, jak Senchus Mor i księga Aicylla, zawierają mnóstwo przepisów, tyczących się zabezpieczenia pszczół i szkód przez nie wyrządzonych. Później w XI wieku przyszło nawet do spisania oddzielnej księgi bartniczej w Irlandji[2]. Wspominają o pszczołach dosyć często także germańskie Leges Barbarorum.

Słowianie zapoznali się z miodem i pszczołami, nim zajęli obecnie swe siedziby. Był to jeszcze wspólny dorobek kulturalny ludów aryjskich, świadczą o tem wspólne nazwy na miód i pszczoły we wszystkich prawie językach tej grupy. O barciach wspomina kilkakrotnie tak zw. Prawda Ruska, o miodzie zaś serbsko-bizantyński zbiór praw rolnych[3]. Dań miodowa jest bardzo starą i rozpowszechnioną na całej Rusi[4]. Znane jest bartnictwo wśród Czechów, w XI wieku jest tam dziesięcina miodowa, a oprócz tego ma książę miód po swych spiżarniach i ludzi, którzy się wyłącznie pszczołami zajmują. Biskupstwo misneńskie, powstałe na ziemiach Dalemińców, Milżan i Łużyczan, pobiera dziesię-

[1] Kod. Pol. II a. nr. 2 z 1185.
[2] Laws of Ireland t. III str. 162—203 i 433—441, t. II str. 109—121.
[3] Pawłow, Słow. grecki Nomo kanon. § 67 i 60.
[4] Władimirski-Budanow, Obzor str. 80—81.

cinę w miodzie[1]. Później w XII wieku uwalniano od niej niemieckich przybyszów[2], tubylcy dłużej ją musieli opłacać.

Miód miał bardzo szerokie zastosowanie w życiu gospodarczem każdego z tych ludów, i nic dziwnego, na całej północy bowiem była wielka obfitość pszczół. Świadczy o tem fakt, iż bardzo długo używano tych samych miar na miód i na ziarno, a zdaje się i na mleko; przynajmniej wspólność nazw na to wskazuje; choć nie wyłącza to przypuszczenia, że mogły być one w rzeczywistości różne. Pierwotnie miary słowiańskie robiono z kory lub gliny. W Czechach w XI wieku, a na Rusi w XIII wieku, istnieje miara na miód: łukno, tak nazwana od łyka, jak korzec nazwany jest od kory lub korzenia[3]. W Serbji w XIV wieku łuknem mierzono i żyto[4]. Tylekroć wspominana w średniowiecznych źródłach urna mellis prawie zawsze była z gliny. Na Łużycach mierzą miód na donice, a w Czechach nazywa się urna wprost garnkiem[5]. Donica miodu, wspominana na Śląsku w r. 1224[6], jest naturalnie gliniana. W Polsce pospolicie zwie się ta miara pokową i jest używana wyłącznie na miód, gdy na Pomorzu jeszcze w XIII wieku służy do mierzenia zboża. Z radła płacono dwie pokowy, jedną żyta, drugą owsa. Prócz tego jest ona dotąd używana w Serbji i na Węgrzech, w Czechach zaś w XI wieku mierzono nią owoce. Wyraz pokowa, po czesku okowa, jest w związku ze starosłowiańskiem kovati, kuć, okuwać, a więc było to naczynie ujęte żelazną obręczką. Nie śmiemy twierdzić, czy była z gliny; gdyby tak było i gdyby można udowodnić, że miód i ziarno chowano początkowo w glinianych naczyniach, jak to jest zwyczajem u wielu ludów pierwotnych, to niewątpliwie owe gliniane donice musiałyby być podobne do tych dużych donic, które służą w grobowcach słowiańskich za pokrywy dla mniejszych popielnic i łzawnic.

---

[1] Cod. dipl. Lusaciae Sup. t. I nr. 3 r. 968.

[2] Cod. Sax. Reg. t. II nr. 50, r. 1154.

[3] Jireczek, Władimirski-Budanow str. 81, Miklosich, Etym. Wörterbuch.

[4] Uspenskij, Materjały str. 52.

[5] Jireczek, Das Recht in Böhmen u. Mähren II s. 29.

[6] Häussler, Urkundensam. d. F. Oels nr. 35.

Wśród ludów słowiańskich nie pozostawała Polska w tyle, przeciwnie może więcej, niż gdzieindziej, roiło się w niej od pszczół i więcej się nimi ludzie zajmowali. Po udzielnych książętach plemiennych przejęli dań miodową Piastowie. O pobieraniu jej dowiadujemy się długi czas jedynie z różnych nadań na rzecz kościoła, sięgających niewątpliwie XI wieku, choć spisanych później. Dań miodową składa ludność kasztelanji chropskiej, poddani klasztoru tynieckiego dają po donicy od zagrody, arcybiskup gnieźnieński pobiera dziesięcinę z miodu w swoich grodach.

Z nadania księcia pobierał dań miodową ten lub ów klasztor albo biskup, cała jednak ludność płaciła ją długo jeszcze panującemu. Pod koniec XIII wieku chojnie szafuje nią król Przemysł na rzecz różnych klasztorów. Ginie ona mniej więcej równocześnie we wszystkich dzielnicach jako dań powszechna z chwilą rozwiązania dawnych stosunków średniowiecznych w drugiej połowie XIV w., ginie jednak nie tak powszechnie, jak wiele innych średniowiecznych ciężarów, z powodu ciągłego i powszechnego zapotrzebowania miodu.

Rola miodu w gospodarstwie średniowiecznem nie ograniczała się do tej jednej powszechnej daniny, którą ludność składała panującemu. W stosunku do łupieży nie miał on wprawdzie tych wszystkich warunków i nie został środkiem obiegowym, w stosunku jednak znowu do zboża posiadał przewagę, był cenniejszym i łatwiej dawał się przewozić jako mający mniejszą objętość. Bardzo też wcześnie zaczął służyć za równoważnik przy opłacaniu ciężarów i danin, a nawet niektórych kar sądowych.

W kraju tak przeważnie leśnym i mało rolniczym, jak ówczesna Polska, zadowalniał się kościół początkowo dziesięcinami, na jakie stać było ówczesnych mieszkańców. Obok łupieży występuje i miód w dziesięcinach kościelnych. Na Śląsku w pierwszej połowie XIII w. składano dziesięcinę w miodzie lub w skórach, czasem w obydwóch razem, czasem znowu w jednym albo drugim przedmiocie, zależnie od tego, czy bartnictwo czy łowiectwo przeważało w pewnej okolicy. W innych dzielnicach podobne stosunki musiały panować.

Z powodu swego powszechnego użycia i tych pewnych obiegowych, jakbyśmy powiedzieli, właściwości występuje miód w systemie danin średniowiecznych kilkakrotnie jako reluicja. Podworowe było daniną bardzo powszechną, a różnorodnie opłacaną; można je było opłacać w bydle, kunach, zbożu i pieniądzach, a także i w miodzie. Kuny i miód są zdaje się najstarszemi formami tej dani.

Na potrzeby dworu książęcego na t. zw. stan opłacała ludność wiejska rozliczne przedmioty i pełniła różne powinności. Wybierano pieniądze, zboże, miód, owies, siano, a wszystko według pewnego stosunku. Wnet jednak zaczęto zlewać te różnorodne daniny w jedno. Bezwątpienia taką zamianą jest stan, płacony przez klasztor mogilski w zbożu lub pieniądzach, takim jest także i ten, który w początkach XIII w. odstąpił książę Henryk Brodaty biskupowi wrocławskiemu i klasztorowi trzebnickiemu[1], a pobierał on z dóbr kościelnych po 60 donic miodu właśnie tytułem tej daniny. Za niektóre używalności leśne czyli t zw. gajowe płaciło się księciu zwykle miarę owsa, dawano za nie także i donice miodu. Zawsze i stale donicą miodu opłacało się dziewicze, które jako krzywdzące zniósł książę Konrad w dobrach biskupa płockiego w r. 1232. Potępiał je synod sieradzki 1262, a ostatecznie zniósł ks. Henryk Probus. Bardzo wcześnie występuje miód przy karach sądowych. Pierwsza wzmianka o tem znajduje się w starem nadaniu dla benedyktynów w Tyńcu. Poddanym tego opactwa karę za złodziejstwo wolno było okupić trzema donicami miodu, karę zaś sześciu grzywien, która zresztą w XIII wieku wynosiła zazwyczaj dziewięć skojców[2], jedną donicą, zabójstwo okupuje się sześcioma grzywnami. Ludzie Jerozolimskich Szpitalników, skazani na sześć grzywien, mogli dać również krowę albo donicę miodu. Przypuścić należy, iż mamy tutaj do czynienia z karą dodatkową, którą składało całe opole, jeśli nie odszukało zabójcy[3]. Podobne stosunki panowały w Czechach, z tą tylko różnicą, że tam cała osada

[1] Heussler, nr. 35 r. 1224, Stenzel, nr. 211.
[2] Prawo zwyczajowe XIII w.
[3] Najdokładniej: Heussler Urk. d. F. Oels nr. 31, r. 1221.

opłacała tę karę w pieniądzach, nie w miodzie[1], nazywała się ona również jak w Polsce głową; istnieje ona w źródłach jako donica zagłówna — urna capitalis — i bardzo często jest równoznaczna z donicą opolną — urna provincialis. Być może, iż dopłacano ją na rzecz kasztelanów przy każdem zabójstwie. Widzimy zatem, że i miód spełniał także dosyć różnorodne funkcje w gospodarstwie i urządzeniach średniowiecznych.

Cofnięta i przeniesiona w te czasy owa dań miodowa Kurpi w XIV w. nie zyskuje jeszcze przez to samo tła zupełnie jednostajnego. Niektóre z tych funkcyj eliminują się same, inne należy bliżej poznać. Nie jest ona karą sądową ani dziesięciną, prędzej mogłaby być reluicją jakiegoś ciężaru, ale i za taką jej nie mamy. Wprawdzie w XVI wieku jest mowa o miodach nastawnych, które oddają Kurpiowie, właściwem stanem nie są one jednakże, ani nie nawiązujemy ich do innej daniny, zwanej w XIII w. nastawą. Jest więc pozostałością powszechnej dani miodowej, którą niegdyś składali wszyscy mieszkańcy kraju. Kurpiowie byli zawsze bartnikami i tego jednego ciężaru nie mogli na pieniądze zamienić.

Dań miodowa pochodzi z tej samej epoki, co i zaludnienie puszczy; czy jednak danina w miodzie przez cały ten czas pozostała tak zupełnie niezmienioną i czy ją wprost można odnieść do najstarszych jeszcze ogólno-słowiańskich urządzeń, o to pierwsze pytanie, które się nasuwa. Odpowiedź nie jest łatwą. Droga wsteczna, jedynie możliwa, jest dosyć trudna. Pierwsza jej część od XVI w. jako punkt wyjścia za tym wątkiem, którego nam dostarczają same kurpiowskie stosunki tej epoki, nie przedstawia trudności. Warstwą środkową, węzłem, przez który wszystko przechodzi, jest wiek XIII. Stosunki więc tego czasu, które też do historji dani dostarczają najobfitszego materjału, należy dopiero zestawić z najstarszemi, pierwotnemi, i przekonać się, o ile uległy zmianom.

Najpierw trzeba nawiązać późniejszą dań miodową Kurpi do jej form średniowiecznych. Każdy bartnik w pu-

[1] Jireček, Das Recht in Böhmen u. Mähren, II s. 138.

szczy mazowieckiej składał w XVI w. rączkę miodu od znamienia boru swego. Prawo bartne poprzestaje na wymienieniu jej bez bliższych szczegółów. Nicbyśmy o niej bliższego nie umieli powiedzieć, gdyby nie późniejsze dane[1]. Wynosiła ona 15 $^1/_4$ garnca jeszcze na początku XIX wieku. Ułamek wskazuje, że mamy tutaj do czynienia z czwartą częścią jakiejś miary. Tak jest w istocie. Jeden z dokumentów mazowieckich z końca XIV wieku podaje, iż rączka jest czwartą częścią donicy miodu miary łęczyckiej, owej urna mellis tylokrotnie wspominanej w źródłach[2], a była także, przynajmniej w końcu XV wieku jeszcze, czwartą częścią pokowy. Wynosiła więc rączka sześćdziesiąt jeden późniejszych garncy polskich. Jest to bardzo dużo, jeżeli się zważy, iż Kurpiowie nie oddawali miodu pitnego, lecz patokę, ów mel crudis, o którym Długosz wspomina. Już w XV wieku musieli Kurpiowie składać na rączki dań miodową. Statut warszawski z r. 1401, głównie bartnikom i pszczołom poświęcony, mówi o niej: każdy bartnik, który panu barć oddaje, w dzień św. Wojciecha na każdą rączkę ma wywieść i jawnie ukazać dwoje pszczół, dobrze godzące w swoim roju całe, według słów statutu[3]. Wprawdzie nieco dalej ten sam statut wymienia inną miarę na miód, bliżej nieznaną; oto starosta bartny powinien złożyć roczną dań, zwaną kycz (w polskiem tłumaczeniu: kiść). Bardzo być może, że obie te miary są jednak równoznaczne. W przywileju księcia Bolesława Mazowieckiego z r. 1241 wspomniana jest przy wyliczaniu, z czego się składa podworowe, naraz między innemi i k y z a; zdaje się jest to ta sama kycz (kiść). Trudno sobie wystawić, w jaki sposób miód mierzono kiścią, kiść bowiem jest to samo, co staro-słowiańskie kita = gałęź, później kiść, wiązka, pęk, ale, zdaje się, że i to, co się ręką da ująć, a więc równoznaczne z łacińskiem »manuale«. Tak też jest u Knapskiego.

Szczegóły, przytoczone wyżej o rączce i jej stosunku do pokowy, rzucają ciekawe światło na sposób, w jaki opła-

[1] Połujański, Opisanie lasów Królestwa Polsk. t. I s. 55.

[2] Ulanowski, Dok. s. 90 r. 1387.

[3] Bandtkie, Jus pol. str. 425, Lelewel, Polska t. III s. 141. [Arch. Kom. prawn. t. III s. 319].

cano dań miodową w XIII w. i XIV w. Zazwyczaj pojedynczy osadnik dawał rączkę, to jest ćwierć donicy lub pokowy, czyli czterech składało się na całą. Że tak było istotnie, wskazuje między innemi szczegół, że w XIII w. i później urna mellis — naturalnie w znaczeniu rączki — przedstawia wartość wiardunku tj. czwartą część grzywny. Wieś Dobrzyn na Śląsku w r. 1279 dawała 120 donic miodu, jako reluicję wszystkich ciężarów albo wiardunek za donicę[1], płaciła więc nie 120, ale 30 pełnych poków wartości 30 grzywien. Cyfra ta zarazem przedstawia sumę, na jaką dochód z tej wsi był oznaczony. Ta sama dzielnica dostarcza kilku innych przykładów podobnego rozłożenia dani miodowej. Książę Henryk Śląski w r. 1224 przy obłóczynach swej córki, mniszki w trzebnickim klasztorze, dał na światło przed wielki ołtarz cały swój stan z milickiej kasztelanji. Był bardzo hojny i darował jeszcze cztery wioski z bartnikami, którzy je zamieszkiwali. Każdy z nich składał ośm donic miodu, jeżeli orał czterema wołami, jeżeli zaś dwoma, połowę[2]. Z trzech tych wiosek ustąpili bartnicy polscy w ciągu XIV w. przed obcymi przybyszami z Niemiec, w czwartej, w Łazach, dochował się do późna ten stosunek. W r. 1410 było tam ośm dziedzin, cztery z nich dawało po ośm donic miodu, reszta po pięć i trzy. Wolno im było opłacać za donicę jeden wiardunek[3], czyli donica miodu musiała być już w XIII w. równą rączce tj. $^1/_4$ pokowy, skoro liczono ją w takim szacunku i później. Każda więc dziedzina opłacała dwie lub jedną całą pokowę wartości całej grzywny lub połowy. W tym samym czasie dwie inne polskie osady na Śląsku: Domaniewice, zamieszkałe w XIII w. przez komorników księcia, oraz Perśnice, wspominane już w XII w., opłacały czynsz w miodzie. Tam także kilka dziedzin składało podówczas, jak dawniej, po ośm donic albo wiardunek za donicę. Inna znowu bartnicza osada w Sieradzkiem, Czyżemin, jedna z wiosek dawnej kasztelanji chropskiej, istniejąca już w XIII w., składała

[1] Grünhagen, Regesta nr. 1616.
[2] Häussler, nr. 34.
[3] Cod. dipl. Sil. t. IV s. 258.

SEMINARYUM PRAWNICZE UNIW

w 1493 po 4 rączki z łanu lub wiardunek za rączkę; później dopiero stosunki w niej uległy zmianie i kmiecie-bartnicy mogli swą dań opłacać według bieżącej ceny targowej. Po rączce czy też po kwarcie miodu, bez wzmianki o wykupnie za wiardunek, dawały dwie jeszcze wioski na Kujawach w XVI w. Bardzo długo podobne stosunki zachowały się wśród obelników w puszczy radomskiej: składają oni miód w XVI i na początku XVII w. kwartami, to jest trzy części zachowują dla siebie, a czwartą oddają do dworu królewskiego. Było to znacznie mniej, lecz według jednego i tego samego systemu. Niewiadomo tylko, czy ta miara ma jedną objętość z mazowiecką. Sąsiedzi ich, bartnicy z lasów opactwa Sieciechowskiego, oddawali w końcu XV w. klasztorowi czwartą część donicy miodu albo za jej połowę płacili pół grzywny[1]. Wraca się tutaj znowu stosunek jednego wiardunku za rączkę, obyczaj to więc bardzo rozpowszechniony i, co zatem idzie, stary.

Zdaje się, spotkaliśmy w tym wypadku jakąś powszechniejszą i starszą normę, która mogła obowiązywać ludność wiejską nietylko przy oddawaniu miodu, lecz i innych ciężarów i powinności. Mimowoli przychodzą na myśl kwarty — czwarcizny, od których Władysław Jagiełło uwalniał poddanych szlachty swym przywilejem z r. 1388, a nawet i późniejsza kwarta z królewszczyzn na utrzymanie stałego mojska.

Zbyt daleko jednak nie należy się zapuszczać w uogólnianiu tych zjawisk; raz, że wychodzą one poza obręb naszej obecnej pracy, a po drugie, iż wielka różnorodność stosunków średniowiecznych, które poznajemy z bardzo fragmentarycznych źródeł, sprawia to, iż wszelkie nieco szersze generalizacje muszą tracić na pewności. Nie należy tracić z uwagi, że co innego sam rozkład daniny na pewne stałe jednostki, a znowu co innego rozkład między różne grupy i związki opodatkowanej ludności. Liczyła się dań miodowa na rączki, tj. na $^1/_4$ pokowy zawsze, lecz z tego nie wynika bynajmniej, aby każdy jedną tylko rączkę zawsze składał.

Sposób życia, zajęcie i prawne stanowisko opodatko-

[1] Ks. Gacki, Klasztor Benedyktynów w Sieciechowie str. 93.

wanego, wytwarzało różnice; inaczej płacił niewolnik, inaczej przypisaniec albo dziedzic. Ilość uprawnej ziemi i sprzężaju miała tutaj również znaczenie. Osady więcej rolnicze i ludność więcej roli oddana mogła rzeczywiście składać nie więcej, jak jedną rączkę miodu, bartnik z pewnością dawał więcej, ale wyjątki znajdowały się u jednych i drugich. W przywileju trzebnickim z 1204 np. nietylko bartnicy oddają po całej donicy miodu, ale i różne inne kategorje poddanych składają dań ową w jednakiej wysokości. Natomiast wśród samych bartników spotykamy nieraz dość znaczne różnice. Bartnicy czterech znanych nam już wiosek w trzebnickich posiadłościach dawali po dwie lub po jednej pokowie, toż samo Domaniewice i Persznice. Czterech chłopów, których Odonicz darował cystersom w Przemęcie, składało po trzy donice rocznie, w każdym więc razie conajmniej po trzy czwarte pokowy, w Czyżeminie znowu dawał kmieć po cztery rączki czyli jedną całą pokowę z łanu. Później, już w XVI w., w lasach stromieckich, które tylko Pilica dzieli od Radomskiej Puszczy, czterech kmieci składa proboszczowi dwie pokowy, a więc każdy po dwie rączki. W ogóle waha się dań miodowa wśród bartników od połowy do dwóch całych poków.

Forma rodziny, jednostka opodatkowania i sposób, w jaki daniny pobierano, miały tutaj znaczenie. Rodzina typu większego przeważała jeszcze w XIII w. Był to typ ogólny, który się spotykało wśród wszystkich warstw ludności, choć w niejednakowym stopniu. Poddani trzebniccy np. składają po całej donicy miodu, niektórzy z nich jednak mają przy sobie po dwu synów dorosłych. Całą również pokowę mógł składać, niekoniecznie będąc bartnikiem, ów chłop, którego książę Bolesław Kondratowicz uwalnia od płacenia dzieży miodu, jeśli jest tym samym Chyrną z braćmi, darowanym przez Leszka biskupowi kujawskiemu. Niejedna ze śląskich dziedzin bartniczych mieściła licznie rozrodzoną rodzinę. Tam jednak przeważa inny wzgląd, mianowicie ilość sprzężaju. Nie wszystkie daniny średniowieczne były pobierane w ten sam sposób. Podworowe naprzykład dawano od zagrody, poradlne od pługa; kto miał dwa pługi, płacił, jak się zdaje, podwójną daninę, a były też ciężary

pobierane od głowy. Trudno orzec, jak miód oddawano; płacą go całe wioski, zdaje się, że i całe opola, płacą pojedyncze dziedziny i pojedynczy bartnicy. Stąd niejednostajność opłaty, która nadto w różnych dzielnicach mogła być w różny sposób pobierana. Nie upraszcza zadania ta okoliczność, że w dyplomatach może być wymieniona tylko część daniny. W wielu bardzo razach książę rozdzielał dań miodową, część zostawiał sobie, część przekazywał kościołowi. I tak królowa Judyta darowała kasztelanję chropską z daniną miodową, a mimo to jeszcze w XIII w. książę pobierał po trzy wielkie pokowy z każdej wioski. Przypuścić więc można, że np. w Czyżeminie oprócz jednej dzierzki, oddawanej kapitule, składali bartnicy także miód dla księcia. Taką podwójną dań płacili mieszkańcy jednej wioski na Kujawach w XIII wieku[1].

Wszelkie miary średniowieczne są nader niejednostajne, musiało też istnieć równocześnie kilka miar na miód. Wielka dzierza św. Wojciecha, wspominana w przywileju trzebnickim, była zdaje się w stosunku 1:2 do małej, nosiła zaś takie miano, ponieważ składano ją w dzień tego świętego. W XV w. jeszcze na całem Mazowszu w dzień św. Wojciecha starosta bartny miód oddawał. Później zaś i rugi bartne tego samego dnia zwoływano. Urna mellis usualis może jest równą rączce. Raz wreszcie spotykamy się z danią miodową, która się zwie rozmiarem. Przypomina to miarę na sól — zamar — klasztoru tynieckiego. Występuje też i cifus mellis, czasza. Nie wiemy, w jakim stosunku obydwie te miary pozostawały do znanej nam pokowy. Przypuścić można, że i one dzieliły się na połowy i na ćwierci. Być zresztą może, iż były miarami pitnego miodu.

Jak widzimy, powszechna dań miodowa, wprowadzona w swoje stare średniowieczne ramy, odzyskała przez to samo niejednostajność i różnorodność. Wśród tej całej różnorodności nie łatwo oznaczyć, od którego typu pochodzi późniejsza danina Kurpi. Przyjąć w każdym razie można, że jako bartnicy płacili Kurpiowie dań większą i mierzyli ją na rączki, które już w XIII w. były w powszechnem

[1] Kod. Pol. t. I. nr. 21.

użyciu, według tej miary rozkładali ją też między siebie. Nie wiadomo tylko, ile jej oddawali; można przyjąć, że zgodnie z ogólnym prądem, podnoszącym dobrobyt kmiecia, nastąpiło pewne ulżenie w jej pobieraniu. Analogiczny objaw daje się spostrzegać wśród radomskich obelników: jedni i drudzy płacą w XVI w. bardzo niewiele w porównaniu z obciążeniem średniowiecznem. Przemawia zatem i drugi wzgląd. W XVI w. miał bór 60 barci, bartnik oddawał z niego czwartą część pokowy, czyli, że na całą pokowę trzeba było czterech borów tj. 240 barci. Gdybyśmy nawet przyjęli Herodotową bajkę o obfitości pszczół na północy i nie wiem jak szczodrze się rozporządzali, nie żałując lasów ani drzew bartnych, to i tak wypadałoby za dużo. W Czyżeminie np. potrzeba, jeżeliby się tak liczyło, na ośm poków blisko dwóch tysięcy barci. Na początku XVII wieku było w puszczy Zielonej ośmdziesiąt czterech bartników i borów, wypada więc pięć tysięcy czterdzieści barci a dwadzieścia dwa poków. Jakichże więc leśnych obszarów potrzebowała jedna wieś Dobrzyn na Śląsku w XIII wieku, aby dać rocznie trzydzieści poków miodu? Stosunek taki nie daje się w żadnym razie utrzymać. Otóż liczba barci w borze jest 60, jest więc prawie równą ilości garncy w pokowie. Nie jest wyłączona możliwość, że dawniej składano z boru całą pokowę. Tak być mogło w XIII wieku. Zmniejszenie dani w XV lub XVI wieku stanowiłoby najważniejszą różnicę między wiekiem XIII lub nawet XII, a czasem spisania zwyczajów bartnych.

W jaki sposób wybierano tę większą daninę? Z tego, cośmy już wyżej powiedzieli o organizacji bartniczej, wypada, że rodzina typu większego nie miału wśród nich pola do rozwoju, zastąpiła ją organizacja związków bartniczych z rodowym podkładem. Bractwo-ród oddawało daniny, starosta je zbierał. Wypadało prawdopodobnie po jednej pokowie na jednego bartnika. Wzgląd na ilość sprzężaju odpada, bo bartnicy nie mieli go do ostatnich prawie czasów, mało zajmując się rolą. Tak wyglądała mniej więcej w XIII wieku ekonomiczna strona życia Kurpi mazowieckich.

Zachodzi teraz pytanie, w jakim stosunku zostaje dań miodowa Kurpi, którąśmy poznali w XIII wieku, do jeszcze

dawniejszej i pierwotniejszej. Rozdział i sposób pobierania dani rozpowszechniony w XIII wieku, aczkolwiek dawny, nie może być już pierwotny i nie da się odnieść wprost, choćby do XI wieku. Wszelkie daniny pozostają zawsze w związku z systemem monetarnym i z miarami objętości i długości. Sam podział pokowy miodu jest bardzo prosty i stary. Podział taki obejmował nietylko tę jedną miarę, stosował się też do miar długości. Jest drugi podział, również bardzo pierwotny, który obok pierwszego występuje; są to miary na łokieć, dłoń i palce. Znane są w Czechach w XI wieku; i u nas również od dawna znane. Drzewce włóczni jako miara długości występuje również wcześniej i powszechnie. Wszystkie te miary musiały zostawać w jakimś stosunku między sobą, niekoniecznie wyłączały się wzajemnie, przeciwnie w wielu razach podział na połowy i ćwierci mógł się do nich stosować.

Wcześnie też bardzo wytworzył się stosunek między miarami długości a podziałem monetarnym i ten nas tutaj najwięcej obchodzi. Tak dobrze jak nic nie wiemy o stopie monetarnej polskiej przed reformą Wacława Czeskiego, która przypada na koniec XIII lub początek XIV. Ówczesna grzywna dzieliła się na ćwierci tj. na wiardunki (fertones). Po reformie króla Wacława grzywna liczyła 48 groszy, wiardunek więc miał 12 groszy. Wiadomo, że już w XIII wieku grzywna w ten sposób się dzieliła. Podział miar objętości na czwarte części, a z nimi i podział pokowy na rączki bezwątpienia jest bardzo stary. Zapewne już w XI wieku przyszło do wytworzenia nietylko grzywny w kunach, lecz wiardunku kunnego, który znów miał swój równoważnik w rączce miodu, mającej również, jak wiemy, wartość wiardunku. I nie ona jedna tylko; podworowe np. opłacano, dając albo kuny, albo rączkę miodu, albo krowę. Są to wszystko reluicje jednej monetarnej jednostki. Opłaty gotówką w ćwierciach grzywny występują dosyć często w XIII wieku na Śląsku i w innych dzielnicach. Wioski więcej rolnicze lub zamieszkałe przez obcych kolonistów płacą zwykle jako dziesięcinę, a często i jako czynsz, wiardunek gotówką. Stanowiło to ich ekonomiczną przewagę nad miejscową ludnością, która musiała iść za tem nowatorstwem

i do niego się naginać. Działo się to w XIV wieku i później. Ale i przedtem wioski półrolnicze polskie przedstawiały pewną sumę grzywien pobieranych w naturaljach, a rozkładanych w wiardunkach; jest to forma wcześniejsza, dajmy na to z XII wieku, a więc i tak nie jest pierwotna. Ślady bezpośrednie owych zmian prawie że nie istnieją w naszych źródłach, jeden tylko znany nam już przywilej śląski z 1224 roku wspomina o jakiejś zmianie w pobieraniu daniny, którąby można nawiązać choć z biedą do takiego systemu: książę Henryk daruje część opłaty bartnikom owych czterech wiosek i postanawia, aby nadal mniszkom trzebnickim płacili ośm ćwierci poków od sprzężaju pełnego tj. od czterech wołów. Można przypuszczać, że książę odstąpił tylko część owej dani, zostawiając sobie resztę, albo, że zmniejszył rzeczywiście dań bartnikom i tę zmniejszoną nadał klasztorowi. Wolimy przyjąć wypadek drugi: raz, że wszystkie te wioski występują pierwej jako zupełna własność zakonnic trzebnickich, a następnie, że sama dań jest za wielką, aby książę mógł jeszcze coś więcej od nich dla siebie wymagać. Przyjęto sprzężaj za jednostkę; czy równocześnie wprowadzono ćwierć pokowy jako miarę, bardzo jest wątpliwem, mogli jednak zawsze przyjąć reluicję wiardunku za rączkę, ustalić takim sposobem poddańczy stosunek. Stosunki poddanych trzebnickich w 1204 r. zdają się wykazywać analogiczne reformy. I tam występuje sprzężaj jako podstawa wymiaru świadczeń, dzielonych w paru miejscach na połowy i czwarte części. Są to już tylko przypuszczenia, któremi się należy zadowolnić, bo ze źródłami w ręku dalej iść nie można.

Kwestja więc zmian, które mogły zajść między XI a XIII wiekiem, nie została zadowalniająco wyjaśniona. W takim razie należy zmienić samo pytanie; zamiast dochodzić, jaką była dań miodowa wśród jednych mazowieckich puszczaków, należy się zapytać, jaką dań składała cała ludność. Że ją składała, to wiemy, jak również, że Piastowie jej nie wprowadzali, lecz była wspólną Polsce pierwotnej z wielu innemi słowiańskiemi plemionami. Da się o niej to samo powiedzieć, co i o łupieżach zwierzęcych. Pierwotnie daniny na rzecz starszyzny i naczelników grodów nosiły charakter datków raczej, niż danin, były dobrowolne; wzrastająca

władza książęca objawiła dążność do zamiany na daniny stałe. Proces ten jednak dokonał się zapewne dopiero za Bolesława Wielkiego. Jest to właśnie ów pierwszy przełom i nie znana bliżej zmiana, która między innemi dań miodową dotknęła. Nie był ten przełom jednorazowy; aby go dokonać, władza książęca musiała sobie zdobyć mocne podstawy.

Pierwszorzędne znaczenie ma tu moment, w którym książę doszedł do zwierzchniej własności ziemi, wód i lasów. Bez tego żadna zasadnicza zmiana w pobieraniu dziesięcin nie byłaby możliwa. Jak dań w łupieżach kunich za prawo polowania i użytków leśnych, tak samo dań miodu mogła powstać z chwilą, kiedy prawo dziania barci po lasach zależało od księcia. W starym bardzo gospodarczym związku występuje miód przy świeckiej dziesięcinie arcybiskupa gnieźnieńskiego, która sięga czasów Bolesława Wielkiego, czasów powstania samego arcybiskupstwa. Razem z miodem występują łupieże i, co ciekawe, żelazo, zapewne kawały przetopionej rudy, prócz tego zaś konie i świnie. Odtrąciwszy więc myta i karczmy, pozostaje obraz nader pierwotnych stosunków gospodarczych. Ale jak te daniny pobierał książę pierwej, nim dziesięcinę z nich arcybiskupowi ustąpił? Bardzo trudno nawet w przybliżeniu oznaczyć. Metoda porównawcza, która jedynie może być tutaj z korzyścią zastosowana, przedstawia w tym wypadku większe trudności. Pobieranie danin pozostaje zawsze w związku z organizacją państwową plemion słowiańskich. Jest wielka różnica między wyprawami najezdniczemi książąt waregskich na Rusi w celu wydobycia daniny a np. gminowładnym ustrojem Słowian połabskich. Książęta miejscowi pobierali daninę t. zw. wojewodnicę w zbożu, a po części w pieniądzach; składała je ludność od pługa. Są ślady, że na Rusi opłacano daniny od dymu tj. zagrody i od radła. Dosyć złożone stosunki panują w Czechach już w XI wieku, nie będziemy ich tutaj poruszać. Prawdopodobnem jest, że i u nas najpowszechniejszą formą dani była danina początkowo nieznaczna, od zagrody. Rodzina — naturalnie typu większego — oddawała coś na rzecz księcia, a może i na rzecz swego pogańskiego obrządku. Miód odgrywał

tutaj znaczną rolę. Przywilej tyniecki wspomina o donicy miodu od każdej zagrody. Nie do pominięcia są inne jeszcze analogje. Dań od zagrody nie wyczerpywała wszystkich sposobów. Bezwątpienia bardzo pierwotnym sposobem było pobieranie daniny co jakąś pewną liczbę danego przedmiotu, np. dziewiąty, dziesiąty, dwunasty. System dziesiętniczy był rozpowszechniony w całej Słowiańszczyźnie, spotykamy go w Rzeczypospolitej Nowogrodzkiej na Rusi, u Słowian połabskich, u Serbów, Czechów i Horwatów, wreszcie i u nas. Przywilej księcia Tassylona bawarskiego w VIII wieku mówi o dwóch żupach dziesiętnych u Słowian karantańskich. Nie tu miejsce bliżej się nad tem zastanawiać. Wiązał się on nietylko z organizacją wojenną, lecz służył i do innych administracyjnych celów. Szczególniej nadawał się on do wybierania dani w bydle i jeńcach wojennych. Książę Bolesław czeski wyposaża kapitułę wyszehradzką dziesięcinami, między innemi występuje tam dziesiąty niewolnik. Cesarz Otto odstępuje tak samo biskupowi miśnieńskiemu dziesięcinę niewolników. Być może, że i sam książę w podobny sposób pobierał łup wojenny, a może w czasie pokoju także niektóre przedmioty od swych poddanych. W Czechach występuje nadto sześcizna i dziewięcina z myt, która zresztą i u nas występuje. Czy miód tak pobierano, nie wiemy. Można tylko przytoczyć, że w XVI wieku na Halickiej Rusi wybiera starosta z królewszczyzn dziesięcinę pszczelną wprost w ulach. Oto wszystko. Bliżej określić, w jaki sposób dań miodową pobierano wówczas, kiedy ją pobierać zaczęto, jest niemożliwe; albo brano od każdego związku pewną ilość miodu, albo pobierano go sposobem dziesiętniczym.

Wszystkie te kurpiowskie daniny, które, jak roślina podniesiona na wierzchołek zagarnia wraz z korzeniami całe płaty ziemi, tak one poruszają całe grupy średniowiecznych stosunków, wyczerpują gospodarczą działalność w mazowieckich puszczach, jak się nam ona z danin przedstawia. Stożek siana, pozostałość stanu, wiąże się z ich życiem myśliwskiem i służbą jako książęcych łowców, tak samo kuna,

opłata z czasów, kiedy jeszcze moneta nie była w powszechnem użyciu, wreszcie dań bartna, zabytek powszechnej daniny w miodzie, może z nich najważniejsza, bo związana z głównem i najtrwalszem zajęciem — pszczelarstwem.

Jedna tylko strona ich życia ekonomicznego nie odbiła się w daninach zupełnie, a mianowicie rybołostwo, które tu dla całokształtu omówić musimy. Zajęcie to zawsze się ściśle łączyło z bartnictwem. W Trzebnicy rybacy mogą przejść do bartników, tak samo łowią ryby i są bartnikami mieszkańcy dwóch wiosek, darowanych przez Odonicza. W r. 1412 jeszcze istniała jedna taka wieś w Radomskiem, której dzisiaj i śladu niema; składała ona podówczas prócz ośmu poków miodu i dwie kopy łososi (duo capecia luceorum). Wreszcie taką wioską po części są i znane nam Mąkosy. Są też rybakami i Kurpiowie w Puszczy Zielonej. Narew była rybna, tak samo i bagniste jej dopływy, nic więc prostszego, że i rybołostwo stało się z początku ważnem ich zajęciem. Zbiór Skrodzkiego mówi: bartnikowi każdemu bez czołna, w którym się do roboty swej bartnej przez rzekę, albo przez potoki przewozi, tak jako gospodarzowi bez konia, bardżo źle (art. 65). Osobliwie z wiosną, kiedy prawie cały las zalewały wody, nikt się nie mógł bez czołna do barci przedostać. Pozwala też król Zygmunt III bartnikom: czołny swoje mieć, więcierze stawiać na rzece Narwi i Pisi, gdzie któremu się podoba, jazy miewać na rzekach albo na strugach w całej zagajnicy i w nich ryby łowić do roboty swej bartniczej[1]. Starosta bartny wyznacza jazy i zastawiska po rzekach. Cała Narew w puszczy była tak podzielona. Każdy bartnik w okręgach albo w krzewinie dolistej, jak mówi przywilej, mógł krzewinę wyprzątać i ryby łowić, osobliwie na wiosnę, kiedy ryba z wodą idzie. Rybacy, nie bartnicy, z sąsiednich miasteczek Nowogrodu i Ostrołęki musieli na tę wolność Kurpi krzywym okiem patrzeć, bo przywilej zabrania im przeszkadzać, sieci wytrząsać, a ktoby się tego ważył, taki ma być karany — grozi przywilej. Rybołostwo wolne więc było i opłaty żadnej nie pobierał starosta, a używalność wód po dawnemu dla każdego stała otworem.

[1] Połujański, str. 51—52.

Ryby wogóle mniej się nadawały, niż zboże, bydło i miód, do wejścia w system danin średniowiecznych, ale i one znalazły w nim swe miejsce. Miał naturalnie książę osady rybackie rozrzucone po całym kraju, wchodziły one również w system organizacji grodowej i daninę składały z ryb. Zupełnie powszechną nie była ona, jak się zdaje, nigdy, choć rozpowszechnioną mogła być dosyć. Często wspominana dań średniowieczna: miot, pomiot, wymiot, według wszelkiego prawdopodobieństwa jest daniną rybną. Przywilej trzebnicki w 1204 r. podaje: 20 rybaków ze wsi Kotowic obowiązanych jest dostarczać wiązkę (fasciculum) ryb, która się zowie miot (meth). Jest mowa o tych samych rybakach w Kotowicach o rok wcześniej w przywileju fundacyjnym, te same obowiązki na nich ciążą, ale sama danina nieco inaczej jest określona, a mianowicie mają oni dawać rożen, drzewce ozdobione rybami, jak się obrazowo wyraża przywilej, dodając: »zwie się ono miot pospolicie«. Że sam ten miot z rybołowstwem zostaje w związku, wskazuje jeszcze i to, że w jednym z przywilejów mazowieckich w XIV wieku, książę pozwala swemu młynarzowi wystawić jaz (prandile piscium), który się zwie rybny nesmiot[1]. Była więc to nazwa powszechna. Zadziwia w tem wszystkiem jedna okoliczność: oto nie mierzą ryb miarą objętości, jakby się zdawało najprościej, ale miarą długości. Rzeczywiście tak było istotnie. Nawiązywano ryby na drążek i tak je oddawano. Miot w XIV wieku w Serbji jest miarą długości, może nawet zostawać w związku z naszym. W każdym razie to pewna, że mierzono ryby na łokcie, to też i owi rybacy, których w 1210 r. darował Odonicz klasztorowi w Przemęcie[2]; nie dają trzy razy w tygodniu po dwanaście ryb, z których każda jest długa na łokieć, bo to byłoby prawie niemożliwem, (osada ta leży nad jeziorkiem, a nie nad Wisłą), lecz po dwanaście ryb przyczepionych do łokcia, czyli, że na łokieć szło tyle ich sztuk. Tak, zdaje się, należy ten ustęp tłumaczyć. W kraju tak wodnym i rybnym, jak Polska średniowieczna, niewliczenie ryb do dani byłoby bardzo dziwnem. Istnieć ona musiała, tylko prędzej, niż

[1] Kod. Pol. II b. nr. 498 r. 1348.
[2] Kod. Wielkopol. I nr. 66.

inne, znikła; jeśli więc kiedyś składali ryby Kurpiowie, to już bardzo wcześnie zaniechano je wybierać.

Wszystkie te daniny przeżyły swój czas i, wypierane przez coraz więcej obce i wrogie im żywioły, upadając, spowodowały istne przesilenie ekonomiczne i społeczne w puszczy mazowieckiej. Resztki tego starego pierwotnego gospodarstwa i średniowiecznych urządzeń przetrwały wraz z całym szmatem kraju, do którego wrosły, aż po wiek XIX — przynajmniej po pierwszą jego połowę. Ciekawe są losy tych spóźnionych stosunków wśród zupełnie innego otoczenia.

5. Upadek bartnictwa i organizacji bartniczej.

Od zebrania bartnych zwyczajów, tj. od XVI wieku, upływa jakieś 100 lat bez zmian. Dopiero pod koniec XVII wieku starostowie łomżyńscy zmieniają rączkę na pudłak miodu, który zresztą o garniec tylko więcej od niej wynosi.

Znane są dzieje Kurpi w XVIII wieku podczas szwedzkich zamieszek. Dowód to, że stanowili podówczas silną i liczną społeczność. Zaraz jednak w drugiej jego połowie rozbudzające się życie ekonomiczne w reszcie kraju nie omija zupełnie puszczy kurpiowskiej, tak jak i nie ominęło radomskiej. Nikt jednak nie myśli podówczas o uszczupleniu ich dawnych przywilejów, które swą pełną moc zachowują. Położenie zmienia się odrazu z chwilą, kiedy ta część kraju dostaje się pod panowanie pruskie. Jak radomska, należała puszcza mazowiecka do dóbr koronnych, więc bardziej bezpośrednio też odczuła zmianę, niż majątki prywatne. Przyszedł nowy zarząd, obliczył i wglądnął bliżej w to, co puszcza powinna przynosić, i ogłosił licytację na dzierżawy dochodów z niej. Czy bartnik na swym boru miał pszczoły lub nie, musiał po trzy i cztery talary za pudłak płacić[1], ale nie jak dawniej ceny postanowione, tylko targową bieżącą. Pod koniec wieku XVIII i w pierwszych latach XIX miód podrożał, a do tego nie wiele go było w samej puszczy. Nieraz też zdarzyło się, że kupowali go sami Kurpiowie od dzierżawcy po cenie warszawskiej. Gorzej jeszcze wyglądała stara myśliwska dań — kunowe. Łapać

[1] Połujański, str. 58—9.

kuny po puszczy na sidła było coraz trudniej. A puszcza sama zaczęła przeświecać, wzięto się do niej bowiem nie na żarty. Dawniej przywilej oznaczył za kunę 15 groszy, dziś przeszło dwa razy więcej wymagał dzierżawca, przyszło też do zatargów z amtmanem, dzierżawcą i starostą bartnym. Kurpiowie sprawę przegrali w »Kamerze« i przyszła egzekucja. Puszcza jednak stała otworem, z »ugaju« można było bezpłatnie korzystać; i to się jednak w tym samym czasie musiało skończyć.

Powstają na »krudunkach« coraz nowe osady, do których ściągają rządowi włościanie, a ci nowi przybysze opłacają już czynsz osobny za serwitut leśny. Niebawem zaczęto go wymagać i od samych Kurpi; nie pomógł nic przywilej i opór, przyszło do egzekucji, która ich do uległości zmusiła. Księstwo Warszawskie nie wiele mogło ulżyć ciężkiej doli puszczaków. Rozpoczął się na wszystkich punktach upadek i bardzo szybko postępował, coraz więcej szarpano i rozrywano puszczę, napływali do niej nowi ludzie. W roku 1808 spotykamy już czynsz z morgi i dworską pańszczyznę do żniwa, prawda, że tylko trzy dni w rok od chałupy. Jedynie naprawianie mostów na rzece Pisie pozostało ze starego zwyczaju. Ostatnim dzierżawcą w kilka lat później był żyd; widocznie nie bardzo dobrze na tem wyszedł, gdyż już po nim nikt się o dzierżawę nie dobijał.

Aż wreszcie w 1816 przyszła reluicja na pieniądze starych dani kurpiowskich. Czynsz pobierał rząd tylko za miód, kunowe znieśli komisarze, ale równocześnie zabronili chodzić po lesie z flintą, o czem naturalnie nie chcieli słyszeć Kurpiowie i do czego się nie stosowali.

W tym gdzieś czasie po raz ostatni słychać o staroście i sądzie bartnym. Nastąpiła tutaj niekoniecznie pożądana kumulacja urzędów. Dzierżawca ekonomji rządowej jest zarazem starostą, a sędzią — podleśny. W radomskiej puszczy w tym samym właśnie czasie urzęduje jeszcze ostatni obieralny starosta, choć się już tytułuje tylko starszym bartnikiem, wreszcie po roku 1816 ustają wzmianki o prawie obelnem i jego urzędnikach[1]. W tym też czasie i sam

[1] Gacki, Jedlnia s. 76.

zwyczaj bartny przechodzi do historji prawa. Pszczoły leśne i barci jeszcze stoją po lesie, niedługo jednak i one wyginą. Po bartnikach i na nie przyszła kolej. Zdawałoby się, że leśne pszczoły najmniej mogą od wojen i najazdów ucierpieć, tymczasem w wielu miejscach stało się inaczej. Z dzieciństwa mego, pisze Lelewel[1], znałem las, w którym pamięć była wielce mnogich rojów. Stało już wówczas dosyć barci próżnych, liczono ośmdziesiąt żyjących. Rabunek w 1794 jedną żyjącą zostawił, jedną tylko barć zarobioną, reszta wydarta i wytłuczona pustkami stała. W roku następnym zbiegło się cokolwiek rojów i zaludniło koło trzydziestu barci, powiedzieć można nagle, ale w następnych długich latach liczba ośmdziesięciu dognana więcej nie była. Następowało potem umniejszenie lasu. Wojny, nieład i ogólne powszechne wyniszczenie kraju nawet i na to wpłynęły.

Później przyszły względy inne, ważniejsze, które zdecydowały o losie pszczół leśnych. Komisja skarbu wzięła się potrosze do zaprowadzenia gospodarstwa leśnego, w latach trzydziestych i czterdziestych. Bartnicy sami wiele szkód robili w lesie przy doglądaniu barci, zresztą i same barci dziane w starych drzewach poczęły zawadzać. Był to koniec wszystkich dawnych używalności leśnych. Zabroniono wypalać i karczować »nowocie«, zbierać siano po łączkach i podbierać miód leśny. Równocześnie wyszło rozporządzenie dla puszczy kurpiowskiej i radomskiej. W r. 1836 w Radomiu, a w r. 1837 w Łomży komisja rządowa skarbu poleciła zawiadomić bartników, że każdy włościanin może ściąć drzewo bartne, i odpiłowawszy pieniek z pszczołami, takowy z lasu wynieść bezpłatnie do domu; termin daje się do wiosny następnego roku[2]. Kurpiom-bartnikom wzbronił zarząd wstępu do lasu i odebrał im wszystkie nadrzeczne łąki, które za dość znaczną sumę w dzierżawę wypuścił. Nie od razu i nie bez oporu zresztą prawo to weszło w wykonanie. Musiano przedłużać terminy na prośby bartników. Marnie też same pszczoły leśne wyginęły. Bartnicy zrozumieli przepis odrazu, one jakoś nie bardzo i, nie na-

[1] Polska, t. IV, str. 532—3.
[2] Gacki, Jedlnia s. 79, Połujański s. 61.

uczone siedzieć w ulownikach i pszczelnikach, uciekły napowrót do lasu. Tak się stało u Kurpi. W Jedlni zaś przeniesione i postawione koło zagród w roku 1844 do cna zniszczały, przyszedł bowiem rok słotny i zimny, a w miód należycie zaopatrzone nie były. Z żalem patrzyli Kurpiowie na pszczoły, które znów poczęły osiadać w pustych barciach po bartnych borach. Wyjednali nawet 1843 pozwolenie wstrzymujące także wycinanie drzew bartnych. Przewlekło się tym sposobem leśne bartnictwo, jeszcze czaś jakiś rząd oszczędził barcie o tyle, że pozwolił je trzymać tam, gdzie drzewa nie należały do poręby, polecił je zawsze jednakże usuwać, ale już stopniowo. Dotrwało więc bartnictwo do pierwszych lat drugiej połowy XIX wieku. Nie spieszno było Kurpiom z barciami do zagród, przewlekli, jak mogli. W Jedlni ostatnim bartnikiem był gospodarz Rojek, który jeszcze w graniczącym z puszczą lesie w Piwkowicach do 1864 roku obłaził bartne drzewa na bartnym powrozie. Dzisiaj, chodząc i szukając po tych lasach, znalazłoby się może jaką starą sosnę z pustą czarną barcią. Byłby to ślad prastarych stosunków, które tak długo potrafiły walczyć i opierać się niszczącym je nowym wpływom.

6. Rozwój rolnictwa u Kurpiów i powstanie ich osad.

Stare stosunki ustępowały powoli i niechętnie, a tymczasem obok nich niezależnie rozpoczął się już nowy proces ekonomiczny, który miał staremu bartnictwu ostateczny koniec położyć. Trzeba się było brać do roli tak długo zaniedbanej, rolnictwo zresztą samo już zaglądało do puszczy coraz więcej. Stosunkowo bardzo niedawno, bo w drugiej połowie XVIII wieku, powtórzył się wśród Kurpi ciekawy proces powstawania rolnictwa w okolicy dotąd bartniczej, łowieckiej i rybackiej; naturalnie zmiana ta dokonała się wtedy szybciej, niżby się to mogło stać 500 lat temu. Wiele zjawisk częściowych trwało krócej, ale w każdym razie nie wszystkie się pozacierały, większa zaś obfitość materjału pozwala nam je lepiej wyzyskać.

Mieszkańcy paru wiosek radomskiej puszczy zajmowali się bardzo mało rolnictwem, ale już od samego po-

czątku koło roli umieli chodzić, szczególnie w tak ludnej osadzie, jak Jedlnia. Puszczaki Mazowsza byli więcej odosobnieni, tworzyli bardziej wyłączną organizację, bardziej też się zaznaczał ich nierolniczy charakter. Co prawda, rolniczość całego kraju przyczyniła się, iż się ten stan jaskrawiej i dłużej utrzymał. Ziemia ciechanowska zdawna dzieliła się na dwie części: zachodnią, żyźniejszą i gęsto zaludnioną rolniczą, i wschodnią, bagnistą, leśną i słabo zaludnioną. Między obydwiema częściami istniało współżycie i wymiana: rolnicze osady dostarczały zboża, Kurp mógł więc miody podbierać, łowić ryby i polować. Nie pozostały też bez wpływu i te rolnicze mieściny i wioski rolnicze, które się w puszczy oddawna znalazły, w wielu zresztą wypadkach byli Kurpiowie rolnikami po wsiach, a bartnikami w puszczy, do której tylko dochodzili. Wiąże się to z pytaniem, na które dosyć trudno odpowiedzieć, czy początkowo wioski te zaludniały puszczę, czy puszcza wioski. Puszcza sama od bardzo dawnych czasów wytworzyła w swem wnętrzu na znacznych obszarach własną ludność, a ta przez długie wieki tak dobrze, jakby wcale się rolą nie zajmowała. O nią też nam tutaj chodzi i o objawy, które się tutaj powtórzyły, zupełnie wbrew historycznej chronologji.

Na obszarze Puszczy Zielonej i Białej można odróżnić osady kilku formacyj, więc naprzód kilka lub kilkanaście prastarych wiosek na prawym brzegu Narwi — po lewym było ich zawsze więcej. Z nich prawdopodobnie zaludniła się niegdyś puszcza. Wychodzili z nich osadnicy do lasu po miód, ryby i siano i do nich zazwyczaj wracali. Powoli jednak w samej puszczy wytworzyło się samoistne centrum osadnicze. Bartnicy nie wracali więcej do swych dawnych siedzib — to są osady powstałe z bartniczych stanów. Wreszcie przyszła najświeższa warstwa: wioski-kolonje zakładane odrazu przez znaczniejszą liczbę osadników z pomierzonemi gruntami, jak wszystkie tak zw. kolonje w Królestwie Polskiem. Przyłączyła się do nich pewna liczba wiosek powstałych przy miejscach, gdzie wypalano potaż lub dobywano rudę żelazną, tych jednak jest stosunkowo bardzo niewiele.

Kategorja pośrednia jest najciekawszą. Przedstawia ona właściwy typ osad bartniczych i stanowi najważniejszy materjał do historji pierwotnego osiedlenia. Nie zmienia rzeczy zgoła kwestja, czy są one bartniczemi (filjalnemi) osadami starszych, rolniczych wiosek, czy też winny swój początek bractwom bartniczym, które się do roli nigdy nie brały i puszczy nie opuszczały. I w pierwszym i w drugim wypadku wykażą one pierwotne znamiona powstania rolnictwa. Wiek zupełnego rozkwitu rolnictwa w całym kraju wiek XVI, zastał i zostawił puszczę nierolniczą. Zbiór praw bartnych Niszczyckiego ani razu nie wspomina o uprawnej ziemi, u Skrodzkiego to samo. Raz tylko mimochodem wspomniane jest rolnictwo, ale, zdaje się, nie w samej puszczy, tylko w jakiejś sąsiedniej wiosce, gdzie bartnik siedział przez zimę. Zwykli niektórzy z bartników późno podmietywać pszczoły, — mówi Skrodzki — zwłaszcza ci, którzy się bawią domowem gospodarstwem wprzód woli koło, jarzyn robić, rolę sprawować; zrządziwszy gospodarstwo domowe, potem idzie późno do pszczół na puszczy podmietywać (art. 73). Widać z tego ustępu, że większość bartników nie zabawiała się gospodarstwem rolnem, bo go nie prowadziła. Puszcza zatrudniała ich zupełnie, rolnictwo trudno było pogodzić z bartnictwem, w wielu też razach porzucali je Kurpiowie na nowo i przenosili się do puszczy zupełnie. Stali się jej mieszkańcami i z niej nie wychodzili, ale tak długo trwać nie mogło. Rolnictwo wdarło się za nimi siłą rzeczy, a z nim i osady musiały się stać rolniczemi.

Chodzi nam właśnie o to przejście, przejście nie od bartnictwa do uprawy roli, ale przejście do uprawy przy bartnictwie jako głównem zajęciu. Zygmunt III w swoim przywileju zastrzega, że »jeżeliby na trawę niesposobne łąki były, wolno każdemu z bartników poorać je i posiać, z tego nie dając żadnego podatku, ponieważ to są borowe łąki«. Rolnictwo jest więc jeszcze zupełnie przygodne. Podział puszczy na bartne bory mógł być pewnem ograniczeniem, przynajmniej przestrzennym, w używalności całej puszczy. Bartnik mieścił się na borze ze swemi 60 bartnemi drzewami, ale co dla nierolniczego wyzyskania ziemi jest ograniczeniem, to jeszcze nim nie jest dla bardzo ekstenzyw-

nego rolnego gospodarstwa. Swobodnie też można było poruszać się w bartnym borze. Przestrzeni starczyło na rolnictwo aż nadto, gdyż nikt jej w tym kierunku nie wyzyskiwał. Nie dla roli szedł Kurp albo siedział stale w puszczy; obłażenie drzew bartnych, zastawianie jazów po strugach, zastawianie potrzasków na kuny i dzikie ptactwo, zbieranie siana po leśnych mokradłach — to były główne zajęcia. Słowem — tak samo się tutaj stosunki przedstawiały, jak w radomskiej puszczy. Ta była tylko różnica, że Mąkoszanin mieszkał w chałupie na swej »kępie«, a puszcza stała zaraz na drugim brzegu bagnistej rzeki, Kurp zaś miał do czynienia z puszczą za obszerną, gospodarstwo pszczelne zanadto wiele wymagało pracy, aby mógł na takiem dochodzeniu poprzestać. Trzeba więc było wśród niej samej się osiedlić, każdy właściciel boru musiał mieć w puszczy jakieś schronienie. Miał je też w istocie, nazywało się ono s t a n e m, stanowiskiem, a później budą. Kilkakrotnie prawa bartne o nich wspominają. Szczególniej strzec się trzeba było od zapuszczenia ognia w puszczy, stąd przepisy na wydek, gdyby który bartnik nie zgasił ogniska, nocując w cudzym stanie, a stan się spalił (Niszczycki art. 14, Skrodzki art. 70). Ciekawy szczegół dodaje przywilej Zygmunta III; dozwala on stanowiska albo domeczki, a więc budy w puszczach miewać, które w pokoju stać powinny, żaden z bartników, ani z loźnych ludzi palić i znosić ich nie powinien. Chatę spalić można, znieść jej tj. zburzyć nie sposób, ów stan więc nie jest chatą, lecz rodzajem szałasu, skleconego z cienkiego drzewa i pokrytego gałęziami.

Sam wyraz »stan« przypomina znaną średniowieczną daninę: s t a n i jest z nią rzeczywiście pokrewny. Oznacza on pierwotnie miejsce postoju, później namiot księcia (tentorium ducis), u Słowian południowych oznacza pasterski szałas w górach, w którym się krowy doi, słowem jest on polskim wyrazem na szałas, który jest węgierskiego pochodzenia. W takim więc stanie nocował bartnik przez większą część roku, znosił do niego miód, bartnicze narzędzia i wszystko, co brał z puszczy. W Pińszczyźnie w paru wioskach, w których nader ciekawe urządzenia będziemy mieli sposobność jeszcze poznać, podobne panują stosunki. Lu-

dność przenosi się do lasu na większą część roku, buduje budy, kryje je gałęziami, pasie bydło i prowadzi w lesie rolnictwo ekstensywne; późną jesienią wraca do wsi. Nie jest to jeszcze jego zupełnie stałe mieszkanie; krok tylko jeden, a może nim zostać rzeczywiście.

Bór przedstawiał zawsze pewną jednostkę gospodarczą, przedstawiał też i jednostkę osiedlenia, jeśli tak powiedzieć wolno, bo zazwyczaj był własnością jednej rodziny. Szałas zamieniał się na chatę, powstało przy nim jakieś ogrodzenie, w którem zasiewano len, konopie i rzepę. Z drzew bartnych zeszła własność i na ziemię, na której drzewa stały, kiedy ją zaczęto więcej wyzyskiwać, kiedy przestała być jedynie »przestrzenią«, na której drzewa bartne stoją, Kurp obsiewał czasem swoje ługi leśne. Z chwilą jednak, kiedy na stałem osiadł stanowisku, musiał coraz więcej uprawiać ziemię, którą się dało na ziemię obrócić. Tak przy barciach powstała powoli chata i osada rolnicza, inaczej tylko rolnicza, niż później. Nie poczynał sobie bartnik odrazu, jak rolnik w szczerem polu; na ogół trzebić las trudno, zresztą człowiek, który prowadzi gospodarstwo leśne, przywykły do wielkich obszarów, nie odrazu umie zamknąć i ograniczyć całą swą działalność. Długo jeszcze rozprasza się na większych obszarach po dawnemu, choćby już i rolnictwem się parał. Piaszczysta i podmokła gleba całej puszczy sama sprawiła, że tu i owdzie las rzedniał lub zupełnie niknął. Te więc łączki i zimne lub wynioślejsze miejsca, zarosłe krzewiną, kopał bartnik motyką i obsiewał, ale nie występował do systematycznej walki z lasem. Środki, któremi rozporządzał, nie pozwalały na energiczniejsze przeciwstawienie puszczy jego własnych gospodarskich wysiłków. Narzędzia jego były pierwotne: drewniana socha i motyka. Ogień też znaczniejszą odgrywał rolę, niż siekiera. Mąkoszanin wypalał las i użyźnioną popiołem rolę obsiewał. Tak samo i Kurp układał na wiosnę na rąbanisku gałęzie, czekał, aż uschną przez lato, i podpalał na jesień. Zwało się to paleniem łazów. Siał też na nich parę razy żyto i tatarkę, a potem zapuszczał i przenosił się gdzieindziej[1]. Podobnie

[1] W. Pol., Dzieła prozą, t. II. Puszczaki Mazowsza s. 428.

jak w puszczy radomskiej, i tutaj skrawki roli rozrzucone po lesie powstały z łąk, te same wypaleniska i sposób obsiewania, ten sam rodzaj nomadyzmu rolnego.

To samo naprowadza na myśl, że i reszta stosunków, mianowicie powstanie osad jest podobne. Wioski w puszczy radomskiej zastaje wiek XII. Stosunki osadnicze są tu stalsze i unieruchomione; w nazbyt małej puszczy nie tworzą się nowe ogniska, nie powstają samoistne nowe osady, prócz wiosek na prawie niemieckiem i bardzo późnych kolonij. Inaczej w puszczy kurpiowskiej. Ani gospodarstwa Kurpi, ani samych wiosek nie możemy cofnąć wstecz tak daleko, zbyt mało wiemy bezpośrednio ze źródeł o starych średniowiecznych osadach w tych stronach, zresztą powstanie znacznej części osad wśród puszczy mazowieckiej jest rzeczywiście faktem chronologicznie późniejszym. Ale zato puszcza, jako większy ośrodek, odtworzyła i powtórzyła bardzo pierwotny proces; stosunki kurpiowskie, przynajmniej rolnicze, są objawem więcej wstecznym.

Po genezie rolnictwa kolej rozpatrzeć formację samych osad rolnych. Mamy już pierwszą chatę w borze bartnym i jednego w niej osadnika wraz z rodziną. Kosi on część łąk, część zaś uprawia. Nic stałego w tym podziale niema, obsiewa kilka razy z rzędu jeden kawałek, potem znowu go na łąkę zapuszcza lub porzuca. Cała figura osady jest jeszcze ruchoma, zupełnie tak samo, jak w Mąkosach, do których zresztą tylokrotnie przychodzi nam się po analogję odnosić. Ze wzrostem ludności bartniczej przychodzi do podziału bartnych borów. Atoli z podziałem borów zwiększała się liczba stanów, a liczba barci nie przyrastała równomiernie. Stąd poszło, że w wielu ćwierćborach było mniej barci, a więcej skrawków łąk i ornej roli. Nic dziwnego, że coraz silniej występowała dążność do zamiany osady bartniczej na rolną. Podział boru bartnego jest nietylko podziałem barci, ale i ziemi, na której one stoją. Każdy osadnik na swej uszczuplonej części prowadzi podobne gospodarstwo ruchome i ekstensywne, atoli wobec zmniejszenia się przestrzeni coraz częściej i dłużej jedne kawałki zostają pod uprawą, drugie jako łąki. Dalsze podziały powodują dalsze mnożenie się skrawków uprawnej roli. Da-

leko jeszcze wprawdzie od wzięcia pod stałą uprawę pewnej części puszczy i obrócenia jej na orne grunty, ale z konieczności gospodarstwo obraca się w coraz ciaśniejszem kole; to, co okazuje się niekorzystnem dla rozwoju bartnictwa, jest korzystne dla rolnictwa.

Tak przez podziały powstała wioska. Nie zbijali się wprawdzie Kurpiowie w większe gromady wioskowe, każdy mógł się budować na swojej części, w wielu jednak razach chaty stawały w pobliżu. Wzgląd na suchsze położenie i na pobliże wody do picia niejednokrotnie zmuszał wprost do tego. Każda chata miała ogród; pól bliskich naokoło chat mogło jeszcze nie być. Ale i one wkrótce powstają, las się trzebi, rozjaśnia się polanka i stwarzają się pola bliskie, stalsze, lepiej uprawne i nawożone. Obok nich trwa jeszcze uprawa roli po różnych kątach puszczy, na skrawkach, które jeszcze porzucić łatwo. Dalsze podziały obejmują już nie barci i łąki, lecz i orne grunty. Podział jednak musi być tutaj nieco inny, niż we wsiach rolniczych. Dzieli się rodzeństwo tak, że każdy dostaje w każdym większym skrawku swoje parę zagonów, i w lepszem i gorszem, po równości nietylko co do obszaru, ale i co do jakości. Tworzą się niwki, podobnie jak w Mąkosach, uprawiane przez paru lub kilku właścicieli, obok takich, które należą do jednego. W wielu razach zbliżają się one do siebie, a nawet zlewają, jak w Jedlni, i coraz szerszy pas uprawnej roli okala wioszczynę.

Taka jest geneza wioski kurpiowskiej, bartniczej; zupełnie zgodne z nią są plany. Genealogja jej nie może być bardzo dawną. Powstawały takie wioski już w XVI wieku, jeżeli wyjdziemy z założenia, że były to filjalne jednodworcze osady bartników, zamieszkałych stale w ludniejszych wioskach poza puszczą. Nie chodzi nam zresztą o chronologję: ta nowa warstwa powtórzyła jedynie prastare stosunki. Trzeba przypuścić, że wioski, z których Kurpiowie wychodzili, powstawały kiedyś w tenże sam sposób. Leżą one głównie w zachodniej części Zielonej Puszczy, na pograniczu rolniczego, żyźniejszego kraju, na prawym brzegu nad Narwią, między Orzycem i Omulewem, w powiecie prasnyskiem. Największą i kościelną osadą jest Baranowo,

które czasem nawet daje swą nazwę tej części puszczy, choć częściej zwie się ona Płodownicką od bagna tego samego nazwiska. Prawie wszystkie przedstawiają one podobne figury, z wyjątkiem tych naturalnie, które albo powstały jako kolonje, albo system kolonjalny przyjęły. Do tych, które wykazują wszystkie pierwotne znamiona i zachowały wybitne ślady swego powstania, należy sam Baranów, dalej Dynak, Błędów, Cierpięta, Jastrząbka, a wreszcie Rycica, której plan sytuacyjny jest załączony (fig. 3).

Dosyć spojrzeć na mapę, wykonaną w r. 1839, aby sobie odtworzyć warunki, wśród których wioski owe powstawały. Dwa ostatnie znaczniejsze dopływy Narwi po jej prawej stronie są Omulew i Orzyc. Płyną one do siebie prawie równolegle, między niemi puszcza przerżnięta od zachodu drobnym dopływem Omulewa, Płodownicą, równie błotnistą, jak i on. Nad brzegami rzek i wśród puszczy po kotlinach stoją mniejsze i większe bagna i błota. Mają one swe nazwy. Makoszówki, Gutocha są rozleglejsze, pokryte bielem i zarosłe łozą nadbrzeżne błota Omulewa; tworzy je sama rzeka, której koryto niesie muł puszczy, stąd zapewne jej nazwa. Woda się przelewa i wychodzi płytką warstwą poza brzegi. Wśród bagna tu i owdzie tworzą się mokradła o niewyraźnych torfowych brzegach, pełne szuwaru i kęp z karłowatą, zjedzoną przez wilgoć drzewiną. Powoli zbiera się znowu trochę wody, robi się na bagnie jaśniejsza siatka, niektóre z tych nitek giną, niektóre zaś, zrobiwszy zakręt, łączą się z głównem korytem. Struga Płodownicka topi się cała w bagnie tego samego nazwiska koło Baranowa, ale wychodzi z niego i zbiera napowrót swoje wody i łączy się nieopodal z Omulewem. W kotlinach i miejscach nizinnych są bagna i błota w samej puszczy. Zaraz koło Baranowa szeroko się rozlewa bagno z ciekawą nazwą »Łosia woda«, kiedyś poiły się w nim i wylegiwały łosie w skwarniejsze dni letnie; zwęża się ono i dochodzi aż pod samą rzeczkę. Drugi jego brzeg zachodni opiera się o pagórki lasem obrosłe, za któremi płynie Orzyc. Koło samej Rycicy jest mniejsze błoto Nanir, drobne i ledwie na mapie naznaczone. Wsród ciemnej jednostajnej sieci lasów prześwitują tu i owdzie rozrzucone białe płatki. Poznać po tem, że wieś



Fig. 3.

jest w pobliżu. Są to już orne grunty. Spostrzegamy to na mapie przy każdej prawie kurpiowskiej osadzie. Większe mają koło siebie cały okrąg biały, tak samo i kolonje, które zaraz poznać można po dwóch równoległych linijkach, oznaczających chaty, budowane w ulice. Zwykle jednak są to tylko drobniutkie i nieregularne białe miejsca, rozrzucone nieraz bardzo dziwacznie. Taką jest Rycica, Orzeł, Dynak, i wiele innych.

Ponieważ spisy poborowe mazowieckie z XVI wieku nie są wydane, nie wiemy, kiedy która z nich powstała. Sądząc po samych nazwach, to w tych stronach Rupin, Czerwieńsk, Baranowo, Błędów, może Zawady są najstarsze. W roku 1827 Dynak liczy tylko sześć dymów, Cierpięta 21, Rycica zaś w tym samym czasie 12, nie jest więc ona bardzo ludną. Nazwa zdaje się być dosyć starą, spotykamy się z nią w ciechanowskim i w tym samym przasnyskim powiecie, ale już poza puszczą, w patronimicznej formie Rycice. Może nawet ta ostatnia osada zostaje w związku z nową kurpiowską Rycicą, jako jej osada macierzysta.

Plan sytuacyjny pochodzi z 1877 roku; od tego czasu kształt pól został ten sam. Nie wolno w lesie po dawnemu gospodarować i wyjałowionych kawałków porzucać. Obszar pól ornych wynosi w Rycicy około 400 morgów, na których ograniczenie trzeba było usypać ni mniej ni więcej tylko 2.500 kopców granicznych; była to praca nielada. Figura jest bardzo dziwaczna; wieś sama nieregularnie zbudowana, koło niej większy obszar ornej ziemi, piaszczystej. Jest on tak niesymetryczny, ponieważ powstał z drobnych pól, które się z czasem w jedno zlały. W ich obrębie puszcza już znikła, gdzieniegdzie stoją tylko stare sosny. Brzegi bardzo nieregularne, świadczą, że każdy się wdzierał w puszczę dowolnie z różnych stron. W tem największem polu mają wszyscy swe działki, najdziwaczniej porozrzucane w różnych kierunkach, czasem po parę zagonów. Za tem polem rozciąga się las, wśród niego wyłaniają się różnej wielkości i dziwacznych kształtów kawałki uprawnej ziemi. Jeżeli jest większa niwka, to paru lub kilku gospodarzy ma w niej swoje działki. Z planu samego Rycicy widać, że każdy karczował las na swoją rękę, gdzie się dało. Kto był energiczniejszy

i więcej miał sprzężaju, wykarczował więcej, drugi mniej, każdy posiada, co chwycił własnym przemysłem. Nigdzie nie występuje podział stalszy działek w różnych tych rozrzuconych polach. Pod tym względem większe pole, okalające wieś, nie różni się od rozrzuconych po lesie; w większem każdy ma swoją działkę, bo ją w pobliżu swej zagrody mieć musi, w mniejszych nie wszyscy mają swe zagony, ale tylko ci, którzy się podzielili spadkiem swojego przodka lub nabyli grunt drogą kupna. Są to jednak zawsze samoistne kawały roli, a nie tak zwane naddatki i przymiarki, jak gdzieindziej.

Prawie cała puszcza między dwiema temi rzekami i między Omulewem a Pisią, więcej na wschód, zasiana jest zrzadka podobnemi osadami. Podobny bardzo do Mąkos jest Błędów nad Omulewem, ciekawy jeszcze z tego względu, że ma starą nazwę. Błąd jako imię własne spotyka się jeszcze w XV wieku, później niknie. Koło Błędowa rolę lasu zajmuje bagno. Błędów leży tuż nad Omulewem, który się w tem miejscu jeszcze szerzej rozlał. Długi i szeroki pas bagnisty po lewej jego ręce nazywa się Gutocha, po prawej, nieco niżej widać zarosłe więcej błoto Pałęki. Między niemi znać nieco wynioślejsze miejsce, jakby rodzaj grobli wydłużonej; orne pola i wieś usadowiły się na tem wzgórzu. Pola stanowią pas dość wąski, nie było się gdzie rozpościerać, pług szedł tak daleko, jak starczyło wzgórza. Pojedyńcze niwki są porozrzucane i poszarpane; niektóre ich mniejsze płatki leżą już wprost wśród bagna, na jakichś wynioślejszych i suchszych kępach, zupełnie tak, jak w Rycicy, wśród lasu. Wąska, usypana może dróżyna przecina całe bagno Gutochę i łączy Błędów z osadą Ziomek na drugim cyplu bagna. Po lewem brzegu Omulewa jest podobna osada, o częstej i starej nazwie: Zawady. Zawady leżą na wzgórzu, mają pola nie tak wydłużone, nieforemne ich płaty widać wśród kilku odnóg rzeki. Na północ od Zawad, ku wschodowi, znajdujemy znaczną kurpiowską osadę kościelną Myszyniec, który istnieje w XVII wieku. Jest Stary i Nowy Myszyniec koło siebie nad rzeczułką Rozogą. Koło osady puszcza szerzej się rozstąpiła. Obie wioski leżą na gołoborzu, ale wśród bagien. Od północy błoto Dzwonki, po lewej ręce Brzozówka, Łosicha i Cupel; wszystko nazwy ba-

gien. Wśród nich widać nieregularne kontury ornych gruntów. We wschodniej części Zielonej puszczy, w Ostrołęckiem, to samo się powtarza. W pobliżu jeziora Serafin, noszącego jeszcze w XVI wieku bardzo starą nazwę Krusko, wśród błot na wzgórku stoi wieś Krusza. Więcej tutaj krzaków i zarośli, niż w Błędowie. Znać na rysunku dziwacznie powycinany kontur ornych pól, porozrzucanych niwek nie widać. Nie wiele wiemy o tej osadzie: w XVI wieku był tutaj dwór myśliwski, który bartnicy okopywać musieli. Czy stał tu, gdzie i wioska, nie wiemy. Nasuwa się tutaj analogja etymologiczna aż z Kruszwicą, leżącą także nad jeziorem. Zdaje się, że i tu i tam warzono sól niegdyś. Podobne jeszcze są dwie wioski w tych stronach: Czarnia i Baba, otoczone bagnem, krzakami i zaroślami, a tu i ówdzie kępami lasu, wśród których ciągną się rozrzucone skrawki roli.

Wszystkie więc wioski kurpiowskie w puszczy podobnie wyglądały, ale o identyczności układu gruntów mowy być nie może. Przeciwnie, panuje w nim zupełna dowolność. Wszystko tu zależy od osobistej inicjatywy osadników i, co ważniejsza, od terenu nigdy nie pokonanego. Weźmy naprzykład plan starej jakiej osady północno-niemieckiej, założonej wśród bagien; i u nas zresztą podobne osady są dosyć częste. Pola w nich przedstawiają większe, bardzo symetryczne płaszczyzny, działki idą w długich i regularnych paskach; znać zaraz, iż wszyscy nowi osadnicy wspólnemi siłami wzięli się do osuszenia bagna, wytrzebienia lasu i uprzątnienia zarośli. Tutaj przeciwnie, dorywczo wyszarpywane po kawałku pola; ludzie gnieździli się, gdzie i jak się dało, wdzierając się w wiecznie odrastającą puszczę i podmokły grunt torfiasty. Puszcza i bagna natomiast siłą żywiołową zachodziły na te pola i nie zezwalały dłużej ich zatrzymać. Walka ta trwała całe wieki i niedawno dopiero się skończyła.

Jedna rzecz się jeszcze z tego okazuje: oto, skoro wszystko było tak bezładne, nie mogło się opierać na organizacji. Stąd wniosek, że ustrój bractw bartniczych nie wpłynął na stosunki własności rolnej. Tak było w istocie, zarówno w puszczy radomskiej, jak i kurpiowskiej. Gmina

nie wkraczała w stosunki rolnej własności dla tych samych powodów, których powtarzać nie będziemy. Ważnem bardzo czynnikiem było nieopodatkowanie własności rolnej jako dodatkowego, prawie że podrzędnego, użytkowania puszczy, co sprawiało, że nikt nigdy nie wglądał w jej rozwój. Czynsz, opłacany z ziemi, pociągał za sobą pomiar i jakątaką komasację ornego obszaru, a w każdym razie wpływ władzy państwowej. Tutaj jedynie sam osadnik mógł w przybliżeniu oznaczyć, ile roli posiadał. Urzędowi wiadomem było tylko, że ma bór, połowę lub ćwierć boru, ale ile w nim było ziemi uprawnej, tego nikt nie wiedział. Później, po rozbiciu całej organizacji bartnej i w ostatnich czasach jej istnienia, »bór« coraz bardziej tracił znaczenie jednostki gospodarczej, wysuwała się na plan pierwszy powstała na jego obszarze rola, ale i wtedy nie było mowy o dokładniejszem jej oznaczeniu. Mierzyć takie wioski nie było łatwą rzeczą, dopiero też w ostatnich czasach, tj. w drugiej połowie XIX w. dokonano ściślejszego ich pomiaru, który zarazem ustalił raz na zawsze orne grunty wśród puszczy, choć kwestji ostatecznie nie rozwiązał i stosunków do ładu nie doprowadził.

Rolnictwo wśród Kurpiów zbyt długo zostało na poziomie nomadyzmu, jak w puszczy radomskiej, zbyt długo było zaniedbanem, aby przejście od bartnictwa do roli nie wywołało zamętu, a nawet przesilenia. Jako zabytek odległej doby jest ono ciekawe, jako stan kultury posiada bardzo wiele ciemnych stron.

Cały ten zastój musiał się kiedyś zemścić; zbyt zastarzały, nie mógł się już przystosować do potrzeb chwili, którą archaizmy bynajmniej nie obchodzą. Za czasów pruskich wzbroniono z ugaju korzystać, zaczęto gospodarstwo leśne i ochronę lasu i tem samem zaczęto ścieśniać odwieczne prawa puszczaków. I dawniej próbowano od czasu do czasu poddawać większemu nadzorowi używalności leśne; przypominano, jak w rewizjach puszczy radomskiej, że nie wolno, przypuśćmy, rozkopywać lasu albo ścinać drzewa, ale nie wykonywano tego nigdy bardzo ściśle, nie prowadzono przecież żadnego leśnego gospodarstwa, pozostawało to więc zawsze martwą literą.

PODHALE.

I. Ukształtowanie powierzchni Podhala[1].

W myśl wypowiedzianych na początku wstępnego rozdziału zasad badanie osadnictwa Podhala i jego form typowych należy zacząć od poglądu na warunki fizyczne, od opisu geograficznego Podhala. Opisu takiego nie można ograniczyć jedynie do tej drobnej części Polski, bo wchodzi ona w skład większej jednostki geograficznej, wyodrębnionej od sąsiednich obszarów wyraźnemi granicami naturalnemi. Taką jednostką geograficzną są Tatry i sąsiadujące z niemi części Karpat zachodnich.

Na przestrzeni między doliną Wisły a niżem węgierskim Karpaty dzielą się na kilka równoległych lub skośnych, porozrywanych lub ciągłych pasm górskich. Zewnętrzne są niskie i szeroko rozsiądłe, wewnętrzne są coraz wyższe, aż wreszcie najwyżej wśród nich wznoszą się granitowe Tatry niby wyniosła i zębata twierdza, do której bronią dostępu wszystkie owe pasma niby szańce i okopy.

Idąc od zachodu ku Tatrom, spotykamy pasma dłuższe, biegnące poprzecznie do Tatr z południa na północ a oddzielone od siebie długiemi równoległemi dolinami. Idąc od południa, mamy jedno pasmo Fatra, biegnące ukośnie z południowego zachodu, dalej Niżne Tatry, równoległe do Tatr, a za niemi Góry kruszcowe węgierskie i Hegyalja. Od wschodu ani doliny nie są tak głęboko wcięte ani pasma górskie dobrze odgraniczone. Mnóstwo tu pokręconych wzgórz i dolin; są to albo odnogi Uhrońskiego pasma, albo sam Wschodni Beskid. Samo pasmo Branisko nie jest ani

[1] Rozdział ten został przez wydawcę streszczony, ponieważ oparty był głównie na pracy A. Rehmana o Karpatach.

zbyt długie, ani zbyt wysokie, spada też połogo na wszystkie strony. Od strony północnej wreszcie ciągną się od Wisły połogie i szeroko rozsiadłe pasma i odnogi Beskidu Zachodniego, które się ustawiają równolegle do Tatr, podobnie jak Niżne Tatry.

Dwie walne doliny oddzielają Tatry od otaczających je pasm górskich: jedna z południa a druga z północy. Poziom tych dolin jest prawie wszędzie jednakowy, wyjąwszy naturalnie porzecza, które się w dna dolin wcinają. Przeciętnie można go przyjąć na około 750 m. nad poz. m., na tym więc poziomie możnaby Tatry obejść wokoło — podnosząc się jedynie na przełęczy Huciańskiej do 900 m. nad poziom morza.

Każda z tych walnych dolin dzieli się na dwie części, granic między tymi czterema częściami niema jednak zbyt wyraźnych.

Spiż stanowi część wschodnią południowej liptowskiej zapadliny, Orawa zaś zalega część zachodnią zagłębienia północnego, Podhala polskiego. Spiż ograniczony jest od północy pasmem Magury Spiskiej, która się przedstawia jakby przedłużenie kończyn Tatr w kierunku wschodnim. Spiż jest równiejszy i mniej pofałdowany, niż Liptów, jego potoki płyną niegłębokiemi korytami, a uchodzą wszystkie do Popradu, który wypływa blisko źródeł Wagu, koło jeziora Szczyrbskiego, lecz skierowuje się ku północy zamiast płynąć dalej z nim razem w kierunku południowym.

Obydwie doliny północne jeszcze bardziej się z sobą zlewają w jedno, niż doliny południowe. Granicą między doliną orawską a polskiem Podhalem czyli doliną nowotarską jest również nieznaczne, ledwo dostrzegalne wzniesienie, stanowiące dział wodny między Dunajcem i jego dopływem, wpadającemi do Wisły, a Orawą wpadającą do Wagu. Ciągnie się ono skośnie od Tatr do Babiej góry, mniejwięcej w przedłużeniu doliny Chochołowskiej. Ze szczytów Tatr wydają się te doliny, oddzielone od nich fałdem Gubałowskiego Wzniesienia, równiną z lekka tylko sfalowaną. Przy bliższej obserwacji fałd ów gubałowski okazuje się wyższy, a idące od niego ku północy fale są dosyć głębokie, ciągną się daleko i spadają powoli ku Orawie i Dunajcowi, na których porzeczach

bliżej Beskidu zaczyna się dopiero prawdziwa równina, sięgająca aż do przełomu Dunajca przez Pieniny. Jest ona szerszą od zachodu, a węższą ku wschodowi, i obniża się do 400 m. ponad poziom morza. Rzeka Białka, dzieląca Węgry od Polski, nie stanowi geograficznej granicy między doliną nowotarską a Spiżem, raczej jest nią Spiska Magura.

Dunajec i Poprad wypływają wprost z Tatr, gdy Skawa i Raba z Beskidu. Dunajec i Poprad są też najważniejszą arterją komunikacyjną, która ma znaczenie dla osadnictwa i rozwoju kultury naokoło Tatr jako stanowiąca łącznik między Dunajem i Wisłą, głównemi środowiskami osadniczemi.

Oczywiście same Tatry, jak wszystkie góry, nie nadawały się do osadnictwa stałego i pozostawały puste. Na około Tatr rozróżnić trzeba południe i północ. Od południa pasma górskie idą wzdłuż południków, prócz ostatniej zastawki Tatr Niżnich: doliny i rzeki między niemi doprowadzają osadników pod same południowe stoki Tatr. Liptów zaludniony jest bardzo wcześnie i silnie, na Spiżu znaleziono ślady osady palafitowej. Natomiast północne i wschodnie zagłębienia podtatrzańskie są bardziej puste z powodu większej lesistości i bagnistości oraz gorszej gleby.

---

2. Opis rolniczy Podhala

(Warunki rozwoju osadnictwa).

Osadnictwo zależy nietylko od ukształtowania się powierzchni ziemi, ale także i od jej jakości. Wielkość i kierunek dolin, układ pasem górskich, bieg wód etc., nie wyczerpują jeszcze wszystkiego; jakość ziemi, jej większa lub mniejsza urodzajność, łatwość uprawy, musi przecież wpłynąć także na osiedlających się ludzi. Utrzymuje ona i rozwija pewne formy gospodarstwa, rządzi ich następstwem, zmienia je lub pozostawia, a czasem nawet wstecz cofa. Nic więc prostszego, jak przejść teraz od opisu powierzchni do rozważania właściwości gleby Podhala i sąsiednich dolin Na to każdy się też chętnie zgodzi, że trzeba uwzględnić przy historji osadnictwa stopień urodzajności ziemi, którą ludzie zajmują. Czynnik ten można tylko uwzględnić po-

mocniczo, to znaczy: należy wciągnąć wyniki badań specjalnych, a tych właśnie brak w moim wypadku. Nie posiadamy ani mapy geologiczno-rolniczej tych okolic, ani wyczerpujących monografij, któreby obejmowały znaczniejsze obszary. Istnieje tylko jedna, odnosząca się do Sądeckiej doliny, i to bardzo dobra[1], przenosić jednak rezultatów, do których doszedł autor, na dalsze obszary i zbyt ich uogólniać nie można. Z tych powodów przegląd stosunków rolniczych Podhala, Beskidu i dolin podtatrzańskich, z natury rzeczy ogólny, musi stać się jeszcze ogólniejszym i więcej pobieżnym.

Gleba Zachodniego Beskidu aż po jego wschodnie krańce w Sądeckiem spoczywa prawie wyłącznie na piaskowcach różnego wieku a w części na łupkach, powstała zaś po wierzchołkach i rozłożystych wzgórzach przeważnie z produktów zwietrzenia tych pokładów, sama zaś składa się z dość cienkiej warstwy próchnicy, z gliny żwirowatej, (głównie na piaskowcu, także na łupku).

Taki jest mniejwięcej jej charakter, naturalnie nie wszędzie jest ona jednakową; wogóle jednak powiedzieć można, że nieurodzajność jest główną jej cechą. Cienka warstwa próchnicy, żwirowatość i rodzaj owej gliny uboższej w niektóre składniki, bo powstałej nie ze skał pierwotnych, oraz spłukiwanie ich ciągłe przez wody, sprawia, że jest mało przydatną pod uprawę. Nie zmienia ona zasadniczo charakteru, jeśli z Beskidu zejdziemy na one podtatrzańskie doliny, szczególnie na Podhale, choć naturalnie różnic i tutaj nie brak. Nie zapominajmy bowiem, że biorę tylko najogólniejsze jej właściwości. Otóż na całej Nowotarszczyźnie, a raczej w dolinie Zakopiańskiej i na całem Gubałowskiem Wzniesieniu — a więc w wyższej części Podhala — gleba także spoczywa głównie na piaskowcu, a tylko w części na łupku, może jednak mniej bezpośrednio, niż na Beskidzie. Taksamo wprawdzie pod cienką warstwą próchnicy leży glina żwirowata, ale na lodowcowym szutrze i z nim zmię-

[1] Dr. Kazimierz Miczyński: O pochodzeniu i składzie chemicznym gleby w dolinie sądeckiej. Sprawozd. Kom. fizjograficznej Ak. Umiej. t. 29 (1894) str. 192—215.

szana. Szuter ów naniosły głównie dawne lodowce, pokrywające niegdyś całą niemal dolinę. Taki typ gleby można jeszcze przyjąć za najogólniejszy, choć niedokładny. O jej większej lub mniejszej nieurodzajności stanowi również warstwa próchnicy, rodzaj i żwirowatość gliny, mniejsza lub większa ilość szutru etc. Dolina Zakopiańska i całe Gubałowskie Wzniesienie należą do najuboższych, tak że im tylko niektóre części Beskidu, np. Obidowa, pod tym względem dorównują. Gdyby ktoś chciał układać wogóle skalę urodzajności wszystkich tych wielkich podtatrzańskich dolin, to niewątpliwie Podhale i cała strona północna zajęłaby pierwsze miejsce. W każdym razie doliny południowe są żyźniejsze, choć i one spoczywają również na piaskowcu i są zawalone szutrem lodowcowym na swych północnych podtatrzańskich stokach. Liptów w swej pagórkowatej części składa się z podobnej gliny, tylko urodzajniejszej. Od czego zaś ta urodzajność zawisła, tego nie śmiem przesądzać, nie znam bowiem żadnych szczegółowych opracowań, któreby pozwalały rozstrzygnąć tę kwestję. Zresztą pamiętajmy, że i cieplejszy klimat odgrywa tutaj ważną rolę. Spiż ma mieć także, przynajmniej w części więcej od Tatr oddalonej, dość urodzajną glinianą ziemię, ale zimniejszą i więcej podmokłą, niż Liptów.

Dalsze południowe doliny między różnemi pasmami Zachodnich Karpat zupełnie opuszczam, wystarczy, jeśli powiem, że i one są urodzajniejsze, niż Beskid i niż Podhale.

Łatwo zauważyć, że wszystko, co dotąd powiedziałem o glebie Beskidu i podtatrzańskich dolin, odnosi się do wyższych części, do wierzchołków i wyniosłości; ale przecież prócz nich są jeszcze doliny różnych rzek i strumieni, które wszędzie zajmują najniższy poziom. Doliny owe przedstawiają się odmiennie, choćby dlatego, że są i były wystawione na działanie wód płynących, a działanie to w górach właśnie bardzo silnie występuje, spowodowało też ono znaczne różnice w tworzeniu się gleby na porzeczach.

Zobaczymy zaraz, jaka jest ta różnica i dlaczego wyróżniają się one od otaczających je wzgórz.

Tatry nietylko że się same kruszą i rozpadają, ale i wyrzucają poza swój obrąb te szczątki. Lodowce w części

spełniały to zadanie, roznosząc na swych barkach i pchając przed sobą masy owego szutru; później wody płynące, rzeki i strumienie, zabierały go też ze sobą. Pierwsze roznosiły go wszędzie, drugie osadzały go na dolinach, przez które płynęły.

Działanie rzek było podwójne. Żłobiły sobie one wgłębienia, a równocześnie wypełniały je starszemi i młodszemi napływami (diluvium i alluvium). Im bliżej Tatr a potoki mniejsze i więcej rwące, tem owych napływów mniej i tem większemi odłamami skał zawalone są ich łożyska; im dalej, tem odłamy owe są mniejsze — żwir i miał rzeczny je zastępują i tem szerzej zapełniają one porzecza.

Wszystkie doliny Beskidu, np. doliny Raby i Skawy, składają się z takich rzecznych osadów dosyć urodzajnych, urodzajniejszych w każdym razie, niż wzgórza okoliczne, miejscami pokazuje się też t. z. löss.

Jedna z tych dolin, dolina Dunajca, przy połączeniu się jego z Popradem, jest specjalnie zbadaną dzięki pracy p. Miczyńskiego. Otóż dalej od brzegów obu tych rzek umieściły się tam starsze napływy, glina tarasowa, bliżej zaś samej rzeki młodsze, żwir rzeczny i piasek. Dolina ta jest także urodzajniejszą od wzgórz Beskidu. Gliny napływowe, starsze i młodsze, i löss są bogatsze, niż powstałe z piaskowca i łupku, w pomięszaniu zaś z tym ostatnim np. dają wcale żyzną glebę. Dolina górnego Dunajca, porzecza Czarnego D. i Białego D., oraz reszty jego dopływów na Podhalu, nie są specjalnie zbadane, stosunki jednak nad nimi muszą być bardzo podobne i są istotnie takiemi. Za Białką i oboma Dunajcami ciągnie się wąską smugą żwir nadrzeczny, opasując łożysko jakby obwódką, dalej zaś mamy glinę napływową, pomięszaną z szutrem i ryniem rzecznym. Koło Nowego Targu, a nawet i Rogoźnika, pokazuje się urodzajny löss w znaczniejszych płatach. Otóż mimo tego pomięszania z szutrem, tak jak na wyżynach, ziemia jest na wszystkich tych porzeczach urodzajniejszą. Gliny urodzajnej i próchnicy znajduje się tu więcej, nie zabiera jej i nie spłukuje woda, jak ze stoków górskich, więcej się jej też osadza i warstwa próchnicy jest grubszą. Powiedzieć więc można: porzecza obu Dunajców, wyjąwszy bieg ich górny, czysto

tatrzański, porzecze Białki i wogóle większych dopływów Dunajca są żyźniejsze i sposobniejsze do uprawy, niż wynioślejsze, nierówne i pofałdowane międzyrzecza.

Podobne stosunki panują i na południowej stronie. Zupełnie równe i szerokie porzecze Wagu szczególniej jest urodzajne, dostarcza bogatych łąk i pastwisk. Poprad wytwarza mniej osadu rzecznego i to po jednej tylko stronie — lewej — ale i nad nim widać łąki i bogatszą ziemię. Naturalnie odnosi się to wszystko do średniego i dolnego biegu dopływów Dunajca i Popradu, Wagu i Orawy, oraz do części górnego i średniego biegu ich samych. Górny bowiem bieg przy źródłach jest inny. Rzeki owe wypływają po większej części z samych Tatr, żłobią więc sobie wąskie doliny, zawalone częstokroć złomami granitu. Ale i przy ujściu znaczniejszych dopływów Dunajca oraz nad jego brzegami torfowiska, zwane przez górali borami, zajmują znaczne przestrzenie. Są one zupełnie pod uprawę niezdatne, z tego powodu zwie je lud często także pustaciami.

Wytworzyły się torfowiska szczególniej silnie na stronie północnej, na Orawie i Nowotarszczyźnie. Już pod samemi Tatrami w dolinie Zakopiańskiej np. widać t. zw. młaki. Są to bagniste, podmokłe łąki i pastwiska, porosłe często jałowcem. Wytworzyła je woda zaskórna, która się miejscami porozlewała szerzej, nim znalazła sobie ujście do potoków, sama zaś nie wytworzyła sobie łożyska. Większe lub mniejsze takie bagna torfiaste pokazują się i na południowej stronie, u podnóża Tatr, a na znaczniejszych przestrzeniach nad Wagiem i nad Popradem na Spiżu, gdzie wogóle ziemia jest więcej podmokłą.

Nie są to jednak wszystkie jeszcze właściwe, rozwinięte torfowiska; prócz torfowisk nad Wagiem na nieznacznej przestrzeni nigdzie ich tam nie widać. Rozsiadły się one zato szeroko na północy. Zaraz za owemi stokami Gubałowskiego Wzniesienia zaczynają się one od zachodu i przypierają do rzeki Orawy.

Powstanie tych torfowisk nie jest w zupełności wyjaśnione. W każdym razie tworzyły się one wskutek złego odpływu wód, które tutaj musiały się szeroko rozlewać; są może owe bory pozostałością wielkiego jeziora, które nie-

gdyś wypełniało całą Nowotarską dolinę. W każdym razie zrobiły one jedno: zajęły znaczną część porzeczy i równiejszego kraju i ujęły sporo zdatnej pod uprawę roli. Wszystko to nie bardzo korzystnie świadczy o żyzności, szczególniej Podhala. Na wzgórzach żwirowata rola, z bardzo małą przymieszką próchnicy, w dolinach młaki i torfy, a tylko porzecza nieco urodzajniejsze w stosunku do płonych zupełnie wyniosłości. Weźmy do tego warunki klimatyczne i trudność uprawy, a przekonamy się, że ani Beskid, ani Podhale, nie przedstawiają żadnych warunków dla rozwoju rolnictwa.

Została też w tyle pod tym względem cała północna strona Tatr — a w szczególności Nowotarszczyzna, która mnie tu przedewszystkiem obchodzi.

Na Liptowie, a nawet na Spiżu trochę się lepiej dzieje. Udaje się tam jeszcze żyto i pszenica. Obie te południowe doliny są wprawdzie znacznie uboższe, ale w porównaniu do bogatych i żyznych południowych stoków Karpat Zachodnich. Podhale tymczasem jest wprost nieurodzajne. Po wzgórzach i na całej Zakopiańskiej dolinie rodzi się płony owiesek i ziemniaki, na porzeczach zaś Dunajca żyto i jęczmień, ale przy bardzo starannej uprawie. Rozciągają się te same bezmała stosunki i na węgierską część Podhala — Orawa tylko jest może nieco urodzajniejszą — ale są to wszystko ubogie górskie kraje o skąpej i nieużytej glebie. Mimo to życie nie dało tu wcale za wygraną, czepiało się, jak mogło, nietylko płonej ziemi, ale nawet i tatrzańskich granitów. Ziemia ta jeszcze wystarcza dla lasów. Jest to gleba leśna, znalazły się bowiem zawsze gatunki drzew tak mało wymagające, że ją całą zajęły. Pierwotnie nietylko południowe stoki Tatr, ale cały Beskid i Podhale zalegała jedna wielka puszcza. Wierzchołkami drzew szła, jak okiem zasięgnąć, chwiejna, ciemna równina. Zstępował ten prastary las ze wzgórz na doliny, wypełniał je — obstępował zewsząd rzeki i potoki, które okrążał i szedł dalej, ustępując tylko miejsca nadrzecznym bagnom i borom. Wierzchołki też wzgórz zostawiał czasem łyse i odkryte. Puszcza ta kończyła się na granicy lasów, na wysokości 1500 metrów. Za nią zaczyna się kosodrzew, trzymając się przy samej ziemi w zwartych i zbitych płatach — dochodzi on blisko

500 metrów wyżej. Jest to już pas hal, strefa traw górskich. Za nim dopiero zaczynają się nagie turnie, które żywią nędzne tylko porosty.

Całą tę dziedzinę zostawił człowiek jeszcze nietkniętą, puszcza tylko musiała mu ustąpić[1]. Pozostały po niej szczątki jedynie: regle pokryte są lasem świerkowym, a na Beskidzie widnieją jeszcze wyżej, pod wierzchołkami, jego ciemne płaty. Oto — co po niej zostało — a i ten dzisiejszy las nie jest tym, który tu pierwszy wyrósł, człowiek go już ciął wielokrotnie.

Jaką była ona dawna puszcza?

Sądzę, że także świerkowa. Świerk jeden mógł się utrzymać na tej ubogiej ziemi, musiał też zajmować zawsze te górskie obszary z przymieszką tylko znaczniejszą modrzewi, jodeł i cisu — a z drzew liściastych buków i jaworów. Była to więc przeważnie iglasta puszcza, drzewa liściaste nie wchodziły tak, jak świerk, wysoko i potrzebowały trochę lepszej ziemi, trzymały się też łagodniejszych, niższych stoków górskich i dolin, znacząc się jaśniejszym liściem wśród czarnej gęstwi szpilkowego lasu. Nie badano dotychczas torfowisk nowotarskich, a one jedne mogłyby dostarczyć materjału co do następstwa różnych drzew po sobie. Słyszałem sam opowiadania o wydobytych w Ludzimierzu pniach dziś tu już nie istniejących dębów, może więc i one kiedyś były na Podhalu. Torfowiska nie zmieniły bardzo swego wyglądu. Zbliżając się do nich, las coraz bardziej marniał, aż wreszcie znikał i zostawiał rdzawo-zielone trzęsawisko, jakby wielkiemi kretowinami — kępami — usiane, na których gdzieniegdzie widniała karłowata sośnina lub siwa bagnista wierzba; one jedne tylko mogły się utrzymać na tej chłonącej wszystko topieli. Bory te przypominają mocno dziś jeszcze ze swoją florą bagienną podmokłą puszczę Mazowiecką lub dalekie Polesie. Na mniejszych młakach porastał zwykle jałowiec lub mchy błotne.

W tym kraju i w tej puszczy mieszkał niegdyś żubr,

[1] Jeszcze w 1803 Staszyc, jadąc od Krakowa, zobaczył dolinę Nowotarską całą czarnym lasem pokrytą, tylko nad Dunajcem wznosiły się słupy dymu z torfowisk, wypalanych przez ludzi.

świadczy o tem nazwa: Zuberce i Zubrzyca na Orawie, Zubrzyk w Sądeckiem. Niedźwiedź był jeszcze pospolitym w XVI wieku w Sądeczczyźnie, wilki uwijały się po niej stadami, był też i ryś, były i daniele, jelenie (rogi w torfowiskach znajdywane) i sarny. Nad potokami siedziały bobry, pierwsze osadniki puszczy, ślad po nich został w nazwie: Bobrowiec, nad torfowiskami zaś chowały się łosie — wykopują po nich jeszcze rogi. Z tych wszystkich mieszkańców puszczy zostały tylko sarny, i to przerzedzone, niedźwiedź zaś, choć się schronił głęboko w Tatry, dożywa przecież swych ostatnich dni. Tak wyglądało mniejwięcej Podhale i tatrzańskie doliny, nim się człowiek zdołał do nich przedostać.

---

3. Przedhistoryczne i wczesnohistoryczne osiedlenie naokoło Tatr.

Ślady pobytu człowieka w Tatrach są bardzo dawne. W zachodniej, orawskiej ich części znaleziono w znaczniejszej liczbie kości człowieka jaskiniowego z epoki kamiennej starszej i zabytki z późniejszej epoki bronzu. Byli więc w tych czasach stali mieszkańcy Tatr, tak jak byli pod Krakowem, w Ojcowie i na Krzemionkach. Kto wie nawet, czy wówczas góry nie nęciły ludzi więcej, niż dzisiaj, znajdowali w nich bowiem gotowe mieszkania — pieczary, o które mógł się tylko z nimi zwierz dziki współubiegać. Ale jacy to byli ludzie, w to nie mogę tutaj wchodzić. Prawdopodobnie należeli oni do rasy turańskiej, starszej w Europie, niż aryjska. I później, w więcej historycznych już czasach, przewijają się pod Tatrami i na Beskidzie zachodnim różne narody. Znane są nam jedynie ich nazwy, których tu zresztą nie będę powtarzał.

Byli to Celtowie i Germanowie, pierwsi wcześniej, drudzy później. Czy między owymi (przypuszczalnymi) Turanami a plemionami celtyckiemi nie pojawiły się koczownicze ludy irańskie, t. z. Sarmato-Skytowie, do których należała cała południowo-wschodnia Europa? Być może wyparli owi Skytowie Celtów — a być może byli oni już przed nimi.

Z różnem też szczęściem ścierać się te szczepy mogły i jeden kosztem drugiego rozpościerać. Tego wszystkiego naturalnie przesądzać nie mogę. Dodać tylko winienem, że choć w rzeczach przedhistorycznej etnografji wszystko jest wątpliwem a nic pewnem, to przecież uważam za bardziej jeszcze wątpliwe i niepewne przypuszczenie, że Sarmato-Skytowie są Słowianami. A są tacy, którzy i to przypuszczają. Pewniejszem jest natomiast, że Germanowie przyszli po Celtach, a po Germanach dopiero Słowianie.

Obchodzi mnie tutaj jedynie kwestja, jakim mógł być wpływ wszystkich tych ludów na osadnictwo i kulturę Słowian? Otóż co do pierwszego sądzę, że wpływu tego przeceniać nie należy.

Kraj cały naokół był pusty i przestrony. Nie opierał się o brzeg Oceanu, jak Francja, ani nie był wyspą, jak Anglja. Więc też plemiona owe jedne drugim ustępują miejsca, a jeżeli nawet siedzą razem czas jakiś, to się rozpraszają po wielkich przestrzeniach. Do krwawych i długich wiekowych starć wtedy nie przychodzi. Żaden nowy naród się nie tworzy, ani w górach nie szukają schronienia resztki dawniejszych mieszkańców. Natomiast pewne słabe oddziaływania kulturalne istnieć mogły. Wymiana taka bezwątpienia istniała oddawna między ludami na całej południowej i północnej stronie Tatr i wogóle Karpat — a sięgała nawet w samo ich wnętrze i wnętrze zachodniego Beskidu; jedne z nich były z pewnością mniej cywilizowane, inne trochę więcej. Ciągłości owych wpływów, narastania ich i przeobrażania się wcale to nie dowodzi; nie możemy też twierdzić, że się one nie rwały i nie ginęły w różnych zawieruchach, nim Słowianie przyszli i kraj zajęli, ale dowodzi w każdym razie jednego: że owe cztery doliny tatrzańskie, o których mówiłem, nie były bezludne i później. Stwierdza to więc w każdym razie pewną ciągłość zaludnienia, oraz pewne wpływy kulturalne, którym ulegały ludy tu osiadłe. Zwrócił na to uwagę Sadowski w cennej swej pracy o drogach rzymskich i greckich i wykazał, że w drugim już wieku przed Chrystusem kupcy etrusko-italscy, później rzymscy, przechodzą tędy, idąc po cenny bursztyn nad morze Bałtyckie. Szli oni od Dunaju (Carnuntum, Aquin-

cum), okrążając Tatry od południa z początku doliną Wagu, później zaś Poprad doprowadzał ich do Dunajca, którego suchymi brzegami posuwali się w górę na północ albo skręcali na wschód ku Sanowi. I północne stoki Tatr nie były im obce. Od Wagu pod Solną (Żyliną) doliną Kisucy skręcali przez Beskid w dolinę Soły albo doliną Orawy przedostawali się na Podhale a potem do Dunajca. Właśnie koło Żywca i Sącza (starożytna Asanka?) odnajdywano bronzowe przedmioty, świadczące o ich pobycie w tych miejscach. Może były tam znaczniejsze osady, w których wymieniali oni swe towary na żywność, jak się to dzieje po dziś dzień jeszcze w Afryce. Takie przypuszczenie jest możliwszem, choć z drugiej strony dodać należy, że umierać mogli wszędzie po drodze i w grobach zostawiać odkopywane dzisiaj bronzowe przedmioty.

Mieszkańcy tych osad najprawdopodobniej byli Celtami, którzy dłużej i dawniej tutaj siedzieli, niż Germanowie. Co się stało z kulturą tak jednych jak drugich? Czy nic z niej do Słowian nie doszło?

Słowianie przyszli w te strony później, ale za to objęli je w trwałe posiadanie. W IV wieku byli oni już nad górną i nad średnią Wisłą. Ludność słowiańska nie była jednolita, choć różnice były drugorzędne, świeżego stosunkowo pochodzenia. Północne stoki Tatr i cały Beskid zachodni zajęli Słowianie polscy, najbliżsi Połabianom, południową stronę Słowianie morawscy, zwani dzisiaj Słowakami. Od wschodu podchodziła pod Beskid wysoki Ruś a raczej plemiona, na które później tę nazwę rozszerzono. Tatry wraz z Beskidem stały się granicą międzyszczepową słowiańską.

Przed niedawnym czasem przyjmowano, że pierwszem plemieniem słowiańskiem, które zajmowało Beskid zachodni, byli Chorwaci, ci sami, którzy wywędrowali później do dzisiejszej Kroacji. Dziś podtrzymywać tę hypotezę bardzo trudno. Najważniejszy dowód stanowiłby Nestor i Konstanty Porfirogeneta. Według nich istnieją dwa plemiona Chorwatów. O jednych wspomina Nestor jako o Chorwatach, drugim dodaje jakby dla odróżnienia od tamtych przydomek Białych. Pierwsi siedzą na północy koło Radymiczów i Wętyczów, plemion lechickich, z któremi wojuje Oleg, drudzy na południowy zachód od Czech pod Bawarją, a nie

pod Babią górą, lub może nad Wagiem tatrzańskim, bo ową „Bagibareję“ Porfirogenety jako Bawarję objaśnili Dümmler, Roesler, a u nas W. Kętrzyński, i sądzę, że najzupełniej słusznie.

Tożsamość nazwy nie powinna tu nikogo uwodzić, mięszać też tych dwóch plemion w X w. nie można. Jak Polanie Nestora z nad Dniepru nie są Polakami, Łęczycanie Łużyczanami czeskimi lub ruskimi Łuczanami, tak samo np. Serb, towarzysz, krewniak (nazwa używana na Rusi), i Chorwat, zbrojny, pancerny obrońca, olbrzym, mogą się odnosić nietylko do jednego plemienia; nazwy ich są ogólne, a może nawet ogólniejsze, niż nazwy zapożyczone od właściwości kraju. Kto na łęgach mieszkał, mógł się nazywać Łęczycaninem, ale każdy, bez względu, gdzie mieszkał, mógł się zwać Serbem lub Chorwatem, skoro swe plemię za najbliższe i najlepsze uważał. Podobnie nazwę Redarów od wojowników,a nazwę Łutyków od olbrzymów, siłaczy, wywodzą. Mamy też Serbów i Sorbów (Surbów), których wspomina Al-Bekri, geograf bawarski i Nestor, ale to nie dowód, aby koniecznie jedni od drugich mieli pochodzić,

Byli więc dwojacy Chorwatowie w X w., ale gdzieindziej, nie pod Tatrami w późniejszej Małopolsce. Faktem jest, że nazwy miejscowości w Krakowskiem i Sandomierskiem wskazują na wspólność językową z Wielkopolską, Śląskiem i Mazowszem, a nie ze Słowiańszczyzną południową. Naturalnie, różnice dialektyczne mogły być znaczne, znaczniejsze nawet na początku dziejowej epoki, niż obecnie po długim czasie współżycia, ale zawsze była to jedna gałąź językowa. Zbyć tego nie można ogólnem twierdzeniem, że języki słowiańskie np. w X w. nie były jeszcze dosyć wyodrębnione. Nazwy czeskie i morawskie z X i XI w. wykazują już najgłówniejsze właściwości języka czeskiego, tak samo polskie, połabskie i inne. Język kroacki jest bardziej oddalony od polskiego, niż połabski a nawet czesko-morawski.

Tak więc Chorwaci pod Tatrami i w Małopolsce nie mieszkali. To jest rezultat ujemny. Należy się teraz zapytać, jaki to był odłam przyszłych Polaków, który zajmował Podhale, Beskid oraz górną i średnią Wisłę, aż po granice Ma-

zowszan? Musieli oni być bliscy krewni tychsamych Mazowszan, Ślązan i Polan z nad Warty. Ale jak ich nazwać? Stanowili bowiem odrębne plemię i nazwę jakąś nosić musieli. Małopolanie anachronizmem trącą, jeśli idzie o tak odległe czasy, wolę też nazwać ich Wiślanami. Upoważniają mnie do tego następujące źródła: Żywot Metodego z X wieku wspomina o księciu Wiślan, a dalej geograf Bawarski z IX wymienia Wiślan między Węgrami (Ungare) a Ślązanami, wreszcie opis Germanji króla Alfreda z tego czasu mówi o kraju Wiślan, leżącym na wschód od Moraw.

Nazwy plemion od rzek są dosyć częste. Np. Bobrzanie od Bobrzy, Hawelanie od Haweli, Sprowianie od Sprewy, Bużanie od Bugu, Połoczanie od Połoty etc. Nic więc dziwnego, że od jednej z najznaczniejszych rzek zachodniej Słowiańszczyzny wziął nazwę szczep nad nią siedzący. Później w XI wieku występuje u Galla nazwa Krakowian i Sandomierzan od dwóch najznaczniejszych grodów. Są to jakoby dwie gałęzie tego samego plemienia. Nazwa Krakowian od Krakowa może być bardzo dawna i wcale nie wyjątkowa. W IX wieku podobnie od grodu Opola nazywa się część Ślązan Opolanami, od Goleszna Goleszanami, od Wielenia i Wieluńca Wieluńczanami, Radymicze nakoniec od grodu Radymia, który założył równoimienny naczelnik plemienia. Że nazwa ta Gallusowa, Cracovitae, nie jest wymyśloną, dowodzi to, że na Mazowszu istnieje w r. 1415 wieś Krakowiany, podobnie jak Mazowszany w Sandomierskiem.

Osadnictwo dwóch tych plemion jest podkładem etnograficznym do wszystkich następnych osadnictw Tatr północnych, jeśli tak powiedzieć wolno. Z nim się też łączy kwestja najdawniejszych granic Polski, albo lepiej granic plemion, które później weszły w skład polskiego państwa.

Osadnictwo to zaczyna się od zjawienia się Wiślan w tych stronach a sięga do wieku XII, na który, mojem zdaniem, przypada ostateczny kres owej pierwszej plemiennej doby osadnictwa. To, co zostało zajęte do tego czasu, pozostało i nadal polskiem mimo wszelkich zmian politycznych.

Od tego czasu następuje zwrot w historji zaludnienia Beskidu i Podhala, przychodzą nowe żywioły. Zaraz w następnem XIII stuleciu ukazują się tu Niemcy, w XV Wo-

łosi; zmieniają się też formy osadnicze, giną stare, a pojawiają się nowe.

Epokę tę lepiej znamy, można ją badać nie etnograficznie, jak pierwszą, ale historycznie. Możemy śledzić przebieg osadnictwa, oceniać czynniki, które na widownię występują, ich doniosłość i stosunek wzajemny. Ta druga epoka, historyczna, jak ją będę nazywał w przeciwstawieniu do pierwszej etnograficznej, jest bogatszą w źródła; nic więc dziwnego, że w badaniach nad epoką osadnictwa plemiennego niejednokrotnie będę się od niej zapożyczać. Brak źródeł nie pozwala na inną metodę, ale i przy jej pomocy można śledzić tylko ogólne kontury.

Wiślanie owi nie osiedlili się w kraju bardzo zaludnionym. Walk też zapewne o niego długich i krwawych nie staczali, objęli go odrazu w posiadanie. Dowodzą tego przedewszystkiem nazwy. Z nich: Wisła jest ciemnego przedsłowiańskiego pochodzenia, również: Beskid[1] i Karpaty, wszystkie inne są słowiańskie: rzeki, mniejsze potoki, wierzchołki gór, osady — wszystko to nosi nazwy takie, jak w reszcie Polski. Rzeka Raba tylko mogłaby wzbudzać pewne wątpliwości. Mamy rzekę Rabę, dopływ Dunaju, dzisiejszy Raab; ale to jeszcze nie stanowi, czy nazwa jest słowiańską lub nie. Prędzej już to, że w XIII wieku jest wioska Rabczyca, dziś Rabka, u jej źródeł, Rabiany na Mazowszu, Rabierzyce w Gnieźnieńskiem, Rabka w dawnem Krakowskiem, oraz aż trzy wioski Rabki i jedna Rabkowicze na Białej Rusi, a Rabszczyzna, wyniosłość pokryta lasem koło Połocka, a wreszcie według prof. Brücknera dwie osady z X wieku w Słowiańszczyźnie połabskiej, Rabele lub Robele i Rabucze, na zakończenie zaś wioska Rab w Kroacyi. W etymologję wyrazu się nie wdaję, dodam tylko, że u Miklosicha źródłosłowu r a b niema — nie wiem też, z czemby go można nawiązać.

Czy grobowce ciałopalne, które się spotykają na przestrzeni od Śląska po San, które zajmują całą południową Małopolskę, są słowiańskie? Słowianie palili zmarłych, mogą

[1] Prof. J. Rozwadowski wykazał niedawno, że Wisła jest słowiańskiego pochodzenia, a Beskid jest wyrazem germańskim. (Przyp. wyd.)

to więc być grobowiska naszych Wiślan, którzy właśnie bezmała cały ten obszar zajmowali. Groby takie — jeżeli chodzi o Beskid — znajdywano w pobliżu północnych jego stoków, w Mikluszowicach nad Rabą. Na samem Podhalu i we wnętrzu Beskidu nie robiono nigdy poszukiwań, nic więc niewiadomo, czy tam były słowiańskie przedhistoryczne osady, lub nie. Prawdopodobnie były. Koło Żywca i Sącza np. mogły się nawet dochować jakieś opuszczone grodziszcza po dawniejszych mieszkańcach tych okolic, na to zdają się wskazywać wykopaliska, o których już wspominałem. W każdym razie nowo zakładanych osad było z wszelką pewnością więcej. Wykopywane przedmioty bronzowe koło Szczawnicy, podanie o zapadniętem mieście w Nowym Targu — zwykłe na dawnych cmentarzyskach — oraz wykopywanie tamże żelaznych jakichś sprzętów, a wreszcie wszystkie opowieści o wydobywaniu z nowotarskich torfowisk ze znacznych głębokości obrobionych tramów, czółen, — zdają się dowodzić, że i w najdawniejszej epoce Podhale i Beskid nie były zupełną, bezludną pustką. Ludzie tam zachodzili, przebywali, tylko bardzo nielicznie. Puszcza ta sama, o której mówiłem w przeszłym rozdziale, więc puszcza pierwotna panowała tutaj jeszcze w XIV wieku wszechwładnie. Zobaczymy to zaraz z następującego faktu, który jako przykład wybieram.

Było podanie w XVI wieku, że zaraz za Krakowem, koło Modlnicy, zaczynał się las i że ludność tego grodu odprowadzała św. Wojciecha, idącego do Prus, aż do tego miejsca, bo gaj wielki z tego miejsca się już poczynał. Niezawodnie podanie o tym lesie jest stare i prawdziwe — wiemy przecież o pustelni Św. Bronisławy tuż pod Krakowem jeszcze w XIII wieku. Nie dalej odstępował las od południa. Z tej strony zaczynała się puszcza równo z Beskidem koło Radzieszowa i Mogilan. Szła ona daleko — bo aż po same Tatry. Mamy na to bezpośredni dowód. Około roku 1253 Bolesław Wstydliwy rozstrzyga spór między opatem tynieckim a poddanymi grodu krakowskiego z Kurozwęk, wsi już nie istniejącej. Opat chciał od nich rozgraniczyć swoją wieś Radziszów, poddani zaś owi skarżyli się księciu, że im się dzieje krzywda. Od drogi bowiem, która

idzie z Mogilan do Radziszowa przez Włosań, zaczyna się wielki las, który się ciągnie aż do granic Węgier — usque ad metas Hungariae. W tym lesie ludzie z Kurozwęk mieli z dawien dawna prawo polować, dziać barci i łowić ryby na rzekach Skawie i Skawicy i Siedlnicy, przez ten las płynących. Przyznać trzeba, że nawet i na wiek XIII jest to przestrzeń ogromna! A dodać należy, że była to jedna tylko część puszczy, jedna jej odnoga. Ciągnął się ten las po całem prawem pobrzeżu Wisły; o granicach jego nie bardzo też można i mówić. Mimo to nie był on zupełnie bezludnym. Osadnicy, już w tej puszczy zaszyci i schowani, myszkowali po niej, znać ich tylko nie było, bo się jeszcze nie rozwidniła ona nad ich głowami, chowała ich gęstwina leśna. Las ten był im potrzebny, żywili się oni przeważnie tem, co on dawał, niszczyć go więc nie potrzebowali. Człowiek przez długie wieki żył z puszczą w zgodzie, nim ją zaczął niszczyć. A im dalej wstecz, tem bardziej był od niej zależny, tem bardziej była mu ona do życia potrzebna.

Jakże więc będzie można wypatrzeć wśród tej kniei owe nieliczne, najstarsze ludzkie siedziby? Tylko rzeki mogą nam tutaj pomóc. Jak niegdyś jedynie za ich biegiem można się było przedostać w jej wnętrze, tak i teraz w poszukiwaniach nad pierwotnem osadnictwem, trzeba się będzie trzymać ich brzegów. Na porzeczach bowiem znajdują się zawsze i wszędzie najstarsze ludzkie osady. Okoliczność to wielkiego znaczenia dla zaludnienia Zachodniego Beskidu i Podhala.

Wisła przepływa ziemię krakowską od zachodu na wschód — oddalona o jakieś ośmnaście mil od Tatr, a zaledwie o dwie, trzy od najdalszych północnych odnóg Beskidu. Ona to stanowiła w czasach Polski plemiennej główny pień osadniczy, od niego odrywały się większe lub mniejsze gromadki ludzi i szły w górę Skawy, Raby i Dunajca. Gdzie się one zatrzymywały? Zobaczymy zaraz, że nie na jednej linji. Jedne z tych nowych osadniczych rojów, jeśli tak powiedzieć wolno, zostawały bliżej, inne zapuszczały się i zapadały głębiej. — Na porzeczach Skawy i Raby oraz jej dopływu Stradomki kupią się liczniejsze osady o starszych nazwach patronimicznych i dzierżawczych, nad Rabą są

zaś i te, które nazywamy zbiorowemi, jak np. Podolany, Zalesiany etc. I w międzyrzeczach obu tych rzek aż po Dunajec nie brak osad starszej formacji. Jest to jakby pas silniejszego i starszego zaludnienia, który się ciągnie za Wisłą — przechodzi nawet granicę puszczy koło Radziszowa i Mogilan. Prąd ten widocznie sięgał głębiej, jakby się ludzie przesiewali z początku przez leśne ostępy. Mniejwięcej można przeciągnąć linię od prawego brzegu Wisły aż po Wadowice i Myślenice. Pas ten właśnie obejmuje cały dolny, a nawet część średniego biegu Skawy i Raby. Gdybym chciał przedstawić te stosunki obrazowo — tobym powiedział, że cała ta przestrzeń jest zabarwioną jednym jakimś kolorem, dajmy na to czerwonym. — Ale międzyrzecza są bledsze, rzeki zaś płyną wśród obwódki czerwieńszej, która, im dalej od brzegu, tem się więcej roztapia i zlewa z owym bledszym tonem. To, co tu mówię, zgadza się zupełnie ze statystyką powiatów wadowickiego, myślenickiego i bocheńskiego — na mapie gęstości zaludnienia Galicyi można to dziś jeszcze zobaczyć, — zgadza się też i z historyą. Oto dawna linja obronna zamyka niejako pas starszego i gęstszego zaludnienia. Owi ludzie z Kurozwęk byli przeznaczeni do strzeżenia tak zwanej brony myślenickiej, to znaczy do strzeżenia i obrony granicy od Węgier. Wprawdzie dalej na południe były Szczyrzyce, może i przed Cystersami warownе, oraz gródek na Obidowej w XIII wieku, ale są one w każdym razie mniej pierwotne i mniej ważne. Dawniejsze stosunki Czech i Moraw oraz Śląska pokazują, że w ten sposób były strzeżone zawsze granice państw. Gdzieś w tych miejscach musiała być niegdyś i »przesieka«, wrogom niebezpieczna i groźna.

Nic prostszego, jak przypuszczenie, że pas ów silniejszego zaludnienia wywierał wpływ na górny bieg Skawy i Raby. Chodzi tylko o to, jak go wywierał w najdawniejszych czasach? — Wróćmy do dawnego porównania z zabarwioną — czerwoną smugą. Obraz ten zmieni się o tyle przy osadnictwie pierwotnem, że międzyrzecza zostaną białe — puste — a nad rzekami jedynie będzie się ciągnął blady pasek zaludnienia. Oddziaływać on będzie słabiej i wzdłuż rzek jedynie. Im dalej w głąb Beskidu, tem więcej

tylko brzegi rzek obsiadłe są ludźmi. Wiele przyczyn na to się złożyło. Porzecza są urodzajniejsze i równiejsze, kraj zaś między rzekami staje się coraz bardziej jałowym i coraz więcej górzystym. To głównie odstraszało ludzi od zaludniania jego wnętrza. — Nie było na to i sił osadniczych. Nad samemi brzegami Skawy i Raby osady, które możnaby do dawniejszych zaliczyć, są bardzo nieliczne. Do starych zaliczam Sidzinę, może dawniej Siedlinę, nad górną Skawą — przypominam, że w XIII wieku była i rzeka Siedlnica, dziś nazwa ta zaginęła. Rabczyca jest u źródeł Raby i Szczyrzyce nad Stradomią. Ciekawem jest, że urywają się tutaj osady patronimiczne. Nie znaczy to, jak sądzę, aby niektóre stare dzierżawcze miały być od nich młodsze — nie uznaję bowiem starszeństwa osad według tej zasady, ale w każdym razie przyjąć muszę, że mogły być one mniej ludne jako jednodworcze.

Co skłaniało ludzi do zapuszczania się w te strony? Najpierw nie zapominajmy, że las i pustka były podówczas wszędzie — a mniej jest straszne, co się wciąż spotyka. A po drugie — zdaje się — sól ich tu nęciła. W XI i XII wieku pod Krakowem w Sidzinie dobywano ją w większych ilościach. Widać to z nadania dla tynieckiego opactwa. Otóż jest jedna Sidzina — właśnie ta solna nieopodal Wisły i Skawiny, a druga nad górną Skawą. Czy to prosty zbieg okoliczności, czy też istniał jakiś związek między temi dwiema osadami o rzadkich nazwach, nie przesądzam. Zaznaczam również, że już w XIII wieku jeden z dopływów Skawinki zwał się Solczą; uchodzi do niej w obrębie wsi Leńcze. W XI wieku w Łapczycach nad Rabą, w XII w sąsiednim Chełmie, a w XIII spotykamy znowu sól w Rabczycy przy przy źródliskach Raby. Z tego wszystkiego wnosić należy, że w dobie plemiennej ów pas osadniczy nadwiślański oddziaływał i na wnętrze Beskidu — zrzadka, ale i tutaj dochodzili wtedy ludzie. Bądź jak bądź, w XIII już wieku ponazywane są szczyty gór i potoki. Istnieje Obidowa, nazwa jej miała znaczyć tyle, co obejście, ujazd, rozgraniczenie, jak chce Miklosich, a dalej Górzec i Niedźwiedź, schodzące już na Podhale, we wnętrzu zaś Beskidu Śnieżnica i Mogielnica. Wszystkie też drobne nawet dopływy Raby zasta-

jemy ponazywane. Niektóre z nich zachowały po dziś dzień swe nazwy, jak np. Słona, znów sól przypominająca, Poniec, (Ponecza), Mszana, Kasina, Wierzbownica. Inne je zatraciły, np. Kobyła Wielka i Kobyła Sulikowa, teraz zapewne Łętowa i Łoskówka, a właściwie Włastówka, obydwie tak nazwane od wiosek nad niemi leżących, wreszcie Kunina może być dawną przekręconą Kuną. Tak się przedstawiają najstarsze stosunki osadnicze nad Skawą i Rabą.

Inaczej nieco ukształtowały się one nad Dunajcem. Pas ów nadwiślański silniejszego zaludnienia trzyma się mniej więcej równo na międzyrzeczu Skawy i Raby, w miarę jednak jak dochodzi do Dunajca, spada ku południo-wschodowi i zachodowi. Wracając znowu do dawnego porównania, pas ów blado-czerwony grubieje i wygina się ku południo-wschodowi — a czerwieńsza, nadbrzeżna smuga jest znacznie szerszą i opada głęboko aż po sam średni bieg Dunajca. Znać, że to on był najsilniejszą arterją osadniczą, doprowadzającą ludzi aż głęboko w góry. czego żaden z wymienionych dopływów Wisły nie robi. — Należy i to wziąć w rachubę, że są aż trzy grody kasztelańskie nad jego biegiem: Wojnicz, Czchów i Sącz. Jest to stara linia obronna, która strzec musiała całego porzecza, jedynie otwartej drogi z Węgier. Sącz nawet posunął się bardzo daleko ku samej węgierskiej granicy. Czchów istnieje już w XII wieku, i to jako znaczniejsza kościelna osada, gród z pewnością. Biskup krakowski Wincenty ustępuje kapitule dziesięciny z niego oraz z dziewiętnastu wsi w jego bliskości leżących. Czy to przypadkiem nie cały ówczesny obszar kasztelanii? Mimochodem jedynie nasuwa się to pytanie. Stary Sącz ma już kasztelana w 1224 r., prawdopodobnie miał go i wcześniej. Jako osada jest zaś bezwątpienia jeszcze starszym, świadczą o tem choćby owe bronzowe przedmioty, wykopywane w jego pobliżu. Koło niego zatrzymywali się kupcy etrusko-italscy, aby frymarczyć z miejscową ludnością. — Ale nie potrzeba zwracać się do tak odległej starożytności, aby tę drogę odnaleźć. Istnieje ona i później. W połowie XIV wieku droga handlowa na Węgry przez Czchów do Sącza i do Rytra była bardzo uczęszczaną.

Osad starszych patronimicznych i dzierżawczych nad

Dunajcem jest bardzo wiele. Niektóre z nich mają bardzo dawne rodowody. Już w XI wieku nad średnim biegiem Dunajca koło Czchowa jest osada tejsamej nazwy, co i sama rzeka: Dunajec, zamieszkała przez czterech dziedziców. Taksamo istniała już wtedy Lubcza (Lube) i Zdonia zawsze nad jej brzegami. Nad wschodnim zaś dopływem, Białą w tymsamym czasie istnieje Tarnów i Tuchów — a może i Ciężkowice, a kto wie, czy i nie Meszna, przypominająca nazwą jednego z dziedziców Tuchowa Mecha. Tych osad było i więcej, skoro w 1226 r. książę Leszek, powołując się na Kazimierza Sprawiedliwego, uwalnia wsi tynieckie nad Dunajcem i Białą od pewnych danin, bo zapewne dla jednej ani dla dwóch przywilej ten nie byłby wystawiony. Sięgają te stare osady patronimiczne i dzierżawcze bardzo głęboko, daleko głębiej, niż nad Skawą i Rabą. Są całe ich gniazda nietylko nad średnim ich biegiem, ale i koło Sącza nad częścią górnego. Przechodzą też one znacznie ów pas osadniczy, o którym mówiłem. Wieś Stróże np., istniejąca już w XIII wieku, leży koło Grybowa. Koło Sącza zaś, w XIII także, wieku natrafiamy na całą gromadę osad patronimicznych i dzierżawczych. Naliczyłem ich z górą trzydzieści. Nie jest tu więc wcale puściej podówczas, niż w reszcie kraju. W 1326 r. istnieją prawie wszystkie parafjalne kościoły, które są i w XVI wieku — i to jest też dowodem silnego i dawnego tych stron zaludnienia.

Ale bo też wszystko się niemal złożyło, aby tu pusto nie było. Beskid się usuwa, zostawiając Dunajcowi szerokie, równe i żyzne porzecza. Na tej równinie nieopodal Starego Sącza przyjmuje on Poprad i sam zmienia kierunek ze wschodniego na północny. Prostuje się niejako i płynie odtąd ku Wiśle.

Ważną jest kwestją, czy linja głównego grzbietu Beskidu zatrzymała i osadnictwo, czy po drugiej jego stronie ukazują się znowu polskie osady? — Otóż na to pytanie należy odpowiedzieć, że Beskid nie stanął tutaj nieprzebytą zaporą, ale bardzo utrudnił zaludnienie średniego i górnego Dunajca. I dziś jeszcze widać to na mapie. Obie te rzeki przepływają przez lesisty Beskid krajem dosyć pustym, wioski tu rzedną, ale nie giną zupełnie. Ukazują się,

wypływają niejako — mniej tylko licznie — i po drugiej, południowej jego stronie. Ciąg osadnictwa nie został w żadnym razie zerwanym. Początkowo, nad średnim jeszcze biegiem Dunajca Beskid nie dozwalał ludziom rozpościerać się bardzo ku zachodowi. Zostawiał on wprawdzie szeroką drogę po obu stronach rzeki, przecież zawsze było szerzej na wschodnich pobrzeżach, bo tutaj ustępowała, odsunęła się znacznie i sama linia Beskidu na południe, cofnęli się więc osadnicy niebawem z lewego na prawe porzecze ku wschodowi i zaludnili gęsto całą przestrzeń między Dunajcem a Białą, zostawiając pustemi tylko jej źródła, które dosięgają znowu Beskidu. Była to jednak część tylko, może znaczniejsza — ale część w każdym razie. Nie wszyscy szli w tę stronę ku Rusi. Byli i tacy, którzy szerokim owym nadbrzeżnym gościńcem szli ciągle w górę Dunajca. Widły między nim a Popradem — szersze jeszcze i żyźniejsze — długo ich przyjmowały i zatrzymywały. Zagęściło się na nich od osad i zaroiło od ludzi. Niebawem trzeba było szukać nowych siedzib. Nie zapominajmy bowiem, że człowiek potrzebował wówczas większych przestrzeni, niż dzisiaj, i prędzej zrywał się z miejsc osiadłych i szedł dalej. Przykład owych ludzi z Kurozwęk, błąkających się po takich obszarach, niech tu wystarczy. Z tego przepełnionego zbiornika musieli iść ludzie za Dunajcem lub za Popradem — innej drogi nie było. Widły owe zagłębiły się daleko w Beskid, tak że od wschodu trzeba się było o niego oprzeć, przedrzeć i iść do źródeł Białej, czego, jak wiemy, osadnicy najstarsi tych stron nie zrobili, bo skręcili razem z Dunajcem na zachód — okrążyli po bokach Pieniny i wyszli na równiejszą Nowotarszczyznę. Koło Szczawnicy, tuż pod Pieninami, na górze Jarmucie odkopywano bronzowe toporki, naszyjniki[1]; może to była stacja kupiecka, może ślad po starszej ludzkiej siedzibie. Za Pieninami opodal od Dunajca spotykamy po lewej — już węgierskiej stronie — wioski: Leśnicę i Lechnicę. Wypadnie mi dłużej się zastanawiać na innem miejscu, dlaczego Węgry podeszły tak blisko pod Dunajec? Tutaj powiem tylko, że jest to granica

[1] S. Morawski, Sądeczyzna, t. I, str. 17.

polityczna, a wcale nie etnograficzna, lub wogóle osadnicza. Nie zrywa ona ciągu polskiego osadnictwa. Źródła Dunajca i górny jego bieg są znowu w granicach Polski. Na prawej, polskiej stronie jest znowu Krośnica, nie nad samym Dunajcem, ale w pobliżu, nad potokiem tej samej nazwy, a na samem jego pobrzeżu Sromowce, w XV wieku Szramowice; sądzę, że to forma zepsuta pod wpływem niemczyzny[1]. Wieś Nidzica leży nad Nidzicą, dopływem Dunajca. Nazwa jej jest stara, a forma tutaj w użyciu. Mamy już bowiem Szczawnicę, Leśnicę, Lechnicę i Krośnicę, a będziemy jeszcze mieć Pławnicę i dwie Łomnice. Za starą Białą, osadą nad rzeką tego nazwiska, zaczyna się i politycznie Polskie Podhale. Pusto na niem wcale nie jest, powinno nawet być bardziej zaludnione, bo jest równiejsze, niż strona węgierska.

Wszystkie rzeki, płynące przez Nowotarszczyznę, mają tesame nazwy, co i dzisiaj, już w roku 1234. Rozróżniano już wówczas Biały i Czarny Dunajec. Były też Rogoźniki: Wielki i Mały. Nawet tak drobne i dalekie dopływy Dunajca, jak Leśnica i zdaje się dwa Poroniny, zapewne dzisiejszy Poroniec tj. Mały Poronin i Cicha Woda, teraz Zakopanką nazywana. Prócz nich przywileje wyliczają jeszcze Ostrówkę, lewy dopływ Dunajca, Lepietnicę, płynącą od Beskidu, a wreszcie Piekielnik, dziś już częścią na Orawie. — Ponazywane są też — nie powiem: osady, ale obszary — pola i łąki, a więc np. Ludzimierz, Dębno, Ostrowsko, Długopole, Wilczepole. Wszystko to leży nad Dunajcem. O innych osadach czy obszarach wewnątrz kraju zupełnie głucho, pewnie ich też i nie było.

Oczywiście, jeżeli są nazwy, musieli być i ludzie, którzy tu nie przyszli po to, aby ponazywać potoki i pola i wrócić napowrót, ale którzy w te pustki zachodzili częściej i dłużej w nich przebywali, chociażby tylko tak, jak owi ludzie z Kurozwęk, do których tyle razy wracam. Skoro więc tu byli jacyś osadnicy, samo z siebie nasuwa się pytanie: kiedy

[1] Lud musiał ją wymawiać tak, jak dzisiaj. W początkach XV wieku w Kaliskiem znalazłem ludzi z przydomkiem Srom, mogła być więc i osada tak nazwana.

przyszli? Nazwy świadczą, że przed początkiem XIII wieku. Nie będzie też zbyt śmiałem przypuszczenie, że pierwsi owi osadnicy zjawili się w XII wieku. Jeżeli więc nie należą do najstarszej plemiennej warstwy osadniczej, to w każdym razie w tej części pracy mówić o nich można. Nie chcę też bynajmniej twierdzić, że wszystkie wymienione osady są tak dawne. Podałem ich nazwy jako należące do typu najstarszego, między niemi dopiero można wybierać, czy przebierać. Np. Stara Wieś miała istnieć już w 1200, Lechnica, Nidzica istnieją w początkach XIV w., o innych niema historycznych wiadomości. Przypominam też ową górę Jarmutę i podanie o zapadniętem mieście koło Nowego Targu. Gdyby było istotnie stare cło w XIII w. przy ujściu Białego Dunajca do Czarnego, to byłby dowód, że jakaś dawna, może przedhistoryczna osada była tam już pierwej, cło zaś przyszło później w XII wieku, jeżeli nie wcześniej. Zresztą i tutaj sól mogła odgrywać jakąś rolę, istnieje bowiem rzeka Słona, dziś Słomka, dopływ Dunajca powyżej Starego Sącza.

Prócz tego prądu osadniczego, idącego na Podhale w górę Dunajca od strony wschodniej, mógł istnieć i drugi, północny, posuwający się wprost przez połogie wierzchowiny Beskidu za Skawą i Rabą. Obiedwie te rzeki wprawdzie zostają na Beskidzie, ale przejść go już łatwo temu, kto się aż tu zapuścił. Wszystkie dopływy Skawy i Raby i szczyty Beskidu są ponazywane w XIII wieku, co stanowi dowód istnienia owego północnego prądu. Dunajec po drugiej stronie nie o całe trzy mile przepływa w dolinie. Nie przeszkadzały sobie te prądy wzajemnie, wyłączać ich też nie należy — przeciwnie połączyć, z tem tylko zastrzeżeniem że prąd pierwszy od Dunajca był silniejszym, od Beskidu słabszym. Tak wypada z rozważania całego osadnictwa Podhala, począwszy od owego nadwiślańskiego pasa aż po Beskid i Tatry.

Te dwa prądy nie wyczerpują jednakże polskiego osadnictwa podtatrzańskich okolic. Zostaje Poprad, a z nim prąd trzeci. Od owego zbiornika silniejszego zaludnienia w widłach między Dunajcem a Popradem można było skręcić za Dunajcem na zachód, ale też można było iść wprost

na południe od ujścia Popradu w górę jego biegu. Tak się działo istotnie. Ta odnoga jednakże osadnictwa polskiego musiała być mniej silną od zachodniej, idącej za Dunajcem, może i dlatego, że nie była wzmocniona osadniczą falą, idącą wprost od Beskidu, a może wskutek złych warunków miejscowych, gór i nieurodzajnej gleby. Mimo to zajęła cały dolny jego bieg i część średniego. Spotykamy nad Popradem już w XIII wieku Muszynę, Pławiec, Lubowlę nad rzeczką tego nazwiska, a dalej Gniazdo i Podoliniec. Leżą one dzisiaj na Węgrzech — etnograficznie należą do Polski; przyjdzie mi o nich zresztą mówić obszerniej na innem miejscu i w związku z ową polityczną granicą węgierską o której przed chwilą wspominałem. Tutaj zaznaczam tylko istnienie owego prądu w górę Popradu.

Oba te wielkie osadnicze szlaki — jeden od Beskidu, drugi od Dunajca — wyrażają udział, jaki wzięły w zaludnieniu zachodniego Beskidu i Podhala dwie gałęzie owych Wiślan: Krakowianie i Sandomierzanie. Bo że to oni zaludnili te strony, dowodzi choćby już sam kierunek, w którym szło osadnictwo; od Wisły nikt inny nie mógł iść w górę rzek ku południowi.

Pas ów starszego i gęściejszego zaludnienia między Wisłą a Myślenicami i Wadowicami stanowi i dzisiaj jeszcze pewną etnograficzną granicę. Mniej więcej do obu tych miejscowości dochodzą Krakowiacy. Są to tak zwani »Podgórzanie«. Za temi miasteczkami zaczynają się już »Górale«. Nie chcę tu bynajmniej utrzymywać. że zachodzi jakaś głęboka różnica między ludnością Podgórza i Beskidu. Przeciwnie sądzę, że tak jedni, jak drudzy należą do tego samego plemienia — a mianowicie do owych starych Krakowian. Odmienne warunki bytu, które się coraz silniej zarysowują, sprawiały, że pierwotnie ta sama ludność poczęła się rozłamywać na dwie połowy. Pęknięcie to, rysa dzieląca je, tutaj się ukazuje. Różnice te zachodzą przedewszystkiem w sposobie życia, w zwyczajach i ubiorze. Wszystko to tłómaczy dostatecznie natura kraju. Owa czuha góralska, brunatna, dłuższa, z wyszyciem czerwonem koło rękawów i kołnierza, którą noszą na Beskidzie, nie zdaje się być niczem innem, jak tylko przystosowaną i obciętą niejako, brunatną

sukmaną krakowską — kto wie, czy nie starszą od białej? Brunatna pokazuje się na północ od Krakowa w Skalmierskiem, a jeśli moje przypuszczenie słuszne, ukazywałaby się w tej zmienionej postaci i na południu, na Beskidzie. Podanie ludowe tak nawet tłómaczy te różnice w ubiorze. W opowieści o »królu wężów«, pochodzącej ze Szczawnic, chłop z pod Krakowa, który zapuszcza się coraz głębiej i dalej w puszcze Beskidu i dochodzi pod same Tatry, przycina coraz bardziej krakowską sukmanę, zawadzającą w górach. Jest to naturalnie tylko podanie, ale przyznać trzeba, dosyć prawdopodobne. Ktokolwiek bowiem jeździł starą drogą do Zakopanego na Myślenice, ten mógł zauważyć stopniowe to »skracanie« sukmany krakowskiej białej i jej przemianę na beskidową, brunatną. Wprawdzie czuha Podhalan różni się od beskidowej, jest biała i krótsza, ale zawsze obok dłuższej bronzowej. Dziś przeważa stanowczo biała, ale wątpię, aby tak było dawniej. Słyszałem od starych bardzo górali, że kiedyś nosili Podhalanie dłuższą, brunatną, a więc taką, jaką na Beskidzie. Później dopiero przyszła moda — bo i tutaj o modzie mówić można — na białe, krótkie, liptowskie. Po tych »staroświeckich«, jak je dziś nazywają, nastały białe, dłuższe, a obecnie znowu zaczyna coraz bardziej wracać brunatna; uchodzi ona za poważniejszą, odświętniejszą, niż biała. Że krótka biała przyszła rzeczywiście z Liptowa, jest bardzo możliwe. Nie myślę też bynajmniej przeczyć wpływom obcym na ubiór Podhalan. Jeśli o wpływy słowackie chodzi, każdy je sam oceni, kto zna obie strony Tatr; jeśli o wołoskie, to tych się raczej można domyślać, niż ściśle oznaczyć i określić. W każdym razie daje się nawiązać najstarsza podhalska czuha do noszonej na Beskidzie, a ta znowu do krakowskiej sukmany. Przyznaję: sam ubiór nie może stanowić o tożsamości lub różnicy plemiennej; bardzo często podobne warunki, stopień kultury, tożsamość zajęcia wytwarzają podobieństwa. Np. płaszcz górali pirenejskich jest podobny do naszej czuhy, a ta znowu ma wiele podozieństwa do czuhy górali rusińskich. Wszystko to prawda, tylko, że ubiór zawsze jest jednem z ważniejszych znamion tożsamości plemiennej — tego mu nikt nie ujmie. Badania dialektologiczne nie zostały —

o ile wiem przynajmniej — przeprowadzone systematycznie na dawnych plemiennych obszarach Polski, tych więc wciągnąć do poszukiwań nie można.

Lud krakowski ciągnie się na wschód po Gdów i Bochnię — a nawet można powiedzieć, że podchodzi pod dawną granicę województwa krakowskiego, do Dunajca. Rzeka ta musiała niegdyś stanowić — przynajmniej czas jakiś — plemienną granicę między Krakowianami a Sandomierzanami. Wiemy już, że była ona wschodnim szlakiem osadniczym, ważniejszym nawet, niż krakowski, można więc już z góry przypuścić, że i Sandomierzanie odegrali znaczną rolę w tem najstarszem osadnictwie, idącem w górę Dunajca — doprowadzającem ludzi aż na dalekie podtatrzańskie kresy Polski etnograficznej. Trudno jednak bardzo oznaczyć bliżej udział, jaki wzięły w niem oba te plemiona.

Część dolnego biegu Dunajca i jego ujścia leży całkowicie w Sandomierskiem, od Wojnicza, a raczej Melsztyna począwszy, wchodzi on w Krakowskie. Mogli więc Sandomierzanie tą drogą w górę się posuwać. Są poszlaki, że tak się działo istotnie. Silniejszych różnic między nimi a Krakowianami nie było, takich np. jak między Mazowszanami a Wiślanami, a — co zatem idzie, — nie było i wojen plemiennych. To jedno — a następnie właśnie owo ujście Dunajca leży między ujściem Nidy i Nidzicy, międzyrzecze zaś obu tych rzek było od niepamiętnych czasów silnie zaludnionem. Nad dolnym biegiem Nidy jest przecież Wiślica z owem podaniem o księciu Wiślan. Koło tego ośrodka, węzła osadniczego, musiała się ludność silniej skupiać, od Wiślicy zaś tylko przeprawić się przez Wisłę a jest się już na porzeczu Dunajca. Uposażenie probostwa wiślickiego, sięgające pierwotnie pod same niemal Tatry, wskazuje na jakąś dawną łączność, powiedziałbym ciągłość osadnictwa. Ciągłość ta tem więcej istnieć mogła, gdy się weźmie jeszcze pod uwagę napór Mazowszan od północy, od Pilicy, oraz okoliczność, że za Wisłoką, od wschodu, całe międzyrzecze między nią, Sanem a Wisłą jest jeszcze w początkach XIV w. bardzo słabo zaludnionem. Dziekanat dębicki nazywa się w 1326 r. decanatus de silvis i ma bardzo mało parafjalnych kościołów mimo znacznego obszaru. Ku wschodowi więc nie

rozpościerał się, początkowo przynajmniej, bardzo ów prąd sandomierski. Zaludnił on tylko Pilzneńskie, opanowawszy Wisłokę nieledwie po same jej źródła w Beskidzie. To wszystko przemawia, że Sandomierzanie szli w górę Dunajca, ale czy tu zastawali Krakowian, którzy, z politycznych granic sądząc, mieli cały jego średni bieg i całą rzekę Białą, jego dopływ? Tego naturalnie dziś przesądzać, rozstrzygać nikt nie jest w stanie. Sądząc zawsze z tychsamych granic, widocznem jest pewne odsunięcie się, opuszczenie na dół ku wschodowi województwa krakowskiego. Być więc może, Sandomierzanie później weszli tu klinem, ścięli z tej strony granice Krakowian z północo-zachodu na wschód. Tylko znowu okoliczność, że Krakowianie nie doszli do Nidy, jak to wynika z uposażenia klasztoru w Zagościu z XII wieku i z późniejszych granic obu tych województw, wzmacnia przypuszczenie, że Sandomierzanie bardzo wcześnie mogli przejść Wisłę i opanować dolny bieg Dunajca. W takim razie Krakowianie podeszli niejako pod nich od zachodniej ściany Beskidu, z południa. Tak, czy inaczej, nie przeczy to bynajmniej temu, co powiedziałem, że nad dolnym Dunajcem przyszło do mięszania się dwóch tych plemion. Rozdzielić ich zaś teraz, to zadanie nadzwyczaj trudne.

Niewiadomo, jak daleko na południe od Bochni sięga etnograficzna granica Krakowiaków[1] i gdzie się zaczynają Sandomierzacy, zupełnie błędnie — pod wpływem Rusi — nazywani Mazurami. Jedno jest tylko pewnem, że za Dunajcem bardzo głęboko szedł ów prąd mięszany — nazwijmy go krakowsko-sandomierskim.

W opisie podróży po zachodniej Galicyi, drukowanym w 1835 roku w piśmie »Muzeum Domowe«, znalazłem wzmiankę, że wieś Jazowsko nad Dunajcem, nieopodal Łącka, stanowi granicę między góralami a mieszkańcami równin. Na północ i na wschód od tej osady lud ma nazywać kraj Polską w przeciwstawieniu do okolic, w których sam

[1] O dzisiejszej granicy etnograficznej między »Lachami« a »Góralami« podałem swe spostrzeżenia w »Ludzie« t. VIII (Lwów 1902) str. 161—168. (Przyp. wyd.).

mieszka. Ubiór niewiele pomoże w odróżnieniu dwóch tych tych czynników osadniczych. Możnaby wprawdzie brunatną sukmanę sandomierską z czerwonem lub niebieskiem obszyciem i stojącym kołnierzem przerobić na »sukmanę« sądecką i »gunię« podhalską, podobnie jak krakowską, to jednak mniej prawdopodobne, niż w pierwszym wypadku. Ubiór samych Sądeczan przedstawia pewne właściwośsi, które równie trudno nawiązać do ubioru tak krakowskiego, jak sandomierskiego. Sukmana sama jest brunatną lub granatową, ale naszycia są bardzo bogate i różnowzore. Objawiają się tutaj bezwątpienia wpływy postronne, w części rumuńskie, w części i rusińskie. Kamizelki, które noszą jeszcze w Szczawnicy polscy górale np., są — jak się zdaje — rumuńskie, noszą je także Łemkowie pod Muszyną. Wszystko to bardzo utrudnia badanie.

Zbierając wszystko, co powiedziałem dotychczas o prądach osadniczych i etnograficznych na Beskidzie zachodnim i Podhalu, można przyjść do następujących wniosków: prąd słabszy, idący dorzeczami Skawy i Raby z północy na południe, jest krakowski; prąd silniejszy, idący od Dunajca, jest mięszanym, krakowsko-sandomierskim.

To są najważniejsze dwa momenty w osadnictwie tych stron. Czynniki owe oddziaływały bezpośrednio, inne sąsiednie mogły wpływać pośrednio na zaludnienie tego kawałka Polski, pominąć ich tutaj nie można. Trzeba niejako zbadać cały układ różnych ośrodków plemiennych oraz ich wzajemne na siebie oddziaływanie. Najznaczniejszym zdaje się być wpływ śląski, zachodni. Ślązanie zajmowali źródła Wisły oraz Odry, która nieopodal Wisły bierze początek, przypierali więc od zachodniej strony do Krakowian. W historycznych już, późniejszych czasach znajdujemy ich nad Sołą i Skawą, którą nawet w kilku miejscach przekroczyli. Jest to t. zw. powiat śląski województwa krakowskiego. Jeśli więc Ślązanie podeszli tak blisko Skawy, mogli się mięszać z Krakowianami; byłby to odpowiedni objaw do tego, któryśmy widzieli nad Dunajcem. Otóż nie sądzę, aby tak było. Należy odróżnić przesunięcie się granicy politycznej od etnograficznej. Granica djecezji krakowskiej i późniejsza województwa krakowskiego idzie wzdłuż rzeki Białej, pier-

wszego dopływu za Sołą ku Śląskowi. Wyraża ona dawną granicę plemienną. Później w XIII wieku Bolesław Wstydliwy 1278 r. ustąpił Władysławowi księciu oświęcimskiemu wszystkie wioski, leżące nad Skawą, i to jest początek śląskiego powiatu. Nie spowodowało to większego napływu Ślązan. W 1326 roku dekanat zatorski był mniej, niż krakowski, ludny, dużo tam spotyka się wiosek o świeżych nazwach niemieckich. Znać, że te strony i dawniej ludniejszemi nie były, wcześniej więc — w dobie plemiennej przedewszystkiem — nie wywierały znaczniejszego wpływu na ziemię krakowską. Bezpiecznie też można ten czynnik pominąć, mówiąc o najdawniejszych czasach, a i później nie będziemy mieli wiele z nim do czynienia.

Drugim takim czynnikiem pośrednim mogli być od wschodu — Rusini. Krakowiacy nie zajmują całej wierzchowiny Beskidu — zostawili oni jakby wąską drogę górską, nieprzystępną, którą się wcisnął ten obcoplemienny element osadniczy. Podszedł on od wschodu niedaleko Sącza. Już koło Muszyny np. spotykają się wioski t. z. Łemków, rusińskich górali. Prąd ten jednak nie był bardzo dawnym. Najpierw nikt nie zajmuje jałowych i niedostępnych gór, jak ma co innego do zajęcia, a następnie kolonizacja dolin Dunajca, Białej i Wisłoki jest bardzo starą. Spotykamy się z nią już w XI wieku, pierwsi też Sandomierzanie z Krakowianami zajmowali te strony. Znać tutaj tak silny napór elementu polskiego od Mazowsza począwszy, i przez Sandomierskie, że Rusini im bliżej zachodu, tem więcej się obniżają, ustępują i wąskim tylko językiem wchodzą tak daleko. Ta cała gruba warstwa osadnicza polska, leżąca na północ od nich, nie mogła dopuścić, aby się szerzej rozeszli, zajęli więc tylko to, czego tamci nie chcieli. Są dowody, jak to zobaczymy później, że osadnicy owi podeszli pod Sącz i Spiż w XV—XVI wieku. Rusinami mogli oni nawet nie być, ale Wołochami; oni to bowiem mogli posłużyć za roznosicieli elementów kultury ruskiej, która przez nich i z nimi zaszła tak daleko. Z tego wszystkiego wynika, że dwa owe prądy osadnicze, krakowski i krakowsko-sandomierski, w tej dobie przynajmniej mogły się dosyć czysto zachować. Słabły one naturalnie, im dalej się zapuszczały w góry, ale w każdym razie

zajęli osadnicy, do nich należący, i Beskid Zachodni od Skawy po Dunajec i dalej, a nawet zrzadka ukazywali się już oni wtedy na Podhalu.

Żywioł polski okazał się więcej ekspansywnym, niż państwo. Osadnik polski szedł zawsze bardzo daleko i od bardzo dawnych czasów. Już w XII w. przeszedł Bug, przeszedł też, jak widzieliśmy, Beskid, ale za nim nie szła silna organizacja państwowa, któraby go mogła podtrzymać — a jego pracę wyzyskać i zabezpieczyć. Węgrzy natomiast, państwowo silniejsi, przesunęli dalej ze szkodą Polaków swe słupy graniczne, zagarniętego jednak kraju zaludnić nie mogli, sił osadniczych nie mieli i dotąd nie mają żadnych. Za łatwo posądzamy siebie samych o szowinizm, aby się więc od tego możliwego zarzutu z góry uwolnić, biorę za punkt wyjścia pracę o ludności polskiej na Węgrzech nie Polaka, ale Czecha — a mianowicie profesora Szembery[1]. Zajmuje ta ludność przestrzeń od Białki do Popradu i wypełnia cały wschodni bok owego wielkiego zacięcia, które tworzy dzisiejsze Podhale. Zachodni bok owego wrębu zgadza się więcej z granicą rzeczywistą, etnograficzną. Od Tatr ku Orawie spostrzegamy, że Słowacy — tak nam zresztą bliscy — podeszli wyżej. Mimo to jednak i tutaj nie kto inny, jak tylko Polacy przechodzą wąskim pasem na węgierską stronę. Znać to na mapie sztabu generalnego. Takie nazwy, jak Suchy Bór, Paleniska, Puścizna, Dziedzicowe, świadczą o tem wymownie. I potok Piekielnik, dopływ Czarnego Dunajca, był kiedyś cały w Polsce. Jeszcze w 1254 darował go klasztorowi szczyrzyckiemu Bolesław. Wstydliwy. Za Babią Górą od południa jest też kilkanaście osad polskich. Najliczniejsze są one jednak między owym mniejszym, zachodnim, nazwijmy go śląskim, wrębem Galicyi a Morawą. Wypełniają go one prawie zupełnie, wyrównując tutaj granicę etnograficzną Polski na jej korzyść. Miasteczka Czacza i Turzówka mają jeszcze ludność polską. Są nawet ślady, że w XVIII jeszcze wieku pamiętano, iż ówczesna

[1] Sprawa granicy etnograficznej między Polakami a Słowakami była wielokrotnie poruszana i przedstawiana z racji powstania państw polskiego i czesko-słowackiego i ustalenia ich granicy (E. Radzikowski, K. Nitsch, W. Semkowicz, Modelski i t. d.). (Przyp. wyd.)

polityczna granica między Śląskiem a Węgrami nie szła już oddawna tak, jak iść była powinna, to znaczy zgodnie z granicą etnograficzną.

Były to ostatnie, najdalsze, południowe krańce Śląska, za niemi zaczynają się już Morawy. Na tej całej przestrzeni stykają się Polacy bezpośrednio ze Słowakami. Chcąc z ich strony wykreślić granicę, należy zacząć nie od Podhala, ale właśnie od Moraw. Czas jakiś idzie ona ku wschodowi równo potem się podnosi. Jest to zachodnia ściana owego wielkiego wrębu, który mieści Podhale. Jego ściana wschodnia, jak już mówiłem, traci swój kant ostry i idzie skośnie na dół. Wiemy że całą tę przestrzeń zajmują Polacy. Granica polityczna schodzi się dopiero z etnograficzną koło Muszyny, a właściwie niżej, koło dawnego Pławca. Odtąd raz jeszcze żywioł słowacki dźwiga się ku górze, ale już zaraz za Muszyną zachodzi między niego a Polaków cienka i z początku poszarpana warstwa Rusinów, jakby klin wbity od wschodu, a zwrócony swym ostrym, poszczerbionym końcem na zachód. Im dalej ku wschodowi, tem bardziej on grubieje, tylko raz nad Wisłoką Polacy podchodzą bliżej ku Słowakom, ale i tu nie stykają się z nimi bezpośrednio. Im dalej też na wschód, tem bardziej Ruś ich rozdziela i przechodzi na południowe stoki Beskidu. Niebawem pojawia się nowy, trzeci element. Mniej więcej na linji Przemyśla, koło miasta Ungwar (Użhorod), spotykają się oba te szczepy: ruski i słowacki z Rumunami, którzy od wschodu i południa tak blisko podchodzą; oni to nie puszczają Słowaków na wschód, a Rusinów na południe, kładąc kres rozpościeraniu się tak jednych, jak drugich.

Osadnictwo słowackie jest naturalnie dla mnie najważniejszem, choćby już z tego względu, że zajmuje południowe stoki Tatr i cały zachodni Beskid, jest też i bardzo dawnem i bardzo jednolitem. Zwartą ławą mieszkają Słowacy wszędzie i okalają Sasów na Spiżu i parę drobniejszych wysp niemieckich. Chłopów Madziarów niema tu wcale. Wszystko to zresztą są późniejsi przybysze. Czy z wcześniejszych, przed-słowiańskich nic nie zostało? To pytanie wymaga nieco dłuższego wywodu. Na południowych stokach Tatr wprawdzie ludniej było, niż na północnych,

i przed Słowianami. Byli tu dłuższy czas Gepidowie, Longobardowie, Awarowie, na Morawach zaś Markomanowie i inne różne plemiona. Historja tych ludów jest nam bardzo mało znana. Częstokroć nazwiska tylko po nich zostały. Kiedy Słowianie zajęli całe stoki południowe tatrzańskie, mogły się tu błąkać resztki jakieś dawniejszej ludności, trochę może liczniejsze, niż na polskim Beskidzie, ale w każdym razie były one tak nieznaczne, że większego wpływu nie wywarły. Kraj cały pozostał słowiańskim, dawniejsi osadnicy i późniejsi najeźdcy nie potrafili go zmienić. Pierwsi nie zajęli pod uprawę ziemi, drudzy nie zdołali jej później wydrzeć, nie wzięli się też sami do pługa.

Niemcy nigdy nie mogą rozstać się z myślą, że niemieccy koloniści, gdziekolwiek przychodzą, zastają germańskich przedhistorycznych osadników. Fikcja ta ma za cel »naukowe« uzasadnienie późniejszych zdobyczy. I pod Tatrami się to ujawniło, mają o tem świadczyć niby jakieś prastare, pierwotne nazwy germańskie. Te, które pozostały i utrzymały się po Sasach na Spiżu, są zbyt późne; zresztą oni to właśnie mieli się spotkać z niedobitkami Gepidów czy Longobardów w tych stronach, sami zaś przyszli, aby wzmocnić jedynie żywioł germański. Otóż na południowych stokach Tatr tak się istotnie rzeczy mają: nie wszystkie może nazwy dadzą się sprowadzić do słowiańskich, ale niemieckich w każdym razie niema. Sama nazwa Tatr jest ciemną. Pojawia się ona po raz pierwszy w sfałszowanym przywileju biskupstwa praskiego z r. 1086; jest w nim mowa o górach Tritri. Tak samo nazywa je kronikarz czeski, Kosmas. W XIII zaś wieku w dokumentach polskich występują Tatry parę razy, w węgierskich z tej samej epoki przekręcają je na Tarczal, lub mówią o nich ogólnie, jako o górach śnieżnych, montes nivium, podobnie jak o Alpach Siedmiogrodzkich. Co ta nazwa znaczy? W etymologję nie mogę się wdawać — pomijam ją nawet, gdzie mogę, pomny, że w tych razach z literami należy się obchodzić bardzo ostrożnie. Podobno najłatwiej jeszcze wywieść ją z rumuńskiego. Szkoda tylko, że nie łatwo w V lub XI wieku pod Tatrami umieścić Dako-Rzymian. Taka hipoteza wydawałaby się zawsze nader hazardowną i bardzo niepewną. Ła-

twiej nam pójdzie z rzekami. Pierwsza Orawa ze wszystkiemi dopływami jest słowiańską. Jest wieś Orawice w jej pobliżu, sama zaś może się wywodzić od Horawy albo Orawy, z źródłosłowu or (ar), orać etc., jak chce Miklosich. — Wag przedstawia więcej trudności — przynajmniej na pierwszy rzut oka. Niemcy nazywają go Waag, jak Rabę — Raab, Słowacy zaś Wah. Pierwiastek, z którego pochodzi waga, jest przyswojony ze staro-niemieckiego. Wyrazy takie, jak odwaga, powaga, w czeskim, polskim i innych słowiańskich językach od niego pochodzą. Tylko, że rzeka Wag niema nic wspólnego ani z wagą, ani z odwagą, ani z powagą. Jest najpierw rzeka Waga, dopływ Desny, w dzisiejszej gubernji czernichowskiej — w dawnej ziemi Siewierzan na pograniczu Małorusi i Białorusi. Kraj to jeszcze czysto słowiański. Prócz tego jest wieś Wagowo w dawnym powiecie gnieźnieńskim. W roku 1335 dostaje ona prawo niemieckie. Przedtem była pustą od wielu lat — multis retroactis annis, jak mówi przywilej. Jest więc bardzo dawną osadą. Dwie wioski Wagońce istnieją w XVI w. w województwie brzesko-kujawskiem, Waganowice są wymienione w XV w Krakowskiem. Na Mazowszu istnieją Wagan, Waganiec i potrójne: Wagi, Wagi-Gnaty i Wagi-Nagorki, a wreszcie Wagi na Kurpiach koło Kolna. Jest więc w samej Polsce dziesięć miejscowości tego samego pochodzenia, co i rzeka Wag. W innych krajach słowiańskich odnalazłem jeszcze w Połabszczyźnie wieś Wigeline, Wageline słowiańską według prof. Brücknera, a w Czechach 1237 r. Wahaneč. Są to wszystko dowody słowiańskości, a przynajmniej dowody, że nazwa ta była w użyciu u Słowian. To można stwierdzić — trudniej natomiast powiedzieć i w tym wypadku, od czego ona pochodzi. Na jedno połączenie Wagu chcę zwrócić uwagę: na Litwie istnieje jezioro Wagenis, jest rzeka Waga na Rusi i Wag pod Tatrami. Wagą nazywają Polacy z Litwy miejsce, gdzie przez jezioro lub staw przepływa rzeka lub strumień — a także głębię. »Ważna toń« oznacza głęboką toń. Z wodą więc najprawdopodobniej ma ta nazwa jakiś związek. Że w tej formie, jak Wagowo, Waganowice, zdaje się być imieniem osobowem, nic nie szkodzi. Z wody mogła ona przejść i na człowieka;

są na to przykłady w mitologji ludów pierwotnych. Natomiast wszystkie podtatrzańskie dopływy Wagu są typowo słowiańskie. Dla przykładu wymieniam ich kilka: Hibica, Ipoltica, Svarin, Bela, Varinka, Revuca, Sikawka, Baca Jamniczek, Tarnowice, Smreczanka, Szczawnica, Jałowiecki potok itd., resztę opuszczam. Najbliższy dopływ Dunajca za Wagiem jest Nitra. Nazwa to niepewna; w słowiańskiem nitro znaczy saletrę i jest zapożyczonym wyrazem z greckiego nitron. Jest rzeczka Nitrowa, wypływająca z Beskidu Jabłonkowskiego. Więcej nad to nic o tej nazwie nie można powiedzieć. Gród Nitra, leżący przy ujściu rzeki tej samej nazwy, jest bardzo stary, jak to zaraz zobaczymy. Istnieje on już w IX wieku. O rzece jest wzmianka w 1006, jeśli dyplomat nie jest podrobiony, bo za to nigdy ręczyć nie można — tak są niekrytycznie wydane dyplomatarjusze węgierskie. Dziwić nawet może w tem nadaniu dla kościoła nitrzańskiego wzmianka o większej i mniejszej Nitrze. Ponieważ Wag tuż obok niej wpada do Dunaju — może powstać wątpliwość, czy to czasem nie o nim samym mowa? W takim razie byłby on większą Nitrą. Nie sądzę jednak, aby tak było, najpewniej będzie to nieznajomość spisujących dokument, albo jakiś mniejszy dopływ Nitry, może Żytwa, Sitowa w XI wieku. Ostatnie dwa dopływy Dunaju — ostatnie przed jego załomem — są słowiańskie: Hron i Ipola. Z dopływów Cisy Słona, Hnilec, druga Topla są jasne i do wątpliwości nie dają pola. Spieszno mi też do ostatniej podtatrzańskiej rzeki, Popradu. Wszystkie jego dopływy są słowiańskie. Sama zaś jego nazwa nie jest tak jasną, aby objaśnień nie potrzebowała. Po węgiersku zwie się on Poprad, po niemiecku Popper, po słowacku i po polsku także Poprad. W początkach XIII wieku na Śląsku występują ludzie — poddani księcia, zwani Popratnicy. Pod koniec tego samego wieku spotykamy się znowu na Spiżu z jakąś nazwą »Popri« — nie miejscowości, ale jakiegoś przedmiotu — dojść nie mogłem, jakiego? Ale nie z ludźmi należy nazwę rzeki Popradu nawiązać, tylko najprawdopodobniej z prądem. Jest pod Krakowem rzeka Prądnik, w XIII wieku nazywana Prudnik, są i wioski Prądy i Poprudzie. Stoi temu tylko na zawadzie forma: Poprad, używana już w XIII w.

w polskich dyplomatach; powinnoby być po polsku: Poprąd, a po słowacku: Poprud. Otóż w XV wieku i forma polska Poprod jest nader częstą — a raz nawet znachodzi się i Poprud — a więc jedna bardzo bliska poprawnej, a druga zupełnie właściwa. Zakończenie na »ad« mogło powstać pod wpływem zmadziaryzowania nazwy. Jest rzeka Hornad niewątpliwie słowiańską, podobnie przekręconą, a nadto nazwy Arad, Saarad, Czerhad, Csanad, Farnad — wskazujące, że na Węgrzech formy te są znane i w użyciu.

Z tego, co powiedziałem, wynika, że najważniejszym, prawie jedynym, elementem osadniczym Tatr południowych są Słowianie. Nazwy wcześniejsze, przedsłowiańskie, są tak nieliczne, że dowodzą one pobytu różnych szczepów, ale nie zaludnienia i skolonizowania kraju. Do nazw takich można odnieść same Tatry, Beskid, rzekę Nitrę. Są to wszystko nazwy ciemne — niepewne, nikt ich też — o ile wiem — dotąd nie objaśnił. Znaczna większość, cały »stock« jest natomiast słowiański. Rzeki większe i mniejsze, których tu po raz drugi wyliczać nie potrzebuję, oraz pasma gór są niezaprzecznie nie słowiańskie. Reszta nazw topograficznych gór, rzek i miejscowości przypada na posłowiańskie czasy. Są między niemi późniejsze rumuńskie, jak to zobaczymy albo przekręcone, zmadziaryzowane, słowackie, oraz trochę nazw czysto niemieckich pod samemi Tatrami.

Wszystko razem wzięte i pomięszane robi zamęt niesłychany. Np. na Spiżu nazwy słowiańskie zniemczono, a zniemczone zmadziaryzowano. Albo znowu nazwy niemieckie są zesłowiańszczone, a na nich przylepiona etykieta węgierska, albo wreszcie wprost do nazw słowiańskich dodano niemieckie lub urzędowe węgierskie. Dobrze jeszcze, gdy się one utrzymują obok siebie. Czasem nazwa przekręcona jest do niepoznania. Jako przykład podaję kilka. W XIII wieku jest las Korytnik, przekręcony po węgiersku na Korotnok. Górę Jawor przetłomaczyli już w XIII wieku Niemcy na Ahorn, a z tego Polacy i Słowacy zrobili Ohory. Kto się pod tem domyśli nazwy właściwej? Albo Podoliniec jest Pudlein, a wieś Batzdorf po węgiersku Batizfalu, a po słowacku Batyżowce, nazwa zaś Rauschenloch po polsku wypadła Drużbaki. Daje to pojęcie, jak mozolnem

i trudnem jest wszelkie poszukiwanie właściwych nazw w tej części Podhala. Ile wymaga ostrożności i — powiedziałbym — ile wstrzemięźliwości, aby nie chcieć wszystkiego tłomaczyć z jednego tylko języka, lecz każdemu z nich bezstronnie jego udział wyznaczyć.

Wogóle powiedzieć można, że na Spiżu wielojęzyczność nazw doszła do szczytu; o byt walczą tylko niemieckie ze słowiańskiemi — większość też w każdym razie jest tych ostatnich i one przeważają. Na Orawie, w Liptowie i w reszcie Słowaczyzny nikną nazwy niemieckie, a zostają tylko słowiańskie, pociągnięte nieraz bardzo jeszcze świeżym węgierskim państwowym pokostem. Dopiero bliżej Dunaju występuje domieszka nazw albo czysto węgierskich, albo przynajmniej zmadziaryzowanych dawniej. Nie potrzebuję i tutaj dodawać, że pierwszych jest mniej, drugich zaś więcej, ludu węgierskiego zresztą jeszcze tam niema[1].

4. Praca osadnicza od XIII wieku.

Przywilej ks. Henryka Brodatego z r. 1234, pozwalający Teodorykowi, wojewodzie krakowskiemu, osadzać kolonistów niemieckich w lasach nad rzekami Dunajec Biały i Dunajec Czarny, Rogoźnik, Ostrowsko, Lepietnica na Podhalu, a także nad rzekami Słona, Ratajnica, Niedzielsko i Stradomka na Beskidzie, oraz pozwolenie biskupa krakowskiego, Wisława, dane temuż Teodorowi na ufundowanie kościoła na jego własnym terytorjum w Ludzimierzu z tegoż samego roku (Kod. Mpl. I nr. 16) są najstarszemi świadectwami o Podhalu. W trzy lata potem Teodor odkupuje od bratanka swego wieś Rogoźnik.

Te dwie miejscowości, leżące w pobliżu połączenia się

[1] Istnieje jeszcze inna obszerniejsza redakcja tego ustępu o obecnym rozmieszczeniu plemion na około Tatr w związku z wczesnohistorycznemi (II w. po Chr. do XIV w.) wiadomościami o ludach i państwach, które zajmowały szerokie obszary na około Tatr, zwłaszcza na południowej stronie, ale wchodząca dosyć głęboko w historję polityczną, nie mającą wyraźnego związku z osadnictwem Podhala. Nie uwzględniliśmy jej tutaj, ponieważ i autor, jak sądzić należy, nie miał tego zamiaru. (Przyp. wyd.)

obu Dunajców i ponazywane dopływy Dunajców świadczą, że Podhale było zaludnione, ale rzadko. Poza brzegami Dunajca, płynącego popod Beskidem, było jeszcze pusto; zarówno grzbiet Beskidu (Gorce itd.), jak i dalszy ciąg Podhala ku Tatrom, miały bardzo rzadką ludność stale osiadłą, przedewszystkiem zaś były odwiedzane i użytkowane bardzo ekstensywnie przez mieszkańców podgórskich już części dolin Raby i Skawy, których międzyrzecza były puste.

I nic dziwnego, ponieważ od Sącza przedostać się w górę Dunajca było trudno, a od doliny Raby wały Beskidu tamowały postęp osadnictwa, które się właściwie kończyło na »bronie« myślenickiej.

Pierwszorzędny gospodarz i kolonizator, ks. Henryk Brodaty, zwrócił uwagę na te strony; pragnąc widocznie posunąć obronę granic na południowe stoki Beskidu i zabezpieczyć posiadanie Spiża, postanowił akcję tę powierzyć najwybitniejszemu współpracownikowi swemu w ziemi krakowskiej Gryficie Teodorykowi (Czadrowi), wojewodzie krakowskiemu. Teodoryk zamierzał do tego użyć Cystersów, oraz Niemców, którzy już licznie od końca XII wieku sadowili się na Spiżu pod sztandarem węgierskim. Przedsięwzięcie to nie udało się jednak. Klasztor, założony pierwotnie w Ludzimierzu, został wkrótce potem przeniesiony pod osłonę grodu książęcego do Szczyrzyca, leżącego w okolicy urodzajniejszej, w pobliżu strefy zamieszkałej, co się stało między 1239 a 1243, jak dowodzi St. Zakrzewski w swej pracy, poświęconej najdawniejszym dziejom tego klasztoru (Rozprawy Akad. Uniw. wydz. hist.-filoz. t. 41 s. 29—31). Próby kolonizacji niemieckiej nie udały się również, nie ma żadnych jej śladów w źródłach.

Zmianę zasadniczą przyniosły dopiero czasy Kazimierza Wielkiego, który przeprowadza zniesienie brony myślenickiej, lokując na prawie niemieckiem Myślenice w roku 1342 na ogromnej przestrzeni 100 lub więcej łanów, a w r. 1349 starą Stróżę, również na obszarze 100 łanów, w roku 1351 zaś lokuje Niedanową Wolę, która później Pcimiem nazwana została, a w r. 1360 Lubień także na obszarze do brony należącym.

Na Podhalu akcję kolonizatorską prowadzą obok króla Cystersi szczyrzyccy i szlachta, zwłaszcza Śreniawici, których rodu członkiem jest długoletni kanclerz królewski Zbigniew. Ważną przytem rolę odegrali Niemcy spiscy[1].

Synowie Zbigniewa ze Szczyrzyca, Sreniawici, posiadają w r. 1335 Harklową, lokowaną już na prawie niemieckiem, oraz Dembno, które teraz lokują[2]. Teraz pokazuje się tu cały sznurek wiosek niemieckich, które się wsunęły między szeroko rozstawione starsze osady polskie. Od Starego Sącza począwszy po obu stronach Dunajca są: Tylmanowa, Grywałd, Tylka, Haluszowa, Czorsztyn, Szlembark, Frydman, Harklowa, Waksmunt, istniejący jako wieś niemiecka w r. 1338. Prąd ten poszedł dalej, wtargnął na właściwe już Podhale. Przed ostatecznem nadaniem prawa magdeburskiego w roku 1346 dla Nowego Targu[3] istniało tu miasteczko; Ryszard pleban i Andrzej wójt z Nowego Targu, właściwie z Neu-Marktu, gdyż tak się ono podówczas rzeczywiście nazywało, świadkują już na przywileju z 1327 r.[4]. Musiała powstać w tym samym czasie o kilka kilometrów odległa od Nowego Targu osada niemiecka Szaflary (Schaefere), której nazwa znaczy tyle, co polskie Owczary[5]. Ale i Cystersi szczyrzyccy zaczęli się teraz energiczniej zabierać do kolonizowania swoich majątków. Opat Dionizy wraz z komesem Albertem, wójtem bocheńskim, oddają las Długopole i las przy Czarnym Dunajcu na lokację niemiecką. Ten komes Wojciech, wójt bocheński, to bezwątpienia potomek Teodoryka, a więc Świebodzic, musiał bowiem mieszkać gdzieś koło Szczyrzyca. Umiał on widocznie zorjentować się w zmienionej sytuacji, bo nie wahał się wziąć intratne wójtostwo w niedalekiem miasteczku[6].

---

[1] Od początku aż dotąd naszkicowane według notat do wykładów o osadnictwie.

[2] Kod. Mpl. I nr. 198.

[3] Kod. dypl. Mpl. III nr. 231.

[4] Kod. Mpl. I nr. 175.

[5] Istnieje tu sołectwo już w r. 1338; w 1339 jest ta wieś niewątpliwie królewszczyzną (Kod. Mpl. III nr. 655).

[6] Stosunki własności na Podhalu i w sąsiednim Beskidzie w XIV XV w. omawia krytycznie St. Zakrzewski w pracy: Najdawniejsze

Klasztor szczyrzycki lokował Krauszow (Gruszów) prawdopodobnie już w r. 1327, choć wieś pod tą nazwą występuje dopiero w r. 1382 (por. St. Zakrzewski loc. cit. s. 66), Ludzimierz uzyskał prawo niemieckie w r. 1339 (Kod. Mpl. I nr. 194). Klikuszowę, należącą do królewszczyzny, przenosi na prawo niemieckie król Władysław Jagiełło w roku 1389 (Kod. Mpl. IV nr. 499); nazywa się ona wtedy Klukoszowa albo Klukoczowa[1].

Zresztą i w kraju całym z końcem XIV wieku minął pierwszy ruch kolonizacyjny. Naszło dosyć ludzi w lasy i pustkowia, wypełniły się one mieszkańcami i zrobiła się chwila spokojniejsza. W XV w. nie przybywa w ten odległy zakąt ludności, rozwijają się osady już istniejące, ale kolonizacja nie posuwa się dalej w głąb. Osadnicy niemieccy polszczyli się i powoli rozszerzali swe grunty uprawne.

Tak mogło trwać do początku XVI wieku, w którym to czasie znowu spostrzegać się dają oznaki jakoby większego przypływu osadniczego z Polski. Nim jednak ta fala nadeszła, a właściwie prawie równocześnie z jej wzbieraniem podeszła druga z innej strony. Jest to osadnictwo wołoskie, nad którem wypadnie się trochę zastanowić. Średnie wieki znają dosyć zjawisk przenoszenia się ludzi i wędrówek za nowemi siedzibami. Zachód ma w XI i XII wieku swoich szkockich gości — Albani; włóczą się oni, osiedlają po wioskach i trzebią lasy. Wschód ma znowu całe osadnictwo flamanckie, holenderskie i niemieckie; wszyscy ci koloniści szli z pługiem i ziarnem, szukali żyźniejszej ziemi, karczowali puszcze, osuszali bagna. Prócz nich byli jeszcze i Wołosi, Rumuni. Pierwsi szli dolinami, drudzy znowu posuwali się grzbietami gór, pustaciami górskiemi, połoninami.

Ciekawe są wędrówki Rumunów, ciekawa też przypadła rola resztkom tej romańskiej ludności na półwyspie bałkańskim i w Karpatach. W końcu XIII wieku zajmują oni Alpy Siedmiogrodzkie, w XIV wieku idą przez Serbję aż nad brzegi Adrjatyku, przedostają się na niektóre z wysp

dzieje klasztoru Cystersów w Szczyrzycu, przyczynek do dziejów osadnictwa na Podhalu, w Rozpr. Ak. Um. wydz. hist.-fil. t. 41 str. 58—73.

[1] Ustęp dodany przez wydawcę.

i sięgają w głąb kraju w Kroacji i Styrji. Nie idą oni ławą, lecz mniejszemi gromadami i nie jako rolnicy; trochę kupczą, prowadząc karawany z gór aż nad morze, ale głównie znani są wszędzie jako wędrowni pasterze. Miejscowi osiadli ludzie patrzą na nich trochę z pogardą, ale im nie przeszkadzają. Zresztą oni jedni wyzyskują, jak umieją, pustki górskie, opuszczone i niezamieszkałe; za prawo pasania dają owce i sery[1]. Są to więc osadnicy pastuchy, koczownicy na poły, wśród osiadłej ludności. Ciągną oni użytki z odpadków, na które nikt się wtedy nie łakomi, zajmują przestrzenie, które chłopa ze wsi nie nęcą, jako nie rolnicy mogą się wcisnąć zawsze i pomieścić między rzadką ludnością rolniczą.

Zachodzą oni daleko na północ, same góry ich prowadzą; Karpatami doszli od pastwiska do pastwiska aż do Moraw, gdzie w górzystej części tego kraju pozostawili trwałe ślady swego pobytu. Nie będziemy tu iść za niemi, obchodzi nas głównie pytanie, kiedy doszli na południowe kresy Małopolski. Już w XIV wieku wkraczają przez Bukowinę na Pokucie i na Ruś czerwoną. Rad ich sprowadza Władysław Opolczyk i Ludwik węgierski. W drugiej połowie XV wieku osadnictwo wołoskie wzmaga się i dochodzi w XVI w. do swego najwyższego punktu. Naturalną jest rzeczą, że im dalej na północ i zachód, tem później się pojawili. Z tych właśnie czasów najwięcej dochowało się śladów ich pobytu na Podhalu i w pobliżu. Idąc od wschodu Beskidem, było w państwie muszyńskiem za króla Stefana w r. 1582 63 półdworzyszcz wołoskich, dalej w pobliżu Górnego Dunajca kilka dworzyszcz wołoskich w Szlachtowej i w Jaworkach, wyżej znowu nad lewym dopływem Dunajca we wsi Ochotnicy było ośm dworzyszcz. Jest nawet

[1] Miklosich Wanderungen der Rumunen. Denkschriften der Akad. der Wiss. Wien 1880 s. 4: der wlachische Kaese spielte ehedem in der Wirthschaft der Ragusaner eine so massgebende Rolle, dass er neben gemuentztem Metall als Zahlungsmittel verwendet wurde (XIV Jahr). — Obecnie podstawowe dzieło do kwestji kolonizacji rumuńskiej dał K. Kadlec Valaši a valašske právo v zemich slovanských a uherských. Praga 1916 str. IV — 528. Obszerna recenzja Stef. Sochaniewicza w Kwart. hist. 1916 str. 375—383 stwierdza, że co do polskich stos. niewiele nowego dorzuca, ale sumiennie literaturę polską i ruską wyzyskuje. Przyp. wyd.

ślad, choć niezupełnie pewny, że byli w tej wiosce Wołosi już w XV w.[1] Za czasów Długosza składała ona dań w serach i dzieliła się na dwie części, może polską i wołoską[2]. Wreszcie bliżej Podhala byłaby Łopuszna znowu taką osadą. W r. 1581 nie było w niej jednak Wołochów. Wydaje mi się wątpliwem, aby tam kiedykolwiek siedzieli, choć nazwa ma być pochodzenia rumuńskiego. Powtarza się ona jako miano potoku w Wschodniej Galicji, oraz jako nazwa wsi na Bukowinie. Na obszarze polskim znachodzimy wieś tej nazwy w powiecie pilzneńskim (r. 1362 otrzymuje w prawo niemieckie), drugie Łopuszno znajduje się w powiecie chęcińskim. Obie te osady są za stare, a Łopuszno koło Chęcin stanowczo za dalekie, aby mogły być przez Wołochów zakładane. Nakoniec za osady wołoskie wziąć można ze względów językowych, nie zawsze, jak widzimy, wystarczających, dwie jeszcze wioski na wschodniem Podhalu, więcej ku południowi. Łapszówka wieś i potok koło Jurgowa po stronie węgierskiej i Zasichle (sihla po rumuńsku las) pod samemi Tatrami na polskiej stronie, oraz szczyt tatrzański Wołoszyn. W północnym Beskidzie koło Wadowic i koło Oświęcima we wsi Porąbce wędrowni wołoscy pasterze wpędzali swoje trzody do lasów królewskich razem z Polakami. Jest o tem wzmianka w lustracji tych starostw z r. 1574. (Bibl. Ord. Krasińskich, tom II s. 309 i 335).

Pasterskie to osadnictwo dosięgało więc Podhala i Beskidu. Czasem zostawały gromadki tych pastuchów i zaludniały wioski, znaczniejsza ich część szła dalej, pędząc swoje trzody przed sobą. Sądzę, że była to nie bardzo silna fala. Wołosi morawscy, zmieszani zresztą bardzo z elementem słowackim, musieli iść południowemi, słowackiemi stokami Tatr, bliższa to była droga na Morawy, niż przez Polskę i Śląsk.

Późne i sporadyczne pojawienie się Rumunów przypada na koniec tej spokojniejszej chwili w osadnictwie Pod-

[1] Już w r. 1416 otrzymał od Władysława Jagiełły Dawid Wołoch przywilej na osadzenie wsi wołoskiej Ochotnicy. — Por.: E. Długopolski, Rządy Mikołaja Komorowskiego na Podhalu, w Pam. Tow. Tatrzańskiego za rok 1911 (t. 32) str. 35. Przyp. wyd.

[2] Lib. benef. t. II s. 252—3.

hala, na drugą połowę XV w. i pierwszą XVI w. Fakt ten wywarł swój wpływ, pamiętać też o nim należy, ale go nie należy zbytnio przeceniać. Ważniejsze jest to, że na wiek XVI znowu przypada silniejszy ruch osadniczy polski, który nie dopuścił już obcych żywiołów, sam zajmując miejsce. Był to właśnie czas kolonizacji wszystkich kresów. I te strony znalazły się w tem położeniu, że jako kresowe były kolonizowane, przyjmowały więc ludność, a nie wysyłały jej dalej. Przeludnienia jeszcze tu nie było. Przedsiębrał kolonizację w XIV w. najpotężniejszy możnowładca małopolski, znany nam komes Teodoryk, wojewoda krakowski. W XVI wieku rozpoczynają na Podhalu Pieniążkowie z Kruźlowej (h. Odrowąż), dzierżący już w XV wieku starostwa podgórskie: Czorsztyn, Muszynę, Sącz, Spiż, a w XVI długi czas posiadający obok starostwa sandeckiego starostwo nowotarskie. Oni to założyli Odrowąż (1564), Pieniążkowice, Biały Dunajec i Czarny Dunajec, Nową Maruszynę, Zawadę, posuwając osadnictwo ku Tatrom. Równocześnie rozwijali bardzo żywą działalność osadniczą na północnych stokach Beskidu, od Jordanowa po Limanowę, w prywatnych swych dobrach. Jordanowie, a zwłaszcza znowu największy po Tarnowskim właściciel ziemski w Małopolsce Spytek Jordan, kasztelan krakowski. Główny pień jego fortuny stanowiły dobra koło Myślenic i Szczyrzyca, szły jednak dalej na południe i w zwartym kompleksie rozsiadły się między górną Rabą i Skawą. Zakłada on nowe wsi, jak Spytkowice, miasteczko Jordanów, Rabę, Poniec czyli Ponice. Głównie jednak przeistacza stare wsi; niedość już było wtedy wyzyskiwać góry jako pastwiska dla bydła, intratniejsze się okazało osadzanie kmieci na łanach.

Ratoldowie ze Skrzydlnej zakładają wtedy Ratułów, który się też z początku zwie Ratułtowem.

W starostwie nowotarskiem ruch kolonizacyjny pod koniec XVI wieku dociera do samych Tatr.

Chochołów nad Czarnym Dunajcem zakłada król Stefan. Sołtystwo otrzymuje w nim Jan Chochołowski za zasługi na wojnie moskiewskiej; dostaje on do osadzenia tę miejscowość z całym o trzy mile odległym pasem Tatr. Miętustwo, nieco powyżej Chochołowa, ma przywilej na swoje

sołtystwo od Zygmunta Augusta. Z tego czasu ma być i Wróblówka. Trzeba wiedzieć„ że Stefan Batory odgrywa na Podhalu rolę rozdawcy swobód i kolonizatora, czem przypomina Kazimierza Wielkiego. Nawet i Zakopane posiada jego przywilej z r. 1578. Istnieje też lub do niedawna istniała tradycja, że pozwolił on na wszystkich reglach, począwszy od Jaworzyny aż po Orawicę, tj. na przestrzeni 7—8-milowej, stawiać folusze i młyny na wszystkich wodach, pasać bydło po wszystkich reglach i palić węgle. Nie byłem w możności sprawdzenia jej, choć w Metryce koronnej, jeżeli rzeczywiście był wydany taki przywilej, możnaby go odnaleść. Wtedy także zaludnia się północny Spisz, należący do Węgier.

Rozpęd raz nadany nie ustał tak prędko. W ciągu XVII, a nawet XVIII wieku zaludnia się ostatni pas Podhala, najbliższy prawie u podnóża Tatr. W innych stronach kraju wiek XVII jest czasem, kiedy wioski raczej giną, a nie powstają, tutaj — wprawdzie w małych rozmiarach — dzieje się odwrotnie. Wyrastają osady najbliższe Tatrom: Dzianisz, Olcza, Kościeliska, Ciche, Witów, Nowe Ciche i Nowe Bystre, Ząb, Brzegi, Bukowina, większa sołtysia osada Białka i mnóstwo rozsianych siedzib t. zw. polan, mniej więcej w odległości trzechmilowej od Tatr. Jest to ostatnia najmłodsza, jak widzimy, ale dla nas najciekawsza fala. Dotarły z nią ludzkie siedziby do samych Tatr i zaparły się o nie i na tem się kończy historja siedzib ludzkich w tych stronach, bo w góry już na stałe iść było niepodobna[1][2].

[1] Odbywa się to wśród ostrych zatargów między ludnością broniącą swych swobód i dotychczasowego obciążenia a starostami, dążącymi do zwiększenia swych dochodów przez wymuszenie nowych danin i posług. Przed znanym buntem Kostki Napierskiego głośny był zwłaszcza zatarg starosty Mikołaja Komorowskiego z sołtysami, kmieciami i pospólstwem podhalańskiem (1624—1633). (Por. E. Długopolski loc. cit.). Przyp. wyd.

[2] W sprawozdaniu z posiedz. Ak. Umiej. z 16 marca 1896 streszcza Potkański wyniki swych badań nad rozwojem osiedlenia Podhala od XII do XVII wieku pod tytułem: Granice osiedlenia Podhala. Piękna rozprawka »Pierwsi mieszkańcy Podhala« stanowi odrębne stylistycznie opracowanie całej kwestji osadnictwa aż do XIII wieku; drukowana w »Czasie« z 13 i 14 sierpnia 1896, została powtórzona w Pamiętniku Tow. Tatrzańskiego za r. 1897 str. 82—93. Przyp. wyd.

5. Gospodarstwo pasterskie na Podhalu od XIII do XVI wieku.

Kolej teraz na historję miejscowych stosunków, z nich to bowiem mamy odtworzyć całą jedną stronę pierwotnego polskiego osadnictwa. To, co nam dotąd źródła pokazały, nie jest bardzo upewniającem w tym kierunku. Pierwsze pytanie, które się nasuwa zaraz na wstępie, jest: czy można odnaleźć jakiś typ stalszy i pierwotniejszy tam, gdzie się tyle ludzi przewinęło — w tak różnych czasach, tak różnych narodowości, gdzie się tyle wpływów z sobą mięszało? Trzeba na to odpowiedzieć, że i tutaj można odnaleść pierwotniejsze formy — tylko nie wszędzie i nie we wszystkich objawach. Nie wszystkie społeczne stosunki uległy w równej mierze owym wpływom, nie wszystkie są złożone w jednaki sposób z tych samych elementów. Są między niemi takie, które przeszły więcej zmian, inne mniej, inne nie zachowały się wprawdzie nietkniętemi, mogły jednak powtórzyć nie jeden pierwotny objaw. Rzecz prosta, że o te nam przedewszystkiem idzie.

Dopytywać się o pierwszych osadników, choćby tych z XIII wieku, na Podhalu nie ma co. Nie odgrzebiemy ich stosunków z pod wszystkich późniejszych warstw i nie na wiele się przyda badanie, do jakiej kategorji wiejskiej udności mogli oni należeć. Musi nam wystarczyć goły fakt, że byli to poddani księcia, na samym zaś Podhalu, o ile ludzkie siedziby i tam sięgały, mogli być poddanymi komesa Teodoryka, ale w każdym razie takimi, z których on nie miał pożytku, bo niepodobna ich było wcielić do jakiejkolwiek dominjalnej organizacji wobec warunków, jakie tam panowały. Tyle się da powiedzieć o ich stanowisku prawnem.

Odsuwając na bok tę stronę kwestji, mamy jeszcze bardzo ważną stronę ekonomiczną. Skąd się wzięło w Tatrach pasterstwo, jakie są jego początki? Dla tego właśnie te strony obraliśmy za pole badań w tym kierunku. Otóż owe pierwotne polskie osady na Beskidzie nie są jeszcze w XIII w. w tym stopniu pasterskie, co później, nie do nich więc wypadnie nawiązywać późniejsze objawy.

Że w całym kraju chów bydła był rozpowszechniony w XIII wieku, to nie ulega żadnej wątpliwości; inna rzecz,

czy da się udowodnić, że tak było wtedy i na Beskidzie. Ludzie z Włosania, którzy rościli sobie do puszczy pewne prawa, polowali w niej, łaźbili pszczoły i zastawiali więcierze po rzekach, o pasaniu trzód niema wzmianki. W reszcie kraju istniało podówczas pasterstwo, a z nim i jakaś jego organizacja. Istnieją przecież wioski: Skotniki, Skotarze, Owczary, Świniary, Krowary, nie licząc Koniar, Stadników i Woźników, dalej Karmniki, Chlewiska, Koryciska, Jaśliska, Obory, cała serja nazw miejscowości związana z tem zajęciem. Weszły one w znacznej części do organizacji grodowej. Tak samo, jak i osad bartniczych, nie potrzeba ich było stwarzać. Na większych równinach, w bezleśnych zakątach kraju sama natura dawała przewagę jednemu zajęciu nad drugiem. Podstawa ekonomiczna wystarcza zupełnie, aby takie osady powstawały, nie potrzeba koniecznie do tego działania państwa.

Daniny i powinności bartników są nam znane; natomiast o stanowisku i powinnościach ludzi, zajętych chowem zwierząt domowych, bardzo niewiele można powiedzieć. Było to zależne od tego, czy stado do nich, czy do księcia należało. Że nie wszyscy byli niewolnikami, jak owych 14 skotników z Zagościa, to pewna. Już np. przypisańcy mogli tworzyć jakąś organizację społeczną, tylko że nic o nich nie wiemy. Starostowie bartni są nam znani, starostowie-skotarze nie.

Daniny w bydle są bardzo stare i bardzo powszechne. W bulli dla arcybiskupstwa gnieźnieńskiego jest wymieniona dziesięcina wieprzów. Krowę dawało opole jako zbiorową karę sądową, jest ona razem z miodem wymieniona. Za podworowe dawało się także krowę. Co więcej, tak powszechna danina, jak poradlne, mogła być także w wołach opłacana. Ogólna danina narzaz i część stanu czyli stacji również w bydle były składane. Dawano także barany i wieprze jako daninę. Za pozwolenie wpędzania trzody do lasu, szczególniej na żołądź, także się płaciło pewną ilością zwierząt. Nie było potrzeba do tych danin pośrednictwa osobnego starosty skotniczego, były one powszechne, pobierali je najprawdopodobniej ci, którzy i wszystkie inne daniny pobierali. W setkach dyplomatów są wzmianki o cię-

żarach w bydle, ale bez bliższych szczegółów: jest to zupełnie jałowy materjał. Raz tylko spotykamy wzmiankę o dziesięcinie serów, którą dawali skórnicy czyli garbarze (decimum caseum apud scornicos), jeżeli to nie są poprostu skotnicy. Starosta mógł być przy tem potrzebny. Oprócz tego mógł tutaj działać ten sam czynnik, co i przy bartnictwie, mianowicie znawstwo tajemnic zawodu, sposobów przerobu mleka, leczenia zwierząt, różnych zażegnywań i obrzędów dorocznych, związanych z chowem zwierząt a mających na celu zapewnienie w nim powodzenia; tylko pytanie, czy te »tajemnice znachorskie« nie łączyły się raczej z pojęciem pastucha niż starosty. W zwykłych wioskach nie wyłącznie pasterskich nad dolną Wisłą kmiecie kolejno pasali gromadzkie bydło, jak to stwierdza polskie prawo zwyczajowe z końca XIII wieku; wspólnego pasterza wieś nie trzymała. Najprawdopodobniej też starosta opolny, czy wioskowy, rozciągał swoją władzę i na pasterskie sprawy. Wątpimy także, czy istniały stowarzyszenia pasterskie.

Oto mniej więcej wszystko, co się da powiedzieć o pasterstwie w czasach, kiedy na Beskidzie i na Podhalu spotykamy pierwsze osady ludzkie. Takie same stosunki istniały i tu prawdopodobnie, bo nie ma danych ani w dokumentach ani w nazwach miejscowości, żeby pasterstwo było więcej rozwinięte, niż w reszcie kraju. Stało się to zatem później.

Polska ludność była tu najstarszą, ale za rzadką i nieliczną, aby wycisnąć jakiekolwiek silniejsze i trwalsze piętno na zajmowanej ziemi. Nim się zagęściła i doszła do wyrobienia wyraźniejszych form gospodarczych, pojawiły się i inne żywioły, z któremi się musiała podzielić ziemią i od nich w niejednem zapożyczyć.

Pierwsi ubiegli ją Niemcy, z nimi też łączą się pierwsze ślady pasterstwa w Tatrach. Wieś Schaffläre znaczy tyle, co polskie Owczary. Sasi na Spiżu, dokąd przybyli w XII już wieku, pędzili pasterskie życie. Miasteczko Käsemarkt, dosłownie Targ serny, istnieje już w XIII wieku. Przechodząc na drugą stronę Tatr, przepędzili ze sobą i trzody. Wachsmund, Szaflary i niemiecki Ludzimierz wszystkie te

wsie tem się zajmują. Wiek później rusza się więcej i ludność polska. Przychodzą potem Wołosi, przepędzają swe trzody przez Tatry, zrzadka się osiedlając wśród miejscowej ludności. Pokrywa ten prąd ruch polski, który się wzmaga przez XVI i XVII wiek i sam już kolonizuje całe Podhale. Naturalnie i on przybiera pasterski charakter.

Ślady tych warstw pasterskich odbiły się na halach tatrzańskich. Każda z nich musiała sobie poczynać jednako, a mianowicie każda zajmowała hale, połogie i lesiste wzgórza lub doliny i trawiaste zbocza. Tylko w Tatrach samych zostały do dziś dnia czysto pasterskie hale, na których kwitnie czysto pasterskie życie. Od nich więc trzeba zacząć i iść wstecz, jak przy rozpatrywaniu samego osadnictwa, tj. nie od Krakowa ku Tatrom, lecz przeciwnie. Można się spodziewać, że zastaniemy w nich niemieckich przybyszów z niemieckich wiosek Podhala. Tak jest rzeczywiście.

Następujące polany i pastwiska należały do Szaflar: Strążyska, Kalatówki w pobliżu Zakopanego oraz dolina Tomanowa, najwyższe piętro dobrze znanej doliny Kościeliskiej. Prócz tego istnieje polana Waksmundzka nazwana od wsi Wachsmundu, oraz polana Kondratowa za Kalatówkami; pierwszy właściciel Konrad, oczywiście Niemiec, i to z Szaflar, dał jej to miano. To są ślady pasterstwa niemieckiego w Tatrach. Sichle ma nazwę wołoską, możnaby więc przypuścić, iż w dolinie Małej łąki, która do tej wsi należała, paśli kiedyś Rumuni, choć sama dolina nosi nazwę polską. Natomiast z pewnością pasali Wołosi na Wołoszynie.

Polskie doliny są następujące: hale koło Morskiego Oka oraz zupełnie wewnątrz gór położona dolina Pięciu stawów należą do Białczan, stawy Gąsienicowe, także głębsza dolina, do Zakopanego. W Kościeliskach Pisana, pierwsza polana od wejścia, należy do Poronina i Bystrego, druga, Ornak, do Cichego, trzecia, najlepsza z całych Tatr, obszerna polana Pyszna, do Klikuszowej, za nią dopiero idzie Tomanowa. Za Kościeliskami Stara robota do Czarnego Dunajca dolina Jarząbcza i największa Chochołowska dolina, dawniej Suchy bór zwana, do wsi Chochołowa. Spory więc szmat gór zajęli osadnicy polscy.

W jakim czasie odbywało się zajmowanie tych gór-

skich pustaci, trudno oznaczyć. Trzymając się jednak zasady, że polany bliższe i lepsze były zajmowane wcześniej, dalsze zaś, głębiej w górach leżące, z trudniejszym dostępem, później, można mniej więcej oznaczyć chronologję ich zajmowania. Odległość wiosek od Tatr nie jest też bez znaczenia. Waksmund leży nad Dunajcem na wschód od Nowego Targu, odległy jest od swej doliny o jakie 5 mil z okładem. Widać, jak Biały Dunajec prowadził pierwszych pasterzy w te strony: szli ciągle koło niego w górę do Poronina, potem zwrócili się na prawo za jego dopływem Porońcem, od którego dwa potoki Sucha woda i Cicha woda doprowadziły ich do samej polany. Białczanie szli znowu Białką, która doprowadza do Rybiego, zajęli jego leśne, limbowe zbocza i weszli po za Waksmundzką polanę do Pięciu Sławów. Owczarze z Szaflar zwrócili się już od Białego Dunajca w lewo i doszli za jego dopływami do dolin, które zajęli nad samem Zakopanem; i Gewont zresztą ma niemiecką nazwę. W tej samej linji, co Zasichle, leży Wołoszyn, dwie mile od niego odległy. Wioski z zachodniego kąta Podhala, bliżej Orawy, zajmują zachodnie doliny, idąc mniejwięcej do źródeł Czarnego Dunajca; Chochołów jest oddalony o 3 mile od doliny tego nazwiska. Ciekawe są stosunki w dolinie Kościeliskiej: najlepszą polanę ma Klikuszowa, wieś leżąca na stokach Beskidu, ku Tatrom zwróconych, 5 mil od niej odległa, wyższe i niższe polany zajmują wioski bliższe; wygląda to tak, jak gdyby Klikuszowianie najpierwsi pojawili się w tych stronach, choć nie ma wcześniejszego od XVII w. dowodu, że Pyszna do nich należy. Nietylko Klikuszowa, ale wogóle wszystkie wioski odleglejsze, jak np. Waksmund, Szaflary, Chochołów, zajmowały polany lepsze, tak że te osady, które się podsunęły pod same Tatry w XVI i XVII wieku, zastały wszystko, co lepsze, zajęte. Pozostało im albo iść jeszcze dalej w góry, albo cisnąć się po bliższych i mniejszych polankach wśród lesistych regli. Można więc uznać, że najstarsze ślady pasterstwa wiążą się z tym najstarszym pasem wiosek mniej więcej o 4—5 mil od Tatr odległym: dwie z nich są niemieckie, najdalsza polska, Klikuszowa, nie ma śladów osadnictwa niemieckiego, choć ma w XVI wieku łany i sołtysa.

W każdym razie są to ślady nie starsze nad drugą połowę XV wieku, sama bowiem data założenia wsi nie jest jeszcze datą zajęcia hali w Tatrach. Większość tych pastwisk górskich nie należy do gromad, ale do sołtysów; jest to znak, że były to wsi lokowane na prawie niemieckiem, ale już w wielu wypadkach przetworzonem i do pewnego stopnia spolszczonem.

Przyszły następnie wpływy rumuńskie i bardzo silne piętno wycisnęły na tych niemiecko-polskich stosunkach. Dziś niepodobna powiedzieć, co w samej organizacji pasterstwa należy do każdego z tych elementów. Życie pasterskie pędzi się do tej chwili na halach tatrzańskich. Zbyt ono dobrze jest znane, aby się niem dłużej zajmować, zresztą prawie nic dla pierwotnych stosunków polskich nie da się z niego wycisnąć. Owce i bydło ze wsi oddaje się na odpowiedzialność bacy, który jest najstarszym pasterzem na hali, coś niby starosta, tylko nie ma z nim naturalnie nic wspólnego. On dobiera sobie juhasów-pasterzy, razem tworzą oni małą społeczność pasterską, która istnieje przez letnie miesiące. Bardzo to pierwotne, jeśli kto chce, tylko nie można w żaden sposób powiedzieć, że pierwotne polskie, zresztą sama ta prostota zaciera niejako ślady pochodzenia.

W gruncie rzeczy urządzenia pasterskie nigdy się bardzo między sobą nie różniły, tem łatwiej też przychodzi do zastępowania jednych form innemi i do nadawania starym stosunkom nowych nazw. Sama nazwa nie wszystko stanowi. To, że często się ją zapożycza z obcego języka, niekoniecznie zaraz ma dowodzić, że nie istniała przedtem miejscowa a z nią oczywiście i sama rzecz, względnie stosunek.

Często do nowych rzeczy stosujemy stare nazwy (np. pióro, styl itd.), albo przeciwnie na stare stosunki nakładamy nowe nazwy, często też przesuwa się znaczenie wyrazów, nowy nietylko wypiera dawny, ale i zmusza go do przybrania innego znaczenia, skutkiem czego zacierają się ślady dawnego stosunku.

Nie znamy polskich urządzeń pasterskich, nie znamy nawet dobrze niemieckich, najlepiej są nam znane później-

sze wołoskie. Zaznaczyły się silnie, zostawiły wiele wyrazów technicznych, wpłynęły na rozpowszechnienie samego pasterstwa. Ale może być wątpliwe, czy je sami Wołosi przynieśli. Wyrazy mogą biec szybciej, niż człowiek; niejeden z tych wyrazów mógł się dostać za pośrednictwem Rusinów, zresztą i sami Wołosi ulegli w ciągu swej dalekiej wędrówki zmieszaniu z żywiołami, które po drodze spotykali, tj. z Rusinami. Wszystko to są względy nie do odrzucenia przy ocenie wpływów językowych i etnograficznych na Podhalu. Wypływa stąd wniosek ostateczny taki, że nie można tatrzańskich urządzeń pasterskich uznać za czysto rumuńskie i jako takie je badać.

6. Rozwój rolnictwa na Podhalu i Beskidzie.

Właściwe hale, na których się do dziś dnia wypasają owce i krowy, mniej nas obchodzą, natomiast pierwszorzędnego znaczenia będzie pytanie, w jaki sposób powstawały polskie osady na Podhalu i w jakim one związku zostają z ogólnym charakterem gospodarczym tych stron. Chodzi o to, jak w kraju lesistym i o złej glebie poczynali sobie ludzie bez względu na ściśle historyczną chronologję. Ten szereg objawów jest właśnie związany z ostatnim pasem osadniczym, najbliższym gór. Starsze latami i więcej oddalone wioski były niemieckie, ich organizacja jest znana i mniej ciekawa. Późniejsze natomiast przemiany przedstawiają więcej interesu jako powstałe wskutek działania miejscowych czynników, dzięki którym powtórzyły bardzo dawny proces osadniczy. Nadto także najmłodsze te wioski stanowią bogatszy i lepszy materjał.

Podobny wypadek mamy i u Kurpiów. Jedna tylko zachodzi ważna różnica — mianowicie, że ludzie, którzy zakładali osady rolnicze w mazowieckiej puszczy, byli ci sami, którzy zajmowali ją przedtem jako bartnicy. Warunki fizjograficzne zdołały przechować pewne formy społecznego bytu, które potem drogą długiej ewolucji zostały zmienione i zastąpione przez inne, ludność jednak w gruncie rzeczy pozostała zawsze ta sama. Tutaj inaczej; ostatnia warstwa osadnicza przyszła nietylko późno, ale przyszła ze świata,

mogła więc przynieść późniejsze urządzenia tych czasów, w których powstawała. W XVI i XVII w. nowi osadnicy nie przybywali z puszcz bartniczych, lecz z kraju rolnego i przynosili z sobą ówczesne, późne urządzenia. Mimo tej ważnej różnicy będziemy i tu szukać starych form społecznych i odnajdziemy je nawet. Tak dalece prawdą jest, że ile razy powtórzą się pewne warunki, tyle razy powtórzą się z nimi związane formy społecznego bytu.

Oddziaływanie otoczenia jest przez bardzo długie wieki czynnikiem stalszym, niż się zdaje, i działa jednakowo wobec bardzo wielu zmian cywilizacji. Potrzeba dopiero przejścia przez pewne stadjum, aby stosunek ten wzajemny (funkcjonalny) uległ zasadniczej zmianie. Potrzeba na to wogóle bardzo znacznego przyrostu cywilizacji. Północno-amerykański Far-West jest kolonizowany inaczej, ale dopiero od kilku dziesiątków lat. W XVII wieku garstka osadników szkockich skolonizowała wyspę Nantucket koło Nowego Jorku w sposób zupełnie pierwotny i wytworzyła na niej bardzo ciekawe, archaiczne urządzenia. Prawdopodobnie byliby ją ci osadnicy tak skolonizowali i w XIII wieku, a przecież w samej Szkocji — to dwie bardzo różne epoki. Jest to zresztą tylko analogja. Inaczej kolonizują całe kraje tłumy wychodźców, a inaczej pojedynczy, odosobnieni osadnicy; o tem dobrze pamiętać. Znaczenie ma tu samo tylko zasadnicze twierdzenie najogólniej wzięte; z niego też wychodzę. Przypuszczam mianowicie, że powstanie polskich osad podtatrzańskich w XVI i XVII wieku, a nawet później, mogło powtórzyć rzeczywiście pierwotne stosunki i tego zamyślam dowodzić.

Było to już po całym ruchu osadniczym na prawie niemieckiem, skończył on się dobrze sto lat temu w reszcie kraju, nim tutaj po raz drugi przyszedł. Prawo niemieckie, które przynieśli do nas w XIII i XIV wieku niemieccy koloniści, zaczęło się samo zmieniać i oddziaływać na miejscowe stosunki. Działanie to obopólne przyniosło gruntowną przemianę całej średniowiecznej organizacji ludności rolniczej. W nim znalazła ona swe formy, w które powoli wchodziła i do których się przystosowywała. Sołtys i kmiecie z XIV wieku, przeważnie rodowici Niemcy, a sołtys i kmiecie,

Polacy wykazują tyle różnic mimo jednakowych nazw, że ich już nie można zaliczyć do jednej i tej samej kategorji.

Pierwszy ten ruch kolonizacji na prawie niemieckiem przyszedł, i to dosyć wcześnie, na Podhale, głównie z sąsiedniego Spisza. Wioski wtedy powstałe, pozostawione później samym sobie, ulegały różnym zmianom. Sama umowa prawna musiała się zmieniać. Inną już była de facto dla wnuków, niż dla pierwszych założycieli, którzy ją osobiście niejako zawierali. Nieznacznie a powoli rozkładały się inaczej, niż z początku, ekonomiczne siły między tych samych sołtysów i kmieci z jednej, a właścicieli ziemskich z drugiej strony.

Na tej osadniczej fali nie kończy się ruch. Była to okraina, więc przestrzeni zostało tyle, że później z kraju, już zmienionego, przyszła druga, silniejsza warstwa osadnicza i pokryła niejako tę pierwszą. Jest to fakt dosyć wyjątkowy i — o ile mi się zdaje — nie powtórzył się on gdzieindziej w granicach Polski piastowskiej, bo na ten sam czas przypada już kolonizacja kresów wschodnich. Ciekawe wiążą się z nim zjawiska. Nowe nadania i nowe stosunki, zaprowadzone w XVI wieku, dawały tu ludności rolniczej po raz drugi nieco więcej swobody, niż wewnątrz kraju. Na Ruś, gdzie czekała lepsza gleba, ale za to groziło niebezpieczeństwo jasyru, nie potrzebowali wędrować ci nowi polscy osadnicy Podhala i Beskidu. Przywileje lokacyjne, nadane teraz, nie mogły tak szybko zmienić się i stracić znaczenie i przystosować do reszty kraju, jakbyśmy przypuszczać mogli. Ludność tutejsza po raz drugi poczęła żyć tą organizacją, która właśnie wszędzie w kraju dogorywała. I dziś jeszcze zastać można na Podhalu zapomniane gdzieindziej i doszczętnie zmienione 16-wieczne urządzenia wiejskie. Niech kto zapyta chłopa w Małopolsce lub na Mazowszu, co jest sołtys, to usłyszy odpowiedź zupełnie zgodną z najnowszą organizacją gminną w Królestwie, a w Galicji, gdzie są tylko wójci, zapewne nie usłyszy żadnej. Na Podhalu, przeciwnie, jest żywa tradycja, czem był sołtys, a nawet po dziś dzień są rodziny i osady sołtysie, różniące się od zwykłych mieszkańców wsi góralskiej. Tak musiały wyglądać dworki sołtysów w XVI wieku, a może i wcze-

śniej. Ponieważ pierwsze nadania do dziś dnia w wielu razach zachowały swą moc prawną, więc też gdzieniegdzie przyszło na ich zasadzie do konfliktu między potomkami pierwszego obdarowanego sołtysa, a gromadą wiejską, szczególniej o pastwiska i użytkowanie lasów. Sądzę, że i w reszcie kraju istniała niegdyś podobna sprzeczność interesów i antagonizmy, które utrudniały i osłabiały stanowisko sołtysa względem świeckiego lub duchownego pana. Że to wychodziło na szkodę całej społeczności wiejskiej, a na korzyść zwierzchniego pana, jasnem się wydaje.

To odrodzenie zaznaczylo się bezwątpienia w ruchu Napierskiego, który w tych stronach powstaje. Były tu silniejsze podstawy do niezadowoleń, bo istniało jeszcze silniejsze poczucie praw i niedawno nabytych swobód. W pamięci ludu podhalskiego nie żyje sam Napierski, zastąpili go inni. Dochowała się jednak tradycja — a raczej legenda — tego dziejowego zdarzenia. Starzy górale wiedzą jeszcze o dwunastu wójtach ściętych na zamku w Lanckoronie za to, że nie chcieli wydać swych swobód. Ściągnięto ich na zamek podstępnie i wszyscy — prócz jednego — zginęli. Przedstawia więc Podhale ciekawy materjał dla każdego, ktoby chciał badać stosunki ludności wiejskiej w XVI w.; jest to cenny materjał do historji prawa niemieckiego wogóle i do jego późniejszych form i przeobrażeń. W tej ostatniej, bardzo późnej fazie jego rozwoju mogą istnieć domieszki stosunków czysto polskich, które prawo niemieckie przybrało niejako. Co więcej, samo prawo niemieckie, jako instytucja żywa, mogła podlegać i wstecznym przemianom i przybierać niższe formy. Te obie strony całkowitego zjawiska nas tutaj obchodzą.

Miejscowe czynniki biorą w nim udział. Najpierw wchodzą w ramy czystego niemieckiego prawa, później płyną swoim korytem, aż wreszcie tworzą razem z prawem niemieckiem nie jeden strumień, ale całą sieć wodną: mięszają się coraz bardziej, coraz więcej się tworzy między niemi połączeń. Różnorodność ekonomicznych stosunków wywołuje i określa te różnice. Ciekawem jest dla nas, o ile późna kolonizacja Beskidu i Podhala posługiwała się temi formami.

W regestrze poborowym z roku 1581 mamy główny materjał do osadnictwa zachodniego Beskidu. Jest on z na-

tury rzeczy dość pobieżny. Przywileje lokacyjne tych wiosek albo ich księgi wiejskie bezwątpienia dałyby pełniejszy obraz, ale tych nie posiadamy. Wioski tej części dawnego szczyrzyckiego i sandeckiego powiatu, które sięgają Beskidu i Podhala, mają ludność bardzo mięszaną i różnorodną. Sołtysów, a przynajmniej łany i półłanki sołtysie, często spotykamy, ale ich stanowisko musiało się w niejednem różnić od dawniejszego, mieli oni do czynienia z inną niejednolitą ludnością. Występują i łany kmiece, często nawet w znaczniejszej liczbie, np. w Toporowie jest ich 30, w Stróży 36. Zwykle dzielą się grunty orne na półłanki, w ludniejszych wioskach bywa ich nieraz znaczna ilość, np. w Borzęcie koło Myślenic 72, w Pcimie 48, w Bystrej 28, w Rabce 25 itd. Są to wioski najsilniej osadzone, mające powyżej 10 całkowitych łanów. Po nich druga kategorja spada dość znacznie. Wiosek od 15. do 5 łanów może jest stosunkowo najmniej, zato liczne są osady mające mniej niż 5 łanów. Częste są też takie, które mają po 2 i po 1 łanie tylko. Kmiecie zwykle siedzą na półłankach, gdzie zaś są łany całkowite, tam na jednem gospodarzy więcej, niż jeden. Przestał więc łan być jednostką gospodarczą oddawna. We wszystkich wioskach, np. w starostwie zatorskiem i oświęcimskiem, o których wspomina rewizja z r. 1564, czytamy często: tyle a tyle kmieci na rolach niepomiernych i czynsz różnie płacą. Działy, skupy i sprzedaże robiły tutaj swoje, zresztą i to być może, że nie w jednej z tych wiosek kmiecie nigdy nie mieli równo pomierzonych łanów. Rozdrobnienie i potarganie łanów musiało osłabić ludność kmiecą ekonomicznie, a nawet mogło oddziałać ujemnie na jej stanowisko społeczne. Trzeba przypuścić, że uboższych kmieci, chylących się ku zagrodnikom, było więcej, niż bogatszych. Rojno było i ludno we wszystkich tych górskich wioskach niedawno osadzonych, nie kmiecie jednak stanowili większość mieszkańców. Zadziwia wzrost liczebny innej ludności, pełno w każdej zagrodników rolnych i bezrolnych, komorników z bydłem i bez bydła, wiejskich rzemieślników, są dudy tj. muzycy wiejscy, przekupnie, karczmarze i inni. Wszystko to mniejszem się kontentuje, niż kmieć, mniejsze też ma prawa, łatwiej do wsi przychodzi i łatwiej ją opuszcza. Są wioski zamieszkałe

tylko przez zagrodników, np. wieś Kasinka pod Mszaną ma 16 rolnych zagrodników, ani jednego kmiecia. Nowo osadzona Spytkowa w parafji Łętownia ma 32 zagrodników z rolą, bez roli 24, komorników z bydłem 21, a bez bydła 9 — razem więc 86 mieszkańców, w tem ani jednego kmiecia. W sąsiedniej Rdzawce jest tylko jeden łan, a zagrodników z rolą 18. Kasinka i Spytkowa są niezawodnie osadzone na prawie polskiem, inne uznać trzeba za mięszane. Zostawały one pod wpływem niemieckich form lokacji, miały zawsze sołtysów, ale uważać ich już nie można za lokowane według dawnej modły. Urządzenia i wpływy czysto miejscowe, społeczne i ekonomiczne coraz bardziej na wierzch wychodziły, usuwając na bok dawniejsze formy.

W związku z niemi pozostaje szczególniej jedna warstwa ludności wiejskiej, której nie spotykamy zupełnie poza Beskidem i Podhalem. Są to zarębnicy. W Miłoszowie, Grzechini i Kojszówce pod Babią Górą siedzą oni sami, w pierwszej jest ich 24, w drugiej 20, w ostatniej zaś 10. Znajdujemy ich jeszcze w przeważającej liczbie w Palczy pod Lanckoroną, obok 3 łanów kmiecych jest 11 zarębników, w Baczynie 6, w Trzebuni na jeden łan jest ich 14, w Osielcu 5, a dwa łany kmiece, wszystko w parafji Maków. W Rokocinach koło Rabki siedzą sami zagrodnicy z zarębnikami, ale w mniejszości, bo pierwszych jest 9, a drugich 4, w Porąbce koło Mszany 3. Rozrzuceni więc są w różnej liczbie po tutejszych górskich wioskach. Przedostają się oni i na Podhale. Spotykamy się z nimi w Ostrowsku nad Dunajcem, gdzie ich siedzi 8 na małych rolach, w Waksmundzie zaś 4. Jest ich tu mniej, niż na Beskidzie, z poza którego przywędrowali. Można uważać zarębników za osobny rodzaj ludności zagrodniczej, powstałej w górskich i lesistych stronach. Trudnili się oni i pasterstwem, przynajmniej często wspominane są stada owiec w wioskach przez nich zamieszkałych. Przedewszystkiem jednak byli to koloniści na stokach gór na płonej glebie. Zarębywali czyli wyrębywali puszcze, więc sami nazywali się zarębnikami, a role ich zarąbkami. Dalekie analogje możnaby odnaleść między nimi a »łazękami« i »trzeblewicami« XII i XIII wieku. Niestety

nic prawie nie wiemy, jak sobie poczynali zarębnicy za króla Stefana i jak wyglądała wioska przez nich osadzona.

Coś niecoś można się jeszcze dowiedzieć z miejscowych tradycyj, albowiem i dziś jeszcze są role zwane zarąbkami. Na zachodnim Beskidzie grunty, nie należące do dawnych gruntów, tak zwanych rustykalnych czyli pańszczyźnianych, nazywają się zarębkami. Zarębki takie liczą zazwyczaj po 24 morgów, przydzielone są do nich pastwiska zwane »łazami«, które się czasem na pole orne zamienią. Zdaje się, że pierwotnie każdy gospodarz miał zarąbek w jednym kawale, nazywają się one bowiem i dziś od właścicieli a więc jest zarąbek Klimka, Kudłatego, Waligóry itd. Teraz doszło do bardzo wielkiego rozdrobnienia i po 20 gospodarzy siedzi na jednym takim kawałku roli[1]. Były to więc odrębne jednostki gospodarcze i każda całość dla siebie stanowiła. I budowa wiosek zdaje się na to wskazywać; mieszkania zwykle stoją nie razem, lecz po wzgórzach, na uboczu od głównej przez wieś drogi, ocienione »gajami« tj. drzewiną liściastą. Jest to zwykły, bardzo typowy w górach system jednodworczy. Każdy buduje się, gdzie znajdzie sposobne ku temu miejsce, więc łagodniejszy stok wzgórza, bliskość wody, stanowi o wyborze przyszłej siedziby.

Wieś, lokowana na prawie niemieckiem niegdyś, wyglądała inaczej: najpierw trójpolówka wymagała podziału całej powierzchni na trzy pola, każde pole dzieliło się na długie, wąskie pasy, każdy kmieć miał swój łan z reguły w trzech miejscach. Zasada równości i działu dla każdego była ściśle przeprowadzana od pierwszego założenia wsi i odrazu przez wszystkich osadników wspólnie załatwiona. Tak było na równinach. Pierwsze wioski czysto niemieckie, które powstały na Podhalu, leżą zwykle nad brzegami Dunajca, nawet wśród błot i torfowisk, jak Ludzimierz, ale zawsze na równinie nowotarskiej doliny, gdzie łatwiej było taki podział uskutecznić.

Późniejsze polskie wsi z XVI wieku, choć również szukały dla siebie przestrzeni, gdzieby się można szerzej roz-

[1] Encyklopedja rolnictwa t. II str. 823 i L. D. Górale beskidowi str. 88.

łożyć, już odmiennie były zakładane. Dziś czas zatarł między niemi różnicę; i jedne i drugie wyglądają jednakowo: zagony, działki, strzępy działków, porozrzucane po całej ornej przestrzeni we wszystkich kierunkach, oto ich wspólny obraz. Bardzo też jest możliwe, że z czasem przychodziło w takich wioskach do nowych pomiarów, które pierwotny typ zatarły i wszystko zrównały. I łan też nie był właściwym łanem co do pomiarów, jego miejsce zajęła rola. Gleba jest w górach tak ubogą, że trzeba jej było dać więcej osadnikowi, albo przynajmniej pozwolić mu więcej pola ornego z lasu »wyczynić«. Tak też się i działo.

Jednostką gospodarczą był już zarąbek, ale w daleko większej mierze taką jednostką była rola. Dziś wyraz ten jest zupełnie ogólnym, nieoznaczonym, mówi się o złej lub dobrej roli. Dawniej jednak, przynajmniej na Podhalu i Beskidzie, była ona czemś zupełnie konkretnem i oznaczonem. Zarąbek był także rolą w tem znaczeniu, ale mniejszą. Regestr poborowy mówi przy niektórych tutejszych wioskach o czwartej części lub połowie roli, nie wiadomo jednak, czy w tem znaczeniu. To tylko pewna, że rola jest wyrazem pierwotnych stosunków i w tem znaczeniu jest też starą. W przybliżeniu można oznaczyć jej obszar. Na samem Podhalu, zestawiając różne wiadomości, doszedłem do tego, że miała ona 112 do 136 morgów. Konopka w artykule »Gospodarstwo górskie« w Encyklopedji rolnictwa podaje 96 do 120 morgów jako jej rozmiar (s. 815); zgadzają się mniej więcej obydwie te cyfry. Zresztą z góry należy powiedzieć, że role nie były jednakie od samego początku: na płońszych gruntach bywały większe, na lepszych mniejsze. Wiadomość o tem dochowała się do dziś dnia. Bardzo też często obliczano je na korce wysiewanego zboża. Dziś naturalnie nie istnieją one już nigdzie jako całość. Zostały z nich tylko czwarcizny, ośminy, półośminy i dalej aż do 1/32 części, a nawet do 1/64 części. Jedna rzecz z tego okazuje się, oto, że role owe były niegdyś większe od łanów, ich właściciele zaś nie mogli być kmieciami w ściślejszem znaczeniu tego słowa, nietylko ze względu na obszar swoich ról, lecz i ze względu na ich rozdział, podobny jak zarąbków. Między rolami a zarąbkami ta jest wspólna cecha, że nie

są one równe, są bowiem wytworem stosunków, które z natury rzeczy wyłączały równość, były za świeże, a zarazem za pierwotne. Były te stosunki wytworem zmian ogólnych...[1].

Nie każdy objaw społeczny może powstać na małej przestrzeni, nie każdy można odtworzyć w jednym małym zakątku. Góry mają to do siebie, że zalegają znaczne nieraz obszary, przecież cały kraj może być górzysty. Puszcze i moczary usunąć łatwiej; gdy się przed wszystkiem ostoją, bezpiecznie też złożonę nieraz objawy można badać na ich stosunkach. Tam, gdzie się ma więcej danych, zawsze łatwiej usunąć drugorzędne formy i uzyskać miarę ogólniejszą, przeciętną dla wszystkich razem wziętych. Można je nawet następnie uogólnić i przenieść z gór na równiny. Naturalnie pod jednym warunkiem: trzeba odnaleść związek, który takie formy łączy, i dowieść, że ma się do czynienia z objawami podobnemi. O dowód taki nie trudno. Są ekonomiczne cechy tak dobrze związane z niższemi stanami kultury, że się zawsze powtarzają, powtarza się nadto w pewnych warunkach fizjograficznych pewien system gospodarstwa, drwiący sobie z wszelkiej chronologji. Kiedy chodziło o wykazanie, że gospodarstwo trójpolowe jest późniejsze i że Tacyt nie mógł go mieć na myśli, kiedy pisał ów sławny i aż do zbytku komentowany ustęp o urządzeniach wiejskich Germanów, uciekł się G. Hanssen do gospodarstwa górskiego i wykazał najzupełniej, że od trójpolówki starszym typem jest t. z. dzikie odłogowe gospodarstwo, które się w górach po dziś dzień dochowało. Te warunki istniały dawniej i bez gór. Lasy, pastwiska, ubóstwo gleby, której las nie chciał porzucać, a którą ludzie zajmowali, większa niedostępność, panowały wszędzie. Są to cechy wspólne między ogólnemi formami każdego pierwotnego gospodarstwa, a dzisiejszemi, które się też w górach przechowały Posługując się też to jedną, to drugą kategorją zjawisk, można odtworzyć całkowity obraz bez obawy o naukową ścisłość, pod jednym tylko warunkiem, aby nie zapominać,

[1] W tem miejscu po paru zdaniach, których myśl gdzieindziej poprzednio została wyrażona, następuje zmiana w numeracji stronnic rękopisu, mianowicie po str. 257 następuje bezpośrednio str. 358; aż do str. 362 jest widoczne, że cyfrę 3 przerobił autor z cyfry 2. Przyp. wyd.

że mamy tutaj do czynienia nie z faktami historycznemi na zasadzie ścisłej chronologji, lecz z ogólnemi typami rozwoju ekonomicznego ludzkich społeczeństw.

Jak ważną odgrywały rolę nierolnicze zajęcia wśród wiejskiej ludności w Polsce, jak dalece i różnorodnie ludność ta do późniejszych jeszcze średnich wieków wyzyskiwała ziemię na sposób nierolniczy, to się jaskrawo okazuje z jednego przykładu puszczy radomskiej. Ale przecież i cała wielka mazowiecka puszcza ze swoją kurpiowską ludnością tak długo dochowała swe pierwotne znamiona dzięki tej tylko okoliczności, że się nie brała do roli. Bartnictwo jest właśnie jednem z najważniejszych takich nierolniczych zajęć. Trzyma się ono wyłącznie lasu, ale co więcej — jedynie drzew, na ziemię nie schodzi i jest w górze zawieszone, jak i barć sama. Inaczej pasterstwo. Z ziemią, z jej powierzchnią bardzo ściśle złączone. po wszystkie czasy wpływa na ukształtowanie się osadnictwa. Złączone jest też zawsze bardzo ściśle z rolnictwem[1].

Przez długie wieki trwał rodzaj półnomadyzmu rolnego, połączonego silnie z chowem bydła. Wiele czynników zmuszało ludzi do pędzenia takiego życia. Najpierw sam sposób wyzyskania otoczenia był tego rodzaju, że potrzebował znaczniejszych obszarów; człowiek musiał się szerzej rozpościerać, aby coś ziemi wydrzeć. Nie stać go było na wyżywienie się z niewielkiej przestrzeni, był biedakiem na znacznych obszarach. Pasterstwo, którego nie zaniechał, zmuszało go do tego, i polować nie zaprzestał. To był dawny ekonomiczny podkład, który sprawiał, że ludzie potrzebowali wielkiej przestrzeni. Zakres ekonomiczny działalności każdego takiego człowieka był przestrzennie większy, ale w gruncie rzeczy gubił on się co chwila w tej przestrzeni. Nikt mu się nie worywał, nikt nie ograniczał jego działalności. To go pchało nieraz do zmiany siedziby, do ciągłego rozpraszania się i ponownego skupiania. Dziś wytwarzają się stałe ośrodki większego zaludnienia; ludność nierówno się skupia na powierzchni danego kraju, ale się zawsze

[1] Tu opuszczono 4 strony rękopisu (str. 363—6) jako traktujące o sprawach przedstawionych w rozdziale wstępnym. Przyp. wyd.

skupia stale. Wtedy zaś musiała się ona rozpościerać jak ruchoma fala, cofała się, postępowała naprzód, podnosiła się i opadała, a zawsze z niestałością i zmiennością.

Przestrzeń, wciągnięta w jego ekonomiczną działalność, słabo się jeszcze uwydatnia i wyodrębnia. Leży ona przed nim otwarta i pozostaje mniej więcej jednorodna. Osadnik nasz trudni się rolnictwem i chowem bydła, a więc część jakąś ziemi obsiewa, a część pozostawia jako pastwisko. Rozdział jednak taki wobec wielkich obszarów słabo występuje. Pastwisko jest właściwie wszędzie, obsiewa się tylko drobne skrawki ziemi tu i ówdzie dorywczo. I orna rola i pastwisko są niestałe. Taki skrawek roli zazwyczaj się ogradza dla obrony przed bydłem i zwierzem, a także dla zaznaczenia, że się go użytkuje, że zasiew i praca w niego włożona jest czyjąś własnością. Godzi się jeszcze taki system nawet z koczownictwem. W naszym wypadku cała różnica jest ta, że osadnik nie porzuca zazwyczaj siedziby, lecz z niej zapuszcza się po całym obszarze, często zostaje dłużej w miejscu, gdzie pracuje, ale w końcu zawsze do niej wraca, koczownik zaś nie. Dobry tego przykład mieliśmy na Jedlni i Mąkosach. Również stan bartniczy ze swymi łąkami i przygodnemi kawałkami pola, przedstawia podobne znamiona.

W tych wioskach radomskiej puszczy i wśród Puszczaków mazowieckich silnie wystąpił jeden jeszcze objaw, którego nie można pominąć. Pola uprawne nie ograniczają się tylko na tych przenośnych ruchomych niwkach leśnych, które się wypala. Zaraz obok zagrody jest pole stalsze. Pod tym więc względem przedstawiają one nieco odmienny typ czy stopień. Istnieje stałe pole, a poza niem znajduje się niestałe pastwisko i również niestała rola, którą się tylko dorywczo bierze pod uprawę. Ta stała rola, zawsze blisko zagrody, przedstawia ważny czynnik. Początkowo jest jej bardzo mało, ogranicza się do niewielkiej ogrodzonej przestrzeni, na której się zwykle bez przerwy sieje ziarno. Częstokroć są to tylko wynioślejsze usypiska, rodzaj wysokich grzęd, mają one zatem z natury rzeczy zamkniętą i ograniczoną przestrzeń. Nam chodzi zaś o zwykłą rolę, która się może łatwo rozszerzać. Im więcej bliższego pola, tem wyraźniej zamienia

się ono z ogrodu przy chacie na rolę uprawną. Naturalnie dzieje się to kosztem tej ogólnej przestrzeni, z której się orne grunty wydostaje. Ubywa jej terytorjalnie, a przedewszystkiem zmniejsza się jej dawne ekonomiczne znaczenie. Gdy już z roli wyżyć można, wtedy siedziba staje się ośrodkiem gospodarczem, powstają właściwe zabudowania, osadnik przestaje rozpraszać swoją działalność po całej przestrzeni jak przedtem. Różniczkowanie gospodarcze, jeżeli tak powiedzieć wolno, idzie dalej. Za ornemi polami idą stałe pastwiska i — co ważniejsza — stałe łąki, z których się zbiera siano dla inwentarza, gdy się go już stawia w oborze tj. w ogrodzeniu lub pod dachem. Można śmiało powiedzieć, że jest to przewrót gospodarczy, którego doniosłość zresztą nie tu miejsce oceniać. Tak mniej więcej można oznaczyć ważniejsze stopnie rozwoju rolnictwa.

Nie jest to nowy jakiś ściśle określony podział, podobny do tego, który się zwykle przyjmuje, jeśli się mówi o ludach myśliwskich, pasterskich i rolniczych. Jak same te trzy stany zachodzą na siebie i sczepiają się z sobą w najrozmaitsze sposoby, tak i tutaj, dlatego też wszelkie usiłowania przeprowadzenia zbyt ścisłych odgraniczeń i różnic nie prowadzą do celu. Każda z tych form nietylko że sama posiada bardzo szerokie granice rozwoju, ale może się łączyć z drugą bez zatraty cech zasadniczych, np. mogą istnieć znamiona pierwotnego gospodarstwa po wydzieleniu stałej roli, może gospodarstwo być wyższem przy niestałem pastwisku i roli. Zasadniczą cechą, pokrywającą wszystko, jest tu pojęcie przestrzeni i ekstensywności, które można na innej drodze otrzymać, np. można znaleźć stalszą rolę przy innych pierwotnych objawach ekstensywnego gospodarstwa lub, niestałą rolę i niestałe pastwisko nietylko z pierwotnem stanem związane. Na wartości nie traci jednak przez to nasz podział, chodzi nam bowiem przedewszystkiem o *związek* między nim, a całym szeregiem innych objawów, które się z nim także łączą i razem występują. Nie można więc orzec na zasadzie samej wiadomości, że gdzieś istnieje podział na stałą rolę i niestałe pastwisko, że gospodarstwo jest pierwotne. Technika gospodarcza. stopień chowu bydła, znajomość pewnych roślin zbożowych i pastewnych, dają

nam tu pewną bezpośrednią miarę. Nas obchodzą jedynie owe pierwotne formy, starsze, ekstensywne połączenia tych systemów.

W górach rola pozostaje zawsze lichą, chów bydła jest zaś znacznym, równoważy się więc ekonomicznie znaczenie ornego gruntu i pastwiska. Zacierają się między niemi różnice tem bardziej, że z natury rzeczy wpływ przestrzeni wzrasta. Jest tutaj więcej obszarów opornych ludzkim wysiłkom i na pół tylko zajmowanych. Odrazu więc wprowadzeni są ludzie, zamieszkujący góry, w więcej pierwotne stosunki gospodarcze, te same, które kiedyś wytwarzała nieprzebrana lesistość i błotnistość kraju.

Osadnicy Podhala w XVI wieku przynieśli z sobą trójpolówkę, bardzo szybko jednak zrzec się jej musieli. Żaden system gospodarstwa nie wyłącza innych i nie jest ogólnym i powszechnym typem. Niema systemów lepszych i gorszych, są tylko mniej lub więcej odpowiadające danym warunkom. Prędko więc przyszło do zmiany; cofnęli się wstecz nasi koloniści, chociaż ich własna ówczesna technika z pewnością nie należała do najświetniejszych. Naturalnie nie zrobiło się to odrazu i bez przejścia. Jeżeli weźmiemy cały zachodni Beskid, to i tam, im wyżej się posuwali z cieplejszych i żyźniejszych dolin na stoki górskie, uprawa pewnych roślin i wyzyskanie znaczniejszych, a mniej urodzajnych obszarów musiały zmienić całe gospodarstwo.

System osiedlania odgrywa też pewną w tych razach rolę, aczkolwiek ograniczoną. Samo skupienie ludzkich siedzib w zwarte wioski nie przeszkadzało bardzo różnorodnemu wyzyskaniu ziemi i powstaniu różnych systemów gospodarstwa. Przy pewnem jednak stadjum rozwoju rozproszenie też nie pozostaje bez wpływu, zmienia ono stanowisko osadnika do zajmowanej przestrzeni. A właśnie wszystkie stoki górskie zajmowano, jakeśmy to widzieli, w podobny sposób. Była to pierwsza oznaka wpływu otoczenia, które rozrywało i rozrzucało ludzkie siedziby na znaczniejszych przestrzeniach.

Ważniejsze okazały się względy czysto ekonomicznej natury. Nie można było siać oziminy, pszenica się stanowczo nie udawała, żyto nie wszędzie, pozostawał tylko owies

i jęczmień, oraz jara odmiana żyta. Jarzyny więc zaczęły przeważać, a raczej odzyskiwać dawną przewagę; osłabiło to gospodarstwo zbożowe. Zaczęto wyzyskiwać dalej znaczne przestrzenie jako pastwiska, które stały każdemu jeszcze otworem. A kto ich tego nauczył — to mniejsza: Niemcy, Rumuni, czy sami Polacy. Ważnem jest jedynie, że sami napędzili bydła w te strony i że to wpłynęło na cały charakter ich gospodarczej działalności.

Rola zaczęła roztapiać się na nowo. Stała się rolą i pastwiskiem jednocześnie. I tu więc dawne stosunki odzyskały swoje znaczenie. Około każdej wioski na Beskidzie i Podhalu ciągną się orne pola. Zaraz za domostwami biegnie jeden pas uprawny całą długością do granicy wsi, drugi i trzeci za nią w równi lub na górze.

Uprawna rola zajmuje tu już znaczną przestrzeń i zazwyczaj jest stałą, w każdym razie nie można powiedzieć, żeby panowały tutaj stosunki takie, o jakich była mowa przy zupełnie ekstensywnem gospodarstwie o bardzo niewielkiej a niestałej uprawnej roli i również niestałem pastwisku. Znajdują się jednak te najniższe formy i są do odszukania. Schroniły się za owe pasy ornych gruntów na najdalsze, mniej urodzajne role — pastwiska.

Gospodarcze stosunki na tych bliższych, właściwych polach dadzą się sprowadzić mniej więcej do typu rozwiniętego gospodarstwa pastewno-odłogowego, lub jedno-polowego. Ugorowano bardzo niewiele, bo chodziło o jaknajwiększe wyzyskanie ziemi. Turnus gospodarczy mniej więcej tak wygląda: w bogatszych wioskach, np. w Chochołowie i koło Nowego Targu, na bliskich gruntach sieją na nawozie przez trzy lata nawet oziminę tj. żyto, czwartego owies, po którym nawozi się pole pod ziemniaki, w uboższych, jak np. Zakopane, Kościeliska itd., odpada żyto, jęczmień, tutaj jarcem zwany, nie udaje się też, na nawozie sadzi się kartofle, czyli grule, dwa lata owies, dwa drugie koniczynę. Jak się można spodziewać, odmian tutaj jest bardzo wiele. Najpierw sam system gospodarczy bardzo je umożliwia, różni się też pod tym względem od trójpolówki, która się obraca w bardzo stałych i niezmiennych formach. Większa lub mniejsza urodzajność roli, a przedewszystkiem

ilość nawozu, którym gospodarz rozporządza, są tutaj pierwszorzędnego znaczenia. Według tego albo się obsiewa rok po roku pole jarzyną i ziemniakami, albo się je zostawia odłogiem co jakieś parę lat lub zapuszcza na jednokośną łąkę.

Wprowadzenie roślin pastewnych i utworzenie tym sposobem jakoby płodozmianu jest naturalnie bardzo niedawnej daty. W samem Zakopanem dopiero prof. Chałubiński zapoznał tamecznych gospodarzy z koniczyną. Nie wszędzie zresztą może się ona udawać z powodu uszkodzeń przez mrozy. Łąki jednokośne są już starsze, ale w każdym razie nie istniały pierwotnie. I dziś jeszcze łąki stałe nad brzegami potoków i po lasach stanowią główną podstawę w gospodarstwie. Pozostaje więc ugór jako najstarszy. W ten sposób nawet na polach bliższych o intensywniejszej kulturze rozsuwa się niejako uprawa ziarna, dając wolne miejsce odłogowi — pastwisku, które się tutaj tłokiem nazywa. Rola staje się mniej stałą; perjodycznie, co parę lat, wolna przestrzeń podchodzi pod samą siedzibę. Człowiek nie jest tak zasobny, aby ją raz na zawsze wyprzeć na dalsze miejsca. Siła gospodarcza każdej jednostki z osobna decyduje o większej lub mniejszej intensywności uprawy roli bliższej, o częstości obsiewu i nie przerywaniu ciągłości płodozmianu przez usuwanie roślin okopowych i pastewnych. W każdym razie przeciwstawia się ona polom dalszym, chociażby tylko częstszą uprawą, tam nawet, gdzie nie jest stałą. Przeciwstawiała się też i dawniej. Sto kilkadziesiąt lat temu zamiast ziemniaków zasiewano tutaj powszechnie białą rzepę. Wchodziła ona na bogatszych rolach między rośliny zbożowe, tj. między owies, odmianę jarego, czarnego żyta i jęczmień-jarzec, którego dawniej siano więcej, niż dzisiaj, a który udawał się podobno lepiej.

W promieniu dosyć niewielkiem poza wioską wzrastała bardzo silnie ekstensywność gospodarstwa. Na tych przestrzeniach, między lasami, po gołych niwkach, na zasianych zrzadka jałowcem zboczach skupiały się najstarsze formy gospodarcze. Nigdzie też może wyraźnie nie zaznaczała się różnica między polami dalszemi, a bliższemi. Naturalnie — najuboższe, o najgorszej roli strony zachowały najdłużej

wszystkie pierwotniejsze znamiona. Do takich bezprzecznie należą zupełnie jałowe zbocza Obidowej, znane każdemu z przejazdu do Zakopanego, oraz Głodówka o bardzo wymownej nazwie. Ludzie, których spotkało nieszczęście posiadania tutaj gruntu, zmuszeni są prowadzić na nich po dziś dzień zupełnie dzikie odłogowe gospodarstwo. Pierwszą zaraz cechą malejącej intensywności jest coraz rzadszy wysiew zboża na tych polach dalszych. Wytwarza się zresztą w tych stosunkach rodzaj błędnego koła. Gospodarz posiada bardzo mało nawozu; to, co ma, stara się obrócić na jakie takie użyźnienie pól najbliższych, a znaczne przestrzenie, leżące poza niemi, pozostawia samym sobie. One to przedewszystkiem powodują stratę nawozu; bydło, które chodzi po nich, nie jest w stanie ich użyźnić, jedynie więc sam czysty ugór może zwrócić, choć w części, potrzebne do uprawy bodaj owsa mineralne substancje.

Na całej Obidowej i Głodówce na bliższych gruntach nie ugorują, na dalszych zaś przez dwa lub trzy lata jest pastwisko, następnie dwa lata owies, i znów wraca pastwisko. Takie gospodarstwo prowadzą na wszystkich jałowych zimnych wzniesieniach na Podhalu. Wśród szarego jednostajnego pastwiska, na którem ledwie blady perz porasta wśród jałowców i skrawków smrekowego lasu, który się trzyma wilgotniejszych zagłębień, widać tu i ówdzie bez planu rozrzucone płaty mizernego »owieska«. Są to właśnie zamienione na rolę kawałki pastwiska. Tak jest także na zboczach Gubałówki i tam, gdzie ziemie płońsze a ludności dosyć. Między południowemi stokami Beskidu, a najbliższem Tatr Podhalem, tj. wzniesieniem Gubałowskiem, różnicy w kulturze niema. Powiedzieć nawet można, że ponieważ na Beskidzie takich nieurodzajnych połogich stoków więcej, więc też tam na szerszą skalę przechowały się te objawy.

Na całym paśmie Gorca, koło Ochotnicy, na południe od Obidowej ku Sączowi, dawniej poczynano sobie jeszcze pierwotniej. Wycinano las w jesieni, palono, i na tem spalenisku siano groch albo żyto, potem owies. Po ostatnim zbiorze opuszczali pole, czekali dwadzieścia lat i dłużej, nim las porósł, i nanowo go podpalali, aby obsiać użyźnioną w ten sposób ziemię. Tak samo działo się i na północnych

stokach Beskidu koło Żywca. Oto, co wiadomo, o ich gospodarstwie przed 70-ciu laty. Rosnące na pastwiskach jałowce ścinają, a rozłożywszy na powierzchni podpalają. Na takich wypaleniskach sieją owsy-rychliki, a potem zostaje odłóg przez lat kilkanaście[1]. Gospodarstwo to wdziera się na same tatrzańskie regle. Niegdyś i na samem Podhalu, kiedy lasów było więcej, wyrębywano je, palono pnie i wśród osmalonego drzewa siano rzepę białą, potem owies, i znów las porastał. Dziś stało się to niemożebnem, ale szczątki takiego gospodarstwa można było jeszcze widzieć przed trzydziestu laty. Na reglach koło Kościeliskiej doliny i za nią ku Osobitej można było widzieć wśród pni sterczących i traw różnego rodzaju owies i iskrzycę. Iskrzyca ta jest podobną do pszenicy, kłosy ma gołe, chleb z niej jest czarny; posiana na wiosnę z owsem, dojrzewa na drugi rok w jesieni.

Można przypuścić, że takie wydzieranie skrawków lichej roli ze wspólnego pastwiska jest objawem późniejszym, że powstało wskutek większego rozrodzenia się ludności i niedostateczności pól bliższych, odpowiednich do obsiewu. W wielu razach tak jest w istocie, nie przeczy to jednak bynajmniej temu, że jest to i bardzo pierwotne, powiedzielibyśmy nawet przedpasterskie. Występuje przynajmniej u ludów, które pasterskiemi jeszcze nie są. Wyobraźmy sobie na chwilę, że ról bliższych, stałych niema, wtedy zostanie nam sama siedziba osadnika i wśród całego obszaru, na którym się poluje, bydło pasie, i który leży nieużytkiem, zobaczymy tu i ówdzie skrawki obsianej roli, naturalnie, jeśli ten osadnik zna już rolnictwo. Ta siedziba — to może namiot koczownika, który, korzystając z dłuższego pobytu, obsiewa łatwo wschodzącym i dojrzewającym zbożem skrawki roli, ogradza je i broni sprzętu, bo przecież ziemia sama jeszcze niema żadnej wartości; prędzej lub później przyjdzie mu ją opuścić i pójść dalej. Ważny to czynnik, którego zazwyczaj nie wliczają w rachubę ci, co zawsze i wszędzie widzą wspólną własność ziemi od samych początków jej uprawy.

[1] L. D.(elaveaux), Górale beskidowi, Kraków 1851, s. 64 i W. Pol., Obrazy.

6. Ogólne rozważania o przejściowych formach rolnictwa i osadnictwa.

Bardzo dobry przykład przejściowych form rolnictwa, złączonych z koczownictwem, mamy w rolnictwie niektórych niearyjskich plemion w Indjach angielskich. Wypala się tam zarośla i las bez żadnej prawie uprawy, poczem, pogrzebawszy motyką lub hakiem, zasiewa się ziarno. Czasem zbiera się dwa do trzech zasiewów bez przerwy, częściej jednak obsiewa się tylko przez rok, a następnie przenosi się uprawę na świeże pole. Zajęcie takiego kawałka odbywa się na zasadzie tego przepisu prawa Manu[1], że pole należy do tego, kto go z zarośli i krzaków oczyścił, jak dzik do tego, kto go zabił. Wszystkie stopnie tego systemu można odnaleźć w różnych okolicach Indji, od najbardziej pierwotnych, w których jeden tylko plon zbiera się, do dalszych, w których pole uprawia się dłużej. I technika samej uprawy stosuje się do tego: od haka drewnianego i drewnianej sochy do lepszego pługa, wszystko się tu znachodzi. Są okolice, w których błędem byłoby stawiać tamę takiemu systemowi, nawet mimo niszczenia lasów.

Do tego koczownictwa rolnego stosuje Hunter, autor wielkiego dzieła o Indjach, słowa Tacyta w Germanji: »Arva per annos mutant et superest ager« i nie jest to jedynie tylko zwrot retoryczny. Podobieństwo jest tutaj zasadnicze i sięga daleko. Jedno z tych niearyjskich plemion, Khondowie, już są prawie osiadli. Nie ograniczają się oni jedynie do wypalenia kawałki roli i zebrania z niej parę razy ziarna, zazwyczaj jednak nie uprawia już syn tego samego pola, które uprawiał ojciec; skoro się tylko wyczerpie, opuszczają je zupełnie, szukając nowego. O nawożeniu mowy tu być nie może (pasterzami nie są), a to jedno tylko mogłoby powstrzymać naturalne wyczerpanie ziemi.

I owe wypaleniska opuszczone w wielkiej puszczy afry-

[1] Bühler, The laws of Manu transl. with extracts from 7 comment, Oxfort 1886, s. 335.

kańskiej, przez którą Stanley[1] przechodził, powstały w podobny sposób. Plemiona rolnicze, nie pasterskie, uprawiały na nich trochę manioku i bananów, potem porzucały je a las sam znowu porastał. Taksamo wyglądają pola nad górnem Kongo. Wśród wielkich przestrzeni traw, zarośli i lasów widnieją kawałki pola, których nikt nie broni obsiewać. Te obszary bowiem, to jeszcze własność plemienia, względnie naczelnika szczepu, zająć ich nie może tylko obcy. Co więcej, mimo tego wszystkiego, co Laveley[2] powiedział o wspólnej własności, na Jawie w znacznej części utrzymała się dotąd, a powszechniejsza była dawniej podobna gospodarka. W górach i więcej oddalonych miejscach uprawiają i porzucają rolę — i to zupełnie indywidualnie. Wszędzie w tych razach mamy do czynienia z dzikiem odłogowem gospodarstwem.

Utrzymuje się ten system i w krajach, które już dawno przeszły to stadjum kultury. Przechowują go lub wytwarzają stosunki miejscowe mniej lub więcej dokładnie i na mniejsze lub większe rozmiary. Takie gospodarstwo odłogowe istnieje dotąd w bogatej i przeludnionej Belgji, i to jeszcze w jednej z najpierwotniejszych postaci. Koło Luksemburga, mianowicie na nieurodzajnych Ardennach palą jałowce, na wypalenisku sieją raz lub dwa zboże, a potem znowu przez 20 lat przygodne to pole zamienia się na ubogie pastwisko. W całej Styrji i w innych uboższych górzystych stronach Niemiec jest ten system dobrze znany w kilku odmianach. Podobnem bardzo do niego jest gospodarstwo na torfowiskach i bagnach zachodnio-północnych Niemiec.

Że u nas do niedawna istniał ten rodzaj gospodarstwa rolnego, tego dowody mamy w gospodarstwie radomskich i mazowieckich Puszczaków. Z tych śladów wnosimy, że niegdyś był powszechny. Ale kiedy? To najważniejsze pytanie. Bo że kiedyś Słowianie, a jeszcze lepiej Arjowie przechodzili przez takie stadjum rozwoju gospodarczego i społecznego, jak owi Khondowie w Indjach lub murzyni

[1] Stanley, Im dunkelsten Afrika t. II str. 74—76 (wyd. 3).
[2] Laveley, De la propriété et ses formes primitives, 4 ed., 1891.

nad Kongo — to pewne. Trzeba tylko bliżej określić ten okres.

Sądzimy, że w XI, XII a nawet XIII wieku paliła się jeszcze w ten sposób prawie cała Polska. Rozkopywano ją bezładnie, wśród puszcz nad rzekami i po ogołoconych z lasów wyniosłościach i pastwiskach widniały skrawki to nowo obsianych niwek, to opuszczonych pól, porastających już młodym lasem. Naturalnie, jeżeli tak było za piastowskiej monarchji, to tem bardziej było tak dawniej. Wzrost władzy książęcej i złączone z nią pewne ścieśnienia w użytkowaniu lasów nie mogły tak dalece zaważyć, jakby się zdawać mogło. Jak już wiemy z przykładów puszczy radomskiej i mazowieckiej, prawo książęce nie ograniczało tak dalece czysto gospodarczego użytkowania przestrzeni leśnej przez ludność. Wypaleniska górali beskidowych nazywają się dotąd »łazami«. Jest to stara nazwa, powszechna jeszcze w XVII wieku. Haur użył jej w tem znaczeniu w swej »Ekonomice«. Jak niegdyś była rozpowszechniona w całym kraju, a z nią i ten rodzaj gospodarki, świadczy najlepiej to, że przeszło 50 wiosek nosi nazwę Łazów, Łazisk, to jest Starych Łazów, i t. d.

Jest i klasa ludzi, zwana »łazękami«. Przywilej śląski z r. 1227[1] wymienia ich razem ze smerdami, stróżakami, ratajami, wogóle z ludźmi wolnymi od dziesięciny. Łazęka znaczy tyle, co włóczęga. Prowadzili oni takie półwędrowne gospodarstwo i, zdaje się, oni nadali nazwę wypaleniskom. W samym przywileju są na to wskazówki. Mowa w nim o całej ruchomej jeszcze ludności rolniczej, która właśnie puszcze trzebiła, a wskutek wysokich dziesięcin wolała osiedlać się w dobrach rycerskich, gdzie dziesięcina widocznie była lżejsza. Naturalnie, że do tych dóbr zbiegali ci książęcy ludzie niewolni.

Kto wie, czy nazwa smerdów nie jest tutaj ogólniejsza i nie obejmuje ich także. Może łazęki mają w radlnikach i trzeblewicach bulli gnieźnieńskiej swych towarzyszy, jeżeli ci ostatni nie są wolnymi ludźmi. Jest to ludność uruchomiona przez stosunki gospodarcze i społeczne. Wszyscy

[1] Stenzel, Urk. zur Gesch. des Bist. Breslau nr. 1.

oni chodzą, trzebią i palą lasy i zatrzymują się przez jakiś czas w założonych przez siebie osadach, a potem je opuszczają.

Ruch ten gospodarczy i osadniczy — powiedzielibyśmy ruch kolonizacji wewnętrznej — objął różne warstwy społeczne. Do tych osadników należą ludzie wolni i niewolni i rozporządzający większym lub mniejszym zasobem sił ekonomicznych. Naturalnie, że, jak wszędzie tak i tutaj, najprostsze formy musiały się dochować tam, gdzie były najmniej korzystne warunki, ale czasy są już tak odległe, że trudno prześledzić wszystkie różnice między kategorjami tych osadników. Często wspominani w dyplomatach »hospites« należą do zamożniejszych i więcej wolnych. Znajdują się między nimi wolni, którym przysługiwało prawo swobodnego przenoszenia się, jak np. w Zagościu, i niewolni ludzie książęcy, którzy tylko w obrębie jego posiadłości mieli prawo zmieniania miejsca pobytu. Jak liczna była to klasa ludności, najlepiej dowodzi przywilej trzebnicki z 1203. Płacą tam oni stałą daninę na podstawie ilości sprzężaju, a więc czysto ekonomicznej, w zbożu i miodzie, mają też wyznaczoną stałą robociznę. Stanowisko ich jest więc znacznie lepsze od reszty ludności.

Na Zachodzie, mianowicie we Flandrji, z podobnych »hospites« wyszli później wolni koloniści, którzy do nas zawędrowali. Należeli oni początkowo także do różnych warstw społecznych i zostawali w różnych warunkach gospodarczych. Proces ten odbywał się tam zresztą na większą skalę i szedł przyspieszonym tempem, jak zwykle w krajach więcej zaludnionych. Prędzej też mógł się pojawić u naszych granic, ubiegł nas niejako. Niektórzy z owych »hospites« zachodnich gospodarowali, jak u nas, na wypaleniskach. Ślady tego dochowały się w Lex Bajuvariorum i w innych jeszcze pomnikach prawodawczych. Zresztą tak zwany bifang w gruncie rzeczy jest tą starą pierwotną formą osadnictwa. Stan ekonomiczny Polski w XII i XIII wieku odpowiada stanowi tych krajów w chwili spisywania leges barbarorum.

Dziwniejszem jednak jest to, że w XII wieku spotykamy zupełnie naszych łazów pod samym Paryżem, i to takich,

o jakich u nas ówczesne źródła milczą. W XIII wieku było tam jeszcze tyle lasu, że drzewo nie miało wartości. Zakładają też w okolicach Paryża liczne wioski w XII wieku na leśnych trzebieżach. Warunki, na których osadzają nowych osadników, są bardzo podobne do znanych nam flandryjskich kolonij, wyrobiły się jednak samoistnie pod wpływem miejscowych warunków. Właściciel lasu oznacza termin ukończenia karczunku, umawia się z kolonistami o czynsze i daniny. Między umowami o trzebież leśną jest jeden typ pierwotny i charakterystyczny: Karol Gruby w roku 1116 daje poddanym katedry paryskiej wolność użytków leśnych oraz pozwala uprawiać ziemię, którą wytrzebili i zajęli za panowania jego ojca lub jego samego, pod tym warunkiem, że nie mogą oni dłużej nad dwa lata uprawiać tych samych wypalenisk leśnych, po czem mają przenieść się znów gdzieindziej, na dwuletni także przeciąg czasu[1]. Jest to sztuczne wywołanie nomadyzmu rolnego.

Przypuścić trzeba, że jeżeli we Francji osadnik taki nie objawiał już wtedy sam wielkiej ochoty do opuszczania uprawianej ziemi, to w Polsce przychodziło mu to o wiele łatwiej. Jeżeli o co chodziło w Polsce, to raczej o powstrzymanie tej włóczęgi, niż o jej wytwarzanie. Nie sama ludność doń się garnęła, ale zmuszały ją do tego wszystkie te warunki, które robią prawdziwie powszechnem ten rodzaj gospodarstwa odłogowego na wypaleniskach leśnych.

Pierwszą przyczyną była niewystarczająca technika, która nie pozwalała uprawiać przez dłuższy czas raz zajętego pola. Długi, powolny proces przetwarzania się ziemi z dobra wolnego na dobro ekonomiczne i ściśle z nim złączony proces rozwoju pojęcia własności zależny jest również od techniki. Im ona gorsza, tem łatwiej można opuścić zajmowane pole, którego się też nie jest właścicielem. Jeżeli osadnik nie jest w stanie uprzątnąć lasu, jeżeli wśród osmalonych pniów tylko sieje, pole nie jest jeszcze właściwie jego, nie wydarł go puszczy. Płytka uprawa, kopanie ziemi motyką albo poruszanie jej drewnianą sochą lub radłem, nie mogło być właściwą uprawą; tylko wierzchnia

[1] B. Guérard, Cartulaire de Notre Dame de Paris I 204.

warstwa ziemi mogła być brana w rachubę. Ulegała ona bardzo szybko wyjałowieniu, podczas kiedy warstwy nieco głębsze, zaraz pod nią leżące, nie mogły być odpowiednio spożytkowane. Każda nowizna słabiej zatrzymuje substancje potrzebne dla wzrostu roślin i traci je na rzecz warstw głębszych o wiele bardziej, niż rola stale uprawiana, a zwłaszcza nawożona[1]. Nowizna daje początkowo dobre zbiory, potem spada bardzo znacznie jej wydajność, nic więc prostszego, że ją porzucano.

W takiej roli udawały się tylko pewne gatunki zboża. W rozwoju rolnictwa strefy umiarkowanej bardzo ważną rolę gra stosunek wysiewu ozimowego do jarego. Z gospodarką ekstensywną pierwotną łączy się zawsze przewaga jarzyn, to jest owsa, prosa, jarej pszenicy i jarego żyta. Dzieje się to raz dlatego, że udają się one na ziemiach gorszych, a po drugie, że nie wymagają tylokrotnej uprawy, co ozimina. Są to więc zboża tańsze ekonomicznie; posiane na wiosnę, dojrzewają przed samą jesienią, czeka się więc na nie najkrócej. Wzgląd to nader ważny; czekać kilka miesięcy na zbiór może i koczownik albo rolnik, prowadzący półkoczownicze życie, czekać cały rok o wiele trudniej.

Przyjąć trzeba, że w całym przejściowym okresie między stałem rolnictwem a koczownictwem siano przeważnie, jeżeli nie wyłącznie, jarzyny. Bez wątpienia znali już Arjowie, nietylko Słowianie, pszenicę i żyto, ale gdy przyszli do swych znanych nam z historji siedzib, znaleźli w nich mniej korzystne warunki dla rolnictwa, niż w dawniejszej ojczyźnie. Należy przypuścić nawet pewien zwrot wsteczny ku pasterstwu i łowiectwu. W czasie wszystkich wędrówek narodów przychodziło bez wątpienia do obniżenia całego dorobku cywilizacyjnego. Siać nie zapomniano, ale siano mniej wogóle i inne ziarno. Zwrot ten wychodził zawsze na korzyść ziarna jarego.

[1] Fraas, Feldbausysteme nach dem neuesten Stande der Naturforschung und Wirtschaftspolitik. Zeit f. g. Staatswissenschaft t. 22 (1866) str. 1—16. Por. także tegoż autora Revision der Feldbausysteme auf Grundlage der neuesten naturwissenschaftlichen Forschungen, tamże t. 23 (1867) str. 477.

Najstarsze źródła, które wogóle o tem wspominają, potwierdzają najzupełniej to przypuszczenie. Jedno ziarno a mianowicie proso, gra szczególnie ważną rolę. Bizantyjscy pisarze, jak Maurycy Strategos, żyjący w VII wieku, i cesarz Leon na schyłku IX wieku mówią, że Słowianie głównie proso uprawiają i niem się żywią. Arabowie mają te same wiadomości. Znany nam dobrze Al Bekri, współczesnik Mieszka, opowiada, że główną część zasiewów Słowian stanowi proso[1]. Ibn Rosteh (zwany dawniej mylnie Dastah) z początku X wieku mówi, że najczęściej chleb wypiekają z niego, wie on nawet o pewnym obrządku religijnym z tym chlebem. W porze żniwa kładą Słowianie ziarna jaglane na czerpak (kowsz) i podnosząc je do góry modlą się o dobre urodzaje. Są to wiadomości najstarsze. Zachowało jednak proso swoją przewagę gospodarczą o wiele dłużej. Jeden z żywociarzy św. Wojciecha wspomina o niewolniku, który musiał w niedzielę zbierać proso ze swego kawałka roli. Wreszcie i Liber fundationis claustri de Henrichow o tem ziarnie wspomina. Nie omylę się więc, przypuszczając, że w XII i XIII wieku wysiewano go znacznie więcej i umiano jeszcze z niego chleb wypiekać. Siano go na owych nowinach leśnych, gdzie się najlepiej udaje. Później dopiero zastąpiła go i wyparła w części tatarka, której wystarcza uboższa jeszcze ziemia a którą prawie zawsze sieją na piaszczystych nowiznach. Kurpiów nowogrodzkich nazywają hreczarami, tak dużo jej siali. W puszczy radomskiej obsiewano nią również dalsze pola. W XV wieku w zapiskach sądowych jest bardzo często wspominane proso albo ber, znano bowiem kilka odmian tego ziarna.

Na bogatszych ziemiach siano jęczmień. Spotykamy się z nim w X wieku. Z owsem gorzej się źródła obeszły, nie wspominają o nim prawie zupełnie, był on jednak ziarnem bardzo rozpowszechnionem. Są ślady, że na połabskiej Słowiańszczyźnie uprawiano go w znacznych ilościach. U nas opłacanie pewnych danin w owsie, np. tak zw. gajowe, oraz kobiałka owsa jako świętopietrze, dowodzi, że był rozpowszechniony. Wątpić należy, czy służył tylko dla koni; za-

[1] Por. Westberg l. c. str. 129.

pewne wypiekano z niego rodzaj chleba — coś w rodzaju placków góralskich, miał więc szersze zastosowanie w gospodarstwie. Króluje on do dziś dnia na całem Podhalu, które możnaby nazwać owsianym krajem. Trzeba się dziwić, jak małe ma on wymagania i na jak płonych gruntach jeszcze potrafi wschodzić. Jedynie żyto na opoczyńskich piaskach może się z nim mierzyć, choć, zdaje się, lepsze ma warunki. Wszystkie dalsze grunty są owsem obsiane, siano go też na leśnych wypaleniskach razem z jarem żytem w radomskiej puszczy.

Żyto, a więc już przeważnie ozimina, kończyłoby listę zbóż sianych na wypaleniskach i polach dalszych, nienawożonych. Sieją tak zwykle żyto chłopi w Radomskiem, ale nietylko w puszczy, na odległych ubogich i niezasobnych gruntach, które zostawiają na paroletni odłóg między zasiewami. Sama nazwa wskazuje, jak dalece było żyto powszechnem, znaczy ono bowiem tyle, co pożywienie. W średnich wiekach jare gatunki z pewnością przeważać musiały, do dziś dnia je sieją na lichych gruntach.

Tak więc sama uprawa i rodzaje zboża zupełnie odpowiadają temu systemowi gospodarstwa, który się dochował na Podhalu i w puszczach nizinnych, wszędzie na polach dalszych i gorszych — a niegdyś, dzięki tym wszystkim warunkom, był powszechny. Im dalej wstecz, tem bardziej pewnie system ten gospodarowania był powszechny nietylko u Słowian, ale także u Germanów przed ostatecznem osiedleniem się na ziemiach zachodniego cesarstwa.

Inaczej jednak mają się rzeczy, skoro będziemy rozważać dobę piastowską, wiek XI i XII. Tutaj trudno powiedzieć, że mamy do czynienia jedynie z takim typem gospodarstwa. Objawy ekonomiczne mają daleko dłuższy i szerszy zakres przemian. Jedne formy przechodzą w drugie powoli, nie wyłączają się i mogą zupełnie dobrze obok siebie współistnieć, jak długo trwają odpowiednie warunki, i są tak plastyczne, że wszędzie się umieją przystosować, wskutek czego wytwarzają wiele mniejszych lub większych odmian. Prawdopodobnie w tym czasie nie było już czystego typu gospodarstwa wypaleniskowego. Istniały już podówczas pola bliższe, stale pod uprawę wzięte i nawo-

żone. Pola dalsze miały jednak przewagę i wyciskały piętno na całej produkcji rolniczej. Gospodarstwo, które na nich prowadzono, da się prześledzić przy uwzględnieniu stosunków Podhala. Dotąd pasterstwo nie odgrywało żadnej roli w gospodarstwie; nawet przeciwnie, można powiedzieć, że można się było bez niego zupełnie obejść, wszak i ludy niepasterskie tak gospodarują. Wogóle ekstensywny chów bydła zmuszał do zajmowania większych obszarów i nie pozwalał skupiać się ludziom i ustalać stosunkom. Na pewnem stadjum może w istocie pasterstwo przeszkadzać wzrostowi rolnictwa, na innym przeciwnie może mu oddawać wielkie usługi. Zapominać też nie należy, że chów bydła ułatwia rolnictwo, bo pierwsze zmiany w nim i ulepszenia zawsze się z chowem bydła łączą.

Ważność nawozu dla rolnictwa jest olbrzymia. Z małemi bardzo wyjątkami gleba całej umiarkowanej strefy Europy nie może się bez niego obejść. Stanowi on też konieczny warunek wszelkiej więcej stałej i regularnej uprawy. Chodzi więc tylko o to, w jaki sposób pierwotny osadnik mógł ten nawóz uzyskać. W pierwszej chwili odpowiedź zdaje się zupełnie łatwa, tymczasem jest inaczej. Wielkie obszary, po których się bydło pasie, nie pozwalają na większą produkcję nawozu; na pastwiskach, szczególniej leśnych, wszystko musi ginąć. Robi się nawet rodzaj błędnego koła, o którym wspominaliśmy przy dalszych polach na Podhalu, które dlatego właśnie poprawić trudniej, że służą za pastwiska. Przejście od takiego gospodarstwa do gospodarstwa, które bierze ziemię pod stalszą uprawę i umie sobie zapewnić plon przez szereg lat, może się uskutecznić w dwojaki sposób: albo powoli następuje wydzielanie niejako z całego obszaru pól ornych i stalych łąk oraz ściśle określonych pastwisk i uzyskuje się możność utrzymania bydła na oborze przez całą zimę, zapewniając mu paszę, albo przez przygodne użytkowanie tych miejsc, które bydło samo znawoziło, bądź koło samej obory, lub też wszędzie tam, gdzie ma swoje stanowiska, to jest tam, gdzie się je spędza na noc. Z tych dwóch sposobów na pierwszy zaraz rzut oka łatwo poznać, że pierwszy jest późniejszy, drugi bezpieczniej daje się złączyć z pierwotnem gospodarowaniem, jest

więc wcześniejszy. Nie wyłączają się one jednakże; zazwyczaj nawet rozwój odbywa się w obu kierunkach, przynajmniej od pewnego stadjum można spotkać i jeden i drugi objaw. Później znowu, w miarę przybierania kultury, pierwszy z nich wzrasta, drugi ustępuje prawie zupełnie. Dość jednak długo mogą współistnieć i łączyć się z sobą. Z góry można przypuścić, że i u nas wydzielanie jest późniejszem, a w każdym razie, jak wszędzie, jest ono bardzo powolne.

Między znajomością siana, a choćby takiem gospodarstwem, które nasz chłop do niedawna prowadził, a które już wymaga stałych łąk i stałych pastwisk, jest wielka różnica i jest miejsce na niejedno przejście. Prosta rzecz, że przejście takie jest zawsze długie, istnieje też mnóstwo stanów, z których każdy bardzo dobrze określa intensywność rolnictwa, od zupełnie pierwotnego chowu bydła aż do chwili, w której zamożny fermer belgijski mówi, że nie może swoich krów wypędzić nawet w lecie na pola, bo sąsiedzi mogliby go posądzić, że jest bankrutem. Są to dwie ostateczności, między któremi cały szereg objawów musi się zmieścić.

Kiedy w Polsce nauczono się zostawiać łąki na siano, trudno powiedzieć. W przywilejach z XII i XIII wieku są łąki i pastwiska wymieniane między użytkami z ziemi. Wszak w XII wieku znano już wywar jako pokarm dla wołu; nie trzeba go tylko brać ze stanowiska dzisiejszego gospodarstwa płodozmiennego, połączonego z gorzelnią. Odpadkami różnego rodzaju można było żywić bydło od bardzo dawna. Wydzielenie łąk szło bardzo powoli, a powolniej jeszcze wydzielanie pastwisk. Długo wolał osadnik obrócić łąkę nadrzeczną lub polankę leśną na skrawek uprawnej roli, niż zbierać z niej siano. Przykładów tego rodzaju dostarczyli nam poniekąd Kurpiowie. Bydło zawsze miało dosyć miejsca po lesie, aby się pasło swobodnie. Parę razy w XIV wieku wspomniane jest prawo wolnego pasania po lasach i pastwiskach jako przysługujące wszystkim ogólnie mieszkańcom jakiejś wioski. Tu i ówdzie kto chciał, mógł z łęgów leśnych zbierać siano. Zależało to od jego zapobiegliwości, nie były to jednak łąki we właściwem tego słowa znaczeniu.

Dopiero przy nadaniach prawa niemieckiego, spotykamy się z pomiarem i podziałem łąk stosownie do ilości łanów. W nowych takich osadach każdy osadnik dostawał stałą łąkę. Często przywilej zostawia osadnikowi wolny wybór utrzymania łąki albo zamienienia jej na orne pole. Z XIV i XV wieku pochodzą dopiero zastrzeżenia, aby bydło w łąkach tak, jak i w zasiewach, szkody nie czyniło. Wtedy dopiero dokonuje się ostateczne rozdzielenie łąk od pastwisk. Początkowo też okopywano je lub ogradzano tak samo, jak pola. Zresztą łąki ówczesne nie wiele się różniły od pastwisk. Były jednokośne i tylko przez czas krótki zamknięte dla bydła, zbierał z nich więc osadnik niewiele siana, które ledwie na przezimowanie lichego inwentarza starczyć mogło.

Zresztą już w XII wieku, a jeszcze bardziej w XIII trzeba uwzględnić wiele czynników, które wpływały na kształtowanie się stosunków gospodarczych. Wytworzenie się większych posiadłości, przedewszystkiem biskupich i klasztornych, nie pozostało bez wpływu. Źródła prawie wyłącznie mówią nam o większej własności, zostawiają w zupełnym prawie mroku stosunki zwykłego osadnika. Należy też obniżyć skalę, jeżeli o jego gospodarstwie chcemy mówić. Mogła naprzykład istnieć trójpolówka po większych, lepiej urządzonych majątkach, a chłop mógł jej nie znać. Częste wzmianki o sianie, które pochodzą już z XII i XIII wieku, nie dowodzą jeszcze, iż łąki zostały wydzielone na stałe a ziemia orna nie zamieniała się na pastwiska, i że gospodarstwo trójpolowe, a nie dzikie odłogowe, było przeważającą formą, z góry bowiem powiedzieliśmy, że siano jest potrzebnem do przejścia z gospodarstwa odłogowego do każdego innego. Poddani tynieccy mieli obowiązek dostarczania pewnej ilości wozów siana klasztorowi; toż samo ludzie klasztoru trzemeszneńskiego, w Trzebnicy znowu powinni kosić siano każdy na trzy wozy dla klasztoru. Ze sporu biskupa poznańskiego z jego poddanymi dowiadujemy się, że każda zagroda była obowiązaną dostarczyć trzy podwójne wozy siana[1]. O obowiązku koszenia siana przez trzy

[1] Rocznik Wielkopolski r. 1250, Mon. Pol. hist. III str. 7.

dni w dobrach rycerskich wspomina prawo zwyczajowe XIII wieku[1]. Kiedy zaprowadzono tę robociznę, zdaje się ogólną, bo z tylu dzielnic są o niej wzmianki, powiedzieć trudno. Może już w połowie XI wieku, w każdym razie jest ona robocizną, a więc rzeczą narzuconą i późniejszą[2]. Obowiązek dostarczania siana dla dworu książęcego, a może i dla każdego grodu, pochodzi naturalnie z epoki, w której sama ta organizacja zaprowadzoną została. Siano to nie szło na wyżywienie inwentarza roboczego, który pozostawał zawsze nieznaczny, ale zjadały je konie. Koń w średnich wiekach wcale wołu lub krowy przy pługu nie wyręczał; lepszy służył przedewszystkiem dla rycerza, gorszy to znaczy woźnik, był zwierzęciem pociągowem.

Ponieważ chodzi o nawóz, więc przypuścić należy, że gdzie więcej koni chowano, które trzeba było przez zimę wyżywić, tam więcej wytwarzano nawozu, a więc można było prowadzić gospodarstwo trójpolowe. O ile je prowadzono w Polsce XIII wieku — to inna kwestja. Napewno nie wszędzie je można było stosować tak, jak koło połowy XIX w.; płodozmian był w Polsce znany, ale nie był powszechny, bo nie wszędzie możliwy. W każdym razie trójpolówka była stanowczo młodszą; nie mogła ona wytworzyć się w takich warunkach, jak w radomskiej i mazowieckiej puszczy, nie mówiąc o Podhalu. Trzeba ją więc eliminować, jeżeli się chce badać stosunki gospodarcze chłopa polskiego w XIII wieku, kiedy przyszło do zróżniczkowania gospodarstwa rolnego, do wytworzenia wielkiej i małej własności. Zgodnie z tem przypuszczamy również, że i wydzielenie stałych łąk i pastwisk, choć tu i ówdzie przeprowadzone, nie stało się jeszcze powszechnym objawem.

Gospodarstwo chłopskie ówczesne niewiele się różniło od gospodarstwa w X wieku, choć obok niego wyrosły inne. Nie odrazu bowiem zlały się w jedno te dwa prądy, a te znowu mamy zachowane w stosunkach Podhala i puszczy radomskiej, należy je tylko uzupełnić i uogólnić. W tych szczątkowych gospodarstwach pierwotnych, tak na Podhalu, jak

[1] Starodawne prawa pol. pom. t. II str. 33.
[2] Kod. dypl. Pol. I, nr. 1, r. 1145, przywilej dla kl. w Lądzie.

i w puszczy radomskiej, form najstarszych z dziką odłogową uprawą należało szukać poza polami bliższemi, które już wtedy istniały. Czy istniały i dawniej? Choć w porządku rozwoju późniejsze, są one jednak tak dawne, że musiały być znane nietylko w XII i XIII wieku, ale i dawniej, w XI, a może nawet w X w., rozwijały się tylko bardzo powoli, rosnąc stopniowo przestrzennie i nabierając coraz to większego ekonomicznego znaczenia. Ewolucja to bardzo długa, przyspieszona później połączeniem się z trójpolówką, która się stała powszechną w reszcie kraju w ciągu XIV i XV wieku, a której początki nie wpływały bezpośrednio na przemianę. Pola bliższe nietylko ze względu na przestrzeń i położenie wyróżniały się od dalszych, ale przedstawiały pewne różnice w gospodarstwie, które teraz rozpatrzymy.

Pytanie, jak na nich i co wytworzyło te różnice gospodarcze głębiej sięgające? Tuż przy chacie miał osadnik kawałek ziemi, który obsiewał ziarnem, potrzebującem staranniejszej uprawy; siał na nim jęczmień, który spotykamy w żyznych i dosyć ludnych Czechach w X wieku i który był znany także i u nas. Siał nawet pszenicę, sadził rzepę, choć ta udawała się również na wypaleniskach, a przedewszystkiem uprawiał konopie, później zaś len, tak ważny dla domowego przemysłu. W ten sposób gospodarstwo ówczesne składało się z dwóch systemów, które się wzajemnie ograniczały i wpływały na siebie, z jednej strony dzikie odłogowe, na polach dalszych, obszerniejszych, a z drugiej na bliższych, podobne do ogrodowego, jedno lub dwupolowe, odłogowe także, ale więcej intensywne. Bardzo długo stosunek taki był poprostu koniecznością ekonomiczną. Nie starczyło osadnikowi zasobów, aby mógł zarówno intensywnie uprawiać cały obszar. Intensywność tego bliższego obszaru nie była znowu zawsze jednaką. I tutaj wahania i różnice były z powodu różnicy w zasobach osadników. Gospodarstwo, które na nich prowadził, nie było tak związane, jak trójpolówka, i mogło pomieścić wiele różnic, ścieśniać się i rozluźniać w miarę potrzeby. Przypominamy, że już w Mąkosach i Jedlni ugorowano na polach bliższych bardzo mało, a i dziś nawet gospodarstwa włościańskie

w wielu okolicach Królestwa nie wszędzie prowadzą trójpolówkę jedynie z powodu szczupłej przestrzeni ziemi.

Istnieje bardzo ścisły związek między systemem gospodarczym a przestrzenią uprawianej ziemi. W naszym wypadku przestrzeń ta była początkowo bardzo nieznaczna. Albo więc obsiewał osadnik bliższe pole przez dłuższy szereg lat, nie ugorując go wcale, albo przedzielał zrzadka zasiewy odłogiem. Odrzuciwszy rośliny pastewne, jako późniejsze, zostaje ziarno po ziarnie, przedzielone odłogiem i pastwiskiem. Są one i mogą być dlatego częściej uprawne, że są poprawiane, to jest nawożone.

Nie jedna tylko jest przyczyna tych zjawisk. Jedną z najważniejszych jest powolne przetwarzanie się siedziby osadnika na ośrodek gospodarski. Pierwotnie jest to siedziba mniej lub więcej stała, pośród puszczy i pastwisk. Wokoło niej jest tak pusto, jak gdzieindziej. Pastwisko zaczyna się zaraz za ścianą takiej siedziby. Powoli jednak zaczyna się w niej ześrodkowywać gospodarcza działalność osadnika. Oddziaływuje ona na najbliższą przestrzeń, do niej powoli wszystko się sprowadza i z niej wychodzi. Staje się zagrodą, bo przy niej zaczynają powstawać zabudowania gospodarskie, część bydła wraca do niej, albo więc człowiek rozszerza swój własny dom, aby pomieścić bydło, albo do niego coś przybudowuje. Właściwie pierwotnie nie przybudowuje, lecz oborywuje pewną przestrzeń, okopuje ją, otacza wysokim płotem i tam bydło spędza. Nocuje ono pod gołem niebem, wszystko razem. Jeszcze w XV wieku w Polsce konie zamykają się w oborze widocznie razem z resztą inwentarza. Długie czasy jest zresztą ta obora inną, niż dzisiaj. Do niedawna istniał w Zakopanem stary budynek, zdaje się z XVIII w., w którem bydło się mieściło. Ściany z okrąglaków przedzielone były nie bramami albo drzwiami, tylko odstępami, pozostawionemi między ścianami; było ich kilka, bydło więc mogło przez nie swobodnie wchodzić i wychodzić. Taką szopę-oborę odróżniał tylko dach od zupełnie pierwotnej obory — ogrodzenia bez dachu. Stawiano w takiem miejscu stóg siana, którem się ono żywiło, albo mu wrzucano co jakiś czas po kilkanaście wiązek.

Pierwotnie ziarno chował osadnik w dołach, ale zdaje

się zwykłym sposobem przechowywania zboża ze słomą w snopach były sterty. Wspominają o nich źródła XIII wieku. Stodoła, wspólna zresztą kilku słowiańskim językom, musiała powstać później, niż obora.

Dziś wydaje się to wszystko drobiazgiem, jednak w swoim czasie wywierało to pewien wpływ gospodarczy. Przedewszystkiem obecność bydła gra tutaj znaczną rolę, dostarczało ono bowiem nawozu. Nie było go wiele w takiej oborze, ale i przestrzeń obsiana była niewielka. Wskazuje na to bardzo niewielka ilość właściwego inwentarza roboczego.

Wogóle stosunek różnych gatunków zwierząt domowych w gospodarstwie średniowiecznem różni się znacznie od dzisiejszego. Nie każdy rodzaj zwierząt przedstawia jednakie koszta produkcji. Nie każdy równie znosi niewygody, przymieranie głodem i brak dostatecznego zabezpieczenia przed zimnem. Najtańsze są owce i świnie, które rozmnażają się łatwo i pasą po lasach. Najwięcej ich też hodowano w średnich wiekach. W dobrach biskupa kujawskiego np. znajdowało się w XIII wieku przeszło dwa razy tyle owiec i świń, co koni, wołów i krów. (Kod. Pol. II nr. 23 r. 1238). Podobny stosunek wypada i przy obliczeniu strat w inwentarzu żywym, które poniosły wioski biskupa wrocławskiego podczas napadu Bolesława Wstydliwego w roku 1271. Ciekawem jest to, że koni jest najwięcej w Przewakowicach Wallońskich, bo zapewne Wallonowie używali ich jako inwentarza roboczego. Dodać należy, że w tych wszystkich wioskach biskupa wrocławskiego znać znaczną zamożność, nawet polscy kmiecie mają po całym sprzężaju, są to więc wioski albo lokowane na prawie niemieckim, albo zaludnione przez owych wolnych osadników, wolnych gości, na wzór osad niemieckich. Nie można też z nich brać miary co do gospodarstwa więcej pierwotnego. Silniej natomiast zaznacza się ten stosunek w innych starszych nieco wzmiankach naszych dyplomatów. Z jednej strony mamy wioski takie, jak Zagość nad Nidą, gdzie się wypasają całe stada bydła rogatego i koni; do takich czysto pasterskich osad należą i wioski biskupa kujawskiego. Z drugiej strony uderza bardzo mała liczba bydła. Wioski pasterskie musiały

przedstawiać znaczne obszary, bo bez nich nie mogłyby się wypasać stada, właściwe zaś wioski rolnicze były w stosunku do pierwszych bardzo niewielkie, jeżeli bierzemy pod uwagę samą przestrzeń ornych gruntów. W roku 1175 we wsi Żórawinie jest 25 koni, stanowiących stadninę, wołów zaś 6 i 3 krowy (Kod. Wpl. I nr. 21), w innej nienazwanej wiosce po 2 woły i konie. Wieś Buszków w 1192 r. posiadała 12 wołów, 3 krowy i 2 bronowłoki (Kod. Mpl. I nr. 3 i 8), Maciejowice zaś w 1246 r. 6 wołów, 2 krowy i 1 konia (tamże nr. 29). Wyraźnie jako inwentarz wymienione są we wsi Unomin w roku 1235 4 woły, 2 krowy, 1 bronowłoka i 6 koni (Kod. Pol. II nr. 439). Proboszcz strzelneński miał w tym samym czasie tylko 4 woły i 2 krowy (Kod. Pol. II nr. 23). Inwentarz wsi Łososkowic, którą kapituła krakowska wydzierżawiła w 1273 r., stanowiło 6 wołów i bronowłoka (Kod. Kat. krak. nr. 71). Wreszcie Mikołaj wojewoda kaliski, wyposażając kollegiatę w Głuszynie w 1296 r., w trzech wioskach, które księżom darował, daje po 15 koni, 4 woły i 2 krowy, a po 50 owiec (Kod. Wpl. II nr. 754).

Wszędzie więc inwentarz jest bardzo nieznaczny, szczególniej jeżeli się uważa za sprzężaj roboczy woły i konie-bronowłoki a wyłącza stadninę. Są to zaś wioski szlacheckie lub duchowne, gdzie nawet możnaby się spodziewać większego inwentarza. Uderza tutaj pewna stałość cyfr. W większości wypadków jest 6 — 4 wołów, 3 lub 2 krowy. Jeżeli się zważy, że „goście« trzebniccy mają po 4 i 2 woły oraz po jednym koniu albo po 2 woły bez konia lub konia samego, poddani zaś biskupa wrocławskiego po 4 woły, najczęściej zaś po 2 woły lub po koniu, wszystko to zostaje w związku z miarą na wielkie pługi, których jeden liczył się na 2 woły lub na 1 konia[1]. Można powiedzieć, że to były folwarki bardzo niewielkie. Największą własnością była zatem wieś Buszków, miała 6 pługów, a np. Wit, młynarz biskupa krakowskiego w Wawrzeńczycach, miał 3 pługi, to jest zagrodę na 6 wołów. Inne miały zaledwie po 3 lub tylko 2, były to więc wiosczyny nieco większe od zagrody

[1] Autor wziął tu włokę albo radło, będące trzecią albo czwartą częścią pługa wielkiego, za pług wielki. Przyp. wyd.

późniejszego bezkmieciowego szlachcica, a mniejsze od małego folwarku, na którym siedział późniejszemi czasy mniej zamożny szlachcic. Pokazuje się jeszcze z tego, że nie było znacznej różnicy między obszarem ziemi ornej i zasobami ekonomicznemi zamożniejszego kmiecia, a gospodarstwem niewielkiego obszaru dworskiego. Tak się przedstawiają te warstwy, które mogły podówczas gospodarować więcej intensywnie. Rycerz lub ksiądz ostatecznie, choć sam do roli się nie brał, miał więcej sił roboczych, łatwiej mu też było o inwentarz. Poddani-»goście« klasztorów i biskupstw znajdowali się też w lepszych stosunkowo warunkach ekonomicznych. Dawano im więcej roli, a prócz tego byli zwolnieni od wielu ciężarów i posług starego prawa polskiego.

Gorzej musiała gospodarować reszta ludności, która stanowiła większość. Byli to właściwie ludzie książęcy, rozsiani po jego ziemiach. Ci mieli mniej zasobów gospodarczych, mniej też mogli się rozprzestrzeniać. Mały stosunkowo obszar uprawny Mąkosów i Jedlni, oraz wiosek mazowieckich Kurpiów, świadczy dowodnie, jak trudno było się zdobyć na większy kawał ziemi, która na pozór była dla każdego dostępna. Inwentarz, który mógł taki osadnik wychować, nie był duży, nie zachodziła nawet wielka jego potrzeba, tam bowiem, gdzie prowadzono gospodarstwo głównie na wypaleniskach, tam musiano sobie pomagać motyką. Innej rady nie było; kopano rolę, na którą pług wejść nie mógł. Ten system uprawy wyłączał większe zużytkowanie inwentarza. Później widzimy osadnika osobiście grzebiącego w ziemi jedynie przy gospodarstwie ogrodowem. Niewielkie swoje zasoby i umiejętność uprawy wyzyskiwał osadnik, jak umiał. Nawóz z obory rozrzucał po ogrodzie i najbliższem polu, kopał motyką ogród, pole zaś zaorywał drewnianą sochą, a co najwyżej również drewnianym z twardego drzewa pługiem, obsiewał ziarnem, zawlekał broną, często zaś gałęźmi, które ciągnął własną siłą.

Osadnik nietylko rozrzucał nawóz, lecz radził sobie także inaczej. Obora nie była właściwie budynkiem, nawet jeżeli się składała ze ścian chruścianych, bo te przecież można było przenosić. Oto co jakiś czas przesuwał tę zagrodę po najbliższem polu i tym sposobem nawoził

je całe. Przy takiem gospodarowaniu nawozu jest zawsze mniej w porównaniu z dzisiejszem, bo pastwiska leśne jeszcze zostają; przy rozrzucaniu nawozu większą przestrzeń można użyźnić, gdy przy tym sposobie, zwanym koszarowaniem, silniej się nawozi, ale mniejszą przestrzeń. Stała rola mieści się w zagrodzie dla bydła; tam gdzie ona przeszła, tam przychodzi i intensywniejsza uprawa. Ponieważ znaczniejszych przestrzeni trudno tak znawozić, tworzy się więc dosyć silne przeciwieństwo między kawałkiem roli dobrze nawiezionej, a resztą zgoła nienawożoną. Turnus gospodarczy zależy od rozległości pola nawiezionego, od tego, czy wolniej, czy prędzej przenosił gospodarz oborę z miejsca na miejsce, oraz od ilości bydła, które do niej spędzał. W ciągu paru lub kilku lat mógł rolnik, jeżeli tylko sam się nie przenosił i nie przerzucał bardzo bydła, przejść w ten sposób całe swe pole. Podobnie poczynano sobie dawniej na Podhalu. Przez rok kosarzył gazda kawałek pola — koszarem nazywa się zagroda dla bydła, inny polski wyraz na to jest: stadlić, a słowacki oborit', który dochował jeszcze lepiej swe pierwotne znaczenie — po roku przesuwał go dalej. Za koszarem szedł zasiew. Z tak poprawionego kawałka roli mógł osadnik i kilka lat korzystać. W pierwszym roku siał np. jarzec[1], a potem przez trzy, cztery lata owies, póki się tylko rodził. Na wyjałowionym gruncie pasał bydło lub znów powtarzał koszarowanie. Dziś naturalnie nawóz stajenny zastąpił koszarowanie, tylko polany górskie tak się jeszcze poprawia, choć i tam częściej teraz rozrzucają nawóz nagromadzony przy szałasach.

Nie był to jeszcze zupełnie regularny podział ornego gruntu i jednostajny turnus gospodarczy, wytworzył się jednak stalszy związek między kawałkiem obsiewanego pola a inwentarzem i nawozem, którym rolnik rozporządzał. Obsiana przestrzeń zależała wyłącznie od ilości nawozu, a ta znowu od ilości zwierząt domowych. Bardzo długo rozległy obszar rozrywał te pierwsze zawiązki stalszej kultury.

[1] W tekście: rychlik, zapewne przez omyłkę, bo rychlik oznacza wczesną odmianę owsa. Przyp. wyd.

Przedewszystkiem dlatego, że nie wszystko bydło powracało do zagrody na noc. Poza tym wąskim pasem roli stalszej nie tworzyły się strefy gospodarskie o zmniejszającej się stopniowo kulturze. Zaraz za nią ciągnął się las, pastwisko i nieużytki, wśród nich zaś tu i ówdzie tylko, jak wyspy rozrzucone i porozrywane lasem, widniały drobne ośrodki intensywniejszej uprawy tam, gdzie znowu tworzyła się taka obora i gdzie bydło skrawek roli użyźniało. Rola taka w gruncie rzeczy nie wiele się różniła od zwykłego wypaleniska, które popiół użyźniał. Stopniowo jednak wytwarzały się różnice, które z takiego stanowiska bydła w lesie robiły większy i silniejszy ośrodek gospodarczy, a później i osadniczy.

Bardzo powszechnym było zwyczajem u nas i wogóle w średnich wiekach, że bydło nie wracało na noc, szczególnie owce, świnie zostawały tam, gdzie się pasły. Tworzył się więc rodzaj pasterskiej osady tak, jak dzisiaj w górach, z tą może różnicą, że przez krótszy przeciąg czasu zwierzęta zostawały na tem samem miejscu, bo częściej, niż w górach, posuwało się dalej lub nawet wracało do osady. Pastwiska średniowieczne były tak obszerne, iż na to pozwalały.

Każdy związek rodowy lub terytorjalny, a raczej terytorjalny i rodowy zarazem, rozporządzał znacznym obszarem pól, łąk, pastwisk, a przedewszystkiem lasów, których używalność stała otworem każdemu z członków owego związku. Tak w puszczy radomskiej i kurpiowskiej każda wieś lub grupa wsi miała mniej lub więcej stale oznaczoną wolną przestrzeń, z której użytkowała, tak było i gdzieindziej, taką była germańska marka. Przestrzeń ta musiała odpowiadać potrzebom ówczesnego ekstensywnego gospodarstwa, musiała je pokrywać, inaczej osiedlony na takiem terytorjum związek społeczny nie mógłby się wyżywić. Opole niegdyś musiało być takim związkiem, w jego obrębie przysługiwało członkom prawo wolnego pasania. Jako najwięcej ekstensywna używalność, tj. potrzebująca najwięcej przestrzeni, musiała ona najpierwsza ulec ograniczeniom. W XIII w. widzimy, że po kilka wsi razem ma wspólne pastwiska; może to szczątki dawnego związku opolnego, który

się podówczas rozrywał, lub nowe związki dominjalne, które się wtedy wytwarzały. Takie nowe związki, po kilka wiosek razem, tworzyły się w XIV i XV w. dla używalności leśnych i pastwisk.

Jak niegdyś czas, w którym można było rój gonić, określał jego własność, jeśli się go np. schwyciło przed nocą, należał do tego, z którego barci wybiegł, tak znowu używalność pastwisk liczoną była na odległość. Jeżeli się wypędziło bydło rano, wolno je było paść wszędzie po drodze aż do zapadnięcia nocy. Może dawniej jeden dzień letni nie był najdłuższą miarą, może wolno było na odległość dwóch lub trzech dni, zatrzymując się na noc, paść na całym obszarze. W każdym razie pierwszem ograniczeniem, jakie spotkała wolność pasania, było zastrzeżenie powrotu bydła do zagrody osadnika przed nocą. Tak było w znanych nam już Wieruszycach; książę zastrzegł tam, aby świnie powracały przed nocą i aby z nimi nie wychodzili sami mieszkańcy wioski, więc zdaje się nałożył obowiązek trzymania pasterza. Było to ograniczeniem ich dawnego prawa z powodu darowizny całego lasu dziedzicom Niegowici. Wieruszyce byli to ludzie osiedli w lesie, leżącym koło Bochni, w wiosce później od nich nazwanej. Góra Wieruszyna, obok leżąca, świadczy, jak ta osada powstała; pierwszy osadnik musiał tam mieszkać[1].

Przetrwał ten zwyczaj później. W początkach XV w. spotykamy się z zastrzeżeniem, że mieszkańcy miasteczka biskupiego, Bodzęcina, mają wprawdzie prawo pasania w lasach okolicznych, lecz trzoda musi na noc wracać do domu[2]. Wiąże się to naturalnie z chęcią większego zaszanowania lasów. Łatwo pojąć, jak takie rozkładanie stanowisk dla bydła mogło je pustoszyć. Mimo to ograniczenia owe pozostawały bardzo długo wyjątkami, sam objaw nigdy zupełnie nie znikł, pokazywał się sporadycznie tu i owdzie bardzo długo. Jeszcze w początkach XIX w., jak to wiem z ustnych relacyj, wypędzano w Sandomierskiem świnie na żołądź do lasów, gdzie nieraz przez parę

[1] Kod. Kat. Krak. I nr. 63 r. 1262.
[2] Kod. Kat. Krak. II nr. 532 r. 1412.

miesięcy pasterz z niemi siedział. Inwentarz co gorszy zwykle nie wracał z pastwisk na noc, robiono dla niego zagrody; jesienią, kiedy się robiło chłodniej, rozpalano ogniska i tak spędzano z nim po miesiącu i dłużej w jednym miejscu. Nie zostawało to już jednak w związku z uprawą roli. Jedyny skutek był tylko ten, że tracono nawóz i nawet na bliższych polach folwarcznych gorzej musiano gospodarować.

Inaczej było na Podhalu, gdzie przecież takie koszarowanie stanowiło prawie system uprawy pól bliższych i stalszych. Łatwo przypuścić, że i tutaj na tych obszarach niezajętych, które wobec bliższej roli przedstawiają zawsze jeszcze ekstensywniejsze gospodarstwo, jest dosyć miejsca do tworzenia się nowych siedzib. Trzeba więc uchwycić ten właśnie moment. Na osadach kurpiowskich mieliśmy przykład przemiany stanu bartniczego na osadę rolniczą. Zaczynał tam bartnik i długo prowadził gospodarstwo zupełnie ekstensywne bez pól bliższych i bez nawozu, poprzestając jedynie na wypaleniskach porozrzucanych wśród swego boru. Były to Mąkosy bez stałej siedziby i bliższego pola, jak zaś wytworzył się stalszy nawożony orny obszar, tego nie wiemy. Aby się o tem dowiedzieć, trzeba iść za bydłem do lasu na te właśnie stanowiska, które się stają ośrodkami więcej intensywnego gospodarstwa. Będzie to więc przemiana stanu pasterskiego na rolniczą osadę.

Wskazówek, jak następuje przemiana stanowisk pasterskich na uprawne pola, a potem na osadę ludzką, brak nam w źródłach średniowiecznych, dostarczą nam ich dopiero współczesne stosunki w Błotach Pińskich i na Podhalu. Błota Pińskie leżą już poza obszarem etnograficznym polskim, nie wahamy się jednak wciągnąć ich do naszej pracy. Kilka wiosek w powiecie mozyrskim dochowało tak dalece pierwotne znamiona, że doprawdy trudno o pełniejszy i lepszy obraz tego stadjum gospodarczego. Przez nie też uzyskujemy i to ogniwo, które połączy gospodarstwo czysto wypaleniskowe z pasterskiem, nawozowem. Położone wśród błot i bagien w gruncie piaszczystym, zbliżają się bardzo do wiosek w puszczy kurpiowskiej i radomskiej, bo leżą wśród dużych lasów sosnowych. Utrzymały one zu-

pełnie pierwotne pasterstwo, którego tamtym brak. Wszystkie też inne cechy pierwotnego gospodarstwa skupiają one w sposób rzeczywiście zadziwiający. Przykład to w swoim rodzaju jedyny, objaśniający całą teorję osadnictwa. Jedna z nich, Olmiany, szczególniej jest ciekawa. Leży nad rzeczułką Myszyną wśród bagien i lasów, odcięta przez większą część roku od świata; tylko w zimie, kiedy bagna i wody zamarzają, łatwiejszy do niej dostęp po lodzie. Jest to wieś dosyć ludna, ma 60 chat bezładnie rozrzuconych, a więc tak, jak w Mąkosach i Jedlni. Za ogrodami i budynkami ciągną się w jednym kawale piaszczyste pola bliższe. Jest ich bardzo niewiele, bo tylko przeszło 200 morgów polskich, a więc wypada po niecałe 4 morgi na każdego gospodarza. Każdy z nich ma rozrzucone działki po tem najbliższem polu wszędzie i w różnych kierunkach, jak kto odziedziczy lub się podzieli. Gdyby na tem musiał poprzestać, byłby tylko zagrodnikiem, nie jest to jednak cała ich rola. Wśród lasu i zarośli w promieniu jakich 20 wiorst od wioski porozrzucane są na wynioślejszych i suchszych kępach niwki uprawne, należące do mieszkańców Olmian. Wieś sama niewielką przestrzeń zajmuje, ale po tych rozległych śladach ludzkiej działalności dookoła niej znać, jak się rozpraszał człowiek, jak wyszarpywał skrawki ornego gruntu, gdzie tylko było mu łatwiej, jak nie śmiał otwarcie bagniskom i puszczy wypowiedzieć wojny. Nie prowadzą Poleszuki na tych niwkach gospodarstwa takiego, jakie dotąd znamy, nie wypalają ich, choć lasy karczują bez kontroli podobnie, jak dawniej Mąkosy. Na wiosnę każdy gospodarz idzie z bydłem do lasu, zajmuje pierwszy lepszy kawałek gruntu, ale zajmuje go początkowo jako stanowisko dla bydła. Porządku tutaj żadnego niema; co kto pierwszy zajmie — to jego. Prawie połowa wsi przenosi się tak wczesną wiosną do lasu.

Pastuchy budują sobie kurenie — szałasy, stany — jak w puszczy kurpiowskiej, nakrywają je gałęziami i siedzą w nich aż do późnej jesieni. Biorą jednak z sobą sochy i brony i przed odejściem na zimowe leże do wsi zamieniają się w rolników i zaorywają swoje stanowiska. Każde stanowisko bydła jest znawożone, staje się więc tym ośrod-

kiem gospodarczym o większej intensywności. Zasiewa je też Polesiak żytem i wraca do domu na zimę. Na przyszły rok zbiera plon, który do niego należy, nową zaś pasterską siedzibę zakłada obok. I tak z roku na rok. Może wrócić do dawniejszych niwek, albo może zająć je kto inny. Niema tu śladów perjodycznych podziałów, ani gminnej własności. Fakt znawożenia i obsiania zupełnie wystarcza i zapewnia plon każdemu z osobna. O rolę przy takich stosunkach nikt tak dalece jeszcze nie dba. Ilość bydła wpływa tylko na obszar zajętej roli; kto go ma więcej, może zająć i obsiać więcej.

Z góry zaraz możnaby powiedzieć, jak gospodarują na polach bliższych i dlaczego gospodarują tak, a nie inaczej. Nawozu stajennego mają niewiele, bo bydło przez ciepłe miesiące przebywa w lesie, tam go ono zostawia i tam też spożytkowuje go rolnik. Zwieźć go na pola bliższe do wioski nie może, bo wozem nie przejedzie. Ten nawóz, który się przez zimę zbierze przy chacie, wywożą na wiosnę na pola bliższe, na których nie można prowadzić trójpolówki choćby dlatego, że są za szczupłe. Sieją na nich zazwyczaj proso, po nim żyto, a po życie znowu żyto lub grykę, nie ugorując wcale.

Nie wiemy czy tak gospodarowali owi Wieruszyce XIII w.; w każdym razie, jeśli wogóle użytkowali nawożone niwki po lesie, to gospodarować pierwotniej nie mogli. Na tych stosunkach kilku pińskich wiosek mamy spełnione wszystkie warunki takiego półpasterskiego gospodarstwa i widoczny jest na nich cały wpływ chowu bydła i nawozu na układ pól. Mimo swych bardzo pierwotnych znamion i wspólnych cech z Mąkosami i bartnikami mazowieckiej puszczy przedstawiają oni jako rolnicy krok naprzód. Łączą dzikie odłogowe gospodarstwo, od którego zaczynali z pewnością pierwsi bartnicy, z wyższem nieco następnem stadjum gospodarczego rozwoju. Brak w tych wioskach takiego odłogowego gospodarstwa, jak w puszczy radomskiej i mazowieckiej, brak też owych pól dalszych, jak na Podhalu, gdzie tyle jest przestrzeni bardzo ekstensywnie wyzyskiwanej. Najbliżej jeszcze stoją one Podhala jako zużytkowujące chów bydła do celów rolniczych, ich niwki wśród

lasu odpowiadają górskim polanom, tylko że Podhalanie zrobili krok naprzód i nie ograniczyli się do czasowego wyzyskiwania stanowisk dla bydła. Bydło utorowało tu drogę rolnictwu tak, jak pszczoły w puszczy Mazowieckiej.

Jest to zupełnie naturalne, że gdzie już zaczęto orać i nauczono się dłuższy czas przebywać, tam z czasem na stałe zamieszkiwano. Niejednostajne rozrzucenie po całym obszarze zupełnego odłogu i punktów użytkowania musiało służyć za podkład dla zaludnienia kraju, ułatwiało wysiedlanie się ze starych wiosek i zakładanie nowych. Zajęcie szerszych obszarów ze zmniejszającą się ku granicy intensywnością użytkowania w postaci kilku lub przynajmniej paru stref gospodarczych nie byłoby tak skuteczne w tym wypadku. Nowy osadnik, osiedlający się na ostatnim pasie, nie mógłby otrzymać choć małego kawałka roli już przygotowanego pod uprawę, czyli zawiązku niejako pola bliższego. Prócz tego zaważył tu ważny wzgląd: oto miał tam już szałas, szopę pasterską lub stan bartniczy, i to więc było pierwszym krokiem, aby się tam kiedyś zupełnie przenieść. Ten wzgląd jest wspólny dla obu kategoryj zjawisk bartniczych i pasterskich. Mieszkańcy owych kilku poleskich wiosek wracali zawsze z lasu na zimę do wsi. Proces osadniczy był tutaj tak samo zamknięty, jak w puszczy radomskiej.

Inaczej u Kurpi i na Podhalu; tam powstawanie nowych osad dopełniło tę brakującą właśnie część zjawiska. Doliny górskie były dawno pozajmowane i musiały też pozostać pasterskiemi. Ludzie nie osiedlili się na stałe w samych Tatrach, obsiedli tylko ich boki i podnóża. Nie wchodząc jednak do samego wnętrza gór, można było znaleźć pastwisko. Prócz obszarów wspólnych, na które cała wieś spędzała owce i które stanowiły ową ekstensywną przestrzeń, gdzie prowadzono wypaleniskowe gospodarstwo, znajdowały się jeszcze tu i ówdzie polany. Były to większe lub mniejsze łączki wśród lasu, który zalegał stoki wszystkich wzgórz podhalańskich. Do kogo one należały? Większe i lepsze zapewne odrazu dostawały się sołtysom jako stalsze wydzielone pastwiska. Zostawało zawsze dosyć mniejszych w niezaludnionej okolicy, aby je mógł poprostu za-

właszczyć, kto je pierwszy znalazł i objął w posiadanie. Jeżeli dotąd każdy ze wspólnego pastwiska może wydzielić skrawek pola i obsiać go owsem, to tem więcej mógł to zrobić dawniej z większą nawet polaną.

Sam fakt zresztą, kto w danym razie polanę taką posiadał, jest dla nas podrzędnego znaczenia, mógł ją nawet mieć sołtys, nic to nie wpływało na przebieg gospodarczych i osadniczych zjawisk. Stanowiła ona stałe pastwisko, jeżeli odrazu zajęto ją na polanę pasterską. W wielu razach była tylko częścią wydzieloną wśród niestałego ogólnego pastwiska pewnej wioski, a w każdym razie nie pozostała pastwiskiem na zawsze i to ją wyróżnia od poleskich stanowisk dla bydła. Górska polana występuje od początku jako trwała indywidualna własność, podczas kiedy na Polesiu są one w nietrwałem posiadaniu. Niegdyś, jak jeszcze istniały na równinach, bywały one także nieoznaczone, jak dziś na Polesiu, i to była ich forma wcześniejsza, ale były także w stalszem posiadaniu i lepiej ograniczone i te znajdowały się bez wątpienia bliżej przejścia na osadę rolniczą.

O jednej takiej łące, która się zwie Obora, a więc jest stanowiskiem — oborą, mówi przywilej z 1405 r.[1], że należą do niej zarośla, krzaki i pastwiska, stanowiła więc pewną całość gospodarską.

Podobnie było i na Podhalu. Polana wśród lasu, nie rzadko z niego wytrzebiona, mogła mieć swoje naturalne granice; las, potok, stok góry odgraniczał ją od reszty obszaru, jednak część bliższego lasu już przez to samo, że użytkowano z niego, silniej była z polaną złączona i mogła stanowić z nią jeden kompleks. Bardzo ważnym czynnikiem był tu szałas, który stawiano na dalszych polanach. Nie był to jedynie przykryty gałęziami kureń, lecz na węgieł zbudowany budynek. Do niedawna parę takich szałasów stało jeszcze, z dość grubych, ociosanych tylko siekierą, okrąglaków, stanowiły zrąb dość trwały i były mieszkaniem do juhasów i dla owiec, które niejednokrotnie spędzano do niego na noc. Nietylko do późnej jesieni pasano na takiej polanie, ale niekiedy i w zimie pozostawiano

[1] Kod. Pol. II b. nr. 557.

juhasa i owce, zwykle jednak do godów, tj. do Bożego Narodzenia, szałas taki był zamieszkały. I dziś jeszcze są polany, nie w samych Tatrach leżące, jak Rusinowa, Łysa i polany koło Chochołowa, na których siedzą juhasi do zimy razem z owcami. Stały się też one więcej zasiedziałe, zaczem poszło, że sobie więcej wystarczać musiały. Na jakimś skrawku polany siał juhas trochę owsa lub jarca, choćby na swoje wyżywienie, a tam, gdzie trawa rosła lepsza trawę koszono. Siano było zawsze potrzebne na wyżywienie owiec przez zimowe miesiące.

Stąd już krok jeden dalej, a taka półpasterska, półrolnicza polana zamieniała się na właściwą rolniczą polanę. Proces to podobny do tego, który miał miejsce w puszczy przy zamianie stanów bartniczych na rolnicze osady. Dopóki bartnik wracał do wsi, dopóty w lesie zostawał tylko stan bartniczy. Pamiętamy jednak, jak się zaczął formować nowy ośrodek rolniczy, jak bartnik kosił siano po łąkach, jak je gdzieniegdzie obsiewał i zbierał. To wszystko powtarza się w Olmianach z tą tylko różnicą, że tam pasterstwo i stanowiska bydła dawały odrazu lepszą podstawę dla rolnictwa. Jednak w Olmianach nie doszło do następnego kroku, do osadnictwa, ani śladu jego nie spotykamy w średniowiecznych źródłach. Wiemy z nich tylko tyle, że np. Wieruszyce mieli swoje pasterskie stany po lasach, i nic nadto. Wyobraźmy sobie teraz, że ktoś w Olmianach dziedziczy we wsi tak mało, że mu to nie może wystarczać; jeżeli chce się wysiedlić, w takim razie pójdzie naturalnie tam, gdzie już bywał z bydłem, gdzie już siał i gdzie ma pole znawożone. Owe punkty więcej intensywnego użytkowania będą z góry wskazane niejako, aby przy pierwszej sposobności zamieniły się na nowe siedziby.

Otóż ten dopełniający stopień, który można prześledzić u Kurpi, dają nam także bardzo wyraźnie polany pasterskie na Podhalu.

8. Powstawanie nowych osad ma polanach górskich.

Gazda podhalański siedział we wsi, gdzie miał swoje gospodarstwo. Miał się gdzie rozpościerać, ale obszar upraw-

nego pola tak bardzo zależy od rodzaju gospodarowania, które się na nim prowadzi, że mogło być dosyć tej roli dla niego, ale nie dosyć, jeżeli się mieli dzielić nią jego synowie. Cóż więc w takim razie miało miejsce, jeżeli do tych działów przychodziło, a przychodzić musiało? Oto np. jeżeli ojciec miał rolę w Witowie i gdzieś w pobliżu, to znaczy o jaką milę lub dwie odległą, polanę, w takim razie jeden zostawał na gazdowstwie we wsi a drugi dostawał polanę. W ten sposób zaludniały się one, tworząc z czasem istne filjalne osady. Wszędzie liczba pierwotnych wiosek macierzystych, jakbyśmy je mogli nazwać, jest nieznaczną, powoli dopiero kraj cały zaludnia się z nich temi wyrojonemi osadnikami. Opuszczają je oni bądź w wielkiej liczbie, nie wychodząc z rodowego związku, bądź zbierają się w pewnego rodzaju stowarzyszenia i chodzą po kraju, bądź zresztą, jak w naszym wypadku, wychodzą pojedynczo, zakładając jednodworcze osady.

Jednodworczemi były pierwotnie te wioski, które się z takich polan wytworzyły. Do dziś dnia utrzymała się bardzo żywa o tem tradycja, mówi się nawet o polaniarzach i wsiakach, tj. mieszkańcach wiosek. Bardzo prawdopodobne, że i owi zarębnicy z XVI wieku byli takimi wysiedlonymi z właściwych wiosek polaniarzami.

Na samem Podhalu są jeszcze bardzo typowe wioski, które świadczą, w jaki sposób powstały. Najlepiej dochowana jest wieś Kościeliska, leżąca na południowych stokach Gubałówki. Polany, które jej dały początek, do dziś dnia stanowią oddzielne jeszcze grupy gospodarstw i noszą odrębne nazwy. Na początku XVIII wieku, kiedy jeszcze było wolno palić i wyrabiać las na pastwisko lub rolę za opłatą jedynie czynszu w zamku nowotarskim, różni gazdowie z różnych stron mieli tu swoje »letniki« dla owiec. Do dziś dnia wiedzą jeszcze ludzie, kto zaludniał różne polany. Bundówka np. i Pająkówka były pierwotnie pastwiskiem owiec gazdów ze Skrzypnego, Stanikówka z Bańskiej, Szeligówka i Pitoniówka z Ratułowa, Kirpcówka z Dzianisza, Skilonówka z Czerwiennego, Groń i Jamychówka z Cichego. Wszystko to osady, położone w Nowotarszczyźnie, których mieszkańcy, chodząc po tych stronach, niezajętych jeszcze

przez nikogo, wyszukowali dla swych stad lepszych pastwisk na górach i reglach.

Powoli zaczęły się te »letniki« dla owiec zamieniać na rolne polany. Na Bundówce np. jeden z synów owego skrzypniańskiego gazdy, który miał tu pastwisko dla owiec, osiedlił się na niej, dostawszy ją w dziale. W ten sposób polany owe zaczęły się zaludniać, pastwisko ustępowało roli; do szałasów, przerobionych i poprawionych, wprowadzili się gazdowie na stałe a owce przepędzono dalej na goły i pusty wierch Gubałówki, w niższe dolinki wśródleśne i w regle. I dla nich jeszcze dosyć miejsca pozostało, choć gorszego. Z lepszych miejsc musiały ludziom ustąpić. Las oddzielał prawie wszystkie te polany od siebie. Dziś jeszcze tu i ówdzie ciągnie się on wąskiem poszarpanym i często porozrywanym pasem między niemi. Naturalnie każdy go trzebił na swoje i brał, ile go potrzeba było na domowe potrzeby. Został jeszcze trochę większą czarną ławą po skrajach całej wioski. Właściwie wioską Kościeliska jeszcze one nie są, bo każda polana jest jeszcze odrębną całością. Budynki są porozrzucane po całym szerokim połogim stoku góry, zasianym gromadkami chat i zabudowań. Nie tworzą też one zgoła żadnej figury, nawet takiej, jak w Jedlni i Mąkosach, gdzie każdy wybudowywał się oddzielnie, ale zawsze nad rzeczką, która ich razem trzymała. Tutaj jest to taka sama bezładna figura, tylko rozsunięta na znacznej przestrzeni, jeszcze więcej bezładna i nieporządna; jednodworczość ujawnia się tu więc stanowczo. Można powiedzieć, że tak wyglądały wśród całego lasu bartnego bartnicze stany, po nim rozrzucone, kiedy się zamieniały na rolnicze siedziby.

Nietylko wieś Kościeliska w ten sposób powstała. Idąc dalej ku wschodowi stokami Gubałówki, wszędzie spotykamy takie jednodworcze siedziby; należą już one do gminy Zakopane. Starą taką polaną jest Gładkie, potem Zakopiska, wreszcie Tatary. Schodzą one na samą zakopiańską dolinę i okrążają wieś dookoła. Stara Polana ma dotychczas dawną nazwę. Jest też tradycja, że na polanę Chramcówki przyszli Chramcowie z Międzyczerwiennego, na Spyrkówkę — Spyr-

kowscy z Maruszyny, obcymi także muszą być Bachledy i Guty na polanach, które noszą ich miano; kiedyś nawet i Krupówki były taką polaną.

Wieś Olcza istnieje już w XVII wieku, bardzo być może, iż sama była taką polaną; pewne jednak, że na około niej tak samo powstawały ludzkie siedziby. Tak np. jeszcze za pamięci przeszło 80-cioletniego starca Topora-Jasicy przyszło do takiej przemiany letników dla owiec na orne grunty. Ojciec jego miał rolę i domostwo we wsi Olczy, prócz niej miał jeszcze polany: Toporową Cyrchlę, Walkoszówkę i Hrube. Wszystkie one były już od 100 lat wyrobione na role, na Hrubem tylko zostały letniki i szopy dla owiec. Rozdzieliwszy się, pobudowali się na każdej z tych polan jego synowie. I na Hrubem dziś są już gazdowstwa.

Polany te zachodzą jeszcze poza Olczę i zwracają się napowrót ku Zakopanemu, podchodząc tuż pod regle. Jest to ostatnia bardzo słaba osadnicza fala, która właściwie przekroczyła nawet dolinę zakopiańską, bo, idąc od Zakopanego ku Kościeliskom, spotykamy polany: Capki, Potok, Skilówkę, Bundówki, wreszcie znaczniejszą Krzeptówkę. Wśród nich siedzą więcej zbite wioski: Zakopane i Olcza. Kiedyś były one także w lesie i stanowiły znaczniejszą tylko w nim łysinę. Mniejsze takie siedziby były już w nim zupełnie zaszyte. Tak samo między Poroninem a Zakopanem cały pas jest w ten sposób zasiedlony.

Powstawały te osady w różnych czasach. Można przyjąć wiek XVIII i początki XIX-go jako epokę ich powstania, wtedy to bowiem zaczynają się skargi do zamku nowotarskiego, później do kamery, na coraz większe uszczuplanie pastwisk, które zamieniano na grunty orne. Nie wszystkie z tych polan potrafiły się rozróść. Im która później powstała, tem pewniej pozostała niezmienioną. Wcześniejsze uległy z wszelką pewnością różnorodnym zmianom. A trzeba przyznać, że była i wcześniejsza ich warstwa. W przywileju Chochołowa z XVI wieku wymienionych jest pięć polan, z nich Suchy Bór, dzisiejsza dolina Chochołowska, Okraina, Łucznia i Dolinka zostały pasterskiemi polanami do dziś dnia. Dzianisz stał się ludną wsią, widocznie więc najbliżej położona i najżyźniejsza z tych polan została może w ja-

kie 50 lat po założeniu samego Chochołowa obróconą na rolniczą siedzibę, gdzieś w pierwszej połowie XVII wieku. Dziś nie przedstawia on już nawet tego rozproszenia, jak np. Kościeliska: jest długą, dosyć zresztą bezładnie rozłożoną wsią górską.

Ciekawe też jest założenie samego Zakopanego. Podanie ludowe zgadza się dosyć z przywilejem Stefana Batorego i nosi wszelkie znamiona prawdopodobieństwa. W każdym razie jest to osada i z tego względu ciekawa, że nie posiadała nigdy ani sołtysa, ani owego późnego, zmienionego prawa niemieckiego, o którem wyżej była mowa. Tradycja mówi, że przed laty przyszedł tu pierwszy osadnik, Gąsiennica (słyszałem, jakoby Gąsiennicowie mieli pochodzić z Międzyczerwiennego). Przyszedł i na zachodnim stoku Gubałówki »zakopał« jęczmień, tam, gdzie dziś Zakopiska. Na drugi rok wrócił, aby zobaczyć, czy się jarzec urodził a ponieważ plon był obfity, więc został i osiadł na stałe. Otóż rzeczywiście osadnik, który tu pierwszy przyszedł, nie mógł osiąść na samej dolinie, bo zanadto była bagnista wolał się więc wyżej zatrzymać. Mógł też zakopać jęczmień, bo motyką podówczas kopano. Sprawdza się to wreszcie w tem, że w przywileju Stefana Batorego istotnie występuje Samuel Gąsienica. Dalej legenda mówi, że miał dwóch czy trzech synów. Od jednego z nich, Kaspra, poszli Kasprusie, od drugiego Jacyny, gazdowie tego nazwiska. Podzielił więc między nich Zakopane.

Dziś wieś sama nie przedstawia typu polany. Nadto jedna jej część koło kościoła nazywała się Osiedlem albo Nawsiem; nazwy te stare, oznaczające plac zabudowany we wsi.

Że jednak i Zakopane pierwotnie było jednodworczą siedzibą, wskazuje to przedewszystkiem, że dziś jest aż 49 rodzin z różnemi przydomkami, które się wszystkie piszą: Gąsiennice. Jest to więc rozrodzone potomstwo owego pierwszego osadnika.

Naturalnie przenoszono na takie osady istniejącą podówczas organizację osad rolniczych. Przywilej dla Zakopanego nawet wskazuje, że taki osadnik już po zajęciu jakiegoś obszaru prosi o jego nadanie i potwierdzenie. Polany

z chwilą, jak je obsiano, stawały się rolą w znaczeniu ściślejszem. I dziś jeszcze są ślady, że niektóre z nich stanowiły całą, albo pół roli, albo mniej. Układ Zakopanego przemawia również za tem, że były osady, które nie przechodziły stanu pasterstwa. Odrazu poczynano sobie na nich jak na roli. Nie pozostaje to bynajmniej w sprzeczności z tem, cośmy wyżej powiedzieli o przemianie polany pasterskiej na rolniczą. Obydwa te objawy zupełnie się nie wyłączają; jest miejsce dla nich obydwóch. Jeżeli taka przemiana się dokonywała dosyć wcześnie, to mieszkańcy powstających w ten sposób wiosek wchodzili prawdopodobnie w prawa zarębników lub polskich kmieci. Nie przychodziło tylko do żadnych nowych podziałów ornych gruntów, konfiguracja ich się nie zmieniała, kształtowały się one dalej zupełnie swobodnie.

Rozrastały się takie polany bardzo łatwo. Działały dalej te same przyczyny, co i w rodzinnej wiosce. W wiosce, z której się dana polana zaludniła, musiało przyjść do pewnego choćby bardzo względnego przeludnienia, aby część jej ludności miała podnietę do wysiedlenia się w ten sposób. To samo następowało wkrótce i na polanie, z tą tylko różnicą, że już z niej trudniej się zawsze było wynieść, choćby dlatego, że było już mniej miejsca, więc i tutaj musiało też przyjść do większego rozdrobienia ziemi. Z biegiem czasu przychodziło zawsze do tego. Pierwotnie każda polana stanowiła rolę, przynajmniej z łatwością mogła się do tych rozmiarów rozszerzyć, byle z lasów wytrzebić, żeby uzyskać przestrzeń, którą można było zagospodarować. Jeżeli gazda naprzykład miał dwóch synów, musiało przyjść do działu między nimi, ale i tutaj, naturalnie, dzielono się i w lepszem i w gorszem. Jeżeli rola była większa, dzielono ją na krzyż. Z tych czterech części każdy z dwóch synów brał po jednej w lepszem i płońszem. Powstawały więc dwa gospodarstwa odrębne. Budowano domy, każdy na własnej roli; późniejsze działy rozdrabiały rolę więcej. »Szarpano« rolę, jak się to mówi, na stajania, gdzie lepsze i gorsze. Dzisiaj też cała polana jest zwykle »potargana« na drobne części.

Uwidocznia to najlepiej plan dwóch takich polan:

Krzeptówki i Potoka, należących do Zakopanego (patrz fig. 4). Pierwsza z nich istnieje już w r. 1764.; czy jako pastwisko, czy już jako siedziba, niewiadomo. W każdym razie przyjąć należy, że od 100 przeszło lat jest już polaną rolną. Długo była w ręku jednego gazdy: Gąsiennicy-Krzeptowskiego, dlatego rozdrobnienie stosunkowo niedaleko zaszło. Druga polana, Potok, jest więcej poszarpana, jest też większą i ludniejszą. Chaty i zabudowania stoją między sznurami roli na pastwisku. Ciekawem jest też, jak większa ich część ciągnie się wzdłuż potoka w jednem rzędzie na kraju ornego

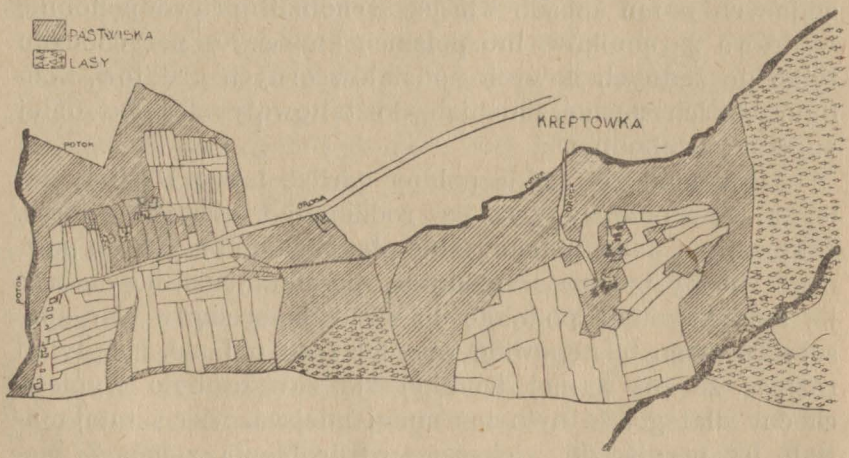


Fig. 4. Polany: Potok i Krzeptówka w Zakopanem.

pola i łąki nadrzecznej. Zawiązek to nowej osady, która nie rośnie prawdopodobnie dlatego, że już na rozpościeranie się niema miejsca. Siedzą na Potoku Gąsiennicowie. W roku 1820 wiedli oni spór między sobą o działy. Dziad ówczesnych posiadaczy tej polany, Sebastjan, miał rolę w Osiedlu i na polanach: Groniku i Bundówce. Dwóch jego synów podzieliło się w ten sposób, że na Groniku osiadł starszy, na Bundówce młodszy. Otóż młodszy wyrobił na grunty wspólne pastwisko, które leżało między owemi polanami. Spór powstaje o to, czy nowo wyrobiony grunt ma ulec podziałowi pomiędzy ich spadkobierców. Widocznie jeszcze podówczas polana Potok, leżąca między Bundówką a Krzeptówką, była więcej pastwiskiem, niż rolą. Zaczęto się na nią

wysiedlać, jak się zrobiło ciasno na sąsiednich polanach. Na mapie widać, że łąka i skrawek lasu oddziela te polany. Jeżeli się ich role zetkną, to się zleją w jedną właściwie figurę, która wytworzy dosyć zawiłą szachownicę. Zaczną się skupy, zamiany, przenoszenia, będą się przyżeniać, dosyć, że rozpocznie się proces wyrównywania jednej osady przez drugą i wytwarzania jednolitych, zamieszkałych obszarów.

Dziś naturalnie cały ten proces jest wstrzymany. Mamy tylko wioski takie, jak np. Zakopane, Dzianisz, nie mówiąc naturalnie o innych, które powstały zupełnie inaczej, i polany więcej lub mniej odosobnione, jak Kościeliska, Krzeptówka, Potok i wiele innych. Ostatnie nie mogą się już rozrastać, albowiem brak roli wstrzymuje wszystkie takie wioski i zmusza je mieścić się w dość ciasnych granicach.

Braliśmy zawsze jednego osadnika na polanie; tak było najczęściej. ale nie wyłącznie. Większe i obszerniejsze z nich należały do kilku gazdów z jednej wioski. Nieraz też dzielono odrazu polany na kilka części między kilku właścicieli, jak ową polanę Grębska z roku 1716, a wtedy łatwiej mogła się stać zupełną wioską.

Dziś w tych wioskach z układu pól nic się dowiedzieć nie można. Wszystko utonęło w jednem ogólnem rozdrobnieniu. I wioski pierwotne z prawem niemieckiem, i powstałe z polan, i lokowane na prawie polskiem odrazu, — wszystkie jednakowe prawie przedstawiają figury. Na całym ornym obszarze mnóstwo wąskich pasków dłuższych lub krótszych działek, idących we wszystkich kierunkach i położonych względem siebie pod różnemi kątami. Oto obraz pól uprawnych prawie wszystkich wiosek na Podhalu. Zakopane przedstawia też pod tem względem nader wybitne cechy. Więcej regularny jest Chochołów; może to są jeszcze ślady dawniejszego, porządniejszego założenia, a może ten głównie powód, że gazdowstwa do dziś dnia są tam większe i rozdrobnienie nie przybrało takich rozmiarów. W każdym razie z przykładu owych dwóch polan w Zakopanem widoczna, że bardzo łatwo może przyjść do takiego nieładu tam, gdzie się z sobą takie jednodworcze siedziby (»role«) spotykają. We wsiach, które miały sołtysów, pierwotnie każdy gazda

miał orne grunta w jednym kawale, miał jedną całą rolę. Różnica więc w tem polega, że odrazu były one obok siebie położone i równomiernie zabudowane, podczas kiedy przy osobnych polanach musiały się orne grunta dopiero z sobą łączyć, budynki zaś trzeba było albo przenosić, albo też zwolna skupiać na mniejszej przestrzeni.

Przypuścić należy, że wszystkie starsze i większe polany przeszły w wioski, że prócz Dzianisza i Zakopanego oraz trzeciej Olczy więcej wiosek jest taki mających początek. Reszta późniejszych nie miała już dosyć miejsca do swobodnego rozprzestrzenienia się i musiała pozostać na tem stadjum rozwoju, na jakiem dziś stoi. To wszystko tłumaczy nam, dlaczego prócz wiosek spotykamy wszędzie porozrzucane takie jednodworcze osady, których w reszcie kraju przecież niema.

Jakimże więc sposobem przeprowadzić teraz analogję i udowodnić, że objaw ten niegdyś był ogólniejszym. Z rzadka tu i ówdzie potworzone w Królestwie ostatniemi czasy tak zwane kolonje powstały wśród innych zupełnie warunków. Są one raczej już »farmami«, mogą nawet przedstawiać rzeczywisty postęp i racjonalniejszy ekonomicznie podział ziemi wobec dawniejszego gospodarstwa chłopskiego, zamałego w stosunku do zbyt ekstensywnej jeszcze techniki uprawy. Te więc jednodworcze kolonje nic wspólnego z naszemi polanami mieć nie mogą. Wszystko zaś inne zamknęło się w wioskach, jest to zasadnicza cecha osadnictwa całego kraju.

To, co się cofnęło z całej powierzchni i nie jest więcej ogólnym objawem, mogło nim być kiedyś. I tu właśnie analogje ze stosunkami obu puszcz: radomskiej i kurpiowskiej mogą mieć swoje pierwszorzędne znaczenie. Nie ulega wątpliwości, że pierwotnie Mąkosy musiały wyglądać jako polana może pasterska, może bartnicza, ale zawsze jak jednodworcza osada o bardzo drobnej bliższej roli a znacznym nierolniczym obszarze. Jedlnia przedstawia znowu pewne znamiona osady, która powstaje z połączenia się i zlania kilku pierwotnie niezależnych osad, przynajmniej o niezależnym ornym obszarze. Później dopiero, po tem połączeniu, przychodziło prawdopodobnie do pewnych zmian, do

reorganizacji dla usunięcia chociażby najbliższych złych stron, które z tego powodu mogły wyniknąć. Stany bartnicze również były bartniczemi polanami, jeżeli tak wolno powiedzieć, przy nich powstawały późniejsze osady. Prawda, że tak Jedlna, jak i późniejsze wioski w puszczy kurpiowskiej przedstawiają inne nieco cechy; sadowią się one wszystkie na wynioślejszych miejscach, przy wodzie, i z tego powodu musiały się skupiać. Różnice te są jednak raczej ilościowe, niż jakościowe. Wszędzie powstaje mniej lub więcej wyraźna nieregularność i bezładność zabudowań, nawet, jak w Jedlni, pewna odrębność pojedynczych grup, odrębność topograficzna, a zdaje się i gospodarcza. Każda była zamkniętą do pewnego stopnia całością. Taka wieś natomiast, jak Mąkosy, która nigdy się nie rozrosła, może poniekąd być uważana za pośrednie ogniwo. Potomstwo pierwszego osadnika stanowiło jej nieliczną zresztą ludność. Zabudowań nigdy dużo nie miała, mogła więc powstać tylko przez rozrodzenie się pierwotnej jednodworczej osady, wsią zaś w ścisłem znaczeniu, przynajmniej jeszcze w XVIII wieku, nie była.

Nie przypuszczamy, że zawsze jeden osadnik zakładał wieś. Zresztą i na polanach nie zawsze tak było. W wielu też razach łączyło się po kilku osadników i razem wieś zakładało, razem się budując, bo nie wszędzie równie łatwo można się było rozpraszać, ale było to raczej luźne zestawienie (juxtaposition), przynajmniej początkowo, niż wytworzenie rzeczywistej wioski, nawet takiej, jak jest dzisiaj, a więc bez wspólnego władania ziemią, lecz z tem, co Niemcy nazywają Gemengelage.

Sądzę też, że każda forma osadnicza mogła przechodzić różne stadja. Uczeni popełniają błąd, rozdzielając typ jednodworczy od wioskowego. Rozdział taki nietylko je przeciwstawia, ale i unieruchamia zarazem. Tymczasem istnieją formy przejściowe, które je łączą; a co więcej, obydwa te systemy osadnicze mogą przechodzić jeden w drugi przy odpowiednich warunkach. W naszych stosunkach tak się rzeczywiście rzeczy działy. Większość osad przechodziła stadjum jednodworczości, które trwało krócej lub dłużej. Mogło ono w wielu razach łączyć niejako dwie formy wioskowe. Z wioski osadnik wychodził, w wioskę się

zamieniała w końcu jego jednodworcza siedziba. Z biegiem czasu i ze wzrastającem zaludnieniem kraju traciły swoje kontury te osady jednodworcze, zlewały się i zacierały. Przez takie stadjum dezagregacji przechodziło osadnictwo średniowieczne, bardzo ruchome i gubiące się w przestrzeni. Organizacja terytorjalna mogła się rwać z każdą chwilą, kiedy się przestawało żyć z pewnego terytorjum. Związki rodowe były za luźne, musiały już bardzo wcześnie wytworzyć jako jednostkę — rodzinę typu większego, która miała wolne ręce i coraz więcej praw zyskiwała. Słowem, sądzę, że w średnich wiekach w Polsce (X do XIII w.) trudno było o taką choćby wieś, jak Zakopane, które mogło liczyć 200 członków, należących do jednego rodu i razem w jednej wsi żyjących. Nie było warunków do takiego spokojnego zastania się osadnictwa. Ludność musiała się rozpraszać podobnie, jak bartnicy puszczy mazowieckiej.

Gdybyśmy nie przypuszczali podobnych osad jednodworczych, jak na Podhalu, mnóstwo faktów pozostałoby niewytłumaczonych. Wszelkie skupy, rozrzucenie »sortes«, łatwe tworzenie nowych wiosek z wielu działów, w które tak bardzo obfitują nasze źródła, pozostałyby bez dostatecznego wyjaśnienia. Musimy więc sobie wystawić jedne osady jako rozrastające się obok siebie, drugie zaś jako rozpraszające się na polany albo skupiające się na nich. Stałe takie typy widzieliśmy w puszczy radomskiej, które niejako zastygły i zostały unieruchomione, wytwarzanie zaś, powstawanie i przemiany mogliśmy poznać w części na Kurpiach, a głównie na Podhalu.

Spóźniona ta ruchomość stosunków wyszła na złe tak w pierwszym, jak i w drugim wypadku. Wiemy, jak się to ciężko odbiło na Kurpiach, jakie wywołało przesilenie gospodarcze. I na Podhalu nie było pod tym względem lepiej. Rozproszkowanie ziemi jest tu złem mniej więcej powszechnem. Do niego przyłączyły się inne, których skutki do dziś dnia dają się odczuwać. Wielki niezajęty obszar zawsze musi prowadzić do wytworzenia się pierwotniejszych pojęć o własności. Posiadanie i tutaj musiało wystarczać z początku. Tyle było miejsca, że się swobodnie można było włóczyć, zakładać nowe siedziby, zamieniać pastwiska na role, wy-

cinać las, zajmować hale pod pastwiska, nie licząc się z tem wszystkiem, co później nawet jako używalność musi ulegać tylu różnym ograniczeniom.

Całe Podhale było królewszczyzną, tak jak puszcza radomska i znaczniejsza część puszczy kurpiowskiej. Czy król Stefan dał takie szerokie przywileje, czy nie, to mniejsza, dość, że faktycznie nikt ich nikomu nie zabraniał. Opłata do zamku w Nowym-Targu była nader mała a kontrola prawie żadna. Takie stosunki przetrwały niemal do końca XVIII wieku. Musiały ulec dopiero zmianie, skoro dobra koronne przeszły na własność kamery, a zwłaszcza, kiedy rząd austrjacki sprzedał przeważną część Podhala osobie prywatnej. Kamera w Nowym-Targu nie bardzo wiedziała, co zrobić z całym tym obszarem. Za tanie pieniądze byłaby sprzedała gminom swe prawa, chłopi jednak kupować nie chcieli, bo poco kupować swoją własność, jeszcze potem mógłby skarb państwa nałożyć większe podatki. Tak się więc skończyło, że kupił kto inny. Wnet wystąpiły skutki prawne tego faktu. Prawne tytuły posiadł nowonabywca, chłopi zaś zostali z dawnym zwyczajem i z tą świadomością, że od wieków wolno im było tego wszystkiego używać, zupełnie tak, jak u Kurpiów. To jednak wobec urzędów i prawa stanowczo nie wystarczało, zaczęły się więc długoletnie spory i procesy. Chłopi bronili, jak mogli i umieli, swoich uprawnień, wysyłali do Wiednia prośby, dawali różnym oszustom pieniądze, próbowali nawet stawiać opór. Nic nie pomogło. Przyszło wojsko i musieli ustąpić.

Przyznać trzeba, że tak szeroko idące serwituty ostać się absolutnie nie mogły, bo znosiły niemal samą własność. Tu więc innego wyjścia nie było: albo jedna, albo druga strona musiała wszystko skupić w swych rękach. Dzisiaj zresztą nie dałoby się to zupełnie pogodzić z jaką taką ochroną lasów, która jest niezbędna. To jest jedna strona tych stosunków; istnieje jednak i druga odwrotna.

Zniesienie pastwisk po reglach odebrało tutejszemu gospodarstwu potrzebną przestrzeń i wywołało przesilenie. Zdawałoby się więc, że powinniby gazdowie przejść do gospodarstwa więcej intensywnego; ale tutaj przejście to mogłoby się uskutecznić właśnie w kierunku racjonalniejszego wyzyskania

pastwisk. Dziś wszyscy to mówią, i mają rację, że pasterstwo, to jest chów bydła, jest jedynym kierunkiem, w którym gospodarstwo górskie mogłoby się rozwijać.

Rzeczywiście rolnictwo, jakie się tu prowadzi, jest anomalją. Sieją wprawdzie górale owies, nawet nie wahają się za drogie pieniądze brać w dzierżawę kawałków roli i obsiewać ich owsem. Jest to jednak gospodarcze złudzenie; plon, jeśli wogóle jest, nie może w żaden sposób pokryć kosztów produkcji. Ale ma się tutaj do czynienia z psychologicznym momentem, który tak często wchodzi do ekonomicznych stosunków. Orać, siać i zbierać jest czemś tak niezbędnem w przekonaniu ludu, że bez tego się obyć i żyć nie może.

II. ZE STUDJÓW NAD USTROJEM GRODOWO-PLEMIENNYM.

Objaśnienie o stanie rękopisu.

W porównaniu ze Studjami osadniczemi, przedstawiającemi całość, która miała uledz przeredagowaniu i uzgodnieniu z literaturą ostatnich lat, praca niniejsza jest ułamkiem zawierającym początkowe ustępy dzieła zakrojonego na wielką miarę, mającego dać obraz ustroju wewnętrznego Polski za pierwszych Piastów i w epoce poprzedniej, którą Potkański zobowiązał się napisać dla Akademji Umiejętności. Początkowe te ustępy przedstawiają sprawę nazwy: Polska i jej stosunku do nazw plemiennych, dalej ogólny pogląd na związek ustroju grodowego z ustrojem plemiennym, i szczegółowy zarys granic plemienia Polan i ich grodów w dobie powstania państwa polskiego, t. j. w IX—XII wieku. Na końcu znajduje się szkicowy rozdział o kasztelaniach i ich zakresie działania w czasach piastowskich; t. j. głównie w XIII wieku. Brakuje więc i rozgraniczenia innych plemion polskich i podobnego do Wielkopolski opracowania materjału przedhistorycznego o grodach tych innych plemion, dalej brak przedstawienia wszystkich innych działów życia społecznego i politycznego.

Wymienione rozdziały znalazły się częściowo również w dwóch, a nawet trzech redakcjach, i to ze sobą niezupełnie zharmonizowanych, co pochodzi przedewszystkiem stąd, że plan dzieła o ustroju wewnętrznym Polski poprzedzony został planem dwóch prac specjalnych: o plemionach polskich i o organizacji grodów plemiennych i książęcych czyli późniejszych kasztelanij, ze szczególnem uwzględnieniem Wielkopolski. W obu tych pracach, zbliżonych do siebie treścią, musiały się niektóre rzeczy powtarzać, choć w nieco odmiennem ujęciu. Mimo ułamkowego charakteru rozdziały powyższe przedstawiają wartość z jednej strony przez szersze, socjologiczne ujęcie zagadnień, a z drugiej strony przez związek metodyczny ze Studjami osadniczemi.

Do wydania trzeba było połączyć w sposób o ile możliwa zgodny z planem i tokiem myśli fragmenty obu prac, do czego przez Potkańskiego zostały porobione przygotowania, wyrażone w notatkach, zmianie numeracji stronic i poprzestawianiu partyj rękopisu. Wstawki, zaznaczone gwiazdkami (*), udało się tak pomyślnie przeprowadzić, że nic prawie nie pozostało w rękopisie niewydrukowane.

Do pracy tej istnieje spory zasób notat ze źródeł oraz przedewszystkiem z literatury archeologicznej niemieckiej i polskiej, której dotąd nikt z punktu widzenia historji tak systematycznie nie przerobił i nie zestawił. Nie trudnoby może było z notat tych dorobić do tekstu przypisy, których mu prawie zupełny brak, ale wydało mi się to mało doniosłe. Potkański opracował grodziska wielkopolskie na podstawie materjału zawartego w Kodeksie dypl. Wielkopolskim (według indeksu), Zeitschrift für Ethnologie, Berlin, roczniki 1875—88, Archiv für Anthropologie, Brunswig, roczniki 1882—96, tudzież Schwarzza Materialien zur prähist. Kartographie der Prov. Posen, który wszystką literaturę do r. 1888 cytuje, Lissauera, Die prähistorischen Denkmäler der Provinz Westpreussen (1887) i Erzepkiego-Köhlera, Album zabytków przedhistorycznych W. Ks. Poznańskiego.

---

1. O organizacji grodowej

(Odmienna redakcja referatu do Sprawozdań Ak. Um.) [1]

Organizacja grodowa według autora składa się z dwóch głównych elementów: a) miejscowego i b) obcego, zapożyczonego. Ich zespolenie daje dopiero organizację grodową z czasów panowania Bolesława Wielkiego i późniejszych. Autor wziął sobie za zadanie zbadać charakter, rolę i znaczenie obu tych czynników.

Elementy miejscowe—będą to oczywiście grody słowiańskie z doby przedpaństwowej; od nich też należy zadanie rozpocząć. Pierwsze słowo należy się tutaj archeologji. Uczeni polscy, rosyjscy, a w znacznej mierze i niemieccy, zwrócili już dawno uwagę na fakt pierwszorzędnej doniosłości. Oto od Łaby po Dniepr i Wołgę, wszędzie na ziemiach przez Słowian zamieszkałych, spotkać się można z bardzo licznemi, zwykle okrągłemi lub eliptycznemi, okopami z ziemi, bardzo różnych rozmiarów, od bardzo obszernych do bardzo nieznacznych. Okopy te, w północnych Niemczech na Pomorzu, w Meklemburgji, na wyspie Rugji, zwane okopami szwedzkiemi, są bardzo gęsto rozrzucone, najgęściej może na Łużycach. Nie brak ich i w Wielkopol-

[1] Niniejsza redakcja różni się znacznie od wydrukowanego w Sprawozdaniach Ak. Um. (kwiecień 1905) referatu. Chociaż mniej pełna, wydała mi się godną opublikowania, porusza bowiem niektóre rzeczy, których nie ma w drukowanym referacie.

sce i na Śląsku, rzedną zaś na południowem Mazowszu i w Małopolsce, choć co do tego należy zrobić zastrzeżenie, iż mniej je tu badano. Okopy owe znane są również w Czechach i dalej na południe. Najliczniejsze wszakże są one może w Rosji, gdzie ich na setki i setki liczyć trzeba. Prócz formy mają grodziska inne jeszcze wspólne znamiona: pospolicie znajdują się w nich przedmioty, pochodzące z jednej epoki, t. zw. nordyjsko-arabskiej albo grodziskowej. Jest to epoka żelaza, filigranów srebrnych, ceramiki z ornamentem, falistym i obejmuje czas od VII do XII wieku, stanowi więc ostatnią epokę przedhistoryczną, a właściwie wczesno-historyczną. Często, szczególniej w Czechach i na Łużycach, można się dokopać starszych warstw archeologicznych. Często też spotykają się koło nich mieszkania nawodne, oraz cmentarze, choć niekoniecznie z tej samej, co grodzisko, epoki, wskutek czego związek ich z samemi grodziskami nie jest ściśle określony (są one zwykle starsze). Oczywiście na tak znacznych obszarach różnice w kulturze muszą być znaczne, wszakże podnieść wypada, że są to różnice bardziej stopnia kultury, niż jej jakości, tak, że przedstawia się nam ta epoka jako politycznie zupełnie rozbita, ale za to kulturalnie bardziej jednolita.

Źródła historyczne potwierdzają istnienie tych grodzisk. Przedewszystkiem Geograf bawarski z drugiej połowy IX wieku, wyliczając różne plemiona słowiańskie (głównie północne), wymienia zawsze liczbę civitates, które posiada każde plemię. Dalej opisuje grodziska dokładniej na Rugji Saxo Gramaticus, a sposób ich stawiania Ibn-Jacob, a wreszcie pośrednio wymieniają je u Morawian Roczniki fuldajskie, oraz na Rusi późniejszy już tak zwany Nestor. Sam fakt tedy istnienia owych grodzisk nie ulega żadnej kwestji.

Szerokiego zawsze pola dla dociekań uczonych dostarczała kwestja, jak owe grody połączyć z organizacją społeczną Słowian i do jakich one celów służyły. Kwestja jest zawiła i szczególniej w Rosji przedstawia wiele ciemnych punktów. Dla Słowian zachodnio-północnych, sądzę, przedstawia się ona jaśniej, głównie dzięki Geografowi bawarskiemu. Plemię, jak wiemy, nie jest jednolite, składa się zawsze

i wszędzie z większej lub mniejszej ilości rodów. Otóż najprostszem jest przypuszczenie, że owe »civitates« są rodowemi grodami, a ich liczba odpowiada liczbie rodów. Z tegoby wynikało, że im plemię znaczniejsze, tem więcej grodów obejmowało, a także — i to zdaje się ma miejsce u Słowian wschodnich, ruskich — im drobniejsze rody, tem grody gęstsze.

Powstaje wszakże pytanie, co właściwie znaczy gród rodowy?. Należy go przecież bądź co bądź bliżej związać z samą organizacją rodową. Otóż co do tego, to już od czasów Chodakowskiego niema wśród uczonych zgody. Autor sądzi, że gród jest punktem zbornym rodu, t. zn. miejscem związanem z kultem (Saxo Gramaticus), miejscem wieców (Helmold) — jedno łączyło się z drugiem, — ale przedewszystkiem w czasie wojny miejscem schronienia i obrony (Annales Fuldenses, Saxo Gram.), jest więc początkowo niezamieszkałem na stałe. Czy i całe plemię ma także i punkt zborny, w którym się ześrodkowuje jego życie? Zależy to już od stadjum rozwoju, na jakiem się ono znajduje. Według autora gród tego rodu, który w plemieniu posiadał władzę, z pośród którego wybiera się wojewoda, zyskuje oczywiście na znaczeniu. Często też ów wojewoda zamieszkuje obok grodu, albo rzadziej w nim samym. Inne wszelako grody nie przestają obok niego istnieć. Z pośród grodzisk spotykanych na ziemiach polskich grodziska wielkopolskie, najlepiej zbadane, przedstawiają najwięcej analogji do pomorskich i wogóle do grodów Słowian połabskich. Liczba ich jest dosyć pokaźna: są między nimi drobne, trafiają się wszakże i znaczne, np. Grzybowo pod Gnieznem, Rudki, Przemęt, Śrem, Giecz. Spotyka się także dosyć częste grody podwójne, parzyste; w takich razach zazwyczaj jeden z owych parzystych grodów jest mniejszy. Poza Wielkopolską na Śląsku spotykamy w pobliżu Głogowa jeden ze znaczniejszych okopów w północnych Niemczech (Virchow), szkoda tylko, że nie wiadomo, z której pochodzi epoki. W rozmieszczeniu owych grodów Wielkopolski zanotować wypada, iż trzymają się one jezior, a przedewszystkiem większych rzek: Warty, Odry, Noteci, pilnują też brodów i przejść rzecznych, lub stoją na granicy plemienia

i państwa. W Małopolsce okopy i grody owe trzymają się również rzek, np.: Wisły, Raby, Dunajca, okalają granice południowe, oraz występują gęściej po stronie południowej i północnej pasma wyżyny Świętokrzyskiej, którędy według autora szła granica etniczna, a w XI i XII wieku za Krzywoustego i za Zbigniewa granica dzielnicowa... Są też grody i wewnątrz kraju, jak np. ów ogromnych rozmiarów okop w Stradowie, co do którego najnowsze badania dowiodły, że ma on również i ową warstwę grodziskową późniejszą.

Powstawanie państw słowiańskich, które prócz ruskiego wyłaniały się drogą ewolucji ze związków plemiennych, musiało wpłynąć na znaczenie i stanowisko owych dawnych grodów. Ponieważ państwo nie odrazu powstało i nie odrazu niweczy urządzenia, kosztem których samo się rozwija, przeto i owe grody dawniejsze zostają, powoli jednak tracą na znaczeniu. Nietylko to, następuje inne przeobrażenie: władza książęca opiera się głównie na drużynie. Tak było u Germanów, tak było i u Słowian. Drużyna w mniejszej lub większej liczbie pokazuje się wszędzie (np. owi praetoriani księcia Borny w Kroacji podczas jego walk z Ludewitem r. 819), wówczas znaczna część owych grodów tam, gdzie już np. niema dynastów, przemienia się na obozowiska owej drużyny książęcej. Na ten cel zużytkowywa książę obszerne grody dawniejsze lub sypie nowe. Do takich obozowisk należą przedewszystkiem okopy w Stradowie, zużytkowane może w czasach zajęcia Małopolski, podobnie okopy bardzo znacznych rozmiarów w Zawadzie koło Melsztyna, w Chełmie po Bochnią, wreszcie w Grodzisku koło Szczyrzyca. W Wielkopolsce znowu na takie obozowiska były zamienione okopy pod Gnieznem w Grzybowie, może w Rudkach. a prócz tego w Gieczu, Śremie i Przemęcie.....

2. O nazwie całej Polski i o nazwach jej części.

Państwo pierwszych historycznych Piastów — państwo Mieszka i Bolesława — z pewnością nie powstało i nie urosło odrazu, ale takie na nas robi wrażenie. Obcy, którzy o niem mówią, mówią już jako o państwie rozległem i potężnem, bo takiem też ono było w istocie. To państwo jednakże, choć się to na pozór może wydać dziwnem, nie

miało ustalonej nazwy. Pisarz arabski z X wieku, żyd Ibrahim ibn Jakób, wspomina o państwie Mieszka, które leży na północy, to samo czyni i ów własny akt darowizny Gniezna Stolicy Apostolskiej z końca X wieku. I syn Mieszka, Bolesław Wielki, jest dla obcych, a szczególniej dla dalszych, królem Slawonji, Slawji, tj. królem Słowian; tak występuje np. w żywocie św. Romualda i w żywocie pięciu braci Polaków z początków XI wieku; co więcej, jeden dokument cesarza Ottona III, spisany w Gnieźnie w roku 1000, podczas owego sławnego »gnieźnieńskiego zjazdu«, a więc w samej Polsce, nie wspomina o niej, ale mówi: działo się in Slavonia, tj. w Slawii, jakbyśmy dzisiaj powiedzieć mogli. Nic w tem nie masz dziwnego. I my dzisiaj możemy mówić i pisać np. o bogactwach jakiegoś indyjskiego radży bez bliższego określania podległego mu państwa, a przecież Indje—to kraj bardzo rozległy! Podobnie ówczesny wschód Europy, prawie cały pogański, napoły barbarzyński, a raczej zupełnie jeszcze barbarzyński, musiał się przedstawiać dla ludów zachodnich jako obszar jednostajny i nieokreślony. Z pośród tych obszarów nieznanych lub źle znanych zaczęły się powoli dopiero wyłaniać i tworzyć państwa, nic też dziwnego, jeżeli nie znali obcy ich nazw i używali nazwy znanej już, ogólnej, nie odczuwali też oni potrzeby bliższego określenia, jak później. — Inaczej już poczynali sobie najbliżsi sąsiedzi. Dobrze obznajmiony Titmar, biskup merseburski, w swej kronice mówi często o Mieszku, częściej jeszcze o jego potężnym następcy, Bolesławie, a zawsze jako o władcach Polaków lub Polski: Poleniorum i Poleniae, jak tekst mówi. Raz nawet wprost nazywa Bolesława Polenus, t. j. Polakiem, jakbyśmy i dzisiaj powiedzieli; drugi raz wprawdzie nazywa go, jakby z przyciskiem, a w każdym razie ze złością, Słowianinem. Jest to taksamo, a nawet więcej jeszcze naturalnem, jak początkowe nienazywanie Polski jej nazwą właściwą, lecz ogólną, jako słowiańskiego kraju. Sąsiedzi przecież zawsze wiedzą o sobie i więcej i lepiej, nazwa też zbyt obszerna, a zatem niejasna, żadną miarą wystarczyć im nie mogła. Istniało państwo polskie, bo istniał jego książę lub król; to najzupełniej wystarczało do na-

zywania Polską całego kraju, nad którym rozciągała się jego władza, na ile zaś i na jakie znowu części dzieliła się ona, to już sąsiadów mniej obchodziło — i o to mogli tylko przygodnie zaczepić i coś o tem powiedzieć.

Titmar merseburski, sąsiad zachodni, znał najbliżej i najlepiej Polskę właściwą. W Poznaniu i Gnieźnie siedział książę, a więc wśród plemiennego obszaru Polan, plemienia, które potrafiło późniejszą Polskę stworzyć, zjednoczyć i nazwę jej narzucić, nic więc dziwnego, że tę właśnie nazwę przejął i stale jej używał. Odpowiadała też ona rzeczywistemu stanowi rzeczy i istniejącym stosunkom. Jedynie z powodu najazdu cesarza Henryka III wspomina Titmar o Śląsku, dając mu nazwę pagus Silensis, co najprędzej jeszcze można tłumaczyć przez kraj lub ziemię Ślęzan. Mówi on o nich z powodu jednej z wypraw cesarza Henryka na państwo Bolesława, t. j. na Polskę. Margrabowie Gero i Herman oraz książę czeski Jaromir 1010 roku pustoszą Ślęzan i Dziadoszan, a w 1017 roku zapuszczają Niemcy cesarscy swe zagony in pago Silensi, t. j. w Wrocławskiem, w którem znajdował się gród Niemce (Nimptsch). Wie Titmar, dlaczego się ów pagus tak nazywał, a mianowicie od góry wysokiej, na której poganie odprawiali swoje obmierzłe Bogu obrzędy. Jest to późniejsza góra Sobótka, jeszcze w XII w. Śląską górą zwana. Podobnie jak Śląsk i Dziedoszan, nazywa kronikarz »pagus« kraj Ślepułów, Morzycan, Niżan czyli Niżowców, Łużyczan i innych. Jest to jeszcze dawne określenie na obszar plemienny. Ale ten obszar plemienny Ślęzan, jak się okazuje z kroniki Titmara, pierwotnie znacznym nie był, zajmował on tylko kawałek późniejszego Śląska, międzyrzecze Olawy i Bystrzycy, lub conajwyżej Nissy śląskiej i rzeki Kociej, lewych dopływów Odry. Jest to z pewnością Śląsk właściwy, w którym leżał i Wrocław, później naczelny gród całej prowincji.

Być może nazwa Śląska rozszerzyła się już dawniej na inne sąsiednie i pokrewne plemiona, dzięki pewnej przewadze owych Ślęzan, którzy na swoim obszarze mieli podobnie, jak Redarowie, choć mniej sławne i znane. ale zawsze czczone i bogom poświęcone miejsce, nie chcę powiedzieć: czczoną świątynię. Tak być mogło, tylko w każdym

razie powiedzieć trzeba, że wówczas, a nawet później jeszcze, nazwa Śląska na cały kraj nie była powszechnie przyjętą i »utartą«. Dowodzi tego przedewszystkiem czeski Kosmas, który mówi zawsze o Polsce (Polonia) i Polakach (Poloni), ile razy zaś zdarzy mu się mówić o Śląsku, graniczącym z Czechami, mówi o nim zawsze jako o Polsce. Mógłby ktoś jednak podnieść tutaj słuszny zarzut, że mówi on o nim jako o części państwa polskiego, a nie jako o samoistnym kraju, i że nazwa ogólniejsza usunęła nazwę bardziej miejscową. Być to bardzo może, ale nie w jednym wypadku, kiedy mianowicie opowiada, że książę Brzetysław oddał Śląsk 1054 roku Polakom — i wówczas bowiem mówi on o urbs Wratizlav i aliae civitates, a nie o Śląsku, jakby się spodziewać należało. Śląsk zaś raz tylko wymienia w słynnym przywileju biskupstwa praskiego, w samym zaś tekście kroniki nie mówi o nim, choć przez Śląsk Czechy z Polską graniczyły i choć Śląsk tak długo był polem zapasów obu tych młodych państw zachodnio-słowiańskich. I przywileje czeskie i morawskie z XII wieku mówią także o bronie polskiej, o drodze polskiej, nie zaś o śląskiej. Widocznie i tutaj nazwa narodu zagłuszyła nazwę plemienia, która dopiero później i to dosyć sporadycznie się ukazuje i niejako napowrót wypływa.

Kroniki węgierskiej z XI lub XII wieku nie mamy, ale mimo tego braku możemy stwierdzić, że już w początkach XIII wieku dokumenty, np. mając do czynienia z granicą Węgier od państwa polskiego, mówią zawsze o granicy od Polski, a nie od jakiejś jej części. Snać u Czechów i u Węgrów zarówno przeważał wzgląd na całość.

Nieco odmiennie, tj. na innych podstawach, przychodzi do wytworzenia się nazwy późniejszej Polski wśród sąsiadów wschodnich na Rusi. Znana kronika kijowska, którą dla krótkości nazywać będę kroniką Nestora, wspomina także często i późniejszych Polaków i zna dobrze państwo polskie, którego wpływ aż po Kijów sięgał. Nazywa ona Polaków stale Lachami, a na geograficzne, terytorjalne określenie Polski nie ma właściwej nazwy. Element etnograficzny widocznie wystąpił tutaj na pierwszy plan, być

może dlatego, że był pokrewny, w to zresztą bliżej nie wchodzę. Otóż nazwa Lachów czy Lęchów oznaczała dla Słowian wschodnich pierwotnie zachodni odłam ludów słowiańskich i tak też występuje ona jeszcze u tego samego Nestora, który wyraźnie do Lachów zalicza nietylko Polan i Mazowszan, ale także i Lutyków (a nie Łęczycan) i Pomorzan, oraz dwa zabłąkane na dalekim wschodzie plemiona Radymiczów i Wętyczów, wiodące także od Lachów swój początek. Najbliżsi jednak Rusi i najwięcej znani byli Lachowie, osiedli nad Wisłą, późniejsi Polacy. Z biegiem czasu nazwa Lachów ściągała się i kurczyła, aż wreszcie zaczęła oznaczać samych Polaków i ich państwo.

Tak już być musiało za pierwszych Piastów, a przedewszystkiem za obu Bolesławów, dobrze na Rusi znanych. — Jest to proces naturalny i łatwo dający się objaśnić. Nie potrzeba też przypisywać Nestorowi jakiejś wyjątkowo rozległej znajomości krajów i ludów słowiańskich, wystarcza do tego jedynie, aby wiedział, że za Lachami nad Wisłą byli jeszcze i inni, a że o tem wiedział, dowodzi już to, że znał Pomorzan, którzy do późniejszych Polaków się nie zaliczali.

Z tego, co już powiedziałem, wynika, że Nestor wiedział więcej od Titmara, swego zachodniego, starszego kolegi, wiedział zaś więcej dlatego, że był sam Słowianinem. Wprawdzie i Titmar wie, że Polska jest krajem słowiańskim, i wymienia Ślęzan, a raczej kraj przez nich zamieszkały, ale, zdaje się, nie bardzo zdaje sobie sprawę, że nazwa Polan oznaczała pierwotnie jedno tylko plemię, a nie kraj cały. Nestor zaś wyraźnie wymienia Polan jako jedno z lackich plemion, a prócz nich zna on jeszcze i drugie, a mianowicie Mazowszan, o czem przed chwilą wspomniałem. Wymienia on ich nietylko ten raz jeden przy opowieści o pochodzeniu i wędrówkach Słowian, ale po dwakroć jeszcze: raz mówi on pod rokiem 1041: »Szedł Jarosław na Mazowszany w łodziach« a następnie znowu pod rokiem 1047: „Jarosław szedł na Mazowszany i pokonał ich i zabił księcia ich Mojsława i upokorzył ich Kazimierzowi«. Dowiadujemy się więc ostatecznie od Nestora o dwóch polskich plemionach, Polanach

i Mazowszanach, dodawszy zaś do tego Titmarowych Ślązan, będziemy ich mieć trzy razem.

Tyle dają źródła historyczne obce, których autorowie patrzą na Polskę to z zachodu, to z południa, to wreszcie ze wschodu, ale zawsze od zewnątrz, jeśli tak powiedzieć wolno. — Pierwszym, który patrzał z samej Polski, od wewnątrz, był oczywiście Gallus, dlatego też jego wiadomości powinny być od innych bardziej szczegółowe.

Za czasów naszego kronikarza, który pisał w pierwszych latach XII wieku, istniało jeszcze państwo polskie bez dzielnic, istniał książę całej Polski, Bolesław Krzywousty, nic więc dziwnego, że i Gallus także mówi o Polsce jako o jednolitem państwie i że przedewszystkiem ma na uwadze państwo polskie, a nie poszczególne jego części[1].

Ta nazwa państwowa Polski zakrywa niejako nazwy innych plemion polskich, a przedewszystkiem nazwę samej Polski właściwej, dawnego kraju Polan. I później np. nie spotykamy się z nią w kronice Galla, nawet tam, gdzie, jak przy działach Zbigniewa i Bolesława Krzywoustego, nazwy jej spodziewaćby się należało. Gallus nie mówi, że Polska przypadła Zbigniewowi w udziale, ale określa on ją wymijająco, jeśli tak powiedzieć wolno, wspominając tylko, że Zbigniew wziął kraje bliższe Pomorzan i bliższe siedziby ojca, t. j. Mazowsza. Widocznie w jego rozumieniu Polska oznaczała państwo, jak dawniej, a nie jedną część jego. Prócz nazwy ogólnej wszakże ma Gallus jeszcze inne na oznaczenie różnych części państwa Bolesława Krzywoustego. Nazwy Polski wszelako w ścisłem znaczeniu, tj. odnoszącej się do późniejszej Wielkopolski, nie używa, a kiedy opowiada o księciu Popielu i o Piaście, mówi o Gnieźnie, mówi również w paru innych ustępach o grodach stołecznych tej dzielnicy: Poznaniu i także o Gnieźnie, ale nie o samym kraju. Natomiast wspomina często o Mazowszu, które bardzo wyraźnie odróżnia od reszty Polski. Pierwszy raz występuje w jego kronice ta nazwa z powodu tegoż samego buntu Masława, a raczej Mojsława, o którym i Nestor

[1] Tu brakuje dwóch stronnic rękopisu (str. 11 i 12), gdzie Potkański omawiał wiadomości Galla o Mazowszanach i Mazowszu, a następnie o Ślęzanach i Śląsku.

wspominał. Kraj zwie Gallus Mazowszem — Masowia — a mieszkańców Mazowszanami — Masovienses i Masovitae. I potem jeszcze to samo Mazowsze daje nieraz powód do wzmianek w Kronice. Zbigniew się buntuje, a po przegranej osadza go ojciec Władysław Herman na Mazowszu w zamku Sieciecha — to znowu oddaje mu zwycięski Bolesław Krzywousty w 1107 roku to samo Mazowsze jako dzielnicę. Wreszcie jest o niem mowa z powodu walk, które Bolesław z Pomorzanami bezustannie toczył, słowem występuje Mazowsze jako najbardziej samoistna i odrębna część Polski.

O innych dzielnicach Gallus wie bardzo mało. Nie wiele np. mówi o Śląsku, też prawie nie wspomina jego nazwy. Raz tylko jeden mówi o regio Zlesnensis, tj. o okolicach Śląska, a raczej o okolicach śląskich, jak tekst mówi[1].

Natomiast zna on inną nazwę na oznaczenie tej polskiej dzielnicy, a mianowicie nazywa on Śląsk, podobnie znowu jak Kosmas, od naczelnego grodu Wrocławia jakby prowincją wrocławską. Dwa razy nawet mówi o księstwie wrocławskiem »ducatus Wratislaviensis«, lub też bierze nazwę grodu »urbs Wratislaviensis« jako nazwę całego obszaru, który temu grodowi podlegał.

Ale Gallus nietylko o Śląsku i o Mazowszu wspomina. Jest mianowicie obszerna polska dzielnica, o której dotychczas niewiele można się było dowiedzieć; tą dzielnicą jest późniejsza Małopolska. Wiemy, że na jej obszarze mieszkali niegdyś Wiślanie, mógłby to więc być kraj Wiślan, ale się ta nazwa nie utrzymała, w czem atoli nie masz nic tak dziwnego. Nazwy fizjograficzne od gór, rzek etc. — jako mniej osobiste, mniej bezpośrednie, łatwiej mogą się zatracić. Sprzyja temu zresztą i sama ewolucja historyczna, a może raczej socjologiczna. Niektóre grody zyskują na znaczeniu z powodu silniejszego spajania się plemion i stają się naczelnemi grodami; one to właśnie narzucają im częstokroć swą nazwę. Coś podobnego stało się z krajem dawnych Wiślan. Kraków stał się takim grodem i narzucił swą nazwę co najmniej zachodniej części ich plemiennego ob-

[1] Oba ostatnie ustępy pochodzą z drugiej redakcji (Przyp. wyd.).

szaru; dla wschodniego podobną, choć mniej wybitną rolę objął Sandomierz, na drugi plan spychając Wiślicę, która kto wie, czy nie była najstarszą plemienną stolicą. — Taka przemiana nie jest nadzwyczajną ani jedyną. Podobnie np. plemię słowiańskie przybrało nazwę Bużan od rzeki Bugu, a następnie od naczelnego grodu Wołynia przezwało się Wołynianami. Takich przykładów możnaby więcej jeszcze zebrać i wyliczyć, ograniczam się tutaj tylko do tego jednego.

Można powiedzieć, że w dobie najstarszej, historycznej, która nas tutaj przedewszystkiem zajmuje, występuje Kraków nietylko jako nazwa samego grodu, ale także całej ziemi, późniejszej Małopolski. Pod tą nazwą zna już ją tylko ów słynny dokument biskupstwa praskiego z 1086 roku, w tej części współczesny, a nie wcześniejszy. Mówi on o grodzie Krakowie i o ziemiach jemu podległych — a które sięgały aż po Bug i Styr[1]. Są to oczywiście granice państwowe i dyecezjalne, ale mieszczą one w sobie całą Małopolskę właściwą, późniejszą ziemię krakowską wraz z sandomierską, o której przywilej wcale nie wspomina. Nie tak czyni nieco późniejszy Gallus. Zna on i Kraków i Sandomierz, ale także nie zna innej nazwy na całą tę część Polski, jak tylko tych dwóch grodów. Kiedy mianowicie schorzały stary Władysław Herman podzielił państwo między swych dwóch synów, Zbigniewa i Bolesława, Gallus mówi, że Bolesławowi dostał się Wrocław oraz Kraków i Sandomierz, sedes regni principales, królestwa przedniejsze grody czyli stolice, jakbyśmy mogli powiedzieć.

Innej nazwy na oznaczenie Małopolski nie zna także historyczny dokument, pochodzący z 1136 roku, a więc za całości jeszcze państwa polskiego. Odgadnąć łatwo, że mam tutaj na myśli bullę protekcyjną dla Gniezna. Podaje ona mianowicie szczegół dotąd nieznany, a ciekawy. Wiadomo, że bulla wylicza różne posiadłości arcybiskupa. Otóż między niemi są także i dobra małopolskie. Ale, rzecz ciekawa, aby bliżej określić ich położenie, ucieka się ona do nastę-

[1] Praca St. Zakrzewskiego, wykazująca, że Kraków i Styr tego dokumentu mogą leżeć na Słowaczyźnie przy dolnym biegu Wagu, ukazała się w Kwartalniku historycznym dopiero w 1916. (Przyp. wyd.).

pującego sposobu: przed wymienieniem nazw poszczególnych wiosek mówi ona: Item ville archiepiscopi circa Cracoviam, a więc dosłownie wsie arcybiskupie koło Krakowa, a dalej o jednej, jedynej wiosce, położonej w Sandomierskiem, mówi: ante castellum Sandomir, tj. pod grodem Sandomierzem. Tą wioską jest Manina, dzisiejsza Momina. Otóż zdawaćby się mogło, że wioski owe leżą istotnie »około Krakowa« i »pod Sandomierzem«, to znaczy w ich pobliżu, podobnie jak wioski w tejże bulli wymienione; np. koło Sieradza, Spicimierza lub Bytomia tymczasem wcale tak nie jest. Bliższe oznaczenie tych wiosek na mapie daje następujące rezultaty: wioski koło Krakowa są to wioski rozrzucone po całym obszarze ziemi krakowskiej, a nawet i po dawnym powiecie wiślickim, owa Manina zaś nie leży wcale tak blisko Sandomierza, jakby się zdawać mogło. Znajduje się ona koło Słupi, w pobliżu gór świętokrzyskich, od Sandomierza zaś jest odległa o jakie czterdzieści kilometrów; nie jest to więc bynajmniej bliskie sąsiedztwo! Wioski owe małopolskie arcybiskupa posłużą nam później do oznaczenia granic przedewszystkiem ziemi krakowskiej, teraz jednak stwierdzić już możemy fakt, że ogólnej, nazwy takiej, np. jak Kujawy, którą bulla zna, Małopolska podówczas nie miała, skoro jej bulla nie używa, co zresztą stwierdziły już w zupełności źródła kronikarskie.

Tyle mówią kronikarze i dokumenty o najdawniejszych nazwach Polski i różnych jej części.

Nazwa[1] Polski w ściślejszem znaczeniu wypływa dopiero przy podziałach synów Bolesława Krzywoustego, a raczej w jakiś czas dopiero po tychże działach. Mistrz Wincenty, który wszystkie szczegóły, wszystkie prawie fakta gubi w swej zwykłej frazeologji i niepotrzebnem uczonem gadulstwie, używa jeszcze wyrazu Polonia, tak, jak i wyrazu nowego, który sam ukuł, owej Lechji, na oznaczenie państwa, a nie jego jednej prowincji. Nie wspomina on nigdzie zresztą dokładniej o działach synów Krzywoustego, bo dokładność i kronika Mistrza Wincentego to—dwa pojęcia,

[1] Odtąd tekst aż do końca rozdziału pochodzi z innej, zdaje się wcześniejszej redakcji, odrębną własną paginacją oznaczonej. (Przyp wyd.).

które się z sobą nigdy nie spotkały. Późniejsza znaczniej Kronika Wielkopolska i Kronika Śląska Książąt Polskich, mówiąc o dziale Mieszka, wymieniają także tylko najznaczniejsze grody wielkopolskie: Poznań, Gniezno, Kalisz, nie wspominając o Polsce. Ale ich sposób wyrażania się i wiadomości niewiele nas obchodzą, mamy bowiem wcześniejsze od nich i wiarogodniejsze źródła, które wszystkie bardzo jasno i wyraźnie dowodzą, że nazwa Polski odnosiła się do późniejszej Wielkopolski. Te źródła — to roczniki i dyplomata, których mamy pod dostatkiem. Przedewszystkiem już synowie Mieszka Starego, Odo i Władysław Odonicz w pierwszej połowie XIII wieku bardzo często tytułują się sami »duces poloniae«, książętami Polskimi, a także ich tak tytułują, np. rocznik kapituły poznańskiej pod r. 1239 zapisał śmierć Władysława Odonicza jako księcia Polski. Tytuły takie, jak dux de Calis, dux Gnesnensis t. j. książę kaliski lub gnieźnieński, pojawiają się rzadziej, a w każdym razie występują one raczej na drugiem miejscu po tytule wziętym od dzielnicy jako tytuły urobione od grodów, więc od Kalisza i Gniezna w tym razie. Co ciekawsze, kiedy w r. 1234 stanęła ugoda między Władysławem Odoniczem a Henrykiem Śląskim [1] i obaj książęta przystąpili do podziału Wielkopolski, Władysław odstąpił po Wartę ziemię, que speciali nomine dicitur Polonia, a więc nie można już było lepiej i ściślej określić jej nazwy, jak tylko mówiąc, że się »specjalnie«, właściwie Polską nazywa. Była to więc Polska w ściślejszem znaczeniu tego wyrazu. Pojęcie to powstaje i rozwija się kosztem pojęcia państwa polskiego, które coraz więcej schodzi na bok. Mówi się jeszcze o Polsce w XIII wieku, kiedy np. cesarz robi na nią wyprawę, lub zjeżdża do niej legat papieski, albo ją Tatarzy pustoszą. Przybiera też tytuł arcybiskupa Polski, a nawet Polaków, arcybiskup Gnieznieński Jan, a także słynny Henryk Kietlicz [2] i jego następca Wincenty [3], i słusznie, bo jeżeli kto, to oni byli przedstawicielami całego polskiego kościoła, który niepodzielną prowincję stanowił bez względu na dzielnice. Tak samo jak upadek idei państwowej polskiej spowodo-

[1] Kod. Wpl. I nr. 168. [2] Kod. Wpl. I nr. 64 r. 1209, nr. 83 r. 1214 i t. d. [3] Kod. Wpl. I nr. 118 r. 1225.

wał, że dawna nazwa etnograficzna Polski odżyła na nowo, tak znowu wzgląd, że mimo wszystkiego przecież pojęcie Polski jako całości zniknąć zupełnie nie mogło, wyłoniła się nowa zupełnie nazwa, a mianowicie ta, którą do dziś dnia znamy i której używamy: nazwa Wielkopolski. Polonia major — Polska większa — zjawia się po raz pierwszy w połowie XIII wieku. Synowie Władysława Odonicza, książęta Bolesław i Przemysł I., poczynają jej używać, ale bardzo rzadko[1] i, co rzecz ważna, nigdy na pieczęciach. Można to obliczyć: na przeszło 170 ich przywilejów tylko w 26 występują oni z tytułem: dux Poloniae maioris, a jeszcze rzadkiej używają tytułu od grodów Poznania lub Gniezna. Można też powiedzieć: w każdym razie przeważa tytuł ogólny książę Polski, a ów tytuł nowy księcia wielkopolskiego pojawia się tylko zrzadka i nie ma powszechnego uznania. Potwierdza to aż nadto i rocznik kapituły poznańskiej, obu tym książętom współczesny. Ani razu nie spotykamy się tam z tytułem księcia wielkopolskiego, tytułem zwyczajnym jest dux Poloniae i ten się powtarza wielekroć razy. Inaczej się rzeczy mają w rocznikach krakowskich, tam nie rzadko spotkać się można z tytułem: dux Maioris Poloniae, książę Wielkopolski, a nawet już przed rokiem 1192 zapisał autor rocznika, że Mieszko, książę gnieźnieński, chciał zająć Kraków; i później, kiedy mówi o jego wnukach, o Przemyśle i Bolesławie, to tytułuje ich książętami Polski albo Wielkopolski. W umowie zaś Bolesława Wstydliwego z Otokarem Czeskim z roku 1277 wspomniany jest Bolesław nie jako książę Polski, ale jako wielkopolski. Takie stosunki ciągną się i dalej przez cały wiek XIII, są jeszcze w pełnem użyciu w XIV wieku, a nawet i w pierwszej połowie następnego nazwa Wielkopolski nie ruguje bynajmniej starszej nazwy Polski. Mamy dużo dokumentów Przemysła II, a tylko w bardzo niewielu tytułuje się on księciem Wielkopolski, być zaś może, iż nie wszystkie wśród nich są autentyczne, jest on też królem Polski, rex Poloniae, jako

[1] Kod. Wpl. nr. 232 r. 1242, nr. 355 r. 1258, nr. 359 i 363 r. 1257, nr. 364, 366, 368, 371, 372, 375—8 r. 1259 i t. d. Wogóle ks. Bolesław Pobożny figuruje na 18 dok. oryg. i 7 kopiach lub transumptach jako dux Maioris Polonie, a Przemyśl tylko 2 razy.

powszechnie wiadomo. Przywileje Władysława Łokietka z pierwszych jego w Wielkopolsce rządów częściej także mają zwykły tytuł księcia polskiego. Tylko znowuż pamiętają o nim sąsiedzi: w roku 1290 Henryk, książę Wrocławski, zapisuje ziemię krakowską i sandomierską Przemysłowi, księciu Wielkopolski[1], a król Albrecht w roku 1300 nadaje w lenno Wacławowi posiadłości Władysława Łokietka, księcia Wielkopolski, a nie polskiego[2], jak się jeszcze zwykle mówiło. Pierwszym znanym mi dokumentem, w którym sami Wielkopolanie tak się nazywają, jest akt konfederacji, zawiązanej w Radomsku w r. 1382 za córkami króla Ludwika. Znajduje się tam zwrot taki: Nobiles milites totaque communitas Maioris Poloniae, co można tłumaczyć przez: szlachta i rycerstwo i cały ogół obywateli Wielkopolski. Jest to jednak tylko jeden przykład. Odrodzenie Pólski za Władysława Łokietka i wznowienie tytułu króla polskiego wznowiło ideę państwową polską, ale nie mogło usunąć zupełnie starej nazwy Polski na dzielnicę wielkopolską. Ciekawem jest, że jeszcze Kazimierz Wielki używał nazwy Poloniae w tem ciaśniejszem, etnograficznem znaczeniu. Współczesny Kazimierzowi i czasom Ludwika Jan z Czarnkowa używa także nazwy Maior Polonia i Magna Polonia, ale niezawsze, częściej i u niego spotyka się po dawnemu Polonia, t. j. Polska etnograficzna, słowem Wielkopolska. Jeszcze pod sam koniec XIV wieku w księgach sądowych gnieźnieńskich i poznańskich starosta wielkopolski bardzo często tytułuje się starostą polskim, a nie wielkopolskim. I w pierwszych latach XV wieku można się znowu spotkać z takiem określeniem czyjegoś pochodzenia, jak de Polonia, t. j. z Polski w znaczeniu Wielkopolski. Dopiero za panowania Kazimierza Jagiellończyka w połowie XV wieku nazwa Wielkopolski staje się częstsza i wchodzi zupełnie w użycie, rugując dawniejszą. Ścierają się też podówczas ostatecznie i gubią ślady Polski dzielnicowej.

Skoro była Polska w znaczeniu ściślejszem, etnograficznem, musieli być oczywiście i Polacy, brani w temże

[1] Kod. Wpl. II nr. 641 r. 1290.
[2] Kod. Wpl. II nr. 832.

znaczeniu, to znaczy: Wielkopolanie byli uważani za Polaków par excellence. Tak było istotnie. Tenże sam rocznik kapituły poznańskiej opowiada wielekroć razy o milites Poloniae, to jest o polskiem rycerstwie, które wyprowadzali w pole Bolesław Pobożny i obydwaj Przemysławowie wielkopolscy. Czasem, choć zrzadka, występuje i tytuł: dux Polonorum — książę Polaków, w owem ściślejszem znaczeniu. Używał go już Władysław Odonicz, o jego zaś synu i następcy, Bolesławie, rocznik krakowski mówi także jako o dux Polonorum, t. j. o księciu Polaków (r. 1259). Rocznik Traski wreszcie, zapisując śmierć króla Przemysła, opowiada, co następuje: »Roku 1296 8 lutego król Wielkiej Polski Przemysł zabity został sromotnie przez swoje rycerstwo, t. j. przez Polaków«[1], i w tym wypadku ma rocznikarz na myśli rycerstwo wielkopolskie, a nie polskie, jakby się na pierwszy rzut oka zdawać mogło. Ogólnie jednak biorąc, nazwa Polaka na Wielkopolanina rzadziej się w źródłach spotyka. Sądzę, że była ona rzadszą nietylko w źródłach, ale i w rzeczywistości.

Nazwa Polski pozostała zawsze bardziej topograficzną i była więcej przywiązaną do ziemi, niż do ludzi. Sprawił to przedewszystkiem fakt, że obok Polaków, t. j. Wielkopolan, mieszkali w innych dzielnicach także ludzie mówiący tym samym, t. j. polskim językiem, wskutek tego w różnych przywilejach i nadaniach XIII wieku Polakiem zwie się nietylko ten, który jest Wielkopolaninem, ale i ten, który mówi po polsku.

Sama nazwa Polski przechodziła różne koleje, oznaczała pierwotnie, jak widzieliśmy, plemię Polan, później państwo pierwszych Piastów, to znów dzielnicę Wielkopolską i znów napowrót państwo polskie. Sam obszar plemienny, t. j. sam kraj, który Polacy zajmowali, nie mógł się rozszerzać ani kurczyć, pozostał długo takim, jakim był pierwotnie. W niniejszem badaniu chodzi o odszukanie jego pierwotnych granic.

Rozszerzenie się nazwy Polski na całe państwo jest związane z polityczną historją i w niniejszych badaniach

[1] Mon. Pol. hist. t. II str. 853.

nie może być przydatne. Pozostaje więc pierwotny obszar plemienia Polan i dzielnica wielkopolska. Z tych dwóch faktów pierwszy jest bezpośrednio nieznany, chodzi więc o to, aby módz z Wielkopolski odtworzyć obszar plemienny o ile można dokładnie. Dzielnica wielkopolska z natury rzeczy musi stać w bliższym związku z obszarem plemiennym. W ciągu niniejszej pracy okaże się, że istotnie dzielnica, i to tak dobrze wielkopolska, jak i każda inna, odpowiada plemieniu więcej, niż w innych krajach słowiańskich, gdzie, jak np. w Rosji, ziemia nie zawsze i nie wszędzie zajmuje dawne plemienne terytorjum. Dzięki tej właśnie ciągłości będzie to możliwe. Pomogą też bardzo i ułatwią zadanie granice diecezjalne, nieraz starsze, a zawsze stalsze, wreszcie fizjografja i etnologja, o ile ją będzie można stosować, dopełnią reszty obrazu. Oczywiście nie zawsze i nie wszędzie te trzy elementy pokryją się zupełnie dokładnie, ale to już nieodłączna trudność tego rodzaju badań, gdzie z drobnych kawałków metodą wsteczną trzeba składać całość.

3. Związek organizacji grodowej z pierwotnym ustrojem plemienno-rodowym.

Niejednokrotnie historyk musi się zapożyczać od źródeł późniejszych, aby się więcej i dokładniej o pewnej kwestji dowiedzieć. I ja jestem obecnie w takiem położeniu. Wszystko, czego się można więcej dowiedzieć o polskich plemionach, polega właściwie na wiadomościach zapożyczonych ze źródeł następującej epoki. Na szczęście dla naszej kwestji, ale na nieszczęście dla historycznego rozwoju Polski, rozpoczyna się po śmierci Krzywoustego epoka, w której dzielnice występują na pierwszy plan, a państwo cofa się coraz bardziej na ostatni. Polska, spojona z różnych części za pierwszych Piastów, rozkleja się teraz, jeśli tak powiedzieć wolno, aby się znowu drugi raz spoić i złączyć, ale dopiero po ciężkich przejściach i po ciężkiej, blisko dwuchsetletniej walce.

Dzielnice, które, jak powiedziałem, występują na pierwszy plan po śmierci Bolesława Krzywoustego, a które pojawiają się i wcześniej, są spadkobiercami pierwotnych

plemiennych obszarów, lecz spadkobiercami dalszymi. Nic w historji nie tkwi na jednem miejscu i nic dla wygody historyka nie kostnieje oraz nie staje się martwem i niezmiennem. Jest to prawda znana, ale właśnie takie znane prawdy nie zawsze się stosuje w praktyce, dobrze więc jest je przypomnieć. Fakt, że przez lat blisko dwieście istniało państwo polskie, nie przeszedł bez śladu. Państwo to nie zwróciło już tychsamych plemion, które kiedyś wzięło. Uległy one wszystkie dalszym nieuchronnym przemianom i przeobrażeniom. Objęło je też państwo i wcieliło także już na pewnem, jak to zobaczymy niebawem, dość późnem stadjum rozwoju. Aby się w tem wszystkiem zorjentować, trzeba będzie powiedzieć słów kilka o samym ustroju plemiennym, tj. o jego podstawach, o zasadach; ułatwi to ocenę tych przemian, a tem samem pomoże do bliższego określenia i ujęcia wyników niniejszego badania. Takie bowiem wyrazy, jak plemię, ród etc., z natury swojej są nie dość ścisłe i mogą zarówno oznaczać np. plemię na pierwszych stopniach rozwoju, jak i na ostatnich.

Różne są w socjologji teorje powstawania społeczeństw ludzkich. Wybieram tutaj najprostsze i najpowszechniej przyjęte, utarte, jeśli tak powiedzieć wolno, są też one, jak sądzę, i najbliższe prawdy.

Pierwotne związki ludzi między sobą były (a są nawet po dziś dzień) związkami krwi i związkami terytorjalnemi, są to jakoby dwie różne strony jednego i tegosamego zjawiska. Stosunek wzajemny i wzajemne oddziaływanie pierwiastku rodowego i terytorjalnego w różnych epokach są różne i różnie się też przejawiają. Przyjąć jednak można, że, im dalej wstecz (przynajmniej aż do pewnej granicy rozwoju społecznego), pierwiastek rodowy przeważa, w dobie późniejszej element terytorjalny zyskuje na sile. Ród u rozmaitych ludów rozmaicie się organizuje i rozmaicie nazywa.

Wspólne pochodzenie, a raczej tradycja wspólnego pochodzenia i jednakie, a przynajmniej podobne cechy fizjograficzne zajmowanego obszaru przez pewną ilość owych rodów, stanowiło plemię. Plemię więc niczem innem nie jest, jak związkiem większej lub mniejszej liczby rodów stosownie

do jego siły i znaczenia. Ale o sile plemienia nietylko stanowiła liczba, tak jak i dzisiaj np. o sile pewnego narodu nie stanowi jedynie liczba ludzi, którzy do niego należą. Jest ona bardzo ważnym czynnikiem, ale nie jedynym i nie wyłącznym; siłę tę normuje również i jego organizacja. Podobnie się rzeczy miały z plemieniem. Prócz liczby rodów także rodzaj związku, który istniał między niemi a plemieniem, stanowił o jego sile, tj. o jego spójni, a, co za tem idzie, i o jego jednolitości i organizacji. Tego z oczu tracić nie należy. W różnych epokach różnie się ten związek przejawiał. Przyjąć należy, że w tej, o którą nam chodzi, tj. w dobie poprzedzającej bezpośrednio utworzenie się państwa polskiego, związek ten był już dosyć silnym. Przejawiał się on podwójnie. Zamiast dawnego związku krwi wystąpił nowy niejako czynnik: czynnik władzy panującego, tj. w tym wypadku władzy księcia. Jest on dalszem rozwinięciem, fikcyjnem lub rzeczywistem, związku krwi. Naczelnik, patrjarcha rodu, a raczej paru lub nawet kilku rodów (bo rody się ciągle tworzą, dzielą i jednoczą), zyskuje na znaczeniu, władza jego z rodowej, czysto patrjarchalnej, staje się władzą panującego. Władza ta podszywa się, jeśli wolno tak powiedzieć, pierwotnie pod pojęcie władzy patrjarchalnej. O bliższe zresztą określenie tej ciekawej a trudnej do ujęcia przemiany nie chodzi. Wystarczy stwierdzić, że i wśród późniejszych polskich plemion, tak jak i wśród Słowian zaodrzańskich z VIII—X wieku, potworzyły się już wśród dosyć jeszcze jednostajnej organizacji plemiennej takie silniejsze plemiona z władzą — dla krótkości nazwijmy ją władzą księcia. Takich ludów u Słowian zaodrzańskich było kilka, że tu wspomnę[1] Weletów, którzy już w końcu VIII w. mają nad książętami plemiennymi wielkiego księcia, choć później przeważa luźny u nich związek plemienny pod przewodnictwem Redarów, oraz plemię Obotrytów, u których wielcy książęta, oparci na drużynie własnej i na obcej pomocy, zdobywali silną władzę.

[1] Tutaj w rękopisie (str. 23) jest luka na 10 wierszy; reszta tego ustępu dodana przez wydawcę.

Wśród Słowian polskich mamy jedno takie plemię i jedną dynastję, a mianowicie Piastów. Ona to stworzyła późniejsze państwo polskie. Inne plemiona mogły nie dojść jeszcze do tego stopnia organizacji, bo rozwój ten wśród różnych plemion tutaj wcale nie był równomiernym, t. zn. obok plemion o typie wyższym mogły się znajdować i plemiona o typie niższym, pierwotniejszym (np. Radymicze). Ta nierównomierność ułatwiała nawet w znacznej mierze tworzenie się pierwszych państw słowiańskich na całym obszarze, który ten szczep zajmował, podobne bowiem stosunki odnaleźć łatwo wśród plemion ruskich na dalszym i dalekim wschodzie.

Podobnie, jak w obrębie związków krwi, zamiast luźnej władzy ojców rodzin i naczelników rodowych występuje w dobie plemiennej, późniejszej, władza książęca, tak znowu w obrębie związków terytorjalnych występuje na pierwszy plan gród i organizacja grodowa. Jest ona poniekąd odbiciem terytorjalnem owej pierwszej przemiany, dla nas pierwszorzędnego znaczenia. Przypuścić trzeba i należy, że już w starszej dobie plemiennej, kiedy to plemiona były luźne a drobne, istniały zaczątki grodów w Polsce, t. z. czoła opoli. Każdy ród, a przypominam, że po parę a nawet kilka rodów mogło tworzyć opole, każde zaś opole miało swoje miejsce obronne, miejsce, gdzie się odbywały wspólne wiece i nieliczne wspólne obrzędy religijne. Otóż wskutek przewagi jednego związku rodowego czoło jego opola mogło się przemieniać na gród. Przemiana taka mogła być nieznaczną. Różnica między grodem a opolem jest czysto ilościowa, jeśli tak powiedzieć wolno. Gród stawał się obronniejszym, a przytem więcej centralnym, środkowym punktem związku, wynikało to już zresztą z tego, że i ów związek się rozrastał i skupiał koło jednej osoby, a więc i około jednego miejsca. Jedna organizacja powoli wyłaniała się z drugiej i wskutek tego jedna nie znosiła drugiej. Prócz grodu istniały i dalej czoła pojedynczych opoli, ale on sam rósł powoli w znaczenie i siłę tak, że zdarzać się mogło i istotnie zdarzało, że gród narzucał nawet nazwę całym plemionom, i to nietylko mniejszym, ale i większym, które się znowu, jak wiemy, z kilku pomniejszych składać mogły

Zamieńmy mniej znane określenie i mniej znany wyraz: gród, wyrazem dobrze nam znanym: miasto. Otóż takie pojęcie, jak miasto, mieści w sobie dosyć szeroką skalę, są przecież większe i mniejsze miasta, stolice i miasteczka. Otóż coś podobnego było i przy grodach. Bywały znaczniejsze i mniej znaczne grody, podobnie jak były znaczniejsze i mniej znaczne plemiona, których one były naczelnemi grodami.

*Ogólne [1] pojęcie plemienia nie może wystarczyć. Trzeba posunąć się dalej w głąb i zbadać jego najstarsze wewnętrzne podziały. Ten krok jest bardzo ważny, bo ustalenie tych pojęć ma znaczenie dla wszystkich plemion i dzielnic. Oczywiście temi terytorjalnemi częściami plemienia mogą być tylko jakieś związki społeczne, jest ich zaś tylko dwa w epoce poprzedzającej najstarszą polską historję, a mianowicie: ród i rodzina. Związki te może nam odsłonić nie sama już historja, ale socjologja, która bada wewnętrzne stosunki społeczne, ich formy i ewolucję.

W krótkości można te związki tak scharakteryzować. Ród nie był zbyt obszernym, dzielił się zaś na pojedyncze rodziny, niezbyt znowu liczne; ojciec i paru dorosłych synów – oto z kogo się one składały. W niniejszej pracy nie chodzi mi o organizację ani rodu ani rodziny, ale o to, jakie było oddziaływanie ich na powierzchnię kraju. Otóż tą formą terytorjalną, która odpowiada rodzinie, było parę lub kilka zazwyczaj rozrzuconych jednodworczych siedzib, słowem wioska, odbiciem zaś rodu było opole i gród. Odbicie to jednak nie jest wcale tak prostem i bezpośredniem, jak pierwsze. Aby go zbadać, należy się przedewszystkiem dowiedzieć, co oznacza opole, a co gród, i jaki jest ich wzajemny stosunek, oraz stosunek do rodu. Otóż sądzę, że tak się rzeczy miały: opole i gród pierwotnie były niejako terytorjalnem odbiciem rodu.

[1] Tekst oznaczony gwiazdkami (*) (aż do str. 416) pochodzi z drugiej redakcji i wskutek tego nie zgadza się ściśle z poprzedniemi ustępami, przedstawiającemi innemi słowami i nieco zwięźlej te same sprawy, jednak nie wydawało mi się niezbędne przeprowadzanie dokładnego uzgodnienia. (Przyp. wyd.).

Utożsamienie takie opola i grodu z rodem nie jest dowolną dedukcją socjologiczną, ale dość ściśle stwierdzonym faktem historycznym. Że pierwotnie opole zamieszkiwał jeden ród, dowodzi między innemi odpowiedzialność karna opoli i późniejsze grzywny sądowe nakładane na całe opola. Są one niczem innem, jak tylko pozostałością czasów, kiedy opole zamieszkiwał jeden ród; albo przyjmował krwawą zemstę albo składał okup za zbrodnię popełnioną na członku innego jakiegoś związku rodowego. Tak było gdzieindziej i niema powodu przypuszczać, że u nas rozwój tych stosunków był odmienny. Rodowe takie opola nie były między sobą ściśle rozgraniczone, jak np. dzisiejsze gminy lub powiaty, zbyt bowiem podówczas było dużo pustej ziemi, ale w każdym razie zajmowały one mniej lub więcej odrębną część plemiennego obszaru, czego dowodzi i późniejsza ich nazwa łacińska »vicinia«, t, j. okolica, jakby można przetłumaczyć.

Ostatecznie więc nazwa opola oznaczała cały obszar, podobnie jak dzisiaj nazwy: powiat, gmina oznaczają także cały jakiś obszar — tylko ściślejszemi granicami objęty.

Pierwotnie każde opole posiadało zazwyczaj jedno tylko miejsce, gdzie się chroniła ludność przed nieprzyjacielem w czasie wojny i gdzie się także odbywały w czasie pokoju wspólne narady i wiece, a może i wspólne obrzędy religijne: tem miejscem był gród. W przeciwstawieniu więc do opola gród oznaczał jeden jego punkt, i to zawsze punkt obronny. Można więc ostatecznie powiedzieć, że odbiciem terytorjalnem rodu były: opole i gród zarazem; pierwsze, jeśli chodziło o całość zajmowanego obszaru, drugi, jeśli chodziło o najważniejszy jego punkt, o stolicę, jeżeli tak powiedzieć wolno.

Ponieważ u Słowian ród nie był obszerny, wskutek tego rodów było bardzo dużo, a każdemu z nich odpowiadał gród. Wiemy skądinąd, że na obszarze zajmowanym przez Słowian grodów było bardzo wiele, tak, że to mogło nadać mu odrębny charakter. Skandynawowie np. ziemie Słowian nazywali krainą bogatą w grody.

Mamy nawet wyliczone owe grody w końcu IX wieku. Tak zwany Geograf Bawarski przy wyliczaniu plemion sło-

słowiańskich wylicza również ich grody. Są to owe civitates, które nie oznaczają u niego miast, ale warownie, miejsca obronne. Oczywiście daleki jestem od przywiązywania wielkiej wagi do wszystkich liczb, jakie on podaje; są to bowiem tylko przybliżone cyfry, dają też przybliżone pojęcie o ilości takich miejsc obronnych. Niektóre plemiona mają ich po 100, 200 i więcej, niektóre mają po kilkadziesiąt, najmniej już po kilkanaście. Geograf Bawarski nie jest świadectwem odosobnionem, potwierdza jego opowieść i archeologja, wykazując znaczną ilość takich grodów, zwanych zazwyczaj »szwedzkiemi szańcami«, na ziemiach Słowian zachodnich, np. na Łużycach i na Pomorzu, a także u Słowian wschodnich, gdzie są one niemniej może liczne.

Organizacja tych grodów — rodowa, jak ją nazwać można, łączy się, jeżeli nie z powstaniem, to w każdym razie z silniejszem utwierdzeniem władzy patrjarchów — czyli naczelników rodowych. Stali oni na czele każdego rodu. Źródła współczesne nazywają ich czasem primores, wielmożami, albo reguli, królikami, ale najczęściej nazywają ich podobnie, jak książąt plemiennych, duces, co już dowodzi większego ich znaczenia.

O północnych Obotrytach np. tenże sam Geograf Bawarski wyraźnie mówi, iż grody tego plemienia w liczbie 53 są między książąt podzielone. W Czechach widzimy w tym samym czasie, t. j. w IX w., możniejszych 14 książąt i — co dziwne — jest tam później 13 żup oddzielnych z grodami. Tenże sam Geograf Bawarski mówi, że Czechy mają 15 grodów. Wątpię, aby to był tylko prosty zbieg okoliczności. Widoczny jest tutaj związek żupy i grodu z władzą potężnych naczelników rodowych, owych książąt. Podobny związek między grodem, opolem a patrjarchą rodowym musiał też istnieć i w Polsce, ale nie trwał już długo. Tyle razy już wzmiankowany Geograf Bawarski mówi o 15 grodach Ślęzan i 20 grodach Opolan, niestety nie zna on już innych plemion polskich, prócz Wiślan, przy których jednakże nie wymienia liczby grodów. Dwa te plemiona jednak, Ślęzanie i Opolanie, uprawniają do wniosku, że i w Polsce plemiona dzieliły się na rody i związki rodowe i że każdy związek taki musiał mieć swego dynastę. Stwierdzenie tego faktu

prowadzi do dalszego wniosku, o który w niniejszej pracy przedewszystkiem chodzi, a mianowicie, że skoro tak było, musiał i obszar plemienny dzielić się na obszary rodowe.

Wiemy już o istnieniu książąt plemiennych w VII i VIII w., najprzód czasowo wybieranych, później i dziedzicznych, stałych. Są oni ostatnim krańcem budowy. Kilka kondygnacyj prowadzi na jej szczyt. Silniejsze rody zyskują przewagę nad innemi i, choć luźnie, łączą je i spajają pod naczelnictwem owych primores, duces, t. j. możniejszych patrjarchów. Z tych związków powstają szersze, znane nam już pod władzą książąt plemiennych. Ewolucja socjalna idzie tu krok za krokiem i żadnego szczebla nie opuszcza. Przestrzennie wyrażała się ta ewolucja w zrywaniu owego prostego związku między grodem a opolem i organizacją rodową. W wielu razach liczba grodów rodowych ulegała zmniejszeniu, i tak obszary rodowe zlewały się w obszar jednej ziemi. Tak powstawało państwo. Z tego procesu, trwającego całe wieki, nie wiele nas doszło.

Państwo ukazuje się w historji prawie jak na scenie — nagle. Jedno imię, jedna data jest jakby datą jego powstania, np. w Polsce chrzest Mieszka w 965 r. Wiemy jednak, że tak nie było. Młode takie i świeże państwo objęło tylko i prowadziło dalej rozwój społeczny. Ale w każdym razie stało się jedno: zmienia się gra czynników. Państwo przeważa teraz i wkracza w dawne stosunki, jego wpływ staje się przemożnym.

Co na obszarze Polski zostawiło ono z rodowo-grodowego ustroju plemienego — oto pierwsze teraz pytanie. Proces zjednoczenia był bardzo powolny i długi, przechodził różne stopnie i fazy. Jednoczyły się najpierw rody pojedyncze. Ich związki tworzyły między sobą dalsze szersze federacje plemienne rozmaitego stopnia i siły. Taki proces, długi i powolny, nie mógł zacierać bardzo stanów poprzednich, zmienia je tylko i przystosowuje. Ponieważ zaś ustrój grodowo-rodowy był tym ustrojem, z którego w ciągu długiej ewolucji ze współudziałem obcych postronnych czynników wyłoniło się państwo, więc też łatwo powiedzieć, że tak, jak plemię pod zmienioną tylko formą żyło jeszcze dłużej, tak samo i ród nie przestał istnieć po ostatecznem skon-

solidowaniu się państwa. Istotnie tak było. Dzielnica odpowiada plemieniu, kasztelanja zaś książęca najbliższą jest jeszcze grodowi. A ród? I on nie przestał także istnieć — tylko istnieje inaczej. W niniejszej pracy obchodzą mnie terytorjalne kasztelanje przedewszystkiem. *.

Badania moje są przedewszystkiem badaniami terytorjalnemi, główny też nacisk położyć na nie trzeba, nie na związki krwi, nie na stronę politycznego ustroju najstarszych państw słowiańskich, nie na ich genezę, lecz na stronę terytorjalną ewolucji, jeśli tak powiedzieć wolno, a więc na organizację opolną, a przedewszystkiem grodową, bo ona jedna zostaje w bezpośrednim związku z terytorjalnem rozmieszczeniem się polskich plemion, z ich obszarem i kolonizacją.

Znamy zaledwie kilka opoli w Wielkopolsce, żadnego zaś na Mazowszu i z innych dzielnic Polski, zbyt więc mało o nich wiemy, aby coś o nich więcej powiedzieć. Znaną jest jest też rozciągłość jedynie jednego opola chojnickiego pod Poznaniem, i to z czasów późniejszych, bo z końca XIV wieku. Mieści ono w sobie znaczną liczbę czterdziestu wiosek, wyciągać jednak z tego jednego przykładu jakieś ogólniejsze wnioski jest bardzo trudno. Jest to jeden tylko przykład, i to z epoki bądź co bądź już późniejszej; mógł to być wyjątek. Z tych zaś wiadomości ogólnych, o ciężarach opolnych np., wnosićby nawet można, że opola były mniejsze od późniejszych obszarów grodów kasztelańskich i że na kasztelanję mogło się składać po parę, a nawet i więcej opoli.

Co do samych grodów, to o nich posiadamy daleko więcej wiadomości, prawda, że również z czasów późniejszych, ale, zestawiając porównanie różnych wzmianek między sobą, możemy dojść do pełniejszych wyników. Wyglądały one tak, jak inne grody słowiańskie, owe »civitates« Geografa Bawarskiego z IX wieku. Celem ich była obrona, a więc leżały one w miejscach dobrze zabezpieczonych przed najściem swoich i obcych, bo nie zapominajmy, w owych czasach różne plemiona, a nawet różne rody, należące do jednego i tego samego plemienia, prowadziły często między sobą wojny. U nas leżą one zazwyczaj wśród bagien, a cza-

sem na wyspach rzecznych lub na wyspach jezior, na kolistych zwykle nasypach ziemnych. Są też dowody, że tak mniej więcej wyglądały grody Słowian zaodrzańskich, a także i Czechów, pod tym więc względem nie stanowiły one wyjątku, jak się zresztą można było spodziewać. Obszar należący do różnych grodów bywał różny, stosownie do znaczenia grodu; wiemy, że to znaczenie było różne, obszar jednak bezpośrednio z grodem związany, bezpośrednio poddany jego władzy, aczkolwiek znaczniejszy, niż obszar opola, bardzo znaczny nie był. Przykłady, które podam w ciągu niniejszej pracy, dostatecznie to wykażą. Czy jednak gród był większy czy mniejszy, w każdym razie to pewne, że był centrum osadniczem. Z natury rzeczy tak być musiało. Skupiał on przecież koło siebie ludzi, a zatem ich siedziby. Można więc uważać gród jako taki ośrodek: im bliżej niego, tem osadnictwo, aczkolwiek zawsze bardzo rzadkie, przecież było silniejsze, im dalej, tem ono słabło; tak było przynajmniej w większości wypadków. Okrainy też grodów musiały być zazwyczaj puszczą. Tak samo, tylko w daleko znaczniejszej mierze, było i z siedzibami całego plemienia, które się składało przecież z kilku związków rodowych, rodów, a więc i z kilku grodów.

Cały obszar, który zajmowało plemię, był oddzielony od obszarów plemion sąsiednich szerokim pasem puszczy, bagien, rzeką lub górami. Wiemy, że taki pas graniczny okalał zewsząd Czechy; była to tak zwana czeska przesieka, czeska puszcza, o której mamy liczne wiadomości z XI i XII wieku. Taki sam pas oddzielał i siedziby Polan od Łużyczan i od Pomorzan. Dowiadujemy się również, iż w XIII wieku jeszcze pas taki, taka okraina, jak ją nazywają źródła ruskie, istniała między Polską a dzielnicą poleską i pińsko-turowską, dawną ziemią Dregowiczan i Krywiczan. Wszystko wskazuje, że istniały takie pasy mało zaludnione między różnemi plemionami polskiemi, przemawia za tem i analogja plemion ruskich, nie jest to bowiem objaw odosobniony, przywiązany jedynie do tego lub owego słowiańskiego szczepu, ale objaw ogólny.

Granice plemion były zazwyczaj granicami naturalnemi, obszar, który ono zajmowało, musiał stanowić jakąś jedno-

stkę terytorjalną, odróżniającą się mniej lub więcej wyraźnie od innych. Nic więc dziwnego, że to, co stanowiło granicę, mogło być nie zaludnionym krajem, częstokroć działem wód, poza którym zaczynał się inny kraj, nietylko pod względem plemiennym, ale i fizjograficznym. Z tego wynika, że np. w obrębie plemion polskich mogły istnieć i z pewnością istniały znaczne przestrzenie prawie nie zaludnione, bez wyraźnej — sit venia verbo — przynależności plemiennej, plemię bowiem nie kończyło się, jak dziś kraj, gubernja lub powiat odrazu, lecz gubiło się niejako i zanikało wśród puszcz i pustkowia, które zalegały całą Polskę ówczesną.

Tak się przedstawia w najogólniejszych zarysach ustrój plemienny i taki był stopień jego ewolucji w najstarszej dobie historycznej polskiej, albo raczej w ostatniej dobie przedhistorycznej, bo takby ją właściwiej nazwać można; słowem tak wyglądały plemiona polskie u wrót historji, w zaraniu utworzenia się państwa pierwszych Piastów.

Nie jest to już oczywiście pierwotna doba ich bytu, lecz końcowa. Można powiedzieć, że są one u schyłku swego niezależnego istnienia, i z tej właśnie ostatniej epoki pochodzą wszystkie prawie nasze o nich wiadomości. Co o nich wiemy, wiemy też tylko z czasów już historycznych. Długie zanikanie plemion i długa ich przemiana pod wpływem różnych historycznych czynników na jednolite państwo jest właściwie tem, co badamy. W tym dziejowym procesie są różne momenty. Czasem państwo jest silniejsze, a czasem znowu ów element plemienny bierze górę; w miarę jak się to dzieje, odsłaniają się nam różne szczegóły z istnienia samychże plemion i dzięki temu głównie coś się więcej o nich możemy dowiedzieć, ale, nie zapominajmy, możemy się dowiedzieć pośrednio.

Dwa są główne momenty w historji polskiej, pierwszorzędnej wagi dla badań nad plemionami: 1) utworzenie się państwa polskiego i 2) Polska dzielnicowa po 1138 roku.

Z obu tych epok ważniejszą dla nas jest druga, bo jest to epoka, w której dzielnice większy udział biorą. Jeżeli więc tylko uda się wykazać, że dzielnice odpowiadają dawniejszym plemionom, dostarczy nam to możności badania plemiennych obszarów. Prócz tego jest ona ważną dla

samej metody badania, bo jest w źródła obfitszą, do niej też należy dołączyć i jej źródłami poprzeć szczupłe wiadomości z epoki pierwszej, z epoki niepodzielnej, ą raczej mniej podzielnej, Polski jako państwa. Wskutek takiego rozłożenia się i samego materjału i ważności epok pierwsza jest właściwie tylko przejściem nie bez znaczenia. Należy wykazać, czy zmiany, które zaszły, są tego rodzaju i tak głęboko sięgające, że nietylko naruszyły, ale zniszczyły doszczętnie i zmieniły dawne plemię. Jeżeli tak jest, to to, co będziemy dalej badać, będzie już czemś innem, słowem chodzi o wykazanie ciągłości zjawiska. Dwa są fakty, które takiego przewrotu dokonać mogły: samo powstanie państwa polskiego i zmiana ustroju od powstania tego nieodłączna.

Państwo polskie powstało z plemion, bo, przypuściwszy nawet i podbój, powiedzieć należy, że był on tylko środkiem organizacyjnym, organizował on zaś w każdym razie plemiona.

Fakt tej doniosłości, jak utworzenie się silnego polskiego państwa, musiał się odbić w pierwszym rzędzie na plemionach i na ich organizacji. Odbił się on nawet bardzo silnie. Państwo, a raczej jego przedstawiciel, książę, zniósł lub w znacznej mierze ograniczył samoistność plemion, usunął naczelników plemiennych, a tam, gdzie ich nie było, ograniczył władzę patrjarchów rodowych, medjatyzował ich, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli. Cały ten proces raczej odgadnąć można, niż szczegółowo udowodnić, jest to historyczna dedukcja, ale zupełnie uprawniona i pewna. Nie zniósł jednakże i znieść nie mógł samych plemion — to było wprost niemożliwe. Istnieją więc one dalej, ale pozbawione niezależności i już jako część składowa państwa. Jak się one w niem mieszczą, jaki udział biorą w jego życiu i jak wpływają na jego losy, określić bardzo trudno. W każdym razie przypuścić trzeba, że przedstawiają one siłę odśrodkową, bo to jest zwykłe zjawisko dziejowe. Pisać o wzajemnym stosunku plemion i państwa, byłoby to w znacznej mierze pisać historję polską tej epoki — a to wcale nie leży w moim zamiarze. Ograniczę się też do zaznaczenia tylko kilku ważniejszych punktów w tej kwestji. Otóż najpierw trzeba zwrócić uwagę, że owe dawne plemiona występują

już zmienione i w związku z innemi czynnikami. Dzielnice młodszych Piastowiczów obejmują w znacznej mierze rolę plemion, ale nie bezpośrednio. Czynnik państwowy w grę tutaj wchodzi i mięsza dawny ustrój, łączy lub rozdziela plemienne obszary. Dzieje się to oczywiście niezawsze w równej mierze. I względy geograficzne np. nabierają znaczenia, czasem kosztem plemion, a czasem są w zgodzie z niemi. O dzielnicach i podziałach Polski z tej najstarszej doby niewiele da się powiedzieć. Nie wiemy np., jaką część Polski wydzielił Mieszko młodszym synom, lub jaką była dzielnica brata Mieszka II, Bezbrzyma. Z pewnem natomiast prawdopodobieństwem powiedzieć można, że Mazowsze stanowiło dzielnicę młodszego brata Bolesława Śmiałego, Hermana. W tym więc wypadku dzielnica odpowiadałaby wcale dobrze dawnym plemiennym podziałom. Popiera to i wcześniejsza rola tej dzielnicy, ów bunt Mojsława i oderwanie się Mazowsza od dzierżaw polskich, co wszystko stwierdza odrębność plemienną tej dzielnicy. Działy synów Władysława Hermana, Zbigniewa i Bolesława Krzywoustego, są pierwszemi, które lepiej znamy. — Starszy Zbigniew dostaje Wielkopolskę, Kujawy i Sieradzkie, a także i Łęczyckie. Kujawy też już dawniej musiały być ośrodkiem jakiegoś ruchu na korzyść Zbigniewa; być może tkwił w nim również i element plemienny. Młodszy, Bolesław, dostaje późniejszą Małopolskę wraz ze Śląskiem. Czy dlatego, że oba te kraje były bliższe sobie plemiennie, trudno ocenić. Być tak mogło, ale także nie należy tracić z uwagi, że inne jakieś względy mogły tutaj w grę wchodzić i ów podział pod ich wpływem mógł się tak, a nie inaczej dokonać.

Jest to ostatni ważniejszy historyczny fakt z owej pierwszej epoki, w którym się zaznacza rola plemion i w której one w mniejszej lub większej mierze udział biorą. Do tej pierwszej epoki odnieść jeszcze należy inny fakt, który nas daleko więcej obchodzi, a mianowicie organizacja grodowa Bolesława Chrobrego, która jest organizacją państwa, a raczej najważniejszym dla nas jej momentem. Mogła ona wpływać na zmianę samych obszarów plemiennych i mogła je naruszyć; badania zaś moje są przedewszystkiem, jeżeli nawet nie wyłącznie, badaniami terytorjalnemi, bo nie o co

innego mi chodzi, jak tylko o przybliżone oznaczenie siedzib polskich plemion, wszystko więc, co o tę kwestję zahacza, nabiera pierwszorzędnego znaczenia.

Prawie na pewno możemy powiedzieć, że Bolesław Chrobry był organizatorem grodów, twórcą kasztelanij, jak powiedzieć można. Otóż przedewszystkiem trzeba sobie zdać sprawę, o ile ta organizacja zmieniła pierwotną organizację grodową z epoki plemiennej, o której już była mowa poprzednio. Bolesław Wielki z pewnością podobnie, jak Włodzimierz Wielki na Rusi, zakładał nowe grody; o tem wątpić nie można, ale powiedzieć należy, że przedewszystkiem oparł się on i spożytkował dawniej już istniejący starszy ustrój grodowy. Że tak było istotnie, długo dowodzić zbytecznie. Zupełna zmiana, zupełne wywrócenie istniejącego porządku, nie jest łatwem nigdy, a tem bardziej łatwem nie było podówczas. Państwo samo nie było na to dość silnem, a zresztą nie tkwiło to w charakterze i w pojęciu ówczesnego państwa. Taka np. zmiana, jak zaprowadzenie departamentów we Francji w miejsce dawnych prowincyj, nie była przecież możliwą w XI wieku ani w Polsce, ani gdzieindziej. Główne też podziały zostały niezmienione. Oczywiście wcale nie chcę przez to powiedzieć, aby Bolesław nie naruszył w niczem dawniejszych grodów, ale utrzymuję, że w głównym zrębie i dawne grody i ich terytorja pozostały nienaruszone, a nowe, które przybyły, znalazły gotowe dla siebie ramy w poprzedniej już organizacji.

Nowe grody, które według wszelkiego prawdopodobieństwa zawdzięczają początek Bolesławowi, są przedewszystkiem nadgranicznemi grodami, założonemi dla celów obrony państwa. Do nich musiałbym zaliczyć niektóre grody śląskie, mazowieckie i pomorskie, tj. na granicy Pomorza wzniesione. Te zakładał w części przynajmniej albo sam Bolesław, albo któryś z jego następców. Inne wewnątrz kraju pozostały na swych dawnych miejscach, a zmieniły tylko, i to nie we wszystkiem, swój dawny charakter. Nie przestały one być, jak dawniej, miejscem schronienia w czasie napadu nieprzyjacielskiego, w zwykłych zaś czasach tylko stały się siedzibą nie naczelnika plemienia, czy rodu,

jak niegdyś, ale siedzibą książęcego urzędnika, który na rzecz panującego wybierał daniny.

Terytorja grodowe nie musiały też być zwiększane lub zmniejszane. Wprawdzie Gallus opowiada o liczbie żołnierzy, których dostarczyły niektóre wielkopolskie grody, jak Poznań, Gniezno, Gdecz i Włocław (Włocławek), i liczba ich jest istotnie wysoka, ale, przyjmując ją nawet taką, jak ją kronikarz podaje, (choćby z niej odjąć coś można ze względu na przesadę i legendowy ton opowiadania), to i tak nie można sobie jej inaczej objaśnić, jak że część rycerstwa stale w takich grodach przebywała, a tylko mniej dobrze uzbrojeni byli pospolitem ruszeniem, tj. ludnością męską kasztelanji. Tkwiło też jeszcze za czasów Bolesława Chrobrego dawne poczucie, że ludność kasztelanji stanowi odrębny a samoistny związek terytorjalny, a może jeszcze i plemienny. Przykładem na to są owi Giedczanie, którzy, jak małe plemionko, wyszli z Brzetysławem podczas jego pamiętnej wyprawy na Polskę.

Inne jeszcze względy każą taksamo przypuszczać, że grody kasztelańskie — to prastare siedziby, sięgające w znacznej mierze epoki plemiennej. Wskazują to nazwy, prawie wyłącznie dzierżawcze, takie np., jak Kraków, Sandomierz, Poznań, Spicimierz, Sieradz, Radzim (Wszeradz) i wiele jeszcze innych. Wszystkie one mogą zawdzięczać swój początek naczelnikom rodów i plemion z owej właśnie grodowej plemiennej epoki. Takie znowu, jak Łęczyca i Wiślica, skupiają w sobie niejako znamiona całego plemiennego obszaru i mogą ze starszej jeszcze doby pochodzić. Nie bez znaczenia jest fakt, że w wielu z nich, jak np. w Sandomierzu, Łęczycy, Płocku, Włocławku, Śremie i innych, znajdywano ślady pobytu ludzi w czasach przedhistorycznych. Wprawdzie niezawsze to może dowodzić ciągłości osadnictwa, bo archeologja dotąd niewiele wie, do jakich szczepów należą różne cmentarzyska, to przecież w każdym razie dowodzi jednego, a mianowicie, że miejsca te w bardzo odległych czasach już były zamieszkałe.

Są to wszystko dla nas ważne wskazówki, bo, jeżeli prawdą jest, że powstanie państwa polskiego nie naruszyło obszarów polskich plemion w samej ich istocie, i jeżeli

prawdą jest dalej, że organizacja grodowa Bolesława oparła się głównie na dawniejszej organizacji grodowej z epoki plemiennej, to się okaże, że późniejsze dzielnice, które występują po 1138 roku, dadzą się nawiązać do obszarów plemiennych, a grody książęce — kasztelanje — do grodów dawniejszych z ostatniej plemiennej doby. Czyli jednem słowem, aczkolwiek w wielu razach dzielnice mogły nie zupełnie ściśle i dokładnie odpowiadać obszarom plemiennym, a kasztelanje dawniejszym grodom, to przecież ciągłość historyczna nie została zasadniczo przerwana, badamy więc zjawisko zmienione, ale zjawisko to samo.

4. Granice plemienia Polan.

Wielkopolska nie przedstawia dobrze ograniczonej fizjograficznie krainy. Stanowi ona część polsko-niemieckiego niżu i jest tej samej formacji, co i reszta północnej Europy. Jest to kraj płaski, równy, jednostajny. Tę jednostajną równinę przepływa ze wschodu na zachód Warta, dopływ Odry, począwszy od swego zawrotu ku północy, a więc w swym średnim i dolnym biegu, ciągnie ona za sobą całą sieć własnych dopływów, jako to Prosnę, (której źródła zresztą nie leżą w Wielkopolsce), dalej Wełnę, Obrę, a wreszcie bagnistą niegdyś Noteć, dawne koryto przedhistorycznej Wisły, opuszczone, nim się tu może człowiek ukazał. Doliny wszystkich tych rzek nie są zbyt głęboko żłobione, bo kraj jest płaski, jako niższe jednak przed wiekami, musiały być wielce podmokłe i bagniste, a same koryta nieustalone i szeroko rozlane.

Wśród tej sieci wodnej podnosi się tu i ówdzie powierzchnia nieco wyżej, czasem na mniejszej przestrzeni, czasem i na większej, jak np. na wschód od Poznania, między Wartą a Notecią ku Gnieznu, i dalej jeszcze, ku północnemu wschodowi. Wszędzie jednak przejścia są nieznaczne, a nawet powiedzieć można, iż od zachodu przejścia niema wcale. Kraj za Odrą jest bowiem taki sam, tylko jeszcze więcej płaski i równy. Od południa znowu ostatnie skłony wyżyny śląskiej, właśnie od strony Wielkopolski, nie przechodzą wcale za Odrę, tak że i tutaj wyraźnej gra-

nicy Wielkopolska nie posiada. Od południo-wschodu jedynie granica byłaby nieco wyraźniejsza, kraj się bowiem nieco podnosi. Takie wzniesienia spotykamy np. koło Krotoszyna i Kalisza, ale należą one jeszcze do wielkopolskiej dzielnicy, która się kończy dopiero za nimi, ginie, jeśli tak powiedzieć wolno, niejako wśród najdalszych odnóg małopolskiej równiny, odnóg także nieznacznych, bo ostatnich.

Cały ten kraj pod względem ukształtowania powierzchni i rodzaju gleby przedstawia się dosyć jednostajnie. Wszędzie znajdujemy grunty napływowe, składają je gliny, które tu niegdyś osadził lodnik, pokrywający całą północ Europy.— Gdzie wyżej, są one więcej z piaskiem pomięszane. Na nich to musiał niegdyś sosnowy las porastać. Wielkopolska bezleśną też nie była. Jak wszędzie, tak i tutaj, las, bagno, i piaszczyste wydmy dzieliły między sobą cały obszar kraju i panowały w nim wszechwładnie. Tylko że w Wielkopolsce bagna i moczary najwięcej miejsca zajęły, nie tak, jak w innych wynioślejszych i suchszych stronach Polski, które znowu las niepodzielnie i bezspornie pokrywał. Ten sam lodnik, który owe gliny naniósł i osadził, zostawił także, jak odszedł i zniknął, liczne jeziora o gładkiej, sinej toni, a zazwyczaj długim kształcie, niby kawałki rzek pozostawione bez źródeł i ujścia. Są one wszędzie, ale najliczniej się jeszcze zbierają na wschodnio-północnym kącie Wielkopolski za Gnieznem, ku Wiśle i Noteci.

Zbytecznem byłoby szerzej się rozwodzić nad znaczeniem wód, a przedewszystkiem rzek dla pierwotnego osadnictwa. Z bieżącą wodą posuwali się dawniej, posuwają się i dzisiaj w krajach pierwotnych, pierwsi osadnicy, porzecza też są najpierwej zaludnione. Każde plemię jest w tem znaczeniu nadrzecznem plemieniem, z wyjątkiem oczywiście tych, które zamieszkują góry, choć i tu bieg strumieni, które żłobią sobie doliny, jest pierwszorzędnego znaczenia dla pierwotnego osadnictwa. Otóż taką rzeką plemienną Polan była przedewszystkiem Warta wraz z licznemi dopływami (Prosną, Obrą, Notecią, Wełną i z dwoma mniejszemi Wierzbią i Wrześnią). Rzeki górskie, gwałtownie przerzynając zapory, kruszą skały i pędzą naprzód — rzeki na równinach muszą szukać długo, gdzieby ich powolne wody ujść

mogły — jakby się długo namyślały; wskutek tego kręcą się i rozlewają szeroko.

Około niej i około tych wszystkich jej dopływów skupiało się plemienne osadnictwo Polan, ale niejednolicie i nierównomiernie. To silniej i gęściej — to słabiej i zrzadka zaludniali oni międzyrzecza lub większe porzecza wszystkich tych rzek, rzeczułek i strumieni. Biorąc je sobie za przewodników, posuwali się Polanie to w dół, to w górę ich biegu, czasem nie dochodząc do źródeł, czasem znowu przerzucając się na sąsiednie, najbliższe brzegi wód płynących. Wszystko to zależało oczywiście od miejscowych warunków fizjograficznych, więcej różnorodnych, niż dzisiejsze, bo jeszcze nie opanowanych i nie zniwelowanych, ujednostajnionych przez człowieka. Ta zależność pierwotnego osadnictwa od zajmowanej ziemi sprawiła w naszym wypadku, że granice plemienne nie wszędzie mogą być równie wyraźne, bo w kraju płaskim, bagnistym, poprzerywanym mnóstwem rzek i rzeczułek granice takie gubią się wśród sieci wodnej bardzo łatwo i prędko. Najwyraźniej występują one jeszcze tam, gdzie pojawia się jakaś wyraźniejsza linja demarkacyjna, jak w naszym wypadku, znaczniejsza jakaś rzeka. Taką rzeką jest przedewszystkiem Odra, do której przecież wraz z Notecią i Wartą uchodzi. Granice plemienne Polan, o ile są granicami od innych szczepów słowiańskich, nie polskich, schodzą się z granicami państwa polskiego z najstarszej doby jego istnienia. Schodzą się też i z linją największej rzeki Odry, a także i Noteci, a więc są, o ile to możliwe w kraju tak źle odgraniczonym, zarazem i granicą fizjograficzną. Stare granice państwa polskiego jeszcze z X wieku pośrednio i bezpośrednio o niej jako o granicy wspominają. Słynny swoją zagadkowością akt darowizny Gniezna z końca X wieku wyraźnie to mówi. Według niego granica idzie od kraju Miłżan prosto aż do Odry, stamtąd zaś koło tej rzeki aż do Gniezna z powrotem. Otóż dzięki właśnie Odrze część granicy zachodniej Polski jest wyraźną. Jeżeli od kraju Miłżan, tj. od południowo-wschodniej części Łużyc, będziemy się posuwać prosto ku Odrze, spotkamy się z nią wówczas koło ujścia do niej Biebrzy, tam, gdzie leżał starożytny gród

Krosno, znany już w samym początku następnego (XI) wieku. Koło Krosna płynie jeszcze Odra ze wschodu na zachód, płynie tak czas jakiś mniej więcej aż do ujścia Nissy, skąd zwraca się dopiero ku północy, prostując swój bieg niejako, i tak płynie znowu aż do ujścia Noteci wraz z Wartą. Tak też musiała iść i dawna polska granica. Tę, a nie inną granicę od zachodniej ściany potwierdzają i inne źródła — a przedewszystkiem Titmar z Merseburga. Ilekroć razy mówi on o wyprawach cesarza lub Czechów na Polskę, zawsze mówi o rzece Odrze jako o granicy państwa obu pierwszych Piastów. I tak np. jeszcze za panowania Mieszka, 990 roku, podczas jego wojny z Bolesławem czeskim, Sasi, sprzymierzeńcy księcia czeskiego, i sam książę czeski zbliżają się od kraju Ślepułów, tj. od lewego brzegu Odry do niej samej, a gdy przyszli nad jej brzegi, posyłają posłów do Mieszka, snać za Odrą zaczynał się kraj jemu podległy. — I później, w 1005 i 1015 roku, w czasie nieudanej na Polskę wyprawy Henryka II, linja Odry, Bobrzy oraz Krosno — to miejsce pierwszego zderzenia między Niemcami, idącemi od zachodu od Łużyc, a między Polakami, czekającymi na nich od wschodu, czyli utrzymuje się ta sama linja graniczna, którą już akt darowizny Gniezna wymienia. To samo stwierdzają wreszcie i dawne kościelne podziały. Diecezja miśnijska dochodzi do Bobrzy, która dzieli ją od diecezji wrocławskiej aż do swego ujścia do Odry, a następnie Odra dzieli ją od diecezji poznańskiej znowu aż do ujścia Noteci do Odry. W tem miejscu musiało się też kończyć i dawne poznańskie biskupstwo, nim się granice państwa polskiego kosztem Pomorza dalej na północ posunęły.

Tak więc zgadzają się wszystkie trzy świadectwa. Potwierdza to wreszcie i fakt, że na prawym brzegu Odry spotykamy też dwa większe plemiona Łużyczan i Ślepułów. Porzecza Odry nie musiały być zresztą nigdy silnie zaludnione, lasy, a przedewszystkiem bagna, szerokim pasem okalały jej brzegi po obu brzegach. Są też ślady, że po stronie polskiej ciągnęła się puszcza nadgraniczna, międzyszczepowa okraina, jak ją nazwać możemy. Puszcza owa, jak to na innem miejscu jeszcze powiemy, zaczynała się bardzo daleko, bo aż w górach czeskich, ciągnęła

się ku północy także bardzo daleko, okalając późniejszy Śląsk jedną ciemną smugą lasów i borów. Jeszcze w pierwszej połowie XIII wieku wypełniała ona wąskie międzyrzecze Kwissy i Bobrzy i podchodziła pod same niemal Krosno, a więc, powiedzieć śmiało możemy, od południa podsuwała się owa puszcza pod samą Odrę i opierała się o nią. Dowiemy się zaś za chwilę, że się znowu inna puszcza zaczynała za Odrą, ale nie zaraz po przeciwnym brzegu, lecz dopiero od ujścia do Odry Noteci. Wobec tego przewidzieć łatwo, iż kraj, który pozostał między Odrą i Notecią, tj. między późniejszym Śląskiem a Pomorzem, także był puszczą, która od Czech ciągnęła się bez żadnej znaczniejszej przerwy aż do pomorskiego pojezierza. Są dowody, że tak było istotnie i że ów kąt między Odrą a Notecią, stanowiący część późniejszej ziemi lubuskiej, był jeszcze w XIII wieku mniej zamieszkałym, niż inne strony Wielkopolski. Jak zwykle na kresach pustych i bezludnych, tak i tutaj książęta nadawali różnym zakonom, a przedewszystkiem Benedyktynom i Cystersom, znaczne nieraz obszary — pustkowia, chcąc w ten sposób rozbudzić ruch kolonizacyjny. W tych właśnie stronach spotykamy się w początkach XIII wieku z bardzo znacznemi nadaniami na rzecz klasztorów Benedyktynek w Trzebnicy i Benedytynów w Lubiążu, a także na rzecz Cystersów w Paradyżu i Ziemsku, przyczem dwukrotnie dokumenty wymieniają pustkowia, deserta. W 1269 roku wreszcie biskup poznański Andrzej mówi wprost, że opactwo Cystersów w Ziemsku, nieopodal właśnie ujścia Warty do Noteci, leży w stronach jakoby pustych i nieurodzajnych. Tak więc ostatecznie powiedzieć trzeba, że i pierwotnie od ściany zachodniej, tj. od Słowian zaodrzańskich, oddzielała Polan Odra, a prócz niej taka sama puszcza, jak od Czech i Łużyc. Obie te granice, i wodna, i leśna, wzajemnie się uzupełniają i niejako stwierdzają.

Ujście Noteci do Odry jest tym punktem, przy którym, posuwając się od południa, trzeba się zatrzymać, bo stąd następuje zmiana kierunku. Chcąc mianowicie w dalszym ciągu obchodzić granice plemienia Polan, należy teraz iść prosto na wschód, zlekka tylko podnosząc się ku północy, słowem trzeba iść w górę Noteci, dzięki której mamy znowu

wyraźniejszą granicę. Bagnista i szeroko rozlana, płynąca starem korytem Wisły, Noteć dzieliła Polan od Pomorzan. Tak było jeszcze w dobie historycznej. Często mówi Gallus o tej granicy z powodu walk Balesława Krzywoustego z Pomorzanami, a więc właśnie w chwili, kiedy Pomorze nie weszło jeszcze w skład państwa polskiego. Takie grody nadnoteckie, jak: Santok, Drzeń, Wieleń, Czarnków, Uście, Nakło, a wreszcie nadwiślański Wyszogród, już nie nad Notecią, lecz na jednej z tamtemi linji nad Wisłą, są w ręku Pomorzan, o nie toczy się zacięta walka, z wielkim wysiłkiem i trudem zdobywają je kolejno Polacy. Naprzeciw grodu polskiego Santoka, który jest strażnicą i kluczem państwa, budują Pomorzanie zamek tego samego nazwiska, który młody jeszcze Bolesław 1099 roku zdobywa. W kilka lat później, 1107 lub 1108 roku, wpadają w jego ręce Czarnków i Wieleń, a wreszcie po długich i zaciętych walkach zdobywa Bolesław ostatecznie 1115 roku gród najważniejszy, Nakło, ten sam, który jeszcze oblegał bezkutecznie Władysław Herman 1091 roku, a z nim równocześnie i Wyszogród w jego ręce wpada. Pomorzanie tracą zupełnie obronną linję Noteci, a z nią razem i swoją niepodległość.

Takie są stosunki w dobie historycznej; ale teraz zachodzi pytanie, o ile można je przenieść w dobę plemienną? Otóż, jeżeli istotnie Noteć stanowiła granicę i dawniej, to spodziewaćby się należało, że pierwotnie wszystkie pomorskie grody, a więc Nakło, Czarnków i Wieleń, powinny leżeć na lewym jej brzegu, czyli że brzeg lewy był pomorski, a prawy polski. W czasach historycznych, za Bolesława Krzywoustego, polskie grody, Santok i Uście, leżały w istocie na prawym brzegu Noteci, pomorskie zaś Nakło na lewym, ale Czarnków i Wieleń także na prawym, a mimo tego, że były prawobrzeżne, leżały na Pomorzu, jak to wyraźnie zaświadcza kronika; zdawaćby się mogło, że Pomorze sięgało za Noteć i przechodziło dalej na polski już obszar plemienny. Rodzi się jednak wątpliwość, czy w dobie dohistorycznej, plemiennej, te grody leżały tak, jak leżały później, w początkach XII wieku? Na to może dać odpowiedź, choć nie zupełną, archeologja.

Niektóre z tych grodów, jak np. samo Nakło i Wyszogród, musiały już być zamieszkałe w dobie przedhistorycznej; świadczą o tem liczne wykopaliska, pochodzące prócz z epok starszych także i z dohistorycznej, t. z. nordyjskiej epoki. Zaznaczyć wypada, że je odnajdywano po stronie lewej, pomorskiej, a więc zgadza się jego położenie przedhistoryczne z późniejszem. Ujście leżało za czasów polskich na trochę suchszem miejscu, po prawej stronie Noteci, i strzegło przeprawy na Pomorze, tędy bowiem zapuszczał swe zagony Bolesław w głąb nieprzyjacielskiego kraju. Być może, było ono zamieszkałe i w dobie słowiańskiej, plemiennej, wiemy przynajmniej, że w epokach starszych, np. La Tene, okolice jego były silnie zaludnione, ale coprawda głównie po prawym brzegu. Koło Czarnkowa odnajdywano ze wszystkich czterech epok liczne ślady pobytu ludzi. Opodal niego jest nawet i słowiański okop. Tędy też miała iść droga po bursztyn na morskie wybrzeża. Otóż wszystkie te ślady dawniejszego pobytu ludzi kolo Czarnkowa znajdują się na prawym, polskim brzegu Noteci, podobnie jak i starsze znaleziska pod Wieleniem, a więc, być może, grody te leżały w epoce dawniejszej tam, gdzie i później, czyli na stronie polskiej, ale czy już w dobie plemiennej Pomorzanie przekroczyli ją i opanowali owo przejście od ujścia do pobliskiego Czarnkowa? Archeologiczne dane nie rozstrzygają jednej z najważniejszych kwestyj, do kogo w tej epoce Czarnków i Wieleń należały, bo znajdywane przedmioty nie mogą być ani ściśle pomorskie, ani ściśle polskie, a pieniądze rzymskie mogli gubić ludzie równie dobrze na polskim brzegu Noteci, jak i na pomorskim. Stanowczo się ta kwestja rozstrzygnąć nie da, sądziłbym jednak, że pierwotnie, tj. w dobie plemiennej, były one polskie. Długotrwała zawierucha po upadku Mieszka II, a i zamieszki domowe za Władysława Hermana, podczas których przecież Pomorzanie nękali Polskę swemi napadami tak dalece, że arcybiskup w Gnieźnie nie był pewnym życia, mogły snadnie spowodować utratę owych grodów, które potem dopiero trzeba było napowrót zdobywać. Konjunktura więc historyczna raczej przemawia za tem, że cały lewy brzeg Noteci

był polskim, a prawy tylko pomorskim, czyli że ostatecznie Noteć dzieliła oba te stare szczepy w dobie plemiennej.

Nie była to jednakże jedyna granica Polan i Pomorzan. Na północ od Noteci, a więc na samym pomorskim jej brzegu, rozciągała się puszcza aż prawie do samego pasma wzgórz, stanowiących pojezierze pomorskie. Była to puszcza bagnista, podmokła, pełna pełzających gadów i zwierza, wilków, kryjących się po suchszych ostępach, i łosi, wylegujących się na jej szeroko rozlanych błotach i moczarach, pełna także rozmaitego ptactwa, a najbardziej żórawi, które się tam po olchach gnieździły. Święty Otton, apostoł Pomorza i jego towarzysze, ze zgrozą o niej wspominają 1124 roku, kiedy musieli się sześć dni przedzierać przez nią, idąc z Polski na Pomorze. Czcigodny biskup nie mógł spokojnie odmawiać modlitw, takim wrzaskiem ptactwo napełniało powietrze, spłoszone przejściem jego drużyny, i nie mógł stąpić z obawy, aby się nie zapaść w grząskie błoto, lub nie być ukłutym żądłem jadowatej żmiji. W takiej to puszczy znaczył Bolesław Krzywousty drzewa i wycinał drogi, aby się móc dostać w głąb nieprzyjacielskiego kraju. — Ciągnęła się ona wzdłuż całej prawie Noteci. Jak wspominałem, łączyła się ona od zachodu z ową puszczą, która szła od gór czeskich w dół przez Śląsk i koło Odry przez ostatnie krańce Wielkopolski. — Kierunek podróży świętego Ottona wskazuje dostatecznie, że cała pobożna drużyna z Pawłem, starostą santockim jako przewodnikiem, nie przeszła jej od grodu Ujścia, lecz od jakiegoś miejsca koło Santoku, które to miejsce podobną tylko nosiło nazwę Uzdy, Uzdomia, lub jakoś podobnie. Jeżeli tak było istotnie, w takim razie przestrzeń od Santoka do jeziora Płonia i do rzeki Iny, lub do jeziora Lipiana, do których zdaje się święty Otton zaszedł, wynosi około pięćdziesięciu kilometrów. Za tym pasem dopiero zaczynało się ludne już w tych czasach dohistoryczne Pomorze, ludne, bo bliżej Bałtyku leżące.

Trzeba przypuścić, że mniej więcej w tej szerokości ciągnęła się puszcza dalej ku wschodowi. Ślady jej istnienia w sto lat jeszcze później po przejściu Świętego Ottona są bardzo wyraźne. Bezludne i puste owe okolice nadawały się bardzo do licznych pobożnych nadań. Ksią

żęta szafują hojnie znacznemi nieraz obszarami, co już samo aż nadto świadczy, że istotnie kraj nad Notecią długo prawie wcale nie był zaludnionym. Widać to z nadań, które tam robi np. Władysław Odonicz Templarjuszom z Gniezna, Joannitom z Poznania, wreszcie Kawalerom niemieckim, a także Benedyktynom z Lubiąża, a prócz nich Cystersom z pomorskiego już klasztoru w Kolbaczy. Darowizny owe obejmują kraj, poczynając od ujścia Noteci do Odry na wschód ku rzece Chudej, nad której ujściem leżał znany nam już gród Ujście, aż po ostatnie krańce późniejszej Wielkopolski. Są to darowizny znaczne, przewyższające o wiele wszystkie inne wewnątrz kraju, bo wynoszą po 500 i 1.000 łanów a jedno nawet 3.000 łanów, albo są to wprost nadania całych obszarów, których granicami są bagna, jeziora i rzeki zazwyczaj. Był to zatem jeszcze kraj pusty w pierwszej połowie XIII w., w którym, jak sięgała pamięć ludzka, nikt ziemi nie uprawiał — według słów przywileju. Jeszcze dalej na wschód ku Wiśle, za rzeką Chudą, rozciągały się znowu puste przestrzenie, do których rościli sobie prawa także Benedyktyni lubiązcy w XIII w., zajmowały bardzo znaczną część, tak zw. Krainę, tj. Okrainę polską i pomorską, trudno nawet powiedzieć, gdzie się kończyły. Tylko tyle pewne, że, zbliżając się do Wisły, spotykamy pas ludniejszy, który musiał być już takim w dobie plemiennej. Wszystkie obszary zajęła od czasów Krzywoustego Polska; widocznem też jest tutaj, jak kosztem Pomorza zagarnęła ową międzyplemienną puszczę. Niestety ustąpiło później osadnictwo polskie niemieckiemu.

Granice zachodnie i północne, któreśmy dotąd poznali, są granicami niejako zewnętrznemi, dzielą bowiem Polan od Słowian zaodrzańskich i od Pomorzan, a więc wprawdzie od szczepów pobratymczych, bardzo bliskich — to prawda, ale zawsze od szczepów niepolskich, więcej obcych, niż inne polskie plemiona. Prócz tych granic są i inne, wschodnie i południowe, które w przeciwstawieniu do pierwszych możnaby nazwać granicami wewnętrznemi, bo dzielą one Polan od innych plemion, które nazywam w braku innej nazwy (»plemiona lechickie« nie chcę mówić) plemionami polskiemi, zapożyczając się niejako z późniejszej nieco epoki.

Owe granice wewnętrzne można badać albo teraz zaraz i uważać je tylko jako granice plemiennego obszaru Polan, lub też można je uważać jako granice tych plemion polskich, z któremi od wschodu i południa Polanie się stykają i badać je w związku z obszarem plemiennym tychże plemion. Ze względu na dalszy tok niniejszej pracy nie zamykam granicy wschodniej, którą się wypadnie zająć później, natomiast można już będzie teraz odgraniczyć Polan od południa. Jest to granica od Śląska, a raczej od plemion śląskich, bo tak poprawniej należy powiedzieć. Sięgała ona w dobie plemiennej po Odrę aż do ujścia do niej rzeki Baryczy. Przypuszczenie to samo się prawie narzuca. Dział wód, a Odra jest bardzo wybitnym takim działem z natury rzeczy, musiał rozgraniczać Polan od plemion śląskich. Wiemy, że Wielkopolska w dobie historycznej tak daleko sięgała, a dopiero później wskutek zatargów z książętami śląskimi, którzy ciągle następowali na dzierżawy Wielkopolan, odstąpiła od tej linji granicznej i cofnęła się nieco od Odry. Wskazują to dawne granice dyecezji poznańskiej i wrocławskiej aż do ujścia Baryczy, wskazuje to samo również i fakt, że prawie do samej Odry dochodziła kasztelanja przemęcka, należąca do najstarszych w tych stronach. Od ujścia Baryczy do Odry dawna plemienna granica — a raczej pas graniczny, bo granica jest tu za ścisłem określeniem, — szła za tą rzeką. Jej prawe dopływy, jak np. Orla, znalazły się w ten sposób na obszarze Polan, lewe, mniej znaczne, były śląskie.

Rozdział ten był tak ściśle przeprowadzony, prawda, w dobie już historycznej, że np. gród Czestram nieopodal Baryczy, ale na prawym jej brzegu, był polskim i należał (co trochę może dziwne) do archidiecezji gnieźnieńskiej, a nie do biskupstwa poznańskiego, ale w każdym razie do Wielkopolski, a nie do Śląska. Stary zaś gród Milicz, położony po lewym jej brzegu, wśród jezior i bagien, przez które Barycz w tem miejscu przepływa, był śląskim i należał do wrocławskiego biskupstwa. Niepewnym jest tylko dalszy pas graniczny właśnie od Milicza, który, jak powiedziałem, leżał na Śląsku. Gród ów miał swoje posiadłości i na prawym polskim brzegu Baryczy, bo tak należy tłu-

maczyć ustęp bulli protekcyjnej dla Gniezna, w którym jest mowa, że arcybiskup ma pobierać całkowite dziesięciny grodu Milicza z tej strony Baryczy — to jest ze strony prawej, bo że tu Gniezno jest wzięte za punkt wyjścia, tego nie potrzebuję dowodzić. Śladem tych posiadłości grodu milickiego jest owa znana historykom enklawa, położona wśród diecezji poznańskiej, która zawiera osadę służebną Zduny i Krotyszyn oraz kilka innych wiosek. Może więc tutaj zachodzić kwestja, czy przypadkiem posiadłości grodu Milicza nie są bliższe dawnych podziałów plemiennych, niż podziały kościelne, a co zatem idzie, czy nie Barycz jest w tem miejscu granicą, ale gród, t. j. jego posiadłości? Otóż trudno tę kwestję stanowczo rozwiązać i powiedzieć, że posiadłości Milicza na prawym, polskim brzegu Baryczy, są późniejsze od granic kościelnych. To tylko jedno powiedzieć można, że w czasie, w którym posyłano z Gniezna do Rzymu potrzebne do bulli wiadomości, a więc przed 1136 rokiem, posiadłości Milicza sięgały na prawe porzecze Baryczy, a ponieważ sam gród należał do diecezji wrocławskiej, więc należało zrobić to zastrzeżenie wobec możliwych uroszczeń wrocławskich biskupów, którzy mogliby łatwo zagarnąć dziesięciny tych osad. — Ale dlaczego osady po prawej stronie Baryczy miały właśnie należeć nie do Wrocławia, lecz do Gniezna? Skłonny jestem przypuścić, że dlatego, iż z dawien dawna bieg samej Baryczy musiał stanowić granicę między Polską a Śląskiem, a raz to przyjąwszy, bliskiem jest już bardzo przypuszczenie, że tak być musiało i w plemiennej dobie, osady zaś służebne grodu wskutek jakichś nieznanych zarządzeń księcia przeniosły się na prawe jej pobrzeże. To jest najprostsze przypuszczenie, prostsze np., niż takie, że niegdyś i sam gród Milicz należał do pierwotnej archidiecezji z czasów Bolesława Chrobrego i że się nim dopiero później obie diecezje, gnieźnieńska i wrocławska, zgodnie podzieliły. Minąwszy owe posiadłości grodu milickiego, które zdają się naruszać ów pas graniczny, idący wzdłuż Baryczy, łatwo go znowu bardzo odzyskać, mniej więcej bowiem zgadzają się z jej biegiem i granice diecezji poznańskiej, przynajmniej aż do Odolanowa, tak, że tylko bagniste źródła Baryczy, która się jeszcze w XIII wieku łączyła z nie-

opodal płynącą Prosną, pozostają w Wielkopolsce, ale zawsze są one niezbyt od Śląska odległe, wystarczy więc powiedzieć, że musiała ona stanowić ów pas graniczny i gdzieś koło niej zbliżały się do siebie siedziby obu plemion, Polan i Ślązan. Zbliżały, ale nie stykały, bo nie należy zapominać tego, co już powiedziałem, że w tej epoce były całe pasy, szerokie smugi kraju, które nie należały jeszcze do nikogo. Zgodnie z tem trzeba przypuszczać, że pierwotnie oddzielała puszcza oba te bliskie sobie i pokrewne plemiona.

Otóż tak było istotnie, ale myliłby się ten, któryby oczekiwał znowu takiej samej puszczy, jak np. pomorska, ciągnąca się nieprzerwanie na przestrzeni mil całych. Takiej tu niema, a jeżeli była, to zaginęła wcześniej, tak, że resztki z niej tylko pozostały. Sądzę jednak, że nigdy nie była ona tak rozległą; plemiona, które dzieliła, nie były bądź co bądź tak wrogie i nie prowadziły tak zaciętych walk, jak Pomorzanie i Polanie, była więc ona nie tyle potrzebną, jak tamta. Jednakże ślady dosyć wyraźne plemiennej okrainy od Śląska istniały i przechowały się do późna. Sama bagnistość tych stron mniej się nadawała dla osadnictwa, niż inne, suchsze i wyższe strony Wielkopolski. Odra i Barycz aż po samą Prosnę płyną łożyskiem jednej z trzech wielkich rzek lodnikowych. Po tych wielkich, leniwych wodach, rozlanych szeroko, pozostały obszerne bagna, moczary, cała też Barycz i porzecza Odry dochowały ten swój charakter do późnego średniowiecza.

Najdawniejsze ludzkie osady w tych stronach trzymały się, jak zwykle, miejsc wynioślejszych, stanowiących brody przedhistoryczne. Tu i ówdzie spotykamy się z niemi; tak np. wyższe okolice Odolanowa, Sulmierzyc, przez które szedł, zdaje się, prastary szlak handlowy, były już gęściej zaludnione w dohistorycznej epoce, to samo okolice prastarego Przemętu, który strzegł przejścia przez Odrę, prócz tego zaś natrafiamy na ślady osad przedhistorycznych jeszcze w kilku miejscach po stronie polskiej, jako to:[1].

[1] Dalszego ciągu zdania brak. Na boku znajduje się notatka ołówkiem przez Potkańsktego zrobiona: »tutaj obszerna część archeologiczna i historyczna, po części udowadniająca mniejsze zaludnienie«, która to notatka wskazuje na zamierzone uzupełnienie i zmianę porządku w pracy. (Przyp. wyd.).

Silniej jednak musiały już być zaludnione porzecza Odry od strony Śląska; koło Głogowa natomiast i gór Kocich zaludnienie było słabsze. Podobne stosunki bezwątpienia przetrwały dłużej i strona polska musiała być w czasach historycznych mniej zasiedlona, niż śląska.

Lasy i bagna obejmowały i otaczały zewsząd ludzkie siedziby, nietylko w czasach tak dawnych, ale i później jeszcze. Że tak było istotnie, dowodzi np. fakt, iż Władysław Odonicz w 1210 roku myśli o sprowadzeniu cystersów z Pforta do Przemętu. Oddaje on im kilkanaście wiosek, przeważnie nieopodal tego grodu leżącego, aż do granic głogowskich, wraz z jeziorami i lasami[1]). Fundacja ta się nie udała, ale sama jej myśl dowodzi, że strony te potrzebowały kolonistów obcych, czyli że były puste. I w początkach XVI wieku jeszcze granica Polski, niedochodząca już do samej Odry, idzie prawie ciągle samemi lasami i błotami; oczywiście, że wcześniej tembardziej tak być musiało. Stosunki te widocznie zmieniały się bardzo powoli, gdyż jeszcze pod koniec XVI wieku, w latach 1579, 1580 i 1581, są mniej rolne, a więcej pasterskie; podczas kiedy powiat poznański, i to prawie wyłącznie w zachodniej i zachodnio-północnej części, wykazuje stada owiec tylko w 62 wioskach na ogólną ich liczbę sześciuset pięćdziesięsiu czterech, to kościański w części południowej, bliskiej Śląska, wykazuje je w 84 na 574 wiosek, wschowski wreszcie przedstawia się najbardziej typowo, bo na wsi 40 stada owiec znajdziemy w trzydziestu pięciu; niema więc prawie wioski, gdzieby owiec nie chowano! Nadto w dwóch ostatnich powiatach spotykają się często rybitwy, tj. rybacy, niektóre wsie, np. Obra, ma ich aż dwunastu! Gospodarstwo jest tu więc jeszcze dosyć pierwotne. Nie sądzę, aby ów chów owiec, a co zatem idzie, i znaczniejsze pastwiska powstawały dopiero później, jak np. w Anglji pod koniec XV wieku; sądzę natomiast, że w tym wypadku skorzystano raczej z dawniej-

[1] Kod. Wielkopol. I nr. 66 r. 1210: locum, qui Polonica lingua Virchuie dicitur cum circumiacentibus lacubus et nemoribus usque ad confinia et metas Glogovie terminis contiguas.... Wierchuje będzie zapewne wieś w parafji Przemęt, która się w r. 1580 nazywała Stary Klasztor (Antiquum Claustrum). Por. Pawiński, Polska XVI w. t. I str. 81.

szych, rzadziej zamieszkałych obszarów i zaczęto prowadzić gospodarstwo bardziej pasterskie, ku czemu bardzo się nadawała bliskość przemysłowego Śląska, którego ludność zajmowała się już podówczas sukiennictwem. Do tego się ograniczają ślady owej plemiennej okrainy między Polanami a Ślęzanami, która, sądzę, istnieć niegdyś musiała, i takie są granice obu tych plemion zarazem.

5. Szlaki osadnicze i grody Polan.

Mimowoli ułatwiamy sobie zadanie, przyjmując, jak się to zwykle dzieje, że w czasach przedhistorycznych, nawet późniejszych, kraj cały był prawie niezamieszkałym. Obrazy i opisy puszczy, bagien, łąk i moczarów zastępują zazwyczaj badania nad najdawniejszem osadnictwem. W rzeczywistości jednak jest inaczej, kraj wcale tak pustym nie był, nawet w najdawniejszej neolitycznej epoce, jak tego dowodzą liczne wykopaliska. Nie opustoszał również i w ciągu różnych następujących archeologicznych okresów, przeciwnie każdy taki okres zostawił ślad po sobie i każdy torował drogę następnemu.

* Wszelako [1] w niniejszej pracy nie chodzi o wszystkie okresy archeologiczne i wszystkie warstwy osadnicze. Należy tedy dawniejsze na bok usunąć, a zająć się epoką ostatnią, epoką, którąby nazwać można najpóźniejszą przedhistoryczną, a z równem, jeżeli nie lepszem, uprawnieniem najwcześniejszą historyczną. Epokę ową niemieccy uczeni zowią epoką arabsko-nordyjską, a także i słowiańską. Przyjmuję nazwę pierwszą, ale nie dlatego wcale, abym drugą nazwę odrzucał. Bynajmniej! Jest ona niewątpliwie słowiańską. Nazywając ją tak, jednakże mógłbym się narazić na zarzut, że inne uważam za niesłowiańskie, że je tak, jak to uczeni niemieccy czynią, przeciwstawiam, a tego chcę właśnie uniknąć. Do całej tej sprawy będę musiał zresztą jeszcze później wrócić, tutaj więc tylko pokrótce zaznaczam, że w kwestji tak wątpliwej wstrzymuję się od

[1] Tekst objęty gwiazdkami (odtąd aż do str. 438) został przez Potkańskiego z tego miejsca wyłączony, ponieważ jednak nie wiem, gdzie zamierzał pomieścić, uznałem za wskazane podać go w pierwotnym związku. (Przyp. wyd.).

stanowczego rozstrzygnięcia. Tak jednak, jak dziś rzeczy stoją, nie można żadną miarą uznać za pewnik, że w Wielkopolsce siedziały plemiona germańskie do wędrówek narodów i że je dopiero później w VI wieku zajęli Słowianie. Temu za wiele faktów się sprzeciwia, skłonny też jestem do przypuszczenia, że prócz, zdaje się, owej pierwszej, najstarszej epoki, inne, a w każdym razie t. zw. rzymska jest również słowiańską. Niewiele to jednak wpłynie już na fakt, że wezmę tylko ową epokę ostatnią, nordyjsko-arabską, za punkt wyjścia. Poczyna się ona mniej więcej od VIII wieku, a wkracza w czasy już zupełnie historyczne, jak wiek X. i XI., wiek Mieszka i Chrobrego. Epoka owa w każdym razie jest najważniejszą, bo się bezpośrednio styka z historją, jest do niej podkładem i fundamentem, wszystkie zaś inne w mrok się zasuwają. Uczeni niemieccy głównie się tą epoką zajmowali, oni ją zbadali i ustalili najbardziej znamienne jej cechy. I nic dziwnego. Na ziemiach Słowian zachodnich od dawna zamieszkali, poczęli je badać »deficientibus semine Sclavis«, jak mówił Helmold w swojej kronice, i to badać z właściwą sobie ścisłością i sumiennością. Stwierdzili oni ostatecznie, po wysłaniu ekspedycji naukowej na wyspę Rugję w 1868 roku, że Słowianie sypali wszystkie niemal ziemne okopy, bardzo licznie rozsiane między Odrą i Łabą a Morzem Bałtyckiem. Stwierdzili oni następnie, że w owych okopach znajdują się bardzo typowe przedmioty, które pozwalają ze znaczną, jak na archeologję, pewnością oznaczyć ich wiek i pochodzenie, które zresztą stwierdza i historja [1]. Okopy owe — grodziska — są zwykle próżne, wklęsłe. W kotle ich wewnętrznym (bo tak go nazwać można) znajdywano zwykle popiół, kości różnych zwierząt i skorupy o bardzo charakterystycznym, falistym ornamencie (stąd nazwa: Wellenornament), rzadziej punktowanym lub kreskowanym, prócz tego zaś najczęściej przedmioty z żelaza. Częste cmentarzyska w pobliżu takich wałów, nie wiem, czy słusznie, ciż sami uczeni uznają przeważnie

[1] Późniejsze dokładniejsze badania niemieckie wykazują, że wiele grodzisk słowiańskich istniało już w poprzednich okresach archeologicznych i dostarczają dowodów, że istotnie w epoce rzymskiej siedzieli tu Germanie. (Przyp. wyd.).

za przedsłowiańskie. Okopy takie, prócz na ziemiach niegdyś zamieszkałych przez Słowian zachodnich, znajdują się w Czechach, tylko z pewnemi odmianami, — a także u nas w Wielkopolsce. O ile sądzić można — i wśród Słowian wschodnich na Rusi; grodziska podobne są tam bardzo częste i pospolite. Znajdują się w nich i kości i węgle, ale nie wiem, czy się w nich znajdują również i owe charakterystyczne skorupy, które, tłumacząc termin niemiecki »Burgwallscherben«, można nazwać skorupami lub czerepami grodziskowemi. W każdym razie ogólny typ owych grodzisk zbliża się bardzo do zachodnio-słowiańskich i na tej zasadzie stwierdzić można, iż są wspólnego pochodzenia i do jednego szczepu należą. Do jakiego celu one służyły? To nie łatwo odgadnąć. Stawiano już różne hipotezy co do tego, ale żadna nie wytrzymała wszystkich prób krytyki areheologicznej, czy historycznej. Jedni chcieli w nich widzieć miejsca kultu pogańskiego, drudzy tylko miejsca obronne. Zwolennicy tej ostatniej teorji łączyli je nawet mniej lub więcej w fantastyczne »linje fortyfikacyjne«. Najbliższem prawdy przypuszczeniem będzie, iż grody owe służyły pierwotnie za miejsca schronienia przed nieprzyjacielem, którym, niezapominajmy, mógł być i sąsiedni ród lub plemię. To nie wyłącza, iż w czasie pokoju mogły być miejscem jakiegoś zebrania — a nawet w pewnej mierze i miejscem kultu; wiemy przecież, że w obrębie grodów stały, co prawda nieliczne, świątynie. *.

Osadnictwo pierwotne musiało się trzymać owych miejsc wyższych i suchszych, bądź nad brzegami rzek, bądź wewnątrz kraju położonych, najdawniejsze też szlaki osadnicze idą od owych brodów odrzańskich. Najwięcej zachodni idzie przez Przemęt ku Warcie, ale nie wprost, skręca się on nieco na wschód i zajmuje ów płat wyżyn po lewej stronie Warty położony, aby koło Obrzycka i Obornik przejść tę rzekę i połączyć się ze znanym nam już szlakiem, który się trzyma wzdłuż Noteci i idzie, przeskakując niejako z kępy na kępę, ku zachodowi. Drugi wchodzi w granicę kraju dawnych Polan gdzieś koło Odolanowa, nieopodal Baryczy, zajmuje Kalisz i przez Gniezno, Żnin, posuwa się także ku Nakłu i ku Noteci, zawsze trzymając się lepszych warun-

ków osadniczych. To są dwa najgłówniejsze osadnicze szlaki, przechodzące przez środek Wielkopolski, które się już zaznaczają w najstarszej neolitycznej epoce. — Dzięki zaś tymsamym warunkom fizjograficznym, które długo pozostały niezmienione, epoki następne wchodziły już niejako w te utarte drogi, tak, że ciągłość aż do owej najpóźniejszej epoki nordyjsko-arabskiej jest tu widoczna. Tylko oczywiście, im więcej warstw osadniczych następowało po sobie, tem szerzej rozlewała się osadnicza fala, tak, że w epoce ostatniej tej, którą badać mamy, a nawet i w czasach wczesnych historycznych, dwie owe drogi w środku Wielkopolski łączą się zupełnie, tworząc ów środek silniejszego osadnictwa, który niebawem bliżej poznamy.

W tych okolicach występują też i grody w znaczniejszej liczbie, jak się było można z góry tego spodziewać. Są to grody historyczne najstarsze i grody, a raczej grodziska i osady, o których nie wspomina historja, a które zna archeologja i które oznacza jako pochodzące z owej epoki nordyjsko-arabskiej. Obiedwie te epoki, jak już wiemy, stykają się ze sobą, dlatego je będzie można razem zestawić i badać, należą one bowiem do tego samego okresu. Zbyt wczesne przedhistoryczne i późniejsze historyczne, jako zbyt od siebie odległe, a co zatem idzie, różnorodne, należy z badania usunąć i wyłączyć.

Najstarsze historycznie są dwa grody Polan, dwie jakoby stolice Wielkopolski: Gniezno i Poznań. Obydwa te grody sięgają dowodnie X wieku, a na zasadzie bardzo wiarogodnej tradycji kronikarskiej (Galla) z początków XII wieku można śmiało cofnąć istnienie Gniezna aż do schyłku VIII wieku. I dane archeologiczne potwierdzają ten wywód. Gniezno bowiem jest zamieszkałem od najdawniejszej epoki przez wszystkie prawie następne aż do ostatniej, jak o tem świadczy wykopalisko monet kuficznych z IX wieku pochodzących. Dawny gród stał widocznie na jednem ze wzgórz, zamkniętych jakby kabłąkiem jeziora Świętego; oczywiście ani jego śladu, ani śladu okopów już nie pozostało. Drugi gród po Gnieźnie i co do wieku i co do znaczenia, Poznań, tej ciągłości nie wykazuje, bo tylko można stwierdzić, że był on zamieszkałym w starszych epo-

kach, atoli jest prawie pewnem, że i co do niego dałaby się wykazać ciągłość aż do owej ostatniej epoki. Samo jego położenie pierwotne na wyspie wśród Warty za tem przemawia, na tej wyspie należałoby też szukać pierwotnego grodu, który znikł, jak zwykle w miastach bywa, bez śladu.

Mając ciągle jeszcze historję za przewodnika, jako trzeci z kolei wielkopolski gród spotykamy Giecz między Gnieznem a Poznaniem, nieco bliżej Poznania leżący i na jednej z nim prawie linji. Pierwsze wiadomości o Gieczu pochodzą z pierwszej połowy XI wieku, z czasów słynnego najazdu Brzetysława czeskiego na Polskę. Wiemy też, że znaczną odgrywał on rolę i za Bolesława Wielkiego, tak że historycznie można jego istnienie cofnąć wstecz aż do samych początków XI wieku. Zostało po nim typowe grodzisko, typowe także ze względów historycznych. Wznosi się ono wśród bagien, a wznosiło się niegdyś może nawet wśród jeziora, jest owalnego kształtu, z jednego boku nieco skrzywione, było też ono, jak się zdaje, powiększane; cały jego obwód wynosi 675 kroków, jest więc bardzo znaczne. W pobliżu miano odnajdywać ślady pali po nawodnych budowlach, które pochodzą, jak tego dowiódł Virchow, z epoki słowiańskiej i często się spotykają przy grodziskach na Pomorzu i gdzieindziej, w krajach niegdyś przez Słowian zamieszkałych. Wśród tego okopu — co historycznie ciekawe — wznosi się kościółek św. Jana Chrzciciela, bezwątpienia jeden z najstarszych w Wielkopolsce, jak samo jego położenie wskazuje. Prócz tych trzech istnieją jeszcze inne grody na tym obszarze; są one mniej znaczne i bez tak dawnych historycznych świadectw.

Obok Giecza jest gród Biechów, zdaje się również bardzo dawny, znany on jest wszakże dopiero w XIII wieku. I Bnin nad pobliskiem jeziorem historycznie nie jest również starszym; samo jego położenie i ślady mieszkań nawodnych wskazują jednak, że i on sięga prawdopodobnie owej najstarszej historycznej a najpóźniejszej przeddziejowej doby.

Najwięcej na południe wysuniętym z tego obszaru jest gród Śrem nad Wartą, przy dolnem jej zagięciu. Sam okop, dziś zniszczony, miał być większem nawet od grodziska

w Gieczu, a w każdym razie musiał mu dorównywać; jest też Śrem jednym z najstarszych grodów i osad wielkopolskich, choć historycznie można jego istnienie doprowadzić tylko do pierwszych lat XIII wieku. Obok Śremu mianowicie leży wieś Nochowo, gdzie według Długosza rodzą się same garnki w ziemi i gdzie roku 1416 Władysław Jagiełło pokazywał je wysłańcowi arcyksięcia Ernesta, który chciał się czegoś bliższego dowiedzieć o tym dziwie natury. Owe garnki — to oczywiście urny, któremi usiane były pola tej wioski. Był też Śrem niejako strażnicą owego przedhistorycznego brodu na Warcie i pilnował drogi, która szła, jak wiemy, z południa od Śląska ku północy.

Nieco starsze historycznie są niektóre grody, położone więcej na północ ku Gnieznu i za Gnieznem. Najbliższy Giecza i Poznania Kostrzyń jest wprawdzie późny i wątpliwy jako gród kasztelański, ale zato sięga schyłku XII wieku jako czoło opola. Pobliski Ostrów, gród na jeziorze Lednicy, jest znany z bulli dla Gniezna 1136 roku, ma on też starszą jeszcze metrykę rzeczową, archeologiczną, i to tę, o którą nam idzie. Najdalej na północ wysuniętym, już za właściwym obszarem ujętym Wartą i Wełną, jest gród żniński. Ma on znowu swoją archeologiczną metrykę, ale — zbyt starą, historycznie zaś jest znany wraz z całym obszarem kasztelanji także z bulli 1136 roku. Ta długa lista jeszcze nie wyczerpuje liczby kasztelańskich grodów średniowiecznych w tych stronach Wielkopolski. Pozostaje ich mianowicie jeszcze trzy: Radzim na wyspie Warty, przy górnym jej zagięciu, Rogoźno, nieopodal ujść Wełny, i Drużyn nad Mogielnicą. Pierwszą wiadomość o Radzimiu mamy z połowy XIII wieku; być może i on jest starszym. Podobnie i Rogoźno nie posiada o wiele starszej historycznej metryki, nie idzie wstecz poza wiek XIII — metryka zaś jego archeologiczna jest znowu zbyt dawną, mimo to jednak skłonny byłbym przypuścić, że i w tym wypadku istnieje ciągłość osadnictwa i że to gród bardzo dawny. Co do Drużyna wreszcie, to niewiele o nim wiemy, nie ma on bardzo dawnych świadectw historycznych za sobą, pochodzą one bowiem z końca XIII wieku, archeologiczne zaś są wątpliwe, na razie więc lepiej się wstrzymać od sądu o dawności tego

ostatniego grodu z owego środkowego obszaru Polski, z jej kolebki, jakeśmy go nazwali.

* Co[1] do innych grodów, bliżej plemiennych granic Wielkopolski położonych, które są nam już z nazwiska znane, to od zachodu jeden Międzyrzecz zdaje się być historycznie bardzo dawnym, istniał on już bowiem za Bolesława Chrobrego, ale nie wiemy, czy jako gród. Prawdopodobnie że tak, bo Ditmar merseburski mówi o opactwie w Międzyrzeczu, a wiemy, że najstarsze opactwa najczęściej po grodach były zakładane. Inne, północne, nadnoteckie grody pojawiają się dopiero w czasie wojen Bolesława Krzywoustego z Pomorzanami, jak to już wspomniałem wyżej. Południowa ściana od Śląska, wbrew temu, czego możnaby się było spodziewać, nie jest także dawną, biorąc ściśle historycznie, choć jest bardzo starą archeologicznie, jak już wiemy. Grody śląskie, pilnujące owych przedhistorycznych brodów na Odrze, Krosno i Głogów, są dobrze znane z wojen Chrobrego z cesarzem Henrykiem II. O »polskim« Przemęcie natomiast skąpo płyną historyczne wiadomości. Wspomniany on jest w pierwszych latach XIII wieku (1210), wymieniają go też i późniejsze działy Wielkopolski z połowy XIII w., co w każdym razie dowodzi jego znaczenia. Podobnie mniejsze grody, Sądowel nad Baryczą i Starogród nad Orlą, są nam jedynie znane z pierwszej połowy XIII w., ale pierwszy nawet nie jako gród kasztelański, Starogród nosi już tę mówiącą nazwę w r. 1234[2], ale nie wiemy, w przeciwstawieniu do czego. *.

Szukając dalej potwierdzenia historycznych wiadomości, trzeba się przenieść aż do Kalisza na wschodnie krańce Wielkopolski. Otóż stwierdzić przedewszystkiem należy, że mamy bardzo mało archeologicznych danych o tej okolicy, prawdopodobnie dlatego, że nikt tam nie robił poszukiwań. Znanem jest tylko kaliskie grodzisko, i to niezbyt dokładnie. Wiemy mianowicie, że składa się ono z dwóch okopów: pierwszy ma 300 kroków średnicy, drugi zaś otacza pierwszy jakby półksiężycem od zachodu i rozszerza go blisko o połowę, w ten sposób razem wzięte stanowią one bardzo

[1] Ustęp objęty gwiazdkami pochodzi z drugiej redakcji. (Przyp. wyd.).
[2] Kod. Wpl. I nr. 168, 173, 242.

znaczne grodzisko, mające, o ile wnosić można z tych wiadomości, blisko 750 kroków obwodu. Gród więc kaliski należał do obszerniejszych i w tem archeologja potwierdza w zupełności historję. Posiadamy o nim nawet wiadomość bardzo starą, jest bowiem wymieniony już w Geografji Ptolemeusa z II w. po Chr., atoli taka wiadomość jest dla nas nawet za dawną i za daleką. Należy się też ograniczyć do średnich wieków; otóż Kalisz odgrywał znaczną rolę w wojnie domowej między Bolesławem a Zbigniewem i stał, zdaje się, po stronie tego ostatniego.

Archeologja wszakże, jak to już wiemy, może nietylko potwierdzać historję, ale ją i uzupełniać. Istnieje znaczna stosunkowo ilość niekasztelańskich grodzisk w Wielkopolsce, o których najdawniejsze źródła historyczne nie wspominają, a które zaliczyć trzeba na zasadzie danych archeologicznych do grodów tej właśnie epoki plemiennej, którą badamy. Oczywiście należy tylko być ostrożnym, gdyż niektóre cechy archeologiczne tej właśnie epoki sięgają dosyć głęboko w czasy historyczne, aż do XII wieku. Więc tylko te grodziska należy wziąść pod uwagę, które się mogą wykazać starszą archeologiczną metryką, jeśli tak powiedzieć wolno.

Zaczynam znowu od środka Wielkopolski, który już dostarczył stosunkowo dosyć znacznej liczby starych grodów kasztelańskich, mogących sięgnąć w czasy przedhistoryczne. O blisko 18 kilometrów od Gniezna, idąc w kierunku północno-zachodnim, znajduje się miasteczko Kleck nad jeziorem tego nazwiska. Był on zamieszkałym w czasach przedhistorycznych, jak o tem świadczą znaleziska z epoki dawniejszej, i nie przestał być w epoce ostatniej, jak o tem świadczy grób nieciałopalny oraz monety Sassanidów i wielce charakterystyczne zausznice kabłączkowe. Również urny ze znakami, jak na monetach X i XI wieku, dadzą się odnieść conajmniej do XI wieku, a wreszcie monety z końca XI w. były tam zakopane w XII; to wszystko razem stwierdza, że Kleck był znaczniejszą jakąś osadą, i grodzisko więc, które się tam znajduje, można odnieść do tej właśnie ostatniej epoki. W połowie XIII w., w r. 1255, książę osadza Kleck na prawie niemieckim, przyczem wymienione są wioski do Klecka należące o ciekawych nazwach: jak Kobylice,

Skotnice, Jastrzębice, do których możnaby dodać znane później Świniary i Czechy. Ciekawem jest również i to, że dziesięciny z Klecka stanowiły uposażenie dwóch bardzo starych kościołów gnieźnieńskich, św. Wawrzyńca i św. Jerzego, być więc bardzo może istniał tutaj gród jakiś bardzo dawno, dawniej w każdym razie, niż ten, który istniał w Klecku za czasów Henryka Głogowczyka w początku XIV wieku. Historja, jak widzimy, temu nie przeczy, ale potwierdza możliwość zupełnie.

Dalej na północ, już za Wełną, prawie na jednej linji ze Żninem, jeżeli teraz posuniemy się na północ i zajmiemy cały pas kraju mniej więcej po Wartę od zachodu i po jeziora kujawskie od wschodu, to spotkamy się z drugą przedhistoryczną osadą i grodziskiem. Jest nią Czeszewo, nad jeziorem tego nazwiska, zamieszkałe w najdawniejszej epoce, nie przestaje być ono takiem i później. Są tam mianowicie nad jeziorem ślady budowli nawodnych typowo słowiańskich, wobec tego i grodzisko zyskuje na ich sąsiedztwie i wydaje się być z niemi współczesne. Historycznych wzmianek o nim nie mamy, wiemy tylko, że w IV w. Czeszewo należy do rodu Pałuków; nie sądzę jednak, aby nasyp dopiero z tych czasów pochodził.

Grodzisko w Łęknie natomiast, także nad jeziorem opodal Czeszewa na północ, być bardzo może jest w związku z tymże samym starożytnym rodem Pałuków-Zbilutów, fundatorów łękneńskiego opactwa; byłoby więc dawne historycznie, ale nie przedhistoryczne, i mogłoby nie pochodzić z epoki nordyjskiej.

Pomijam tu kilka jeszcze grodzisk, o których wiadomości nie są ani dokładne ani bardzo pewne, i przechodzę do jednego z najciekawszych grodzisk wielkopolskich, a mianowicie do Grzybowa. To przejście będzie zarazem punktem zwrotnym w mej drodze. Grzybowo leży bowiem o 15 kilometrów od Gniezna, ale już nie na północ, lecz na południe, oddalone jest ono także bez mała o tę samą odległość od Giecza, tylko w kierunku wschodnim. Tak się ów okop przedstawia: wśród łąk podmokłych nad Strugą, dopływem Warty, wznosi się na dziesięć metrów wysoki nasyp; ma on 700 metr. obwodu a 200 i 220 metr. średnicy, wejścia

prawie są sobie przeciwległe: jedno od wschodu, drugie od zachodu. Z tego już widać, że jest bardzo obszerny; aby dać przykład jego rozmiarów, nadmienię, że 700 metr. jest to mniej więcej przestrzeń od kościoła św. Salwatora do kopca Kościuszki w Krakowie. W obrębie okopu znaleziono młot z porfiru w głębokości 1 metra, a także węgle, kości, skorupy ze znanym ornamentem falistym. To samo odnajdywano przy rozkopywaniu Śremu po za samym okopem od strony południowej. Nie ulega więc żadnej wątpliwości, że mamy tutaj do czynienia ze starem grodziskiem polskiem z doby plemiennej, pod tym względem archeologja dostateczne daje świadectwa. Za to historja milczy o nim zupełnie. Wiemy tylko tyle, że w końcu XV w. zamieszkiwali Grzybowo liczni dziedzice, z których kilku należało do rodu Grzymałów, później rozradzają się oni coraz bardziej, tak, że na początku XVI w. rozpada się Grzybowo na cztery części i przedstawia dosyć rzadki w Wielkopolsce widok osad zamieszkałych przez zagrodową szlachtę. Wszystko to oczywiście z okopami niema nic wspólnego, widocznie historja nie dochowała już o nich żadnego śladu, tak, że dla niej są one zupełnie ukryte i nieznane. Stare grodzisko w Gieczu, jak już wspominałem, leży o kilkanaście kilometrów na zachód od Grzybowa. Otóż, posuwając się dalej ciągle w tym samym (t. j. zachodnim) kierunku, spotykamy dwa inne grodziska, o 13 kilometrów mniej więcej oddalone od Giecza. Jedno jest to grodzisko w Trzeku między Gieczem a Poznaniem, o cztery kilometry na południe od Kostrzynia, drugie zaś, mniej coprawda pewne, jest grodzisko w Sokolnikach Gułtowskich, bliżej Giecza położone, oba zaś odległe sa od siebie tylko o pięć kilometrów — nie więcej! Grodzisko w Trzeku leży wśród łąk, jest okrągłe i ma 146 metr. obwodu. Znajdowano w jego obrębie, jak zwykle, skorupy z charakterystycznym falistym ornamentem, kości, węgle i odłamek bardzo starożytnego miecza z żelaza a w odległości stu kroków natrafiono na cmentarzysko pogańskie. Grodzisko w Sokolnikach Gułtowskich jest również okrągłe, ale nieco mniejsze od poprzedniego. W jego obrębie nie znaleziono ciekawych i starszych przedmiotów, natomiast na sąsiednich polach odnajdywano skorupy typu grodziskowego;

zdaje się więc, że i ono należy do tej samej epoki, co i poprzednie. Historja milczy i o nich tak samo, jak milczała o okopach w Grzybowie. Tylko tyle wiadomo, że pod koniec XIV wieku i Trzek i Sokolniki są w rękach szlacheckich. Okolice Poznania są najbliższym punktem, niejako etapem na tej drodze, właściwie nawet owe dwa okopy liczą się już do tych okolic.

Wiadomości historyczne wypełnia archeologja co do Przemętu nadspodziewanie obficie. Szczegóły, których ona dostarcza o tym grodzie, są bardzo ważne i ciekawe. Dowiadujemy się mianowicie, że był on bardzo silnie zaludnionym w epokach dawniejszych i że nie stracił swego znaczenia całkowicie i w dobie plemiennej. Znane jest od dawna archeologiczne cmentarzysko w graniczącym z Przemętem Zaborowie. Jest to jedno z najobszerniejszych w całej Wielkopolsce; »trudnoby znaleźć kretowiznę, — mówi Virchów — na łąkach i pastwiskach Zaborowa, któraby nie mieściła skorup z urn«, tak niemi jest cała powierzchnia koło Obry usiana. Rozliczne naczynia przeróżnych kształtów, przedmioty z bronzu i z żelaza, stanowią bogaty plon dla archeologów przedhistorycznych. Dla nas wszakże najciekawszym jest sam gród, a raczej grodzisko. Tenże sam Virchow przekonał się, że całe wzgórze nad Obrą, na którem stoi obecnie miasteczko Przemęt, jest sztucznym nasypem. Nasyp ten, otoczony nizinnemi łąkami, a niegdyś bagnem, ma około 1.000 m. obwodu, spoczywa zaś na palach wbijanych w bagno i jest cały prawie także usiany skorupami typu grodziskowego, które Virchow wydobywał głównie z cmentarza pod warstwą świeższą wraz z całem mnóstwem zwierzęcych kości. »Niewątpliwie — mówi on — kościół stanął pierwotnie na miejscu dawniejszych ludzkich siedzib«, w czem się nie myli. I późniejszy gród średniowieczny skorzystał już niejako z tego nasypu i na nim został zbudowany; ciągłość tutaj jest zupełna.

Zachodnia okraina Śląska kończy się, jak to przypominam, koło Wolsztynu i Przemętu, na poprzeczach bagnistej Obry, właśnie przy owym brodzie, który szedł od Śląska. Jest to punkt, z którego należy wejść na ów pierwszy szlak przedhistoryczny osadniczy i poza nim pójść wyżej

ku północy, tj. ku Pomorzu. Droga prowadzi przez oba porzecza Mogielnicy, dopływu Obry, i obejmuje ku wschodowi porzecza Warty koło Poznania aż do Obornik przy jej załomie na zachód. Stamtąd droga rozgałęzia się na dwie drogi: jedna idzie prosto na północ, a druga zbacza nieco ku zachodowi, obie zaś dochodzą do Noteci, t. j. do okrainy pomorskiej. Drugi szlak osadniczy wychodzi także od wschodniej okrainy śląskiej koło Odolanowa i Sulmierzyc i zdąża, nie dochodząc do lewego porzecza Warty przez Gniezno, wprost na północ, aby się połączyć z okrainą pomorską koło Nakła nad Notecią.

Są to dwa najstarsze szlaki przedhistoryczne, szlaki osadnicze, przechodzące przez środek Wielkopolski. Zaznaczają się one w najstarszej neolitycznej epoce, dzięki zaś tym samym warunkom fizjograficznym, które długo pozostały niezmienione, wchodziły już niejako w te utarte drogi, tak, że ciągłość aż do owej najpóźniejszej nordyjsko-arabskiej epoki jest tutaj widoczna. Tylko oczywiście im więcej warstw osadniczych następowało po sobie, tem szerzej rozlewała się osadnicza fala, tak, że w epoce ostatniej, a nawet i w czasach wczesno-historycznych, dwie owe drogi w środku Wielkopolski łączą się prawie zupełnie, tworząc centrum silniejszego osadnictwa, które niebawem poznać mamy. W tem centrum osadniczem występują grody w znaczniejszej liczbie, jak to można było z góry przewidzieć. Są to tak samo, jak na krańcach Wielkopolski, najstarsze grody kasztelańskie, znane z XI, XII i XIII wieku, a prócz nich różne osady i grodziska, o których nie wspomina już historja, a które zna archeologja i oznacza jako pochodzące z nordyjsko-arabskiej epoki. Do badania więc można wciągnąć, jak poprzednio, i jedne i drugie, należą bowiem do epok nietylko bliskich, ale do epok, które niejako zachodzą na siebie, tak, że nic tu nie trzeba sztukować i łatać, ciąg jest zupełny, a wyniki pewne.

Zaczynam od owego szlaku zachodniego.

Opuściliśmy koło Przemętu ów przedhistoryczny bród na Obrze; chcąc iść teraz na północ, należy skręcić nieco ku wschodowi w górę leniwo płynącej, a szeroko rozlanej

niegdyś Obry. Pierwszem miejscem o starszej historycznej i archeologicznej metryce jest Kościan, znany w roku 1242 (Kod. Wpl. I nr. 236) jako czoło opola, a zamieszkały w starszych epokach. Okolice ujścia Mogielnicy do Obry są bardzo ciekawe i zagadkowe. O milę od Bonikowa jest grodzisko we wsi Łęki wielkie, wspominane przy działach Wielkopolski między Bolesławem a Przemyślem 1247 roku. Otóż w pobliżu tej wioski znajdują się (a przynajmniej znajdowały) kopce, podobne do mogiły Wandy pod Krakowem, w liczbie jedenastu — a i to nie były wszystkie, gdyż dawniej miało ich być jeszcze więcej. Pierwsza myśl, która się tutaj nasuwa, jest ta, że owe kopce — to graniczniki między dzielnicami obu wyżej wymienionych książąt. Istotnie granica biegła przez Łęki i pobliskie Sępno — ale mimo to owe kopce nie do niej zdają się odnosić. Obok jednego znajdowano urny i bronzowe przedmioty, a wewnątrz innego znowu przy rozkopywaniu pokazały się także urny, bronz, żelazo, a nawet — szkielet »rycerza«, jak dodaje autor tej wiadomości. Jest to wiadomość bardzo ciekawa, ale tak zagadkowa, że rozwiązanie jej należy zostawić archeologom, którzyby się całą tą kwestją bliżej zająć chcieli, a na razie wstrzymać się od wszelkich domysłów i hipotez.

Pobrzeża Mogielnicy w górę jej biegu obfitują w grodziska. Jeszcze bliżej jej ujścia, a w każdym razie nad dalszym biegiem, spotykamy się z trzema grodziskami tuż obok siebie, w Łękach, w Wołkowie i w Konojadzie, w tej ostatniej wiosce wykopywano nawet urny. Niestety i o tych grodziskach brak nam szczegółów. Jedynie ze względu na bliskość owych starych zabytków i bardzo starą okolicę można je w przybliżeniu uznać za pochodzące z owej epoki, o którą nam chodzi.

Dalej na zachód, ale już nie nad Mogielnicą, spotykamy osadę zwaną Grodzisko. Jest to miasteczko z dzisiejszą niemiecką przekręconą nazwą Grätz. Otóż wiadomo, że nazywało się tak ono już w połowie XIII wieku, oczywiście nazywało od jakiegoś starego grodu, a raczej okopów, które już wtedy za stare uważano. W najbliższem sąsiedztwie Grodziska znajdujemy osady o takich nazwach, jak Kobylnik i Strzelce; są to osady służebne, które mogą na-

do sąsiedniego Drużyna, kasztelanji dosyć zresztą później, ale mogą również i do Grodziska, a w takim razie, kto wie, czy tu nie było jakiegoś bardzo dawnego grodu, który później zaginął. W każdym razie sama nazwa o tem świadczy, że był tu niegdyś gród, kasztelański lub nie, ale w każdym razie bardzo stary, może przedhistoryczny, po którym grodzisko zostało. Prawie z nim na jednej linji, ale na wschód, po prawej stronie Mogilnicy, którą przechodzimy w poprzek, jest znowu osada Modrze, która mogła niegdyś być grodem. Dosyć często w połowie XIII wieku książę w niej przebywa, później w XIV wieku miała nawet i kasztelanów. Jeszcze dalej na wschód, ale także na tej samej linji poziomej, co Modrze, pokazują się znowu grodziska w lesie między Demanczewem a Siernikami, być może przedhistoryczne.

Po tych dwóch wycieczkach na prawo i w lewo, do Grodziska, Modrza i owego grodziska w lesie, trzeba posunąć się ku północy znowu w górę Mogilnicy i objąć resztę kraju między tą rzeką a Wartą od wschodu. Pierwsze grodzisko — tym razem zupełnie pewne, bo opisane i zbadane przez samego Virchowa — jest grodzisko w Dakowach Mokrych. Jest ono okrągłe i ma 65 kroków średnicy, a 10 stóp wysokości. Znalazł Virchow w jego obrębie przedmioty z kości obrobionej z owym tak charakterystycznym falistym ornamentem, co wszystko wskazuje, że pochodzi ono z owej nordyjsko-arabskiej epoki, tj. z tej, o którą nam przedewszystkiem chodzi. Dwa dalsze grodziska w Niegolewie i Sędzinku, obok siebie leżące, na łąkach podmokłych, także okrągłe, są mniejszych rozmiarów. Charakterystycznych przedmiotów dla nordyjskiej epoki, (którą zwać będę plemienną), Virchow w nich nie znalazł, to też ma on pewne wątpliwości, czy do tej epoki należą; a jeżeli nawet tak jest, to należą do najpóźniejszego jej okresu, być też może były one oba zamieszkałe. O trzeciem zaś, we wsi Grodzisku, już w XIII wieku to miano noszącej, nic nie wiemy i później w średnich wiekach. Natomiast grodzisko, a raczej dwa grodziska okrągłe, bardzo małe, tuż obok siebie położone w Niemierzu nad jeziorem, pochodzą z epoki nordyjskiej. Znajdują się one obydwa nad zachodnim, nieznacznym dopływem Mogilnicy.

Nieopodal jej źródeł spotykamy zaś bardzo ciekawą grupę starych okopów i grodzisk. Więc najpierw grodzisko w Młynkowie nad jeziorem Wilczyńskiem. Znajduje się ono na tej samej prawie linji, co Niemierz, przedstawia się zaś jako 40 stóp wysoki, 30 stóp średnicy mający kopiec, z trzech stron otoczony bagnem. W jego pobliżu rozciąga się wielkie cmentarzysko ciałopalne, na niem zaś samem odnajdował Virchow skorupy grube, ziarniste, ze znanym, grodziskowym ornamentem, a nadto wielką ilość węgli i w samym środku miejsce na 3 stopy szerokie, wyłożone kamieniami. O kilka kilometrów na wschód od grodziska w Młynkowie znajduje się drugie większe w Młodasku, nad samem już prawie jeziorem Bytyńskiem, na wysepce zaś tego jeziora są znowu ślady kolistego nasypu. Jezioro Bytyńskie oraz położone nad jego północnym brzegiem Komorowo, dalej wieś Gorszewice od wschodu i wreszcie Kazimierz, podobnie jak Przemęt, należą do najciekawszych okolic pod względem archeologicznym w całej Wielkopolsce.

Nie mam zamiaru wdawać się tutaj w szczegóły i opisywać cmentarzysko w Komorowie i Gorszewicach obok Kazimierza — przechodzi to zresztą zakres niniejszej pracy. Dość wspomnieć, że należy ono do najrozleglejszych i najbogatszych. Z grobów ciałopalnych i nieciałopalnych wydobywano przez cały szereg lat w wielkiej liczbie rozliczne przedmioty z bronzu, żelaza i z kamienia. Są to jednak epoki wcześniejsze; ale, co dla nas najciekawsze, to to, że są tam i groby nieciałopalne, pochodzące z epoki ostatniej, nordyjskiej, znajdowano też w nich i skorupy grodziskowe i broń żelazną i srebrne zausznice, tak bardzo charakterystyczne dla oznaczenia słowiańskiego pochodzenia nieboszczyków. Ciąg tu jest zupełny, od najdawniejszych epok archeologicznych aż do ostatniej, której groby, jak to zaznaczono, noszą charakter grobów wojowników, rycerzy, i których miejsca grzebalne łączą się bezpośrednio z cmentarzyskiem dawniejszem. Całe to cmentarzysko zostaje w jakimś związku z owemi trzema grodziskami. Jedno z nich, a mianowicie w Młynkowie, uważa Virchow za dawne miejsce ofiarne — i to miejsce ofiarne z owej najpóźniejszej epoki nordyjskiej, tak, że bezwątpienia mamy tutaj do czynienia, sądząc z sa

mych archeologicznych danych, z jakąś bardzo dawną i znaczną osadą plemienną Polan.

Posłuchajmy teraz, co mówi o tych miejscach historja. Niewiele ona wie o samym Młynkowie, Młodawsku, Komorowie i Gorszewicach. Istnieją one wszystkie w końcu XIV wieku i są w rękach szlachty — oto wszystko, co o nich powiedzieć można. Ale natomiast dużo się można dowiedzieć o Kazimierzu, o cztery kilometry odległym od Komorowa i Bytyńskiego jeziora. — Pierwszą bezpośrednią o nim wiadomość mamy z ostatnich lat XIII wieku; było ono wówczas już ważniejszą osadą. Jest jednak Kazimierz daleko starszym, oto w Kazimierzu, tym właśnie pod Poznaniem, a nie w Kazimierzu pod Kołem, osadził Bolesław Chrobry zakonników św. Romualda, owych pięciu braci polskich, którzy w roku 1003 śmierć męczeńską tam ponieśli z rąk morderców, chciwych złota i skarbów, które zakonnikom król Bolesław zostawił — przynajmniej tak chce autor ich żywotu. To, co podaje archeologja, w dziwny sposób uzupełnia historję. Ów cmentarz w pobliżu i ofiarnicze grodzisko i osadzanie tam właśnie przez Bolesława Chrobrego Benedyktynów, a więc założenie jednego z najstarszych w Polsce klasztorów, wzajemnie się dopełnia z rzadką, jak na owe czasy, obfitością szczegółów. Dodać do tego jeszcze należy i samą nazwę Kazimierza, która wskazuje jakiegoś Piasta, brata któregoś z pierwszych pogańskich książąt z tego rodu — a obraz będzie pełny i wielce ciekawy. Wprawdzie ktoś może powiedzieć, że można się było domyślać, że Bolesław Chrobry zakładał klasztory także i na miejscach dawnego pogańskiego kultu i że pierwsi Piastowie mieli braci, którym jakieś dzielnice wyznaczali, ale dotychczas był to tylko domysł, dedukcja historyczna, nieraz od konkretnego faktu bardzo daleka.

Zbliżamy się już teraz do północnych, najdalszych krańców zachodniego, zewnętrznego szlaku, który się dotąd trzymał porzecza Mogilnicy, a który teraz ją opuścił i do Warty się zbliża. Przedostatnim punktem będzie tutaj para okrągłych okopów koło Rudek pod Ostrorogiem. Grodzisko większe ma 410 kroków obwodu, mniejsze, o cztery-sta kroków od niego odległe, ma sto kroków obwodu, oba

leżą na bagnistej nizinie. W kotle pierwszego znaleziono, jak zwykle, kości, węgle, skorupy bardzo grube, do urn podobne, a także skorupy o bogato rozwiniętej ornamentyce grodziskowej, prócz nich zaś dwa granitowe żarna.

Ostatnim wreszcie grodem na tej samej linji, po którym grodziska nie zostało i o którym wie tylko historja, jest Obrzycko nad Wartą. Stary to gród. Pierwsza o nim wzmianka pochodzi z 1238 roku, miał on wówczas swego kasztelana, miał też w 1256 roku i kościół. W roku 1280 po raz ostatni spotykamy się tam z kasztelanem na czas długi, bo dopiero w końcu XIV wieku (1390), zdaje się, pojawia się on znowu. O jego starożytności i dawnem znaczeniu wie także i archeologja. Jest Obrzycko czyli Stare Obrowo (wieś tej nazwy graniczy z Obrzyckiem) zamieszkałem w dawniejszych epokach archeologicznych, jest też i w ostatniej, dowodzi tego znaleziony prawdziwy skarb, zawierający przeszło pięćset monet arabskich, bizantyńskich i innych z X wieku, zdaje się około 983 roku zakopany. Jest to ostatni gród z jedyną służebną osadą Kobylnikami jeszcze po lewej stronie Warty; po jej drugiej stronie, jak to już wiemy (str. 427), zaczyna się okraina pomorska, na której jest puściej. Najbliższym, ale niezbyt bliskim grodem jest pomorski Czarnków, nad Notecią położony.

Od chwili, w której opuściliśmy Mogilnicę przy jej źródłach, gdzieś koło jeziora Bytyńskiego, tudzież Komorowa i Kazimierza, znajdujemy się wewnątrz kabłąka, który robi Warta, skręcając z północy na zachód. Cały ten kabłąk oraz dolny bieg Wełny, która koło Obornik wpada do Warty, był w przedhistorycznej dobie bardzo silnie zaludniony. Pas ten silniejszego zaludnienia przechodzi jeszcze i na prawe porzecze Warty i wstępuje aż do Śremu i Krzywina nad Obrą, słowem zdąża ku Śląskowi. Prawie bez przesady powiedzieć można, iż w kabłąku owym i nad dolną Wełną nieledwie co wieś to pogańskie cmentarzysko, lub jakie inne ślady pobytu ludzi z tych zamierzchłych czasów. Naturalnie nie wszystkie ślady owe zarówno mnie obchodzą i nie o wszystkich mówić zamierzam. Jak zawsze, tak i teraz będziemy brać w rachubę tylko ową ostatnią nordyjską epokę, która się bezpośrednio styka z historją.

Najwięcej na północ wysunięte są dwa grodziska jeszcze na tym szlaku, ale po prawej stronie Warty, jedno koło Obornik, przy samem ujściu Wełny, i drugie jeszcze dalej ku Pomorzu, nad dopływem drobnym Wełny, w Ludom Dąbrówce. O pierwszem nic bliższego nie wiemy. Obornik jest zamieszkałym w starszych epokach przedhistorycznych, znany też jest w połowie XIII wieku. W sąsiedniem Objezierzu istnieje ogromne cmentarzysko, być więc bardzo może, że i owe grodzisko pochodzi także z tej właśnie epoki; nadto — co dla nas ważne — istnieją tu ślady nawodnych budowli, pochodzące z owej ostatniej epoki. O drugiem grodzisku w Ludom-Dąbrówce także nic nie wiemy, prócz jednego bardzo ciekawego historycznego szczegółu[1]. W 1398 r. przy rozgraniczaniu Dąbrówki od wsi sąsiedniej, Wełny, leżącej po drugim brzegu rzeczki, która dziś nosi nazwę Flinty, opolnicy wezwani na »ujazd«, mieli iść strugą i poszli, jak mówi zapiska sądowa, »pośród strugi, tedy drudzy opolnicy«, tj. strony przeciwnej »przyjechawszy na uroczysko ku przysiędze, usuli dwa kopce, nie przysięgawszy«. Otóż z położenia topograficznego widać jasno, że to uroczysko nad strugą nie jest niczem innem, jak tylko grodziskiem, które nad rzeczką leży istotnie. Lud widocznie w końcu XIV wieku tak je nazywał, jak może zresztą i inne tego rodzaju okopy— a w tym razie nawet widocznie na nich miał przysięgać, według tego, co mówi zapiska. — Wszystko to dowodzi, że grodzisko w Ludom-Dąbrówce jest bardzo dawne i, być bardzo może, jest przedhistoryczne.

W pobliżu Dąbrówki nad samą Wełną znajduje się Rogóźno, dawny gród księżęcy, wzmiankowany w połowie XIII wieku. Z tego czasu też znane w Rogoźnie kuźnice[2], gdzie przetapiano rudę żelazną, w którą snać obfitowała podówczas jego okolica. Niżej ku południowi, na samem zagięciu Warty na wyspie, istnieje znowu okop po dawnym kasztelańskim grodzie w Radzimiu, o którym mamy pierwszą wiadomość z XIII wieku, ale który, jak samo położe-

[1] Lekszycki, Die ält. Grodbücher t. I, r. 1396, nr. 2243, i r. 1398, nr. 2792.

[2] Kod. WP. I, nr. 615., r. 1280.

nie wskazuje, mógł być znacznie starszym. Ciągle jeszcze schodząc na dół, tj. na południe, o 8 kilometrów od Radzimia, spotykamy się z osadą Chojnicą, która w końcu XIV wieku była czołem opola. Na jej obszarze, o ile można sądzić z mapy, znajdują się dwa stare okopy na wynioślejszem nieco miejscu nad bagnistą niziną.

Następną bardzo ważną stacją są Kiekrz i Pawłowice; znajdują się one na lewem porzeczu Warty, o dwie mile na północny-zachód od Poznania. Wieś Kiekrz, mająca cmentarzysko z epoki dawniejszej, leży między dwoma jeziorami, które się dziś nazywają wielkiem i małem jeziorem Kiekrskiem, Pawłowice zaś leżą na północ od małego jeziora. Otóż między tem jeziorem właśnie a zabudowaniami w Pawłowicach rozciąga się smuga łąk podmokłych, wśród niej zaś nieco wynioślejsza i suchsza, piaszczysta kępa. Na niej to przed dwudziestu kilku laty odkryto śmietnisko po osadach nawodnych, obok którego znajdował się dziś już zniesiony kolisty okop, 8 metrów wysoki, a 200 metrów obwodu mający. W kotle tego okopu znaleziono w wielkiej ilości popiół, węgle i różne przedmioty z obrobionej kości, łupane okrzeski, a wreszcie skorupy typu grodziskowego z bardzo pięknym ornamentem falistym i wyciskowym, składającym się z kropek i kresek, który także do tej samej epoki należy. Takie same skorupy znajdowano i na owej kępie, tak, że nie można wątpić, iż okop z tego samego czasu pochodzi. Godnem jest wreszcie uwagi, że najbliższą wsią za Pawłowicami są Kobylniki i Psarskie i, co ciekawsze, że owo małe jezioro Kierkskie zwie się także jeziorem Poświętnem. Czyż to nie ciekawy zbieg okoliczności! Samo się też przypuszczenie nasuwa, że i tutaj, podobnie jak w Kazimierzu, mamy do czynienia z jakąś znaczniejszą osadą i z miejscem dawnego pogańskiego kultu.

Od Pawłowic wchodzimy w pas, którego zachodnią ścianę już znamy; stanowi ją rzeczka Mogielnica, wschodnią zaś będzie stanowić Warta i ów pas trzymający się jej przeciwległego wschodniego pobrzeża. Nim się ku południowi dalej udamy, musimy się zatrzymać jeszcze w okolicach samego Poznania. W jego pobliżu, o 10 kilometrów, znajdują się tuż obok siebie, wśród łąk, dwa koliste okopy

w Dąbrówce. Jeden większy ma 250 kroków obwodu, drugi mniejszy 90, na obydwóch znaleziono, jak zwykle, węgle, kości zwierząt i w bardzo znacznej ilości skorupy typu grodziskowego. Okopy te są bardzo podobne do podwójnych także okopów w Rudkach, które już znamy. Dochodzimy dopiero teraz nareszcie do samego Poznania. Więcej o nim mówi historja, niż archeologja — i słusznie. Poznań to przecie od X wieku, od czasów Mieszka, druga po Gnieźnie stolica Polski, a w każdym razie stolica pierwszego w Polsce biskupstwa. Dawny gród musiał się znajdować na wyspie Warty; dziś oczywiście, jak zwykle w miastach, i śladu z niego nie zostało, nie mamy wskutek tego z Poznania owych zwykłych typowych przedmiotów z nordyjskiej epoki, nie przeczy to jednak bynajmniej jego starożytności i znaczeniu. Był też Poznań zamieszkałym w dawniejszych przedhistorycznych epokach, co w każdym razie przemawia za ciągłością osadnictwa od najdawniejszych czasów — aż po pierwszy brzask historji.

Za Poznaniem, po prawej stronie Warty, spotykamy się z grodem książęcym w Bninie. Jako gród nie ma on bardzo starej metryki historycznej, ale położenie jego nad znacznem jeziorem, na półwyspie głęboko wrzynającym się w wodę, zdaje się przemawiać za jego starożytnością. W jego pobliżu zresztą miano odnajdywać ślady mieszkań nawodnych, a obok samego grodziska po średniowiecznym kasztelu jest drugi okop mniejszy, co także przemawia za tem, że nie jest tylko średniowiecznym, historycznym grodem. Nad tem samem pasmem jezior, co Bnin, bardziej ku dolnemu zagięciu Warty, znajdują się jeszcze dwie osady tuż obok siebie, o starych ciekawych nazwach: Sędomysł i Niezamysł (podobnie jak Siemomysł). W pobliżu ostatniej miały się znajdować szczątki mieszkań nawodnych, o kilka też kilometrów znajduje się kolisty okop wśród łąk, nieopodal koryta samej Warty położony. Szkoda, że nic o nim nie wiadomo bliższego.

Opuściliśmy przy grodziskach w Dąbrówce pod Poznaniem lewy brzeg Warty, pora teraz powrócić znowu na międzyrzecze między Wartą, Mogilnicą a Obrą od południa.

W tym kącie gromadzą się w znacznej liczbie grodziska, ale cóż, kiedy bez świadectw archeologji i historji!

Za wspomnianym wyżej już grodem w Modrzu w pobliżu Drużyna i bliżej na wschód ku Warcie położonem grodziskiem w lesie między Demanczewem a Siernikami leży, na południe od nich, grodzisko w Tarnowie, w którejto wiosce jest i cmentarzysko słowiańskie, a obok drugie w sąsiednich Jarogniewicach. Dwa ostatnie grodziska, najbardziej na południe wysunięte, w Bonikowie i Szczodrowie, leżą już nad Obrą koło Kościanu, a więc na ostatnich kresach owego środkowego obszaru Wielkopolski. I sam Kościan jest bardzo ciekawy; znaleziono obok miasteczka różne srebrne ozdoby i przedmioty wschodniego arabskiego pochodzenia, zaliczyć je też wypada do tejwłaśnie nordyjskiej epoki, która się przecież także i arabską nazywa. Historycznie jest Kościan bardzo również stary. W pierwszej połowie XIII wieku jest on czołem opola, musiał więc być dawniej jeszcze znaczniejszą osadą.

Wszystkie te grodziska, które obecnie wymieniłem, mogą być istotnie dohistoryczne, cała ta okolica bowiem jest zaludnioną w przedhistorycznych czasach. Bliskość cmentarzysk pogańskich i małe oddalenie grodzisk, np. w Bonikowie i Szczodrowie, także przemawia za tem, że to nie późniejsze historyczne okopy, ale o wiele wcześniejsze. Brak tylko szczegółów archeologicznych nie pozwala na stanowcze orzeczenie w tym względzie.

Natomiast grodzisko w Gryżynie wydaje mi się bardziej wątpliwem; była Gryżyna przecież siedzibą możnego rodu w średnich wiekach, podobnie jak niedaleki Czacz, i po nich to może grodziska zostały. O grodzisku wreszcie w Niemieckiej Przesiece nic bliższego powiedzieć nie umiem.

Pas między Obrą a Wartą należy jeszcze do środkowego terytorjum. Na dolnem zagięciu Warty ku północy, u podstawy tego »Z«, które ona tworzy, spotykamy pierwotnie wśród wody[1] starożytny gród Śrem, przez który niegdyś przechodziła droga, a raczej bród od Śląska. Pilnował on tego brodu na Warcie i był zawsze większym

[1] Mapa Zanoniego.

i znaczniejszym grodem. Do niedawna pozostało też po nim bardzo znaczne koliste grodzisko, dziś już zniszczone. Historja dosyć późno, bo dopiero w połowie XIII wieku, o Śremie wspomina; jest on podówczas kasztelanją, a zarazem czołem opola, a ta zgodność przemawia zawsze za starożytnością samego grodu. W jego pobliżu czołem opola był także Drzonek, nad jeziorem Śremskiem leżący, na wschód zaś od Śremu znajduje się wał półkolisty we wsi Dobczynie. Także po drugiej stronie Warty miały się znajdować ślady okopów podłużnych (może grobli?), z których, jeżeli były istotnie, dzisiaj śladu nie zostało. Przebywali w Śremie ludzie i w epokach wcześniejszych przedhistorycznych, i to w znaczniejszej liczbie. W samem miasteczku miano znajdować urny — ale najciekawszą pod tym względem jest sąsiadująca ze Śremem od zachodu wieś Nochowo. O niej to bowiem mówi Długosz, że się w niej same garnki w ziemi rodzą. Musiało więc to być jedno z najobszerniejszych cmentarzysk, podobnie jak w Przemęcie, inaczej nie byłoby ani tak znane, ani tak sławne. Późniejszy gród łączy się i tutaj z dawniejszą przedhistoryczną jakąś osadą; odziedziczył on po niej niejako znaczenie, bo przypuszczać trzeba, że to była większa jakaś osada, kto wie nawet, czy nie większa, niż później, w historycznej już dobie.

6. Kasztelanje [1].

Często w historji dowiadujemy się o istnieniu jakiejś instytucji z powolnego procesu rozkładu, któremu ona ulega. Coś podobnego dzieje się i z kasztelanjami w Polsce. Wprost niewiele o nich wiemy. O wiele więcej szczegółów dostarczają o ich organizacji liczne egzempcje, które są po-

[1] Rozdział ten jest opracowany najwidoczniej szkicowo. Według planu referatu dla Akademji czy wykładu w Uniwersytecie, przechowanego na kilku kartkach, miał autor zamiar obszernie przedstawić po kwestji drużyny u Polan i u innych plemion słowiańskich sprawę wpływów frankońskich i późniejszych saskich (burgwarde) na ustrój grodowy Bolesława Chrobrego, tudzież bezpośrednich wzorów czerpanych z Łużyc, dalej stosunek grodu kasztelańskiego do organizacji kościelnej, do opola, do gniazd rodów możnowładczych, wreszcie do administracji państwowej. (Przyp. wyd.)

wszechne w ciągu XIII i przez pierwszą połowę XIV wieku. Jeżeli więc chodzi o odtworzenie stanu pierwotnego, jak w niniejszym wypadku, w takim razie trzeba owe zmiany późniejsze, o ile możności, starannie oddzielić i wyłączyć.

Ale nie dosyć na tem. Najdawniejsza kasztelanja nie jest jeszcze pierwotnym obszarem rodowym i pierwotnym grodem — jest tylko podziałem, najbliżej stojącym owego pierwotnego odbicia terytorjalnego rodu. I najstarszej więc kasztelanji nie można jeszcze uważać za obszar rodowy, za objaw identyczny z owym pierwotnym, do którego dotrzeć koniecznie chcemy. Już z tego widać, że droga jest długą i mozolną, w każdym jednak razie jest, jak sądzę, jedyną. Podziały kasztelanji razem z faktami zaczerpniętemi z archeologji mogą jeszcze rzucić pewne światło na tę ciemną kwestję, nikt zaś nie może winić historyka, że źródeł nie może przysporzyć. Podobnie jak nikt przecież nie wini paleontologa, że odcisk jakiegoś zwierzęcia, czy rośliny, który bada, nie jest zupełnie wyraźny i dokładny. Wiemy już, że państwo weszło niejako w jedną fazę ewolucji społecznej, którą przebywały różne ludy słowiańskie, i zużytkowało ją niejako — a raczej zastosowało do swoich celów. Wówczas, kiedy się to działo, przyszło już do zgrupowania pojedynczych rodów w szersze i silniejsze związki. Z obszarami tych związków możemy mieć do czynienia, pod niemi zaś jeszcze głębiej kryją się dopiero obszary rodowe. Samo państwo jednakże, w Polsce państwo pierwszych Piastów, było tym najobszerniejszym związkiem, obejmującym wszystkie inne, które się znajdowały na jego terytorjum. Ściągając wszystko do siebie i jednocząc, przyspieszyło ono tylko właściwie ów proces skupiania się rodów, czyli, jeżeli chodzi o dawny plemienny obszar, z którego powstało, zmieniło go ono podwójnie: uszczupliło z jednej strony ilość grodów, nieraz gwałtownie usuwając z nich dawnych panów i władców, z drugiej zaś powiększyło ich liczbę, bądź dla obrony kraju, bądź dla innych względów. Nie należy bowiem zapominać np., że podówczas w obrębie samej panującej dynastji najstarszy książe był zwierzchnim księciem tylko swoich braci, czy stryjów, którzy mogli mieć własne dzielnice.

Wszelako mimo tych wszystkich względów nie można

powiedzieć, aby nowe państwo zmieniło bardzo dawny porządek rzeczy. Głównie przystosowało ono do swych potrzeb dawniej już istniejące stosunki. Aby je całkowicie zniszczyć, na to było ono samo za słabe. A zresztą tam, gdzie niema gwałtownego przewrotu, np. obcego najazdu, który sprowadza zazwyczaj czasowe zerwanie dziejowego ucisku, tam państwo nowopowstające musi się na nich oprzeć, bo innego oparcia nie ma ono wcale. Przystosowanie dawnych grodów do potrzeb nowego państwa dokonało się może nie wyłącznie, ale w każdym razie przeważnie za Bolesława Chrobrego, jego też należy uważać za głównego budowniczego i organizatora polskiej kasztelanji. Bez kwestji wiele z jej urządzeń były to przyjęte dawniejsze urządzenia, ale były także i nowe, zaprowadzone — i to często — na modę frankońską.

W niniejszej pracy obchodzić nas winny te jedynie, które się wiążą z terytorjum i z osadnictwem. Przedewszystkiem należy stwierdzić fakt, że prawie wszystkie grody kasztelańskie w Wielkopolsce były już zamieszkałe w czasach przedhistorycznych. Dla wielu nawet da się udowodnić ciągłość tego osadnictwa, np. dla Gniezna, które jest zamieszkałem od najdawniejszej epoki aż po ostatnią, którąby nazwać już można najwcześniejszą historyczną. Podobnie Przemęt jest bardzo ważnem i wyjątkowo licznie zamieszkałem miejscem od epok bardzo odległych aż do czasów późniejszych a bardzo wcześnie przedhistorycznych. Inne grody, jak Poznań, Giecz, Śrem, Żnin, Kalisz, Międzyrzec, z przerwami wykazują również, jeżeli już nie zupełną ciągłość, to w każdym razie odwieczność osadnictwa i one też niewątpliwie musiały być stale zamieszkałe od bardzo dawnych i odległych czasów.

Z tych przykładów, które niebawem bliżej zbadamy, widać już jedno, a mianowicie, że Bolesław Chrobry raczej zamieniał dawne grody na kasztelanje, niż szukał nowych miejsc dla ich zakładania. Wkrótce się dowiemy, czy nie znosił wiele grodów dawniej istniejących, teraz już jednak możemy stwierdzić fakt, kto wie, czy dla nas nie najważniejszy, że wiele z tych grodów plemiennych, z których kilka najważniejszych dochowało się jako późniejsze grody

kasztelańskie, a więc do czasów historycznych nie nastąpiła żadna zmiana zasadnicza pod tym względem, i to ani w Wielkopolsce ani gdzieindziej, bo, o ile starczą badania, można wykazać np. że tak samo było na Kujawach, na Śląska, na Mazowszu, a nawet poczęści i w naszej Małopolsce.

Następna, tak bardzo ważna kwestja jest: o ile nowe urządzenia administracyjno-ekonomiczne i wojskowe wpłynęły na zmianę nie już samych grodów, ale obszarów od nich zależnych. Jest to kwestja dosyć zawiła i trudna, rozstrzygnąć ją też przez proste »tak« lub »nie« nie można. Co do organizacji wojskowej, to żadnej nie ulega wątpliwości, że gród kasztelański po dawnemu został grodem, t. j. warownią. Wiemy dalej, że już w X wieku za czasów Mieszka istniała drużyna książęca, którą on trzymał na swym żołdzie. Tak samo być musiało i za jego syna, mamy nawet wiadomość, że tak było istotnie. Drużyna więc, choć późniejsza, jest przecież, historycznie biorąc, sama bardzo dawną, sięga bowiem conajmniej X wieku. Znajdowała się ona tam, gdzie ją w jakichś obowiązkach książę umieścił. Umieszczał on ją zaś, jak mamy na to dowody, po znaczniejszych grodach, tak, że pod tym względem nie mogła ona bardzo naruszyć organizacji grodowej i prędzej z niej korzystała, niż ją zmieniła.

Następnie co do zmian domniemanych, które w konfiguracji obszarów kasztelanji sprowadziła organizacja administracyjno-ekonomiczna, to tak się rzeczy mają. Kasztelanje były centrami administracyjnemi a zarazem ekonomicznemi. Jako centra administracyjne rozciągały one swą władzę, np. sądowniczą, nad całą osiadłą ludnością obszaru z grodem związanego, z wyjątkiem może klasy przedniejszej, rycerskiej, czy jak ją nazwiemy. Prócz tego kasztelan ściągał z tej samej ludności rozliczne daniny na rzecz panującego. Część tych danin szła na dwór księcia, część zaś szła bądź na utrzymanie miejscowej jakiejś załogi, bądź też była wynagrodzeniem kasztelana i jemu podwładnych urzędników.

Prócz tego gród kasztelański był jeszcze — nie lękam się tego porównania — i folwarkiem księcia. Jako taki miał on jeszcze ludność bezpośrednio mu poddaną, której całą działalność ekonomiczną zużytkowywał. Byli to t. z. narocz-

nicy, ludzie zajmujący się bardzo pierwotnemi rzemiosłami, np. wyrobem łagwi, korabiów, szczytów, włóczni etc., lub trudniący się pszczelarstwem albo pasterstwem, i rolnictwem, także wyłącznie na rzecz grodu. Być może, iż i stary słowiański jeszcze podział ludności na setki i dziesiątki także się łączył ze ściślejszą organizacją grodową. Otóż można stwierdzić na bardzo licznych przykładach, że osady takie trzymają się okolic bliższych grodom kasztelańskim, można więc powiedzieć, że w większości wypadków razem z grodem stanowiły one pewien kompleks terytorjalny. Nie było tak jednak ani zawsze, ani stale. Osady owe mogły być rozrzucone i nie łączyć się z grodem terytorjalnie. Mamy i na to dosyć częste przykłady. Dziwić się temu jednak nie można, jest to bowiem objaw zwykły. Rozmieszczanie osad od grodu bezpośrednio zawisłych zależało od potrzeb ekonomicznych i warunków gospodarczych poszczególnych grodów. I dzisiaj właściciel obszernych jakichś włości mógłby przenieść jakąś część swoich sił roboczych z jednego forwarku na drugi wedle swego uznania i potrzeby — ogólnej i stałej jakiejś tutaj normy być nie mogło. Tak było z ludnością narokową, która zawsze musiała być mniej zależną od związku terytorjalnego.

Inaczej się rzeczy mają, jeśli chodzi o ową ludność pośrednio, a więc luźniej związaną z grodem kasztelańskim Ludność owa bezwątpienia w głównym swym zrębie pozostawała tam, gdzie była i dawniej, i tworzyła tem samem jakiś więcej zwarty kompleks. Terytorjalność występowała tutaj na plan pierwszy. Wiadomo więc, że w epokach gospodarczo mało rozwiniętych objawia się dążność do opuszczenia siedzib, część więc rolniczej ludności w Polsce ówczesnej należy sobie wystawić jako ludność wędrowną, ruchomą. Sądzę jednak, że, jeżeli nawet część jej jakaś przeniosła się gdzieindziej, za wiedzą księcia, to ta, która świeżo napłynęła, wchodziła na jej miejsce. Obszar pewnego grodu wskutek tego się nie zmniejszył, ludzi bowiem, którzy go opuścili, przestawał on uważać za swoich, natomiast uważał za swoich tych, którzy nowo przybyli, aby w jego obrębie zamieszkać. Ludność ta mogła przedstawić stalszy niejako

i więcej terytorjalny ośrodek, z którego się składał obszar kasztelanji.

Oczywiście nie należy zapominać, czem wogóle mógł być podówczas taki obszar. Przedewszystkiem nie był on obszarem wziętym zewsząd w ścisłe i stałe granice, jak np. powiaty lub inne jakieś podziały współczesne. Takie pojęcie byłoby anachronizmem. Ziemi w owych czasach znacznie było więcej, niż ludzi; a z tego już wynika, że nikomu tak bardzo niezależało na tem, aby ją dzielić i zajmować. Nie wyłącza to jednakże tego, że każdy gród kasztelański stanowił pewien okręg terytorjalny, podobny np. do obszarów zajmowanych przez osadników w mało ludnych krajach.

Podziały na kasztelanje przetrwały, z różnemi oczywiście zmianami miejscowemi, aż do chwili przełomu, który się zaczyna w XIV wieku. Upadła wówczas organizacja grodowa a na jej miejsce weszła organizacja, którą można nazwać powiatową. W tej nowej organizacji już nie gród, ale miasto stanowiło nowy terytorjalny ośrodek. Jest to przewrót bardzo ważny i państwowo i ekonomicznie, zaznacza się on wejściem miast na widownię życia społecznego, a tem samem wychodzi on już zupełnie po za obręb niniejszej pracy.

III. PIERWOTNE SIEDZIBY SŁOWIAN.

III. PIERWOTNE SIEDZIBY SŁOWIAN.[1]

Uczeni, szczególnie uczeni słowiańscy i germańscy, dzielą już oddawna wschodnią i północną Europę między Słowian i Germanów. Jedni zapędzają się na wschód jaknajdalej, — są to oczywiście Niemcy; drudzy odpierają ten najazd i sami zapędzają się aż po Ren, widząc wszędzie Słowian — są to znowu Słowianie. I jedni i drudzy, choć się do tego może nie przyznają jawnie, chcą być autochtonami tam, gdzie dzisiaj siedzą, lub tam, gdzie siedzieli niegdyś. Te skrajne hipotezy wskazują w każdym razie jedno: niepewność i trudność samego zagadnienia, co do którego można stracić nadzieję, czy wogóle kiedykolwiek rozwiązanem będzie. Uczony musi mieć wszędzie tutaj jedynie do czynienia z przypuszczeniami. Niepewność już zasadnicza wiadomości historyków i geografów starożytnych, niepewność etymologij — zawsze trudnych, a cóż dopiero wtedy, jeśli chodzi o nazwy tak dawne, niepewność wreszcie rezultatów, do których doszły archeologja i antropologja, wszystko to razem wzięte sprawia, że wyniki co do oznaczenia pierwotnych siedzib, tak Słowian, jak i innych szczepów, będą zawsze się obracać w sferze możliwości. Ale nietylko możliwości, bo »uproszczonych« możliwości, jeśli tak powiedzieć wolno. Każdy prawie archeolog i historyk milcząco, lub jawnie, przyjmuje, że różne ludy zamieszkiwały kolejno różne kraje. Rozwija się wówczas

[1] Jest to w założeniu swojem dalszy ciąg rozprawy: O pochodzeniu Słowian, będącej recenzją pierwszego tomu dzieła prof. Niederlego pod tyt.: Starożytności słowiańskie, ogłoszonej w Kwartalniku hist. rocz. XVI (1902) str. 243—261. Tytuł powyższy pochodzi od autora, który zamiaru ogłoszenia tych uwag krytycznych zaniechał, nie przywiązując widocznie do nich większej wagi. (Przyd. wyd.).

przed oczami czytelnika i autora długi pochód takich ludów. Jedne opuszczają swe siedziby, drugie na ich miejsca wstępują itd. Wszystko to dzieje się zbyt porządnie i systematycznie. W rzeczywistości też mogło nieraz dziać się zupełnie inaczej. Na wielkich przestrzeniach, bardzo słabo zaludnionych, mogły się nieraz mieścić obok siebie różne ludy, mógł zresztą jeden nad drugim panować. Wszakże i dzisiaj mapa polityczna Europy daleką jest od tego, aby się zgadzała z mapą narodowości. Bez wątpienia tak się dziać niegdyś musiało i tak się działo istotnie. Wszystko to są rzeczy znane i proste, ale może właśnie dlatego niezbyt uwzględniane w badaniach nad początkami różnych narodów i szczepów.

Kwestja, gdzie była kolebka Słowian i gdzie są najdawniejsze ich siedziby, choćby nawet najbardziej uproszczona, przedstawia nadzwyczaj wiele trudności. Nikt też z uczonych nie potrafi zebrać na swoją korzyść niezbitych faktów i tak swej hipotezy obronić, aby inne hipotezy nie mogły się nigdy pojawić. To też chcieć robić zarzut prof. Niederlemu, że i on nie przeciął i nie usunął wszystkich trudności, byłoby grubą nieznajomością rzeczy i nie zdawaniem sobie sprawy z tego, co wogóle w tych zawiłych i ciemnych kwestjach uczony dać może. Jest już bardzo wiele z jego strony, że nam dał bardzo prawdopodobną i pięknie skonstruowaną hipotezę — i to wystarczyć powinno każdemu.

Już w poprzednich swoich pismach prof. Niederle starał się udowodnić, że kolebką Słowian był górny i średni bieg Dniepru, Prypeć i jej prawe dopływy, górny i średni bieg Dniestru, Karpaty i dalej Wisła wraz z dopływami od źródeł, aż prawie po same ujścia. Jest wielce prawdopodobnem, że tak było istotnie, choć oczywiście, jak to sam prof. Niederle mówi, w przybliżeniu tylko, gdyż o wyznaczeniu stalszych jakichś granic mowy być tutaj nie może. Jest to teorja dosyć zbliżona do dawnej teorji Müllenhofa, a także do teorji innych badaczy. Uczony rosyjski Pogodin w swej ostatniej pracy pt. »Z historji gminoruchów słowiańskich« mniej więcej takie same podaje granice pierwotnych siedzib dla Słowian, tylko je prowadzi dalej nieco, na zachód aż po średnią

Odrę[1]. Jagić w recenzji pracy Pogodina mówi, że »im grossen und ganzen« nie ma wiele do powiedzenia przeciw tym granicom, sądzi wszakże, iż zbyt daleko idą one na zachód, pod tym więc względem prof. Niederle zgodziłby się z nim łatwiej. Ale czy takie cofnięcie granic zachodnich jest zupełnie pewnem? Bynajmniej do tych nie należę, którzy wszędzie, w całej Europie widzą Słowian i chcą jaknajwiększe przestrzenie dla nich zagarnąć i zająć. Nie sądzę też, aby pierwotne siedziby Słowian sięgały aż po Ren, to jest inna kwestja.

Przyznać jednak trzeba, że coś się popsuło w dawnej teorji, tak, jak ją Müllenhoff postawił, i coś w niej należy teraz naprawić, to znaczy odpowiedzieć na nowe fakty, które powoli się gromadzą. Do nich przedewszystkiem należą nazwy topograficzne słowiańskie, które się pojawiają prawie wyłącznie w dawnej Słowiańszczyźnie zachodniej. Hipoteza zupełnego wyemigrowania Germanów z tych stron, i to takiego, iżby nikt nie został, któryby mógł nazwę podać nowym przybyszom, wydaje mi się zbyt sztuczną i nieprawdopodobną. Ten brak zupełny nazw starych, germańskich, uderza przedewszystkiem i w dzisiejszej Wielkopolsce. Warta np. i wszystkie jej dopływy noszą tylko takie nazwy. Mało jest prac naukowych i ścisłych z dziedziny etymologji, natomiast etymologizują prawie wszyscy uczeni, którzy się zajmują najdawniejszemi dziejami Słowian, dlatego też prace prof. Rozwadowskiego, których prof. Niederle zdaje się nie znać, nad nazwami niektórych rzek, są tem cenniejszym nabytkiem[2]. Autor doszedł w nich do rezultatu, że część przynajmniej tych nazw jest bardzo dawną i nosi znamiona słowiańskie, a więc wskazuje jakieś bardzo dawne zasiedlenie tych stron Słowianami, ale nietylko porzecza Wisły w takim razie, lecz i Warty po Odrę przynajmniej. Oczywiście nie chcę twierdzić, aby te wnioski nie ulegały krytyce, w każdym jednak razie i tę możliwość należałoby

[1] Iz istorji sławianskich peredwiżenji, Petersburg 1901.

[2] Quaestionum grammaticarum atque etymologicarum series altera w Rozpr. Ak. Um. wydz. filol. t. 28 str. 247, oraz: Ze studjów nad nazwami rzek słowiańskich w Wydawnictwie zbiorowem na jubileusz Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 1900.

uwzględnić i w niej się bliżej rozpatrzyć. Każda teorja przez sam fakt, że ją ktoś sformułował i postawił, usuwa pośrednio inne, które się starały rozwiązać jakieś zagadnienie w inny sposób. To samo oczywiście musiało się stać z hipotezami odmiennemi, niż ta, którą podaje prof. Niederle, co do pierwotnych siedzib Słowian. Jedną z nich jest właśnie hipoteza, według której Słowianie zajmowali całe prawie północne Niemcy; tę, jak zaznaczyłem, pomija zupełnie autor Słowiańskich starożytności. Drugą natomiast zajmuje się dosyć szczegółowo, naturalnie, aby ją odeprzeć, jest nią zaś hipoteza, według której kolebką ludów słowiańskich miał być Dunaj i półwysep Bałkański.

Znaną jest opowieść najstarszej kroniki kijowskiej t. z. Nestora o przyjściu Słowian z nad Dunaju i z półwyspu Bałkańskiego. Opowieść ta, pochodząca z pierwszych lat XII. w., sięga, jako tradycja oczywiście, daleko wcześniejszej epoki, powtarza się jeszcze ona i później. W kronikach polskich np. odnajdujemy ją w tak zwanej Kronice Wielkopolskiej z XIV. wieku i wielu innych źródłach późniejszych. Oczywiście dla historyka ma jedynie jeszcze jakieś znaczenie opowieść Nestora o pochodzeniu Słowian, nad nią się też zastanowić w każdym razie warto i należy. Zastanawiał się też dłużej i profesor Niederle w swem dziele a, rozebrawszy ją, odrzucił. Sądzę, że odrzucił słusznie. Wszelkie teorje dawniejsze, np. naszego Bielowskiego o tożsamości Słowian z Trakami, nie wytrzymują już dzisiaj najmniejszej krytyki, co do Bielowskiego zresztą wykazał to już w 1868 roku A. Brandowski w swojej z wielką ciętością i eurydycją napisanej rozprawie p. t. »O pomysłach lechickich pana Bielowskiego«. Nie o te teorje więc już dzisiaj chodzić może i powinno; jest wszakże pewna wiązka faktów, z którą, jak sądzę, należy się uporać przedtem, nim się usunie całą teorję o naddunajskiem pochodzeniu Słowian. Jest kilka ciekawych nazw, rzek mianowicie, które zdają się łączyć pozornie, jak zresztą przypuszczam, północne strony Karpat z południowemi — a nawet sięgają dalej na południe. Warto sobie przypomnieć poruszaną przez Dr. Kętrzyńskiego kwestję owej jakiejś Wisły, zwanej Ditrike, o której wspomina Konstantyn Porfirogenita w swym dziele. Że nie nad tą

Wisłą leżało państwo Świętopełka i że Wiślanie Żywota Metodjusza i Geografa Bawarskiego są Wiślanami z nad polskiej Wisły, tego zdaje się długo dowodzić nie potrzeba, ale nie jest zupełnie jasną rzeczą, czy istotnie w tym miejscu Konstantyn Porfirogeneta mówi o polskiej Wiśle i czy z nad niej pochodził ów książę Wyszewit, jak chcą niektórzy polscy uczeni. Dzisiaj rzeki takiej, choćby drobnego dopływu jakiejś większej, nie masz na półwyspie Bałkańskim, ale któż może ręczyć, czy jej nie było dawniej. W każdym razie, jak powiedziałem, kwestja ta, aczkolwiek drugorzędna, wymagałaby może szerszego objaśnienia, niż to, które profesor Niederle daje[1]. Wyjaśnienia wymaga również druga nazwa, tym razem istniejąca i dzisiaj, aczkolwiek w zmienionej może formie. Roczniki Fuldeńskie pod datą 895 wspominają o rzece »Odagra«[2]; jest nią dopływ Kulpy, a z nią Sawy dziś zwany Odrą. Co to jest za nazwa, i czy ma ona związek z nazwą późniejszą Odry bałtyckiej, tego oczywiście nie przesądzam, w każdym jednak razie jest ona na tyle ciekawą, aby zatrzymać uwagę uczonych na sobie choćby przez małą chwilkę. Zasługują mojem zdaniem na uwagę takie powtórzenia nazw, jak np. rzeka Raba (Arrabo), dopływ Dunaju, i podkarpacka Raba, dopływ Wisły, a dalej rzeka Morawa na Bałkanach (Margus) i Morawa w Morawji (Marus), zasługuje wreszcie i Dunajec, jak wszyscy wiemy, dopływ tejże samej Wisły. Formacja taka, jak Dunajec, analogiczna np. do chłop, chłopiec, jest w Polsce częstą. Mamy pełno nazw takich jak Opatów, Opatowiec, Gruszów, Gruszowiec, Maków, Makowiec etc., a wszędzie wyrażają one pochodność, zależność, a przynajmniej sąsiedność, i w tym wypadku też Dunajec wskazuje jakieś podobne połączenie z Dunajem, inaczej trudno tę nazwę objaśnić.

Jak już powiedziałem przed chwilą, sam nie uznaję teorji pochodzenia Słowian z południa, aczkolwiek nie przypuszczam, aby opowieść t. zw. Nestora była echem jakichś istotnie przedpotopowych wspomnień przyjścia Arjów z Azji, ale

---

[1] Starověkové zprawy o zeměpisu východne Evropy. Rozpr. Čěske Akad. Um. Třida I, t. I, 1899.

[2] Annales Fuldenses, ed. Fr. Kurze, Hannower 1891, str. 121.

może dlatego właśnie wolałbym widzieć raz już te wszystkie kwestje wyjaśnione. Zapewne każdy z tych faktów, t. j. każda z tych nazw wzięta osobno, nie przedstawia może tyle interesu, ale, wzięte wszystkie razem, mogą, a nawet, jak sądzę, powinny zastanowić uczonego. Jakaś domniemana Wisła na półwyspie Bałkańskim i Wisła polska, Odra w Kroacji i Odra bałtycka, a dalej dwie Morawy, dwie Raby oraz Dunaj i Dunajec, świadczą o wyraźnej dążności do powtarzania się nazw, i to tak ważnych, jak nazwy rzek. Dlaczego tak jest? Być może owa Wisła bałkańska, a także Odra i Raba czy Morawa, są to wszystko nazwy tak odwieczne, iż wszystkie mogą pochodzić z jakiegoś wspólnego pnia językowego i powtarzać się na obszarze zajmowanym przez różne ludy aryjskie, a niekoniecznie przez Słowian tylko. W takim razie byłoby to powtórzenie przypadkowe. Sądzę, że najprawdobniej tak i było. Mogli zresztą Słowianie, przeszedłszy w tamte strony i zastawszy podobne dźwiękiem nazwy, przerobić je na brzmiące po słowiańsku pod wpływem analogji nazw rzek, które znali. Wszystko to są kwestje wątpliwe a ciekawe, nadawały się też do omówienia po Szafarzyku w nowych Słowiańskich Starożytnościach; nie wątpię, że byłby profesor Niederle i w tym względzie dał wiele ciekawych objaśnień.[1]

Prócz nazw jest jeszcze inna sprawa, która się wiąże z kwestją naddunajskiego pochodzenia Słowian, także warta mojem zdaniem zastanowienia, choćby to zastanowienie miało doprowadzić do negatywnego wyniku, to znaczy do odsunięcia na bok całego dowodu. Jest nią kwestja pochodzenia ras bydła rogatego w Polsce, w Czarnogórzu, w Bośni i Hercegowinie. Na kwestję tę historycy i wogóle archeologowie nie zwracali zupełnie uwagi, a jednak nie jest ona do pominięcia i do odrzucenia a limine. Fakt, że ludy pasterskie przyprowadzały z sobą bydło do nowych siedzib, że się to działo, jeśli nie zawsze, to przynajmniej bardzo

[1] Dodać należałoby jeszcze nazwy: Lasus Pelso (j. Błotne) i mieszkających nad nim Oseciates, Berzowia miasto i rzeka (dopływ Temeszu w Banacie), i miasta Tsierna i Transtierna w żelaznej Bramie Dunaju, oraz prawdopodobne przeniesienie nazw rzeki Marisia (dziś Marosz) na starożytny Hebros, dziś zwiący się Marycą.

często, jest samo przez się jasnem i nie potrzebuje szerokiego udowodnienia. W naszym wypadku przedstawia on dosyć dziwną zgodność. Przed kilkoma laty profesor chowu bydła na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, Dr. Adametz, dziś profesor Akademji rolniczej w Wiedniu, ogłosił drukiem komunikat, w którym badał pochodzenie rasy bydła rogatego t. zw. polskiej rasy czerwonej, i znalazł ciekawą zgodność między tą polską rasą bydła a rasą bydła na Bałkanach[1]. Rasę tę — co ciekawe — przegradza już po węgierskiej, a raczej słowackiej stronie Tatr zupełnie inna azjatycka rasa bydła, którą tu sprowadzili Awarowie lub Węgrzy, a którą Słowacy przyjęli. Łatwo objaśnić owo pojawienie się innej azjatyckiej rasy bydła; odpowiada jej pojawienie się dawniejszych lub późniejszych koczowników azjatyckich w tych krajach i zgodność po obu stronach tego przedziału, jakby klina wbitego między dwoma odłamami tego samego słowiańskiego szczepu, nie jest trudną do objaśnienia. Wszak to przecie ci sami Słowianie mieszkają nad Wisłą i w Bośni. Ale już nieco inaczej się przedstawia kwestja, z jakich czasów ta zgodność pochodzi? Mogli przypędzić swoje bydło Słowianie, idąc z nad Wisły na półwysep Bałkański, ale mogli i w przeciwnym kierunku, t. j. z Bałkanów nad Wisłę. Co do mnie sądzę, że owo bydło czerwone przyszło z nad Wisły w tamte strony. Jest tu jakaś zgodność, aczkolwiek niezupełna, z tem, co mówi Konstantyn Porfirogeneta, i z jego wiadomościami najlepiej jeszcze byłoby połączyć ową zgodność ras bydła, choć sam wiem najlepiej, że i w tym wypadku inne a ważne względy, np. lingwistyczne, stoją na przeszkodzie. W każdym zaś razie kwestja to ciekawa i warta również choćby krótkiego omówienia; może to zrobi jeszcze prof. Niederle w dalszych tomach swej pracy.

Na ostatek jeszcze jeden szczegół, jeszcze jedna kwestja. Badania nad pierwotnemi siedzibami Słowian muszą

---

[1] Untersuchungen über bos taurus brachyceros Polonus. Sprawozdania z pos. Ak. Um. w Krakowie, 1890 luty. Por. też W. Klecki, Studja nad morfologją i pochodzeniem bydła rogatego w Bretanji, Kraków 1898.

się oczywiście, wiązać i to bardzo ściśle, z badaniami siedzib sąsiednich szczepów, a więc Finnów, Litwinów, Germanów. Przechodzić kolejno siedziby wszystkich tych szczepów przekracza zakres obecnej recenzji, na jedno tylko chciałbym tu zwrócić jeszcze uwagę. Jest to fakt, tyczący się Litwinów, tych północnych, a najdawniejszych sąsiadów Słowian. Uczeni rosyjscy, Barsow, a za nim Szachmatow, zwrócili już uwagę, że jeszcze w XII wieku w północnej części gubernji kałuskiej (Kaługa) zamieszkiwało plemionko litewskie, które kronikarze nazywają Goljad'. Skąd się ono tam dostało? Dwie są odpowiedzi na to pytanie: albo jest to jakiś szczątek tubylczych plemion litewskich, albo przywędrowało ono w tamte strony. Sądzę, że przyszło ono tam później, ale w takim razie skąd? Jest dobrze znana Gallindja w dawnych Prusach nad Wisłą, są nawet, jeśliby kto tak daleko sięgał, i Gallindae u Ptolemeusza. Niemiecki kronikarz z XV wieku, Dusburg, przechował nam ciekawą tradycję o tem plemieniu. Miało być ono według tych tradycji bardzo liczne, tak liczne, że w obawie przeludnienia mężczyźni postanowili zabijać nowonarodzone dzieci płci żeńskiej, czem oburzone kobiety, ich żony, postanowiły się zemścić i namówiły mężów do wyprawy wojennej, na której oni do szczętu prawie wyginęli. Podanie to analizował prof. Brückner[1] i doszedł do słusznego i uzasadnionego rezultatu, że nosi ono na sobie bardzo dawne znamiona. Obchodzi mnie w tej legendzie zresztą jeden tylko szczegół, a mianowicie tradycja o znacznej liczbie Gallindów. Wobec tego fakt, że ich znajdujemy tak daleko, nabiera większego znaczenia. Znajdujemy ich nadto w bardzo ciekawem sąsiedztwie, bo ni mniej ni więcej, jak tylko Wiatyczów, jednego z tych dwóch plemion Radymiczów i Wiatyczów, o których mówi kronikarz, że od Lachów t. j. z Zachodu wyszli. Być więc bardzo może, iż z powodu najścia Gotów np. oba te plemiona słowiańskie wyszły gdzieś z nad dolnej Wisły i pociągnęły za sobą część Gallindów, Goljad ruskich kronikarzy. Fakt tak objaśniony wskazuje jakieś późniejsze przesiedlenie się paru plemion słowiańskich i części jednego z litewskich na

[1] Archiv. für. slaw. Philologie t. 21 (1899) str. 21.

daleki wschód; być jednak może jest inaczej, a mianowicie może to ślad dawnych siedzib Litwinów, które w takim razie sięgałyby tak daleko na wschód. Z tego względu sądziłbym, że i na tę drugorzędną kwestję należy zwrócić także uwagę. Po »nitce do kłębka«, mówi polskie przysłowie; kwestja ta bliżej zbadana, kto wie, czyby nie dała ciekawych rezultatów dla rozmieszczenia Słowian, a także litewskich szczepów, ich najbliższych sąsiadów i najbliższych krewnych, jeśli tak powiedzieć wolno. Na tem kończę mój przegląd, długi a nie zupełny, chciałem bowiem tylko omówić lub zwrócić uwagę na kilka przykładów, mających ze »Starożytnościami Słowiańskiemi« i z kwestją pierwotnych siedzib ludów słowiańskich bliższy lub dalszy związek.

Spis treści.

Str.

Przedmowa III

Franciszek Bujak:

1. Życie i działalność Karola Potkańskiego (1861—1907) . . 1— 58
I. Pochodzenie . . . . . 1— 3
II. Środowisko krakowsko-zakopańskie . . . . . 3— 10
III. Studja . . . . . 10— 14
IV. Pierwsze prace naukowe . . . . . 14— 19
V. Pogłębienie przyrodnicze . . . . . 19— 25
VI. Prace etnologiczno-przedhistoryczne . . . . . 25— 33
VII. Zdobycie katedry uniwersyteckiej . . . . . 33— 40
VIII. Na katedrze . . . . . 40— 48
IX. Człowiek i uczony . . . . . 48— 55
X. Pisma pozostałe . . . . . 56— 58
2. Bibljografja K. Potkańskiego . . . . . 59— 67
Wspomnienia pośmiertne . . . . . 65— 66
Wykłady uniwersyteckie . . . . . 66— 67
3. Listy K. Potkańskiego . . . . . 68— 90
List Wł Natansona, zawierający charakterystykę Potkańskiego i wspomnienia o nim . . . . . 85— 90

I. Studja osadnicze . . . . . 91—388
Objaśnienia o stanie rękopisu . . . . . 93— 94
Wstęp . . . . . 94—107
Historja osadnictwa 94. — Zależność osadnictwa od warunków fizjograficznych i organizacji ekonomicznej 95. — Wpływ ustroju społecznego 99. — Osadnictwo polskie 104. — Plan pracy 106.
Puszcza Radomska . . . . . 107—221
1. Warunki fizjograficzne . . . . . 107—109
2. Antropologiczno-etnograficzna i polityczna strona osadnictwa w Radomskiem . . . . . 109—119
Przejściowość Radomskiego pod względem antropologicznym i etnograficznym 109. — Podziały plemienne

i kościelne 114. — Granice dzielnicowe od końca XI do XIV wieku 115.
3. Wiek i rozmieszczenie osad . . . . . 119—129
Gęstość osad na mapie Chrzanowskiego 119. — Wpływ gleby 121. — Dane archeologiczne 122. — Klasyfikacja nazw miejscowych i jej związek z historją osadnictwa 126.
4. Rozwój własności ziemskiej w Radomskiem w XI—XIII wieku . . . . . 129—161
Czynniki w rozwoju osadnictwa 129. — I. Panujący 130. — II. Kościół 133. — Uposażenie biskupstwa krakowskiego 136. — Klasztory 139. — III. Możnowładztwo 143. — Odrowąże 144. Łabędziowie 146. — Rawicze 149. — Inne rody 151. — Zagospodarowanie przez kościół 153. — Skupowanie ziemi 155. — Działalność możnowładztwa 157. — Gospodarka na ziemi książęcej 160.
5. Zmiany w XIV i XV wieku . . . . . 161—166
Kolonizacja na prawie niemieckiem 161. — Późniejsze losy puszczy 163.
6. Stosunki prawne ludności w puszczy . . . . . 166—174
Położenie prawne ludności wsi monarszych: Jedlni i Mąkos 166. — Przywilej z r. 1387 167. — Organizacja opolna 170. — Organizacja bartnicza 171. — Rozkład dawnych stosunków 173.
7. Mąkosy, Jedlnia i Kozienice . . . . . 175—188
Wiadomości historyczne o Mąkosach 175. — Wiadomości historyczne o Jedlni 178. — Wiadomości o Kozienicach czyli Starej wsi 182.
8. Poglądy uczonych niemieckich na osadnictwo słowiańskie. 188—200
Poglądy W. Jakobiego 188. — Praca Augusta Meitzena 188. — Osadnictwo niemieckie 190. — Ulicówka 191. — Okolnica (Rundling) 193. — Podział gruntu we wsiach polskich 193. — Podział gruntu na niwy 196. — Komasacja średniowieczna 198.
9. Osadnictwo jednodworcze i wielodworcze czyli wsiowe . 200—221
Podział pól i rodzaj osadnictwa 200. — Wzmianki źródłowe i nazwy wsi 201. — Sors-źreb jako przysiołek lub odrębna osada 202. Nazwy źrebi 205. — Powstanie źrebi samoistnych 206. — Źrebia w osadnictwie zbiorowem 207. — Podział na niwy 209. — Jednodworcze osadnictwo starsze od wielodworczego 214. — Związek nazw osad z ich typem 215. — Wspólnoty rodowe 219.
Puszcza Kurpiowska . . . . . 222—283
1. Warunki fizjograficzne . . . . . 222—230
Spóźnione osadnictwo puszczy kurpiowskiej 222. — Rozmieszczenie lasów 223. — Ukształtowanie powierzchni przez epokę lodową 225. — Nawodnienie i gleba 229.

2. Warunki bytu gospodarczego w średnich wiekach . . 230—233
3. Organizacja bartnicza i prawo bartne . . . . . 233—244
Źródła prawa bartnego 233. — Charakter i pochodzenie organizacji bartniczej 234. — Stopniowe ograniczenie swobody bartników 236. — Podział puszczy na równe bory 239. — Organizacja bartnicza na tle rozwoju organizacji społecznej 243.
4. Daniny bartnicze . . . . . 244—268
Daniny bartnicze w prawie bartnem i w przywileju Zygmunta III z r. 1620 244. — Stóg siana 245. — Łupieże zwierzęce 246. — Dań miodowa 250 — Miary miodu: rączka, pokowa, donica, kiść, pudłak 255. — Wielkość dani miodowej i sposób jej pobierania 258. — Rybołostwo 265
5. Upadek bartnictwa i organizacji bartniczej . . . . . 268—272
6. Rozwój rolnictwa u Kurpiów i powstanie ich osad . . 271—283
Ogólne zmiany ekonomiczne powodują powtórzenie procesu powstania rolnictwa u Kurpiów 271. — Trzy warstwy osad na obszarze Puszczy Zielonej i Białej 272. — Warstwa pośrednia powstała ze stanów bartniczych 273. — Stan bartniczy 374. — Uboczne zajęcie rolą 275. — Podział borów bartniczych zmusza do rozszerzenia pracy rolniczej i przesiedlenia się do puszczy na stałe 276. — Plan wsi Rycicy 277. — Inne wsi kurpiowskie 281.
Podhale . . . . . 284—388
1. Ukształtowanie powierzchni Podhala . . . . . 284—286
2 Opis rolniczy Podhala . . . . . 286—293
Znaczenie gleby dla osadnictwa i gleba na Podhalu 286. — Torfowiska 290. — Puszcza 291.
3. Przedhistoryczne i wczesnohistoryczne osiedlenie naokoło Tatr . . . . . 293—320
Ślady człowieka przedhistorycznego 293. — Najdawniejsze plemiona 293. — Droga handlowa rzymska 294. — Słowianie 295. — Kwestja chrobacka 296. — Krakowianie i Sandomierzanie 297. — Prądy osadnicze od Wisły 298. — Prąd w górę Skawy i Raby 209. — Ruch osadniczy w górę Dunajca 303. — Granica góralszczyzny — czuha 308. — Ślązacy 312. — Rusini 313. — Polacy na południowych stokach Beskidu 314. — Słowacy 315. — Niemcy 316. — Nazwy rzek i wsi naokoło Tatr 317.
4. Praca osadnicza od XIII wieku . . . . . 320—327
Henryk Brodaty i Gryfita Teodoryk, wojewoda krakowski 320. — Zmiany za Kazimierza Wielkiego 321. — Wędrówki Rumunów 323. — Ruch osadniczy w XVI w. i później 325.

5. Gospodarstwo pasterskie na Podhalu od XIII do XVII wieku 328–334
Brak wiadomości o ustroju społecznym ludności pasterskiej i jej daninach 328. — Ślady warstw pasterskich na Podhalu i podział hal w Tatrach 330. — Urządzenia pasterskie 333.
6. Rozwój rolnictwa na Podhalu i Beskidzie 334–350
Znaczenie ostatniej fali osadniczej 334 — Stosunek osadnictwa XVI-go wieku do osadnictwa na prawie niemieckiem 337. — Kategorje ludności wiejskiej 338. — Zarębnicy 339. — Rola 341. — Lasy i góry jako schroniska pierwotniejszych form gospodarczego bytu 342. Pasterstwo i jego związek z rolnictwem 343. — Przeszkody intenzywniejszej uprawy ziemi 345. — Gospodarstwo wypaleniskowe (łazy) 349.
7. Ogólne rozważania o przejściowych formach rolnictwa i osadnictwa 351–376
Przejściowe formy uprawy roli w Indjach i innych krajach 351. — w Polsce 353. — Hospites w Polsce i na Zachodzie. Łazy i łazęki 354. — Pierwotne rolnictwo słowiańskie i polskie 357. — Wyodrębnienie łąk 359. — Równoczesność dwóch systemów uprawy roli: dzikiego odłogowego (wypaliskowego) i ogrodowego (nawozowego) 363. — Ilość inwentarza roboczego 365. — Obora i nawożenie 367. — Rozległość pastwisk 368. — Wczesne ograniczenie pastwisk 369. — Miarą tego ograniczenia odległość 370. — Przemiana stanowisk pasterskich na pola uprawne 371. — Przykład wsi Olmiany w Pińszczyźnie 372. — Na Podhalu i Kurpiach rozwój idzie dalej 374. — Półpasterskie i półrolnicze osady 375.
8. Powstawanie nowych osad na polanach górskich . . . 376–388
Polaniarze i wsiaki 377. — Letniki owczarskie 377. — Polany na Gubałówce 378. — Polany koło Olszy i Zakopanego 379. — Legenda o powstaniu Zakopanego 380. — Rozrastanie się polan 381. — Przykład polan: Potok i Krzeptówka 382. — Polany podhalańskie a kolonje w Kongresówce 384. — Wsi czyli osady zbiorowe pochodzą z reguły od osad jednodworczych 385. — Prawo własności zwycięża ostatecznie ekstensywne użytkowanie ziemi 387.

II. Ze studjów nad ustrojem grodowo-plemiennym . . 389–462

Objaśnienie o stanie rękopisu 391–392
1. O organizacji grodowej 392–395
2. O nazwie całej Polski i o nazwach jej części 395–408
Brak ustalonej nazwy dla państwa polskiego 395. — Terminologja Titmara merseburskiego, Kosmasa praskiego i Nestora kijowskiego 396. — Nazwa państwa zasłania

nazwy plemion i dzielnic 400. — Nazwy grodów nazwami prowincji 401. — Polska jako nazwa całości i części 404. — Tytuły książąt wielkopolskich 405. — Ustalenie nazwy Wielkopolski 406.

3. Związek organizacji grodowej z pierwotnym ustrojem plemienno rodowym . . . . . 408—423

Brak wiadomości wcześniejszych 408. — Teorja powstawania społeczeństw ludzkich 409. — Związki krwi i związki terytorjalne 411. — Opole, gród i ród 413.— Grody Geografa Bawarskiego 414. — Co państwo pozostawiło z ustroju rodowo-grodowego na obszarze Polski 415. — Obszar plemienny 417. — Dzielnice w Polsce X i XI wieku 419. — Praca organizacyjna Bolesława Chrobrego 421. — Terytorja nowych i starych grodów 422.

4. Granice plemienne Polan . . . . . 423—436

Fizjografja Wielkopolski 423. — Zależność osadnictwa od wód 424. — Międzyszczepowa okraina od zachodu i północy 426. — Granica między Polanami a Śląskiem 432. Barycz jako granica między Wielkopolską a Śląskiem 433. — Ślady puszczy granicznej od strony Śląska 434.

5. Szlaki osadnicze i grody Polan . . . . . 436—457

Czasy przedhistoryczne i wczesnohistoryczne 436. — Badania niemieckie 437. — Szlaki osadnicze wielkopolskie 438. — Gniezno i Poznań 439. — Giecz 440. — Biechow, Bnin i Śrem 440. — Kostrzyń, Ostrów Żnin, Radzim, Rogoźno, Drużyn 441. — Międzyrzecz 442. — Kalisz 442. — Kleck 443. — Czeszewo 444. — Łekno, Grzybowo, Trzek 445. — Sokolniki gułtowskie, Przement 446. — Kościan 448. — Łęki i wsi sąsiednie. Grodzisko 448. — Modrze 449. — Dakowy mokre i 3 mniejsze grodziska 449. — Młynkowo, Młodasko i Bytyń 450. — Kazimierz 450. Rudki 451. — Obrzycko 452. — Oborniki i Ludom-Dąbrówka 453. — Kiekrz i Pawłowice 454. — Dąbrówka 457. — Bnin 455. — Demanczewo i Tarnowo 456. — Bonikowo i Szczodrowo 456.

6. Kasztelanje . . . . . 457—462

Stosunek kasztelanij do obszaru rodowego i do grodu 458. — Funkcje kasztelanij 460.

III. Pierwotne siedziby Słowian . . . . . 463—471

Trudność badań i różnice między nauką niemiecką i słowiańską 463. — Pogląd Niederlego, Pogodina i Müllenhoffa 465. — Kwestja pochodzenia Słowian z nad Dunaju, nazwy rzek 466. — Bydło polskie i bośniackie 468. — Goljad', plemię litewskie pod Kaługą 470.